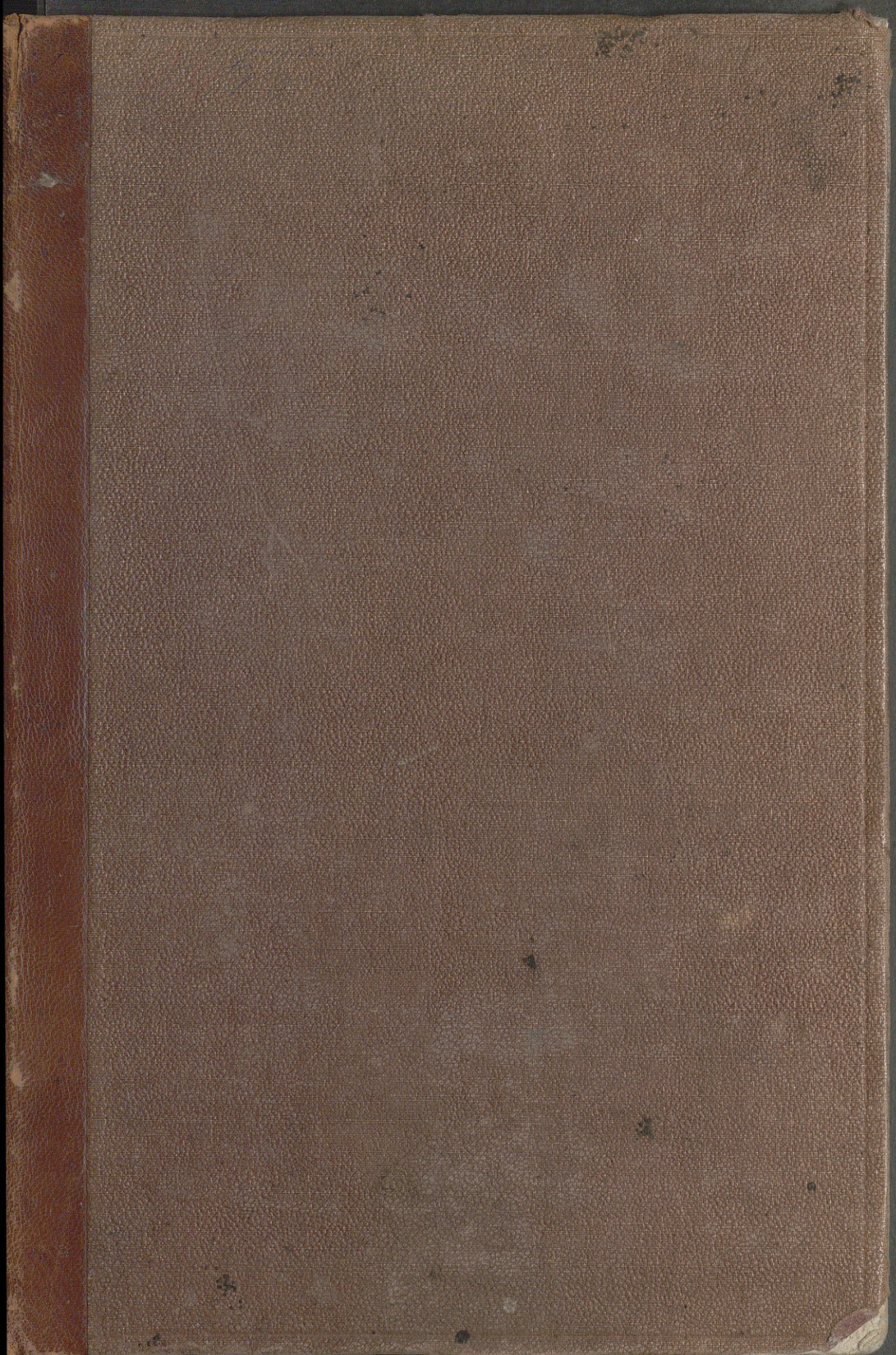

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19




Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

ŻYCIORYSY.

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły [illegible] -Wych.
L. inw. 3199

3516.

ŻYCIORYSY

ZNAKOMITYCH LUDZI

WSŁAWIONYCH W RÓŻNYCH ZAWODACH

Z RYCINAMI.

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

TOM I.

WARSZAWA.

NAKŁADEM, J. BERNSTEINA KSIĘGARZA,

wprost Kościoła OO. Kapucynów.

1850.

92 (Zgromsy Zbiorowe)

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

W Warszawie, dnia 1 (13) Maja 1849 r.

Starszy Cenzor,
L. T. Tripplin.

BIBLIOTEKA
243671/2

W Drukarni St. Strąbskiego.

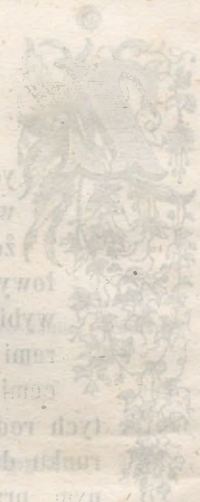
Życiorysy znakomitych ludzi, w jakimkolwiek zawodzie wsławionych, są nieobojętnym ustępem dziejów każdego kraju. Jak naród składa się z rodzin szczegółowych, a tych charakter i usposobienia nadają całości wybitne rysy; tak wyobrazicielami myśli postępowéj, bohaterami przewodniczącemi zwycięzkim zastępom, i wpływającemi na losy swego narodu, są pojedynczy członkowie tych rodzin. Oni to, czy na polu uprawy umysłowéj i kierunku ducha, czy na polu bitwy, czy w zawodzie politycznym, przeważne zostawują wspomnienia, które historya w pamięć wieczystym czasom, zapisuje na stronnicach swoich.

Wielkość i potęga każdego narodu, są dziełem zawsze jeżeli nie jednego gieniuszu, to wysokich zdolności mężów, którzy w swym okresie, upromieniają talentami rodzinną ziemię. Nieobojętną zaprawdę więc rzeczą, poznać żywoty tych, którzy na tak rozmaitych polach niepożyte położyli zasługi, i do wdzięczności potomnych niezaprzeczone zyskali prawa.

Powodowani tą myślą, przedsięwzięliśmy wydać zbiór o ile można dokładny biografij w jedném dziele. Aby mu nadać pewien ład i całość, w dwóch tomach obejmiemy samych literatów i artystów, jako wyobrazicieli myśli i rozwoju ducha.

Tom piérwszy złożony z trzydziestu sześciu biografij czytającéj publiczności składamy. Sąd o naszych pracach bezstronna wyda krytyka; my wziąwszy za godło dawne hasło: *prawdą a pracą*, dopełniamy przyrzeczenia objętego prospektem; o nadanie zaś wartości naukowéj, usilnie starać się będziemy.

Kaź. Wł. Wojcicki.



SPIS

PRZEDMIOTÓW W TOMIE PIERWSZYM.

	Str.		Str.
Alighieri Dante	67	Kniaźnin Fr. D.	481
Auber D. F.	195	Krasicki Ignacy	109
Bajron	369—528	Krasińska Fr.	477
Bandtkie I. S.	347	Kraszewski J. I.	309
Bandtkie I. W.	513	Łubieński Wł. Alex.	245
Berenger P. J.	99	Moore Tomasz	233—528
Bielski Marcin	497	Nikuta Marcin	301
Bohomolec Franciszek	179—527	Orłowski Alex.	157
Borkowski J. D.	199	Puszkin Alex.	273
Brodziński K.	1	Rej Mikołaj	211—333
Bürger B. A.	61	Siarczyński Fr.	89
Dobrowski Józef	217	Święcki Tomasz	431
Guizot F. P. W.	503	Szekspir William	439
Hugo Wiktor.	31	Szymonowicz Szymon	221
Jakubowski Józef	365	Thiers L. A.	357
Jaraczewska E. z Krasińskich	45	Trembecki Stanisław	137—527
Karpiński Fr.	411—528	Vernet Horacy	25
Kerner T.	151		

ZNACZNIEJSZE OMYŁKI

Strona	*Wiersz*	*Wydrukowano*	*Poprawić*
25	14	Felbiana	Felibien'a
33	11	Lahozie	Lahorie
—	18	Mallit	Mallet
76	6	Corto	Corso
113	3 od dołu	1761	1767
114	10	z Krek	z Krakowa
—	9	przęczelski	przerębski
—	8	infilium	infidelium
116	6	w obronach	w robronach
117	7 od góry	Radzymina	Radzynia
—	19	Krasickich	Krasińskich
—	22	Czułżyckiéj	Czułczyckiéj
—	30	Arefuzyańskiego	Aretuzyańskiego
119	20 od dołu	do Śgo Jana	do Łowicza
127	8 od góry	Słuńskiéj	Słońskiéj
128	14	Lehdorfowie	Lehndorfowie
218	8 od dołu	Szwedzkich	Czeskich
260	1	actoritati	auctoritati
261	12	*Kajdeskiego*	*wyrzuć jako niepotrzebny*
—	13	*po* de Schonaj, *dodać*	posła króla Fryderyka
263	2	Myszczeński	Moszczeński
—	2	*po* wojewoda, *dodaj*	inowrocławski
—	4	przemycki	przemęcki
—	6 od góry	Łubieńska Stanisławowa	Łubieńska starościna
—	7	Koonowski podstoli	Kossowski podskarbi
272	ostatni	Bartosiewicz	Bartoszewicz
273	7	zrzucił	tylko co zrzucił
—	11	Licyusza	Licyniusza
274	41	kapitara	kapitana
275	20	a nawet i francuzki	a nawet i szwedzki
280	2	cudownym	czudnowym



KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

Kazimierz Brodziński
Prof. i Sekr. Kr. A. U.

KAZIMIÉRZ BRODZIŃSKI.

Stawiamy na czele z rodaków postać skromną literata. Pamięć swoję przekazał on na potomne czasy w pismach, które nietylko nic nie tracą w prawdziwéj wartości, ale wspomnienie Brodzińskiego coraz większym blaskiem czci i sławy upromieniać muszą. Wiele niepożytych zasług na polu umysłowém w naszym kraju położył, jako wielki poeta, jako znakomity estetyk i krytyk, słowem jako pisarz, który stanowić zawsze będzie epokę odrodzenia literackiego.

Urodził się dnia 8 marca 1791, we wsi Królówce w obwodzie Bocheńskim w Galicyi Austryackiéj (1) z ojca Jakóba, matki Franciszki z Radzikowskich. Od przyjścia na świat był wątły i słabowity; doktor mu przepowiedział, że dłużej nad tydzień nie pożyje, tymczasem inaczéj Opatrzność zrządziła, bo ów doktor umarł w parę tygodni, a Brodziński żył lat czterdzieści kilka. Staranności wiejskich kobiét, ich pielęgnowaniu winien, że został przy życiu, bo matkę utracił w dziecinnym wieku.

Drogie mu zawsze było jéj wspomnienie. Przywiedziem własne słowa naszego poety, gdy opisuje swą młodość:

„Matki mojéj wcale nie pamiętam; miałem lat pięć gdy mnie odumarła. Jedyna scena, którą z dziecinnych lat moich pamiętam, jest pogrzeb mojéj matki. Jéj postać w trumnie, aż do ubioru, do katafalku na którym złożoną była i do pieśni, które nad jéj ciałem ubodzy przez dwa dni śpiewali, pamiętam jakby wczorajsze zdarzenie, równie jak przepowiednią księdza, który wtenczas do nas powiedział:

„Dzieci! będzie was biła macocha!"

(1) Ztąd w późniejszych utworach podpisywał się: *Kazimiérz z Królówki.*

„W późniejszych czasach, służące i kobiéty wiejskie, wiele mi o dobroci méj matki opowiadały, co najwięcéj słuchać lubiłem i im jedynie winienem to przywiązanie do niéj, z którém zdaje mi się dotąd, że żyję. W najsmutniejszych wypadkach późniejszéj młodości mojéj, zawsze się do niéj, jako do patronki modliłem. Jéj postać umarła, którą jedynie pamiętam, zawsze mi smutne i pełne uszanowania czyni wrażenie..... Miałem jeden sen o niéj, który na długo żywém uczuciem mię przejął. Byłem w wielkim kościele, gdzie ona na chórze, w ubiorze, w jakim złożoną była w trumnie, wśród tłumu podobnych jéj bladych niewiast, mnie ręką do siebie wzywała. Wnet znalazłem się na chórze, a uściski jéj dziwną mię upoiły rozkoszą, gdy nagle ogromny głos od ołtarza *requiescat in pace*, który długo brzmiał w moich uszach, sen mój zakończył.

„W dziecinnym bardzo wieku, napisałem elegię do cieniów mojéj matki, któréj wcale nie pamiętam, wiem, że ją płacząc pisałem, i w nocy, na oknie, tylko przy świetle księżyca. Brat mój Andrzéj zawsze mi to pismo moje wychwalał. Nie wiem czy kto, choćby najtkliwszéj miłości macierzyńskiéj doznawał, mocniéj czuł nademnie, coto jest matka. Imię matki od lat najmłodszych było dla mnie świętém nazwiskiem. Widok moich spółuczniów i późniéj młodzieńców przy matkach, napełniał mię rzewném uczuciem. Nie mogłem się utulić ze smutku, który się cisnął w me serce, gdym widział lub słyszał wyrazy troskliwości i przywiązania macierzyńskiego. Nietylko dla matek, ale i dla spółuczniów moich, których obok matek widziałem, miałem jakowyś dziwny rodzaj uszanowania. Uważałem synów mających matki, choćby daleko uboższych odemnie, za jakoweś wyższe, do szczęścia od natury przeznaczone istoty. Kochałem ich więcéj dlatego, że ich matki kochały. Wiele samotnych, nikomu nieznanych łez mię kosztowało, gdym widział dziecię od matki pocałowane. Może to było dziecinne, przesadzone uczucie, ale je pojmie ten, kto lat dojrzalszych doszedłszy, nie znał, coto jest uścisk rodzicielski. Pragnąłem zawsze i mniemałem w sercu, że zasługuję na miłość u kogoś, ale do późnych lat żadnéj nie doświadczyłem. Nie miéć matki, która jedynie wychowanie serca dać może; nie miéć istoty, przed którą możnaby się szczerze ze wszystkiemi dziecinnemi fraszkami, z owemi piérwszemi uczuciami wywnętrzyć, to jest, co nam najwięcéj nadaje owe uczucie w sobie samym się trawiące, ową nieśmiałość do ludzi, a najbardziéj niebaczność na swoje postępowanie, od dobrych nałogów, wrażeń i przykładów zacząwszy. Do dziś dnia czuję to w sobie, i gdybym dziś jeszcze znalazł taką istotę, ręczę, że powierzałbym jéj wszystko jak dziecię, we wszystkiém byłbym jéj posłuszny. Do dziś dnia nie czuję w tym względzie żadnéj męzkiéj wyższości i dojrzałego wieku. Każda kobiéta tytułem matki ozdobna, ma odemnie jakąś część miłości synowskiéj.

„Zdaje mi się, że człowieka jest potrzebą, aby kochał swą matkę; że kto jéj nie ma, upatruje ją wszędzie, i we wszystkiém chce ją sobie nagradzać. Do nieznanéj matki tęsknimy w całém życiu jak do ziemi, na któréj się nasze życie rozwijać poczęło; o nieznanéj marzymy jak o raju lub o świecie obiecanym i nagradzamy ją sobie, tworząc o niéj jak najdoskonalsze wyobrażenia. Nie miałem matki.....

„W szczupłém mieszkaniu macochy, którą moje próżniactwo bynajmniéj nie obchodziło, miałem mieszkanie moje na strychu, do którego po drabinie wchodziłem, gdzie tylko na pościeli mogłem siedzieć, pisać lub czytać grammatykę. Tam między innemi rzeczami, postrzegłem wór papierów po ojcu moim zebranych. Między listami, regestrami, było wiele drukowanych na arkuszach i półarkuszach mów sejmu czteroletniego, wierszy najwięcéj na imieniny różnych panów lub króla Stanisława, jak to bywało zwyczajnie, iż podobne rzeczy osobno drukowane, po wszystkich się domach rozchodziły prędzéj, niż gazety i książki. Z chciwością wielką odłączałem te skarby mojéj lektury od papierów na nic nieprzydatnych, a biorąc po zwitku w pole, czytałem głośno to mowy, to wiersze. Wiersze sprawiały mi rozkosz, jeżeli w nich jakie porównania, jaki obraz znalazłem. Ubogie to było żniwo: powinszowań Naruszewicza, księdza Żukowskiego, lecz były i niektóre Trębeckiego bez podpisu, które mi się nieskończenie wyższe zdawały i w pamięci utkwiły. Te jednak wiersze lubo wcale dla mojego wieku i moich skłonności niestosowne, obudziły we mnie chęć pisania, a przynajmniéj naprowadziły mię na poznanie zewnętrznego składu wiérsza. Póki jeszcze służyła pora jesienna, chodziłem w pole i ukryty w gęstwinach układałem w rymy, co mi do głowy przyszło, jak pisklę w gniezdzie, które instynktem danym wiedzione, i inne ptaki naśladować usiłuje..... Przecież zbliżyła się wiosna razem z Wielkanocą. Zajmowało mnie wielce nabożeństwo wielko-tygodniowe, a przez znajomość z organistą należałem w części do czynności kościelnych. Uderzyły mnie szczególnie śpiewane przez niego psalmy przy grobie Chrystusa. Śpiewałem je z nim samym późniéj kolejno, nazajutrz całe rano i po południu sam nie ustawałem śpiewać, a organista z ochotą dał się wyręczyć. Nigdy nie zapomnę uroku, jaki na mnie wtenczas sprawiły tak śpiewane pieśni Dawida!

Po skończonéj uroczystości wielkanocnéj, potrafiłem uprosić od organisty książkę, któréj używał, i czytałem i śpiewałem w polu, uchodząc najdaléj, żeby mię ludzie nie słyszeli. Pogodziłem się z zarzuconą grammatyką łacińską i czułem słodycz tego języka. Marzenia moje zaczęły być nie już tylko poetyczne, ale i religijne, a od smutku i tęsknoty do błogiéj wesołości i nadziei mych marzeń przeszedłem."

Ojciec Kazimiérza (mówi L. Siemieński biograf lat dziecinnych Brodzińskiego) po śmierci żony przeniósł się do Lipnicy-Murowanéj. Duże gospodarstwo i pięcioro drobnych dzieci, zniewoliły go, acz już był w podeszłym wieku, szukać powtórnéj małżonki. Wkrótce nieszczęściem ją znalazł. Byłato osoba ładna, lecz uboga. Spodobała się ojcu; on dostał żonę, dzieci macochę. Skromna i pokorna z początku, stała się wnet pysznym aniołem i cały dom w piekło zamieniła. Panując samowładnie nad słabym i powolnym mężem, stała się postrachem nietylko domu, ale całéj wsi i okólnych sąsiadów. Pijaństwo obok najgwałtowniejszych passyj; brak wszelkiéj znajomości świata obok wielomówności; chciwość robienia majątku niegodziwemi sposoby, obok chęci okazałości; duma z swego rodu, od którego była nienawidzoną; byłyto jeszcze lekkie jéj wady. Ojciec powolny, skąpy, ale jak najmniéj gospodarny, ceniący spokoj-

ność choćby z ofiarą wszelkiego dobra, w domu nic nieznaczący, łagodny i względny dla każdego, a z natury najcierpliwszy, gorszą niż Sokrates szkołę téj cnoty przebył u swojéj Xantypy. Umiała ona wszelką intratę z dóbr na swoję tylko korzyść obracać, i z majątku męża osobny zbierać dla siebie: procesa z gromadą, z plebanem, z sąsiady, z każdym o kogo można było zaczaczyć, prowadziła najzapamiętaléj. Dom stawał się zbiorem owych nikczemnych prawników, którzy ją tyle swojéj sztuki wyuczyli, że ich znowu w łapki prawnicze chwytała. Kiedy ją zwykła wściekłość napadła, stawała się podobną do jędzy piekielnéj; nikt wtedy, winny czy niewinny, gość czy parobek, dzieci czy mąż, w żadnym zakątku domu nie był bezpiecznym. Umiała równie głosem jak razami zagłuszyć. Sędziwy ojciec uchodził wtenczas w pole, śpiewając łacińskie psalmy, a dzieci do niego się tuliły. Kiedy ją ta wściekłość mijała, udawała bolenie serca i kolki, i wtenczas krzyczała, że na całą wieś było słychać. Plagi, bicie wieśniaków i służących, rzucanie sprzętów za ojcem, pakowanie rzeczy do pojazdów, w celu niby porzucenia na zawsze ojca, byłyto zwykłe dzienne i wieczorne zabawy.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie wychowanie taka macocha mogła dać swoim pasierbom. Najstarszą siostrę Kazimiérza wysłał ojciec do krewnych, a czterech małych chłopaków zostało się w domu. Dzieci te rzadko miały przystęp do pokoju rodziców. Izba czeladnia i chaty wieśniacze były zwykłym ich przytułkiem. Kiedy się pochorowali na odrę, leżeli pokotem w małéj izdebce kuchennéj, a żaden ze służących nie mógł z rozkazu pani do biednych sierot przystąpić, aby nie zarazić małéj jeszcze córki macoszynéj, która opływała we wszelkie rozkosze. Starszy brat Kazimiérza umarł, reszta zaś chłopców wyzdrowiała staraniem kobiét ze wsi, które ulitowawszy się nad sierotami, przynosiły im lekarstwa i opatrzenie. Najprzywiązańsza i najlitościwsza z tych poczciwych wieśniaczek nazywała się Róża. Byłato kobieta już stara, prawdziwa matka, bo wypiastowała każde z tych dzieci. Ona to znosiła od macochy najgrubsze łajania, kułaki, i służbę najprzykrzejszą, a wszystko nie dla jakiéj nagrody, ale z czystéj miłości, powiadając, że nieboszczka matka zaklęła ją przed śmiercią, aby nad sierotami miała opiekę.

Acz ojciec był dobry, jednak o dzieci mało dbał, i nie lubił ani je pieścić, ani z niemi rozmawiać. Wychowanie więc biednego Kazimierza było zupełnie zaniedbane, rosł sobie jak drzewko w polu, dziki, nieśmiały, ale swobodny, używał wolności wtenczas, kiedy użycie jéj, nie mogło być szkodliwe. Bujając wolno po polach i górach, wcześnie nabrał zamiłowania natury, bo ta była mu jedyną przyjaciółką, przed którą mógł się był z świeżych swych uczuć spowiadać.

Ten rodzaj życia wpół dziki, a przytém poetyczny, wykształcił charakter jego, i na los dalszy wpłynął. Położenie Lipnicy-Murowanéj było bardzo urocze. Dwór leżał w dolinie, oblany rzeką, która z gór szumiąc spadała. Chaty rozrzucone po wyżynach, śród sadów, czarujący w jesieni dawały widok. Młyn wodny nad stawem napełniał łoskotem cichą dolinę. Pobok rozciągały się pasma gór coraz wyższych, a w pogodny ranek wzniesione ku niebu Karpaty zda-

wały się być granicą ziemi. O kilkanaście staj widać było na wzniesieniu miasteczko, murowaną Lipnicę, z trzéma starożytnemi kościołami, ku któremu droga była wierzbami wysadzona i ścieżka przez piękną łąkę i cmentarz idąca. Widok tego miasteczka zawsze sprawiał Kazimierzowi odrazę. Była tam szkółka elementarna, do któréj musiał z bratem uczęszczać. Ulewy, zaspy śniegu, nie mogły ich od przykréj podróży ochronić. W zimie byłato wyprawa na cały dzień z kawałkiem chleba posmarowanego masłem. Nauczyciel owéj szkółki, był jakiś pocieszny i straszny człowiek: włosy miał pudrowane, ogromny warkocz i długie fryzowane loki, które mu uszy zasłaniały, co przy spiczastém czole, szczególną figurę czyniło, i różniło go od wszystkich innych mieszkańców, ubierających się po polsku. Żona jego wyglądała jak śmierć: chuda, wysoka i ze złośliwém spojrzeniem. Okropny był dla dzieci widok, gdy często w dzień pogodny na progu siedząc, obcinała brzezinę, a długie rózgi w cebrzyk wodą napełniony składała. Tę brzezinę sam pan professor zwykł był ze spaceru przynosić. Na brzezinie gruntowała się u niego wszelka nauka.

Wnętrze szkoły miało widok przerażający; w środku wisiał wielki krucyfiks; za ręce i za nogi Chrystusa i na gożdziach zatknięte były rózgi, kilka prętów i dyscyplina. Byłto wizerunek szkolnego męczeństwa. Pan professor wszedłszy do szkoły z groźną twarzą, naprzód brał rózgi i probował je, i wydawały świst przeraźliwy. Miewał on często dziwny humor do bicia dzieci; za każde zająknięcie, każdą pomyłkę, smagał po ręku (1).

Dniem najokropniejszym była zawsze sobota. Na ten dzień przeznaczony był zawsze katechizm dawany po niemiecku, którego polskie dzieci ani z treści, ani z języka nie rozumiały. Mało kto był, często nikt, żeby za katechizm chłosty ujść zdołał. Trwoga, cichość i roztargnienie jakie w ten dzień panowały, trudne do opisania. Każdy zapytany, po piérwszém zająknieniu występował na środek klęczéć, i tak całe ławki się wypróżniały; wszystko klęczało, czekając w niezmiernéj trwodze ostatniego, który ma być na to miejsce ekzekucyi wskazanym; poczém nastąpił jeneralny płacz i prośby, wśród których każdy podług wieku odbierał przeznaczoną mu ilość plag. Zamykano wtenczas okno, płakać głośno zabroniono, gdyż często zdarzało się, że matki przechodzące, lub blizko mieszkające, usłyszawszy płacz dziecięcia, wpadały. W téj okropnéj szkole przebył Kazimiérz 3 lub 4 lata, nauczywszy się ledwo czytać i pisać po polsku i po niemiecku. Przestając najwięcéj z wiejskiemi chłopcami, zabrał z niektórymi przyjaźń i w ich towarzystwie używał zabaw wieśniaczych. Coto za rozkosz była, po ukończonéj nauce puścić się między góry i sady, dostać się po kilkogodzinnym głodzie i nudach na drzewo, wiśniami lub gruszkami ciążące, pojeździć na onych maleńkich konikach prowadzonych na paszę w dalekie dąbrowy, kąpać się i brodzić bosą nogą środkiem piaszczystéj krynicy. W tych zabawach z prostymi wieśniakami był prawdziwie szczęśliwy! W domu nikt się o niego nie troszczył; nie miano mu za złe, choć się najdłużéj bawił. Życie takowe zrobiło go nieśmiałym do

(1) L. Siemieński.

ludzi wyższego stanu; a jednak wiele dobrego w niém zaczerpnął. Nietylko bowiem słabe jego zdrowie nabrało sił i rzeźkości, ale przytém serce nabrało przywiązania do rolników, którymi zepsuty świat pogardza. Z jakąż rozkoszą przypominał sobie w późniejszych latach, gdy go chłopaki wiejskie uczyły konia dosiadać, iść za broną i umieć konia na inny zagon nawracać.

Podczas mglistéj jesieni trawił często późne wieczory przy kopaniu kartofli, lub przy pasterzach, gdy przy ognisku bajki opowiadano, które podówczas składały dla niego jedyną literaturę i zastępowały książki.

Przez przyjaźń z synem jednego garncarza, nabrał był chęci do tego rzemiosła: cnotliwy garncarz widząc w nim ochotę i zdolność, zachęcał go, mówiąc: iż lepiéj swobodnie pracować, niż być sierotą u macochy, która cię dziś zupełnie zaniedbuje, a po śmierci ojca z domu wypędzi. Wieśniacy z tamtéj okolicy mają więcéj oświecenia, są porządniejsi i trzeźwiejsi, niż w innych prowincyach polski; handel owocami, chmielem, płótnem, czyni ich zamożnymi. Stary Brodziński mało zasiewał gruntu; ubogim wyrobnikom i żołnierzom wysłużonym przeznaczał cząstki na swoich łanach, z bardzo małym czynszem. Wdzięczność tych ludzi i przywiązanie tak do ojca jak do dzieci było bez granic. Żadna wieśniaczka, ani chłop nie przyszedł do domu, żeby dzieciom tajemnie przed macochą owoców lub kukiełek z jarmarków nie przyniósł. Dla sierot i dzieci opuszczonych w tém wielkie jest szczęście, że współczucie i litość w obcych ludziach wzbudzają. W lecie mieszkaniem Kazimiérza i braci jego była stodoła; obok mieszkał staruszek z swoją żoną, zwany gospodarzem, do którego dozór gruntów dworskich i wszelkie gospodarstwo należało. Mała ich izdebka była w zimie zwykłém mieszkaniem dzieci; ciepła, z palącym się ogniem na kominie, przy którym ci staruszkowie siedzieli. On był starym żołnierzem, ona dawniéj sługiwała po dworach.

Przyjemne to były wieczory, kiedy staruszek opowiadał o krajach włoskich i francuzkich, a ona rozwijała niewyczerpany zapas różnych powieści. Jemu to winien Kazimiérz tęsknotę do ziem nieznanych, do podróży. Opowiadanie o pięknych krajach włoskich i francuzkich w tym sposobie, jak je mógł prosty żołniérz uważać, napełniło dziwnemi marzeniami duszę młodocianą. Żona jego niemniéj obudzała w nim niespokojność, opisując różne zdarzenia przy dworach panów polskich: jakto młodzi ludzie i ubodzy odbierają od nich wychowanie, jak paradują, na koniach jeżdżą, jak dalekie podróże odbywają z panami i tym podobne. Wszystkoto było przypomnieniem obyczajów, które się już zmieniły; a on myślał, że kraj za górami tak jest szczęśliwy, jak sobie w niewinnéj duszy wystawiał. Życie przy rodzicach, mało oń dbających, tém bardziéj budziło w nim chęć do szukania szczęścia po świecie.

Stał się odtąd smutnym i zamyślonym; a im bliżéj ku wiośnie się miało, tém więcéj umysł jego był niespokojny. Nakoniec z młodym bratem zaczął układać zamiar tajemnego wybrania się z domu i puszczenia się w świat na bożą opatrzność. Często wdarłszy się na dach folwarku, dumał o szerokim świecie i przeglądał widokrąg, jak tylko mógł okiem zasięgnąć. Ażeby

ten zamiar przywieść do skutku, trzeba było zwierzyć się komuś; obrali więc za powiernika starego gospodarza. Człowiek ten prosty pochwalił zamiar i dodał zachęty. Nadmienił jednak konieczną potrzebę pieniędzy i podał środek do ich nabycia. Ojciec ich odbierając co kwartał raty czynszowe, składał trzygroszniaki w osobny kufer. Było téj miedzi z pół kufra, który stał w osobnym niezamieszkalnym pokoju. Gospodarz poradził, żeby nabrać tych pieniędzy, bo ojca o nie prosić nie można. Za każdą więc sposobnością biedne dzieci brały po garstce trzygroszniaków, które składały w ręce gospodarza. Gospodarz lubił się czasami upijać; wysłany więc pewnego dnia na jarmark, błąkał się gdzieś ze trzy tygodnie, nakoniec z niczém do domu powrócił. Postępek dzieci wydał się, ojciec ich ukarał; a odtąd wielka przyjaźń ze starym żołnierzem była zerwaną. Kazimiérz żyjąc ciągle prawie z wieśniakami, przyznawał w dalszém swém byciu, iż łatwiéj mu zawsze było postawić się w stanie prostych ludzi, niż wykształconych wychowaniem, z którymi żył późniéj. Kilka słów wieśniaczki wystarczały dla niego, iżby wszedł w jéj uczucie.

Jedném z najprzyjemniejszych wspomnień jego dzieciństwa były wesela wiejskie. Prosty nasz lud nie ma nad to ważniejszéj uroczystości. U wieśniaków w krakowskiém wesele trwa blizko tydzień, a każdy dzień ma inne obrządki. Był piękny zwyczaj, że każde wesele przez jednę noc bawiło się we dworze, w którym nowożeńcy z całém gronem doznawali gościnności i zarówno się z panami bawili. Muzyka, złożona z skrzypków i basisty, grywała codzień przy rannéj i wieczornéj zorzy, a jeden z drużbów miewał oracye wierszami o stanie małżeńskim. Widziéć te druchny z kwiatami na głowie i mnóstwem wstęg różnego koloru na plecy spadających, rószczkę starosty, tojest pięciogałęziową jodłę, umajoną rutą, stokrocią, jabłkami i orzechami, było dlań uroczą przyjemnością. Serce jego radowało się na widok orszaku, powiewającego na wzgórzach chustkami, na laskach zawieszonemi, i na odgłos muzyki wiejskiéj. Do uroczystości wiejskich liczą się także i święta religijne. Dzień Bożego Narodzenia pełny cudów, w którym o saméj 12 w nocy przemawiać miały wszystkie zwierzęta, gdy sianem potrząsano podłogę i stoły, a po wsiach wszędzie brzmiały wesołe kolędy; Boże ciało, Matka Boska zielna, a szczególniéj dni krzyżowe, w których obchodzono z processyą stare po górach rozproszone kaplice, śpiewając litanię do wszystkich świętych, podczas gdy echo dolin powtarzało każde: *zmiłuj się nad nami*!

W takimto prostym i religijnym świecie, pędził piérwsze lata życia Kazimiérz, wszystkoto obudzało w nim uczucie poetyczne i religijne; tém więcéj, gdy przypadkiem w starych szpargałach znalazł był żywoty świętych polskich. Po stodołach i strychach czytał to dzieło, i nie żartem przemyśliwał o życiu świętobliwém, jakiego przykłady wyczytał w tém dziele.

Ojciec lubo skąpy, widząc podrastających synów, oddać ich był zmuszony do szkół do Tarnowa. Szkoły podówczas były najgorzéj urządzone. Uczono tylko po niemiecku i po łacinie; nic nie tłumaczono na polskie, jeno zadawano tyle a tyle, i kazano się uczyć na pamięć. Młodzież nic zatém korzystać nie mogła, nie umiejąc po niemiecku. Kazimiérz mało miał ocho-

ty do tak niewdzięcznéj nauki, zato skłonniejszym był do dumania, mianowicie w rzeczach religijnych. Z bratem starszym Andrzejem, który był w wyższych klassach, mieszkał razem u jakiéjś staréj wdowy, która miała dwóch synów bardzo rozpustnych.

Wdowa ta, osobliwie śmieszna osoba, miała pretensyę pochodzić ze szczepu jakichś książąt Spicimirów; synaczkowie jéj, także tą pychą się przejęli i najokropniéj prześladowali biednych Brodzińskich, których mieli w podejrzeniu, że nie są szlacheckiego rodu. Po dwóch latach mieszkania u wdowy, ojciec uznał potrzebę umieścić ich gdzieindziéj; nastręczono mu krawca, który się tanio zgodził; ale byłto pijak zawołany, i najczęściéj gdy wszystko przepił, wynosił na zastaw dane do roboty sukno, a nawet i odzież biédnych studentów, nietylko tę co była w kufrze, ale i tę co z siebie na noc zdjęli. Tym sposobem nieraz po kilka dni nie szli do szkoły, znosząc głód, zimno, przekleństwa nieszczęśliwéj krawcowéj, i skwiérk zgłodniałych dzieci.

Kazimiérz przymuszony zostawać w zimnéj izbie, nieraz po całych dniach siedział w pościeli, czytając nabożne książki, tę jedyną w strapieniach pociechę.

Szczęściem nadjechał ojciec i wyrwał ich z tego piekła, nająwszy stancyę u jednego z kancelistów sądowych, którego mieszkanie po dawniejszém zdawało się im pałacem. Kancelista był rodem Węgrzyn, niezmiernie powolny, przystojny, i także lubiący butelkę. Życie tam mieli dobre, nawet zanadto huczne, ale tylko na początku każdego kwartału, gdy kancelista pensyą odebrał, ale koniec bywał smutny, dla zupełnego braku funduszów. Wszystko szło na zastaw, nawet suknie dziecinne. Kazimiérz był faworytem kancelisty, który go zwykł był brać do szynkowni, gdzie pito miód i wino; on zaś lubo w szklankach nie miał udziału, wynagradzał sobie zato bułkami dawanemi do przekąski.

Przez ten czas parę razy jeździli do domu na wakacye, gdzie się macosze nawet nie pokazywali na oczy, trawiąc całe dni w polach i lasach. Jednego roku w zimie sąsiedzi przysłali po nich do Tarnowa, gdyż ojciec był śmiertelnie zachorował. Stało się to bez wiedzy macochy. Przybywszy zastali ojca spowiedź czyniącego; przy łóżku obok krucyfiksu świece gorzały. Byłato właśnie chwila, w któréj ojciec podpisał testament. Skoro takowy odczytano, macocha wpadła w taką passyę, iż w pokoju chorego porywała obrazy i inne sprzęty i z krzykiem największym ku łóżku miotała. Ojciec modlił się tylko po łacinie. Macocha gdy ujrzała w téj chwili wchodzących pasierbów, gniew jéj zwrócił się ku nim, a mianowicie ku obecnym sąsiadom, za to, że ich sprowadzili dla zabrania majątku po ojcu.

W ojcu widać było mocne poruszenie, rzucił na dzieci żałosnym wzrokiem, i kazał je oddalić. Nazajutrz uzyskawszy przystęp do chorego ojca, odebrali od niego błogosławieństwo, i kazał im do szkół odjechać. Wszyscy domownicy płakali biednych dzieci, mianowicie żyd arendarz, koło którego

przejeżdżali, obdarzył ich różnemi łakotkami i każdemu dał po dwa złote; byłato summa, jakiéj nigdy w życiu nie mieli.

Andrzéj ukończywszy gimnazyum w Tarnowie, został przeniesiony na uniwersytet do Krakowa; Kazimiérz mu towarzyszył. W Krakowie także trafili na nieszczęśliwą stancyę; ojciec skąpy zawsze, umieścił ich u stolarza, wielkiego pijaka i oszusta. Dzieci umierając prawie z głodu, bez spokojnego kątka, gdzieby się uczyć mogły, w najsmutniejszém były położeniu, aż obcy jakiś człowiek zlitował się nad nimi, i umieścił ich gdzieindziéj, gdzie i stół znaleźli porządny i dobre mieszkanie, i innych uczniów. Byłto raj prawdziwy dla sierot. Gdy Andrzéj oddawał się naukom w akademii i sił swoich probował w poezyi, Kazimiérz zostawiony samemu sobie, cały czas trawił na samotnych przechadzkach, rozmyślaniach, i na zbieraniu i zasuszaniu ziół, na czém całe przedpołudnie trawił na górze Ś. Bronisławy. Książek nie czytywał bo ich nie miał; historyczne pomniki Krakowa nie obchodziły go, bo nie znał historyi swojéj ojczyzny.

Ojciec wyszedłszy z długiéj choroby, przybył nakoniec; zapłacił nowemu gospodarzowi; lecz zaraz po jego odjeździe doszła ich smutna wiadomość, że życie zakończył. Byłto starzec szanownéj postaci, noszący się starannie po polsku; nie podgalał włosów, ale je zaczesywał od czoła, spuszczając siwe loki na plecy; powolny, milczący, wtenczas się tylko do dzieci odzywał, gdy na połajanie zasługiwały. Wymyślny sam w pięknym ubiorze polskim, synom rzadko nowe suknie sprawiał; lecz ze swéj garderoby przerabiać kazał dla nich kapotki. Co rok, w czasie wakacyj, rozwieszano na dziedzińcu do stu kontuszów i żupanów, i czyniono z krawcem przegląd, które z nich dla dzieci przerobione być mają; ztądto miewali nieraz suknie w różnych kolorach dziwacznych. Andrzejowi pewnego razu przypadła suknia z żółtemi pasami, z któréj mu frak przerobiono; wyśmiany był od wszystkich uczniów.

Po śmierci ojca, gdy nikt do nich się nie zgłaszał, aby im za stancyę zapłacić, obaj Brodzińscy znaleźli się prawie bez sposobu do życia. Andrzéj zarabiał sobie cokolwiek pisząc u Adwokata, Kazimiérz przedsięwziął udać się do macochy. Uszywszy sobie z prześcieradła torebkę, zabrawszy manatki, puścił się w drogę o ośm mil do miejsc rodzinnych; słabe zdrowie, brak wprawy, zaledwie dały mu tę podróż ukończyć. Stanąwszy w Lipnicy, ze drżeniem serca zbliżał się domu. Nie zastał tam macochy, która, jak się dowiedział, zadzierżawiła plebanię w Rajbrodzie, o pół mili od Lipnicy. Jeden z wieśniaków go tam odprowadził; po drodze wstąpili na grób ojca i modlili się razem. Przyjęcie u macochy nie było takie, jakiego się obawiał; czyto zmiana losu, czy głos sumienia, sprawiły, iż mu nie odmówiła przytułku, dopóki opiekunowie nim nie rozrządzili ([1]).

—„W tym właśnie czasie (mówi tu sam Brodziński) odebrałem list od brata Andrzeja, który z uniwersytetu lwowskiego przybył do stryja, mającego znaczne probostwo w Wojniczu, o cztery mile od Rajbrodu. Coto była za radość moja, czytać list cały o poezyi, któréj się brat mój z najwię-

([1]) L. Siemieński.

kszym zapałem ciągle oddawał, i dołączone do niego przekłady wierszem niektórych rozdziałów *Tomasza z Kempis*, a nawet w całéj tragędyi przez niego napisanéj, pod tytułem: *Ludgarda*. Posłałem mu nawzajem moje ramoty, odebrałem odpowiedź zachęcającą, pełną miłości braterskiéj i poezyi (1). Już i psalmy, i płynąca z nich osłoda nie były mi wystarczające. Nie sypiałem z tęsknoty do brata, do jego książek.

„W ogólności nie znalazłem koło siebie, ani jednéj istoty, któraby moje zamiłowanie w poezyi dzieliła, a właśnie w tym czasie uczułem potrzebę, nie tak wspólnych rozmów o poezyi, jak przyjaźni, które to uczucie w młodym wieku tak jest żywe i zajmujące. Myślałem i wierzyłem, że każda przyjaźń zawiązana trwać powinna wiecznie i żyć poświęceniami. Młodzieniec jeden Karpiński, samém nazwiskiem zwrócił na siebie moję uwagę, choć nie był krewnym poety, i do poezyi najmniejszego nie czuł powabu. Powolny, cichy, jak anioł niewinny, zajął całe me serce, zkąd ten tylko zysk odniósł, iż go gwałtem trapiłem, aby odpowiednie do imienia był poetą. Dobroć jego, czyniła co mogła; jam zachęcał, poprawiał, ale to nie szło. Nakoniec znalazłem przyjaciela, jakiego sobie ekzaltowana moja imaginacya wystawiać mogła. Byłto syn professora, Parczewski Karol, o parę i więcéj lat młodszy odemnie, pobożny, pracowity, w moich oczach piękny jak anioł, zawsze uniesiony i pełen do poezyi skłonności. Zdarzenie zbyt smutne, było początkiem naszéj najgorętszéj przyjaźni. Poszło nas kilkunastu do rzeki *Biały* kąpać się, gdzie kolega nasz *Przygodziński* daleko się od reszty oddalił, i niepostrzeżony od nikogo utonął. W kilka dni dopiéro znalezione jego ciało już okropnie zeszpecone, przywieziono do domu. Całą noc po tym widoku nie spałem, i papiér łzami polewając, napisałem elegię na śmierć nieszczęśliwego: jedyna to była moja poezya, którą współkolegom przeczytałem, a która ich wszystkich zajęła, jako wynikła ze zdarzenia, które na wszystkich wrażenie uczyniło. Nawet professorowie pochwalili tę pracę moję, a młody Parczewski ze łzami rzucił się w moje obięcia, nie mogąc słowa wymówić. On przyprowadził do mnie nieszczęśliwą matkę Przygodzińskiego, która dowiedziawszy się o okropnym losie syna, z prowincyi przybyła. Ona rzewnie płacząc ściskała mię według jéj wyrazów jak *syna*, i dziękowała za biédne wiersze o nim, które ją doszły.

„Mało kto może uwierzy, iż to był dla mnie piérwszy uścisk i kobiéty i matki, że był u mnie rzeczą nadzwyczajną, żem płakał, jak małe dziecię, myśląc iż nie mam matki, któraby na mój zgon była podobnie tkliwą."

Tęsknił do brata Andrzeja: w domu nie dbano o niego, sam nie wiedział na co żyje, więc umyślił puścić się do stryja, który był zarazem jego opiekunem. Że zaś był zupełnie obdarty, trafiło się, że wynalazł na strychu surdut po służącym, dał go przerobić wiejskiemu krawcowi, i tak wystrojony puścił się do Wojnicza (2). Stryj jego był oświeconym i przykładnym kapłanem, żył dobrze, i miał piękne dochody, lecz obciążony dziećmi braci swoich

(1) O Andrzeju Brodzińskim znajdzie czytelnik wiadomość w przypisach do niniejszéj biografii.
(2) L. Siemieński.

i familią, często nie mógł nastarczyć. Kazimiérza niezbyt uprzejmie przyjął, ale chłopak nie wziął tego do serca, bo go pocieszała myśl połączenia się z rodzeństwem.

Wojnicz leży w przyjemném położeniu; na probostwie był piękny ogród: było miłe dlań towarzystwo brata i dwóch siostr stryjecznych: całe ich zatrudnienie wychodzić na przechadzki w piękne okolice, i czytywać wiersze. Ksiądz stryj także lubił poezyę. W jednéj altanie ogrodu leżała spora księga, gdzie wszyscy zapisywali różne wiersze, koncepta i powiastki. Najulubieńszą ich zabawą było czytywać sielanki *Gesnera*, tłumaczone po polsku.

Życie ich rodzinne przedstawiało obraz także sielankowy. Kazimiérz przywiązał się do siostry swéj stryjecznéj, z którą zgadzał się w uczuciach i wyobrażeniach. Gdy ta wyprowadziła się z matką do znajomych obywateli w sąsiedztwie, Kazimiérz pisywał do niéj listy ledwo nie co dzień, lub też biegał do ogrodu, gdzie mu siostra wynosiła kwaśnego mléka i chleba i różne książki, które z biblioteki brała. Ztémwszystkiém nie mógł on się oswoić z ludźmi wyższego wychowania, zawsze dziki, nieśmiały, tracący przytomność gdy go zapytano, uciekał najczęściéj, gdy postrzegł jaką damę; a jednak rozmarzona jego wyobraźnia, w najpiękniejszych barwach wystawiała sobie towarzystwa wyższego świata.

Gdy się opiekunowie zajęli pozostałym majątkiem po ojcu, pokazało się, że wystarczy na jakie parę lat na utrzymanie ich w szkołach. Andrzéj udał się do Krakowa, Kazimiérz zaś do Tarnowa. Fundusze wystarczały mu tylko na rok jeden, a on potrzebował lat trzy do szkół ukończenia. Zmuszony więc był uczyć dzieci po domach, a lubo mu to przynosiło jakikolwiek dochód, jednakże własne jego nauki na tém cierpiały. Między professorami znalazł się jeden nazwiskiem Szmidt, człowiek rzadki, łagodny i przywiązany do swego stanu i uczniów. Piérwszy on spostrzegł naturalny talent w Brodzińskim, zaprosił go do siebie na podwieczorek, i wybadywał, a przekonawszy się o niepospolitych jego zdolnościach do pisania poezyi w polskim języku, zaczął go namawiać, aby w tym niewdzięcznym (jak mówił) języku, nie pisał, tylko w niemieckim, i tym końcem dał mu do czytania poetów niemieckich. Kazimiérz przynosił mu z nich przekłady na polski, ale Szmidt nie był rad z tego. Czuł to biédny młodzieniec, że mu potrzeba wzorów polskich, aby na nich swój język wykształcił, ale na nieszczęście nigdzie polskich książek nie było. Uzbierawszy sumkę dziesięć złotych, znalazł sposobność sprowadzić sobie parę książek z Krakowa. W szkołach zakazane było czytanie polskich książek, a gdy prefekt dowiedział się, że Kazimiérz sprowadził sobie wybór poezyi polskiéj dla szkół wydany w Warszawie, i Pawła i Wirginię, udał się do jego stancyi, i mimo prośb i zaklęć młodzieńca, zabrał mu takowe! Następny wypadek przekonywa, jak w chęciach swoich obeznania się z własnego kraju literaturą był nieszczęśliwym.

Kupując u przekupki jagody, postrzegł, iż dla zrobienia trąbki na nie udarła z dawnéj książki kartkę z gockim drukiem, na któréj dostrzegł napis: „Rymy Jana Kochanowskiego.” Słyszał on już o wzniosłych utworach tego

wielkiego poety, i zachwycony tym skarbem, bez żadnego namysłu porwał książkę, a raczéj resztę książki, i najspieszniéj począł z nią uciekać. Przekupka a za nią wszystkie towarzyszki narobiły chałasu: prefekt przypadkiem znalazł się na rynku, i tak zdobytą książkę jako winowajca oddać musiał, i jeszcze poszedł na kilka godzin do kozy, rozmyślając nad swoją nieroztropnością, iż z właścicielką nie wszedł w układy, któraby zapewne rymy Jana Kochanowskiego była zamieniła na inne studenckie szpargały! Wśród tych przeszkód zapał i miłość jego do poezyi z każdym dniem wzrastała: najwięcéj czuł przyjemność ukryć się w zbożu i tam ołówkiem pisać co mu natchnienie niosło. Któż opisze jego radość, jego łzy, gdy brat Andrzéj wydrukowawszy tomik swoich wierszy, zamieścił oraz kilka poezyj Kazimierza, i przysłał mu tę książeczkę ze Lwowa. Byłto piérwszy krok Kazimiérza w zawodzie poetyckim, piérwszy raz nieznane imię jego wyszło na świat (1).

Zatrzymaliśmy dłużéj uwagę nad chwilami młodości naszego poety: własne jego wspomnienia, i dopełnienie opisu lat pacholęcych biografa Lucyana Siemieńskiego, podały nam do tego nieprzerwany wątek. Przywodząc te szczegóły, mieliśmy na baczeniu głównie to, że właśnie charakter i stanowisko jakie zajął późniéj Brodziński, wysnuły się z owych lat dziecinnych: jego rzewność, prostota, zamiłowanie ludu; słowem, cała rodowość i rodzimość, jak skromność, nieśmiałość i potulność poety, tam miały swój początek. W niejednéj poezyi Brodzińskiego znajdujemy najpiękniejsze odbicie ze wspomnień piérwszéj młodości, które nas tyle i pociąga i rozrzewnia.

Mając lat ośmnaście w 1809 roku ukończywszy w Tarnowie szkoły, mimo wątłych sił ciała, udał się do Krakowa wraz z bratem Andrzejem; ztąd do księztwa Warszawskiego, gdzie się zaciągnął dnia 20 lipca do pułku artylleryi jako ochotnik, a wkrótce jako podoficer przeszedł do dwunastéj kompanii. Był w niéj dowódzcą i kapitanem Wincenty Reklewski, wiekiem i charakterem zbliżony do Brodzińskiego, i zarówno namiętnie kochający literaturę i poezyą.

„W urodnéj postaci Reklewskiego (mówi sam Brodziński) wszystkie zamieszkały cnoty: trudno było dać w nim piérwszeństwo jednéj nad drugą. Najbardziéj uderzała w oczy skromność jego, ta piérwsza ozdoba przymiotów i wdzięków. Dobroczynność, rada, wsparcie, i wstawienie się, były tajemne jego cnoty, którym i ja hołd wdzięczności na grobowcu przyjaciela składam. Czułe jego serce wzdychało zawsze do wsi, i większą część krótkiego tu pobytu swego, przepędził on na marzeniu o przyszłéj w zaciszu szczęśliwości. Przyjemna wesołość w posiedzeniu z przyjaciołmi, stosowna powaga w dopełnianiu powinności, łagodność z niższymi, szczerość z poufałymi, uleganie wyższym, oto rzadki oręż, którym sobie serca wszystkich, nawet powszechnych nieprzyjaciół ludzi, podbijał Reklewski."

Takimto wspomnieniem uczcił Brodziński pamięć swego przyjaciela i towarzysza broni: nie przykre więc było zwierzchnictwo i służba pod takim do-

(1) L. Siemieński.

wódzcą. Zbywające godziny od obowiązków, szczególniéj podczas leży w twierdzy Modlinie, poświęcał Brodziński ukształceniu własnemu: przy ułatwieniu jakie miał, przy zasobach nie potrzebował zwalczać przeszkód, które mu tyle chwil zatruły w dziecinnych latach, i swobodnie mógł pracować nad literaturą ojczystą i niemiecką, i począł spisywać dzienniczek wypadków życia swego w służbie wojskowéj.

W czasie wyprawy pamiętnéj 1812 roku w stopniu porucznika dzielił wytrwale wszystkie koleje téj wojny, przebył szczęśliwie pamiętny odwrót, i wrócił do kraju, boleśnie dotknięty wielu stratami. Owoż przywiedziem tu własny Brodzińskiego opis, jaki zostawił w swoim dzienniku.

7 Maja 1813 r. w Siennicy.

„Rozkazano, aby w godzinę gotowym być do wymarszu: smutno mi się zrobiło. Uchwyciłem chwilkę czasu, aby wybiegnąć na ustronie, i kilka łez uroniłem, których się nie wstydziłem przed niebem: od nieba szczęście i niedola; jemu się więc oddałem, prosiłem o opiekę, przywiodłem na myśl moje nieszczęścia, a że na nie nie szemrałem, byłem w nadziei jakiéjkolwiek za nie nagrody. Nieszczęść do dziś dnia w przeciągu roku dosyć doznałem i zniosłem. Oto w nim dla mnie smutne zdarzone straty. K....., młodzieniec pełen jak maj nadziei, którego ja sam wywiodłem na pole boju, zginął mi przy Mozajsku. Kto go tylko znał, kochał go tak jak ja, a wszyscy czynili mi o niego wyrzuty! O! smutne zakończenie przyjaźni! Cieniu drogi! gdybym wiedział że ci nagrodzę życie, i stratę twą przyjaciołom, gotówbym znieść większe jeszcze cierpienia, nad pamięć o stracie twojéj. Reklewski, dla którego zaciągnąłem się do jednéj brygady, pod którego rozkazami przyjaźnią i dobrodziejstwy żyłem, wielka nadzieja rycerstwa, naukom i muzom, znikł, i wszystko z nim znikło. Po chwalebnéj u Smoleńska czynności zachorował: woziliśmy go w tak przykrych marszach ze Smoleńska aż milę do Reżestwa (koło Kaługi); ztamtąd w ostatnich słabościach pożegnałem go jadącego do szpitala do Moskwy, gdzie ledwo dojechawszy, opuścił nas wszystkich. Strata jego, prócz wiecznego żalu, miała wpływ na dalszy mój los szczęśliwszy. Dowódzca mój, Pollux poprzedzającego, który losem moim starał się kierować, pożegnał nas na polu bitwy z urwaną nogą po biodro. Mój S., mój P. w niewoli; tylu zabitych i wziętych innych. Brat mój nakoniec Andrzéj, który mi zazdrościł że nie dzielił walk przy Smoleńsku, Mozajsku i t. d., bo został adjutantem placu w Szkłowie, gdyśmy się cofali, złączył się z pułkiem, szedł z nami dni trzy. Wśród bitwy pod Berezyną dano mi znać, że jest ranny: szukam go między trupami, znajduję już obnażonego i w same czoło karabinową ugodzonego kulą. Straciłem w nim co miałem najdroższego na ziemi! tylko już to mi pozostało, że mogę sobie powiedzieć, iż nic już nie mam do stracenia. Krewny mój R., którego także do wojska zaciągnąłem, pozostał mi chory przed Berezyną, i ja, który byłem przyczyną jego straty, musiałem sam tę smutną wieść rodzicom oznajmić. Boże! czyliż czekają mię jeszcze podobne chwile! Wierny ordynans, który mię we wszelkich nieszczęściach wojny pocieszał, z końmi i rzeczami pojmany i zabity. Sła-

bością, smutkiem i nędzą obciążony, szedłem sam jeden (kompania moja już zupełnie była rozbita) przez Kowno za Niemen, bo idąc nocą, minąłem przy Wilnie nasz już nieznaczny korpus, który potém udał się w lewo; dwie już mile uszedłszy, dopiéro dowiedziałem się o tém, kiedy do téj drogi wrócić nie można było. Za Niemnem dopiéro spotkałem podoficera znajomego, który mnie nakarmił, i pieniędzmi nieco zasilił, wziął na sanki, jakie z parą koni zdobył. Pocieszony nieco spieszyłem ku Warszawie. Ścigani od Kozaków ku Maryampolu, musieliśmy się udać przez Prusy, gdzie na piérwszym noclegu okradziono nas ze wszystkiego, z koni nawet i sanek. Pieszo zatém znowu i żywieni litością, szliśmy daléj. Poczciwy obywatel w Prusach zapomógł mię tyle, że przecie mogłem się dostać do Warszawy. Nieszczęsne wojny! Kiedyż mu będę w stanie za to odwdzięczyć? Wytchnąwszy i przyodziawszy się nieco w Warszawie, musieliśmy wkrótce z niéj ustąpić. Dobry M. przywiózł mię na swéj bryczce do Krakowa. Tam przysłał mi opiekun uwiadomienie, iż nic się z Galicyi majątku spodziewać nie mam. Nie strata szczupłego majątku, ale stan potrzeb moich prawdziwie mię zasmucił. Stryj mój przysłał mi cessyę na sumkę leżącą w depozycie krakowskim, ale dniem późniéj, gdy depozyt został wywieziony. Iść bez oporządzenia, opuścić kraj w takim stanie, cel wędrówki tak ciemny, tyle wszystkiego! niepodobna aby nie zasmuciło. Otoż takato od początku roku była moja przeszłość."

Bez przerwy dzielił dalsze losy *wielkiéj armii* Napoleona, aż do bitwy pod Lipskiem, w któréj ranny i pojmany był przez Prusaków. Wypuszczony na wolność, nie mając o czém i po co wracać do domu, wrócił do Krakowa, błąkał się u przyjaciół do końca 1813 r. (1). W następnym bawił u cio-

(1) Z tego okresu mamy przed sobą list Brodzińskiego z daty 16 grudnia 1813 roku pisany ze Swadzina, do swego przyjaciela i krewnego, a zacnéj pamięci Szotarskiego; przywodzimy go w całości:

„Niezmiernie jestem panu obowiązany za pamięć o mnie i z uczuciem dziękuje mu za to. Co tu robię?

Oto jest zabawa nasza!
Kiedy rano
Już filiżanki posprzątano,
Tłuczem sobie maryasza,
Skoro stary
Na nos wsadzi okulary.
Za parę godzinek potém
Stary się gospodarskim zatrudnia kłopotem,
A ja sobie wolę
Wybiegnąć w pole;
Tam filozofa udaję:
Wioski chwalę, miasta ganię,
Ludzkie sądzę obyczaje!
A potém
Z powrotem
Zawijam śniadanie;
Po śniadaniu dobrze i to
Wypić wódki incognito:
Na wyścigi ze staruszkiem
Popisujemy się duszkiem.
Aż jeden mówi pacierze,
Drugi Skarbka książkę bierze:
Siedziem każdy jakby niemy,
A jednak się bawimy.
Aże niestety
Przychodzą gazety,
Które na głos muszę czytać:
Wiele mógł Płatów niewolnika schwytać,
Co od Renu strony,
Co się dzieje od Werony?
Wiele się fortec poddało,
I co się w Paryżu działo?
I na staroświeckiéj karcie,
Biorąc bulletyn na wsparcie,
Wojsk linie wyciągamy,
I losy im wyznaczamy.

tki swojéj we wsi Sulikowie około Pilicy, w pobliżu Krakowa; przybył w końcu tegoż roku do Warszawy. Tu otrzymawszy uwolnienie ze służby wojskowéj w 23 roku życia, zaczął pracować naprzód w Kommissyi Spraw Wewnętrznych (1); następnie zamieszkawszy stale w Warszawie od roku 1818, dawał lekcye literatury polskiéj i stylu w konwikcie księży Pijarów na Żoliborzu. W roku 1821 Kommissya Wyznań Religijnych i Oświecenia mianowała go *Zastępcą* professora w *Liceum* Warszawskiém, a w następnym roku dnia 8 maja, wezwała go do wykładania literatury polskiéj w Królewsko-Warszawskim uniwersytecie. W roku 1823 był piérwszym sekretarzem, w roku 1825 mając lat życia 34, zawarł związek małżeński, z którego zostawił jedyną córkę Karolinę. W roku 1826 został professorem *stałym*, i zarazém Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk mianowało Brodzińskiego swoim członkiem. Podupadły na zdrowiu przez ciągłą pracę, w tymże roku odbył podróż do Włoch, przyczém zwiedził Szwajcaryą i Paryż. W roku 1829 mianowany professorem *radnym*, a w ostatku generalnym szkół wizytatorem.

Po zamknięciu Uniwersytetu Warszawskiego, w roku 1832 otrzymał pensyą emerytalną.

W roku 1834 dla poratowania zdrowia udał się do Krakowa. O tych odwiedzinach starożytnego grodu naszego poety, tak pisze Ambroży Grabowski:

„Z skwapliwością i rozrzewnieniem (jak sam mówił) odwiedzał i oglądał pomniki tutejsze, jak gdyby przeczuwając, że ich już więcéj widzieć nie będzie. Miłém było wszystkim jego tu przybycie, i każdy go u siebie miéć chciał. Znakomity artysta tutejszy, Wojciech Korneli Statler Krakowianin malował portret jego. W tém dobrze trafioném oddaniu oblicza jego, jaśnieje cała słodycz charakteru, anielska łagodność, a nadewszystko tęsknota i piętno cierpień duszy."

W rok smutne przeczucia Brodzińskiego się sprawdziły: lekarze polecili na ratunek wody czeskie, choroba piersiowa się wzmogła, i nakoniec go dobiła. Umarł w Dreznie dnia 10 października 1835.

Idzie obiadu godzina,
I kończy się gadanina.
Aż się panieńskie otwarły pokoje.
Wychodzi ciotka i dziewcząt dwoje:
Ta skromnością duszę mami,
Druga zabija oczkami,
Owa bawi, że niewinna,
Wesołością nęci inna.
O posagach i spuściznach,
O kobiétach i mężczyznach,
Gdzie niepewne, gdzie gotowe
Prowadzim ciekawą mowę.

Po obiedzie, przy gitarze,
Przy różnych piosneczek gwarze,
Aż lube wieczory
Nadbiegają w oka mgnieniu.
Stary pacierze
Odmawia szczerze,
My przy kominka płomieniu,
Powszechnym zwyczajem
Fraszki sobie bajem.
Stary do Boga na niebie,
Ja wzdycham J.... do ciebie.

Z moim interesem będzie (zapewne mowa o spodziewanym spadku), że coś dostanę przecie. Powrócę wkrótce do Poznania i do Krakowa pojadę.

(1) Zobacz przypis Nr. 2 w końcu.

Ostatnie chwile jego opisał szczegółowo obecny Antoni Edward Odyniec znany zaszczytnie poeta, w następnym liście do pani Lewockiéj.

Z DREZNA.

„Dopełniając przypadłego na mnie obowiązku, przebacz pani, iż ją jako blizką znajomą i przyjaciółkę rodziny Kazimiérza z Królówki, za piérwszą powierniczkę smutnéj wiadomości obieram. Podobało się Bogu wezwać do siebie po nagrodę w lepszym świecie, sprawiedliwego, cnotliwego człowieka. Zacny Kazimiérz skończył ziemskie cierpienia i smutki, dnia 10 października, w sobotę o godzinie 10 wieczorem (w rocznicę urodzin swéj córki), a skończył tak spokojną, tak łagodną-śmiercią, iż ja, świadek jego skonania, ze czcią patrząc na niego w téj uroczystéj godzinie, żałować go nawet nie śmiałem, i tylko sobie samemu podobnéj kiedyś śmierci życzyłem. Kto tak jak on żył i umierał, ten, nie godzi się wątpić, jest już tam od nas szczęśliwszy! Ale czuję aż nadto, że chyba sam Bóg pocieszyć zdoła zacną jego żonę i dziecię. Wiadomość o tém zawsze dla nich równie bolesna, mogłaby stać się jeszcze boleśniejszą, gdyby się jéj niespodzianie, lub z obojętnych ust dowiedzieć miały. Możesz ich pani jak najsumienniéj zaręczyć: że co tylko sztuka i troskliwość lekarzy i przyjaciół uczynić mogły, wszystko to było użyte, aby go przy życiu utrzymać, i stan jego cierpień osłodzić. Ale któż się woli boskiéj sprzeciwi? Choroba jego wolną była od wszelkich gwałtownych boleści: powolne tylko ubywanie sił życia, postęp jéj oznaczało.

„Spokojność i łagodność duszy i charakteru, nie odstąpiły go ani na chwilę: z pokorą i zaufaniem oddawał się woli bożéj. O żonie i córce wspominał często i zawsze z największą czułością, ale gdy mu niektórzy radzili, aby je przyzwał do Drezna, nigdy na to zgodzić się nie chciał. Owszem w wigilią śmierci odebrawszy list od żony, która go sama o to prosiła, polecił mi był odpisać w jego imieniu, prosząc jak najusilniéj, aby tego zamiaru nie przyprowadzała do skutku. Uspokój więc ją pani w tym względzie, ażeby się tą myślą nie dręczyła daremnie. Bytność jéj tutaj niby nie pomogła, a byłaby przeciw woli jego. Ostatnia moja z nim rozmowa była o paniach K..... (Teresie i Natalii Kickich), które jak mi powiadał, żona jego w listach swoich, *aniołami swemi* nazywała. Z czułością przypominał ich dla siebie życzliwość i przyjaźń, i chociaż tak blizkiéj śmierci nie przeczuwał, mówił jednak: „gdyby mi tu nawet skończyć przyszło, umierałbym z tém przekonaniem, że byłyby zawsze pociechą i opieką mojéj biédnéj żony i dziecka."

Te są prawie jego własne słowa, ile przypomnieć mogę; przesyłam je jako spuściznę po prawdziwym ich przyjacielu. W wigilią śmierci czuł się weselszym i swobodniejszym niż kiedy. Drzémiąc nawpół w nocy miał bardzo piękne widzenie, o którém sam z wielkiém wzruszeniem powiadał, i które mu wielką radość i spokojność przyniosło. Widział przed sobą Zbawiciela w białéj szacie, który uśmiechając się łagodnie, rękę ku niemu wyciągnął. Widzenie to, i list żony którym mu o troskliwości przyjaciół doniosła, były

osłodą ostatnich chwil jego. Z wdzięcznością dziękował Bogu i umarł z zaufaniem, że Bóg i przyjaciele, nie opuszczą osieroconéj rodziny, i pocieszać ją będą. Pokój duszy sprawiedliwego! Oby tylko pokój i pociechę Bóg wlać raczył, w duszę bolejących po nim. Pogrzeb odbył się dnia 12 października. Wszyscy znajomi oddali mu ostatnią posługę."

Po odbytym pogrzebie, stanął śród cmentarza katolickiego na przedmieściu Drezdeńskiém Friedrichstadt, nad mogiłą zmarłego poety skromny pomnik, w kształcie czworograunéj kolumny, wokoło u spodu obłożonéj granitowemi kamieniami, z tym prostym napisem:

KAZIMIÉRZOWI BRODZIŃSKIEMU

ZIOMKOWIE.

Urodzony 1791 † 1835 roku 10 października.

II.

Brodzińskiego poznałem jeszcze wtedy, kiedy wykładał literaturę na Żoliborzu; bliżéj zaś, gdy w 1828 roku Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk, zadało na konkurs zadanie, aby opisać i zebrać zwyczaje, obyczaje, pieśni, podania, przesądy i zabobony ludu naszego.

Rozprawę odpowiadającą na to zadanie przesłałem Towarzystwu, a do ocenienia takowéj, przeznaczonym został Brodziński i Rakowiecki.

Z rzewną dobrocią i po przyjacielsku przyjął mnie u siebie, młodzieńca wówczas nieznanego i nieśmiałego. Z uczuciem dziękował za złożoną pracę, za zbiór pieśni ludu, i sam mi swoje zbiory pieśni i przysłów ludowych ofiarował. W jego szlachetném obliczu, na piérwszy rzut oka, malowała się piękna dusza. Wzrostu średniego, szczupły, miał nieco podniesione ramiona, światły blondyn, oczy jasno-niebieskie. Oblicze z którego dawno znikł wyraz zdrowia, ujmowało dorazu szczególną rzewnością i łagodnością. Zawsze cichy i spokojny, używając przechadzki szedł wolnym krokiem z głową pochyloną nieco: zapałem uniesiony (a byłyto rzadkie chwile w jego życiu, nie dlatego żeby nie był nim przejęty, ale by takowy okazał zewnętrznie), wznosił prawą rękę, i potrząsał nią silnie. Kiedy został professorem byłego Uniwersytetu Warszawskiego, zaczął wykładać prelekcye o literaturze polskiéj.

Dwóch w te czasy professorów zajmowało katedry na ten przedmiot. Głośnéj sławy wymowny Ludwik Osiński, wyborny tłumacz Cyda i innych dramatów francuzkich, i Kazimiérz Brodziński. Ten, słabych piersi, cichym głosem odczytując ciąg rozpraw i studyów, które wolno torowały drogę do odrodzenia literackiego, zwabiał małe grono uczniów i prawdziwych znawców gruntownéj nauki: Osiński obdarzony głosem dźwięcznym, pełnym, harmonijnym, i cudną deklamacyą, zbierał natłoczoną salę ciekawych słuchaczy, co się upajali jego wykładem. Przyznać mu potrzeba, że umiał zająć zręcznie przytoczonemi wyjątkami, dowcipem, przy całym braku sądu o przedmiocie rozbieranym, przy całéj nicości poglądu i stanowiska. Krytyka u niego brana wprost z francuzkich lichych pisarzy, nic nie nauczała, ale każdą swoję prelekcyę umiał dobrze obrachować na *efekt* teatralny. Lubo władał dobrze językiem rodzinnym, i umiał dobyć z niego harmonią wdzięczną dla

ucha, mało znał literaturę ojczystą, i cudze tylko zdania rad powtarzać lubił, bo żadnego z pisarzy dawnych, gruntownie nie ocenił.

Cieszył się wymowny Osiński z tłumu co spieszył na jego wykład, z tych rzędów, pojazdów i karet co napełniały dziedziniec uniwersytetu, ale tryumf był krótki, bo go sam przeżył. Prelekcye te czytane, cały urok traciły, bo uderzały każdego swoją czczością i brakiem prawdziwéj krytyki. Brodziński nie zwabiał takiéj czeredy wokoło siebie, ale każda jego rozprawa, dotychczas nic nie straciła na swéj znakomitéj wartości.

Część ich ogłaszał w różnych pismach peryodycznych, a roku 1830 przedsięwziął wydać je w jednym zbiorze. Ogłosił przeto prenumeratę na *pisma* swoje, i tom piérwszy wydrukował. Okoliczności czasowe przerwały ten zamiar.

Ulubionym jego poetą był Jan Kochanowski: wielbił prostotę śpiewaka z Czarnego-lasu, i ztąd nawet zachęcił Klementynę z Tańskich Hofmanowę, do napisania powieści historycznéj *Jan Kochanowski* w Czarnolesie, którą już po śmierci Brodzińskiego wydała.

Umiał tę prostotę Brodziński przelać w swoję poezyę, i jak Jan Kochanowski w *Sobutce*, zbliżyć do ducha szczerych pieśni ludu.

„Byłem jeszcze małym chłopcem (mówi Lucyan Siemieński), kiedym raz podczas wakacyi, staremu wojakowi wyrecytował kilka piosnek, których mię matka nauczyła. Starzec słuchając uśmiechał się i mówił, że zna te śpiewki; sam nie śpiewywał ich nigdy, ale je, zda mu się, w innym pułku ułanów słyszéć musiał. Jam się śmiał ze starego, bom wiedział od matki, że piosnki te Brodziński napisał, kiedy porzuciwszy służbę wojskową, na wsi w krakowskiém bawił. Wtenczas nie przeczuwałem, że w tych słowach wieśniaka większa pochwała dla Brodzińskiego leży, jak ją którybądź krytyk wyrzec może."

Kilka lat go nie widziałem, z braterskim uściskiem mię pozdrowił. Niewiele się zmienił, ale zesmutniał znacznie; i dziwny wyraz tęsknoty osiadł na bladém obliczu. Uśmiechu dawniéj tak wdzięcznego już nie ujrzałem. Skromny jak zawsze, gdy czytywał mi owe cudne rozprawy, które dotąd w rękopismie w ukryciu gdzieś spoczywają, gdy z całą uwagą i pełném uczuciem nasłuchiwałem, przerywał ciąg nieraz i pytał, czy to mnie nie nudzi? Brałem to z początku za żart z jego strony, ale gdym bliżéj Brodzińskiego poznał, przekonałem się, że z całą prawdą i szczerotą robił mi te zapytania.

Każde nowe dzieło ważniejsze wydane, każdy nowy talent zjawiający się na horyzoncie krajowym, słowem, każda praca mająca jakąkolwiek wartość, cieszyły to serce żacne i poczciwe, i sprawdzał na sobie to, co sam w jednéj najcudniejszéj rozprawie poetycznéj wyrzekł:

„Ty, który plenny snop do brogu wniesiesz, nie wykrzykuj jako żniwiarka w wieńcu *dożynkowym*, że chléb do domu przynosisz: bo ten mocował się z pługiem, ten siał, ten plewił, a tobie dał Bóg żeś zeżął."

„Gdybym dożył kiedy téj chwili (mówił mi ze łzą w oku), byśmy kiedyś przy wspólnym ognisku zebrani wieńcem zasiedli, a każdy rzucił snop uzbieranego plonu wiadomości, cóżbyto była za rozkosz dla serca mojego. Odżyłbym choć na krótko, i śmierć byłaby lekką i znośną."

Kiedym mu pokazał zbiór pieśni historycznych, a z tych znał tylko jednę o *Stefanie Chmieleckim*, i zarysy zapomnianych figur jak *Klechy*, *Rybałta* i t. p., cieszył się jakby skarbem własnym, radość okrasiła smutne a zawsze szlachetne oblicze. Przyniósł mi przekład elegii Jana Kochanowskiego i na okładzinach napisał wiérsz, którego kładę początek.

Ani do naszych dumań, ani też do stroju,
Nie przystały już dzisiaj te pieśni pokoju;
Wszystko rado się zmienia z mieniącemi czasy,
Język, forma, i sztuki powierzchne przykrasy i t. d.

Nie zapomnę nigdy silnego wrażenia, i tego oczarowania z jakiém słuchałem jednéj z najpiękniejszych rozpraw o *Matce Boskiéj*, i czci jaką odbierała na całym obszarze starodawnéj Polski. Byłto cudny prozą poemat: historyczne fakta i podania posługiwały tu za wątek: całość nacechowana rzewném uczuciem, wzniosłém stanowiskiem, i tym duchem staroświeckiéj pobożności i prawdy, które trudno powtórzyć. Czuł Brodziński całą wartość swéj pracy, snać, że pisał ją z serca: bo w kilku ustępach rzewny głos jego i cichy zadrżał, na chwilę umilkał, i po ciężkiém westchnieniu dopiéro daléj czytał.

Byłato ostatnia rozprawa którą mi przeczytał przed swoim wyjazdem w 1835 r. Już go więcéj nie ujrzałem.

Zachodzi teraz pytanie: jakieżto zasługi wielkie położył Brodziński, że mu tak obszerne poświęcamy wspomnienie? Odpowiemy na to zgodnie z sumieniem a prawdą: że na jakiém stanowisku podniosłém stoi literatura nasza, jemu to głównie winniśmy. Kiedy wszyscy co umieli władać piórem, w ślepém naśladownictwie francuzczyzny, ciągnęli ochoczo od czasów Konarskiego tę cudzoziemską *bronę*, co najpiękniejsze kwiaty pól naszych wyrywała lub tratowała, i chlubili się uprawą niwy umysłowéj, Brodziński piérwszy wskazał zaślepienie, a zarazem właściwą bo rodową drogę, do dobycia bujnego, a pożywnego i właściwego nam plonu.

Jeżeli gienialnością poetyczną przewyższa go śpiewak *Grażyny*, to nie przewyższa go, ani potęgą prawdziwą uczucia, ani zasługami jakie dla literatury położył Brodziński. Onto przysposobił umysły, przygotował i uprawił rolę, by gieniusz piérwszego poznany i uznany został w jednéj chwili: by zasiéw na dobrze sprawionéj glebie, bujno się powrócił. Brodziński jest twórcą prawdziwie polskiéj sielanki, nietylko ów cudny poemat *Wiesław*, ale wiele pieśni oddycha tą prostotą, wdziękiem, co w każdym rzewne uczucie obudzać muszą. Zarzucano mu zbytnią sielankowość, że scen energicznych unikał. Marny zarzut, sielankowość a tak rodowa, jaką nam dał Brodziński, jest właśnie wielką zasługą naszego poety. Dziecię wiejskie jak on, wychowane wpośród ludu, sercem czystém i niepokalaném wyniósł on z wiosny dni swoich, ową prostotę, te czucia rzewne i dziewicze, które umiał przechować nieskażenie, i przelać w swoje pisma. Gdzież jest przesada, gdzie nienaturalność, któreby musiały się dostrzedz przy zbytniéj sielankowości, jeżeli zarzut byłby sprawiedliwym? Zaprawdę, możem miéć i mamy poetów gienial-

nych, talenta wyższego polotu, ale po Brodzińskim nie mamy z równém uczuciem i prostotą rodowego poety.

Jako krytyk i estetyk równie podniosłe stanowisko zajmuje. Rozprawami swemi, rozjaśniając z jednéj strony przeszłość literatury polskiéj, z drugiéj nadawał jéj kierunek i przyszłość dla niéj zbudował. Owoce prac Brodzińskiego już zbieramy. Dlatego téż z jakiegokolwiek względu uważać Brodzińskiego będziemy, zawsze będzie on wyobrazicielem nowéj epoki literatury krajowéj.

Styl Brodzińskiego jest nader charakterystyczny. „Łączy się w nim (mówi jeden ze znakomitych poetów naszych) dziwny i prawie niepojęty sposób, męzka siła i wdzięk miękki, jak na posągu Apollina, gdzie przez pełne, lekko okrągławe zarysy moc i jedność wytryska. Owa siła leży w mocnych myślach: takiéj siły nie przytłumi największe wrażenie, jak suknia kobieca nie ujęła Achillesowi mocy: owa siła leży w wyrażeniach dobitnych i jasnych, w niewypracowanéj związłości; owa miękkość stylu polega na nader wytwornym doborze wyrażeń i wyrazów, niewymuszonym a jednak kształtnie i z gracyą prowadzonym toku, i wreszcie na pewném *czémś*, co pomiędzy naszemi pisarzami tylko Brodzińskiemu było właściwe. Niektóre rozprawy np. o *łagodzeniu języka* (w zdaniu sprawy o pisowni) tak są ładnie pisane, że kiedy je się głośno dobrze czytane słyszy, jakby na operze, zapomina się treści dla czarującéj muzyki, i tylko łowi się uchem brzmiące postacie myśli, zapominając o ich duszy. Słowa tak się harmonijnie wiążą, okresy tak potoczysto płyną, że się chwilami dla téj muzyki mowy, tylko czucie mieć może. Tę, pomiędzy polskiemi prozaistami tylko w Brodzińskim, jak pomiędzy poetami tylko w Mickiewiczu (np. pieśń: Wilia, naszych strumieni rodzica!) mogłem odkryć piękność."

Brodziński jak wszyscy współcześni mu literaci nasi, zaczął swój zawód od przekładów z francuzkiego; w 1819 r. wydał: *Templaryusze*, tragedyę Rajnouar'da wiérszem, z obszernym historycznym wstępem o tym zakonie.

W roku 1821 pisma we dwóch tomach: (Tom I oprócz różnych poezyj zawiéra *Wiesława* sielankę krakowską, różne przekłady ze sławiańskich narzeczy: tom II pieśni *rolników polskich*: pieśni Madagaskaru podług p. Parny, przekłady oryginalne, wraz z tragedyą Ducisa Abufar). Wydanie to jest lepsze od późniejszego.

W roku 1830.

Elegie Jana Kochanowskiego.

W tymże roku:

Pisma rozmaite: tom I (Zawiérają o krytyce, o życiu i pismach Karpińskiego, o satyrze, o Fabianie Birkowskim, o elegii, o exaltacyi i entuzyazmie).

Dzieje starego i nowego testamentu dwa tomy (przekład według wydania T. Deroma).

Przez lat trzy był głównym redaktorem *Magazynu powszechnego*, którym, wśród powszechnego otrętwienia, obudzał życie umysłowe. Poprzednio, za-

raz po wstąpieniu w zawód literacki zasilał swemi pracami wszystkie ówczesne pisma peryodyczne: a gdy w roku 1818 Józef Elsner wydał rozprawę o *metryczności* i *rytmiczności języka polskiego*, *szczególniéj o wiérszach polskich we względzie muzycznym* (Warszawa, w drukarni Stanisława Dąbrowskiego 4to część piérwsza, druga dotąd w rękopisie spoczywa); Brodziński przykładami własnych poezyj rzecz nową objaśniał, i tu jest najpiérwszy zbiorek jego pieśni melodyjnych.

Tłumaczył sławny romans Goetego: *Cierpienia młodego Wertera: rękopis z wyspy Śtéj Heleny:* i kilka sztuk dramatycznych do teatru Warszawskiego.

W roku 1842 Teofil Glücksberg księgarz Wileński ogłosił w 10 tomach dzieła Brodzińskiego, są tu synonimy i wiele pism nieznanych prozą: ale nie są wszystkie, i nie można zwać tego wydania *zupełném*.

Niémasz tu bardzo wiele najpiękniejszych rozpraw, jak i poezyj, a edycya tak niedbała, że życzyć należy, aby dla uczczenia pamięci naszego wieszcza, i dla użytku literatury nowe przedsięwzięto wydanie.

K. W. Wójcicki.

PRZYPISY.

1. Andrzéj Brodziński, rodzony brat Kazimiérza, urodzony roku 1786, był pięć lat starszy. Wpływ jego silny na naszego wieszcza widzieliśmy oznaczony we własnych Kazimiérza wspomnieniach. Poległ w bitwie pod Berezyną 1812 roku.

Z prac Andrzeja literackich, pozostały w rękopisie przekłady: *O naśladowaniu Chrystusa Pana*, Tomasza à Kempis wierszem, i oryginalna tragedya p. n. Ludgarda. Znaném jest powszechnie jego tłumaczenie z Szyllera Dramatu: „*Dziewica Orleańska.*" Dramat ten pomimo usilnych starań Kazimiérza, długo nie był przedstawionym na teatrze Warszawskim jako przeciwny gustowi i prawidłom, jak mówiono, wówczas *klassycznym* czyli *francuzkim*. W końcu wreszcie, dyrektor teatru Ludwik Osiński poczynił w nim odmiany swoje, i dał na wystawę w roku 1820. Trudno opisać zapał z jakim publiczność Warszawska tłumnie zbiegała się na przedstawienia tej tragedyi. Znakomici ówcześni artyści: Werowski, Kudlicz, Szymanowski, Piasecki, Leduchowska, a później zastępująca ją panna Żuczkowska (dzisiejsza pani Halpert) zdawało się, że nowemi talentami zajaśnieli.

W rok później, Kazimiérz pragnąc utrwalić pamięć ukochanego brata, tłumaczenie to bez żadnych odmian wydrukował p. n.

„Dziewica Orleańska, tragedya romantyczna z Szyllera, polskim wierszem przełożona, przez Andrzeja Brodzińskiego, wystawiona piérwszy raz na teatrze narodowym w miesiącu grudniu 1820 roku z dodaniem różnych poezyj tłumacza. Warszawa, nakładem i drukiem Zawadzkiego i Węckiego 1821, 8ka.

Wydanie to wkrótce wyczerpaném zostało. Kazimiérz w przemowie swojéj, tak zakończył czułe wspomnienie o ukochanym bracie.

„Skromne i czyste było twe życie, równie jak prosta muza twoja. Pamięć o tobie pozostanie tylko w sercach tych, którzy cię znali; ja, prócz miłości braterskiéj dochowuję ci wdzięczność za przewodnictwo i wzory twe dla mnie w zawodzie życia i naukę: pamiętny na nie, niemi się pocieszać, niemi naśladować cię pragnę, aż do połączenia się z tobą."

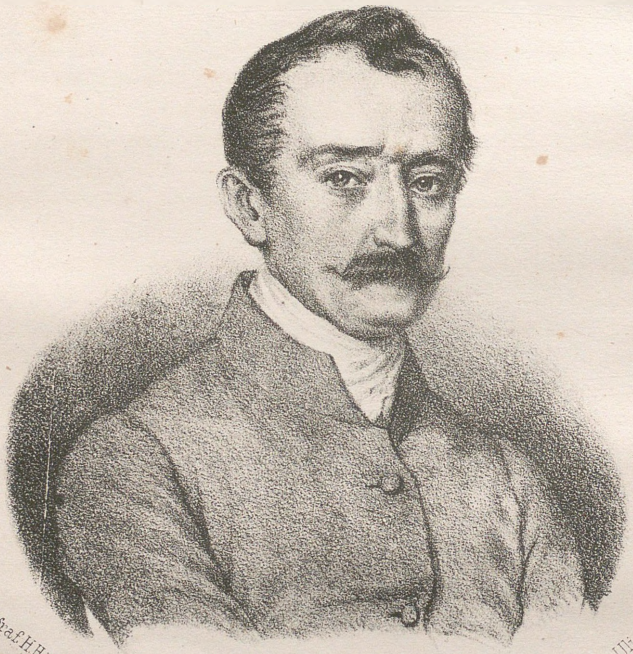
Co do talentu, żadnego z Kazimiérzem nie wytrzyma porównania, lubo przyznać należy, że on to w naszym wieszczu obudził uczucie poezyi. Przekład Szyllera Dziewicy Orleańskiéj, w swoim czasie miał wielkie dla nas literackie znaczenie; a lubo wiérsz gładki, wierność w wielu miejscach ścisła, łatwość wysłowienia, to są zalety okazujące zdolność tłumacza; wyznać jednak należy, że całość i duch tego dramatu, nie zasługują na chlubne wspomnienie. Cały zapał religijny, liryczność, znikły w tym przekładzie. Dziś przy tłumaczeniu A. E. Odyńca tak cudném, Brodzińskiego, do wspomnień tylko bibliograficznych może mieć prawo.

2. Kiedy K. Brodziński w roku 1818 w *Pamiętniku Warszawskim* ogłosił swoję rozprawę o *klassyczności* i *romantyczności*, służył wtedy w Kommissyi Spraw Wewnętrznych z płacą miesięczną złp. 90. Ubogi, cichy, wchodzi raz wezwany do świetnych salonów zwierzchnika swego, który wówczas i piérwszy w kraju piastował urząd, i trzymał berło literatury w Warszawie, a wydawane przezeń dzieła, nieprzerwaną koleją, przez wszystkich Warszawskich literatów pod nieba wynoszone były. Na stoliku, leżał świeżo

wyszły exemplarz *Pamiętnika*. Zwierzchnik skończywszy mówić o rzeczy, dla której wezwał Brodzińskiego, obrócił się ku stolikowi.

— Cóż tam Wacpanowie piszecie?— zapytał, i przewracając niedbale karty Pamiętnika, ukazał niby nieznacznie, że w miejscu, gdzie była jego rozprawa, kart nie przecięto. Prawdziwie chrześciańskiéj łagodności Brodziński, twarzą nawet nie ukazał najmniejszego wzruszenia. Milcząc, skromnie się ukłonił i odszedł. Dziś o tyle niegdyś sławionych dziełach jego zwierzchnika zupełnie prawie zapomniano, a przynajmniéj nikt ich nie czyta: rozprawa zaś Brodzińskiego, jak gwiazda stała, świeci na widnokręgu literatury krajowéj: bo nową w niéj epokę stanowi.

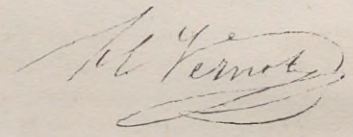
(Dominik Chodźko. Wzmianka o życiu i pismach Kazimiérza Brodzińskiego. Dzieła K. Brodzińskiego. Wilno 1844 roku. Tom X).



Lit. Graf. H. Hirszel

w Warsz. Ulr. Mil.

HORACY VERNET.



HORACY VERNET.

Łatwość Tintoreta w tworzeniu wielkich przedmiotów, i w objawieniu, bez przymusu, pomysłów swoich, nie dozwalała mu wykończać wszystkich części obrazu z tą dokładnością, z jakąby wymagano; bo przekładał pochwycenie polotu wyobraźni nad wykończenie dzieła. Kiedy malarze flamandcy przybywszy z Rzymu, pokazywali mu obrazy wykończone z największą dokładnością, zapytał ich, wieleby czasu i starań potrzebowali na ich wypracowanie? Otrzymawszy odpowiedź, że kilka tygodni, chwycił czarną kredę, w trzech rzutach wyrysował na płótnie figurę, rzucił kilka cieniów, a obróciwszy się potém do cudzoziemców: „Otóż, zawołał, my biedni malarze weneccy, takto jesteśmy przyzwyczajeni wykończać nasze obrazy.

Rozmowy o życiu malarzy przez Felbiana T. III, str. 226.

W piérwszych latach podczas *restauracyi*, w domu na dole przy ulicy Męczenników w Paryżu, była obszerna pracownia malarska, cały dzień natłoczona, najhałaśliwsza i najciekawsza ze wszystkich pracowni Francyi i Nawarry. Przedmioty, sala i obecni w téjże, przedstawiały tę samę powierzchowność i też same rysy. Nie byłato pracownia klassyczna, ze wszystkiemi jéj gratami olimpijskiemi, greckiemi, lub rzymskiemi; ani téż romantyczna ze swém średniowiecznem dziedzictwem, lecz byłato pracownia wojaka, w całém znaczeniu tego wyrazu. Całe ściany były ozdobione pamiątkami rzeczypospolitéj i cesarstwa; tam widzieć można było żołnierzy francuzkich w różnych mundurach i pozycyach, na załodze, w obozie, na rewii, na biwaku, w czasie szturmu, przed, w czasie i po bitwie; piechota, konnica, artyllerya, defilowała, nacierała, grzmiała z armat pod surowém okiem Bonapartego, w szarfie trójkolorowéj i z długiemi włosami, piérwszego konsula, lub cesarza Napoleona, pieszo lub na koniu, w szarym surducie, lub zielonym mundurze gwardyi strzelców. Tu i owdzie jaśniały trofea armii zwycięzkiéj, *manekiny* czyli modele, w unifor-

mach wszelkiego rodzaju, konie z tektury, a częstokroć i żywe konie, które mniéj więcéj ulegle przyjmowały postawę do malowania, pod tymczasowym Muratem lub zaimprowizowanym Napoleonem.

Wśród tak pięknego nieładu, przed stalugami zbiwszy się w gromadę generałowie, pułkownicy, kapitanowie na połowie żołdu będący, probowali jako amatorowie artyści, odmalować bitwy w których byli uczestnikami, a nie mogąc już więcéj na polu walki zabijać nieprzyjaciół, poprzestawali na rąbaniu ich na płótnie; młodzi oficerowie znudzeni nieczynnością garnizonowego życia, przychodzili tu szukać rozrywki, ucząc się rodzaju malarstwa najbardziéj odpowiedniego ich skłonnościom; wielka zaś liczba cywilnych, a jednakże duchem wojowniczym przejętych, jużto probowała naśladować mistrza, jużto okrążywszy stalugi, mierzyli oczyma wszystkie obrazy, krytykując postawę, ruchy, wyraz lub obrót.

Tak zaludniona pracownia przedstawiała często potrójny widok: sali naukowéj, koszar, lub sali do fechtunku. Podczas, gdy jedni w milczeniu i z uwagą zagłębiali się nad wykończeniem grenadyera staréj gwardyi, biwaku lub walki, drudzy śpiewali na całe gardło jaką piosnkę Beranżera, ci bębnili do attaku siedząc na bębnie, owi ćwiczyli się w robieniu bronią, lub dęli w trąby i rogi. Owdzie znowu, dwóch młodych trzpiotów zakasawszy rękawy u koszul, z sygarem w ustach, z paletą w lewéj a rapirem w prawéj ręce, doświadczali swéj zręczności, ku wielkiemu zadowoleniu otaczających ciekawych świadków i sędziów. wymierzanych ciosów.

W tymto chaosie przechadzał się człowiek trzydziestoletni, dość nizkiego wzrostu lecz żwawy, dobrze zbudowany, silny, z okiem żywém, ruchami szybkiemi, rysów twarzy szczerych, męzkich i stałością nacechowanych. Wtedy nie nosił on jeszcze tych ogromnych wąsów, które dziś jego górną wargę zdobią, ale już posiadał w najwyższym stopniu, w całéj swéj osobie i poruszeniach, tę powierzchowność oficera francuzkiego, która ujmuje, i dotyla jest u niego wydatną, iż możnaby przysiądz, że całe życie spędził na wojnie.

Ten człowiek z obejściem i ruchami wojennemi, który dozorując prac uczniów, i poprawiając kontur u jednego, koloryt u drugiego, władał rapirem lepiéj niż ktokolwiek, i z równą łatwością od bębna do trąbki przechodził, byłto pan mieszkania, Horacy Vernet, którego imię powtarzały wszystkie usta, którego obrazy odrzucone w ówczesnych salonach jako niesforne, ściągały cały Paryż do pracowni, aby oddać hołd należny temu, który wkrótce stać się miał malarzem najsławniejszym, najpopularniejszym i najobfitszym.

Talent malarski dziedzicznym jest w rodzinie Vernetów: i tak pradziad Horacego, Antoni Vernet, był głośnym i znanym malarzem w Avingnon; syn jego Klaudyusz Józef urodzony tamże 14 sierpnia 1714 roku, pozostawał przy ojcu do lat 19 kształcąc się pod jego okiem, poczém udał się do Rzymu. Okoliczność czysto przypadkowa, iż podróż tę morzem odbywał, sprawiła rozwinięcie jego talentu, gdyż w swoim czasie zyskał sławę i imię piérwszego

malarza widoków morskich. Po dwudziestu dwu latach pobytu we Włoszech, na żądanie Ludwika XV powróciwszy do Francyi, otrzymał miejsce malarza królewskiego, i polecenie wygotowania widoków, celniejszych portów francuzkich. W czasie przeprawy z Liwurno do Marsylii, Klaudyusz Józef odznaczył się rzadkim heroizmem artystycznym. Wsiadłszy bowiem na *felukę*, miotany straszną burzą, w chwili gdy statek już miał zatonąć, gdy cała osada oddana rozpaczy oczekiwała tylko śmierci, natchniony malarz kazał się przywiązać do wielkiego masztu, i tam zachwycony wspaniałém widowiskiem wzburzonego morza, z teką szkiców w jednéj, a ołówkiem w drugiéj ręce, nie przerywał swéj pracy, jak wykrzykiem od czasu do czasu, *jakże to piękne!* (Wnuk jego Horacy zrobił z téj sceny obraz, dany na wystawę w roku 1822, a który dziś znajduje się w galeryi Luxemburskiéj).

Łatwość z jaką ten malarz wykonywał swe obrazy, jest godną wszelkiego podziwu, bo od czasu jego przybycia do Francyi aż do śmierci, tojest od roku 1752 do 1789, wykończył więcéj niż dwieście tak małych jak i większych obrazów, a z tych muzeum w Luwrze posiada czterdzieści ośm. Wszystkie one, nawet późniejsze pokazują jawnie młodzieńczą czerstwość mistrza, która najlżejszym nawet jego szkicom, pewną wartość nadaje, a ztąd są one bardzo poszukiwane.

Syn Klaudyusza Józefa, imieniem Antoni, Karol, Horacy, znany tylko pod jedném Karola, urodził się w Bordeaux 1758 dnia 14 sierpnia. Ucząc się u swego ojca, już w roku 17 życia, piérwszą, a w 23 drugą nagrodę paryzkiéj akademii otrzymał. Poczém jako pensyonarz królewski udał się do Rzymu, a w roku 1787 po wykonaniu wielkiego obrazu przedstawiającego: *tryumf Pawła Emiliusza*, powołany został do zasiadania w akademii królewskiéj malarstwa, obok ojca. Wypadki z czasów cesarstwa, posłużyły mu za obfity materyał do wykonania wspaniałych obrazów, jakiemi są *bitwy: pod Rivoli, Marengo, Austerlitz, Wagram, Wejście do Medyolanu, Odjazd marszałków* i t. d. Dowcip i zręczność w przedstawianiu, osobliwie zaś pełne życia konie, każą zapominać usterków jakie tu i owdzie w jego obrazach dopatrzéć można. Jego polowania i studya z natury, są bardzo poszukiwane, gdyż odznaczają się żywością i śmiałością, w czém tylko syn Horacy rywalizować z nim może. Umarł on w Paryżu 27 listopada 1836 roku, mając lat siedmdziesiąt ośm, i widząc sławę swego imienia zwiększoną i rozszerzoną przez syna.

Najsławniejszy, i ostatni z téj rodziny artystów jest Horacy Vernet, urodzony w Paryżu 30 czerwca 1789 w galeryi Luwru, gdzie mieszkali jego ojciec i dziad. Chęć do malarstwa objawiała się od lat najmłodszych, bo zaledwie pisać umiejąc, wyszukiwał zawsze pilnie kawałków czystego papieru, aby na nich gryzmolić żołnierzy.

Posyłany przez jakiś czas od swego ojca, do pracowni Vincent'a, aby tam nauczył się rysować z natury i starożytnych wzorów, niedługo mógł wytrwać, bo zbadanie antyków mało go zajmowało. Mając lat dwadzieścia i uległy woli ojca, który go o to prosił, próbował przedmiotu klassyczne-

go, wyznaczonego na konkurs do wielkiéj nagrody w Rzymie. Nie powiodły się jego usiłowania, i w chwili gdy chybił swoim mitologicznym obrazem, wykonał dla fantazyi jeden z najlepszych obrazów rodzajowych przedstawiający *wzięcie reduty.*

Szkoła grecka Davida doświadczyła także przekształcenia; pod wpływem wielkich wojennych wypadków tego czasu, usiłowała przybrać charakter współczesny z pomocą szat i przedmiotu, lecz tło zostało zawsze klassyczne. Byłato zawsze ta sama pogarda naśladowania wprost z natury, a taż sama wyłączna miłość modelowania na płótnie.

Jeden z pisarzy (1) maluje dość żywo tę stałość dla podań greckich w obrazach wojennych z czasów cesarstwa. „Świetne i nagłe poruszenia, mówi on, wojsk francuzkich, które jak niegdyś Rzymianie, przebiegły świat cały, zapał i natchnienie żołnierzy, gieniusz dowódzców, bez wątpienia natchnęły te arcydzieła zupełnie nowe, ludziom mniéj zajętym starożytną sztuką i formami greckiemi. W skutek tego, zamiast przywodzić na pamięć to co widzieli, i malować bohaterów XIX wieku, walczących, umierających i odnoszących tryumfy w ich oczach, wszyscy wielcy artyści owego czasu, (z małym tylko wyjątkiem) uważali za niegodne siebie, tę naturę obecną i rzeczywistą, pozostawiając staranie o niéj tym, których pogardliwie nazwali *malarzami rodzajowemi.* Sami, trzymali się swych płaskorzeźb, poprzestając na przyodziewaniu starożytnych posągów stokrotnie już malowanych, w ówczesne szaty. Herkules u nich, okrywał w pancerz swe szerokie barki i szeroką wywijał szablicą. Bachus przywdziewał mundur huzarski, Apollo grenadyerski, Dyana i Venus zostały wiwandierkami, a Kupido doboszem."

Horacy Vernet był człowiekiem którego potrzeba było, aby otworzyć drogę postępu ostatecznego przeciwko szkole płaskorzeźbiarskiéj. Z wielkim zapałem, wyobraźnią i dowcipem, mając prócz tego wytkniętą sobie od ojca drogę, wziął się do malowania żołnierzy, tak jak ich wszędzie widział, przedstawiając bez napuszenia i przesady, wojenne sceny i bitwy.

Głównie odznacza się trafném uchwyceniem punktu, na który zwycięzka armia skierowaną ma uwagę, a oddaniem poruszeń linij bojowych przepowiada wypadek bitwy. Równie jak i dziad jego, odznacza się nadto łatwością wykonania, i czyto przedstawia sceny z domowego pożycia, czyli wiejskie uroczystości, czy zdarzenia na polowaniu, czy téż kryjówkę zbójców, wszystkoto z taką prawdą i właściwym sobie charakterem oddaje, że mu każdy wyższość przyznać musi. Ztąd ogół ogłosił go piérwszym malarzem, gdy jego tak często litografowane: *żołniérz rolnik, żołniérz zpod Waterloo,* rozlały zachwycenie po całéj Francyi. O *psie pułkowym,* i *koniu trębacza* mówiono powszechnie, że to są małe poemata, które doskonałością swoją, wznoszą się wyżéj nad wielkie epopeje. Zamieszki ówczesne nie wstrzymały prac Verneta, wydawał on ciągle poemat za poematem, a tak

(1) Fryderyk Mercey.

zaimprowizowane pojawiły się stopniowo, *bitwa pod Toloso*, *rogatka Kliszy*, *ostatni ładunek*, *śmierć Poniatowskiego*, *obrona Saragossy*, *wyrznięcie mameluków w Kairze* i t. d., słowem tysiące innych obrazów, opuszczając już portrety, widoki morskie, krajobrazy, polowania i t. p. W roku 1822 obrazy Verneta wystarczały do zapełnienia jego ogromnéj pracowni, a gdy przystęp do Luwru był im jeszcze wzbroniony, publiczność sama oglądać je chodziła. Jedynym w swoim rodzaju jest obraz przedstawiający *Mazepę* na koniu, wykonany wedle poematu Byrona. W muzeum Karola X wymalował na suficie papieża Juliusza II, gdy ten w towarzystwie Bramantesa, Michała-Anioła, i Rafaela roboty około Watykanu i kościoła Śgo Piotra rozporządza. W roku 1830 ukończył wielki obraz przedstawiający papieża w chwili, gdy wyciągnąwszy nad ludem ręce, błogosławi mówiąc: *urbi et orbi*. Kilkokrotne podróże do Afryki i na Wschód, usposobiły go do przedstawienia scen biblijnych, jakkolwiek według teraźniejszego oryentalnego kroju, jak np. *Rebeka* i *Eleazar*, podobnież obrazy rodzajowe: *modlitwa Araba*, *polowanie na dzika w pustyni Sahara*, *wieczór w namiocie* i t. d. Między jego nowszemi dziełami zasługują osobliwie na wspomnienie: *Judyta* i *Holofernes*, *Rafael* i *Michał-Anioł w Watykanie*; mianowicie zaś znajdujące się w muzeum Wersalskiém w sali zwanéj konstantyńską, kolosalne obrazy z życia wojennego w Algierze, do których, przybył jeszcze w 1845 roku obraz 60 stóp długi, przedstawiający *zajęcie Smalli Abdel-kadera*. Drobniejsze jego prace są niezliczone, lecz nierównéj są wartości jak np. ryciny do *Henryady*, i *życia Napoleona* przez Laurent'a. Horacy ztémwszystkiém, jest jeżeli nie największym, to bez wątpienia najszczęśliwszym malarzem; jest on Rubensem obecnego czasu, i nikt inny tak różnostronnie go nie przedstawił. Od najpiérwszéj młodości, poznawszy technikę, pędzel jego nie zna żadnych trudności, przyczém wielki wpływ wywiera własna bogata fantazya, i olbrzymi dar przedstawienia. Żartuje on sobie z przedziału, jaki panuje między jego obrazami wystawiającemi tegoczesne przedmioty, a wyższemi zasadami stylu, wiernie oddaje rzeczywistość, a wewnętrzny uderzający poetyczny effekt, najsroższą krytykę rozbraja.

W licznych podróżach, obejrzawszy kilkokrotnie i ze wszech stron to, co najlepiéj dla jego palety przypada, obdarzony wytrwałością i natchnioną imaginacyą, wystawia po większéj części własne wypadki, które w ciągły podziw wprawiają widzów. Jednakże styl jego nie zawsze zaspokaja. Sceny ze starego testamentu wyjęte, nie robią bynajmniéj patryarchalnego wrażenia, lecz tylko do pewnego stopnia podobać się mogą; w innych dziełach, niekiedy się powtarza, i utworowi często prędko wykończonemu, zbywa niekiedy na godności i zaokrągleniu; charaktery jego rzadko się wznoszą nad naturę, w kolorycie objawia się przy biegłości, brak zgody i zamiłowanie farb jaskrawych. Lecz przy tych wszystkich niedostatkach, jest tam jeszcze tyle wielkości i piękności, że Vernetowi słusznie przyznać należy miejsce piérwszego malarza naszych czasów. Od

roku 1827 członek akademii paryzkiéj, zaś od 1828 do 1835 dyrektor francuzkiéj akademii w Rzymie, żyje obecnie zajmując miejsce w wyższych towarzystwach w Paryżu. Z małżeństwa posiada tylko jedyną córkę, którą wydał za Pawła De la-Roche.



WIKTOR HUGO.

Victor Hugo

WIKTOR HUGO.

Świat literacki i poetycki, równie jak i świat polityczny, ulega przeobrażeniu. Też same powody, które zmieniają oblicze społeczeństwa, zmieniają zarówno oblicze literatury. Wstrząśnienia w polityce i literaturze, nie zawsze jednocześnie przypadają, nie ulega wszakże wątpliwości, że wypływają z siebie nawzajem. Nie zawsze literatura bywa organem ducha swego czasu, zwłaszcza w chwilach gwałtownego wzburzenia. W ciągu krwawéj w dziejach Francyi epoki pomiędzy zgromadzeniem narodowém a konsulatem, literatura fracuzka, pełna przesady, pstrocizny i nadętości, nosiła widoczne piętno zniedołężnienia, i w tym stanie przetrwała aż do ostatnich lat cesarstwa. Dopóki trwa dzieło zniszczenia, poezya jakoby owad w stanie poczwarki, zasklepiona głęboko, oczekiwała stosownéj pojawienia się pory; lecz gdy zwaliska społecznego bytu, gruzami zalegają ziemi obszary, gdy milknie szczęk oręża, a pług i radło, pruć zaczynają krwią skropioną niwę, wówczas poezya przebija chwilową powłokę, i ukazuje się w nowym blasku, odmienną zupełnie przyodziana barwą.

Zważmy owe olbrzymie poetyczne postacie zacząwszy od Homera aż do Chateaubrianda: każda z nich pojawia się po gwałtownem wstrząśnieniu świata, albowiem każda zmiana w stosunkach społecznych, rodzi niewątpliwie równą zmianę w literaturze. Taki jest odwieczny i bezwzględny porządek świata. Rzucać kamieniem na nowo wschodzącą sławę, w imieniu zdawna jaśniejącéj sławy, chciéć zakreślać granice duchowi ludzkiemu, zasłaniać się od przyszłości, chociażby najświetniejszym przeszłości okresem, byłoby szaleństwem nie do przebaczenia.

Gdyby się dziś pojawił nowy Rasyn, gdyby napisawszy Berenikę lub Brytanika, ośmielił się przedstawić je na francuzkim teatrze, sztuka byłaby

niewątpliwie odrzuconą, lub przynajmniéj nieocenioną dostatecznie. Umysły wybrane złożyłyby hołd niezrównanemu wierszowi, cudnie oddanym uniesieniom miłości lub zemsty, głębokiéj znajomości serca ludzkiego, lecz tłum spoglądający okiem swego czasu, pojmujący duchem swéj epoki, pozostałby zimnym i niewzruszonym, albowiem tak rozkład dramatyczny, jak i rozwinięcie namiętności owego czasu, obceby były dzisiejszym jego wyobrażeniom i obyczajom. Ktokolwiek chciałby temu zaprzeczyć, przytaczając wrażenie sprawione cudowną grą panny Rachel, niech się zastanowi, że jeżeli dla pewnéj liczby widzów przedstawienie klassycznéj tragedyi, otwiera obszerne pole badania, tłum wielbi jedynie niezrównaną grę młodéj artystki.

Zdanie to nie powinno być uważane za targnięcie się zuchwałe na Rasyna. Lecz jeżeli potomności niewolno strącać go z wyniesienia, na którém gienialny tragik spoczywa od dwóch wieków, równie niewolno wstępować niewolniczo w jego ślady. Twórca Fedry i Atalii, pozostanie na wieki jednym z pierwowzorów piękna, błyszczących od czasu do czasu na łonie wieków, lecz obok tego piękna bezwzględnego i wszechstronnego, istnieje w sztuce inny rodzaj piękna, względnego, zmiennego, ulegającego przeobrażeniu, wraz z okresem, którego jest odblaskiem, piękna leżącego raczéj w kształcie niżeli w zasadzie. Rasyn posiadał je w pełni w XVII stuleciu, dziś utracił je zupełnie, albowiem świat postąpił o dwa wieki, a dzisiejsza Francya niepodobna do Francyi za Ludwika XIV.

Niepodobna wszakże przyznać, ażeby epoka nasza znalazła wyrażenie swéj myśli dramatycznéj, w najwyższym stopniu potęgi w osobie Wiktora Hugo, że szpetność podniesiona do ideału, prawdziwém jest pięknem w sztuce, że Marion Delorme lub Hernani, szczytem są doskonałości. Strona dramatyczna nie jest zapewne najpiękniejszą stroną Wiktora Hugo, a krytyka dowiodła dostatecznie, że jeżeli klassyczna jednostajność, chłód i czczość, nudzi w sztuce, niemniéj razi wszelka nieloiczność, nieprawda, oraz wszelka sprzeczność z wzruszeniem duszy, uczuciem serca, i z potężnym instynktem przyrody ludzkiéj, chociażby te zboczenia przyodziane były w ponętną szatę romantyzmu.

Wiktor Hugo urodził się w Besançon 26 lutego 1802 roku. Ojciec jego Zygmunt Hugo, był jednym z piérwszych ochotników walczących pod sztandarem Rzeczypospolitéj, matka córka właściciela okrętu w Nantes, Wandejka rodem i sercem, była jedna z najzagorzalszych stronniczek korony. Dwoiste wrażenia otaczając kolebkę poety, szerokie koło zakreślały jego wyobraźni, zasilały w duszy, niewyczerpane źródło natchnienia, serce jego kołysane wspomnieniem świetnéj przeszłości, biło pod wpływem wielkich na przyszłość nadziei.

Wiktor Hugo zrodzony wśród obozu za najświetniejszych chwil cesarstwa, wiek dziecinny spędził na tułactwie, wpośród wrażeń wszelkiego rodzaju, co usprawiedliwia przedwczesne liryczne nastrojenie jego duszy. Jako prawdziwe dziecię obozu, postępował w ślad za olbrzymim krokiem Napoleona. „Nim żyć zacząłem, mówi Wiktor Hugo, przebiegłem Europę," jakoż rze-

czywiście, w piątym roku życia dostał się na wyspę Elbę, następnie do Rzymu, przebiegł Włochy, zabawił czas jakiś w Neapolu, wśród wonnych wybrzeży, nieustającą umajonych wiosną, poigrał u stóp Wezuwiusza, zadrżał nieraz na odgłos strzału Fra Diawola, owego poetycznego rozbójnika, którego pułkownik Hugo, jako rządca prowincyi Arelino ścigał, wśród gór kalabryjskich.

Młody Wiktor wrócił do Paryża w roku 1809 z matką i dwoma braćmi. Po tylu burzliwych przygodach, spędził lat dwa wśród domowéj ciszy. Wzrastał pod skrzydłem macierzyńskiém wesoło i radośnie, jak wszystkie szczęśliwe na świecie dzieci, w towarzystwie miłéj dziewczynki, która w przyszłości miała zostać małżonką poety. W owym czasie, generał Lahozie wplątany w sprawę generała Moreau, chroniąc się przed ścigającą go cesarską policyą, znalazł przytułek w domu pani Hugo. Śmiała Wandejka, przechowywała przez lat dwa znakomitego zbiega, a generał w nagrodę doznanéj gościnności, uczył małego Wiktora, składać zgłoski na księdze Tacyta, oraz szczepił w serce jego zaród własnych wyobrażeń, który wydał owoc w przyszłości, zwłaszcza gdy w roku 1811, generał odkryty zdradą, wtrącony został do więzienia, a następnie rozstrzelany, wraz z generałem Mallit na równinie Grenelle.

W kilka miesięcy po uwięzieniu generała Lahozie, ojciec Wiktora, podówczas generał i marszałek dworu króla Józefa, wezwał żonę wraz z dziećmi do Madrytu. Młody Wiktor, czerpał nowe i niezatarte wrażenie, pod wpływem hiszpańskiego nieba, cudnych widoków, a nadewszystko poetycznych wspomnień staréj Kastylii, krwią skropionéj na nowo. Śmiały, wzniosły polot myśli, kastylską budowę wiersza, południową okwitość wyobrażeń, winien on może w części, długiemu pobytowi na Iberyjskim półwyspie, a w dziesiątym roku życia, gdy inne dzieci, prozą zaledwie wyrażać się poczynają, młody Wiktor, melodyjnym wierszem, objawiał doznawane wrażenia.

Spędziwszy rok w szkole szlacheckiéj w Madrycie, Wiktor powrócił do kraju z końcem 1812 roku. Tam go zasłała piérwsza restauracya, przyjął ją z zapałem pod wpływem wandejskiego uniesienia swéj matki.

Sprzeczność widoków politycznych, zadrażniła jeszcze zdawna istniejące małżeńskie niesnaski pomiędzy panią Hugo a generałem, skutkiem tego nastąpiło prawne rozłączenie. W czasie stu dni, Wiktor na żądanie ojca, oddany do szkoły politechnicznéj, uczył się niechętnie nauk matematycznych, a całą zdolność młodzieńczą, z niesłychanym zapałem skierował do poezyi, niektóre téż utwory pozostałe z owego czasu, godne są późniejszego poety.

W roku 1819 posiedzenie akademii Tuluzkiéj przysądziło młodemu poecie dwie nagrody, w następnym zaś roku, skutkiem podania do konkursu pięknéj poezyi pod tytułem Mojżesz, taż akademia przyznała Wiktorowi Hugo, stopień magistra w wydziale sztuk pięknych. Od téj chwili, zajaśniał we Francyi gieniusz młodego wieszcza, a dwa lata spędzone wśród pracy, walki, trudów, szczęścia i sławy, zapewniły mu świetne stanowisko w literaturze francuzkiéj.

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Polit.-Wyd.

Tu, rozpoczyna się piękna epoka literatury podczas restauracyi. Kraj wychodzi z bezrządu i zamieszania. Smak ogólny, zwraca się do prostoty i rzeczywistości. Ziarno wychowania rzucone za czasów cesarstwa, świetny wydaje owoc. Starożytność lepiéj jest pojętą, urok średnich wieków słusznie oceniony, nauka obcych języków upowszechnia się, duch postępu silnie się rozbudza. Zpośród nadętéj, głośnéj a próżnéj literatury cesarstwa, dwie tylko ocalały sławy przedwcześnie pojawione, dwaj apostołowie poezyi, dwie potęgi ducha zbuntowanego: Chateaubriand i pani Staël. Dwie pochodnie u starożytnego zapalone ogniska, poprzedzają, oświecają i wskazują drogę nowemu pokoleniu. Słychać z czterech stron świata zbudzone wieszczów pienia. Goethe, Walter-Scot, Byron i Manzoni, stanowią jakoby odmienne tony jednéj bratniéj pieśni. Kazimiérz Delawigne, Alfred de Vigni odzywają się po raz piérwszy. Lamartine nakoniec daje słyszéć śpiéw łabędzi. Wiktor Hugo odpowiada mu odgłosem współczucia. Podniecony szlachetném współzawodnictwem, łamie z zapałem otaczające go zapory. Doświadczony nieszczęściem, albowiem utracił matkę, oddalał się od ojca przez uczucie dumy, nie może złączyć się z kochanką lat dziecinnych z powodu ubóstwa; wobec tylu przeszkód, przyszły dramatyk oburza się, wre, i zapala dusza jego ciągłém podniecana uniesieniem, wylewa się potężnie, bez ładu, w tworach ognistych jak lawa Wezuwiuszu. Wydaje piérwszy tom w roku 1822 ód i ballad. Mimo form klassycznych, odbija w nich duch średniowiecznéj poezyi, słyszéć się daje szczęk oręża, odgłos wojennego hasła, duch rycerstwa i wiary powiewa ponad wieżami feudalnych zamków, snują się zastępy zbrojnych rycerzy, pięknych księżniczek, paziów, dumnych i srogich baronów.

Dwie piérwsze powieści Wiktora Hugo, Han Islandyi i Bug-Jargal, płodem są dziwnéj i chorobliwéj wyobraźni. Bohater piérwszéj, dziką jaskinię zamieszkuje w towarzystwie niedźwiedzia, wraz z nim żywi się surowém mięsem, poi się krwią ludzką.

W powieści Bug-Jargal, widzimy niekształtnego i srogiego karła, nazwiskiem Habibiah. Obok bezecnych postaci, młody romantyk umieścił piękne i idealne postacie, Etheli, Ordenera i Maryi, świecące jakby Madony Rafaela, wpośród szatańskich figur Holbejna.

Już wtedy objawiać się zaczęła w Wiktorze Hugo, wyraźna dążność do ustawicznéj sprzeczności pomiędzy dobrem a złem, pomiędzy pięknem a szpetnością, czyli raczéj szczególne uprzedzenie na korzyść ostatniéj, na któréj osnuł późniéj swój systemat dramatyczny.

Tymczasem, coraz świetniejsze miejsce zajmował w literackim świecie. Zrazu okazywał się gorliwym rojalistą, wydawał nawet pismo pod tytułem: „Konserwator literacki;" wszakże im większéj nabywał znajomości świata i ludzi; tém wyraźniejszéj zmianie ulegało jego przekonanie, stygł zapał do tronu, wrażenia poetyczne inny objawiły kierunek, a barwa klassyczna ustępowała przed duchem nowości. Pomiędzy piérwszym tomem ód i ballad, a trzecim wydanym w cztery lata późniéj, wyobrażenia jego polityczne zmie-

niły się zupełnie, utwory zaś poetyckie, poczęły coraz wydatniéj dążyć do zupełnego odszczepieństwa literackiego.

Przy końcu 1827 roku, Wiktor Hugo wypowiedział otwartą wojnę Aristotelesowi i Rasinowi, ogłaszając dramat *Kromwell* wraz z długą przedmową. W owéj przedmowie, zerwał on stanowczo z przeszłością i ogłasza się apostołem nowéj nauki: dzieli ludzkość na trzy epoki, tojest: czasów piérwotnych, starożytnych i nowożytnych; poezye zaś na trzy wieki odpowiednie każdéj epoce ludzkości: na odę, epopeję i dramat; według niego z troistych źródeł wypływa poezya w potrójnym kierunku, z biblii, Homera i Szekspeara. Wyłącza zuchwale Kornela, Rasyna, i Woltera z dziedziny sztuki dramatycznéj.

„Rzeczywistość stanowi charakter dramatu (mówi Wiktor Hugo); rzeczywistość wypływa z naturalnego połączenia dwóch typów, szczytności i śmieszności, które mają się krzyżować w dramacie tak, jak się krzyżują w życiu i w całém stworzeniu. Cokolwiek istnieje w naturze, winno istnieć w sztuce."

Wiktor Hugo na poparcie swego systematu, napisał Kromwela. Dramat ten nieprzedstawiony z powodu zbytniéj rozciągłości, nie należy do celniejszych jego utworów. Charaktery niewydatnie skreślone, szyk dramatyczny słaby, główne osoby giną w tłumie figurantów, wszakże kilka prawdziwie pięknych lirycznych ustępów podnoszą rzecz całą!

Po piérwszéj dramatycznéj próbie, wrócił do poezyi lirycznéj, i ogłosił *pieśni wschodnie* w końcu 1828 roku. W tém dziele dosięgnął najwyższego szczytu poezyi czysto artystycznéj, czyli piękności w formie. Nigdy dotąd język francuzki nie był doszedł do takiego stopnia giętkości; żaden poemat nie jednoczył w sobie tylu cudów harmonii, delikatności, czystości rytmu, bogactwa kolorytu, i obfitości obrazów. Nie dostaje tylko myśli, dlatego poemat późniéj wydany pod tytułem: *liście jesienne*, więcéj się powszechnie podoba. W styczniu 1829 roku Wiktor Hugo ogłosił ostatnie chwile na śmierć skazanego, utwór piękny srogą prawdą. Rozbierając chwila po chwili wrażenia człowieka oczekującego spełnienia wyroku, rozpoczyna w te słowa:

„Jestem skazany na śmierć!

„Już pięć tygodni żyję z tą myślą, zawsze z nią sam, zawsze skrzepły jéj wpływem, przywalony jéj brzemieniem!

„Niegdyś! o! bo tygodnie wiekiem się zdają, byłem człowiekiem jak wszyscy ludzie, każdy mój dzień, każda godzina, każda chwila, napiętnowana była oddzielną myślą. Umysł mój młody i bogaty, bujał swobodnie w krainie urojenia. Ukazywał mi cuda, bez końca ni ładu, tkając w niewyczerpane wzory, chropawe i liche tło żywota. Młode dziewice, biskupie infuły, wygrane bitwy, widowiska pełne światła i wrzawy, nocne przechadzki pod ciemném sklepieniem rozłożystych kasztanów, świąteczną barwą jaśniały w méj wyobraźni. Myślałem o czém chciałem, albowiem byłem wolny!

„Teraz jam niewolnik. Ciało moje skute w kajdany, w ciemném jęczy więzieniu, myśl krępuje zarówno mego ducha. Myśl sroga, myśl krwawa, myśl nieprzebłagana. Jedno mnie tylko ściga przekonanie, jedyna pewność, jedy-

na myśl: jam skazany na śmierć. Cokolwiek czynię, owa myśl piekielna ściga mnie, stoi jak groźne widmo u mojego boku, zawistna i samotna odgania roztargnienie, patrzy mi oko w oko, a gdy na chwilę zwrócę oblicze, lub zmrużę powieki, rozbudza mnie zlodowaciałą dłonią. Wciska się w głąb znękanego umysłu, w niezliczonych kształtach jak wiecznie powtarzana zwrotka, przemawia do mnie wraz z każdém wyrzeczoném słowem, przylega wraz ze mną do obrzydłéj kraty więzienia, włada mną gdy czuwam, czycha na mój sen gorączkowy, powtarza się w nocnych marzeniach, w groźnéj postaci noża."

„Zbudziłem się nagle, nieustannie przez nią ścigany, byłożby to snem, zapytałem sam siebie? Tak więc, zanim ociężałe oko zdołało wyczytać straszną prawdę, w otaczającéj mnie groźnéj rzeczywistości, w wilgotnéj podłodze méj celi, w bladym płomieniu nocnéj lampy, w grubéj lnianéj odzieży, w ponurém obliczu stojącego na straży żołnierza, w tém wszystkiém, dziwny głos szemrze mi do ucha: jesteś skazany na śmierć."

Zaprawdę, niektóre ustępy tego dzieła, zdają się być pisane ognistém piórem Danta!

W kilka miesięcy potém, w dzień urodzin poety dnia 25 lutego 1830 roku, przedstawiono na francuzkim teatrze Hernaniego. Sztuka dramatyczna w silném była naówczas podrażnieniu. Klassycyzm bronił z zaciętością podwoi świętego przybytku, od napływu barbarzyńców. Karol X dowcipnie odpowiedział na skargi akademii, zaniesione do podnóża tronu: „w obrębie sztuki, mam tylko prawo do mojego krzesła w teatrze." Już barbarzyński Szekspear, przedarł się za mury, pod opieką Alfreda de Vigni, i ukazał zdziwionéj publiczności, afrykańską nagość Otella.

Hernani poszedł za nim w ślady, sztandar nowości zabłysnął, a Paryż wśród okrzyków tryumfu, gromadził się tłumnie. Piérwsze przedstawienie było najburzliwsze. Zapamiętałe oklaski, współ walczyły z szaloném świstaniem, wszelako uwielbienia przemogły, strącono Rasyna z wyniesienia, a Wiktor Hugo zupełny odniósł tryumf. Wszakże i dziś z spokojnym umysłem wyznać należy, że Hernani jest najlepszym dramatem tego poety, pomimo małych usterków, niedostatecznego rozwinięcia, nieprawdopodobieństwa, pokrzywienia historyi, albowiem całość przedstawia dziwny charakter ożywienia, dumy i wzniosłości, właściwy staréj Hiszpanii, wszakże monolog Karola V, na grobowcu *wielkiego* Karola jest cudnéj piękności, a postać donny Sol, otoczona potężnym urokiem ideału, postać ta godna uwielbienia Hernaniego, pełna dziwnéj ponęty, znać że Wiktor Hugo nie poświęcił się był jeszcze uwielbieniu fizycznéj i moralnéj szpetności, a w rozhukanym zbiegu wypadków i namiętności, cudny urok, dzielnie zastępuje uczoną, lecz zimną i bojaźliwą symetryą Arystotelesowskich tragedyj.

Dramat *Marion Delorme*, przedstawiony po rewolucyi lipcowéj, lubo potężny namiętnością i zapałem, pozbawiony uroku sceny, mniéj zajmuje od poprzedzającego. Znana postać Marion, niedokładnie uosabia uczucia szlachetności, miłości i powagi. Richelieu, ów bicz boży na feudalną arystokracyę,

morduje wiedziony pragnieniem krwi. Charakter Ludwika XIII słaby, nieśmiały, skreślony jest dokładnie.

Lubo sami wielbiciele Wiktora Hugo, powstawali na zbyt śmiałe znieważanie dziejów, wszelako poeta w nowym dramacie pod tytułem: *Król się bawi*, przedstawionym w 1832 roku, coraz daléj postępuje obraną drogą. Pomimo niezaprzeczonych piękności, nie godzi się zaprawdę, aby poeta taki jak Wiktor Hugo, odzierał wszelki urok z poetycznéj postaci świetnego zwycięzcy pod Mazignau, nieszczęśliwego bohatera Francyi, mecenasa nauk i sztuk pięknych, przyjaciela Leonarda da Vinci i Celliniego, słowem króla poety, brata swego w sztuce.

Jeżeliby zgubna dążność zdzierania wszelkiego uroku z dziejów, miała się upowszechnić, możeby za jakie lat dwieście, natchniony dramatyk przedstawić chciał Napoleona, jęczącego pod razami Hudsona-Loewe.

Odtąd Wiktor Hugo, coraz bardziéj poświęcił się uwielbieniu szpetności. Lukrecya Borgia, Marya Tudor, Angelo, a zwłaszcza Ruj-Blas, przedstawiają różnorodne połączenie najszczytniejszych natchnień, oraz najobrzydliwszych okropności. Z powodu zbytniego zamiłowania nieustannéj sprzeczności, pomiędzy różnorodnemi zupełnie żywiołami, dramata Wiktora Hugo, przedstawiają niekiedy stronę nieloiczną i nieprawdopodobną, a zbyt częste przejścia z jednego wrażenia w drugie, nazbyt utrudza umysł widza, i czytelnika.

W romansie historycznym pod tytułem *kościół Najświętszéj Panny paryzkiéj*, który jest bez wątpienia arcydziełem Wiktora Hugo, ów fatalny systemat rozwija się w pełni. Poeta do tego stopnia opanowany jest główną swą myślą, że ostatni rys poświęca skreśleniu Esmeraldy, owego typu najczystszéj piękności, w objęciach Quasimoda najzupełniejszego typu szpetności, w kostnicy Monfamon, i pozostawia czytelnika pod wpływem obrzydłego i strasznego wrażenia. Lecz ponieważ rama romansu, obszerniejszą jest niżeli rama dramatu, mniéj to cokolwiek razi. Z wielkiéj liczby rozdziałów, wypływa jedność szczegółowa, zastępująca w pewnym względzie jedność ogólną, a potém, tyle widzimy w całém dziele siły i wdzięku w stylu, tyle nauki, tyle namiętności, tyle gieniuszu, tyle rzeczywistéj potęgi, że czytelnik w głębi ducha wzruszony, nie ma czasu zdać sobie sprawy z niesłychanéj różnorodności wrażeń, i przerażony ulega pod wpływem tajemniczéj potęgi, którą Wiktor Hugo nazywa koniecznością, a która jest tylko ową tajemniczą różczką potężnego czarownika, poruszającą wszystkie części, olbrzymiego poematu.

Cóż teraz powiedzieć o *liściach jesiennych*, owéj bujno kwitnącéj niwie dojrzałego wieku? Któż nie zapłakał czytając *modły za wszystkich*, zawierające więcéj piękności, niżeli wszystkie może wspomnione dramata. W roku 1839 Wiktor Hugo chcąc zaczerpnąć u samego źródła poezyi, przebiegł wzdłuż i wszerz, piękne nadreńskie kraje. Cuda przyrody, olbrzymie wspomnienia zamierzchłéj przeszłości, znalazły wierne odbicie w bogatéj wyobraźni poety. W kształcie listów do przyjaciela Wiktor Hugo, złotém piórem

opisał owe pełne cudów wybrzeża, gdzie wspaniałe miasta i urocze wioski jednoczą się wraz z najdzikszą przyrodą. Mgła wyścieła wąwozy, obłoki przyczepione do czoła pagórków, oczekiwać się zdają w niepewności, w którą stronę świata wicher je uniesie szalony, ponure lasy starożytnych Druidów, czernieją w rozpadlinach gór, obwiane siną mgłą oddalenia. Orły i sępy, krążą swobodnie pod sklepieniem nieba, owego nieba zmiennego, to ozłoconego jasnym słońca promieniem, jakby niebo niedalekich Włoch, to znów zabrudzonego czerwoniawą mgłą, jakoby nieba północnéj Grenlandyi.

Daléj poeta czarnoksięzką rószczką, wywołuje życie w nagich zgliszczach sterczących ponad Renem. I zaprawdę dzieło to godne mistrza!

„One starożytne wieżyce, mówi Wiktor Hugo, jakoby olbrzymie słupy, wbite potężną prawicą feudalizmu, obwiane mgłą marzenia, nieme towarzyszki zamarłych wieków, świadkami były niegdyś wielkich dzieł, słuchały głosu przeszłości! Dziś stérczą ponuro, jakoby wiekuiste ramy strasznego dramatu, odgrywającego się przez dziesięć wieków ponad brzegami Renu; dziś smutne i milczące, kiedy wśród czarnéj nocy, księżyc odzieje białym całunem przerażające ich kościotrupy; smutniejsze jeszcze, kiedy promień słoneczny ozłoci ogołocone ich czoła, pełne odwiecznéj chwały i rozgłosu, nicestwa i zniechęcenia. Dotknięte niszczącą ręką czasu, i bardziéj niszczącą ręką człowieka, patrzą jak kamień po kamieniu spadając z dumnych ich szczytów, tonie w głębokich nurtach Renu, jak pamięć dawnéj ich świetności, niknie zanurzona w głębokiéj niepamięci potomnych.”

Obraz Renu zakończa Wiktor Hugo umiejętném skreśleniem obecnych stosunków europejskich. Tu poeta zmieniając dotychczasowe stanowisko, jako głęboki polityk, bada u źródła przyczyny istniejącego stanu narodów, przenika następstwa, uchyla przyszłości zasłonę. Mimoto nie zapomina, że jest poetą. Natchniony duchem przeszłości, wiejącym wśród zwalisk dawnych Niemiec, twórczą wyobraźnią odbudowywa feudalny zamek Burgrabiów, wprowadza wśród nich Fryderyka Rudobrodego, i na wzór Eschyllesa, przenosząc tylko pole działania z pięknéj Tessalii, na niemniéj piękne wybrzeża Renu, skreśla walkę nowego Jowisza, z nowemi Tytanami, cesarza niemieckiego, z reńskiemi burgrabiami. Trylogia *Burgrabiowie*, przedstawioną była na francuzkim teatrze, w dniu 7 marca 1843 roku.

Wiktor Hugo wezwany na członka akademii francuzkiéj, w miejsce zmarłego Lemercier'a, świetną mową uczcił prace i zasługi swego poprzednika, złożył hołd niezłomnéj stałości, którą powodowany poeta, nie uchylił głowy przed obliczem wielkiego człowieka wieku, uwieńczonego podwójną koroną, potęgi i gieniuszu. Pan Salwandy odpowiedział na tę mowę.

Nie dotykamy tu zawodu politycznego W. Hugo; ani zasług jakie położył na mównicy: otwarta księga dziejowa obecnych czasów, zapisze je z chlubą dla tego poety.

Mało mamy przekładów dzieł W. Hugo: oto są wszystkie:

Bug-Jargal albo powstanie w St. Domingo; powieść historyczna tłumaczona z oryginału francuzkiego W. Hugo. Warszawa 1830 *roku* 12-ka.

Hernani czyli honor kastylski. Dramat W. Hugo wystawiony na teatrze francuzkim dnia 25 lutego 1830 roku, wytłumaczony na język polski, przez S. B. w Puławach 1830 roku: 8-ka str. 134, przekład prozą.

Dominik Magnuszewski i Konstanty Gaszyński, przełożyli wierszem trzy akta tego dramatu, który w rękopiśmie został.

Ogłoszony w ostatku przekład powieści poetycznéj: *Kościół Najświętszéj Panny w Paryżu*, jest tak lichy, że zaledwie go tu wspomnieć możemy.

Bruno hr. Kiciński tłumaczył wiele drobniejszych poezyj tego poety: wyszły w jednym tomiku p. n.

„Wybór poezyi pomniejszych Wiktora Hugo w Warszawie w drukarni gazety Porannéj 1840 roku 8-ka str. 162."

Są tu przekłady już wierne i dosłowne, już wolne z poezyi *wschodnich, ballad, dumań*, i różne wiersze.

Dla poznania bliżéj ducha poezyi francuzkiego poety, i talentu naszego tłumacza, przywiedziem tu niektóre wyjątki.

OCZEKIWANIE.



Bież wiewiórko! na dąb bież,
Na konarów wzniosłych szczyt,
Co się gną i drżą jak sit.
Ty bocianie! z twojéj brony,
Pędem skrzydeł uniesiony,
Leć klekocząc w wyższe strony,
Od dzwonnicy, na szczyt wież.

Stary orle! z twoich gniazd,
Z gór mających świata wiek,
Które wieczny bieli śnieg;
I ty czujny w każdym dzionku,
Co masz głos i brzmienie dzwonku,
Bystry, żywy, leć skowronku,
Wzbij się, wzbij się aż do gwiazd.

Teraz każdy w miejscu stój!
Z szczytu dębu, z szczytu wież,
Przeglądajac wzdłuż i wszerz,
Patrzaj pilnie w wszystkie strony,
Czy nie błyska hełm złocony,
Czy nie pędzi koń spieniony,
Czy nie wraca luby mój?!

CHŁOPIEC.

O horror! horror! horror!
SHAKESPEARE. *Macbeth.*

Turcy tam przeszli, wszystko w gruzach i żałobie!
Chio! wyspa z win sławna, już tylko w téj dobie
Jest dziką, bezludną skałą.
Chio! któréj pałace, nadbrzeża, i bory,
Odbijały się w morzu, gdy w ciepłe wieczory
Młodzieży grono skakało.

Wszystko pustynią. Lecz nie! Gdzie stérczą zwaliska,
Stoi chłopczyk. Z błękitnych oczu łza mu błyska,
Głowa jego pochylona.
Greckie to było dziecię. Przy nim tylko stała
Jedyna towarzyszka jego, róża biała,
W pustoszeniu pominiona.

O biédne dziécię! Stopę nagą krew mu broczy,
Niestety! by osuszyć z łez twe piękne oczy,
Które mają błękit nieba,
Żeby ten zachmurzony błękit rozweselić,
Żeby mu błyskawicy, radości, udzielić,
Powiédz chłopcze, co ci trzeba?

Żeby to czoło, które przygniotło cierpienie,
Podnieść; żeby w wesołe ułożyć pierścienie
Dotąd żelazem zuchwale
Nietknięte jasne włosy, które dziś niechcący
Po białéj twojéj szyi spadają niedbale,
Jak liść na wierzbie płaczącéj?

Cóż chcesz? Czémże rozprószę twój smutek ponury?
Chceszże bym ci czarowny zerwał kwiatek, który
Rośnie nad studnią w Iranie?
Czy chcesz owocu tuby, tego drzew olbrzyma,
Który pod swoim cieniem taką przestrzeń trzyma,
Że koń, rok lecąc ledwie z niéj się wydostanie?

Może ten leśny ptaszek, którego śpiewanie
Milsze jest niż oboje, niźli lutni granie?
Może on zmiękczy twój ból?
Cóż ci dać? Kwiatek, owoc, czy cudnego ptaka?
„Bracie! — była odpowiedź greckiego chłopaka,
„Daj mi prochu! daj mi kul!"

INDYANKA Z KANADY.

ELEGIA.



De toto, nada.
Calderon.

a téj palmie, śpij w hamaku,
Śpij snem wiecznym, jedynaku!
Przez twe lata niemowlęce,
Te cię ręce
Kołysały, wypieściły.
Dziś, mój miły!
Przyjmieć palma w swe zacisze,
I już nie ja
Ukołyszę!....
I mnie tak kołysała zwodnicza nadzieja!
Śpij spokojnie, a gdy kiedy
Wiatr na grobie
Twym zajęczy,
Pomyśl wtedy,
Że w téj dobie,
Żal po tobie
Matkę dręczy.

Nie dam się ja wyprzedzić porannéj jutrzence;
Nim ona, na twe czoło, miłą spuści rosę,
Już ja kwiatów ci przyniosę,
I wianek na powiewnéj zawieszę trumience;
Codzień tu będę przychodzić,
I smutek mój łzami chłodzić.

Już cię niéma! nie będziesz już igrał po błoni,
Ani w wesołéj pogoni,
Pędził jelonka ze skały, na skałę,
Ani się wspinał na dęby wspaniałe!

Nie ujrzę cię w porze kochania,
Gdy wiek młody
Mchem jagody
Osłania.
Nie ujrzę, kiedy podobać się chcący,
Kochance o ciebie drżącéj,
Niósłbyś łupy z polowania.

Nie rzekną mi wojownicy:
„Syn twój, ojca swego godny,
Leci w boje nieodrodny,
Jak grom w czasie nawałnicy."
Będę żyła w ojców ziemi,
Jak cudzoziemka z obcemi!

Powiedzą: „Syn jéj jest wiatru igrzyskiem;
„Nie poległ śmiercią mężnych za ojczyznę czczoną,
Tylko w zacieniu liści, na drzewie poblizkiém,
Grobowiec mu zawieszono."
Już go niéma! Śmierć sroga szczęście mi wyrywa,
Byłam matką, — i teraz czuję nieszczęśliwa,
Że w sercu mojém, ukradką,
Myśl tę pieszczę,
Że ja jeszcze
Jestem matką!

POŻEGNANIE

GOSPODYNI ARABSKIÉJ.

„A mieszkajcie z nami. Ziemia w mocy waszéj jest....

Genezys. Rozdział XXXIV.

Gdy w tym szczęśliwym kraju nic ci nie wesoło,
Ani wśród pszennych łanów, ani w palmy cieniu,
W obfitości i spocznieniu;
Choć się na głos twój miły, wznosi pierś młodzieńcza
Siostr naszych, których w wieczór kręcące się koło
Tańcem nadbrzeże uwieńcza,

Żegnaj biały wędrowcze! Sama, o cię w trwodze,
Bystrookiego konia tobiem osiodłała,
By cię nie rzucił o głazy na drodze.
Ziemię kopytem kopie, a krzyż jego młody
Zwięzły, stoczysty, lśniący jest jak czarna skała,
Wygładzona prądem wody.

Ty wędrujesz bez końca; lepiéjby ci było
Być z tych liczby, co radzi za kres horyzontu
Widzieć swoję chatkę miłą.
A szczęśliwi, z szczupłego swojego zakątu,
Siedząc w wieczór przed domem, chcieliby za gwiazdy,
Choć myślą odbywać jazdy.

Gdybyś był chciał młodzieńcze, to z nas która może
Chętnieby z tobą w chatce podzieliła łoże,
Klęcząc służyćby ci chciała,
Lubymby ciebie śpiewem do snu kołysała,
I strzegłaby śpiącego od much uprzykrzonych,
Wachlarzem z liści zielonych.

Jedziesz! sam, w noc czy we dnie, a rumak twój dziki,
Pędem twarde po drodze tratując kamyki,
Skier tuman podkową sypie.
O dzidy twojéj ostrze, po macku drą swoje
Skrzydła, ślepo-lecące, ku umarłych stypie
Potępionych duchów roje.

Gdy ci z powrotem wieś tę, widzieć się zażąda,
Przez ów wzgórek podobny do grzbietu wielbląda
Przychodź, tam stoi cicha moja chata.
Nad nią wznosi się strzecha jakby ul kończata;
Drzwi tylko w niéj są jedne, a światło w nią wgląda
Od strony, z któréj jaskółka przylata.

Jeśli niémasz być więcéj, wspomnij niepowrotny
O dziewczętach pustyni, których głos uroczy,
Których cię taniec zachwycał ochoczy.
Piękny, biały wędrowcze! ty ptaszku przelotny!
Poświęć nam czułe westchnienie,
Bo możeś, i niejednéj zostawił wspomnienie!

Bądź więc zdrów, stroń od słońca, co płonącą strzałą
Złoci skronie miedziane, a pali płeć białą.
Nieprzebytą Arabię niech twój krok omija,
Starą wróżkę, co niby ledwie stąpać zdoła,
I tych, co w wieczór, końcem zaklętego kija
W piasku określają koła.



Elżbieta z Hr: Krasińskich
JARACZEWSKA.

ELŻBIETA
Z HRABIÓW KRASINSKICH
JARACZEWSKA.

Urodzona w roku 1792, pozbawiona wszelkich wdzięków ciała, od dzieciństwa odznaczała się żywą i bujną wyobraźnią, zadziwiającą pamięcią i pojętnością. Opatrzność wynagradzając brak zwykłego daru kobiety, odmawiając jéj urody, i powabu niewieściego, dała jéj w zamian piękną duszę, i na pociechę chwil więcéj samotnych, talent pisarski. Umiała z tych darów Jaraczewska korzystać, nie dla siebie, ale dla szczęścia bliźnich, dla poczciwéj po sobie pamięci.

W krótkiéj, bo lat czterdziestu niespełna pielgrzymce żywota, godnie się wywiązała z obowiązków żony i obywatelki. Odebrawszy (jak zwykle u nas w zamożniejszych domach), wychowanie francuzkie, sama oceniła ten fałszywy kierunek młodym dawany Polkom, i w przedmowie do piérwszéj powieści swojéj *Zofia* i *Emilia* ostrzega czytelników:

„Iż pisząc jedynie w chęci być użyteczną, choć ze wstydem wyznaję, mało oswojona z pisaniem w ojczystéj mowie, wiele przeciwko niéj błędów popełnić mogłam.“

Doszedłszy do lat dwudziestu dwóch życia, jakkolwiek zdarzała się jéj sposobność pójścia za mąż, pragnęła pozostać wolną, a chcąc ustalić swoję przyszłość, postanowiła wstąpić do *kanoniczek* w Warszawie, i wyrobiła sobie u nich przyjęcie. Inaczéj los jéj przeznaczył: jeden z przyjaciół rodziny Krasińskich, umyślił ją wyswatać z dawnym swoim kolegą wojskowym, Adamem Jaraczewskim, którego szczerze kochał i szanował.

„Z początku (mówi Ludwika Ossolińska w biografii naszéj autorki), wachała się nieco, gdyż obawiała się wikłać w owe rozliczne związki ziemskie, wśród których tak rzadko umysły wyższe, i serca zbyt drażliwie czułe, znajdują szczęście. Wachanie to przecież wkrótce ustało, gdyż się szczerze przywiązała do zacnego człowieka, rzeczywiście ją cenić umiejącego. Niedługo po ślubie udała się z mężem na ciągły pobyt do majętności w Lubelskiém położonéj, gdzie przez kilkanaście lat przemieszkiwała. Przez ten tak długi przeciąg czasu, nie pożałowała Jaraczewska swego wyboru. Mąż jéj był wzorem prawości, rzetelności i tych wszystkich przymiotów, cechujących prawdziwie szlachetną naszego rodu, duszę. Kochając go téż szczerze, nie zatęskniła nigdy w swém miłém zaciszu, do obfitego w rozrywki świata. Prócz licznych umysłowych zatrudnień, które jéj żywość wyobraźni koniecznemi czyniły, dogadzała tudzież wrodzonéj tkliwości serca, zajmując się przedewszystkiém powodzeniem swoich włościan, i ukształceniem ich moralności. Wiedząc, iż w każdym stanie, religia jest najpewniejszém źródłem oświaty i szczęścia, postarała się najprzód o gorliwego proboszcza. Chcąc mu osłodzić i ułatwić piérwsze w pięknym, lecz ciernistym zawodzie kroki, uczestniczyła częstokroć jego apostolskim pracom i staraniom, czyto w odwiedzaniu chorych, czy pocieszaniu strapionych, czy w pojednywaniu zwaśnionych. Mając wzgląd tudzież na szczupłość funduszów okolicznych księży, niedozwalającą im nabywania dobrych i pożytecznych książek, utworzyła swemu proboszczowi małą, lecz wyborową biblioteczkę, złożoną z najlepszych dzieł duchownych i religijno-moralnych, z upoważnieniem pożyczania tychże, wszystkim sąsiednim kapłanom; przez lat kilka wciąż, i do chwili niemal zgonu pomnażała ten zbiór szacowny.

„Mieszkanie jéj na wsi choć chędogie, miłe, podobném było niekiedy do szpitala: wszyscy bowiem chorzy z jéj włości, a często nawet i z obcych przychodzili lub przysyłali prosząc o lekarstwo i wsparcie, których nie odmawiała nikomu. Obwodowy doktor zgodzony rocznie, objeżdżał raz w tydzień wszystkich jéj włościan, a gdy tego potrzeba wymagała, i gwałtowniejsze grassowały choroby, nietylko bywał codziennie, ale i innych z okolicy doktorów i chirurgów przywoływano. Prócz tego, była jeszcze i domowa apteczka, zawierająca wszystkie lekarstwa, jakich tylko zapotrzebować można w nagłych przypadkach i początkowych słabościach. Lecz nie na tém ograniczała się dobroć Jaraczewskiéj: znała to, iż jedynie uprzejmość serca, umila dar ręki, i że biednemu każde słowo staje się pociechą, każdy dowód troskliwości dobrodziejstwem. Sama przeto odwiedzała i pielęgnowała chorych, nie obawiając się częstokroć najniebezpieczniejszéj zarazy, i osładzając nieraz umierającym ostatnią z życiem walkę, odmawianiem tkliwych i z serca płynących modłów. Czynna jéj i przemyślna dobroć, umiała każdéj chwili nadać użytek, i wszystkie nawet rozrywki w dobre przeistaczać uczynki. Celem prawie codziennych jéj przechadzek było rozwożenie lekarstw cierpiącym, pożywienia głodnym, wsparcia potrzebnym, pomocy i radości wszystkim.

„W dowód, iż życie odosobnione, ciche, pożyteczne, dobroczynne, lepiéj jeszcze przechowuje świeżość i żywość wyobraźni, jak roztargnienie światowych zabaw, czas ten poświęcany ciągle przez Jaraczewską wypełnianiu najszczytniejszych cnót chrześciańskich, był oraz epoką objawienia się jéj pisarskiego talentu, który w dojrzalszym już wieku odrazu świetnym zajaśniał blaskiem. Zbyt tkliwa, zbyt może drażliwém obdarzona czuciem, zbytnie czuła na wpływ potocznych choćby najdrobniejszych okoliczności, niezdolna przytém przepomnieć minionego smutku, ani się nie trapić przewidywaném zmartwieniem, póki młodszą była, nie mogła dosyć przytłumić nieustannego odmętu w sobie, ażeby skreślić wyrazami zbyt obfite wrażenia i myśli. Lecz gdy się jéj życie niejako urzeczywistniło i uspokoiło, nietak lat napływem, jak raczéj ciągłém poświęcaniem się celowi wyższemu, nad kłopotliwe drobnostki tego świata, ogień trawiący jéj wyobraźnią, w błogie zamienił się światło, a zbyt gorące uczucia, w ożywione obrazy. Wady i śmieszności rażące ją dawniéj w ludziach, stały się wówczas zajmującym przedmiotem jéj uwag życzliwych. Przedsięwzięcie pisania nie pochodziło w niéj z chęci wsławienia się, ani tworzenia urojonych marzeń, ale jakby z potrzeby przypomnienia sobie, i opowiedzenia drugim, słyszanych i widzianych wypadków. To co się zaś w jéj pismach moralnego i nauczającego znajduje, nie było tyle skutkiem rozmyślnéj dążności, jak naturalnym połyskiem jéj duszy. Użyteczność wypływała z jéj pomysłów, jak woda wytryska z łona ziemi, jak powietrze krzepi i orzeźwia, jak świeci i ogrzewa słońce. Przyrodzoną jest bowiem cnotliwych istot własnością, że lubo się nie zajmują wrażeniem jakie sprawują na drugich, każdy ich czyn jest wzorem, każde słowo nauką, każde odezwanie się, lepszego świata oddźwiękiem.

„Straciwszy już wtedy wzrok prawie zupełnie, w skutku niepochamowanego niegdyś oddawania się czytaniu, zmuszoną była przyjąć sekretarza, któremu dyktowała wysnuwające się z jéj wyobraźni powieści: ale nie mógł nigdy wydążyć, gdyż to dyktowanie było zawsze, jakby nieustanném, i szybko się rozwijającém opowiadaniem. Konieczne zaś przerwy wynikające, z niepodobieństwa pisania z takim pośpiechem, rodziły w rozpłomienionéj wyobraźni autorki, tysiące myśli i porównań, których żadne pióro, jakkolwiek skore, schwytać i skreślić nie zdołało, i tych część największą w przepisywaniu, opuszczać trzeba było. Nadzwyczajna ich mnogość przeciążała przejrzystość jéj utworów, jak zbytnia obfitość kwiatów i owoców wysila urodzajne drzewa.

„Najpiérwszą Jaraczewskiéj powieścią jest *Zofia* i *Emilia*; dyktowanie tego dziełka zabrało jéj tylko trzy tygodnie, a jednak postępowała naprzód nieśmiało, w tym pełnym dla niéj rozkoszy, zawodzie. Podług nagannego większéj części dam polskich zwyczaju, nie nawykła była do pisania w rodowitym języku, musiała więc zrazu sama siebie przetłumaczać. Lękała się także owego piérwszego pojawienia się w świecie literackim, niepewna uprzejmego przyjęcia, a chęć powstrzymania uskrzydlonéj wyobraźni, nadała może temu piérwszemu utworowi, cechę jakowéjś poważnéj układności,

wpośród któréj odbijają się atoli, świeże obrazy, trafne spostrzeżenia, i pełne tkliwości ustępy. Wtedy otworzyło się dla naszéj autorki nowe i urocze życie, i wtedy nawet jéj szczęście uzupełnioném zostało, tak jak żeby świat w jéj duszy odbity, rzeczywistością był dla niéj, a życie istotne, snem tylko przemijającym. Wrodzona jéj dobroć jedynie ją skłaniała, do uczestniczenia zajęciom i rozrywkom otaczających ją osób. Ale je tylko podzielała sercem i dobrocią, myśl jéj bujała w krainie marzeń. Dyktowała zwyczajnie bez przerwy, ale i bez natężenia umysłu od dziewiątéj zrana do obiadu: po obiedzie do wieczora, a nigdy jedna osoba nie nastarczyła pisać: bo Jaraczewską odpoczynek tylko męczył." Dotąd użyliśmy słów Ludwiki Ossolińskiéj, z obszernego życiorysu naszéj autorki.

Jaraczewska po wydaniu *Zofii* i *Emilii* w 1827 (1) i ulotnego pisemka *Upominek dla dzieci*, zachęcona pochlebném przyjęciem piérwszéj powieści, wydała w roku następnym: *Wieczór adwentowy*.

Cel *Zofii* i *Emilii* sama autorka we wstępie podaje:

„Najpożyteczniejszy sposób (mówi) udzielania swego doświadczenia, jest częstokroć wyjawienie, jakim sposobem się go nabyło. Do tego każdy zwykle mniéj więcéj uderzony jest w życiu oczywistością jakiéjś prawdy moralnéj, którą w każdéj ważnéj okoliczności przytacza, i stara się drugim dowieść. Ta, nad którą się najwięcéj zastanawiałam, i o któréj najlepiéj sądzić mogę, jako kobiéta, jest błędny kierunek dawany pospolicie w Polsce wychowaniu naszéj płci, którą nadto w poetycznym względzie za piękną płeć uważając, jak płonny kwiat, troskliwie tylko pielęgnują, mało starając się nadać téj roślinie mocy i użytku: tak jakby tylko do bukietu lub nietrwałego wieńca przeznaczona, do użytecznych krzewów, nie należała, rzędu. I tak najczęściéj u nas naprzód myślą o rozwinięciu zwykłych téj płci powabów, potém o nadaniu jéj powierzchownego wdzięku, ale nie istotnéj podpory prawdziwych talentów; nareszcie starają się o zakończenie jéj krótkiego i błachego zawodu, jakiem korzystném małżeństwem, jak gdyby ten święty związek, nie był przeciwnie, istotnym tegoż zawodu początkiem. Tym sposobem wychowane u nas kobiéty, uważane z dzieciństwa jak miłe cacka, potém jak istoty przeznaczone niewolniczo iść jednym śladem, nie mając nigdy samoistnienia, i późniéj nareszcie w wieku uludzeń, uważając się same jako heroiny wdzięcznego młodości romansu, niezdolnemi się stają, wypełnić istotne swoje powołanie. Tworzą dla nich albowiem z życia łudzącą komedyą; spuszczając zasłony na właściwy jego cel i obowiązki, i czyniąc je obcemi całéj rozciągłości szczęścia i cnót zawartych w zawodzie dobréj żony, matki, pani i obywatelki, w smutnéj je

(1) *Zofia* i *Emilia* powieść oryginalnie przez Polkę napisana, 2 tomy w Warszawie 1827 r., 12-ka. *Wieczór adwentowy*, powieść, przez autorkę Zofii i Emilii, 2 tomy, Warszawa 1828 roku, 12-ka. *Piérwsza miłość, piérwsze uczucia*, powieść narodowa, przez autorkę Zofii i Emilii, 4 tomy, Warszawa 1829 roku, 8-ka.

stawiają okoliczności, wynagrodzenia przez drugą połowę życia, odebranego w piérwszéj wychowania."

Wieczór adwentowy przedstawia smutne skutki nieposłuszeństwa dla rodziców: *Piérwsza młodość, piérwsze uczucia*, większego rozmiaru powieść, nie chybia celu moralnego. Wydaną była w roku 1829. Dzieło to najupodobańszym było dla saméj autorki utworem, nazywała je zwykle testamentem swego rozumu i serca, jakby przeczuwała zgon swój niedaleki. Jakoż w rok późniéj nieprzewidziane wypadki rozdzieliły Jaraczewską z mężem. Rozłączenie to boleśnie zraniło jéj serce, a trapiona wewnętrzną obawą o los i życie jedynego przyjaciela, przerwała zawód autorski. To co było jedyném wśród jéj kalectwa szczęściem, bujać w krainie marzeń, tworzyć świat i ludzi, aby malować je w powieści; teraz niepewnością dręczona, smutném przeczuciem złamana, łzą, westchnieniem bolesném i modlitwą zapełniała samotne godziny. Zamieszkała właśnie w Krakowie gdzie i przed zamęzciem kilkokrotnie przebywała, gdy odebrała wiadomość, że jéj mąż umarł nagle dotknięty cholerą.

Cios ten był nad siły: iskra życia przygaszać zwolna zaczęła: wewnętrzna tęsknota rozdzierała jéj serce. Dotknięta wkrótce nieuleczoną chorobą raka w piersiach, gotowała się jak prawa chrześcianka na cierpienia i bole, nieodłączne prawie téj straszliwéj słabości. Ale Bóg się ulitował i skrócił jéj męczeństwo: nerwowa gorączka przerwała raptownie to życie: „tak wydziedziczone ze szczęścia na ziemi, tak pożyteczne dla ludzi, tak pełne zasług dla nieba (1)."

Zgasła dnia 28 września 1832 roku.

Nie możem lepiéj zakończyć tego wspomnienia zacnéj autorki naszéj, jak przywiedzeniem gruntownego ocenienia wszystkich powieści Jaraczewskiéj, przez znanego estetyka Michała Grabowskiego. Pisarz ten kreśląc dzieje powieści polskich, które poprzedziły pisma Jaraczewskiéj, tak mówi daléj:

„Zarys towarzystwa polskiego, skreślony lekką ręką księżnéj Wirtemberskiéj, rozwinął się dokładniéj i zupełniéj w pismach Jaraczewskiéj. W istocie utwór piérwszéj, jestto pobieżny ołówkowy obwód, gdzie kilka tylko rzeczywistych profilów błyska wśród grup fantazyjnych i scen urojonych; Jaraczewska przeciwnie, rozpatruje się uważnie koło siebie, zna gruntownie charaktery, maluje życie z jego dostatnim zapasem nie już serdecznych tylko, ale najrzetelniejszych smutków; widać, że pomiędzy pismami dwóch autorek upłynęło lat kikanaście, w których literatura wielkie kroki zrobiła. Dzieła téż ostatniéj są nieporównanie dojrzalsze.

Powieść *Zofia* i *Emilia*, wymierzona ku wystawieniu w przykładzie przeciwieństwa miejskiego i wiejskiego wychowania, objawiła już wybornego malarza obyczajów narodowych, jakim téż niewątpliwie została Jaraczewska. Oddaje jéj powieściom Kraszewski zasłużoną pochwałę, że są

(1) Ludwika Ossolińska.

zupełnie oryginalne. „Nadany im tytuł narodowych powieści, mówi on, jest zupełnie stosowny; znać ze wszystkiego, że materyałów do nich nie przesycenie się obcemi pisarzami, ale osobiste dostarczyły postrzeżenia; każda drobnostka jest ściśle z natury wzięta, z troskliwością starożytnika i prawdziwie *con amore*." „Odbiły się we wszystkich jéj pismach" (robi daléj trafną uwagę:)" sposób życia, towarzystwo, którém była otoczona, świat w którym żyła." Obrazy więc Jaraczewskiéj mają całą trafność portretów, a że niektóre są niemi najrzeczywiściéj, niepodobna wątpić; owszem gdzieniegdzie uprzedza sama o prawdziwości tego lub owego szczegółu, wypadku lub anegdoty, które się wszelako z resztą wymysłu najdoskonaléj zlewają. *Wieczór adwentowy* jest zbiorem kilku oddzielnych, a lekkim węzłem powiązanych z sobą powieści, które przenoszą nas naprzemian w samotność wiejską, w życie małych miasteczek i Warszawski świat wielki, i wszędzie z równą trafnością malują właściwe obrazy cnót, wad, lub śmieszności. Chcąc wyliczać dobrze skreślone charaktery, trzebaby wyliczać je wszystkie, bo są z jednostajną trafnością oddane, chociaż tak niepodobne jedne do drugich. Nie należy wszelako przepomnieć w powieści Jaworskiéj, charakteru jéj ciotki. Charakter ten, najpiękniejszy wzór chrześciańskiéj wdowy, nie mógł może nigdzie indziéj powstać, tylko wśród naszych obyczajów, bo w istocie mamy na to historyczne dowody, że były u nas osoby przy wszystkich skarbach nowoczesnego świata, przy uprzejmości największéj, korzyściach, bogactw, i wysokiego położenia światowego, wiodące życie poświęcone całkowicie saméj cnocie i religii, jak owe matrony piérwszych wieków chrześciaństwa. Dosyć wspomnieć *dom świętych pań* w Warszawie: Granowskiéj, Lanckorońskiéj z Swidzińskich, Krystyny z Sanguszków Bielińskiéj, z których jedna Lanckorońska kasztelanowa Połaniecka była jeszcze przed kilką zaledwie laty wzorem powagi i wdzięku cnót starodawnych dla najpiérwszego towarzystwa stolicy. Oprócz tych wszystkich u nas znajomych imion, niejeden zapewne mógł jeszcze rozminąć się w życiu z jaką z tych osób umarłych już dla osobistego szczęścia, ale żyjących dla dobra bliźnich, zasmuconych do końca życia w duszy, ale na twarzy noszących tylko wysokie pociechy religii. W kraju naszym po prowincyach szczególniéj, skutkiem niewystąpienia do ostatniéj chwili z kolei obyczajowości staro chrześciańskiéj, stan który w gminném wyrażeniu nazywają dewocyą, jest dość pospolicie jeszcze trybem życia, skołatanych nieszczęściami, albo znękanych wiekiem osób, dla których w towarzystwie, nieszczęśliwym pozbawionym wiary, niby nie zostawało chyba ołów zabójczy, lub dym węgli ziemnych, których téż lekarstw ci nędzni nie rzadko używają. Między naszemi wśród pola leżącemi mieszkańcami, spotkasz czasami biały i cichy domek, który jest prawdziwą pustelnią, polowym klasztorem bez klauzury. Ja sam przypominam sobie takowe, i dlatego *Buczyn* ma dla mnie urok znajomego przedmiotu. Ale któż nie pozna, że następny obraz rysowany był z natury.

„Mały domek, zielone rasowe obicie i firanki, kanapy i stołki z włosiennéj gdańskiéj materyi, staroświeckie skromne meble, głośno bijące zegary z wagami, łóżko za kotarą ciotki, przy którém był klęcznik pod dużym krucyfiksem, obiad o 12téj, kolacya o 7méj; ciotka w kamlotowéj ciemnéj sukni, kilku ludzi w żupanach, jedna kobiéta stara Gertruda, ciotce razem i mnie służąca; lekcye regularne księdza guwernera, pielęgnowanie chorych, czytanie książek historycznych, i przechadzka za rozrywkę; oto jest wierny obraz domu mojéj ciotki, i mojéj młodości, a jednak byłam szczęśliwą."

Jaraczewska ma zasługę za swoje malowidła, nietylko jak Polka, ale także jak chrześcianka bo w istocie nie znam charakterów ludzkich, naznaczonych wyższém piętnem, jak te, które ona wystawia, oświecone i przejęte prawdziwą religią. Znowu gotówbym był utrzymywać, że zasługa to wzorów, które ona tak wiernie oddaje; nie widzę bowiem gdzieindziéj téj dziedzicznéj wiary, pojednanéj z oświeceniem jako z jednym z tamtéj naturalnych przymiotów! Historya pani podstoliny, strata okropna syna, jéj stałość, poddanie się woli boskiéj, boleść pokonana; zamknięta w głębokich tylko tajnikach serca, wszystko to najcudowniéj jest skreślone. Podobnie smutna, lubo zupełnie odmiennego toru w życiu jest druga postać w powieści: pani *Palewska*; postać również rysowana z otaczającéj nas natury.

Z instynktem artystycznym wystawiła Jaraczewska naprzeciw cichego ustronia Buczyna, dwór Grodkowski, a i ten znowu tak obyczajom krajowym wierny. Szczegóły pogrzebu chorążego, macocha zabobonna, tak odmienna późniéj śmierć podstoliny, wszystkoto są kartki z niewypowiedzianym talentem pisane, a przytém co godnego uwagi, to cieniowanie charakterów (pisarz bowiem lichy używa tylko wielkich świateł i wielkich cieniów) wystawia przeciwieństwo cnoty lub zbrodni. Nasza autorka wié jaki to splątany zwój, to serce ludzkie; nierozważny ojciec przychodzi do upamiętania przed śmiercią; macochę którą gotowiśmy byli nienawidzieć, poznajemy bliżéj; to tylko pospolita i słaba osoba, ale dobra w gruncie, zasługująca na pobłażanie, a nawet na przychylność. Takim sposobem zewsząd nowe charaktery powstają, i widzimy się otoczeni nieprzebraną rozmaitością rzeczywistości.

Zwróćmy uwagę na obraz staroszlacheckiego nieładu w Grodkowie: staje w myśli drugi nierównie doskonalszy staroświecki wizerunek, który piérwszéj części daje większą nawet malarską wartość, jak reszta dzieła, chociaż całe cenimy tak wysoko. Starosta Staliński wychowaniec Lunewilski, wszystkie inne akcessorya téj głównéj figury, są tak żywe, tak naturalne, tak z ram wychodzące, że jestto z doprawdy największéj ceny portret historyczny. Piérwszy przyjazd Zdzisława z rodzicami do Stalina, przyjęcie ich tam, wieczerza, tajemne odwiedzanie babki, wszystko to są obrazy, których pozazdrościćby mógł Walter-Scot. Gdyby Jaraczewska to tylko napisała, zasłużyłaby na wielką sławę w naszéj literaturze, bo dostawiłaby już rzetelnie z łona naszéj przeszłości wydobytych, nazawsze wydartych zapomnie-

niu i przyswojonych sztuce, postaci. Warto prawdziwie rozmysłu sztuki mistrzów; dlaczego w obrazie obyczajów narodowych, wstawiony wizerunek innego (upłynionego) wieku, nawodzi na całość wyższy koloryt, malowidło rodzajowe przemienia niejako w historyczne, pozorną prozę w najjawniejszą poezyę. Cały ustęp gdzie wchodzi pan Staliński, zda mi się dorównywać najrzadszym wysiłkom narodowego gieniuszu, kiedy sprostał mgłę przeszłości na chwilę odsłonić, albo zatrzymał który z tych *umykających jéj kształtów*, jako się wyrażał Mochnacki. W saméj rzeczy część to mistrzowska; po szczerości rysunku, po właściwości koloru, po drobiazgowéj dokładności, nie można zapoznać, że to jeszcze z żyjącego wzoru studyum. Zresztą całe tło, w które wsnuty został wizerunek, jest przewyborne; alboż historya tego syna ożenionego mimo woli staroświeckim trybem samowładnych rodziców, nie zajmująca? alboż pojednanie ich nie rozrzewnia tém bardziéj, im uczucia przeciwniéj są tamowane od przejawienia się na zewnątrz? Ten syn obrażający ojca tém, że wchodzi w czynny zawód służby krajowéj, nie cechujeż tak dobrze swojéj epoki, jak i starzec w atłasowym fraku? Sam Zdzisław akademik Warszawski nie przenosiż nas w trzecią epokę? a późniéj zatęsknienia czynnego młodzieńca w innowiecznym Stalinie, słabość jego nerwowa, namiętna tęsknota, żeby przenajmniéj burza w powietrzu przerwała jednostajność, którą oddycha, wszystko to doskonałe zbadanie i odbicie natury. Ta część powieści tak jest wyborna, że następująca, (pobyt Zdzisława we Lwowie), chociaż zapewne nie bez zalet, nie odpowiada piérwszéj. Zbyt rażące jest to przejście od spokojnych i poważnych widoków Stalińskiego pałacu, do gminnéj a odrażliwéj rodziny jurysty Lwowskiego; od szczeréj staroświecczyzny do poziomości, nędzoty i zbrodni, stęplem *nowego ukształcenia* napiętnowanych charakterów i trybu życia. Umysł czytelnika nastrojony do głębokiéj poezyi, cierpi, zwróconym się widząc ku téj obrzydliwéj powszedniości; wszakże i tu jest na czém wesprzéć oczy; postać Augustyny ujmuje i porusza, a od przyjazdu państwa starostwa do Lwowa, znowu się zaczynają te nieocenione obyczajowe malowidła, niepotrzebujące wymysłów ekscentrycznych, bo talent postrzegania i kopiowania żywéj natury, dostarcza im najwłaściwszego temu rodzajowi interesu.

Wieczór adwentowy jest rzeczywiście historya prawie jednéj familii, ale w kilku oddzielnych powieściach; w następném swojém dziele: *Piérwsza młodość, piérwsze uczucia*, Jaraczewska usiłowała jeden, ale w szerokich ramach ułożyć, obraz. Romans o którym mamy mówić, chociaż dużo zdarzeń, i dużo działających osób w sobie zawiéra, nie zdaje się wszelako według wyszukańszego osnutym być planu, niż wymagał wybrany przez autorkę rodzaj obyczajowego wizerunku. W rzeczy saméj, w obrębie najpospolitszego u nas biegu życia dwóch rodzin, w gospodarstwie wiejskiém, lub zawodzie publicznym, w powodzeniu lub niepowodzeniu domowém, w wychowaniu i postanowieniu dzieci, nareszcie w podróży za granicę, (bo wycieczka dla poratowania zdrowia do wód czeskich, zaledwie nie ma prawa uchodzić za nieodzowny w naszém życiu wypadek), znalazło się wszelako dosyć miejsca

do żywego i ciągłego interesu, i bardzo umiejętnego wystawienia charakterów i namiętności. Spieszące się do prawdziwéj rozkoszy ukazać przynajmniéj, na najcelniejsze części tego utworu i na niektóre ślady talentu i trafności, które w oczach naszych stawiają Jaraczewską w równi z temi kilku kobietami autorkami, któremi najbardziéj chlubią się drugie kraje Europy, naprzód dotkniemy tego, co nam się zdaje zasługiwać na zarzuty, jako skazy, a przynajmniéj lekkie niedoskonałości ostatniego jéj romansu.

Ile razy odczytywałem *piérwszą młodość*, z uczuciem pewnego niesmaku natrafiałem zawsze na figurę Reszkowéj. Starałem się wybadać przyczynę wstrętu do téj jednéj kreacyi, podczas, kiedy wszystkiemu innemu użyczałem najżywszéj sympatyi! Po krótkim namyśle poznałem, że nie napróżno ostrzegał mnie mój instynkt krytyczny. Nie pod względem jeszcze pojęcia, ale pod względem wykonania, zachodziła jawna dysharmonia téj części a drugich; byłoto jak gdyby wśród doskonałego obrazu łudzącego swą prawdą i pozorami życia, jedna figura grubo nakreślona w postaci teatralnéj i w niewłaściwych draperyach. Fałszywego i niegruntownego pomysłu, niepodobna oddać trafnie w niniejszym romansie, co jest niebłahym dowodem znakomitości i dojrzałości tego gatunku sztuki, wywiązanego z obecnéj okoliczności. Niepowodzenie Jaraczewskiéj w utworze figury Reszkowéj, pochodzi według naszego zdania, z błędnego wyobrażenia na którém się oparła.

Uczucie honoru, przywiązane do czystości obyczajów, posiadają u nas albo osoby wykształcone, albo prosty lud wieśniaczy; klassa zaś środkująca pomiędzy temi, klassa która przestawaniem z najwyższemi odłączyła się od ludu, jest rzeczywiście najniemoralniejsza. W całym epizodzie Reszkowéj i jéj córki, Jaraczewska chciała pogodzić wyobrażenia wyższe, uczucia wznioślejsze, z kolorytem gminnym, bytu i obyczajów mieszkańców Pokucia. Koloryt ten, nie zakrył niewłaściwości pożyczania gminowi uczuć i wyobrażeń, których nie ma. Lud inaczéj czuje, inaczéj myśli, inaczéj działa. Człowiek gminu obrażony, mści się, albo nie czuje obelgi, niższy krzywdę poniósłszy od możniejszego naturalnie porywa w piérwszéj chwili za nóż, za truciznę, za głownię; naturalnie w dalszym czasie, zachowa w głębi serca na zawsze nienawiść dla wyższych stanów, ale nie rozpacza nigdy tak głośno i tak teatralnie. Zresztą, przygoda Haliny, trochę czcza. Wszelako w niektórych miejscach, np. w opisie obyczajów na Pokuciu, w podróży Haliny do świętego miejsca, w jéj śmierci, widoczny jest talent autorki, ale popsuła wszystko nieszykowność pierwotnego pomysłu. Żywo przypomina to manierę pani Żanlis i Kottin, która na tém się zasadzała, że nazwiskami różnych historycznych epok, barwiono jednostajne tło nowoczesnych, wyższego społeczeństwa obyczajów. Były więc w tém zawsze fałsz i jednostajność. Wszyscy dziś wiedzą jak to zła jest maniera.

Figura Reszkowéj przypomina jeszcze czarownice i cyganki Walter-Skota, ale Walter-Skot inaczéj to wystawia. Naprzód zwyczaj Walter-Skota jest taki, ażeby zapoznawszy nas z aktorami swéj powieści, wywieść tych aktorów na scenę, gdzie już sami w żywym i naturalnym dyalogu, rozwijają

akcyę dramatu. W dyalogu ton i akcent mowy, odpowiadać musi koniecznie stanowi, charakterowi i obecnemu uczuciu osoby; przeciwnie w trybie opowiadającym, łatwo zbić się w przesadę i deklamacyą. Kiedy idzie o wystawienie osoby z gminu, dyalog krótki jest równie właściwy, jak niegodném jest długie opowiadanie; człowiek bowiem prosty długiéj i ciągłéj powieści naturalnie wieść nie potrafi. To samo jest, kiedy idzie o oddanie nadzwyczajnego stanu duszy, niepowszedniego charakteru, lepiéj jest dać go poznać, choćby przeczuć tylko, jednym wybłyskiem, oznaczeniem się, trybem pośrednim, niż narażać się na zbudowanie przesadnéj nierzeczywistości. Umiejętne zostawienie cieniów równie tu przydatne, jak jasne światło rzucone na rys wydatny. Zresztą, przeciwieństwo dawnéj a nowéj szkoły w romansie, w dramacie, w historyi nawet, na tém się zasadza, że my dziś chcemy widzieć obraz namiętności w ruchach, w czynach, w głosie, w jakich na zewnętrzną naturę rzeczywiście wychodzi; tamci zaś ubiegali się za uosobianiem psychologicznéj natury téj namiętności, nie pojmując, że ona się uosobiła już, i jedynie tylko właściwie w ruchu, czynie i mowie, zewnętrznego człowieka. W małowidle więc właściwém, część tylko namiętności wychodzi na jaw, reszta się przeczuwa, ale ukryta zostaje w łonie.

„Powtóre u Walter-Skota podobna Meg Merilis jest zawsze istotą wpół tajemniczą, grającą niezbędną rolę w wypadkach zawikłanych intrygi, i nieraz służącą dla nich za *Deus in machina* starożytnéj sztuki. Ukazuje się ona zawsze wśród jakiéj romantycznéj sceny, a szczególniéj bywa obleczona w wysoką poetycką barwę gminnéj figury. Miała tę myśl Jaraczewka, wystawiając swoję Reszkowę Pokuciankę, ale niedość szczerze pojęła ją jako osobę z gminu. Jeden raz tylko może pokazuje się ona w powieści z malarskim skutkiem, to, kiedy wśród uroczystości objęcia rządów dziedzicznych włości przez Henryka, nad weselącym się tłumem, wdarłszy się na pogorzelisko komina, stoi posępna, i wyciągniętą ręką ukazuje czerwieniejącą łunę zachodnich obłoków. Jestto jak raz postawa, wpół szalonéj tułaczki, ale późniéj wszędzie ona nadto powszednia, nadto rozumna, i nieprzyjemnie ukazuje się wśród innych zdarzeń, jak teatralna pani *Cnotliwska*.

„Nie mogę także się zgodzić z wstawieniem tak niespodziewaném powieści pustelnika; ustęp to wcale nie zły, ale razi że ledwie otrzeźwiony z zamrożenia starzec, ma zaraz na pogotowiu tak długą historyę. Jestto jak śpiewy pasterzów w dawnych sielankach, albo powieści romansowe u Cerwantesa. Zresztą powieść miłosna, a powieść wielkich prawdziwych nieszczęść (tutaj np. ubóstwo i śmierć) niejednakowéj miary zaufania do pomierzenia się wymagają. Dzieła Jaraczewskiéj są zwyczajnie tak pełne naturalności, że najlżejsze od niéj odstąpienia, uderzają. Trzeci i ostatni zarzut mam przeciw historyi piérwszego pana Jochanowego. Tych przykładów uwiedzenia już zanadto. Zresztą, te gwałty są dzisiaj historyą bajeczną.

„Usunąwszy te lekkie skazy, nie można się dość nachwalić tego romansu. Mówię romansu nie znajdując na razie właściwszego nazwiska, gdyż dzielę całkowicie zdanie Kraszewskiego, że dzieła Jaraczewskiéj są zupełnie ory-

ginalne, i przystając na to co on powiada, że w tych dziełach odbił się wiernie świat, w którym żyła autorka, znajduję, że to jest właśnie nasz świat, nasz wiek, prawdziwie *statu quo* obyczajowe królestwa Polskiego między 1820 a 1830 rokiem. W istocie zdaje się iż Jaraczewska dla dzieł swoich nie szuka nawet osobnéj jakiéjkolwiek osnowy, intrygi, artystycznego rusztowania, najswobodniéj ona maluje to, co ją w każdéj chwili otacza, a ku zadziwieniu naszemu w tych malowidłach luźnych, wykrywa się węzeł, snuje się w nich historya jako w rzeczywistém życiu, a co jest główną zaletą Jaraczewskiéj, to, że wszystko cokolwiek się tai w tym toku scen powszednich, gry losu, barwy najwyraźniejszéj, uczuć głębokich i stosunków tkliwych, ona to jak gdyby instynktowie pojmuje, i umiejętnie na jaw wywodzi. Zgoła w obrazach swoich maluje ona życie powszednie, ale z jego naturalną barwą, z tą barwą, któréj sami czasem we własném nie postrzegamy, ale która się znajduje, i stanowi téż z historyi każdéj osoby osobną całość (1). Oznaczyć możnaby naturę utworu Jaraczewskiéj, że jest nietylko obrazem krajowych dzisiejszych obyczajów, z zewnętrznéj ich strony, ale właśnie wizerunkiem ducha naszego społeczeństwa, uczuć i wyobrażeń, przez które dla właściwych nam stosunków i okoliczności w ciągu życia przechodzimy. W tym sposobie widzenia nie dziw, że wielką wartość do pism Jaraczewskiéj przywiązywać jesteśmy skłonni.

Schodząc do szczególnych miejsc pięknych romansu *Piérwsza młodość*, zacząć trzeba od zastanowienia się nad wstępem zawierającym obraz domu professora, ciąg nauk Gustawa i Augusta, i miłość Natalii. Ten jeden wstęp jest już doskonałą powieścią, a nawet nie ze szczupłéj liczby rozmaitych charakterów złożoną. Obraz powtórnéj żony pana Blomberg, tak gderliwéj w dniach pogodnych, a odmienionéj za nadejściem nieszczęścia, jest nowym dowodem tego wiernego studyowania natury, który wyżéj uznałem za źródło prawdy i rozmaitości obrazów Jaraczewskiéj. Pogrzeb Augusta, jak niewymownie smutna scena uczucia, i śmierć Natalii, jakże wzruszają głęboko! a w saméj już powieści śmierć nieszczęśliwéj Teresy, to zaślubienie konającéj, ta spokojna rozpacz jéj ojca i przebaczenie dane zwodzicielowi, wszystko to z nieopisaną mocą i prawdą wykonane części. Trzeba wyznać, że niéma w naszéj naturze tkliwszego obrazu jak skon Teressy; romanso-pisarze, poeci, dramaturgowie, nigdy się na podobną nie zdobyli, jest ona doskonała, a właściwie wolna od przesady, a samém pomiarkowaniem uczuć szczególnie tym tak umiejętnie użyczonym charakterem ojca, głębiéj jeszcze i potężniéj wzrusza i przenika. Kraszewski powiada, że Jaraczewska, ma osobną predylekcyą do opisów balów i uro-

(1) Każdy w szczególności człowiek ma osobne pamiątki życia, myśli, uczucia, doświadczenia pociechy i smutku; wiadomość o nich służy społeczności w pewnym odcieniu do powszechnego postępu, lecz nigdy rzeczywiście niepoznane, tkwią w jego duszy niewybadane, nikt ich z jego serca i pamięci wydrzéć i sobie przywłaszczyć nie może, ani żadna potęga odmienić ich na inne, ani ich zniszczyć nie zdoła. (Obraz myśli).

czystości; rzekłbym przeciwnie że ona ma skłonność i dar do opisu scen smutnych, śmierci i pogrzebów. W romansie nawet o którym mówimy, oprócz zgonu Teressy, wieleż to jeszcze śmierci i pogrzebów? Augusta, leśniczéj, Henryka! a wszystkie te sceny jak różne od siebie? Niepodobna nie postrzedz, że umysł autorki z upodobaniem zwyczajném charakterom melancholicznym, zwraca się ustawnie ku tym smętnym a nieuniknionym przygodom; na końcu wszystkich perspektyw życia postrzega posępny kres ziemskiego zawodu! W obrazach swoich naznacza téż dostatnie miejsce tym czarnym widokom, i nigdzie się nie weźmie za ich malowanie bez nieodpornego talentu poety. Te więc opisy swobodnego wiejskiego pożycia, balów urządzonych, obchodów rocznic i imienin, przeplata nierzadko posępniejsze malowidło; śród tego toku dni zwyczajnych, nadarza się scena, zostawiająca ślad głębokiego wzruszenia i w sercach aktorów dramatu i w umyśle czytelnika. Jestto rzeczywiście życie, niejednostajne, naprzemian wesołe i smutne.

Coto za wyborny chociaż jak od niechcenia skréślony ciąg prawdziwych tabeaux de genre, ten opis mieszkańców małego miasteczka, w którém raz piérwszy odmienia pocztowe konie Henryk po wyjeździe z Warszawy! Cóż wdzięczniejszego, jak piérwsze poznanie nasze Karoliny wśród żniwiarzy? a potém figury jarmarkowe, pani podkomorzyna i rozmowa z nią na balu. Wszystko trzebaby wyliczać, chcąc mówić o darze opisowym Jaraczewskiéj. Nie możemy wszelako opuścić jednego szczegółu, który nam do rozległych uwag nastręczył powód. Jakkolwiek to pewna, że wszelka cudzoziemczyzna ma otwarty wstęp do naszych obyczajów, to niewątpliwa także, że zostaje nam więcéj jeszcze swojszczyzny w obyczajach, niżby się z powyższego względu spodziewać można. Śród innych ludów Europy zlanych w jednostajną cywilizacyą, nie można zapoznać, że my odznaczamy się jeszcze dosyć wyraźnie osobnemi obyczajami. Gdzieindziéj niéma niejako żadnego związku między ukształceniem wyższych klass społeczeństwa, a obyczajami szczero-narodowemi ludu; u nas przeciwnie, zwyczaje ludu nie tak zupełnie ustąpiły, owszem jawią się dosyć często w trybie klass wyższych; dosyć tu wspomnieć owe obchodzenie świąt że szczególnemi obrzędami, tańce i melodye równie od wszystkich stanów ulubione. Z samego może nawet niedorównania innym w społecznych urządzeniach, z powodu mniejszéj ludności, miast rzadszych, wiejskiego zamieszkania, klimatu, mamy w domu nałogi i upodobanie zwyczaju, całkiem przeciwne znajomym za granicą naszego kraju. Co bądź, to pewna, że tryb cały naszego życia oddycha oddzielnym duchem. Wypływa ztąd dla sztuki, że lubimy się rozpatrywać w obrazach przedstawiających ten nasz odmienny typ od innych, i może téż u nas snadnie powstać, czemu gdzieindziéj bywa niepodobieństwo, rodzaj romansu obyczajowego, jaki jest w Anglii, niewyczerpanemi kombinacyami rzetelnych obyczajów narodowych zażywianego. Drugie postrzeżenie: w manierze naszych romansopisarzów, nawet niektórych poetów, powinno uderzyć owe tak zwyczajne malowanie drobnych szczegółów, bądź martwéj, bądź żyjącéj przyro-

dy. Co krok natrafiamy na jakiś obrazek troskliwie oddany, schwycony z natury, i usiłowanie żeby jéj był wiernym. Dla poznania o czém właściwie mówimy, prosilibyśmy aby każdy odczytał początek rozdziału Jarmark, w romansie, który roztrząsamy. Nietylko tu widzimy tłumy spieszącéj się jarmarkowéj ludności, ale patrzymy na pędzone stado bydła, na postawę gęsi, i *opornie idących za jednę nogę uwiązanych wieprzów.* Prawdziwe flamandzkie malowidła! Jakkolwiekbądź, to pewna, że w innych literaturach, np. we francuzkiéj, w romansie nie mogłyby się pomieścić podobne opisy. Dlaczegoż? Dlatego, że czytelników tych romansów umysły, nie są usposobione podobać sobie w takowych obrazach. Cała zewnętrzna powszednia natura, tak rozmaita i malowna w drobnych i powszednich szczegółach, w których kocha się malarz holenderski i poeta polski, nie istnieje dla francuzkiego romanso-pisarza i poety, i dlatego, musi on wymyślać te zaciekłe, namiętne, a przesadne okropności, służące za bodziec interesu w dziełach imaginacyi. Tutaj może tai się przyczyna owego dziwnego wyrodzenia się poezyi, a tak znakomitego zkądinąd i rozumnego narodu. Po dostrzeżeniu, że literatura klassyczna, była chłodna i prozaiczna, zapragniono poezyi, lecz zkądże ją wywieść? Stan cywilizacyi francuzkiéj nie dopuszczał sympatyi z naturalnemi i spokojnemi kontemplacyami, które w całéj istnącéj naturze, jednę tylko a niewyczerpaną skarbnicę poetycznych kształtów wyśledzają; umyślili, że ona jest w jakim excentrycyzmie, i tą bezśledną drogą dotąd się biją i nękają.

Poeci francuzcy zgodnie z ogólną cywilizacyą swojego narodu, przenieśli zawód sztuki całkowicie w sferę namiętności społecznych. Jestto dla niéj duszne i nieprzyrodzone powietrze, bo życie ludzkie nie powinno i nie może rozrywać węzłów z wewnętrzną naturą; a kiedy je zrywa, ściera z siebie co najpoetyczniejszą barwę. Dlategoto w poezyi, sztuce, niepoślednim gatunkiem co do wdzięku, była zawsze poezya *sielska;* dlatego nawet w literaturach uczonych zostawiono miejsce dla poematów dydaktycznych ziemiańskich, dlatego też z radością widzę, że romansopisarze nasi, prawi artyści rolniczego ludu, zdradzają charakter cały naszéj poezyi, zewnętrzną i sielską naturę odwzorowywać i powtarzać, co sprawia, że romans nasz ma prawo do nierównie artystyczniejszego znaczenia niż inne. Samo to, że składa się z obrazów pojedynczych, że naturę w najdrobniejszych szczegółach, w jéj barwach i kształtach oddaje, czyni, że nawet stylem swoim do prozy, a nie do poezyi należy. Ponieważ zaś mamy jeszcze dostateczną miarę sympatyi, z tém czysto-artystyczném dziełem, zawarować to nasz romans powinno, od szukania dla siebie niewłaściwéj zaprawy w nieprawdopodobieństwie i dziwactwie, znieważających romans francuzki. Ten ekscentrycyzm nie pochodzi z rozkoszy, ale z biedy; niéma go dlaczego zazdrościć, i gdyby nawet romans polski miał zostać (jak mówi Kraszewski) rodzajem odpowiednim temu co w malarstwie nazywają *tableaux de genre*, będzie on wszelako wyższéj natury utworem, od romansu salonowego,

tak samo, jak zawsze jest i było więcéj poezyi, w swobodnéj wiejszczyznie, niżeli w jednostajności miejskiego pożycia.

„Dobrze to zauważano, że powieści Jaraczewskiéj mają bardzo wyraźny cel moralny. Według mojego zdania, jeśli jakie dzieła mogą mieć charakter wpływających na poprawę obyczajów, to zapewne romanse i powieści w rodzaju Jaraczewskiéj. Dawne mniemanie, że teatr jest szkołą obyczajów, znacznie staniało, naprzód dzieła przeznaczone dla sceny, mają niedogodność ram trochę za ciasnych, wymagają także zbyt despotycznie effektu; w komedyi np. charaktery często muszą być posunione do karykatur, ażeby bawiły; w każdym razie zgiełk nawet, i tłok teatralnéj widowni, nie sprzyjają wyniesieniu ztamtąd wrażeń poważnych; właściwie na te tłumy ludu działa namiętność, zapał, ale nie spokojna rozwaga, i do siebie zwrócone zastosowanie. W przeciwieństwo temu cóż właściwszego jak zastanowienie się przy cichém i samotném czytaniu książki? Przed nierozgarnionym umysłem przepływają wolno i w cichości aktorowie wymyślonego zdarzenia, ich myśli, uczucia, cierpienia, postępki i ich skutki; a że wszystko to są rzeczy z powszedniego życia wzięte, czyny i charaktery naturalne i nienaciągane, a największa rozmaitość może je znamionować, niepodobna więc, ażeby nie znalazły się szczegóły, wręcz do nas zastosować się mogące, a z widoku téj gry różnych namiętności, z widoku rozlicznych spraw i skłonności, które bezstronnie sądzić możemy, wynika dla nas zewsząd gruntowna i pożyteczna nauka. Rzeczywiście, pożytek który z artystycznego wizerunku życia ludzkiego, wyciągnąć możemy, jest ten sam, który odnosimy z rzetelnego życia, z doświadczenia świata i ludzi; nauka, którą wyciągamy, wzruszenie którego doświadczamy, w niczém nie jest odmienne od tych, które w rzeczywistości służą tu moralnéj edukacyi naszéj, bo samo życie jakiż ma inny cel, jeżeli nie ten, żeby nas doskonalić praktycznie (1)? Owszem, ten nawet szczegół, który postrzedz można, że wszystkie wielkie wypadki tego świata, np. śmierć, nieszczęście i t p., sroższe są zwykle w zewnętrznym swoim okazie, niżeli w istocie większéj okropności dla tych, którzy są ich świadkami, niżeli tych, którzy przez nie przechodzą, naprowadzają na myśl, że wszystko ma przeznaczenie służyć jedynie ku moralnemu pożytkowi ludzi, i mądrość przedwieczna umiała zastosować największe klęski do miary sił człowieka, wtedy nawet, kiedy dla pożytku innych oblekła je w najwyższą zewnętrzną przeraźliwość. Uważam więc zawód dojrzałego powieściopisarza, wystawiającego w swojém dziele obraz zwyczajnego życia, tkliwe uczucia, porażające wypadki, jako pomnażającego dla swoich bliźnich massę nauk, które dla nich są koniecznemi. Użyteczność podobnéj gałęzi sztuki, sama przez się oczywistą się staje. Najużyteczniejszém jednakże dziełem tego

(1) Każdy pojedynczy człowiek ma osobną missyę, którą życiem swojém wypełnia, i niemowlę nawet, które jednę chwilkę żyło, czyto przez obudzenie czułości matki lub ojca, czy dla kary ich, lub przestrogi, czy dla okazania doczesnej znikomości, i materyalnéj nicości, dopełnia missyi względem ogółu. (Obraz myśli).

rodzaju, najbliższém praktycznéj korzyści, może być niewątpliwie romans obyczajowy, bo nastręcza naukę z prawdopodobnego zbiegu i powikłania się istnących okoliczności; stawia w położeniu w którém byliśmy lub snadnie być możemy, i kolorując otaczające nas rzeczywiście stosunki, a które z powodu swojéj powszedniości wypłowiały dla oczu naszych, pryzmatem sztuki, w wyraźniejszém świetle nam je objawia. Nie snadnie jednak znachodzi się w literaturze dobry malarz obyczajowy; wiele warunków musi mieć za sobą taki, któryby za niego wart był zostać uznanym. Musi to być koniecznie człowiek wytrawny, który sam w życiu wiele widział i uczuł, którego nadto stanowisko społeczne dało mu dokładnie rozpatrzéć się w obyczajach i sposobie widzenia narodu, a przytém, któryby miał rzadki talent poety: w obrazy swoje postrzeżenia wkładać i na jaw wywodzić. Rzekłbym nawet, że pisarz taki, snadniéj powstanie zpomiędzy kobiét, niżeli zpomiędzy mężczyzn, bo właściwy im takt i przenikliwość bliżéj, i nie jako poufaléj odsłaniają wszystkie tajniki uczuciowego dramatu domowego życia, i delikatnych odcieni towarzyskiego bytu. Nic więc dziwnego, że literatura obyczajowego romansu, z mniejszéj liczby dzieł się składa, niż inne gatunki romansu, gdzie z młodzieży ognistéj i zapalonéj zaciąga się poczet pisarzy, wybujałe marzenia imaginacyi przedającéj za rzeczywistość, choć do niéj najmniejszego podobieństwa mieć nie może. Wszędzie i zawsze trudniéj o rozum wykształcony widokiem rzeczywistości, niż o gorączkowe marzenie młodzieńcze, i dlatego chlubniejszém jest dla naszéj literatury, posiadanie trzech romansów Jaraczewskiéj, niż stosy Żaninów i Sue.

„Jak piękna moralność wynika z obrazów Jaraczewskiéj, zbytecznem zda mi się dowodzić; nie mogę jednak przenieść na sobie, ażebym nie zwrócił uwagi na ciągle obecną w jéj pismach, a tak stosowną dla nas doktrynę chrześciańskiego obejścia się z ludem wiejskim, i namowę do wzajemnéj miłości między stanami, co nietylko popiéra rzetelnym i ujmującym obrazem naszego dobrego ludu, ale także przykładami szlachetnego przywiązania wyższych ku niższym, i wzajemnie, np. tym pięknym czynem matki niepozwalającéj na odłączenie dziecięcia, kiedy to zagraża życiu mamki, albo poświęceniem Reszkowéj wysysającéj oczy zapalone ospą, swemu wychowańcowi. Piękną jest osobliwością naszych moralistów, (a może naszych obyczajów), że zawsze zasiéwają między nami nasiona miłości a nie poswaru, jak gdzieindziéj; w dziełach zaś nadobnych, w sztuce odwzorowywania ludzi i natury, najbogatsze natchnienie jest niewątpliwie w bezstronności, bo wznosi do pojęcia ogółu wtedy, kiedy namiętne uprzedzanie się czémkolwiek, odsłania tylko jednę stronę i to krzywo, i w niewłaściwych proporcyach. Te różnice widzimy na dwóch literaturach, angielskiéj i francuzkiéj; oby poznanie coraz gruntowniejsze piérwszéj, odwodziło nas od wyboczeń ostatniéj.

„Trzy romanse o których mówiliśmy, wydane bez imienia autora. Tym dziełom nie przyznano jeszcze rzetelnéj ich wartości; niewątpliwie są one tak dobrém zwierciadłem dzisiejszego narodu polskiego, jak pisma

Krasickiego, były niém przed 50 laty. Jako utwory poetyckie, są nawet wyższéj ceny, bo za czasów Krasickiego nie było jeszcze téj artystycznéj formy, jaką jest dzisiejszy romans. Rzekliśmy wyżéj, ile warunków potrzeba, ażeby powstać mógł dobry malarz obyczajowy. Jest nim Jaraczewska. Pisma jéj uwodzą nas żywo w świat, na który jeszcze patrzymy, a który dla naszych potomków, będzie już tylko historyą. Należąc ona do tak nazwanéj *szkoły klassycznéj*, wielbi nieraz talenta poetyckie Morawskiego, Osińskiego, Koźmiana, nie domyślając się zapewne w dobréj wierze, że jest nierównie od tych znakomitszym poetą, gdyż składa, (czego oni nie czynią), w jasne, nadobne i mnogie obrazy, istotne życie i społeczny byt swoich ziomków.

PRZYPIS.

Ludwika Ossolińska w życiorysie Jaraczewskiéj, co do jéj zawodu autorskiego, mówi:

„Pomimo że pochlebne o jéj pismach zdania już ją dochodziły, tak daleką była od zarozumiałości, tak się nigdy z niczego nie chlubiła, że w zamieszkałéj przez nią okolicy, długo po wydaniu piérwszego jéj dzieła, nie domyślano się, że jest autorką. Jakkolwiek przecież była obojętną na swoję sławę literacką, dwie błache i napozór nieznaczące okoliczności, ucieszyły ją niezmiernie.

Będąc w Warszawie, wkrótce po wydaniu swéj piérwszéj powieści, przechodziła raz przez Krakowskie-Przedmieście. Szedł naprzeciwko niéj jakiś młody człowiek, zatopiony w książce zapewne dopiéro kupionéj. Na twarzy jego żywe malowało się zajęcie, i w skutku téż pewnie tego zajęcia, nie spostrzegając nadchodzącéj z przeciwnéj strony osoby, potrącił ją niechcący, i o mało nie wywrócił.

Wstrzymała się jednak i spojrzawszy mimowolnie w czytaną tak namiętnie książkę, poznała swoję Zofię i Emilię. Trudno sobie wystawić jak ją ten mały wypadek ucieszył, i z jakiém upodobaniem opowiadała go wszystkim. Lecz czy radość tak pełna łagodnéj prostoty, nie świadczy zarazem, jak mało była wymagającą, i jak jéj piękna dusza cenić umiała, choćby najprzelotniejsze współczucia oznaki.

Drugi raz znowu będąc na wsi, gdzie prawie powszechnie przyjętym na prowincyi zwyczajem, daleko liczniejszy dwór miała, aniżeli tego wygoda i potrzeba wymagały; mając wieczorem jakiś rozkaz do wydania, kazała zawołać jednego z swych ludzi, lecz go nie było w przedpokoju. Wymieniła drugiego, nie było go także, trzeciego, toż samo, chłopców nawet służących przy kredensie nie było. Zadziwiona i nieco zafrasowana tém pospolitém ruszeniem, kazała poszukać zbiegów, i znaleziono ich wszystkich zgromadzonych w kuchni przy stole, wokoło kucharza, najbieglejszego zpomiędzy nich literata, który z wielkiém zadowoleniem całego grona czytał głośno *Wieczór adwentowy*. Byłato druga chwila prostodusznéj radości, i każdy to wyrozumié, że autorka snadnie, panią domu przebłagała."



wys. H.Hirszel.

w Warszawie.

BOGUMIŁ BÜRGER.

Bürger

BOGUMIŁ AUGUST

BÜRGER.

URODZIŁ SIĘ W WOLMERSVERDE W HALBERSTADZKIÉM

1 stycznia 1748, umarł 8 czerwca 1794 r.



duszą prawdziwie poetyczną i namiętną, niewiele korzystał z nauk, których słuchał to w akademi Halskiéj teologii, to w Getyndze prawa. Mimo to, zdolnością wrodzoną, i późniejszą pracą, 1786 roku, został professorem filozofii, i na téj katedrze umarł.

W dwudziestym szóstym roku wieku, zapragnąwszy spokojnego domowego życia, postanowił się ożenić. Przy wyborze małżonki, szukając tylko dobréj gospodyni, pojął starszą córkę Leonharda urzędnika Hanowerskiego. Ale nim się ożenił; już nieszczęśliwa gwiazda, zabłysła nad głową Bürgera. Po zaręczynach, poznał młodszą siostrę swojéj narzeczonéj, imieniem Augustynę. Młoda, piękna, w czternastym roku życia, natchnęła gwałtowną miłością poetę, i sama go ukochała. Nieszczęśliwy Bürger nie chcąc łamać danego słowa, nie słuchając natchnienia swego serca, bierze ślub, wobec Augustyny, ze starszą siostrą. Nierozważny ten postępek, przez lat dziesięć wystawił trzy serca na pasmo niewysłowionych męczarni. Miłość poety i Augustyny wzmagała się z dniem każdym, tém silniejsza, im mocniéj z nią walczyli. Nieszczęśliwa żona Bürgera w łzach tylko szukała ulgi: śmierć uwolniła ją nakoniec od cierpień. Przejęty głębokim smutkiem, stał nad grobem téj, która wspaniałomyślnie i zrzeczeniem się saméj siebie, znosiła stosunki tak bolesne dla przywiązanéj małżonki.

Ożenił się z Augustyną, którą w swych pieśniach wystawiał pod imieniem Mally, i lubo miał z nią najszczęśliwsze pożycie, utracił ją przy piérwszym połogu.

Śmierć ubóstwianéj Augustyny, zniszczyła w Bürgerze całą moc duszy: zaczął słabnąć, niknąć, a życie gasło w nim widocznie. Chciał ocknąć się po długo trawiącéj go rozpaczy, ale umysł nie był w stanie wzięcia góry nad sercem. Przewidując blizki zgon swój, uczuł potrzebę zostawienia matki dla sierót swoich, i zaczął szukać odpowiedniéj opiekunki. Wtém ze Sztutgardu odebrał wiérsz od młodéj, bogatéj, jak się zdawało szlachetnéj, tkliwego serca i dobrze wychowanéj panny, która z samego czytania poezyj Bürgera, najżywszą miłością dla niego przejęta, ofiarowała mu swoje serce i rękę. Ale ten, uważając tę ofiarę jako igraszkę wybujałéj wyobraźni, żartował z niéj sobie. Gdy jednakże coraz bliższe dochodziły go wiadomości, o téj szwabskiéj poetce, gdy zaczęli wystawiać mu jéj obraz w najpiękniejszém świetle, tak pod względem urody, jako téż wykształcenia umysłowego, i majątku, skłonili Bürgera przyjaciele, że ją poznał, i w roku 1790 pojął za żonę.

Ten dziwnie zawarty związek, gorzko zawiódł obiecywane szczęścia nadzieje. Po dwóch latach niezgodnego pożycia, musiał się rozwieść. Krótkie już odtąd było jego życie. Nie miał sił do pracy, wycieńczenie trawiło ciało, a ostatnim chwilom umierającego, byłby jeszcze i zupełny brak dokuczył, gdyby dar rządu Hanowerskiego (nawet bez prośby nadesłany), nie był odegnał głodu, od łoża boleści.

Bürger w literaturze niemieckiéj niepoślednie zajmuje stanowisko; żaden z poetów więcéj nie był ani czytany, ani ceniony; żyje on dotąd w ustach ludu.

Uczony Szlegel takie o nim daje zdanie:

„Bürger jako poeta, ma więcéj oryginalnéj, niż ognistéj i rozległéj fantazyi; więcéj prostéj i szczeréj, niż rzewnéj czułości; nie tak głęboki w pomysłach, jak doskonały w wykonaniu; sposobniejszy do dum i lekkich ballad, niż do wyższéj lirycznéj poezyi. W oryginalnych utworach swoich, istotny poeta ludu, umiał stylowi swemu nadać jasność, żywą działalność, świeżość, a częstokroć i rzadkich ozdób zalety.”

Twórcą w Niemczech *ballad*, jest Bürger, i dotąd niezaprzeczone trzyma on w tym rodzaju poczyi piérwszeństwo: po nim idą Göthe, Schiller, Stolberg, Hölty, Voss, Schlegel i t. d.

Antoni Edward Odyniec, znakomity nasz poeta, piérwszy dał nam poznać w tłumaczeniu ballady Bürgera. Przełożył on trzy ballady, *Lenora*, *wierność*, i *myśliwiec*.

Piérwszą Szlegel nazywa *królową ballad*, i słusznie, bo obudzając licznych naśladowców, nadała stały charakter balladom niemieckim, który po dziś dzień noszą. Treść jéj wziął Bürger z powieści gminnéj, upowszechnionéj w Niemczech, a z małą co do szczegółów różnicą, i naszemu ludowi znajomej. W obu narodach musiała być kiedyś wierszem ułożoną, co zdają się potwierdzać małe z niéj dotąd pozostałe ułamki, co dziwna, że też

same w obu językach: i tak np. u nas między innemi są cztery następujące wiersze:

„Miesiąc świeci,
Martwiec leci,
Sukieneczka szach, szach,
Panieneczko, czy nie strach."

A które zupełnie prawie odpowiadają niemieckim:

„Der Mond, der scheint so helle,
Die Todten reiten so schnelle,
Graut Liebchen, auch dir nicht?"

Słowa te podały Bürgerowi piérwszą myśl jego ballady. Późno raz bowiem przy blasku księżyca powracając do domu, napotkał śpiewającą je kobiétę: a uderzony piękną ich prostotą, wypytawszy się o resztę powieści, napisał z niéj w roku 1772 Lenorę (1).

Drugą z kolei balladą jest tak zwany *dziki myśliwy* (der vilde Jäger) czyli *myśliwiec*, napisana odmiennym zupełnie rytmem od piérwszéj, a licząca się do najsławniejszych płodów Bürgera. Pani de Staël w dziele swojém o Niemczech, tak o niéj mówi:

„Najpiękniejszém w téj poezyi Bürgera, jest silne odmalowanie niczém niepowściągnionéj namiętności myśliwca. Zrazu była ona niewinną, jak wszystkie władze duszy, ale się psuła stopniami, w miarę jak gardząc głosem sumienia, szedł za popędem rozpasanych chęci, które go w końcu tylą obciążyły zbrodniami, że ziemia znieść go nie mogła. Złe i dobre skłonności ludzi, pięknie są wyobrażone przez dwóch rycerzy, z których go jeden ostrzega, drugi do zbrodni poduszcza. Słowa zawsze też same, które chcąc go zatrzymać, rycerz prawy powtarza, z wielką są sztuką użyte. Autorowie i poeci przednich wieków, znali doskonale to uroczyste wrażenie, jakie sprawia stosownie użyty, powrót tychże samych wyrazów (*). Duchy, wyrocznie, i wszystkie nadludzkie istoty, jako nieporuszone niczém, i nieodmienne, jednako tłumaczyć się powinny, i niemałą jest sztuką, naśladować słowami tę uroczystą powagę, jaką wyobraźnia wystawiać sobie zwykła w krainie duchów i śmierci (2)."

Po Odyńcu, zajął się tłumaczeniem poezyi Bürgera, Bruno Kiciński. Przełożył on wiernie, i miarą oryginałów Lenorę i myśliwca. Tłumaczenie jakkolwiek wierniejsze co do dosłowności od piérwszego przekładu, nie ma wdzięku, jaki cechuje wszystkie tłumaczenia Odyńca. Z ballad przełożył B. Kiciński jeszcze: *Córkę dzierżawcy*, *Prawdziwą przygodę dziwnie pięknéj księżniczki Europy z starodawnym bałwanem pogańskim zwanym Jowisz alias Ceus: powieść Hilarego Jocosa opowiadana w publicznéj gospodzie rze-*

(*) Nie sami tylko poeci średnich wieków, lecz często bardzo przed nimi, i starożytni używali powtarzań: czego liczne przykłady napotkać można w *Iliadzie* i *Oddyssei* Homera.

mieślniczéj: pieśń *o człowieku poczciwym*, obchód uroczystości Wenery, pieśń pochwalna i kilka drobniejszych poezyj.

Przywiedziem tu *pieśń zimową*, którą wyśpiewał Bürger, na cześć ubóstwionéj Augustyny.

„Posępnéj zimy mroźna dłoń,
Z topoli zdarła liść,
Majowy ubiór z biednych błoń,
Nakoniec musiał znijść,
I różnobarwnych kwiatów ród,
Zasłonił śnieg i lód.

O lube kwiatki! powiem wam,
Kto zabrał wam wasz skarb,
Nadobną jednę piękność znam,
Nadobną z waszych farb,
Jak niezabudka oczy ma,
Z ust róża, twarzy lilia.

I cóż ma mnie obchodzić kos,
Lub co słowika tryl,
Gdy stokroć milszy Mally głos,
I wśród zimowych chwil;
Jéj oddech miło wciągać mnie,
Bo wiosny wonią tchnie.

Rozkosze wszystkie w jedno złóż,
A masz w jéj ustach; z róż,
Poziomek lub czereśni smak,
Nie, nie jest miłym tak:
I cóż mnie ma obchodzić maj,
Gdy w niéj mam wiosny raj!

Powieść o *Jowiszu* nacechowana dowcipem, i humorem, pełna najwykwintniejszéj charakterystyki niemieckiéj, napisaną była przez Bürgera, w najszczęśliwszych chwilach jego życia. Wyborny przekład B. Kicińskiego, nic nie pozostawia do życzenia.

Zakończymy ten krótki rys życia niemieckiego poety, przywiedzeniem pięknéj pieśni: „O człowieku poczciwym."



Łoś śpiewie mój cnotliwych cześć!
Brzmij jak organów i dzwonów dźwięk,
Bo kto zasłużył na bliźnich dzięk,
Nie złoto, pieśń mu trzeba nieść!
Ztąd Bogu cześć składam, że choć to wiem,
Jak uczcić cnotliwych, śpiewaniem mém!

Wiatr dżdżysty wiał z zachodnich stron,
I pędził z Włoch wilgotne mgły;
Ciężarne chmury przed nim szły,
Jak owce wilk, tak gnał je on,
Zmiótł z pola, bór łamał, i w głębiach wód,
Rozmiękczył, rozkruszył najtęższy lód.

Z gór starych szczytu tajał śnieg.
Wciąż spadek wód tysiącznych grzmiał;
Łąk obszar stawem być się zdał,
I głównéj rzeki wzdął się bieg,
Huczące bałwany poniosły wtór,
Piętrzące się skały lodowych gór.

Na słupach i łukach ciężki most,
Z ciosowych głazów zbity stał,
A na nim w środek rzeki wprost,
Celbudkę małą strażnik miał.
Z dziecięciem i żoną, gdzież pójdzie, gdzie?
„Strażniku! wołają, ach ratuj się!"

Z okropném wyciem burzy grom,
Bałwany gnał w strażnika dom.
Wybiega drżący aż na dach,
To tylko dał mu wyrzec strach:
„O Boże łaskawy! ulituj się!
„Zginąłem, zginąłem! któż zbawi mnie?"

Bałwany rwały strzał na strzał,
Z obójga brzegów tu i tam.
Z obójga brzegów potok sam,
Łuki i słupy w wodę rwał.
A strażnik z swą żoną, co tylko sił,
Od wiatru, i fali, okropniéj wył!

Bałwany rwały raz po raz,
Z obójga brzegów tu i tam,
I słup za słupem w oczach nam.
I spadał w dno po głazie głaz,
I już się do środka pęd fali drze,
O Boże łaskawy! ulituj się!

Stał ponad brzegiem liczny tłum,
I każdy dłonie łamał swe,
Lecz któż z nich zbawcą zostać chce?
Nikt, bo przeraża fali szum.
A strażnik z swą żoną, co tylko sił,
Od wiatru i rzeki okropniéj wył.

Głoś śpiewie mój cnotliwych cześć!
Brzmij jak organów i dzwonów dźwięk:
Niech wdzięczna piosnka śpieszy nieść
Tym, co zasłużą szczery dzięk!
Ach! już się do środka pęd fali drze!
O zbawco cnotliwy, ach! objaw się!

Przed most pan jakiś leci wcwał,
Spieniony pyszny zieje koń,
Czém brząka zdala pańska dłoń?
Trzos pełny złota w ręku miał.
„Sto czątych w tym trzosie. Zyska te sto,
„Jeżeli tonących ocali kto."

Cnotliwym twoim panże to ów?
Mój dobry śpiewie, objaw nam?
I o tym panu ze czcią mów,
Lecz jeszcze cnotliwszego znam.
O zbawco cnotliwy! już objaw się,
Bo fala celbudkę obalić chce.

I coraz wyżéj warł pęd wód,
I wiatr nie przestał głośniéj wyć,
I coraz bardziéj blednął lud.
„O zbawco! zbawco! prędzéj idź."
Wir słupy po słupach zwalał i tłukł,
I z trzaskiem po łuku upadł łuk.

Héj! wiara! śmiało w nurt się rzuć!
Wykrzyka pan, wskazując trzos,
Choć każdy słyszy pański głos
Nikt jednak nie śmié wskoczyć w łódź.
A strażnik napróżno, co tylko sił,
Od burzy i rzeki okropniéj wył.

Wtém przyszedł prosty chłop nad most,
Wędrowny kij w swém ręku miał,
I w samodziałce prostéj stał;
Lecz miał wspaniałą twarz i wzrost.
Usłyszał on pana poważny głos,
I przejrzał po wodzie swój zgubny los.

I w imię Boga żegnając się,
W rybackie czółno wskoczył wprost,
I mimo fali, mimo krę,
Szczęśliwie przybył przed sam most!
Lecz biada! za małe jest czółno te,
Nie można, odrazu wziąć wszystkich w nie!

Obrócił trzykroć czółnem swém,
I mimo fali, mimo krę,
Szczęśliwie mu powiodło się,
Ocalić wszystkich trojga niém.
Zaledwie ostatnie złożył na brzeg,
Wnet z hukiem i trzaskiem most w wodę legł.

O śpiewie mój, na czyjąż cześć,
I komuż nucisz luby dzięk?
Chłop, który śmiał swe życie nieść,
Wszak czynił to na złota brzęk:
Bo gdyby nie brzęknął był pański trzos,
To możeby nie był i życia niósł.

— „Człowieku dzielny! mówi pan,
Przyjdź i nagrodę twoję weź."
O śpiewie mój, cześć panu nieś,
Bo on zaszczycił cały stan.
„Ach! jeszcze szlachetniéj, powiada śpiéw,
Biła pod prostą sukmaną krew."

— „Życia za złoto nie daję, nie!
Lubom ubogi, mam co jeść,
Twe dary panie! tym racz nieść
Co dziś stracili mienie swe."
Rzekł, serca prostotę malował ton,
I cicho nieznany odstąpił on.

Głoś, śpiewie mój, cnotliwych cześć,
Brzmij jak organów i dzwonów dźwięk,
Bo kto zasłużył na bliźnich dzięk,
Nie złoto, pieśń mu trzeba nieść.
Ztąd Bogu hołd składam, że choć to wiem
Jak uczcić cnotliwych śpiewaniem mém!

(Przekład na miarę oryginału Brunona Kicińskiego).

PRZYPISY.

(1) Mamy w całości pieśń ludu podobną do treści Lenory, w której znajdujemy taką poetyczną zwrotkę, o jeździe dziewczyny, którą szatan porwał.

„Jak ci ją wziął tak niesie,
Po boru, po lesie;
Bory, lasy szumiały,
Gałęzie się łamały",

(Pieśni ludu K. Wójcickiego, War. 1836 T. I. st. 100).

(2) Na podaniu znajomém w całych Niemczech Bürger oparł treść swego *„dzikiego strzelca"*.

Niejakiś Falkenburg, dozorca lasów królewskich, całkiem oddany polowaniu, tak przytém był rozwięzły i srogi, że urągając się z religijnych obrządków, w niedzielę tylko, lub w inne dni poświęcone modlitwom, wyjeżdżał zwykle na łowy, dopuszczając się najdzikszych okrucieństw nad swemi poddanemi. Po jego śmierci, lud przyjął, powszechne mniemanie, że za karę, przez zbytnią chęć do łowów popełnionych zbrodni, Bóg go potępił na wieczne polowanie po śmierci. Częstokroć w głębi ciemnych lasów w Niemczech, dają się słyszéć jakieś hałasy. Pochodzą one z krzyku ptastwa zwanego Scolopax Galinago, które się tłumnie po tych lasach znajduje: lud jednak pragnie w nich rozróżniać znany głos Falkenburga, szczekanie psów i trąb dźwięki, i ztąd słyszany odgłos *łowami dzikiego strzelca* nazywa.

Młody myśliwy raz obłąkany nocą śród lasu, usłyszał blizko siebie ten hałas, a chcąc doświadczyć prawdy:

„Glück zu Falkenburg," zawołał. „Dzięki ci" (odpowiedział głos gruby) za dobre życzenie; podzielmy się zdobyczą; i kawał przegniłéj zwierzyny, upadł pod nogi zuchwałego młodzika, który wkrótce utracił dwa najlepsze konie, i nigdy zupełnie z doznanego przestrachu przyjść do siebie nie mógł. Powieść ta, z różnemi zmianami opowiadana jest powszechną, jako prawda ludowa, w całych Niemczech.

U nas w Polsce niebraknie tego rodzaju powieści; znikają one powoli, wraz z naszemi puszczami i ogromnemi niegdyś lasami, utrzymując się jeszcze w ustach strzelców, i ludu Sandomierskiego co zasiadł pod garbem Karpat przy *Łyséj górze*. Opowiadano mi, że w tych bukowych lasach, słychać w dzień świąteczny i uroczysty zaraz po uderzeniu dzwonu na poranną modlitwę, jakiś głuchy odzew myśliwskiego rogu, przytłumione ujadanie psów na miejscu, zakończone jękiem bolesnym. Pan to możny, łowiec zapamiętały, nieszanujący świąt i nabożeństwa, jak potępieniec poluje od porania do czasu *summy* w kościele, i będzie tak polować dopóty, dopóki czasu naznaczonego na pokutę nie dojdzie, i nie dostanie się do Czysca.



DANTE ALIGHIERI.

DANTE ALIGHIERI.

Szóste już upływa stulecie, od czasu w którym prorok poeta i ojciec poezyi włoskiéj, Dante Alighieri, pozostawił nieśmiertelną swą *komedyą*, przez następne wieki tytułem *boskiéj* ozdobioną. Dzieło to, utwór wszechstronnego gieniuszu, przedstawia nam w najwydatniejszych kolorach epokę średniowieczną, w formę poezyi ujętą, i służy dotykalnym dowodem téj głębokiéj prawdy, że prawdziwa poezya, jest organiczną częścią życia narodu, a prawdziwy poeta arfą Eola, z któréj najlżejsze musnięcie uczucia ludu, najuroczniejsze dźwięki wydobywa. Obok Fausta i Manfreda, niezaprzeczenie *boskiéj komedyi* miejsce należy. Kiedy Goete w Fauście starożytnym wyobrażeniom, plastyczne odśpiewuje *requiem*, kiedy Byron w Manfredzie, ostatnie sceptycyzmu XVIII wieku przedstawia wysilenia, i burzy je, przez wysadzenie wieży z bohaterem; Dante w Boskiéj komedyi opisał mgławą jutrzenkę, poprzedzającą wejście nowego świata, zapowiadającą ranek dnia, pełnego burz i grzmotów. Dziwnie pięknie rozwijało się nowe życie na gruzach starego świata! Dziwnie téż pięknem jest i poema opisujące to wejście w kolorach, z przepychem dobieranych! Witając w Dantem, Koryfeusza poezyi włoskiéj i chrześciańskiéj, skreślimy przedewszystkiém dla łatwiejszego ocenienia tego poety, rys historyi polityczněj Włoch do Dantego, następnie, stopniowe tworzenie się i kształcenie języka, tudzież poezyi ludów włoskich, a w końcu powiemy o Dantem.

Na zachodnie państwo Rzymskie od połowy V wieku, napływały kolejno dzikie ludy północy i osiedlały się w pięknéj włoskiéj ziemi. Spróchniały tron Augustów, na którym siedzieli w końcu niedołężni ich następcy, zajmowali wodzowie nowo przybywających ludów. Wędrówki narodów trwały przez kilka wieków, a wraz z niemi krwawe wojny, mordy i pożogi, niszczyły sta-

rożytnego świata zabytki. Przy końcu X wieku, po długich bitwach, nastąpiło ostateczne usadowienie się ludów, a Włochy północno-środkowe dostały się w ręce cesarzy niemieckich, przedstawicieli władzy, która miała nowemu politycznemu porządkowi nadać początek. W tym czasie władza papieży, naczelników kościoła, na górującém ich świetle ugruntowana, doszła swego zenitu, i trząsła nowym chrześciańskim światem. Teokracya, ta mamka ludów, wypiastowawszy młode pokolenie, z kolei miała stér oddać w cudze ręce, bo tak odwieczne, uniwersalnie historyczne wymagało prawo. Przelew władzy, a raczéj jéj zdobycie, wywołał krwawe długoletnie walki pomiędzy papieżami a cesarzem. Biédna włoska kraina, stała się teatrem rozlewu krwi, każde nowe historyczne zjawisko, poprzedzającym. Krew jednak włosi nie przeleli napróżno, z trupów bratnich, niektóre miasta dohodowały się nieznanéj jeszcze swobody, a między panem i wassalem, temi dwoma ogniwami ówczesnéj władzy, powstały, zbiorowi wassale, miasta wolne włoskie. W XI wieku, płonie w Europie łuna, papiezkiéj władzy skon poprzedzająca: wojny krzyżowe. Z fanatycznym entuzyazmem, z krzyżem na piersiach, mówiąc różaniec, szedł krzyżowiec na wschód, mieczem wieczne odkupienie zdobywać, i ani myślał, że oprócz grobu Zbawiciela, który utraci, pocieszające zdobędzie wawrzyny; ani marzył, że on, wróg zacięty Wschodu, któremu śmierć poprzysiągł, nabierze jego wyobrażeń, przeniesie do swéj ojczyzny, i na rodzinnéj je ziemi, pod swojém niebem zaszczepi.

W roku 1152 Fryderyk I rudobrody, długie z miastami wolnemi prowadził wojny, chąc je przywieść do posłuszeństwa; mimo to zamiaru swego nie przywiódł do skutku, miasta albowiem zawiązały między sobą ligę lombardzką, i poraziwszy go pod *Lignano*, zmusiły do zawarcia pokoju konstancyeńskiego w roku 1183, którym cesarz przyznał niepodległość miast włoskich, nadając im prawa wassalów koronnych. Stan ten miast włoskich, który z początku zdawał się być najpożądańszym i najszczęśliwszym, pociągał wkrótce za sobą najsmutniejsze klęski. Z jednéj strony cesarze niemieccy będąc panami Włoch, zażądali utrzymać nad niemi władzę, i ciągłemi prawie trapili je wojnami; z drugiéj strony, same miasta jużto w chęci powiększenia swych granic, jużto z obawy silniejszego sąsiada, nieustanne pomiędzy sobą zawiązywali ligi, okropne i krwawe walki. Tak w ostatnich 17 latach XII wieku, widzimy wojny między Genueńczykami i Pizańczykami, Placencyą i Parmą, Ferrarą i Mantuą, Astą a markizem Monferratu, Medyolanem i Lodi, Bolonią i Genuą, Weroną i Padwą. Stan Włoch w tym czasie był okropny. Nietylko albowiem miasta mieszając się do wojen papieży z cesarzami (1), i utrzymując którego z nich stronę, brały się jako Gwelfi i Gilbellini do oręża przeciw sobie, ale nawet w jedném mieście, w jednym prywatnym domu, tworzyły się stronictwa śmiertelne, nieprzyjazne sobie. Ztąd nieustawne w ów-

(1) Welfy i Wajblingi, w wymawianiu włoskiém przekształcone na Gwelfów i Gibellinów, w czasie kłótni cesarzy z papieżami oznaczały stronnictwa: Gwelfy papiezkie, Gibellini cesarskie, potém obrońcom władzy monarchicznéj Gilbellinów, a republikanom Gwelfów, dawano imię.

czesnych kronikach miast wzmianki, o zdradach, wygnaniach, zabójstwach i morderczych bitwach między współobywatelami. W końcu XIII i na początku XIV wieku, miłość wolności i niepodległości miast włoskich, wydała przeciwne rezultaty. Obrani po miastach wodzowie wojsk na czas wojny, przyjąwszy raz władzę, nie chcieli jéj składać w pokoju; do zmuszenia siłą potrzeba było nowych wybrać wodzów, i zdarzało się, że w miejsce jednego pana, było dwóch w jedném mieście walczących między sobą zażarcie; tak Torriani i Visconti wiedli spór o panowanie nad Medyolanem i innemi miastami Lombardyi. *Azzo* VIII *d'Este* został panem Ferrari i innych zamków; *Fisiraga* Lodi, *Langoschi* Pawii. Florencya (1) zrzuciwszy jarzmo Gibellinów, w roku 1250 narzucone jéj przez Fryderyka II, stała się ogniskiem Gwelfizmu. Fanatyzm florentyński chcący nawrócić do Gwelfizmu całą Toskanią, wypowiedział wojnę Pizańczykom, miastom: *Pistoi*, *Volterra* i *Siena*. Gibellini, weszli skrycie w układy z Manfredem synem Fryderyka, lecz będąc odkrytemi, musieli ustąpić z Florencyi, a większa ich część zginęła. Wygnani Florentczykowie Gibellini pod dowództwem *Farinata de gli Uberti*, porazili Florentczyków gwelfów, przy Arbii pod *Monteaperto*. *Guido*, *Novello* i *Giordano*, wikaryusz Manfreda weszli w tryumfie do Florencyi. Przybycie Karola Andegawskiego, podtrzymywanego od Urbana IV, do Włoch, położyło koniec panowaniu Gibellinów we Florencyi, któréj on sam został panem. Taki stan chaotytycznego ścierania się sił ludzkich, pośród tylu burz, przedstawiają nam Włochy przed Dantem.

Rzućmy teraz okiem na stan cywilizacyi Europy. Z północnymi ludami, osiadło we Włoszech nieoddzielne od nich barbarzyństwo i zepsucie w sztukach i umiejętnościach; wprawdzie ciemnota ta, już oddawna, bo jeszcze przed najściem hord, zbierała się nad Europą, pod nimi jednak stała się zupełną, i zagrażała, że będzie wieczną. Po osiedleniu się zupełném dzikich ludów, ciemnota ciążąca nad Europą pomału poczyna się przerzedzać, mianowicie we Włoszech, z początkiem uprawiania języka łacińskiego. Mimoto w VIII wieku duchowieństwo łacińskie z francuzkiém wiodło jeszcze spór o lepsze śpiewanie mszy świętéj, którą z trudnością rozumiało, a sam cesarz Karol Wielki, w roku 787 znajdujący się w Rzymie, osobiście musiał go rozstrzygać. W IX wieku kronikarze o zjawieniu się znakomitego grammatyka, o podróży oklaskiwanego doktora, wspominają jak o jakim cudzie; lecz staraniem papieży, pozakładane szkoły, a następnie uniwersyteta, wydały w XII wieku zdatnych professorów, mianowicie teologii i prawa. Filozofia scholastyczna, jakkolwiek z błędnych źródeł czerpana, a jeszcze gorzéj do teologii zastosowana, służyła jednak do zaostrzenia umysłów. W sztukach pięknych, jeśli i widać dzieciństwo, to dzieciństwo rokujące najpiękniejsze nadzieje. Kiedy w historyi politycznéj wieków średnich, występują na scenę działania, nowe narody, a z nowemi wyobrażeniami, nowemi zwyczajami i nowym językiem, kiedy narody te ujarzmiwszy, a nie wytępiwszy Rzymian, osiedliły się przy nich

(1) O Florencyi, jako miejscu urodzenia Dantego wspomnieliśmy szczegółowiéj.

w ziemi włoskiéj, kiedy nieustanna walka, uparte ścieranie się sił, a ztąd odosobnienie się, stanowi wybitny charakter nowego życia ludów, łatwo możemy się dorozumieć jakim zmianom musiał uledz język łaciński, po najściu Gotów, Longobardów. Nie wypuszczamy jednak z uwagi, iż te dzikie napływcze hordy, po podbiciu narodów, nie przez uszanowanie praw ludów, lecz jedynie skutkiem barbarzyństwa, dozwalały zwyciężonym używać dawnych ich praw i języka, poczytywali ich bowiem przez dumę, niegodnymi jakiegokolwiek uczestnictwa, w ich politycznym bycie. Pozostawiony w użyciu język łaciński, już i tak w skutek upadku oświaty we Włoszech, zepsuty, jeszcze większemu nateraz uległ przeistoczeniu, i dał takim sposobem początek językowi włoskiemu. Opinie jednak Włochów w tym przedmiocie dosyć są sprzeczne między sobą. Leonardo Bruni, uczony XV w. mniema, że język włoski jednakową ma dawność z łacińskim, z tą tylko różnicą, że piérwszy używanym był od prostego narodu w rozmowach poufałych, ostatnim zaś mówili Rzymianie i pisali publicznie, w rzeczach publicznego porządku dotyczących. Za zdaniem tym poszli: Kardynał Bembo i Quadrio, i w poparciu jego przytaczają: że w Plaucie i Terencyuszu znajdują się sposoby mówienia i słowa, których nie używają inni pisarze łacińscy, a więc mowa ta jest włoską, przywodzą nadto: że w szkołach rzymskich uczono języka łacińskiego, a przeto on nie był językiem ludu. Nie będziemy zbijać te zdania, w samych albowiem przytoczonych zarzutach cała się ich niedorzeczność maluje. Więcéj zasługującém na uwagę jest twierdzenie pana Maffei. Ten wykazując bezzasadność mniemania Leonarda Bruni, mówi: że język włoski powstał przez zaniedbanie w mowie języka łacińskiego wykształconego, grammatycznego i poprawnego, a wprowadzenie w użycie powszechne języka gminu, niepoprawnego i źle wymawianego. Dodaje przytém, że liczba barbarzyńców była za szczupłą, do zdziałania wielkiéj odmiany, że języki tych narodów były przykre i trudne w wymawianiu, napełnione spółgłoskami, i zaledwie rzadki w nich wyraz kończył się na samogłoskę; przeciwnie zaś język włoski jest łagodnym i przyjemnym, składającym się z wielu samogłosek; język więc tak łagodny nie mógł się zrodzić z matek do tyla barbarzyńskich. Nie wdając się w rozbiór kwestyi pana Maffei, spodziewamy się je łacniéj usunąć, przedstawiwszy rzeczywisty obraz tworzenia się języka włoskiego. Język łaciński, jak i każdy język żyjący, innym był w dziełach pisarzy, a innym w ustach ludu. Sądząc po autorach łacińskich przed V w. istniejących, język łaciński uczony, przez napływ do Włoch mówców, poetów i historyków z Francyi i Hiszpanii, był dalekim od czystości języka wieku Augusta. Jeżeli tak rażącéj odmianie uległ język uczonych, którzy jeszcze mieli wzory pod ręką i namysł, większą nierównie ucierpiał zmianę język ludu, kiedy barbarzyńskie hordy zalały Włochy. Z systematu politycznego urządzania się, barbarzyńcy nie chcieli ludom włoskim wtłoczyć swój dziki język; przymuszeni więc byli używać języka krajowców; skutkiem praktycznéj jego nauki, po wprowadzali do niego swoje słowa i wyrażenia, nadając im obroty i harmonią języka łacińskiego. Krajowcy żyjąc z cudzoziemcami, ścierając się i roz-

mawiając z nimi, poprzyjmowali zmiany przez nich używane; a takim sposobem z czasem utworzył się nowy język, dziki i niekształtny, bez ustalonych praw, bez wzorów do naśladowania, ulegający jedynie kaprysom gminu, język włoski (1). Początek jego zaczyna się od wieku XII. Jednak jak język łaciński w rozmaitych prowincyach i miastach Włoch był odmiennym, tak też i nowy włoski zaraz przy pierwiastkowym kształceniu dzielił się na liczne narzecza, podział jakowy utrzymał się po dzień dzisiejszy. Rozdrobnienie to obok nowo wchodzącéj mody w XII i XIII wieku co do języka prowanckiego, opóźniłoby znacznie jego udoskonalenie się, jeśliby nie znalazł protektorów i wykształcicieli na dworze Fryderyka II, króla sycylijskiego, w filozofach bolońskich, a nadewszystko w poetach, przed Dantem zjawiających się, którzy już zaczynali torować drogę, do utworzenia się jednego języka, z tylu tak odmiennych narzeczy. Dante wyliczając rozmaite narzecza miast włoskich, wspomina już o języku ogólnym całych Włoch, któremu nadaje nazwy znakomitego kardynalnego dworskiego, a którego mieli używać sławni doktorowie w swoich poematach, tojest Sycylijczykowie, Pulijczykowie, Toskańczykowie, Romanczykowie, Lombardowie, mieszkańcy Marchii trewizańskiéj i ankońskiéj. Powszechny ten język znajdował się jeszcze w dzieciństwie; aby wyprowadzić do szczytu tę wielką budowę, pozostawało jeszcze wiele do zrobienia. Widoczne w nim były świéże ślady barbarzyńców: słowa pokaleczone, skracane lub przedłużane dowolnie, bez gustu i znajomości, zakończenia niewyraźne, nieregularne i niepodobne. W takim stanie był język włoski, kiedy pojawił się Dante. Olbrzymi ten gieniusz do swego nieśmiertelnego dzieła, którego treścią miała być narodowa rzeczywistość, którém chciał działać na naród, chciał więc, aby był przystępnym i zrozumiałym dla każdego, potrzebował już znacznie wykształconego języka, języka, którym najdelikatniejsze uczucia, najstraszniejsze wybuchy namiętności, mógłby snadnie oddać, przedstawić i uidealizować! potrzebował języka, którymby mógł oddać całe piekło i niebo. Chęć gieniuszu objawia się w czynie; chęć jest dla niego to, co i dokonać. Tylko jeden gieniusz, skradł jak nowy Proteusz iskrę twórczości Bogu, co tylko jeden mówi: stań się, i stało! Dante, możemy śmiało powiedzieć stworzył sobie język, odpowiednio jego nowym obszernym wzniosłym wyobrażeniom. A jak jedność Włoch jest dogmatem jego politycznym, tak też ta sama jedność, dopomagała mu przy wyrobieniu powszechnego języka. Z rozmaitych narzeczy wybierał on gruntowną krytyką, mając zawsze na uwadze pierwiastek łaciński, zasady grammatyczne i użycie; lub tworzył słowa i wyrazy do wiernego odmalowania swoich pojęć. Tak w jego boskiéj komedyi napotykamy wyrazy: florentyńskie, piemontskie, lombardzkie, łacińskie, greckie i nowe.

Skreśliwszy rys utworzenia się, a następnie rozwijania się języka włoskiego podług zamieszczonych poddziałów, pozostaje nam mówić o poezyi włoskiéj.

(1) Wszystkie języki w skutek zmieszania się dzikich ludów z ludami używającemi języka łacińskiego, powstałe, nazwano ogólnie romańskiemi (romano albo romanzo).

Przez długi czas po usadowieniu się północnych ludów we Włoszech, nie napotykamy śladów użycia nowo wyrodzonego języka do poezyi. Przywiléj ten pozostał przy dawnym, łacińskim. Na przeszkodzie temu stanął stan tych ludów, które nieustannie mieszały się jedne z drugiemi. Po zlaniu się ostateczném ludów germańskich i skandynawskich z dawném plemieniem Rzymian, i po ustaleniu politycznego ich bytu, pokazuje się u nich poezya, chociaż nie w własnym języku, a prowanckim. Piérwsi poeci prowantcy ośmielili się poetyzować w rodzinnym języku, a przeniósłszy się na dwory panów włoskich, i znalazłszy w nich dobre przyjęcie, dali przykład do naśladowania krajowcom. O poetach tych w kronikach owoczesnych nie najchlubniejsze znajdują się świadectwa. Podług nich, poeci prowantcy, nazywani byli giullari (błazny), nazwa niebardzo honorowa dla godności poetyckiéj, a częściéj *trovatori*, trubadorowie, zapewne od słowa *trovar, znajdować*. Na obchody uroczyste książąt i wielkich panów, pojawiali się trubadurowie i wyzywali jeden drugiego do wierszowania, w celu uzyskania sławy i okazania męztwa poetyckiego. Tym spobem potrafili sobie zjednać szacunek, i książęta włoscy ubiegali się pomiędzy sobą, o zaszczyt mienia ich na swych dworach. Jedna myśl obrócona na tysiąc różnych sposobów, wyrażenia płaskie i zwyczajne, nudząca jednostajność, wiersze ciężkie i przykre, rymy dziwne i naciągane, są prawie nieodłącznemi przymiotami poezyi prowanckiéj. Przedmiotem zaś jéj zawsze miłość, a sami poeci byli czy nie byli, musieli udawać rozkochanych, mówić o przedmiocie miłości, i przypominać lub zmyślać bohaterskie czyny dla niego podjęte. Najdawniejszy pomnik poezyi prowanckiéj, sięga wieku XI, mianowicie poezye Wilhelma IX, hrabiego Poatie. Włosi zazdrosząc powodzenia poetom prowanckim, już w wieku dwunastym zaczęli sami śpiewać w ich języku. Piérwszym pomiędzy nimi miał być Folchetto di Marsilia rodem Genueńczyk, za którego przykładem poszli i inni jakoto: Nicoletto da Torino, Bartolomeo Giorgi, Bonifacio Calvi, Alberto Qualia, Percivalle Doria, Alberto Markiz Malaspina, i sławny z męztwa i przygód Sordello. Kiedy poezya prowancka w XIII wieku tyle znalazła zwolenników we Włoszech, język włoski okrzesawszy się nateraz z pierwotnéj dzikości, zaczyna być używanym w poezyi lub prozie. Jakkolwiek słabe są piérwsze poetyckie próby w języku rodzinnym, gdy jednak one utorowały drogę późniejszym następcom, poświęcimy przeto kilka wierszy wschodzącéj jutrzence poezyi włoskiéj. Opuściwszy Lucio Drusi, istnienie którego w XII wieku podlega wątpliwości, zastanowim się nad Ciullo, albo Vincenzo d'Alcamo, któremu słuszniéj należy piérwszeństwo dawności w poezyi włoskiéj. Ciullo rodem Sycylijczyk, pozostawił jednę *Canzone*, któréj każda zwrotka składa się z pięciu wierszy, z dwomami rymami, tojest piérwsze trzy wiersze mają jeden, i ostatnie dwa, jeden rym. Trzeci wiérsz téj canzone przytacza Dante jako przykład narzecza grubego i gminnego, nie wymieniając jednak autora. Opierając się na domniemanéj dawności Ciullo d'Alcamo, Sycylijczykowie roszczą prawo do piérwszeństwa w uprawieniu poezyi włoskiéj. Rzeczywiście, okoliczność ta obok kwitnięcia poezyi włoskiéj

na dworze Fryderyka II króla Sycylii, stanowi prawie zupełny dowód, że ona wzięła swój początek u Sycylijczyków. Fryderyk II nietylko zaszczycał swoją łaską i zachęcał poetów, lecz i sam w niéj sił swoich probował. Za przykładem ojca poszedł i Syn Enzo, król Sardynii i kanclerz Fryderyka Piotr delle Vigne. Niektórzy zaliczają także do najdawniejszych poetów i Sgo Franciszka, z piérwszemi jego dwoma towarzyszami, bratem Eliaszem i Pacyfikiem. Wszyscy wyżéj przytoczeni poeci przemilczeni są u Dantego, który największe pochwały oddaje Guido Guinicelli, żyjącemu przy końcu XIII wieku. Po nim następują: Guido Ghislieri, Buonagiunta da Lucca, Tommaso i Ugolino Bucciola, Guittone di Arezzo, i Guido Cavalcanti. Ten ostatni był wielkim przyjacielem Dantego; zajmował się filozofią, napisał wierszami o sztuce retorycznéj, i *Canzone* o naturze miłości. Rodem był florentczyk, należał do partyi wichrzących Florencyą i zesłany na wygnanie do Serzono, tam umarł. Styl jego jest więcéj wykształconym, a z odrobienia przedmiotu widać, że znał dobrze poruszenia serca ludzkiego i filozofią moralną. Canzone jego o naturze miłości tak była sławną, że rzadkie nawet talenta poświęcali się układaniu nad nią komentarzy. W końcu wypada nam wspomnieć Ninę Sycylankę, która przez miłość ku Dantemu z Majano, poecie florentyńskiemu, nazwała się Nina Dantego, i była piérwszą poetką włoską. Taki był stan poezyi włoskiéj przed Dantem, w szczupłych liryzmu zamknięty szrankach, jeszcze się nie śmié na coś wznioślejszego zdobyć! Poetom jeszcze brakuje śmiałości, zapału, śpiewają krótko, boją się, probują tylko czy téż na nowo naciągniętéj lirze włoskiéj coś zagrać można!

Nakoniec przystępujemy do samego Dantego. Dante Alighieri urodził się we Florencyi dnia 27 maja 1265 roku z ojca Alighiero degli Alighieri i matki Bella, i otrzymał imię Durante, potém przez zdrobnienie i skrócenie przerobione na Dante. W dziesiątym roku swego życia pokochał Beatricę, czyli Bice, córkę Folco Portinari, jednego z nim wieku, i miłość swą pomimo jéj śmierci w roku 1290 nastąpionéj do grobu przechował. Uderzającą a jednak niezaprzeczoną jest ta okoliczność, że najwznioślejsi poeci: jakoto Ariosto, Tasso, Petrarka, w ziemskiéj miłości, znajdowali bodziec, który ich nad gmin wywyższył, że miłość ta rozniecała w nich iskrę gieniuszu, za pomocą którego do wieczności się przedarli. Miłość ku Beatrice, miłość czysta, platoniczna, jaka się tylko w sercach młodzieńczych i nieskażonych rodzi, dochodzi w Dantem swego zenitu, staje się uznaniem i intencyą najwyższego dobra, jako święte palladium trwa wiecznie w świątyni jego serca, i doprowadza go do ideału piękności! Czyliżby tylko jedna namiętność miłości miała otwierać drzwi do raju poezyi? A jednak trudno się na to nie zgodzić. Zaraz z młodości swojéj Dante utraciwszy ojca, który mu znaczny majątek pozostawił, oddał się zgłębieniu nauk ścisłych i literatury pod kierunkiem sławnego Brunetto Latini, sekretarza Rzeczy-pospolitéj florentyńskiéj, poety i filozofa. Niemałą także odniósł korzyść z przyjaźni Guido Cavalcanti i innych ówczesnych poetów. Lubił nadto Dante sztuki piękne, i w przyjaznych zostawał stosunkach z miniaturzystą Oderigi, malarzem

Giotto i muzykiem Casella. Pośród swych nauk głębokich i walk wewnętrznych, Dante znalazł czas do poświęcenia się usługom ojczyzny. Zapisawszy się, stosownie do praw florentyńskich, do professyi doktorów i aptekarzy, bronił swéj ojczyzny w dwóch bitwach: 2 lipca 1289 roku pod Campaldino, w piérwszych szeregach jazdy florentyńskiéj gwelfskiéj przeciwko gibellinom z Arezzo, w towarzystwie Vieri Cerchi i Corto Donati; i następnie w roku 1290 w miesiącu sierpniu znajdował się przy wzięciu Pizanom zamku Caprona, i w czasie tego szturmu poznał się z Guido da Polenta panem na Rawennie, naczelnym swym wodzem. W roku 1295 Dante pojął za żonę Gemma di Manetto di Donato dei Donati. Niektórzy biografowie włoscy utrzymają, iż Dante spotkał los Sokratesa! połączył się bowiem z Ksantyppą. Udanie się żony po zburzeniu domu wraz z synami, pod opiekę Donati gwelfa, być może niepokoiło wzniosły i gibeliński umysł Dantego, który się tym sposobem poczuwał być obowiązanym, najgorszym swoim nieprzyjaciołom. Przypuszczenie to obala dostatecznie dochowanie się dzieci, z których: Piotr był wysłany do uniwersytetu w Bolonii i doktoryzował się w prawie; Jakób w roku 1340 miał sobie powróconym skonfiskowany majątek ojcowski; Aligero i Elizeusz, zmarli w wieku dziecinnym, a Beatrice wstąpiła do klasztoru Śgo Stefana w Rawennie, i otrzymała w darze od Rzeczy-pospolitéj florentyńskiéj, za wstawieniem się Boccacio 10 złotych złotem. W zawodzie dyplomatycznym Dante z przypisywanych mu 14 poselstw, podług wszelkiego prawdopodobieństwa odbył tylko dwa: jedno w roku 1295 do Karola II króla Neapolu, a drugie w roku 1291 do Rzeczy-pospolitéj Śgo Geminiano. W roku 1300 Dante osiągnął godność najwyższą w Rzeczy-pospolitéj: został obranym jednym z *priori*(1), którzy nią rządzili, mieszkali w pałacu i utrzymywani byli kosztem narodu, podobnie jak pritanie ateńscy. Urząd ten którego Dante jak sam o tém mówi, był godnym dla mądrości, a przez wzgląd na wierność i wiek nie był niegodnym, był przyczyną i początkiem wszystkich jego nieszczęść. W czasie tym we Florencyi panowali Gwelfi, dzielący się na dwa nieprzyjazne sobie stronnictwa, *białych* i *czarnych*; naczelnikiem piérwszych był Viero dei Cerchi, ostatnich Corso Donati. Pokonani Gibellini, również rozdzieleni na dwa stronnictwa: *suchych* pod wodzami Tarloti di Pietramala, i *zielonych* pod hetmaństwem Faggiolano, utrzymywali tajne z papieżem stosunki. Dante odrzuciwszy pośrednictwo Bonifacego VIII, chcąc raz na zawsze położyć koniec domowych wojen okropnościom, zesłał naczelników przeciwnych, odgrażających się sobie stronnictw, na wygnanie. Corso musiał się udać do Massa Trabaria, a Guido Cavalcanti z trzema dei Cerchi i z Baschiera della Tosa, do Sarzana. Krok tak stanowczy, udowadniający największą neutralność Dantego, w następstwie swojém okazał się najzgubniejszym. Oba stronictwa, zapalone najokropniej-

(1) Roku 1282 sterem rządu we Florencyi kieruje trzech obywateli: nazywani *Priori* wybierani na dwa miesiące z pomiędzy narodu lub szlachty, byle byli kupcami lub się trudnili jaką professyą. Po tém obierano sześciu *Priori* z każdego *Sesto* (1/6 część miasta) po jednemu.

szą nienawiścią, gdyż oba równie obraził, przysięgły Dantemu zemstę, i wiernie dokonali przysięgi. Obcą im była miłość ojczyzny, która nieskalana w sercu Dantego wydającego wyrok wygnania, pałała! One w zaślepieniu fanatycznym nie pojmowały inaczéj dobru Rzeczypospolitéj, jak tylko w zagładzie zupełnéj swych współobywateli, inne wyznających politycznego bytu zasady. Gwelf albo Gibellin! Niedługo, po ukończeniu przez Dantego swego urzędowania, sposobna zawziętym jego nieprzyjaciołom wydarzyła się okoliczność. Dante znajdował się wtedy z poselstwem w Rzymie u Bonifacego VIII. *Czarni* protegowani przez papieża, przywołali Karola d'Anjou do Florencyi, i wsparci jego siłą, całą swą wściekłość wywarli na białych; rzucili się na dom Dantego, zburzyli go i spalili. Cante de Gabrielli di Gubbio, podesta ustanowiony dla Florencyi przez Karola, wezwał do odpowiedzialności Dantego w zarzucie zdzierstwa i przedajności. Dante po otrzymaniu tak okropnéj wiadomości, pospieszył do Florencyi, i na drodze w Siena dowiedział się o zapadłym już na niego wyroku skazującym go na karę 8,000 lire, któréj gdy nie był w stanie zapłacić, zabrano mu dobra, a samego ogłoszono wiecznym wygnańcem. Tak niesprawiedliwy i tyrański wyrok przejął bobeścią Dantego, który się z zapałem usługom poświęcał ojczyzny! Taka spotkała go nagroda za miłość ku Florencyi, którą pomimo to do grobu zachował. Wygnani z Dantem *biali* w krótkim czasie po opuszczeniu Florencyi pod wodzem hrabią de Romena oblegli miasto, i wdarli się do środka; lecz źle prowadzeni przez Baschiera Tosinghi, utraciwszy porządek, zostali pobici i odpędzeni. Rozjuszeni florentczykowie na Dantego i innych towarzyszów wyprawy, nowy wydali wyrok zagrażający im spaleniem żywcem, w razie pojmania. Odtąd zaczyna się tułactwo Dantego, ogołocony z majątku w największéj częstokroć nędzy, błąkał się od miasta do miasta, doświadczając, jak słonym jest chléb obcego, i jak jest okropném wchodzenie i schodzenie po schodach cudzych."

Tu proverai si come sa di sale
Il pane altrui, é com'è duro calle
Lo scendere él salir per l'attrui scale
Par. XVII

Jakby na urągowisko wszystkie miasta Włoszech przywłaszczają teraz sobie zaszczyt przyjmowania Dantego w czasie jego wygnania, i zażarty pomiędzy sobą wiodą spór, o tego średnich wieków Homera. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa, piérwszém miejscem pobytu Dantego, była Werona i w niéj napisał piérwszą część pieśni piekła (1), następnie udał się do Casentino, Lunigiana, Urbino, Bolonii, Padwy i innych miast. W Lunigiana skończył piekło, i w klasztorze di S. Crose del corvo, oddał je przeorowi Hilaremu dla odesłania Uguccione. Potém znajdował się w Paryżu. Za rozszerzeniem się pogłoski o wyprawie Henryka VII na Włochy, Dante w nadziei otworzenia sobie przez niego drogi do powrotu w ojczyste miasto, pisał list do cesarza, jako téż do panów włoskich i senatorów Rzymu, w celu przygo-

(1) Dante rozpoczął swój poemat w języku łacińskim, lecz plan ten potém odmienił.

towania ich do łaskawego przyjęcia cesarza. W roku 1311, posłał drugi list do Henryka, w którym zachęcał go do skierowania oręża przeciwko Florentczykom, a nawet można się domniemywać, że poprzednio widział się osobiście z cesarzem. Henryk był rzeczywiście rozgniewanym na Florencyą; lecz bunty w Cremona i Brescia, i niepowodzenie we Włoszech, nie dozwoliły mu przywieść do skutku zdobycia Florencyi. Ze śmiercią Henryka, Dante utracił na zawsze nadzieję powrotu do miasta do którego ciągle wzdychał, którego szczęściem jedyném było na wygnaniu, marzeniem. Żądał powrotu do rodzinnego domu i wszystkich z swéj strony ku temu dokładał usiłowań: pisał nietylko do obywateli rząd florentyński składających, lecz i do samego narodu, a między innymi list dość długi zaczynający się *„populi mi quid feci tibi"* lecz nie za jakąbądź cenę starał się o powrót taki, któryby własnéj jego godności nie ubliżył, i dlatego kiedy w roku 1317 duchowny, jego krewny zapraszał go do Florencyi, z powodu uroczystości Śgo Jana, w czasie któréj uwalniano niewolników i przywoływano wygnańców pod warunkiem postępowania za wozem zwanym Sgo Jana, w czapce pokutników i z czarnemi świecami w rękach, Dante odpowiedział: „Czyż taką jest sława, z którą Dante przywołuje się do ojczyzny po 15 latach cierpień? Czy tym sposobem wynagradza się jego niewinność każdemu znana, nieustanny trud i praca około nauk? Nie taką jest droga powrotu do ojczyzny, lecz jeśli ty, lub kto inny wynajdzie inną, któraby sławie Dantego i szacunkowi jego nie ubliżała, to się nie będę ociągać z udaniem się do niéj. Jeśli drogą honoru nie wejdę do Florencyi, to nie będzie mnie oglądać Florencya już nigdy." Najdłuższém i przedśmiertném miejscem pobytu Dantego była Rawenna, na dworze Guido Novello da Polenta, który go do dyplomatycznych negocyacyj używał. Po powrocie z drugiego poselstwa do Wenecyan, nie będąc dopuszczonym na publiczne posłuchanie, ze zmartwienia zakończył Dante dni swego tułactwa w 1321 dnia 14 Września. Zgon jego uczczony był przez samego Guido Novello mową pogrzebową, przez innych poezyami. Myśl wystawienia mu pomnika, powziętą przez Guido, nieuskutecznioną z powodu śmierci, urzeczywistnił w roku 1483 Bernardo Bembo, protektor Rawenny, przy Rzeczypospolitéj weneckiéj. W roku 1692 pomnik ten był odnowionym przez Kardynała Maria Corci, legata Romagna, wszelkie starania Florencyi, o przeniesienie do ojczyzny popiołów poety, któremu Michelagnolo ofiarowywał się dźwignąć godny jego grobowiec, były daremnemi. Dante był wzrostu średniego, poważny ale łagodny. Twarz miał długą, nos orli, oczy duże, szczęki wielkie, i wargę górną wystającą nad dolną, koloru był brunatnego, włosów na głowie i brodzie gęstych, czarnych, kędzierzawych, twarzy wiecznie melancholicznéj i zamyślonéj. Był uprzejmym, skromnym, lubiącym samotność, milczącym, oddającym się pracy, dumnym i dbającym o honor.

Imiona zażartych stronnictw Gwelfów i Gibellinów, zginęły już w mgle wieków, i tylko badacz chciwy zgłębienia dróg, któremi duch przedwie-

czny ludzkość ku jéj celowi prowadzi, ściera czasami osiadły kurz kronik średniowiecznych, i z boleścią wyznać musi, że krwawe były te drogi, że ludzkości owoce oceanem krwi podlewane, stosami trupów gnojone! a zbiera je często ten, który się do ich pielęgnowania najmniéj przyłożył! Anioł zniszczenia zgładził białych i czarnych, i jedna im tylko sława: zwierzęcéj zaciekłości, lwich zębów i tygrysich pazurów, została. Kiedy tak smutne widowisko przedstawia nam scena politycznego ówczesnego działania, w dziedzinie literatury znajdujemy pocieszające zjawienie się *komedyi boskiéj*, którą obowiązani jesteśmy Dantemu. Zpomiędzy dzieł jego niezaprzeczenie to, piérwsze miejsce zajmuje, jednak jako najpóźniejsze, musimy krótkiém wymienieniem innych jego dzieł poprzedzić. Piérwszém zpomiędzy nich jest *Vita nuova*, historya młodzieńczéj miłości z Beatrice, przeplatana pieśniami (Canzone), na cześć jéj utworzonemi. *Convivio*, zawiera w sobie komentarz trzech z powyższych pieśni. W dziele *de monarchia*, w języku łacińskim pisaném, Dante wypowiedział swoje wyznanie polityczne. Dowodzi w niém o szczęściu narodów, przemawia za powszechnym pokojem, i rozgranicza władze papieży i cesarzów; utrzymuje on, że papieże niesprawiedliwie owładnęli władzą świecką, że ich jedyném zadaniem, missyą jest doprowadzenie narodów do życia wiecznego, za pośrednictwem objawienia: powinnością zaś cesarzów ma być staranie o utrzymanie szczęścia doczesnego narodów. Takie myśli nie zapomnijmy, wypowiadał Dante w wieku XIV, kiedy władza świecka papieży była najsilniejszą! Jako Włoch, nie zapomniał przypomnieć współziomkom o jedności całych Włoszech i o prawie swego narodu do monarchii powszechnéj. Naturalnie, dzieło to w owym wieku nie mogło Dantemu zjednać zasług takiém wystąpieniem wbrew mniemaniom współczesnych: obraził na siebie wszystkich, a szczególniéj duchowieństwo i papieży, których najmocniéj dotknął. Téj to przyczynie, przypisać potrzeba wyklęcie tego dzieła za Jana XXII, a gdyby nie wstawienie się Pino della Torra i Ostagio da Polenta, Betrando kardynał, legat w Lombardyi, byłby wydał rozkaz spalenia popiołów Dantego w Bolonii wraz z trzema księgami *de monarchia*. Jak jedność Włoch, jedność władzy, jedność religii, były polityczną dążnością Dantego, którą się wszelkiemi środkami starał urzeczywistnić, tak téż swoję myśl ulubioną zastosował do mowy włoskiéj w łacińskiém dziele *de vulgari eloquentia*. Oprócz zdrowych uwag nad językiem, mieści ono w sobie krytyczne ocenienie pisarzy i poetów ówczesnych. Nadto przypisują niektórzy Dantemu przekład na język włoski psalmów pokutnych, składu apostolskiego i modlitwy o Najświętszéj Pannie.

Najważniejszym jednak utworem Dantego jest komedya boska, *la divina commedia*.

Dzikie hordy ludów północnych, napływem swoim zalały świat starożytny, i nowemu w Europie życiu dały początek. Poza nimi pozostała długowieczna przeszłość, a przed nimi zasępione warunkową przyszłością zaległo niebo, i ciemność przedmiotowa panowała dokoła. Siłą oręża zdo-

byty krzyż Golgoty, objął te nowe ludy w swoje ramiona, i nowego życia zeszła jutrzenka. Ale starożytny świat zostawił młodemu spuściznę, wiekami nabytą, spuściznę wyobraźni. Nastała przeto krwawa walka, ścieranie się sił żywotnych, walka piętnująca średnie wieki. Ku końcowi XII wieku, a na początku XIII wieku spór doprowadzono do końca, zwycięztwo na stronę młodego przechyliło się świata, lecz w obozie zwycięzców moralna zjawiła się zaraza. W tym czasie kapłaństwem gieniuszu namaszczony tułacz, wygnaniec z ukochanéj mu ojczyzny, natchniony duchem proroczym, oburzony powszechném zepsuciem, zahartowany w szkole nieszczęścia, powziął wielką myśl reformy, i wyśpiewał pieśń nad pieśniami, *komedyą boską*, wieniec poezyi chrześciańskiéj. Jestto pomnik, który objął w sobie wszystkie wyobrażenia, błędy, koleje, nieszczęścia i namiętności, poruszające ludzkością. W uniesieniu sprawiedliwego gniewu nie przebacza Dante nikomu: zarówno gromi papieży, jak i cesarzów świeckich i duchownych, i ciska pioruny na wszelkie nadużycie i skalanie. Oburzenie się to podsyca niesłuszne jego wygnanie i nędza, pamięć krzywd ściga go do niezmierności wiecznego światła i dlatego nawet w towarzystwie świętych i aniołów, jego duch nieprzebaczający, ciemnieje na imię Florencyi. Tkliwe serce jednak przebija się pomimo to przez zasłonę allegoryi, w jego namiętności ku Beatrice, porównaniach z wiejskiego branych życia!

Komedya boska jestto opisanie widzenia, w którém poeta prowadzony od Wirgiliusza przechodzi piekło i czyściec, do raju ziemskiego; odtąd za przewodnika służy mu Beatrice i pokazuje mu koniec czysca i nieba. Tytuł komedyi, zapewne powstał od rozróżnienia przez Dantego, trzech stylów, tojest górnego albo tragicznego, średniego albo komicznego, i nizkiego albo elegiackiego, gdyż dzieło to zamierzył w stylu średnim napisać. Piekło podług Dantego jestto wielka otchłań, w kształcie ostrokręgu, otworem swoim sięgająca do naszéj ziemi, i zwężająca się ku jéj środkowi, w którém się kończy. Dzieli się ono na dziewięć okręgów czyli części (*cerchio*), w których dusze pokutują za swe grzechy. Na wstępie do piekła przebywają dusze tych, co żyli bez bańby i sławy: *(Che vissero senza infancia e senza lode)*. Piérwszy okrąg zajmują cnotliwi poganie, drugi grzesznicy cieleśni, trzeci żarłoczni, czwarty rozrzutni i skąpi, piąty popędliwi i gnuśni, szósty heretycy, siódmy popełniający gwałt przeciwko bliźnim, samym sobie, Bogu, naturze i sztuce; ósmy przedajni, dziewiąty zdrajcy. Z tych trzy ostatnie okręgi dzielą się: siódmy na trzy części, ósmy zaś na dziesięć oddziałów nazwanych *Malebolge*, dziewiąty na cztery poddziały: Caina, Antenora, Tolomea i Giudecca. Miasto Dite albo Lucifero dzieli piekło na dwie połowy. Rzeki w piekle są: Acheront, Styx, Flegetont i Kocyt. Dowódzcami okręgów są osoby mitologiczne: piérwszego Charon, drugiego Minos, trzeciego Cerber, czwartego Pluton, piątego Flegias, szóstego trzy Furye, siódmego Minotaur, ósmego Geron, dziewiątego Anteusz, Efialtes, Nemrod i Lucifer. Kary są obrazami zewnętrznemi, stanu wewnętrznego grzechu.

Czyściec jestto góra ostrokręgowa w morzu, otoczona siedmiu okręgami i rodzajem przedsionku, w którym mieszczą się leniwi. Trzy stopnie prowadzą do drzwi czysca: piérwszy z świecącego marmuru, drugi z kamienia grubego i spalonego, trzeci z płomienistego porfiru. W piérwszym okręgu, czyszczą się dumni, w drugim zazdrośni, w trzecim gniewliwi, w czwartym gnuśni, w piątym skąpi, w szóstym żarłoczni, w siódmym grzesznicy cieleśni. Na samym szczycie znajduje się raj ziemski, z rzekami Letą i Eunoe. Niebo stanowią siedm planet podług systematu Ptolomeusza, z trzema sferami, czyli razem dziesięć przestrzeni. W księżycu znajdują się dusze tych, którzy uczyniwszy jakie śluby przez gwałt w ich dopełnieniu byli przeszkodzeni; w merkuryuszu przebywają ci, których żądza sławy pobudziła do wielkich czynów. W trzeciéj sferze, Wenery, królują czyści kochankowie i najlepsi przyjaciele. W słońcu, poeta mieści najsławniejszych teologów, doktorów i ojców kościoła. W Marsie, są dusze rycerzy poległych za wiarę; w Jowiszu, mocarze sprawiedliwi; w Saturnie, pustelnicy i ascetycy; w zodyaku Chrystus, apostołowie i Adam, w niebie kryształowym primo mobile, dziewięć chórów anielskich; w empirejskich Marya ze świętymi. Oryginalność pomysłu boskiéj komedyi, wielu szperaczy starało się osłabić, naznaczając jéj za wzór, to Wirgiliusza, od którego Dante jest daleko wyższym, to dzieło *Brunetto Latini* „*Tesoro*" dość słabe; to dwa romanse francuzkie z XIII wieku, *Le songe de l'enfer*, i *Le jongleur qui va en l'enfer*; to fantastyczne widzenie, mnicha Alberyka; to dawny romans, „*Guerino il meschino*," w którym znajduje się ustęp o czyscu przez *Patrizio*. Inni utrzymują znowu, że myśl swojéj komedyi, powziął Dante z mimicznego widowiska przedstawianego w czasie jubileuszu, lub wyniósł z amfiteatru werońskiego. Co do nas, jesteśmy przeświadczeni, że Dante, poeta obdarzony silnym gieniuszem, samoistny, owładający całym światem umysłowym, sam oddzielnie stworzył swój nieśmiertelny poemat, nie potrzebując do niego żadnego wzoru.

Cała komedya boska składa się ze stu pieśni, z których trzydzieści cztery przypada na piekło; czyściec zaś i niebo, mają po trzydzieści trzy. Dante do napisania jéj użył rodzaju poezyi zwanego *terza rima* albo *terzina*, składającego się ze zwrotek trzywierszowych, terzetti. Mechanizm takiego rodzaju poematu polega na tém: że piérwszy i trzeci wiérsz, piérwszéj zwrotki, mają jeden rym, a drugi wiérsz rymuje z piérwszym i trzecim drugiéj zwrotki; téj zaś drugi wiérsz, rymuje z piérwszym i trzecim następnéj. Porządek taki winien być zachowanym do końca pieśni, składającego się zawsze ze zwrotki cztero-wierszowéj, aby żaden wiérsz nie pozostał bez rymu.

Żadne dzieło nie rozszerzyło się tak prędko po śmierci autora, jak komedya boska. W kilkadziesiąt lat komedya stała się podziwem całych Włoch, i Dantego jużto tytułem *divino*, już *teologo* przyozdobiano, w skutek czego następnie w wieku XV nieśmiertelny jego utwor *boskim* nazwano. Zaraz po jego wyjściu na świat, wielu Włochów rzuciło się do pisania kommentarzy. Pomiędzy piérwszymi byli, synowie Dantego Piotr i Jakób, *Accorso* dei *Bonfantini*, i *Micchino* da *Mezzano*, kanonik raweński. Około roku 1350, Jan *Vi-*

sconti, arcybiskup Medyolanu zgromadził sześciu uczonych włoskich, dwóch teologów, dwóch filozofów i dwóch florentczyków, którym poruczył zebranie zupełnego kommentarza na komedyą boską (1). Florencya piérwsza wynagradzając swą ku Dantemu niesprawiedliwość, otworzyła od dnia 3 sierpnia 1373 roku katedrę publicznego wykładu komedyi boskiéj, w kościele Śgo Stefana, i obowiązek ten poruczyła wykształcicielowi prozy włoskiéj, sławnemu *Boccacio*. Katedra początkowo otworzoną była na rok jeden, jednak po ukończonym roku wykład publiczny utrzymał się i nadal, a po Boccacio, który nam obszerny nad Dantem pozostawił kommentarz, zajmowali katedrę: Antoni Piovano, i Filip Villani. Przykład Florencyi, z zapałem był naśladowanym i przez inne miasta włoskie. W Bolonii *Benvenuto de Rimbaldi da Imola* przyzwanym został do czytania Dantego, i téj jego pracy zawdzięczamy dokładny kommentarz nad wykładanym autorem. W Pizie około roku 1386 ustanowiono prelekcye o Dantem, a Franciszek *di Bartolo da Buti*, z tego powodu jako professor komedyi boskiéj, napisał równie kommentarz. Podobne katedry miały miejsce przy uniwersytecie w Placencyi, w Wenecyi. Starano się nadto przełożyć Dantego na język łaciński, i piérwszy Mateusz Ronto, mnich, téj pracy dokonał. Wszystkie powyższe jednak prace, zaraz po śmierci Dantego, kiedy jeszcze pamięć o tym wielkim Gibellinie świeżą była, podejmowane, niewielką nam zrobiły przysługę. Zamiast zajmowania się wykryciem piękności poetycznéj, wyjaśnieniem miejsc ciemniejszych, wykładem faktów historycznych tylko w komedyi boskiéj wzmiankowanych, większa część kommentatorów, idąc za dążnością swojego wieku, niepewnego prawd w nim objawiających się, zajmowała się wyszukiwaniem i drobnostkowym rozbiorem, allegoryj i tajemnic, którym, sposób pisania Dantego objawienie myśli historycznéj, lub jakiego pojęcia w symbolu lub allegoryi z powodu sprzeczności z wyobrażeniami jego wieku, obszerne przedstawiało pole. Mistycyzm rozciągano nawet do słów, i mozolne przedsiębrano usiłowania, aby przez tę urojoną mgłę się przebić, i boskiego Dantego uczynić zrozumiałym! Nadaremna praca! I cóż dziwnego! utwór gienialny, ten organiczny produkt prawdziwego poety, jak na powikłanie średnich umysłów na tle historycznem usnuty, nie był przystępnym kommentatorom, pod ciężarem swego wieku upadającym! Podobnéj prawie kolei ulegli i nowsi rozómienia komedyi boskiéj wykładacze. Każdy z nich stosownie do wyznaczonéj przez siebie idei, tak lub owak, nieśmiertelne dzieło nakręcał i tłumaczył, do czego wszechstronność utworu łatwo posłużyć im mogła. Sam Dante rozróżniając cztery sposoby rozumienia czyli sensa, tojest, literalny, allegoryczny, moralny i anagogiczny, i oświadczając: że celem jego komedyi jest wyprowadzenie ludzi z stanu nieszczęścia, do stanu szczęśliwości, razem nadaje jéj sens moralny i anagogiczny. W obszernem polu wykładu pojmowania Dantego, niemałe położyli zasługi: *Gozzi, Lombardi, Bicagioli, Scolari, Dionisi*

(1) Kopia tego kommentarza znajduje się w bibiotece Wawrzyńca.

i nieśmiertelny *Ugo Foscolo*. Największą trudność w zrozumieniu przedstawiają dwie piérwsze pieśni piekła, i dążność całości utworu.

Wyłożywszy treść poematu, a tém samém i sens jego literalny, przytoczymy teraz rezultaty w tym względzie prac uczonych, poświęcających się studyowaniu komedyi boskiéj. Pojmujący ją w sensie moralnym, utrzymują, że Dante w 35 r. swego wieku, porzucił drogę występków i namiętności, i oddał się życiu umysłowemu. Wykładacze anagogiczni, mniemają: że Dante bolejąc nad grzechami całego świata, stara się w imieniu wszystkich błądzących, powrócić do powszechnego Zbawiciela; opuszczając przeto drogę błędnych ziemskich rozumowań, oddaje się pokucie, żalowi i skrusze, a tak oczyszczony za pośrednictwem wiary, łączy się z nadzieją i łaską, i kończy na rozważaniu życia niebieskiego. W sensie historycznym rozumieją: że poeta zrażony nieszczęściami swego prioratu, doznawszy okrucieństw ze strony Florencyi, Rzymu i Francyi, będąc wygnańcem, poświęca się naukom i filozofii, aby powrócić do powszechnego pokoju i ojczyzny z cudownem dziełem, przy pomocy *Can Grande* i *Beatrice*. W sensie historyczno-politycznym komedyi boskiéj nadają następujące znaczenie: że Dante widząc zbłąkanych na drodze dobra publicznego i szczęśliwości ogółu, celu, który nigdy zprzed oczu poety nie znikał, doświadczywszy w tém przeszkód od występków Florencyi, ambicyi Francyi, żądzy piérwszeństwa Rzymu, pokładając swe nadzieje politycznego ulepszenia w mężtwie *Can Grande*, poświęcił się wynalezieniu ulepszenia moralnego i religijnego, podając w poemacie wzór prawości, karę występków, i nieśmiertelną nagrodę cnoty. Wszystkie powyżéj przytoczone przez nas zdania, są po największéj części jednostronne i nie odpowiadają pojęciu poezyi prawdziwéj. Komedya boska jako utwór uniwersalnie historyczny, ma swoim przedmiotem wiek swój, jego wyobrażenia i pojęcia, z których tworząc swoję mitologię, sięga absolutności. Podział jéj na trzy części, obejmuje całą dziedzinę poezyi jako sztuki. Piekło maluje nam przyrodzenie rzeczy samych w sobie, przerobienie ich historyczne wyobraża czyściec, a niebo stanowi wydoskonalenie, absolutność. Poema za tło, ma historyą, a do obrazowania używa allegoryi, i symbolu, albowiem w czasie stronnictw, krwawych morderczych walk o pojęcia, poeta mógł tylko pod zasłoną allegoryi niektórych drażliwych natenczas kwestyj dotykać. Piekło najokropniejsze i najstraszniejsze co do przedmiotów, jest zarazem najmocniejszém co do wyrażeń, surowém w stylu plastycznym, ciemném, przerażającém nawet w słowach. W jednéj części czysca panuje cisza głęboka, gdyż już milczą jęki podziemnego świata; lecz na szczycie wszystko staje się kolorem, a niebo prawdziwie jest muzyką sfer. Zemstę, którą Dante wykonywa w piekle, wykonywa w imieniu sądu powszechnego, jako sędzia karny wybrany, z siłą proroczą, nigdy z nienawiścią osobistą, lecz z duszą pobożną, wzniosłą, a tém więcéj oburzoną okropnościami czasu, i z patryotyzmem, obcym jego wiekowi. Piekło jest państwem postaci, a tém samém plastyczném, czyściec jest malowniczém; kary występnych są téż w części malowniczemi, aż do największego przepychu kolorów; w niebie pozostaje tylko czysta mu-

zyka światła, ustaje wszelkie odbicie się, a poeta unosi się stopniowo aż do rozważania czystéj istoty, bezkolorowéj, samego bóstwa. Wyobraźnia najżywsza, ostry gieniusz, styl wzniosły, patetyczny, energiczny, który porywa i zachwyca, obrazy malownicze, najsilniejsze oburzenia się, ustępy czułe i namiętne, oto są cechy zdobiące nieśmiertelny utwór, nieporównanego wieszcza. Wprawdzie przyznać należy, że w Dantem miejscami niemałe napotykamy wady, że są miejsca nudne, niektóre wiersze nieznośnie przykre, rymy naciągane; ale jeżeli wspomnimy, że do Dantego poezya włoska była tylko nagromadzeniem słów rymowanych, przepełnionych uczuciami nużącemi i zimnemi, a zawsze o miłości; że Dante piérwszy ośmielił się śpiewać językiem, jeszcze do niego prawie nieznanym, o wzniosłych przedmiotach, to wszystkie te błędy, będą nieznaczącemi, i łatwo się dadzą wytłumaczyć czasem w którym poeta pisał.

O ile nam wiadomo z boskiéj komedyi, mamy tylko dotąd przekład początku pieśni trzeciéj, i ustęp o Ugolinie, mieszczący się w końcu pieśni XXXII i początku XXXIII piekła, pióra autora Grażyny; tudzież ustęp o Francesca da Rimini, w pieśni V piekła prozą, przez p. Kraszewskiego poprzedzający jego powieść „pod włoskiém niebem.” Wszystkie zaś inne europejskie literatury posiadają już po kilka prozą lub wierszem pisanych przekładów; życzyćby należało, aby kto z utalentowanych naszych pisarzy, poświęcił się zgłębieniu tego nieporównanego poematu, i nas przekładem udarował, a tak zbogacilibyśmy się więcéj jednym europejskim poetą. Być może, że głęboka wszechstronna średniowieczna erudycya, mistycyzm, szczegółowa, drobnostkowa, że tak powiem historya owoczesnych Włoch, stawiają trudności do zamiłowania Dantego; być może brak potrzebnych źródeł, z którychby czerpać wypadało, nie dozwala się puszczać na to burzliwe morze poezyi; to jednak jest pewném, że boski Dante w polskim dobrym przekładzie, niewypowiedziane przyniósłby nam korzyści. *Pia desideria!*

Zebrawszy wszystko to cośmy powiedzieli o Dantem, kończymy słowami *Ugo Foscolo*, dobitnie stanowisko Dantego malującemi: „Dante przysądził sobie koronę, oczekując onéj od wyroku Boskiego, za prawność powagi swéj, i missyi apostolskiéj, i zasługę bojowania przeciwko skażeniu kościoła, chciał być reformatorem, lecz napotkał przeszkody w swoim zepsutym wieku, i ludziach jemu zaprzedanych niewolnikach: nie był jednak z liczby tych reformatorów, którzy więcéj wierzą w postępy rozumu, jak oręża!”

S. R.

FRANCZESKA

Z RIMINI. (1)

WYJĄTEK Z PIEŚNI PIĄTÉJ PIEKŁA

Z KOMEDYI BOSKIÉJ DANTEGO.



iemia co mię zrodziła (2) leży nad brzegami,
Przy których *Po*, dalekie obmywszy krainy,
Szuka spoczynku z współtowarzyszami.

Miłość, co czułe serce zapala bez winy,
Ujęła go pięknością méj żywéj postaci,
Któréj mnie pozbawiono z hańbą bez przyczyny.

Miłość, co kochających wzajem kochać zmusza,
Tak mię silnie ujęła ku jego osobie,
Że jak widzisz i teraz, lgnie ku niemu dusza.

Miłość nas obu skryła w jednym grobie,
Lecz Kaina (3) cię czeka nasz zbójco zuchwały!"
Temi słowy skończyła, tę powieść o sobie.

Żal dusz straplonych przygniótł mój umysł zdrętwiały,
Żem zwiesił głowę i długie zachował milczenie,
Aż mój wieszcz mię zapytał czemu'm oniemiały?

Odrzekłem więc: ach takie silne uniesienie,
I tyle słodkich myśli i rozkoszy tyle,
Sprowadziło na nich zgubne przeznaczenie.

Obróciwszy się znowu ku parze: „za chwilę"
„Rzekłem:" Franczesko twoje cierpienia zbyt srogie
Bo ileż łez kosztują i boleści ile.

„Lecz powiédz: gdyście chwile przepędzali błogie,
Jak się, i kiedy miłość waszą zgubą stała,
Żeście wzajem poznali uczucie złowrogie?"

A ona mi na to: „Nigdy silniéj boleści strzała (4),
Serca nie rani, jak chwil błogich wspomnienie
W czasie nieszczęścia; taka i mistrza uchwała.

„Gdy tak chcesz poznać piérwsze miłości zjawienie,
Opowiem ci więc z bolem, i lejąc łzy moje,
Chociaż łzy ci utrudnią słów mych rozumienie.

„Raz z chęci dziecinnéj czytaliśmy oboje
Jak Lanczilotta (5) miłość w swe pęta zwikłała,
I odkryliśmy uczuć dla nas nowych zdroje.

„Kilkam razy już oczy kochanka spotkała
Kilka razy rumieniec wstąpił na me lice;
Lecz nas zgubiła jedna okoliczność mała:

„Gdyśmy czytali: *śmiejące się usta kobiéce*,
Przez takiego kochanka i tak całowane,
Ten, który ciągle patrzył w me źrenice,

„Drżące me ucałował usta nieskalane.
Przeklęty autor, i powieść szalona!
Nie czytaliśmy więcéj, ... trupy spotwarzane!"

Gdy tak swą powieść kończyła strapiona,
Jęczał duch drugi, wspomnienia go truły;
Uległa dusza smutkiem obarczona,
I padłem na ziemię jako trup nieczuły (6).

PRZYPISY.

(1) Franczeska z Rimini, córka Guido da Polenta pana na Rawennie, oddana była w zamęzcie Lanczilottowi synowi Malatesta pana na Rimini, bohaterowi nadzwyczajnego męztwa, lecz brzydkiemu co do postaci. Jego brat Paweł, który nieszczęśliwym trafem był piękniejszym od męża Franczeski, pozyskał jéj miłość, lecz wyśledzeni, zostali ręką Lanczilotta zabici. Współczucie ku temu ustępowi bardziéj wzrośnie, jeżeli przypomnimy sobie, że ojciec nieszczęśliwéj ofiary, był największym przyjacielem i wspaniałym obrońcą Dantego.

(2) Rawenna.

(3) Nazwisko wzięte od Kaina piérwszego bratobójcy. Przez kainę rozumiéć należy tę część piekła, w któréj są karani zabójcy.

(4) *In omni adversitate fortunae infaelicissimum genus infortunii est fecisse felicem.* Sam Dante wyznaje, że Boecyusz i Cicero *de amicitia* były piérwszemi książkami, które obudziły jego uwagę.

(5) Lanczilotto kochanek Dzinewry, żony króla Marka, osoba słynna w romansach, szczególniéj zaś w jednym pod tytułem: „Stół okrągły," który najbardziéj był głośnym za czasów Dantego.

(6) Z przedmiotu powyżéj opisanego, Silvio Pellico napisał bardzo piękną sztukę drammatyczną, wytłumaczoną na polskie, przez J. B., i przedstawianą na scenie Warszawskiéj w październiku r. 1843.



FRANCISZEK SIARCZYŃSKI.

FRANCISZEK SIARCZYŃSKI.

Rodzina Siarczyńkich zdawna zamieszkała na Rusi w Galicyi. Ludwik Siarczyński podczaszy nowogrodzki, późniéj podkomorzy króla Stanisława Augusta, z małżonką swoją Franciszką z Chrząnowskich, miał trzech synów i cztery córki. Franciszek był trzeciém ich dziecięciem, urodził się w Chruszowicach, w parafii Laszeckiéj, dawnéj ziemi Przemyskiéj, dnia 12 października 1758 roku. Po odbytych piérwszych naukach w Jarosławiu, przyjął w 15 roku życia, suknie zgromadzenia Pijarów polskich w Podoleńcu, i tamże po dwuletniéj próbie uczynił profesyę zakonną roku 1775. Brał jeszcze potém dalsze nauki w Rzeszowie i Międzyrzecu Koreckim, i sam podług ówczesnego zwyczaju, uczył klas niższych. W roku 1781 w Krakowie słuchał teologii, i piérwsze święcenie otrzymał: na kapłana zaś poświęcił go w Warszawie dnia 5 kwietnia 1783 roku, ksiądz Kasper Cieciszowski naówczas biskup Tebestański, i officyał Warszawski.

Od roku 1782 uczył Siarczyński w Warszawie w *collegium nobilium* (założoném, przez Stanisława Konarskiego, ziomka z jednéj ziemi przemyskiéj) grammatyki, geografii, i historyi przez lat cztery. W latach 1785 i 1786 uczył wymowy w Radomiu: tegoż roku wezwany napowrót do Warszawy, był kaznodzieją w kollegium królewskiém przez dwa lata, a trzeciego uczył prócz kaznodziejstwa wymowy.

Siarczyński miał lat sześć życia, gdy Stanisław Poniatowski na tron wstąpił.

Ogólna ciemnota przy końcu panowania Augusta III, już się rozchmurzała, a zorza światła i nauk poświtywać zaczęła. Gdy Załuscy do ogromnéj biblioteki swojéj (darowanéj późniéj Rzeczypospolitéj) zbierali drogie skarby literatury polskiéj, i pamiątki umysłowości naszych praojców, a Micler i Janowski ogłaszali je światu: Rogaliński ucząc nieznanéj dotąd fizyki, obserwatoryum w Poznaniu zakładał, Stanisław Konarski, śmiało uderzając na przesądy zastarzałe, zarazem w zasadach je podkopywał, przez poprawę wychowania; rozbudzone życie duchowe silnie się już odznaczyło, i wiele dzieł szczególniéj téż w gałęzi historycznéj ozdabiać zaczęły nicestwo naszéj literatury: wtedy Stanisław August wstąpił na tron polski. Nie jemu ztąd sława i chluba, bo ani popędu nie nadał, ani umiał wpłynąć na kierunek oświaty, ale rad się otaczał uczonemi, i Naruszewiczowi podał silną pomoc do napisania dziejów narodu polskiego.

Na dworze Poniatowskiego poznał Siarczyński wszystkie znamienitości literackie ówczesne: Naruszewicza, Bohomolca co kreślił żywoty dawnych Polaków, Węgierskiego, Trembeckiego, i Krasickiego, poetów; Bogusławskiego twórcę sceny polskiéj, Wielhorskiego, Staszica, pracowników nad poprawą Rzeczypospolitéj. Wagę, Osińskiego, Skrzetuskiego, i sławnego grammatyka Kopczyńskiego ze zgromadzenia Pijarów; Ignacego i Stanisława Potockich, Piramowicza, i Tadeusza Czackiego tyle zasłużonego dla oświaty i literatury krajowéj.

Przypatrywał się zblizka pamiętnemu sejmowi, gdzie brat jego Antoni był sekretarzem, a na którym sam umiejąc stenografią, dla króla mowy posłów spisywał.

Obcowanie z tylu znakomitymi mężami, czas i okoliczności szczęśliwe, na które młody naówczas Siarczyński trafił, wszystko wpłynęło silnie na rozwinięcie się jego zdolności wrodzonych, na to zamiłowanie nauk, które do ostatniéj chwili życia przechował.

„Nie znalazła duma przystępu do jego pięknéj duszy; łaski króla, szacunku wielu osób możnych nie użył na wyniesienie się, i nad dostojności które mógł osięgnąć, wolał być użytecznym krajowi. Jeżeli pragnął usunąć się od obowiązków zakonnych, i trudów powołania nauczycielskiego, to jedynie, aby w spokojności wiejskiéj oddać się naukom. Późniéj nie on zaszczytów, lecz zaszczyty jego szukały (1)."

Był Siarczyński jeszcze w roku 1789 delegowanym od zgromadzenia Warszawskiego księży Pijarów, na kapitułę prowincyonalną. Tegoż roku od ojca Śgo Piusa VI otrzymał uwolnienie od ślubów zakonnych, a od króla probostwo w *Kozienicach* dobrach stołowych. Jak się szczerze dobrem swoich parafian zajął, dowodzi jego staranie, o zaprowadzenie szkoły i szpitala, na które część własnych ofiarował dochodów. Uwiadomiony o tém Stanisław August, nakazał pod dniem 16 maja 1790 roku rządcy ekonomii Kozienickiéj, aby z jéj dochodów, corocznie na szkołę i szpital sto

(1) Czasopism Naukowy, 1830 roku, tom III.

czerwonych złotych do rąk Siarczyńskiego wypłacał. W następnym roku otrzymał od Okęckiego biskupa Poznańskiego i Warszawskiego kanonią honorową Warszawską, a od Ignacego Krasickiego, Warmińską.

W Kozienicach doznał Siarczyński klęski, przez rabunek w czasie napadu wojsk, a w lat kilka później przez pożar przypadkowy.

Te straty, jako też i chęć zbliżenia się do żyjących go naonczas rodziców, skłoniły do przyjęcia w roku 1789 ofiarowanego sobie od Izabelli z Czartoryskich księżnéj Lubomirskiéj probostwa w Łańcucie.

Pani ta, naówczas przebywała w zamku łańcuckim: świetny jéj dwór przyjemnych dostarczał zabaw, lecz Siarczyński czuł, że przy ścisłém pełnieniu powinności kapłana i pasterza resztę czasu zabierały rozrywki, odbierając go naukom. Nie chcąc się z niemi rozstawać, przeniósł się w końcu roku 1804, na probostwo do Jarosławia.

Tu przez lat dwadzieścia kilka jako dziekan i proboszcz, wypełniał święcie ważne obowiązki kapłana i pasterza swéj parafii: dobroczynny dla ubogich, otoczył się gronem rodziny, uszanowaniem i wdzięcznością parafian, i szacunkiem powszechnym. Tu zarazem oddał się ulubionym naukom: w téj spokojnéj ustroni zgromadził Siarczyński tę massę zabytków i wypisów do badania dziejów historycznych polskich, które gdyby były wydane, słusznyby podziw jego erudycyi wywołały. Żelaznéj pracy i wytrwałości, od wydania piérwszego swego dzieła w 1780, lat pięćdziesiąt pióra nie wypuścił z ręki, i tylko śmierć mu je wytrącić zdołała.

Kiedy ogrom przez pół wieku zbieranych wiadomości do dziejów Polski porządkował i wygotowywał do druku: Henryk książę Lubomirski powołał go na dyrektora biblioteki Ossolińskich.

Cieszono się powszechnie tym wyborem; lecz mniemało wielu, że Siarczyński dostatecznym opatrzony chlebem, nie zechce go porzucić, przenieść się do droższego miasta; nie zechce służyć bezpłatnie, i w późnym wieku podjąć się pracy przy zakładającéj się dopiéro bibliotece.

Zawiódł ich mniemanie Siarczyński, i nie wahał się ponieść ofiarę, któréj wymagały kraj i nauki. To zrzeczenie się własnych korzyści i spoczynku, jak nie zdziwiło tych co znali Siarczyńskiego duszę, tak i ciż sami nie mogli wyjść z zastanowienia, gdy spostrzegli, iż starzec, nowe na siebie przyjąwszy obowiązki, potrafił usilnością czas sobie, że tak powiemy, podwoić. Przeglądanie, oczyszczanie nawet książek, spisywanie katalogów, korrespondencye z prywatnemi i urzędami, dozór budowy, przysposobienie do niéj materyałów, zdawanie rachunków, odczytywanie trudnych pism Ossolińskiego, ich przygotowanie do druku, wydawanie czasopisma: wszyskie te prace, zdolne komu innemu cały czas zaprzątnąć, nie przerwały bynajmniéj innych Siarczyńskiego robót. Obok nich układał nowe dzieła, postępował w swoich historycznych badaniach, i tak zdawał się nie czuć potrzeby spoczynku, że przychylna i o zdrowie jego dbająca siostra, przestrzegać musiała, aby oddawszy dzień pracy, nocy jéj nie poświęcał.

Był Siarczyński zdawna członkiem Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk; w roku 1828 Towarzystwo naukowe krakowskie przyjęło go podobnież za swego członka honorowego.

Tak godnego kapłana, tak gorliwego obywatela, tak uczonego i pracowitego męża, pragnęły *Stany Galicyjskie* widzieć w gronie swych reprezentantów. Ledwie mu nadana od cesarza austryackiego kanonia honorowa Przemyska, wstęp do zgromadzenia Stanów ułatwiła, zaraz na piérwszym sejmie, padł nań prawie jednomyślnie wybór, na deputata stanu duchownego.

Ten dowód publicznego szacunku głęboko uczuł Siarczyński: „Jeślim dotąd nie próżnował (pisał do swego przyjaciela), tém więcéj odtąd winienem i chcę pracować, aby położonego we mnie zaufania nie zawieść."

Wśród tych nadziei, które kraj i nauki ojczyste pokładały w Siarczyńskim, w dniu 7 listopada 1829 roku pracującego przy pulpicie nagle śmierć dotknęła (1).

Żal szczery a powszechny, był dowodem jak wiele w nim kraj i literatura straciły. Najważniejsze zasługi jako literat położył Siarczyński na polu historycznem, a głównie dziejów krajowych. W dwudziestym drugim roku życia wydawszy piérwsze dzieło, przez lat 49 pióra nie wypuścił z pracowitéj ręki. Pomijając drobniejsze jego pisma, wspomnieć należy ważniejsze.

„Krótka fizyczna i historyczna wiadomość o soli. W drukarni nadwornéj J. K. M. 1788, w 8-ce, str. 59. Z polecenia Stanisława Augusta napisana. Król obdarzył za tę pracę Siarczyńskiego medalem złotym z napisem: *merentibus* (B). Z polecenia tegoż króla, i jego kosztem z oryginałów dostarczonych sobie z archiwum królewskiego wydał:

„Traktaty konwencyjne handlowe i graniczne, wszelkie publiczne umowy między Polską i obcemi państwami od roku 1764—1791." Warszawa, w drukarni J. K. M. 1794: dwa tomy 8-vo.

„Geografia czyli opisanie naturalne historyczne i polityczne krajów i narodów we czterech częściach świata zawierających się, z dołączeniem geografii astronomicznéj przez księdza Franciszka Siarczyńskiego. W Warszawie u Pijarów 1790—1794 8-vo trzy tomy. Dalsze trzy tomy dla zmian politycznych nie wyszły. Żałowano najwięcéj tomu IV, który miał zawierać obszerne i dokładne opisanie Polski, we względzie historycznym, fizycznym i politycznym.

„Wiadomość historyczna i statystyczna o mieście Jarosławiu położonym, w królestwie Galicyi, w obwodzie przemyskim niegdyś w województwie Ruskiém, ziemi przemyskiéj. Lwów 1826 roku 8-vo.

Napisał Siarczyński najważniejszą z prac wszystkich we czterech tomach: „Obraz panowania Zygmunta III," obejmujący obyczaje, oświatę, religię, życie domowe, i dzieje narodu.

Opis osób znakomitych z owego czasu w dwóch tomach, miał być tylko dodatkiem do tego dzieła, i ten przedewszystkiém wydał p. n.:

(1) Czasopism naukowy, tom 3, 1830 roku.

„Obraz wieku panowania Zygmunta III króla polskiego i szwedzkiego, zawierający opis osób żyjących pod jego panowaniem, znamienitych przez swe czyny pokoju i wojny, cnoty lub występki, dzieła piśmienne, zasługi użyteczne, i celne sztuki, porządkiem abecadła ułożony. Lwów 1828 roku, 8-vo dwa tomy (1).

Sam zaś wykład właściwy dziejów panowania Zygmunta III, pozostawił w rękopiśmie. W czternaście lat po śmierci Siarczyńskiego zaczęto tę ważną dla dziejów polskich pracę uczonego historyka dopiéro drukiem ogłaszać: ale niestety dotąd dopiéro tom piérwszy wydano p. n.:

„Obraz panowania Zygmunta III króla polskiego i szwedzkiego, czyli obraz stanu, narodu, i kraju wystawiający."

Religię, obyczaje, nauki, prawo i prawodawstwo, swobody szlachty, obieralność królów, swobodę możnowładców, czyny duchowieństwa, stan wojska, handlu, rolnictwa, rzemiosł; pobory, monetę, ludzi znamienitych w obywatelstwie i rycerstwie, w naukach i sztukach, związki z państwami obcemi, przymioty i dzieje osobiste króla i jego rodziny, zgoła wszystko, co do dokładnego obrazu wieku tego należy, przez księdza Franciszka Siarczyńskiego. Tom I. Poznań 1843, 8-vo, str. 337.

Praca ta stawia Siarczyńskiego w rzędzie piérwszych historyków naszych, i okazuje widomie z jak podniosłego stanowiska pojmował, i opowiadał dzieje swego narodu. Idąc z postępem czasu, zrozumiał wcześniéj od innych tę prawdę, że kreśląc dzieje swego narodu, nie da prawdziwego jego obrazu, jeżeli tylko ma na uwadze samo życie polityczne, króla, dwór, magnatów, wyprawy, zwycięztwa czy klęski, traktaty i t. p. Jest lud, który żyje, a żywot swój objawia zewnętrznie w życiu domowém, w obyczajach i zwyczajach, w języku i piśmie.

Tę to stronę niedotykaną dotąd przez naszych historyków, wydobył na jaw Siarczyński, i w długiém panowaniu Zygmunta III troskliwie przedstawił. To téż praca jego pełna obrazów, pełna ciekawych a nieznanych szczegółów, które wpływają na oddanie dokładnych zarysów tych czasów, tyle zajmujących a przeważnych dla późniejszych okresów historyi polskiéj.

Życzyć potrzeba, aby się znalazł nakładca, któryby wydał resztę zostających dotąd w rękopiśmie tomów. Byłabyto wielka usługa dla dziejów krajowych.

W roku 1829 wydał:

„Nowy kalendarz czyli świętnik lwowski na rok 1829." Lwów 12-mo.

Oprócz zwykłéj części kalendarskiéj, jest tu wiadomość o podziale czasu na dni i miesiące, o kalendarzach dawnych i późniejszych, o ich różności i poprawach: następnie kalendarz polski ciągły, podzielony na miesiące i dnie, a przy każdym zebranie obrządków religijnych, pamiątek, lub zwyczajów krajowych, jakie zachowywano dawniéj, lub jakie dotąd przetrwały i przechowały się jeszcze.

(1) Słownik ten Siarczyński późniejszemi dopisami, do sześciu tomów pomnożył i zostawił w rękopiśmie.

Od roku 1828 objąwszy zarząd biblioteki Ossolińskiego, zaraz zaczął wydawać ważne pismo peryodyczne p. n.: „*Czasopism naukowy księgozbioru publicznego imienia Ossolińskich:* które głównie swemi pracami podparł, i dał mu przez to rozgłos w literaturze krajowéj. Wymienimy ważniejsze rozprawy Siarczyńskiego, które w czasopisie ogłosił.

„Wspomnienie zasług i dzieł męża, wiekopomnéj pamięci J. M. Ossolińskiego. Rozprawa, czyli Sławianie lub Słowianie zwać się i mówić właściwie mają. Badanie o dawnéj siedzibie Radymiczanów i Wiatyczanów, niegdyś nad rzeką Sanem, w sąsiedztwie Lachów i Rusinów zamieszkałych. Wiadomość o Wojciechu Jaksie z Bobowy Bobowskim, czyli Hali-Beju Terdziumaniu Paszy Machometa IV. Rozprawa o początku nazwy Rusi i Rusinów. Badanie względem listu Jana Smery do Włodzimiérza Wielkiego książęcia Rusi, o którego znajdowaniu się w Monasterze Spasa, pod Samborem, napisał Krzysztof Sandyusz roku 1669.

Dzieje księztwa niegdyś przemyskiego. Wiadomość o dawném powszechném używaniu łazien w krajach sławiańskich, a w szczególności w Polsce i Rusi. Wiadomość o życiu i pismach Grzegorza Knapskiego. Rozprawa czyli Wanda do prawdziwych lub bajecznych dziejów należy. Dzieje biskupstwa Rzeszowskiego greckiego i łacińskiego obrządku. Wiadomość o przekładach biblii w języku polskim. Wiadomość o dawniejszym i późniejszym stanie miasta Przemyśla, o dziejach jego, o mieszkańcach niegdyś ziemi, teraz obwodu przemyskiego. Śledzenie dokładniejsze wiadomości o Twardowskim, w wiekach przeszłych za sławnego czarodzieja mianym. Imiona polskie, tudzież niektórych imion polskich znaczenie. O śpiewach narodowych litewskich, przez J. Rhesę zebranych, a przez Fr. Lad. Czelakowskiego na język czeski przełożonych w Pradze roku 1827. Wspomnienie bitwy z Turkami i poległego na niéj Władysława III króla polskiego i węgierskiego dnia 10 listopada roku 1444. Słownik niektórych mniéj lub więcéj używanych wyrazów polskich, z uwagą co do właściwego ich znaczenia. Opisanie miasta Sambora i obwodu jego, dzieje dawne miasta tego, i stan niniejszy. Badanie, czyli mieszkańcy Rusi Czerwonéj, mieli niegdyś jakie szczególne prawa pisane. Dzieje niegdyś księztwa Bełzkiego i miasta Bełza. Dzieje niegdyś księztwa Trębowelskiego i Dźwinogrodzkiego. Wiadomość o Trębowli i Dźwinogrodzie. Rozprawa o początku i zwyczaju nadwornych błaznów czyli trefnisiów w Polsce. Wiadomość o S. Piatnicy, czyli Paraskowii, która zdawna u Sławian a mianowicie u Rusinów we czci szczególnéj jest miana.

W rękopiśmie zostawił:

„Dzieje narodu i kraju Rusi Czerwonéj, a w ogólności Rusi południowéj," 3 tomy.

Dzieło to należy do najważniejszych prac Franciszka Siarczyńskiego; uważał je sam autor za chlubną pamiątkę dla siebie, jaką zostawi krajowi. Treść więc przywiedziem jak idą rozdziały. Pragnąć należy, żeby co rychléj rękopism ten ogłoszony został drukiem, jako ważny dla nas pomnik dziejowy.

I. O narodach, które niegdyś się spędzały w krajach Rusi.
II. O Chrobacyi wielkiéj, białéj i czerwonéj.
III. O Roxolanach czyli Rossyanach, o Rusi, jéj podziałach, nazwiskach Rusi czerwonéj, białéj, i czarnéj.
IV. O Rusi czerwonéj w szczególności i jéj krajach.
V. Historya Rusi czerwonéj, i w ogólniejszém objęciu Rusi przed-Dnieprskiéj. Historya kraju Spiskiego, ile części dawnéj Chrobacyi.
VI. Historya księztwa i królestwa Halickiego.
VII. „ „ Przemyskiego.
VIII. „ „ Włodzimierskiego i Bełzkiego.
IX. „ „ Trębowelskiego czyli Podola.
X. „ „ Drohickiego czyli ziemi Chełmskiéj.
XI. O religi Rusi pod chrześciaństwem.
XII. O przyjęciu wiary chrześciańskiéj z greckim obrządkiem i ustanowieniem biskupstw.
XIII. O biskupstwach łacińskiego obrządku na Rusi czerwonéj.
XIV. Znamiona fizyczne i moralne mieszkańców Rusi czerwonéj.
XV. O rolnictwie i handlu Rusi czerwonéj.
XVI. O mowie i piśmie, naukach i uczonych Rusi czerwonéj. O zwyczajach szczególnych zachowywanych w życiu potocznem i obrządkach religijnych.
XVII. Historya Tatarów, o ich wojnach.
XVIII. „ Wołochów, i ich wojen z niemi dla nich.
XIX. Wiadomość o Ormianach, o Filiponach.
XX. „ o głuchych Niemcach.
XXI. „ o cyganach.
XXII. „ o żydach i karaimach.
XXIII. Historya Kozaków.
XXIV. O własnościach, gatunkach ziemi, i powierzanych jéj ziemiopłodach, o klimacie.
XXV. O kruszcach, wodach mineralnych, kamieniach.
XXVI. O solach kopalnych, i warzonych, o baniach solnych.
XXVII. O górach Karpackich.
XXVIII. Wiadomość o górach Podgórza i Pokucia.
XXIX. O rzekach Rusi czerwonéj.
XXX. O unii i dysunii Rusinów.
XXXI. O kacerstwach rozmaitych na Rusi.
XXXII. O dawnych ustawach, tyczących się poddanych na Rusi, i ich powinnościach.
XXXIII. O zwyczajach prawnych i ich urządzeniach.

Z tego spisu poszczegółowego widzimy, z jakiego stanowiska zapatrywał się na przeszłość upłynioną Siarczyński, jak rozległy plan nakreślił i wykonał, wyczerpując przedmiot pod każdym względem, jak wielki zasób

w tym względzie spoczywa, wiadomości żywo nas obchodzących, albo zupełnie nieznanych, lub lekko i niedbale dotąd traktowanych. Obojętność, posiadaczy tego rękopismu, jest do nieprzebaczenia.

W rękopismach pozostawił także:

„Słownik historyczno - statystyczno - geograficzny królestwa Galicyi: w trzech tomach. W piérwszym opisuje w powszechności Galicyą, w drugim i trzecim, wszystkie miasta i włości tego kraju w szczególności, porządkiem abecadła. Zamyślał Siarczyński, o wydaniu podobnego słownika całéj Polski, do którego zebrane i spisane liczne wiadomości, dopełnienia i ułożenia czekają.

„Noworocznik, czyli kalendarz na rok 1830."

Prócz tego zostało wiele szczegółowych rozpraw, które przygotował do *czasopismu*. Wymienimy ważniejsze, opuszczając tłumaczenia.

1. Rozprawa o Wenedach, Wenetach, Winitach i t. p. Sławianach.
2. O grammatyce sławiańskiéj.
3. Język staro-sławiański.
4. O cenzurze duchownéj w Polsce.
5. O inkwizycyi w Polsce i na Rusi.
6. Dawne pomysły kanałów, o połączeniu rzek polskich.
7. Uwagi względem rządu lennego w Polsce.
8. O początkowéj poczcie w Polsce.
9. O listowaniu w Polsce w różnych wiekach.
10. O dawnych u nas pieniądzach, podatkach i handlu.
11. Podatki w królestwie Polskiém około roku 1717.
12. Wiadomość o miarze *osmak* zwanéj.
13. Wiadomość o kraju polskim zwanym Podlasiu.
14. O wójtowstwach i sołtystwach w Polsce.
15. O słobodach i wolach.
16. Wiadomość o rękopismie bezimiennego pisarza Beli króla węgierskiego.
17. O Łyséj górze w Sandomierskiém.
18. Rys historyczny o początkach klasztorów bazyliańskich w Galicyi.
19. Rozprawa, ile piśmiennictwo polskie rossyjskiemu, i to nawzajem naszemu pomocném być może, i powinno.
20. Wspomnienia pięknych czynów (czyny mniéj znajome Polaków).
21. O ordynacyi Ostrogskiéj.
22. Niektóre uwagi służące ku poparciu zdania, że nazwa Sławian, nie od *słowa*, ale od *sławy* swój początek bierze.
23. O biskupstwie katolickiém, bakońskiém czyli wołoskiém.

Zebrał nakoniec Siarczyński w porządnie oprawnych księgach, wiele pojedynczych wiadomości, wypisów z dzieł, z rzadszych pism pomniejszych, mów, wierszy i t. p., które są nieocenionym skarbem, i składem materyałów do historyi polskiéj, tak dawniejszéj, jako téż czasów świeżo upłynionych.

Ten krótki życiorys Franciszka Siarczyńskiego, jest wymownym dowodem, poczciwych prac, i zasług znakomitego pisarza. Całém życiem swojém, poświęceniem dla wzbogacenia ważnéj gałęzi historycznéj literatury polskiéj, nabył prawa do naszéj cześci, i chlubnéj pamięci.

PRZYPISY.

(A) Wyliczymy tu drobniejsze pisma Fr. Siarczyńskiego.

1. *Sztuka ogrodnicza, około ogrodów kwiatowych, kuchennych, i sadów, z przydatkiem niektórych ciekawych i użytecznych wiadomości.* Kraków, u Grebla, 1780. Czwarte wydanie w Łucku, 1803. (Jestto zebranie wiadomości z dzieł niemieckich, mających wziętość podówczas).

2. *Uwaga na koszta pogrzebowe*, w Wiedniu, w Wrocławiu, 1781 r. 8-ka. (Druk Wrocławski).

3. *Dykcyonarzyk geograficzny: z angielskiego p. Echarda.* (Przekład z francuzkiego): *z dodatkiem zaszłych odmian, i umieszczeniem wielu miast i prowincyj polskich.* W Warszawie u Dufoura. 8ka, 3 tomy.

4. *Historya polityczna rewolucyi amerykańskiéj, Rajnala*, z francuzkiego przełożona. Warszawa, u Grella, 1783, 8-ka.

5. *List Paryżanki do Podolanki: czyli oryginał do kopii.* 8-ka str. 15. 1784. Przedrukowany b. m. i r.

6. *Listy moralne do utworzenia cnotliwego serca stosowne.* (Oryginał angielski, przekład z niemieckiego). Kraków, u Grebla, 1788. Czwarte wydanie u Greblowéj 1808 r. 8-ka. 2 tomy.

7. *Zakus nad zaciekami wszechnicy krakowskiéj, czyli uwagi nad niektóremi téj akademii dysertacyami.* Warszawa u Dufoura b. r. (1788). To pisemko krytyczne, w którém rozbiór rozpraw professora Trzcińskiego jest pióra Siarczyńskiego, ściągnął na wydawców złośliwą odpowiedź p. n.: *Rozbiór Zakusu nad zaciekami* i t. p.: w téjże formie i drukarni.

8. *Pochwała Stanisława Szczęsnego Potockiego generała artyleryi koronnéj.* Warszawa u Pijarów 1789 r.

Stanisław Szczęsny Potocki wojewoda Ruski, wsławił się wtedy uspokojeniem buntów ukraińskich, i przyniósłszy w darze 12 dział i klejnoty żony swojéj, był celem powszechnego uwielbienia. W tymże czasie wydał także pochwałę tegoż *Szczęsnego*, znany w literaturze naszéj, mąż wielkich zasług, Stanisław Potocki minister oświecenia publicznego, któréj później w zbiorze mów i pochwał swoich nie umieścił.

Pomijamy przekłady Siarczyńskiego, i małe rozprawki rozrzucone w różnych pismach; wspomnieć tu tylko musimy w *Pszczole lwowskiéj* umieszczone:

Uwagi i postrzeżenia czynione nad dziełem: „*Dzieje panowania Zygmunta III, przez J. U. Niemcewicza: wydane w Warszawie* 1819 *r.*"

Rozbiór gruntowny, a przytém ostry, okazujący całą wyższość Siarczyńskiego jako historyka krytycznego i badacza znakomitego, obudził w skrytykowanym a tak popularnym pisarzu, długi gniew, i żal głęboki na autora recenzyi.

(B) Po otrzymaniu medalu *Merentibus* od króla Stanisława Augusta: Fran. Dmochowski naczele swojéj *sztuki rymotworczéj* przy piérwszém wydaniu 1788, umieścił następny wiérsz do Siarczyńskiego:

„Kto czując winne ojczyznie długi,
Jak tylko może je płaci:
Taki owoców wiernéj zasługi,
Pod mądrym rządem nie traci!
Oto monarcha, co dobre chęci,
Względami swemi podsyca,
Chcąc się w potomnej uczcić pamięci,
Darem cię swoim zaszczyca.
Pięknie go zyskać, w młodości kwiecie,
Co często marnie upływa,
I wtenczas stanąć na sławy mecie,
Gdy wielu gnuśnie spoczywa."

W r. 1791 redaktorem *gazety rządowéj* był właśnie Siarczyński, z pomocą Fr. Dmochowskiego.



PIOTR JAN BERENGER.

PIOTR JAN
BERENGER.

Berenger najpopularniejszym jest francuzkim poetą. Pieśni jego nietylko, że zajmują miejsce na pułkach księgozbiorów, ale co większa, żyją w pamięci wszystkich, przeszły w usta ludu, co stanowi najchlubniejsze świadectwo rzeczywistéj ich wartości.

Wiadomo wszystkim, że on jest twórcą tysiąca piosenek, jedynych w swoim rodzaju, rozpierzchłych po całym świecie. Imię Berengera do tego stopnia upowszechniło się we Francyi, tak dalece zrosło się, że tak powiem z duchem ludu, iż Francuzi przewidują, że za jakie lat tysiąc, nowe pokolenie, nie przypuszczając, ażeby tyle rozlicznych utworów, mogło być dziełem jednego człowieka, poważy się zaprzeczyć jego istnieniu, jak dzisiejsi zaprzeczają istnienia starego Homera: dowodząc, że Berenger był mytem, istotą zbiorową, słowem, że nie był żyjącym człowiekiem.

W skromnéj izdebce krawca, przy ulicy Montorgueil, w Paryżu, dnia 17 sierpnia 1780 roku, urodził się Piotr Jan Berenger.

Rodzice oddali go na wychowanie staremu dziadkowi trudniącemu się krawiectwem. Przy nim to młody Berenger, do 9-go roku życia, swobodnie i szczęśliwie trawił wiek dziecinny. Wychowanie jego rozpoczęło się wśród ulicznego zgiełku rewolucyi, a upadek tronu, wzięcie Bastylii, i dalsze wypadki, posłużyły mu za naukę dziejów.

Wkrótce potém wysłano młodego Berengera do Peronny, gdzie ciotka jego utrzymywała dom zajezdny. Zajęty posługiwaniem gościom, przyszły

poeta w chwilach wolnych, czytał ukradkiem Woltera, a blizkie powinowactwo w duchu młodego krytyka, z słynnym filozofem 18 wieku, objawiać się już poczęło w niejednéj okoliczności.

W czternastym roku życia Berenger zaczął się uczyć drukarstwa u pana Lainé drukarza w Peronnie. Odbijając rymy poetów, nabrał chęci do składania wierszy. Pan Lainé usiłował wszelkiemi sposobami nauczyć go pisowni, lecz widząc zupełne niepodobieństwo, począł mu wskazywać zasady rymowania, i poprawiał piérwsze próby młodego poety.

Następnie, oddano Berengera do instytutu narodowego, świeżo założonego w Peronnie, staraniem jednego z członków ciała prawodawczego. W owéj szkółce, założonéj według zasad Jana Jakóba Rousseau, ćwiczono najwięcéj dzieci w sztuce krasomówstwa, i w tym celu zalecano im rozprawy, wyprowadzanie wniosków, odbywanie narad. Berenger piérwszym był mówcą szkółki. W wychowaniu obywatelskiém zaniechano wszakże naukę starożytnych języków, a zatém najklassyczniejszy z francuzkich poetów, najwięcéj zbliżony do starożytnych wzorów, przez harmonią wiersza i jasność myśli, nigdy się nie uczył klassycznych języków, lubo zmysł ich głęboko posiadał zaszczepiony w duszy.

W siedmnastym roku życia, Berenger powrócił do ojca mieszkającego w Paryżu.

Społeczeństwo francuzkie za czasów dyrektoryatu, dziwny przedstawiało obraz. Byłato szczególna mieszanina, ducha wojowniczego i zmysłowego; okazałość i dworowanie głównie cechowały epokę. Uganiano się za śmiesznem naśladownictwem Grecyi, z czasów Peryklesa, Rzymu za Cezarów, tak w stroju, jako téż i w obyczajach, a ówczesna Francya, pełna śmieszności i przesady, ponad granicami państwa, dzielnie stawiała opór nieprzyjacielowi, i tak na polu sławy, jako téż i w biesiadniczém kole, równy okazywała zapał.

Dusza poety odbiła wydatnie podwójne piętno sławy i uzmysłowienia, wskazując epokę jego młodości. Berenger jest niewątpliwie najwierniejszém odbiciem ducha swego czasu.

Rzucony w świat bez przewodnika, bez pomocy, bez majątku, bez dokładnéj nauki, mimo to, chciwy sławy, z dwudziestoletnim zapałem, zakreśla sobie najcudniejsze na przyszłość nadzieje. Zaczyna swój zawód od gruntownego ukształcenia. Czuje w sobie wieszczego ducha, lecz nie obrawszy dotąd właściwéj drogi, młody poeta rzuca się na wszystkie strony. Tworzy komedye, epopeje, i własną je ręką pali; nakoniec wydaje poemat sielankowy, w czterech pieśniach pod tytułem *pielgrzymka*.

Przyciśnięty niedostatkiem, postanawia następnie udać się do Egiptu, zajętego podówczas przez francuzkie wojska, lecz niebawem zmieniwszy zamiar, rzuca się w odmęt paryzkiego życia, nie tracąc na przyszłość nadziei.

Życie szalone wpośród miłosnych przygód, jakkolwiek, z dziwnym urokiem przedstawiać się zwykło, w wspomnieniach późniejszego wieku, nie by-

ło wszakże wolne od goryczy i zniechęcenia. Nieraz młody, nieznany poeta, po chwilowém upojeniu, dumał z tęsknotą, nad złym losem, i pragnąłby uchylić tajemniczą zasłonę przyszłości.

Pomysł szczęśliwy, stał się dla Berengera źródłem niespodziewanéj pomyślności, jak to sam wyraża, w przedmowie do swych dzieł, poświęconych Lucyanowi Bonaparte.

„W roku 1803, pozbawiony wszelkich zasobów, zniechęcony daremnie żywioną nadzieją, składając rymy bez celu i zachęty, postanowiłem przesłać me prace bratu piérwszego konsula, panu Lucyanowi Bonaparte, wsławionemu zarówno wymową, jako też zamiłowaniem nauk i sztuk pięknych. List mój dedykacyjny, objawiał jak pomnę uczucia obrażonéj dumy; bolało mnie albowiem, że byłem zmuszony szukać opiekuna. Ubogi, nieznany, zrażony wielokrotnie, nie śmiałem liczyć na pomyślny skutek. Wtém na trzeci dzień potém, radość niesłychana. Pan Lucyan Bonaparte wzywa mnie do siebie, wypytuje o moje położenie, przemawia do mnie jako poeta, nie szczędzi rad i zachęceń. Na nieszczęście wkrótce potém opuszcza Francyą. Sądziłem, że o mnie zapomniał, gdy wtém z największém podziwieniem otrzymuję list, wraz z upoważnieniem do odebrania pensyi przypadającéj na Lucyana jako na członka instytutu. List ten zachowałem starannie. „Upraszam pana, pisze Lucyan, abyś raczył przyjąć moję pensyą z instytutu; nie wątpię, że jeżeli pan zechcesz uprawiać daléj swój talent, staniesz się wkrótce ozdobą naszego parnasu. Staraj się pan zwłaszcza o doskonałość rytmu, bądź śmiałym w wyrażeniu, tak jak dotąd, lecz obok tego, bądź nieco wykwintniejszym."

Lucyan twórca obszernego poematu, domyślał się zapewne, że ów Berenger, posyłający mu sielanki i poezye, zupełnie dziś zapomniane, dosięgnie wkrótce szczytu sławy, i hojnie mu odpłaci otrzymane wsparcie, otaczając niewyczerpanym skarbem poezyi, wielkość i niedolę rodziny cesarskiéj.

Wkrótce potém Berenger pracować zaczął w redakcyi *roczników muzeum*, gdzie strawił lat dwa; zupełnie nieznany, nakoniec w roku 1809, otrzymał urząd w sekretaryacie uniwersytetu, z pensyą 1200 franków, za pośrednictwem pana Arnault, albowiem Lucyan Bonaparte, pozbawiony wszelkiego wpływu, nie mógł mu w niczém dopomódz.

Dla człowieka walczącego z nędzą, byłto los świetny. Niezbyt uciążliwe obowiązki, odpowiednie były bujnéj i niepodległéj wyobraźni poety. Objąwszy urząd w uniwersytecie, Berenger pracował nad wynalezieniem drogi, właściwéj wrodzonym zdolnościom. Zamiłowany jeszcze w poezyi wielkiéj Epos, i dramatycznéj, puścił wszakże wodze swobodnéj pieśni, i już niepojęta siła popychała go do tego rodzaju utworów. W 1813 przypuszczony do schadzek uczonych i artystów *(au careau)*, wypłacając się piosnkami, z nieustającym zapałem, postępował na obranéj drodze, a gdy w roku 1815 wydał piérwszy zbiór swych prac, piosenki jego przechodząc oddawna z ust do ust, znane już były powszechnie.

Kiedy na literackim świecie pojawiły się pieśni zawarte w piérwszym tomie zbiorów, odnoszące się do trzech odmiennych epok, Berenger był już naocznym świadkiem, ostatnich zwycięztw cesarstwa, piérwszego powrotu Burbonów, i stu dni. W przedmowie do swych dzieł czyni wyznanie politycznéj wiary.

„Uwielbienie moje, mówi on, stałe i niezachwiane dla gieniuszu Napoleońskiego, jako też bałwochwalcze uwielbienia ludu, owe źródła, w których czerpałem późniéj natchnienia do pieśni, nie zaślepiły mnie bynajmniéj na błędy Napoleońskich rządów."

To wyznanie daje klucz do niektórych piosnek zaprawionych żółcią satyry.

„W roku 1815, dodaje Berenger, w upadku olbrzyma, widziałem upadek mego kraju. Za powrotem Burbonów, w słabości ich, odgadywałem łatwy sposób odzyskania swobód narodowych. Trzymałem wiernie z ludem, widziałem, że rad z zakończenia długich i krwawych wojen, garnął się chętnie, do nowo przywróconych panów. Śpiewałem podówczas sławę Francyi w obec cudzoziemców, gromiłem niekiedy śmieszności, nie oświadczałem się wszelako, przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy.

„W czasie stu dni, mówi daléj Berenger, nie złudziło mnie powszechne uniesienie, czułem albowiem, że Napoleon nie może być konstytucyjnym monarchą. Nie na to on się pojawił światu!"

Po powtórnym powrocie Burbonów, imię śpiéwaka stało się popularném, jego zwrotki wesołe czy smętne, lekkie czy poważne, pełne zapału lub zaprawione krytyką, budziły powszechne współczucie. W drugim zbiorze wydanym w roku 1821, zakreślił poeta obszerniejsze pole pieśni. A Beniamin Constant, mówił o nim, że Berenger w mniemaniu, że pisze piosenki, najszczytniejsze tworzy ody.

Skutkiem powtórnego ogłoszenia dzieł swoich, Berenger postradał urząd w uniwersytecie, wysiedział trzy miesiące w więzieniu, i zapłacił 500 franków kary. Już w roku 1815, za pojawieniem się piérwszego zbioru pieśni, ostrzegano go, aby się miał na baczności. W roku 1821 śpiéwak pomny na przestrogę, nie ukazał się już w biurze; wkrótce też nadesłano mu uwolnienie od służby, za zniewagę obyczajów, zniewagę moralności i religii, nakoniec za obrazę osoby królewskiéj.

Jakoż rzeczywiście broń śpiewaka dotkliwie raniła Burbonów. Ani burzliwe rozprawy, ani spiski, ani kluby nie przyniosły tyle uszczerbku ich władzy. jak one piosenki, naprzemian żartobliwe, rzeźkie, śmiałe, pełne żółci, działające na ducha przez zmysły i serce, przez łzy i wesele, przez wspomnienienie chwały, ostre pociski satyry, ponętę rozkoszy i rozpusty.

Trzeci zbiór pism Berengera ukazał się w roku 1828, za ministerstwa Martyniaka. Niektóre pieśni, jakoto: *anioł opiekuńczy*, koronacya króla prostego, i inne, ściągnęły na autora nowe prześladowanie: dziewięć miesięcy więzienia, i karę pieniężną 10,000 franków.

W największém wzburzeniu umysłów, w czasie rewolucyi lipcowéj, Berenger przekonany, że jedynie nowa monarchia, może zbawić Francyą, wszelkiemi siłami starał się uspokajać umysły. „Berenger, mówi Bernard w pamiętnikach swych z 1830 roku, wyrocznia ludu i młodzieży usiłował przekonać zgromadzenie centralne, że w obecnéj chwili Rzeczpospolita jest niepodobną, a przynajmniéj nader niebezpieczną."

Przyczyniwszy się do pomyślnego skutku walki, Berenger nie chciał korzystać z łupu. Nie przyjął żadnych tytułów ani urzędów. Dawnym swym przyjaciołom, a obecnie ministrom, odpowiedział dowcipną piosenką.

„Gdy mnie Bóg stwarzał, rzekł: nie będziesz niczém." Uniósłszy lutnię, usunął się naprzód do Passy, następnie do Fontainebleau, nakoniec do Tours, zkąd znów powrócił do Passy, gdzie obecnie mieszka. Zajął się uzupełnieniem swych, jak mówi, śpiewanych pamiętników, i ogłosił czwarty, i ostatni zbiór pieśni. Obecnie zajmuje się kreśleniem życiorysów współczesnych, w kształcie dykcyonarza historycznego. I zaprawdę, taż sama ręka, która tyle wawrzynów zerwała na polu poezyi, może śmiało sięgnąć po palmę dziejopisarza. Ktokolwiek zna Berengera, wié, że dowcipny starzec, staranniéj ukrywa, głęboką umiejętność, niżeli inni okazywać ją zwykli. Berenger mógłby być zarówno doskonałym historykiem, filozofem, dyplomatą, jak był doskonałym śpiewakiem ludu.

Skreśliwszy zlekka życie Berengera, należy teraz rzucić okiem na ogół utworów poety.

„Moje serce jakoby lutnia zawieszona: skoro tylko dotknięte, natychmiast dźwięk wyda."

Oto własne jego słowa, i zaprawdę, wszechstronny gieniusz wielkiego śpiewaka, odbija wszelkie wrażenia. Widzimy w nim cztery wydatne strony: natchnienie z czterech odmiennych źródeł wpływało do jego wyobraźni przez zmysły, rozum, serce i duszę. Ztąd Berenger jest zarówno poetą erotycznym, satyrycznym, elegijnym i lirycznym.

Jako poeta zmysłowy, Berenger stanął obok Anaekrona, Tybulla i innych; wszakże utwory tego rodzaju, jakkolwiek mogą zajmować w chwili upojenia i zapału, mało mają rzeczywistéj wartości, i lekkie zaledwie zostawiają po sobie wrażenia, gdy tymczasem im szlachetniejsze uczucie służy, za zasadę poezyi, tém ona trwalsze zapewnia sobie istnienie.

Jako satyryk wywarł Berenger niepośledni wpływ, w ostatnich latach swéj potęgi. Przyznać mu należy słuszność, gdy w jednéj pieśni, mieni się być fabrykantem prochu.

Berenger nadto wymierzał częstokroć pociski przeciw wyższéj potędze, zaczepiał albowiem o wyobrażenia religijne. Lecz i w tém odmiennéj od Woltera dotykał formy, nie naruszając gruntu rzeczy. Niekiedy nawet widzimy poetę, pod wpływem prawdziwego natchnienia religijnego.

Poezye elegijne Berengera, noszą wydatną cechę smutku i tęsknoty. Poeta nazywa je ukochanemi swemi dziećmi. W nichto jaśnieje odblask najcudniejszéj poezyi, jakaś niepojęta świeżość i prostota, prawda, urok rzeczywiście *boski*. Któż zdoła bez wzruszenia odczytać niektóre pieśni, jak to powrót Jaskółki; Stara kochanka. Jakkolwiek najpiękniejszy ich urok niknie w tłumaczeniu, przytaczamy tu słabo oddane dwie piękne pieśni Berengera.

BURZA.



Pląsajcie swobodnie dzieci!
Choć się niebo chmurzy,
Grom za gromem z nieba leci,
Pląsajcie o lube dzieci:
Wasz wiek nie zna burzy!
W cieniu zielonéj grabiny,
Zdala nauki i szkoły,
Pląsajcie lube dzieciny,
Na odgłos piosnki wesołéj.
Wy nie wiecie, że nad światem
Straszna gromem burza spływa,
Wieńczcie czoło wasze kwiatem
Dla was pełna kwiatów niwa.
Pląsajcie swobodnie dzieci!
Choć się niebo chmurzy,
Grom za gromem z nieba leci,
Pląsajcie o lube dzieci,
Wasz wiek nie zna burzy!
Od błyskawic niebo pała,
Lecz wam się o burzy nie śni;
Milczy rzesza ptasząt cała,
Nic nie spłoszy waszéj pieśni.
Wróży mi wasza swoboda,
Że wnet pierzchnie mgła pomroku,
I znowu nieba pogoda,
Znajdzie odblask w waszém oku!
Pląsajcie swobodnie dzieci!
Choć się niebo chmurzy,
Grom za gromem z nieba leci,
Wy pląsajcie lube dzieci:
Wasz wiek nie zna burzy!

Nawałnica już nie zdoła
Pokonać młodzieńczéj siły!
Gromy bijąc w nasze czoła,
Wasz widnokrąg rozświetliły.
Jeśli straszna nieba wola,
Gradem zbiła nasze łany;
Dla was, użyzniona rola,
Wnet plon wyda pożądany.
Pląsajcie swobodnie dzieci!
Choć się niebo chmurzy,
Grom za gromem z nieba leci,
Pląsajcie o lube dzieci:
Wasz wiek nie zna burzy!
Dzieci! niebo znów się sroży,
Zapowiada straszny los.
Dla was względny palec Boży,
Może mnie gotuje cios.
Jeżeli z przemożnéj woli,
Mam na wieki rzucić świat,
Nucąc o wspólnéj niedoli,
Na mój grób, porzućcie kwiat.
Pląsajcie swobodnie dzieci!
Choć się niebo chmurzy,
Grom za gromem z nieba leci,
Pląsajcie o lube dzieci:
Wasz wiek nie zna burzy!

STARA KOCHANKA.

Schylą cię lata, o kochanko miła!
Schylą cię lata, a mnie już nie będzie,
Bo mnie żywota niezrównana siła,
Podwójnie ciśnie w szalonym dni pędzie.
Ty żyj, lecz w ciężkiém późnych lat brzemieniu,
Nie zganiaj z duszy błogiego wesela,
I przy spokojnym kominka płomieniu,
Zanuć o luba, piosnkę przyjaciela!

Jeśli kto wpośród zmarszczek twego czoła,
Dośledzić zechce urody niewieściéj;
Jeśli wspomnienia, z ust twoich wywoła
Młodzież, ciekawa lat dawnych powieści;
Powiédz, ach powiédz! o mém upojeniu,
O chwilach szczęścia, zapału, wesela,
I przy spokojnym kominka płomieniu,
Zanuć o luba, piosnkę przyjaciela!

Ty, któréj oko łzę niedoli leje,
Oświeć walecznych nieodrodne syny
Żem ja opiewał sławę i nadzieję,
Żem opłakiwał klęski méj krainy (1)!
Ach! ty im powiédz, że w strasznem wzburzeniu,
Wicher nam wieńce postrącał wesela;
I przy spokojnym kominka płomieniu,
Zanuć o luba, piosnkę przyjaciela!

Jeżeli promień mojéj sławy płonnéj,
I na twą starość rzuci blask uroczy,
A dłoń zgrzybiała, jeśli w wianek skromny
Mój wizerunek na wiosnę otoczy,

(1) Stosuje się to do chwili upadku Napoleona.

Ach! wówczas pomnij, w błogiém zachwyceniu,
O owym świecie, gdzie nic nie rozdziela,
I przy spokojnym kominka płomieniu,
Zanuć o luba piosnkę przyjaciela!

Nakoniec jako poeta liryczny, Berenger, odznacza się nadewszystko, niesłychaną żywością natchnienia. Staje u szczytu piękności, bez trudu, bez wysilenia. Pełen niezrównanéj harmonii, na oddanie każdéj myśli, znajduje właściwe słowa. Dopóki świat światem, powtarzane będą piękne ody Berengera. Niewłaściwą jest zatém zbytnia skromność poety, gdy przy ostatniém wydaniu swych pieśni, przeprasza publiczność, za to, że zmarnował życie, i zdolności, że nie pracował, na trwalszéj zasadzie, wznioślejszym rodzaju! Czyliż poeta nie wié, że pieśń jest nieśmiertelném odbiciem ducha czasu, że jeżeli księgi i pomniki walają się w prochu, pieśń tylko przechodzi z pokolenia do pokolenia. Pieśń nie lęka się czasu, bo znajduje święty przybytek w piersi człowieka. Może więc Berenger śmiało spocząć w grobie, w przekonaniu, że dopełnił posłannictwa swego, wskazanego mu z wyższéj woli, że późne pokolenia, jeszcze pieśni jego powtarzać będą, że imię jego, nie zaginie nigdy!



JGNACY KRASICKI.

J. Krasicki

IGNACY KRASICKI.

Krasicki należy do rzędu ludzi, którzy pismami swojemi, najdzielniéj wyrazili w historyi, rozwinięcie się naszéj myśli, w pewnym czasie. Takich ludzi jak on, każda literatura uważa za swoje światło, i od nich zaczyna, jak i na nich kończy epoki swojego pochodu.

Krasicki stanowiskiem jakie zajął w dziejach literatury polskiéj, należy do dziejów powszechnych całéj Europy; on, w pewnéj chwili wyobrażał społeczeństwo naszę, jedno z ważniejszych społeczeństw słowiańszczyzny, tego ogromnego odłamu wszechludzkości. Dlatego, jak Dante, jak Kalderon, jak Szekspir, wspominani są w dziejach Europy, wspominany tam będzie i Krasicki. Do niego się skupia cała literatura polska XVIII stulecia, jak wiek XVI miał Kochanowskiego swojém ogniskiem: wszystkie sławy, wszystkie znakomitości piśmienne swojego czasu, sławą swoją zaćmił Krasicki. Za blaskiem dopiéro świetnych skrzydeł jego, widać inne historyczne postacie.

Z ojca Jana (1) kasztelana Chełmskiego, z matki Anny Starzechowskiéj, urodził się Ignacy Krasicki w zamku rodzinnym *Dubiecku* w Sanockiéj ziemi na Rusi dnia 1 lutego 1735 (2).

(1) Jan Krasicki ojciec naszego poety urodził się 1705 roku, zasłynął ludzkością, a przechodząc po stopniach ziemskie urzędy, zasiadł w senacie na krześle kasztelanii Chełmskiéj. Ożenił się z Anną ostatnią córką dawnéj hetmańskiej rodziny Starzechowskich, herbu Nieczuja.

(2) Datę urodzin Krasickiego podają rozmaicie na dzień 1, 2, 3, 4 i 5 lutego. Myśmy datę 1 lutego wzięli *z wiadomości Warszawskich*. Książę biskup był w lutym 1 w Radzyniu, i tam obchodzono uroczyście jego urodziny. Nawet rok urodzenia podany jest rozmaicie, na lata 1733, 1734, i 1735.

Ignacy był najstarszym synem w swojém rodzeństwie. Siedmioro dzieci miał Jan kasztelan Chełmski: pięciu synów i dwie córki, co wszyscy doszli lat dojrzalszych, a ile ich mogło umrzéć przed czasem? Bracia nazywali się: Antoni, Xawery, Marcin, Karol; córki Maryanna i Brygida. Dzieci pod dozorem bogobojnéj matki i samego ojca, odbierały pobożne i troskliwe wychowanie w Dubieckim zamku. Kasztelanowa zleciła bliższe staranie nad dziećmi jednéj z tych sług rodzinnych, co to się przywiązują do osoby i miejsca, a żyją szczęściem cudzém, usychają z cudzych zmartwień. Byłato szlachcianka z ziem ruskich, córka zapewne domu, co strawił lata w usługach w Dubieckim zamku. Poszła późniéj u Krasickich za mąż, za Józefa Boznańskiego, drugiego przyjaciela rodziny kasztelana Chełmskiego. Szlachcianka ta była poczciwą i bogobojną, a serce całe oddała dzieciom i ich matce, do któréj przywiązała się całą istotą swoją. Na kierunek wychowania wpływał także ksiądz Michał Kunicki, syn Anny Potockiéj kasztelanki Kamienieckiéj, a tém samém synowiec ówczesnego Prymasa arcybiskupa Teodora Potockiego. Kunicki był już wtedy biskupem Arsynoeńskim, i suffraganem Krakowskim, a należał do rodziny Krasickich, bo bratem był przyrodnim babki Ignacego, Karoliny Krasickiéj, kasztelanowéj Chełmskiéj, Rzewuskiéj z domu. Ksiądz Michał dużo widział świata, niedawno co powrócił ż Rzymu jeżdżąc od stanów Rzeczypospolitéj, z doniesieniem papieżowi o śmierci Augusta Mocnego, a zajmował wtedy znakomite w kościele polskim stanowisko. I w nim wybitnie odznaczyły się cechy rodowe dawnych magnatów naszych. Byłto człowiek szlachetny, zacny i poczciwy. Miał wielkie zachowanie u Krasickich. Czy jego wpływem się to działo, czy téż byłato myśl matki, dosyć, że mały Ignacy zaledwie z lat dziecinnych wychodził, a już rodziły się projekta, zamiary, żeby go poświęcić stanowi duchownemu. Rzecz dziwna, że najstarszego syna matka chciała widzieć w szatach kapłańskich i przy ołtarzu. Dzieci małe jeszcze były, nie dorastały, a już wybiérano im przyszłość i sposób do życia. Bądź co bądź, a wybór ten świadczy właśnie, że sercem matki w tym względzie nie powodowały żadne rachuby światowe, chęć wyniesienia syna w dostojnościach kościelnych, ale czysta jedynie pobożność.

Zostanie na zawsze dla nąs tajemnicą, czy młody Ignacy Krasicki postępowaniem swojém, sposobem życia, nawyknieniem wreszcie, podawał matce powód do takich marzeń o jego przyszłości. Od piérwszéj pory, kiedy to w dzieciństwie dusza daje już ślad o sobie, Ignacy pokazywał wiele zdolności i żywości charakteru. Już w siódmym roku życia układał pieśni pobożne dla matki, i pisał wiersze. Kto inny widziałby w tém zjawisku ślad znakomitych twórczych zdolności dziecka, zdolności które się potém miały rozwinąć; matka wniosła, z pobożnych pieśni syna, że on nucił hymn wdzięczności ku Bogu, że w piersiach jego tchnie już powołanie kapłańskie. Kiedy więc z rówiennikami w dziecinnych zabawach pędził chłopięce lata Ignacy, matka za niego marzyła, rozmawiając o tém często z księdzem Kunickim biskupem,

a dobry ojciec pozwalał i zgadzał się na wszystko. Miał więc Ignacy Krasicki zostać księdzem, z widoków rodzicielskich, chociaż sam o tém nie myślał. I gdzie można było myśléć o przyszłości w latach dziecinnych, wpośród rówieników blizką krwią złączonych, których kochał? Stryjowie jego mieli już wtenczas liczne potomstwo. Wszystko to byli bracia stryjeczni i cioteczni, byłyto siostry Ignacego. Samych Krasickich do dwadzieścioro było dzieci. Syn najstarszego brata ojcowskiego Józefa, Jan, otrzymał już godność chorążego nadw. w wielkiém księztwie litewskiém, i ożenił się z bogatą dziedziczką milionowych włości Kotowiczówną. Drugi zawarł związki małżeńskie z Wielhorską. Dorastało nowe pokolenie. W gronie rodzinném zatém, otoczony przyjaźnią siostr rodzonych i braci, w zamku Dubieckim wzrastał Ignacy. Ze wszystkich jednakże rówieników był jeden, co serce jego zupełnie i bez podziału zaskarbił dla siebie. Mówimy o Ignacym Cetnerze starościcu korytnickim, ciotecznym jego bracie, bo był synem Izabelli Krasickiéj. Mieszkali Cetnerowie w Krakowcu pod Przemyślem. Bywał często z rodzicami swojemi Ignacy Krasicki, a jedność skłonności, podobieństwo sposobu myślenia, związały go z Ignacym Cetnerem przyjaźnią, któréj potém samo oddalenie się nawet, rozerwać nie mogło.

Rodzice oddali nareszcie młodego syna do szkół Jezuickich we Lwowie. Uczony ten zakon był wtedy jedyném zródłem, z którego młodzież czerpała jakie takie światło i wiadomości. Gotując Ignacego do przyszłego duchownego powołania, chciała matka, żeby u Jezuitów pobierał pierwiastkowe nauki. Kształcić się zaczął coraz więcéj dowcip młodzieńca. Okiem już swojém zaglądał w przyszłość; jeżeli nie głową to przeczuciem pojmować już zaczął wady ówczesnéj edukacyi. Jego ród historyczny otworzył mu drogę do wszystkich towarzystw Lwowskich. Rozwijały się zdolności coraz widoczniéj, a rodzice już o tém tylko myśleli, żeby Ignacego posłać na ukończenie nauk teologicznych do Rzymu, bo próżnią w ich sercu mogły zapełnić młodsze dzieci. Wtém umarł ojciec Ignacemu w roku 1751 zaledwie skończywszy 46 lat życia. Młody Krasicki został sierotą, a lat 16 miał dopiéro.

Nad domem okrytym żałobą, nad biedną wdową, która upadała pod ciężarem boleści, a jednak myślą wzlatywała do nieba; nad gronem małych niedorosłych dzieci, objął teraz opiekę ksiądz biskup Kunicki. Kiedy się piérwszy żal płaczem uśmierzył, Kunicki pomyślał o wyprawieniu Ignacego do Rzymu, jakby się spieszył uporządkować wszystko, spodziewając się, że sam już niedługo na ziemi zagości; jakoż w istocie umarł tegoż samego 1751 roku. I po drugiéj już żałobie wyjechał wreszcie Ignacy do Rzymu, pożegnany płaczem matki, jakby jedyna domu osieroconego nadzieja.

W Rzymie panował wtedy pobożny Benedykt XIV z domu Lambertini. Młody Krasicki na każdym kroku w Italskiéj ziemi spotykał ludzi i dzieła, które przemawiały do jego serca i wyobraźni. Sam papież mógł przeszłością swoją i nauką oczarować młodego człowieka, chciwego świata i wiadomości. Benedykt XIV prowadził wtedy częstą i ciekawą rozprawę listowną z Wacławem Sierakowskim biskupem Przemyślskim, a wreszcie i arcybiskupem

Lwowskim. Sierakowskiego znał Krasicki na Rusi. Byłto wzór cnót kapłańskich i prawdziwego obywatelstwa. Spoglądając zatém na papieża oblicze, młody Krasicki i Sierakowskiego sobie przypominał, a z większym jeszcze ogniem i zapałem brał się do pracy, bo wiedział że go uszczęśliwi, że zapełni całą próżność serca. Co krok spotykał w Rzymie ślady dawnych bohaterów i panów świata. Najulubieńszém jego miejscem do przechadzki było wtedy *forum romanum*, później *polem krów* nazwane. Wznosiło to i rozrzewniało umysł młodzieńca, kiedy deptał ziemię śladami Katonów wydeptaną. Zdawało mu się wtedy, że widzi ową mównicę przy rostrach, a na niéj jak rozprawiają z kolei to Grachowie, to Hortensyusz, to Cycero. Na dawnym placu świątyni Jowisza Kapitolińskiego, widział kościół Bernardyński. Zapalona imaginacya, co szukała w nowym, dawnego świata, przedstawiała Krasickiemu że Bernardyni to Augurowie dawni, i czekał, rychło zaczną się wieszczby i przepowiednie na gruzach świątyni. Chodził na skałę Tarpejską, zastał tam ogród kapuściany, a przecież oczekiwał na winowajców, których do morza miano strącać. Nawet gęsi, które w Rzymie spotykał, zdawało mu się, że pochodzą od owych, co to Rzym wybawiły za Manliusza, od Gallów. Pobyt w takiém mieście, jak Rzym, dla każdego jest pamiątką i epoką w życiu, a dla ludzi wielkich zdolności i wielkiéj wyobraźni, jestto zupełny kurs edukacyi. W jednéj chwili tam się więcéj nauczyć można, jak kiedyindziéj przez całe lata, chociażby i pod sterem zdolnych przewodników. To też Krasicki opuszczając Rzym nabył tego przekonania, „że kto raz Włochy oglądał, a zagłębił myśl w to, czém niegdyś były, temu drobnieje wszystko co potém widzi (1)."

Ukształcony i przysposobiony do nowego zawodu, wrócił Ignacy z Rzymu do Polski pod koniec panowania Augusta III. Z radością powitała go matka, z radością on sam powitał braci i siostry, i przyjaciela dziecinnych lat Ignacego Cetnera. Był już wtedy Cetner sierotą po ojcu; a matka żyła zawarłszy powtórne śluby z Sapichą wojewodzicem Mścisławskim. Nieocenionéj poczciwości był ten przyjaciel Krasickiego; choćby chciał gniewać się na kogo, nie umiał, a dokuczał mu każdy kto chciał, nawet żona, tymczasem Cetner dla wszystkich miał dobre serce, a słodycz na ustach. Cetner był niezawodnie wzorem chrześciańskiéj prawdziwie cnoty i poświęcenia się.

Za powrotem z Rzymu, Krasicki został Kanonikiem przemyślskim. Szczęśliwy był bo mógł osiąść blizko Krakowca. „Siedząc w mantolecie do chóru, skrzętny szedł do katedry dla grosza i dla chwały Bożéj," sam potém powiedział to o swoim pobycie w Przemyślu. Zdolność, dowcip niezwykły, sprawiły to, że Krasicki był duszą wszystkich posiedzeń. Nie zaczynał jeszcze wtedy literackiego zawodu, ale czytywał książki i widział, że nastąpić musi przesilenie. Wtedy z zapałem zapewne pochwycił do ręki Konarskiego dzieło, a czytając je, znalazł w niém własne uczucia i myśli. Wtedy to zapewne zaczął pracować o wymowie kaznodziejskiéj. Kazania, które po nim pozosta-

(1) O pobycie w Rzymie mówi sam Krasicki w jednym z swoich listów.

ły, z tego niezawodnie pochodzą czasu. Jedno z nich miał w Berdyczowie. Inne kazania są na cztery niedziele ostatnie zapust, na piérwszą niedzielę postu, oraz przemowa przy objęciu parafii. Nie wiemy czy dla siebie pisał te kazania, zdaje się np.: że przedewszystkiém ostatnie przy objęciu parafii, dla kogo innego były ułożone, bo Krasicki nie był nigdy proboszczem. Sposobem homilitycznym napisane te kazania. Krasicki w tym razie nie poszedł za wzorem Francuzów, ale szedł za Janem Złotoustym, i Skargą. Język w tych kazaniach prosty, dostępny, kazania prawdziwie dla ludu, bo są nauką, wykładem, objaśnieniem tajemnic i obrzędów wiary (1).

Nie na téj jednak drodze miał do sławy dążyć Krasicki. Nie wiarę rozszerzać, bo ta była głęboko wkorzeniona w sercu i pojęciach Rzeczypospolitéj, on przyszedł przerodzić społeczeństwo Polskie. Nim więc wprzódy zajaśniał w narodzie, błyszczał w towarzystwach na Rusi, we Lwowie, w Przemyślu, w Dubiecku, w Krakowcu, w całéj okolicy rodzinnéj. Miał tysiąc opowieści na zawołanie, młody człowiek, a mówił jak stary o przeszłości, i o tém co widział. Kochali go téż wszyscy, nietylko duchowieństwo, którego był ozdobą, ale starzy i młodzi, mężczyzni, kobiéty i dzieci, uczeni i nieuczeni. Z kolei biskup przemyski Wodzicki, z kanonika posunął go na probostwo katedralne, a Józef Załuski opat Wąchocki zostawszy biskupem kijowskim, wziął go na koadyutora do zarządu swojego opactwa. Niedość na tém, Sierakowski teraz już arcybiskup sciągnął Krasickiego do Lwowa, i w roku 1763 po Stanisławie Jezierskim biskupie bakońskim, zrobił go Kustoszem lwowskim. Młodym był wtedy Ignacy, a już miał głos w dwóch kapitułach, i przyszłość przed sobą. Winien to był urodzeniu swojemu, a więcéj jeszcze zdolnościom.

Nastąpiło bezkrólewie po Auguscie III; nowa epoka zaczęła się dla Krasickiego.

Przyjechał wtedy do Warszawy. Pięknéj był i ujmującéj postaci, grzeczny, słodki, przystępny, miał coś w postawie takiego, co wskazywało na ród wysoki, i na przymioty umysłu. Zadziwiał téż dowcipem, i jak dawniéj na Rusi, tak teraz został ulubieńcem towarzystwa w stolicy. Na sejmie po elekcyi króla, kanclerz Czartorycki, chciał przeprowadzić myśl swoję o rozdzieleniu trybunału koronnego, na dwa osobne trybunały, wielkopolski i małopolski. Krasicki w Warszawie właśnie zbierał kazania swoje w jeden rękopism gotując się oddać je do druku (2), kiedy obrano Poniatowskiego królem, a kapituła lwowska wyznaczyła go deputatem z grona swojego na trybunał małopolski we Lwowie i Lublinie. Że w tym trybunale piérwsze krzesło pomię-

(1) Kazania te wyszły piérwszy raz w Warszawie u Missyonarzy, przedrukowane w wydaniu dzieł Krasickiego, Glückberga; pisze o nich Joher. Kazanie w Berdyczowie, pisze Joher, miał Krasicki w r. 1751; chyba w r. 1761.

(2) Data przedmowy do kazań jest z Warszawy czerwca 1761. Nie wiemy zatém dlaczego, kazania te w późnym wieku, już na biskupstwie miał pisać Krasicki, jak domyślał się wydawca ich u Świętego Krzyża.

dzy duchowieństwem, należało się deputatowi ze Lwowa, Krasicki był ogłoszony prezydentem trybunału, i razem z marszałkiem miał przewodniczyć, najwyższemu sądowi w Małéj-Polsce. To nowe prawo o urządzeniu trybunałów, zapadło dopiéro na sejmie koronacyjnym Stan. Augusta. Podczas obrzędu namaszczenia w kościele Śgo Krzyża (25 listopada 1764) miał dla siebie wyznaczone miejsce Krasicki. Poprzednio jeszcze na kilka godzin przed koronacyą, w rokiecie i mantolecie na zamku podawał mistrzowi uroczystego obrzędu Szymanowskiemu, staroście Wyszogrodzkiemu, trzewiki koronacyjne, które potém marszałek wielki litewski, książę Sanguszko kładł na nogi Poniatowskiemu. Znajdował się wtenczas Krasicki w zamku w gronie deputacyi, co zapraszała króla imieniem kościoła Śgo Krzyża. Deputacyą składali: biskupi i wyższe duchowieństwo, następnie podczas saméj mszy koronacyjnéj, po odbytym obrzędzie uroczystym, przez Prymasa Łubieńskiego, Krasicki wszedł na ambonę, i za błogosławieństwem naczelnika kościoła polskiego, miał z textu następującego kazanie: „*wziął Samuel naczynie oleju i namaścił Daniela wpośrodku braci jego.*"

Drukowano wtedy tę mowę w dyaryuszu sejmowym, a Krasicki zwrócił na siebie oczy króla, który bądź co bądź, a rolę mecenasa, opiekuna uczonych odgrywać postanowił. Najświetniejsze towarzystwa stolicy wyrywały wtedy sobie Krasickiego. Był on wtedy prawdziwie duszą i rozkoszą Warszawy. Król widział, że zdolności Krasickiego zwiastują dla niego przyszłość. Domyślał się, że przez Krasickiego spłynie część sławy i na jego panowanie. Z początku obchodziła Stanisława Augusta sława narodu, rad był serdecznie, że się ujrzał na tronie, bo roił plany, układał zamysły. Pozyskać go chciał tedy, zachęcić, przyciągnąć do siebie. A wybór Krasickiego na prezydenta trybunału przyjął z radością, bo ten wysoki stopień nadawał prawo młodemu kapłanowi, do wyższych dostojnosci w Rzeczypospolitéj.

Obchodził właśnie wtenczas Krasicki uroczystość rodzinną. Brat jego młodszy Antoni ożenił się z Różą Charczewską kasztelanką słońską, i narodził mu się wtenczas syn pierworodny Jan z imienia. Ignacy bardzo był przywiązany do brata, miał zatém wiele powodów cieszyć się z tych urodzin, bo synowcowie, mieli być z czasem jego dziećmi. Powinszowawszy zatém listownie *pani Różowy*, bo tak bratowę nazywał, Krasicki wybrał się z Warszawy do Lublina, prezydować w trybunale. Oczywiście liczny był zjazd gości: w gronie deputatów pomiędzy niemi jaśnieli: kanonik z Krek, Adam Przeczęlski, kanonik z Chełmna Lenczewski. Jednego z nich czekał w przyszłosci wysoki urząd koronny, drugiego biskupstwo *in partibus infilium*. Z deputatów świeckich odznaczali się: Szeptycki cześnik lwowski; Drohojewski chor. żydaczewski; Dzierzbicki podczaszy inowłodzki; Łoś starosta berezański, i zacny przyjaciel prezydenta Ignacy Cetner, teraz już bełzki wojewoda. Do kwietnia 1765 roku, trybunał sądził sprawy w Lublinie, a od przewodniéj niedzieli przeniósł się do Lwowa, gdzie aż do wilii Śgo Tomasza odbywał ciągle posiedzenia. Pod okiem Krasickiego nie cierpiała zapewne sprawiedliwość, przemoc nie srożyła się nad nędzą albo

cierpieniem. Ale przez ten czas miał sposobność poznać prezydent trybunału wszystkie prawne kruczki dawnych mecenasów i całą praktykę sądową. Widział, że z najlepszéj instytucyi zła wiara mogła korzystać, i krzywdę bliźnich obracać na swoję korzyść. Znał dotąd z podania i z nasłuchania się trybunały koronne, teraz miał sposobność poznać je zblizka. Dla jego uwagi wszystko obejmującéj, zagniewanéj na głupstwo i na przesady; dla jego serca, które już innemi oddychało uczuciami, poznanie bliższe trybunałów, było jakby cudownem odkryciem. Krasicki był satyrykiem w duszy, bo satyrą, ironią mógł przerodzić towarzystwo. Znał wiele wad i słabości narodowych, a im więcéj ocierał się z ludźmi na świecie, tém gorętszą żywił myśl, powstać nareszcie i działać.

Zaledwie powrócił do Warszawy, po odbytym trybunale, w końcu 1765 albo w początku 1766 roku, idąc za własnym popędem i za natchnieniem króla, zaczął pracować na polu literackiém. Miało towarzystwo ówczesne polskie dziwny organ umysłowy, którym zdradzało nowe życie. Wychodziło w stolicy w numerkach dwa razy w tydzień o małych ośmiu stronnicach, nadrukowanych ogromnemi czcionkami biedne pisemko, które się nazywało *monitor*, a było naśladowaniem satyry angielskiéj. Najznakomitsze ówczesne talenta wzięły się do redakcyi *monitora*, żeby obudzić życie i myśl narodu. Zapewne sądząc ze stanowiska naszego czasu, pismo to było naśladowaniem, ale za piérwszych lat panowania Poniatowskiego budziło interes i zwiastowało świat literacki. Żeby naród oświecać, prostować opinię, brali w monitorze udział przez artykuły poważne i uczone, Albetrandy i Minasowicz. Franciszek Bohomolec i Krasicki wzięli na siebie stronę lekką pisemka, a mieli działać bronią ironii dowcipu. W monitorze rozbierano pokolei to kwestye czasowe i interesujące ogół narodu, to roztrząsano wady i przesądy panujące. Panował w pisemku dowcip i humor, bo w artykułach moralnych i rozumowych, starano się dostępnie traktować przedmioty, a nierzadko pojawiały się i wiersze, w których znać już styl i powab Krasickiego. Nie byłyto jeszcze bajki; a małe artykuły przeplatane wierszami, w których język już czysty, piękny, harmonijny nie miał nic wspólnego z epoką panegiryków jezuickich. To były piérwsze Krasickiego prace w zawodzie piśmiennym. Wielka szkoda, że nie odznaczali się autorowie podpisami w monitorze, bobyśmy z pewnością wiedzieli, co tam jest pióra Krasickiego. Dzisiaj tylko możemy się domyślać, a dla samego autora, dla dziejów i literatury, ciekawaby rzecz była widzieć, jak się rozwijał ten talent potężny.

Król Stanisław pomyślał wtedy o przyszłości byłego prezydenta trybunału. Właśnie w téj chwili dogorywał, na biskupiéj warmińskiéj stolicy, uczony i poważny wiekiem starzec siedmdziesięcioletni, ksiądz Stanisław Grabowski. Król postanowił Krasickiego posadzić na Warmii. Uprzątając zawady przed czasem, król poradził Grabowskiemu, żeby przyjął księdza opata Wąchockiego, koadyutora w urzędzie biskupskim. Dużo ta okoliczność wymagała formalności prawnych, ale zgodził się stary biskup,

zdaje się przekonany, że zdolność Krasickiego uświetni stolicę jego, bo zresztą nic za Krasickim jeszcze nie mówiło prócz zdolności, i wiek był młody i zasługi jeszcze niewielkie. Wierzymy, że kapituła patrzała na to wszystko z niechęcią, ale żeby jéj nie nastręczyć powodu do prawnego oporu, król postarał się, że generał pruski udzielił Krasickiemu indygenat, w trzech województwach pomorskich, bo bez tego nikt z Polaków nie miał prawa do najmniejszego urzędu w ziemiach nadbałtyckich Rzeczypospolitéj.

Właśnie wpośród tych wypadków, na dniu 6 czerwca 1766 roku umarła ostatnia ze Starzechowskich, matka Krasickiego (1). Nie doczekała świetnych lat ulubionego syna, nie doczekała jego tryumfu i wielkiego znaczenia w Rzeczypospolitéj. Lat piętnaście sieroctwo swoje po śmierci męża znosiła z nadzieją, że z synów doczeka się pociechy, że przez nich spłynie na nią błogosławieństwo niebios. I oto będąc przy brzegu szczęścia, umarła dla dzieci swoich, żal Krasickiego był wielki po wielkiéj stracie. Matka była razem jego największą dobrodziéjką. Grabowski biskup zrobił go niedługo po nadaniu indygenatu pruskiego kanonikiem warmińskim, a wreszcie przedstawił kapitule, że obciążony jest latami, że potrzebuje pomocnika, i że w opacie Wąchockim znalazł wszystkie przymioty, które nadają prawo do téj wysokiéj dostojności kościelnéj. Kapituła w październiku 1766 roku, zatwierdziła wybór biskupa; nie spodziewała się wcale, że go już niedługo utraci, bo w dwa miesiące potém niespełna, na dniu 15 grudnia tegoż 1766 roku, umarł Stanisław Grabowski.

Najświetniejsza przyszłość pod każdym względem otworzyła się teraz dla Krasickiego. Przez śmierć starego biskupa został on teraz senatorem Rzeczypospolitéj, książęciem udzielnym; ledwie miał lat trzydzieści wieku, a przyjął jedno z najwyższych stanowisk w społeczeństwie polskiém. Miał teraz 400,000 rocznego dochodu, miał rozległe włości i władzę nietylko biskupią, ale razem i obywatelską. Zawiść w saméj rzeczy miała wtedy powód szarpać sławę nowego biskupa. Król szczęśliwém natchnieniem zgadł jego przyszłość i nagrodził zdolności suto, prawdziwie po królewsku. Ale o czém król wiedział, nie wiedziała jeszcze massa narodu. Krasicki nie był jeszcze wyobrazicielem swojego czasu, i dlatego zdawało się wielu, że brał zaszczyty nad zdolności i nad zasługi. Latał wtedy po Warszawie z rąk do rąk dowcipny rysuneczek, który jednak zdradzał usposobienie pewnéj koteryi świata stołecznego. Rycina wystawiała Krasickiego w kościele przy ołtarzu kiedy mszę odprawiał, a wokoło niego kręciły się posługując mu do mszy panny w obronach. Był młody biskup Warmiński rozkoszą ówczesnego towarzystwa, żył w wielkim świecie, żył więc ze wszystkiemi, z książętami i z hrabiami, i w gronie mężczyzn i kobiét. Rycina starała się dotknąć go ze strony najdelikatniejszéj dla kapłana, starała się przekonać opinią, że kobiétom winien był swoje wyniesienie się Krasicki, co przecież fał-

(1) Herbarz Niesieckiego, wydanie Bobrowicza.

szem jest, bo nowy warmiński biskup zdolnościami świecił, i blaskiem pana polskiego.

Następca Benedykta XIV, Klemens XIII już nie koadyutoryę biskupstwa, a samo biskupstwo musiał Krasickiemu w Rzymie zatwierdzić. Na mocy bulli papiezkiéj, nuncyusz Visconti na dniu 28 grudnia 1766 w kościele Teatynów na Długiéj ulicy poświęcił Krasickiego na urząd biskupi. Odbyła się ta uroczystość z nadzwyczajnym blaskiem. Sam król się na niéj znajdował. Był z kolei Krasicki trzydziestym siódmym warmińskim biskupem, ą od czasów panowania polskiego na Pomorzu po upadku krzyżaków, dwudziestym trzecim: jako Ignacy piérwszy, nosił imię na książęcéj swéj stolicy.

W wilią nowego roku odprawił Krasicki w kollegium Śgo Jana w Warszawie uroczyste nabożeństwo za duszę swojego poprzednika biskupa. Odśpiéwano liczne wigilie, a na końcu eksekwii obrządkiem biskupim miał mszą śpiewaną biskup kujawski Załuski, którego wyprzedził teraz w wysokim urzędzie swoim, młody jego niegdyś koadyutor. Załuski i kondukt żałobny odprawił. Nazajutrz po nowym roku (2 stycznia 1767) książę biskup warmiński złożył w zamku przed królem przysięgę na dostojność senatora Rzeczypospolitéj.

Nie zaraz wyjechał do Warmii książę biskup, bo musiał się jeszcze w stolicy nacieszyć nową swoją godnością. Przy wielkich swoich zdolnościach miał w latach młodych dosyć próżności. Nikt temu nie mógł zaprzeczyć, że zrobił los świetny. Chciał przed Warszawą, przed senatorami i bracią szlachtą okazałością książęcą i zbytkiem zaświecić. On nie przywykł od lat młodocianych szczędzić grosza, i żyć w mierności. Miał zawsze dobra wielkie i utrzymanie magnackie. Teraz sam nie mógł zrachować dochodów swoich, i nic dziwnego, że z początku jakby olśnił od blasku własnéj osoby i własnego znaczenia.

Czynny był jednak nadzwyczaj. W piérwszych dniach stycznia jeździł zaraz do Skierniewic, do księcia Prymasa złożyć mu swoje uszanowanie, jako naczelnikowi kościoła polskiego. Władysław Alexander Łubieński chorowity starzec, zdrów wtenczas właśnie, przyjął noworodzącą się gwiazdę z pewném odznaczeniem na swoim starożytnym zamku. Ale zaledwie wrócił ze Skierniewic Krasicki, zaproszony pospieszył do Radzynia w Lubelskie w odwiedziny do generała artylleryi litewskiéj Eustachego Potockiego na familijne uroczystości. Generał wydawał córkę swoję za mąż za księcia Sanguszkę starostę czerkaskiego, a ogromna liczba gości zjeżdżała się już do Radzynia ze stolicy i ze stron rozmaitych. Chociaż chciał generał prywatnie obchodzić zaślubiny córki piérwszego lutego, dla uczczenia dnia urodzin księcia biskupa, kazał Potocki rano ze stu dział zamkowych dać ognia, a około jedenastéj z rana w kaplicy pałacowéj nastąpił obrząd pobłogosławienia państwa młodych. Po obiedzie zaczęły się tańce, gości coraz więcéj przybywało. Nazajutrz dopiéro o siódméj wieczorem biskup warmiński dawał ślub w kaplicy nowym małżonkom. Pannę młodą prowadzili przed ołtarz: marszałek wielki litewski Sanguszko ojciec, i brat jéj starszy. Ogon od sukni

nieśli trzéj młodsi bracia. Od ślubu prowadzili: generał artylleryi ojciec i w. brzeski. Cały czas przez ceremonię ślubną nieustannie biły działa na wiwat. Nastąpił ceremonialny polski taniec, a potém zwyczajne trwały aż do wpół do jedenastéj, poczém dano kolacyę, i spełniano na niéj wiwaty króla, księcia biskupa, państwa młodych, księżnéj marszałkowéj wielkiéj litewskiéj i przytomnych gości. Rozpoczęły się znowu zabawy i tańce, o trzeciéj wyjechał z Radzymina na Lubartów, żeby odwiedzić prababkę kobiét polskich, zacną staropolską niewiastę, Barbarę z Dunuinów Sanguszkowę; z Lubartowa powrócił do Warszawy (1).

Pobyt w Radzyminie i zaprosiny Eustachego Potockiego, świadczyły o szacunku jaki wtedy wszędzie spotykał Krasickiego. Widzieliśmy, że starano się o jego względy, że pochlebiano jego wysokiemu stanowisku. Sam dzień na ślub wyznaczony, dzień blizkiéj rocznicy urodzin księcia biskupa, był hołdem dla Krasickiego przymiotów, w którym dziwiła się cała Rzeczypospolita. Zdaje się chcieli go wszyscy wtenczas rozerwać pomiędzy sobą, żadna uroczystość nie obyła się bez Krasickiego, on musiał we wszystkiém mieć udział. Nawet nie miał czasu poświęcić się literaturze, która mu tak zaszczytne wyrobiła stanowisko. Czternastego lutego w pałacu Rzeczypospolitéj (Krasickich) przy obecności wielu zgromadzonych panów, poświęcał nową chorągiew kompanii pontynierów w nowy mundur przybranych. Niedługo potém w kaplicy zamkowéj udzielał zwykłych chrztu ceremonij pannie Kunickiéj starościance czułzyckiéj, którą sam król, z bratową księżną Jędrzejową do chrztu trzymali. Obrząd ten poprzedzały zaślubiny, które w dni kilka starościanka zawarła z Szwejkowskim JP. adjutantem królewskim. Daléj książę biskup warmiński w dzień popielcowy musiał w zamkowéj kaplicy dla króla i jego dworu odbyć ceremonią, która świadczyła o znikomości rzeczy ludzkich. Po południu w tenże sam dzień wstępny postu, trzymał do chrztu w ratuszu z księżną Jędrzejową jednego żyda, który za fałszowanie monety na śmierć skazany został. Dwudziestego dziewiątego marca, święcił po raz piérwszy na biskupa arefuzyańskiego i suffragana do Inflant, księdza Konstantego Sosnowskiego w kościele missyonarzy u Śgo Krzyża; towarzyszyli mu przy tych obrzędach Załuski, Kijowski i Hylzen były Inflancki biskup. W kwietniu (17) na święta wielkanocne wyjechał do Skierniewic w odwiedziny do Prymasa z podkanclerzym koronnym Młodziejowskim: 8 maja w dzień Śgo Stanisława znajdował się razem z królem na mszy u Missyonarzy, i mianowany został wtedy, a raczéj miał sobie tego dnia doręczone naprzód ozdoby orderu Śgo Stanisława, zpomiędzy dwudziestu trzech nowo obranych dostojników tego orderu.

Nie skończylibyśmy nigdy, gdybyśmy chcieli iść ślad w ślad za Krasickim w jego wycieczkach, tryumfach i zatrudnieniach. Ledwie się wyrwał

(1) Wiadomości Warszawskie 1767 Nr. 5, 9, 12. Wspomnieni tu bracia panny młodéj, byli Ignacy, późniéj marszałek wielki litewski, i Stanisław, późniéj minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego w królestwie Polskiém.

na chwil kilka z Warszawy i 11 maja pospieszył do Warmii osobiście objąć zarząd biskupstwa. Nie miał czasu na odbycie wjazdu do Heilsberga, zwyczajem wtedy upowszechnionym w Polsce, kiedy od Prymasa aż do najmniejszego kasztelana i starosty wszyscy wjeżdżali w swoje grody albo zamki. Horyzont polski zaciemniał się wtedy i konfederacye, jedna rodziła się z drugiéj. Rzecz pospolita cała była jedną wielką konfederacyą. Obiecał Krasicki wrócić na radę senatu, którą wtedy król zgromadzał, i w saméj rzeczy w dni kilkanaście stanął z powrotem w Warszawie. Dwudziestego ósmego maja zakończyła się rada, a Krasicki wyjechał do Miedniewic, gdzie słynął od lat 92 cudowny obraz Zbawiciela, jego Matki i Śgo Józefa. Reformaci Miedniewieccy, wyrobili sobie od stolicy apostolskiéj pozwolenie do ukoronowania obrazu, i w tym celu zaprosili Załuskiego z Krasickim. Załuski wprowadzał uroczystym obrzędem koronę do kościoła, a Krasicki podług przepisanego na to rytuału koronował cudowny obraz. Odbyła się ta uroczystość jak wszystkie podobne religijne obrzędy w dawnéj Polsce, z prawdziwą wystawnością, przy odgłosie nieustannym armat, przy oddźwiękach muzyki, i przy odgłosie pobożnych pieśni. Zabrał na końcu głos Krasicki, i jak powiadają ówczesne *gazety*, *w złotoustém* kazaniu tłumaczył słuchaczom znaczenie pięknéj kościelnéj pieśni: *Witaj królowo, miłosierdzia matko* (Salve Regina). Odbył się ten obrząd koronacyi w niedzielę 7 czerwca 1767 roku, w uroczystość Śtéj Trójcy.

W dwa tygodnie potém prymas arcybiskup Łubieński zakończył życie. Na dniu 26 czerwca kondukt żałobny wieczorem z Prymasowskiego pałacu do Śgo Jana prowadził Szeptycki biskup płocki. Towarzyszyli mu przybrani w infuły: Krasicki, Młodziejowski i Załuski biskupi, oraz Kierski sufragan poznański i sekretarz w. k. Podług rozporządzenia prymasa, ciało jego poprowadzono do Łowicza, i tam pochowano w grobach kollegiaty. Zjazd wielki panów uświetnił obrząd pogrzebowy. Kierował nim ksiądz podkanclerzy Młodziejowski, wyznaczony na to ostatnią wolą zmarłego. Z nim razem pięciu biskupów odprawiało nabożeństwo, a między nimi i Krasicki, któremu niedawno właśnie w końcu lipca dedykowano w szkole szlacheckiéj pijarów akt filozoficzny przy zdawaniu sprawy z postępu roku całego. Trzeciego września był ksiądz biskup na uczcie u Załuskiéj, dawanéj z powodu, że uczony kijowski biskup, przyjął właśnie księdza Józefa Kochanowskiego prałata swojéj katedry na koadyutora probostwa Śgo Jana w Warszawie. Znajdowali się jeszcze na téj uczcie Rybiński biskup kujawski, Kierski sufragan poznański, i nowo wybrany koadyutor Bajera biskupstwa chełmińskiego, Krzysztow Szembek, człowiek ze wszech miar zacny i poczciwy, a wielki Krasickiego przyjaciel; był i nuncyusz, ksiądz Durini (1).

Następował sejm pod hasłem konfederacyi Radomskiéj, jedyny sejm na którym zasiadał Krasicki jako senator Rzeczypospolitéj. Podług da-

(1) Wszystko z gazet ówczesnych.

wnego zwyczaju, kapituła warmińska, biskupom swoim na sejm wyjeżdżającym dawała z dochodów swoich znaczną summę niby na karty; książę przyjął ten podarunek, ale cały na służbę swoję obrócił. Łagodny i wyrozumiały dla swoich domowników, powiadał, że dosyć oni są nieszczęśliwi, że służą, i dlatego powtarzał, że nie trzeba im dawać poczuć ich nieszczęsnego przeznaczenia. Na sejmie tymczasem stanęły naprzeciw siebie dwa stronnictwa, które wtenczas Rzeczpospolitę zaburzyły, nie można było daléj prowadzić rozpoczętych obrad. Krasicki radził wtedy królowi zawiesić sejm, aż póki całe ciało prawodawcze nie ujrzy w zupełnym komplecie, zaklinał nawet senatorów, żeby się nie schodzili na posiedzenie do zamku: chwalili go za to i obiecywali, że nie pójdą, a poszli jednak, i rozwodzili się tylko z żałobą. Otrzymał za to Krasicki rozkaz opuścić natychmiast i sejm i Warszawę.

Pożegnawszy zatém króla, wyjechał dnia 6 listopada do Warmii z obietnicą, że na nowy rok powróci. W Heilsbergu obchodził dzień 25 listopada, trzecią już rocznicę koronacyi Stanisława Augusta. Śpiewano w katedrze warmińskiéj wotywę, potém *Te Deum*, i sto razy wystrzelono z armat. Książę biskup wydał obiad wystawny dla sproszonych gości w zamku. Grała wyborowa muzyka, a szlachta i panowie u stołu spełniali hucznie zdrowie króla, a przy każdym grzmiały na wiwat armaty. Zdaje się, że Krasicki wierzył w Poniatowskiego, widział w nim rękojmię przyszłego szczęścia Polski, ale widząc co się dzieje, przypuszczał, że król tylko nieszczęśliwy. Wierzył może, że przecież kiedyś te burze przeminą, że na nowo zaświeci słońce, niosąc z sobą pogodę i pomyślność narodu.

Po nowym roku 1768 Krasicki powrócił do Warszawy, i wtedy poświęcił się całkiem literaturze. W chwilach burzliwych, podczas wojen konfederacyi Barskiéj, mieszkał wtedy w nowo wymurowanéj kamienicy na Krakowskiém-Przedmieściu Józefa Wasilewskiego, radcy dworu króla Stanisława. Tutaj dawał tak zwane wieczory uczone, na których bywał cały ówczesny świat literacki stolicy i król Poniatowski. Uprzejmy w przyjęciu książę biskup, sercem dzielił się wtedy ze swojemi gośćmi, i pokolei odczytywał im swoje utwory, które jeszcze świata nie widziały. Goście jego zatém wprzódy nim naród mogli ocenić wartość tych prac, tego niezrównanego talentu, który nagle zabłysnął najpiérwszą wielkością. Czasami gości swoich zabawiał kartami. Krasicki lubił karty, ale tylko dlatego, że w nich znalazł odpoczynek po pracy i miłe przepędzenie czasu. Nie zapalał się nigdy do téj zabawy, a chciał dobrém sercem ująć swoich gości. Mało przywiązywał ceny do pieniędzy, a ztąd mimo ogromne dochody nigdy zastosować się do nich nie potrafił ze swojemi wydatkami. Prowadził prawdziwie książęce życie. Nieraz się brak czuć dawał, bo i służba potrafiła z niego wyciągnąć korzyści. Ludzie przy nim się bogacili, a jemu nie wystarczało. Że zaś był Krasicki w całém swojém obejściu się prawdziwym panem, nigdy straty swojéj nie dochodził, a oczywiście długi musiały rosnąć co chwilę.

Rozchodziły się wtenczas po rękach jego bajki, satyry i powieści, a książę małoco drukował. Czasem tylko dał jaki wierszyk do *zabawek przyjemnych i pożytecznych*. Tymczasem wszyscy z niecierpliwością szukali po pismach peryodycznych zaczarowanéj dewizy X. B. W., którą się książę podpisywał. Być może, czekał z wydaniem dzieł napisanych spokojnego czasu, aż przeminie burza. Był jednakże najdowcipniejszym człowiekiem swojego czasu. O tém w Polsce wszyscy wiedzieli.

Kiedy wrócił po długim pobycie książę do Warmii, nastąpił piérwszy rozbiór Rzeczypospolitéj, a całe Pomorze przeszło wtedy pod panowanie króla Pruskiego. Ten wypadek polityczny odciął go zupełnie od ojczyzny. Już teraz nie mógł tak często bywać w Warszawie, na dworze królewskim, w ognisku narodowéj oświaty, i już był dla kraju własnego cudzoziemcem. Teraz w Berlinie była stolica jego Warmii, i w Berlinie król jego; książę wiele stracił na téj przemianie, bo pominąwszy względy polityczne, Fryderyk II, znacznie obciął jego dochody jako biskupa, dobra zabrawszy na skarb. Znana jest powszechnie z tego powodu anegdota, kiedy król żartując prosił biskupa, aby go po śmierci pod płaszczem swoim wprowadził do nieba, (bo ja tam mówił Fryderyk jestem kontrabandą): wybacz Najjaśniejszy Panie! odpowiedział Krasicki, ale za bardzo kazałeś podciąć ten mój płaszcz biskupi, nie mogę, bo cię zobaczą. Fryderyk dał za to dowcipne słowo Krasickiemu 50,000 talarów.

Król Pruski słyszał już wiele o biskupie warmińskim, wiedział, że znakomity ten człowiek grał wielką rolę w literaturze polskiéj. Żył król w poufałéj przyjaźni z największemi talentami swojego czasu. Zapraszał więc chętnie Krasickiego do siebie, do Sans-souci, do Potsdamu. W Sans-souci oddając mu pokój Woltera, powiedział: że ta okoliczność natchnąć go powinna. Jakoż w istocie biskup napisał tu Monachomachię, a król ledwie nie pękał ze śmiechu czytając z autorem to dzieło. Drugi król, Stanisław August kazał bić dla Krasickiego, wtedy właśnie kiedy go tracił, medal złoty z napisem: *Musa vetat mori*: Muza nie pozwala umiérać. Miał nadesłać ten medal biskupowi do Heilsberga. Dał mu Stanisław August i drugi order polski, orła białego, a kiedy po traktacie podziałowym zaczęto tworzyć w Polsce przeorstwo i kommandorye maltańskie, książę otrzymał i krzyż, oznakę tego rycerskiego zakonu. Korzystał téż Krasicki i z grzeczności Fryderyka. Za staraniem księcia biskupa, stanął wtedy szczupły i ładny kościołek katolicki Śtéj Jadwigi w Berlinie. Już poprzednio, w r. 1767 zbierano na ten kościołek składki po całym katolickim świecie. Krasicki był tak szczęśliwy, że za niego stanęła budowa, wykończona zupełnie, że Fryderyk wchodził w jego widoki. Na wezwanie króla, 1 listopada 1773 r., w dniu Wszystkich świętych dopełnił obrzędów otwarcia kościoła Krasicki, i odtąd zaczyna się epoka dla katolików w Berlinie. Mieli już teraz własne swoje nabożeństwo.

Musiał Krasicki zająć się jeszcze nowemi ustanowieniami dla dyecezyi swojéj, w skutku oznaczonych inaczéj stosunków duchowieństwa z rządem pruskim, a dopiéro wtedy miałby wolne ręce do pracy literackiéj. Dawne sta-

tuta warmińskie Maurycego Ferbera, Hozyusza, Kromera, i Teodora Potockiego przepisywały pewne ustawy karności i obowiązki dla kanoników, oznaczając zarazem ich dochody i kary za opuszczanie się w przepisanéj pracy. Teraz dochody zmniejszały przez zajęcie dóbr na skarb, a tém samém znacznie się i te stosunki zmienić musiały. Król Fryderyk na rok cały wyznaczył dla kapituły tylko złotych pol. 42,282 gr. 29 kompetencyi z włości niegdyś katedralnych z Olsztyna, z Melzaku, i Frauenburga, Krasicki do tego ostatniego miasta zgromadził kapitułę na dniu 18 maja 1774, i wydał nowe urządzenia i przepisy pod względem karności i pobierania nowych dochodów, a zbywszy się tego obowiązku, był swobodniejszy i wolny. Mógł oddać się teraz pracy, którą lubił (1). Poświęcił się w istocie wtenczas całkiem nauce i wykonaniu prac swoich. Senatorem już nie był, i nie żył w szlacheckiéj Polsce, gdzie dla familijnych obrzędów, dla obywatelskiéj posługi, dla tysiąca innych dostojności, potrzeba było nieraz przerywać, choćby i najważniejsze prace, żeby tu ślub pobłogosławić, tam na imieninach pić zdrowie, gdzieindziéj znowu popisywać się z wymową. Spokojny teraz osiadł w Heilsbergu, rzadko wyjeżdżając do Berlina albo do Warszawy. Sprowadził do siebie synowców i braci. Otoczył się gronem szczupłém, ale wiedział, że w niém kochany jest. Braciom, Karolowi i Marcinowi rozdał urzędy w swojéj kapitule. Pisywał często do Antoniego, jego żony pani Różowéj do Dubiecka. Córki Antoniego zawsze dowcipnie nazywał Marcybellą i Emerencyanną. Dla bratowéj, która miała piękny zbiór numizmatów i medali zbierał także pieniążki. Z wojewodą Cetnerem, który także już został w austryackiém, utrzymywał często listowne stosunki. Jedném słowem, żył wtedy całkiem nauką i rodziną. Dla nauki znalazł obfite, nieprzebrane prawie źródło w bibliotece Heilsberskiéj. Dla rodziny znalazł źródło w swojém sercu. Książę biskup chwilki wtedy napróżno nie stracił, nawet w podróżach zajmował się pracą. Miał dwóch sekretarzy, między których rozdzielił całą ufność. Ksiądz Joachim Kalnassy kanonik Warmii był jego poufnym przyjacielem do spraw rodzinnych i urzędowych, Michał Mowiński do prac literackich. Połączeni w jedno wspólne ogniwo wszyscy trzéj pracowali ciągle i pożytecznie.

Myszeis już od pewnego czasu leżała w rękopiśmie. Posłał ją teraz do Grella do Warszawy. Grell był uprzywilejowanym drukarzem księcia. Myszeis piérwsza się ukazała literackiemu światu w roku 1775; zrodziła nadzwyczajne zamieszanie w umysłach. Piérwszy to raz po długiém uśpieniu czytano w Polsce poemat napisany i dowcipnie i czystym językiem. Domyślano się, że Myszeis była ironią, satyrą. W istocie trudno pomyśléć, żeby talent Krasickiego chciał marnować się na zabawach. Mógł zacząć poemat w satyrycznéj myśli, ale jednak względy światowe w saméj rzeczy zmieniły cel pisarza, lubo i w takim składzie w jakim została Myszeis, byli ludzie, co szukali alluzyi do osób i wypadków.

(1) Uchwałę Krasickiego w tym względzie posiadamy w rękopiśmie.

W tymże roku 1775 wyszła w Warszawie *monachomachia* czyli wojna mnichów, napisana w Sans-souci. Tu już cel widoczny. Bronią śmieszności i dowcipów, uderza książę biskup na scholastyczną naukę klasztorów. Poemat ten będzie wiecznym w literaturze naszéj, bo jest doskonałym obrazem chwili. Za żywe serce zadrasnął Krasicki zakonników polskich, kiedy wszędzie ozwała się obrażona duma i miłość własna, a obudzenie téj dumy i miłości było niezawodnym i silnym środkiem do reformy w zakonach.

W tysiąc siedmset siedmsetnym szóstym wyszły u Grella *Mik. Doświadczyńskiego przypadki*, w wielu miejscach doskonały obraz edukacyi ówczesnéj domowéj, a najcudniejszy obraz trybunałów koronnych. Kosztowały 4 złote.

Rok 1778 widział dwa wydania Krasickiego, nienaśladowane *satyry*, które nadały biskupowi warmińskiemu prawo do nieśmiertelności w literaturze; i drugie dzieło *P. Podstoli*, które wyszło w dwóch tomikach, zawierały dwie piérwsze księgi téj powieści. *Pan Podstoli* i satyry były nadzwyczajném zjawiskiem, zjawiskiem, którego wpływu dzisiaj, ocenić trudno w czasach zepsucia. Krasicki w satyrach wyszydzał wady i przesądy narodowe, w Panu Podstolim stawia wzór rządnego obywatela i Polaka.

W roku 1779 wyszła u Grella *Historya* na dwie księgi podzielona, którą książę niby to znalazł pomiędzy Biłgorajem a Tarnogrodem w podróży. Chciał w niéj wystawić krytyków historyi, którzy ślepo wierzą każdemu podaniu i których wiarę oszukać łatwo; a reprezentantem tych łatwowiernych badaczów był uczony Załuski biskup, który zebrał do swojéj biblioteki kronikę Narkosa Warmisza i rękopisma Zelizów, pochodzące jeszcze z czasów, kiedy dwunastu wojewodów panowało. W marcu tegoż roku wyszły *Bajki i przypowieści* w 4 częściach także u Grella.

W roku 1780 Grell po ogłoszeniu bajek zaczął drukować komedye Krasickiego bez wartości, które jednakże grane były w teatrze Warszawskim. Do komedyj nie przyznawał się Krasicki, znał ich słabość, darował tedy Mowińskiemu rękopism, a ten starał się coś zarobić pracą biskupa, bo rachował na to, że wszyscy wiedzą o tajemnicy. Naprzód pojawił się w druku *Statysta*, w czerwcu 1780. Książę wszystkie swoje rękopisma rozdarowywał, tak, że nie miał z nich prawie żadnego zysku. Nie dbał téż i o dochody z prac literackich, miał celem nauczać naród, a pismami właśnie powstawał na błędy narodowe. Grell rękopisma księcia chciwie łapał, a nawet komedye, uwiedziony imieniem Krasickiego, i zarabiał duże pieniądze, bo biskup Warmiński był najpoczytańszym, najulubieńszym autorem w Rzeczypospolitéj, a jego dzieł i poezyi tęskniło już widocznie społeczeństwo. *Statystę* sprzedawał Grell po półtrzecia złotego, a wszyscy biedną komedyę kupowali. Nareszcie Grell w tymże roku 1780 ogłosił prenumeratę na trzy tomy wielkiego dzieła aż w ćwiartce: *Zbiór wiadomości*. Prospekt bardzo szeroko rozdrukowany i przyłączony do gazet warszawskich zwiastował cudy. Miała to być encyklopedya wszystkich nauk, księga podręczna dla każdego. To téż i dla prenumeraty, którą do 19 sierpnia Grell ogłosił, że zbierać będzie, wynalazł

kantory, i na prowincyi: w Węgrowie zbierał pieniądze Wertelewski pocztmistrz; w Zamościu, Ogilwi pocztmistrz; a w Krasnymstawie Togarski pisarz celny Rzeczypospolitéj. W prospekcie jednak nie oznaczył ceny prenumeraty wydawca, bo to zależało od ilości osób, które się miały na dzieło zapisać. Do wpływów i samo wydanie i druk miał być zastosowany. Po bliższém rozpatrzeniu się, Grell do 30 września przedłużył termin prenumeraty, którą już w czerwcu na dwa czerwone złote oznaczył, a powtarzając, że będzie to nadewszystkie pochwały dzieło, wydał drugi prospekt, poprawny 25 lipca i dołączył do gazet.

W lipcu drukował Grell broszurkę Krasickiego pod tytułem: *autor podstolego do J. Pana Rodkiewicza.* Wiérsz ten drukowany jest w Krasickiego dziełach. Rodkiewicz przepisał jakieś jego poezye dla króla, zkąd wziął przedmiot Krasicki do wierszyka, w którym dziękując za przysługę w pełnym ironii języku, jak zawsze rozwodzi się nad stanem piszących i przepisujących; kończy wnioskiem, że lepiéj przepisywać jak pisać. Po półzłotku sprzedawał Grell ten wierszyk, a po srébrnym groszu drukowany także u siebie w lipcu bezimiennego wiérsz do autora Myszejdy.

Wojna chocimska była także w tymże czasie pod prassą; wyszła w sierpniu z portretem hetmana Chodkiewicza w ósemce większéj. Egzemplarz w papiér oprawny kosztował 4 złote. Dwudziestego sierpnia Grell osobiście wręczył na zamku królowi jeden exemplarz téj wojny. Zapowiadano jéj wtedy świetną przyszłość.

Rok 1780 jak widzimy był prawie najwięcéj literacki w życiu Krasickiego. Do tylu dzieł i dziełek przybyła jeszcze *antymonachomachia*, poemat dowcipny, który wtenczas właśnie także opuszczał prassę już po wydaniu chocimskiéj wojny. Antymonachomachia miała ułagodzić umysły klasztorów polskich. Cena księgarska była 2 złote. Pismo pełne dowcipu, nieocenione, bo maluje znowu obraz czasu. Krasicki w tym roku odebrał od króla Poniatowskiego na wiązanie medal złoty, o którym wspomnieliśmy wyżéj, a który zachował do zbioru pani Różowéj. Tęsknił po bracie, że nie przyjeżdża do niego. Widać odwiedzała go w Heilsbergu familia. Opisywał jéj w jednym liście tegoż roku pisanym, jak dni 12 bawił w królewcu u księcia pruskiego, który tamtędy w sierpniu do Petersburga przejeżdżał. Książę przyjął go mile, grzecznie i poufale, jakto był zwykł robić oddawna. Cały czas bawił z biskupem, i jeździł z nim na łowy do puszczy nad zatoką morską, gdzie zabili aż 14 łosiów. Z tego powodu zrobimy tę uwagę, że Krasicki lubo nietęgi strzelec, lubił polowanie jako niewinną zabawkę. W zbiorze pism jego są listy do brata Antoniego pisane o łowach, a w jednym z widoczną sobie żartobliwością opisuje niezręczność swoję i nieszczęśliwe myśliwstwo, kiedy i rozmaitych doznał przypadków i zmókł do nitki. Najstarszy synowiec księcia biskupa kończył właśnie wtedy szkoły pijarskie. Chciał książę zająć się bliżéj jego edukacyą i obiecał z niego Chodkiewicza wykształcić, a że tęsknił do rodziny, sam wyprawił z Heilsberga na Ruś przez Warszawę swojego sekretarza Kalnassy i brata księdza Karola; żeby dogodził życzeniom bra-

terstwa, i razem przesłał im przewodników do Warmii, bo już zapomnieli którędy droga na Pomorze. Przyrównywał się wtedy książę do pustelnika, za światem siedzącego między morzem na piasku.

W zimie 1781 bawił w Potsdamie Krasicki wezwany do króla. Odebrał właśnie wiadomość, że brat Antoni z żoną i całą rodziną swoją chce go w Warmii odwiedzić, ale nad spodziewanie wszelkie dla nieprzewidzianych okoliczności musiał odłożyć podróż do lata. Z niecierpliwością oczekiwał spóźnionego przybycia książę; z dworem wiązały go stosunki, które szanować musiał i dla których musiał kilka miesięcy właśnie teraz bawić w Potsdamie. Spodziewał się jednak że z początkiem maja najdaléj stanie z powrotem u siebie w Heilsbergu. Zawczasu już ubolewał nad tém, że Jéjmość pani Różowa nie będzie widziéć jego narcyzów, aurykułów, hyacyntów, bo w lipcu czas już tych kwiatów przemijał. Z goździkami zatém i cudzoziemskiemi roślinami, obiecywał się popisać przed bratową, nim nastąpią wyborne brzoskwinie. Książę lubił nadzwyczaj kwiaty i ogrody. Hodował drzewka, był znawcą botaniki. Radby wszędzie widział i drzewa i ogrody. W ustnéj rozmowie i w pismach zachęcał do zakładania kwater, do zasiewania kwiatów. Miał nawet Krasicki słabość, powiemy lepiéj, entuzyazm do ogrodów, nie pojmował wcale ludzi jak mogą być obojętni na piękne państwo Flory i na zabawę z kwiatami. W Smolanach dobrach swojego biskupstwa prześliczny założył ogród, tam często przebywał z książką w ręku, tém bardziéj, że obok Smolan ciągnęły się obszerne, lasy a w lasach było dużo zwierza dla myśliwych.

Tymczasem w Potsdamie 1781 roku nieodstępnym był króla Fryderyka towarzyszem, jadał z nim razem obiad na zamku, przyglądał się obrotom wojskowym i paradzie gwardyi, podziwiał siłę monarchy i toczył z nim rozmowy wesołe. „Przez dwie godziny, pisał do brata, kiedy może cała Europa rozumiała, że się interesa monarchii roztrząsają, my gadali o nieboszczyku księdzu Janie, co grał z nami w nieśmiertelnicę; o pani Boznańskiéj, co nas wychowała; o pani Żołkieskiéj, co była 23 razy w Częstochowie; o Józefie Boznańskim, co był moim marszałkiem podczas trybunału, a nawet Kowalski z gulą był na placu.” Fryderyka interesowały drobne nawet szczegóły, tyczące się rodziny Krasickiego. Rozmawiał z nim o Dubiecku, o bracie Antonim, o Rusi, o ciekawych figurach z życia społeczeństwa jakie porzucił Krasicki. Śmiał się serdecznie stary król, kiedy mu biskup opowiadał, dowcipnie o pojedynku brata Antoniego z księdzem Jędrzejem, o Bielińskim i Lali, „z którą się kuł w pyski w kaplicy.” Nikt może tak dobrze, tak naturalnie chociaż dorywczo nie skreślił obrazu Fryderyka jak Krasicki. Byłto staruszek wesoły, miły, grzeczny, lubił być bawionym, lubił kiedy inni dopomagali jego rubaszności. Zkąd towarzystwo z Krasickim miało niewyczerpany powab dla starego króla. Na dworze jego w Potsdamie był Krasicki więcéj przyjacielem jak poddanym.

Nie wiemy, czy go odwiedzali w Heilsbergu brat z bratową podług obietnicy w lecie 1781, i czy się pani Różowéj książę biskup z brzoskwi-

niami, i narcyzami popisywał. Ale to pewna, że w roku 1782 sam się wybrał w podróż na Ruś przez Warszawę. Przyjechał do stolicy, na swoje imieniny pod koniec lipca. Z niewypowiedzianą radością przyjęli go dawni znajomi, król Stanisław i literaci. Powinszowania ze wszystkich stron zlały się na księcia biskupa. Odwiedzał wtedy prawie zawsze obiady czwartkowe, wszędzie rozsypywał dowcip i wesołość. Na jednym obiedzie czytano wiersze tuzinkowego poety. Biskup przeżegnał się kiedy skończono; pytali obecni dlaczego. Potrzeba się modlić za umarłych, odpowiedział. Trębecki napisał wtedy do księcia sławny i w istocie piękny wiersz p. t.: *Gość z Heilsberga*, gdzie był tłumaczem powszechnych uczuć całego kraju. Ksiądz Ghighiotti kanonik warmiński, który bawił ciągle w Warszawie, wezwany dla spraw dyplomatycznych, dostał wtedy od księcia bogaty pierścień jako hołd wdzięczności za przyjęcie jakie znalazł w stolicy.

Obiecawszy, że będzie wracał na Warszawę, książę na Ruś wyjechał. Podróż swoję tam i nazad opisał w listach prozą przeplatanych wierszem do księcia Stanisława Poniatowskiego podskarbiego lit. Wybrał się z Warszawy z dość liczną gromadą towarzyszów. Minął Ujazdów, Łazienki, Willanów, miejsca tylu wspomnień. Janowi III poświęcił chwil kilka i prawie gwałtem oderwał się od Willanowa. Daléj przez Jeziornę, gdzie się pojedynki odbywały rozjuszonych stołecznych rycerzów, widział Górę, miasto wielko-piątkowe, i ruiny Czerskiego zamku. Malownicza była ta podróż księcia, bo wspomnienia otaczały go wszędzie. Wspomnienia dla myśli i dla oka, bo coraz to nowe spotykał widoki, góry, laski i zamki. Z Mniszewa szła droga na Gruszczyn i Magnuszów, potém na Ryczywół i Kozienice sławne puszczą i łowami królewskiemi. Z okien Janikowa dóbr Sieciechowskiego opactwa spostrzegł światło, powitał Gołąb i wreszcie sam Sieciechów, gdzie dziwił się malowaniu świątyni, a bardziéj jeszcze: że ksiądz opat Leonard Prokopowicz śpiewał w chórze jak mnich prosty. Przed Gnieworzowem umyślnie zboczył, żeby zobaczyć Czarny las Kochanowskiego, jego starą lipę, pod któréj cieniem nucił wieszcz jagielloński, żałobne treny dla swojéj drogiéj Urszuli. Poświęcił Krasicki wtenczas kilka wierszy pamięci tego znakomitego człowieka, wierszy wymownych prostotą i uczuciem. Widział daléj Puławy i Kurów, rozwaliny Dąbrowieckiego zamku, Firlejów, i sławny żartami Babin; stanął wreszcie na Wieniawie przedmieściu w Lublinie, w którym mieszkał jako prezydent trybunału. W Wysokiem odwiedził księżnę Jabłonowską Sapieżankę z domu, wdowę wojewodzinę bracławską, niewiastę która w wieku Stanisława Augusta, liczyła się do znakomitszych obywatelek Rzeczypospolitéj. Z Goraja przez Biłgoraj przebierał się książę do Tarnogrodu, i wspomniał sobie, że tutaj niegdyś znalazł historyę ciekawą, którą Kozak zapalał sobie fajkę i skarb prawdziwy. Przez Sieniawę i Jarosław stanął nareszcie w rodzinném gnieździe Dubiecku. Z rozrzewnieniem powitał ojcowskie miejsca, wpośród których spędził lata dziecinne i młodociane. Matki już tam nie było, nie było ojca, ale widział wszędzie ich ślady. Rodzeństwo, bracia, znajomi, przyjaciele, zresztą dzieci kochanego

brata, pani Różowa sama, Jan synowiec, Xawera, Marcybella i Emerencyanna rozweseliły czoło księcia zaszłe mgłą smutnych myśli. Już lat kilkanaście nie był wtedy w Dubiecku.

Wracał książę do siebie inną drogą, bo inne chciał zwiedzić okolice i innych zobaczyć przyjaciół. Był w Krasiczyńskim zamku, był w Przemyślu gdzie zwiedził dawną katedrę swoję, z któréj wyleciał na świat, w któréj piérwsze stawiał kroki w swoim duchownym zawodzie; w Hurku wstąpił do Franciszki z Jezierskich Charczewskiéj niegdyś kasztelanowéj słuńskiéj, a matki żony brata Antoniego, pani Różowéj. Była już wtedy Charczewska za Rosnowskim. Wystawiała Krasickiemu wzór kobiét dawnych coto dobrocią okraszały swoje zmarszczki, a umiały być razem prababką, babką i matką. Odwiedził potém w Krakowcu wojewodę Cetnera. Zmienił się wiele od lat dziecinnych księcia krakowiecki zamek. Dawniéj nie kształciły go rzemiosła, a przecież zdawało się Krasickiemu, że jest piękny i uroczy. Spoglądając teraz na te mury wspaniałe, ozdobne gmachy zewnętrzne, na zupełną zmianę komnat pałacowych, wewnątrz patrząc na twarz wojewody Cetnera, już pooraną zmarszczkami, i na włosy jego, które już siwiéć zaczynały, Krasicki na pamięć lat odległych, żałował zwalisk i dawnych komnat, bo wówczas nawet i trawka żywiéj rosła na dziedzińcu pałacowym. Dni kilka bawił w Krakowcu i ruszył daléj do Janowa na Jaworów miejsce pobytu króla Jana, sławne wodami uzdrawiającemi. W Janowie czytał nagrobek matki króla Stanisława, Konstancyi. We Lwowie zabawił krótko, ale za to w Żółkwi zabawił się nieco, Lwów raził Krasickiego, Żółkiew przyciągała wspomnieniami. Przez Rawę i Łaszczów stanął w Zamościu. Tutaj znowu oglądał nagrobki, ślady dawnéj wielkości. Za twierdzą Jana Zamojskiego wjechał w granice Rzeczypospolitéj, i przez Krasnystaw, Łęczną zajechał do Lubartowa, zkąd na Kock i Syrokomlę powrócił do Warszawy, która znowu wiła się tłumem gości ze stron rozmaitych, bo czas sejmu właśnie nadchodził.

Ta cała podróż Krasickiego była naukową podróżą. Widzieliśmy jak skrzętnie po drodze zwiedzał miejsca i pamiątki historyczne. W stolicy król księcia przyjął z tysiącem planów i przedstawień. Sprawa Sołtyka biskupa krakowskiego zajmowała wtedy Rzeczpospolitę i miała się aż o sejm zahaczyć. Jakiś niepokój opanował serce biskupa, który stracił przytomność. Kapituła wydała mu wojnę, a król myślał go odsunąć od zarządu dyecezyi, jako pozbawionego zmysłów. Stanisław roił wtedy jakieś plany, żeby z Warmii do Krakowa przenieść Krasickiego, i powrócić go znowu uściskom rodzinnego kraju. Książę zyskiwałby wiele na tém przeniesieniu, bo zbliżyłby się do swoich i posunąłby się nawet w stopniu hierarchicznym. Ale król miał tylko obietnice w ustach, i wiedział dobrze, że ma brata, i że ten brat jest dopiéro biskupem płockim. Dlatego trudno nawet sądzić o dobréj woli Stanisława. Może on tylko łudził Krasickiego, a może téż i chciał szczerze, ale brat mu nie pozwolił dokonać zamiaru. Sprawa jednak odwlekła się, bo przejść musiała przez wszystkie instancye aż do Rzymu, Sołtyk odsunięty

został od zarządu dyecezyą, a krakowskim administratorem wybrany książę Michał Jerzy Poniatowski.

Wróciwszy do Heilsberga Krasicki, zajął się znowu pracą w bibliotece katedralnéj. Pisał do księżnéj Sapieżyny wojewodzicowéj mścisławskiéj dając rady jak ma wychować syna, utrzymywał korrespondencye ze Szczęsnym Potockim, który mu z Rusi przysłał wilczurę na zimę, i pisywał często do Warszawy odbierając ze stolicy: bo najmniejsza go rzecz z kraju rodzinnego obchodziła. Żałował śmierci marszałka Stanisława Lubomirskiego. Miał teraz u siebie synowca najstarszego Ignacego imieniem. Zajął się jego edukacyą. Ksiądz Fug kapelan księcia uczył Ignacego po francuzku Puzeti Kremer po niemiecku, a Hug początków prawa cywilnego. Panna Anna (Marcybella) utrzymywała dziennik dla brata na Rusi, przysłała go do Warmii. Tak książę wiedział o wszystkiém, co się dzieje z rodzeństwem i krewnemi.

Lehdorfowie znajomi z Berlina przyjechali do Warmii gdzie mieli dobra, i książę cieszył się z tego sąsiedztwa tém bardziéj, że i księztwo Holstyńscy, którzy u nich przesiadywali, obiecali, że odwiedzą Krasickiego w Heilsbergu. Tymczasem książę, uwalniając się czasami od pracy, na Śty Bartłomiéj, na łowy do Smolan wyjeżdżał, i nie mógł nawet zajrzéć chociaż na chwilkę do Oliwy, gdzie go zapraszał ksiądz opat Karol Hohenzollern suffragan chełmiński. Żal było księciu ogrodu, bo wiele odmian w nim przybyło. Już nie jedna a trzy biły w nim kaskady i ścieszki do przechadzki przedziwne i kwiatów bez liku. W ogrodach pod mostem fontanny już grały półtora raza wyższe niż w ogrodzie pałacowym. Książę pisał do bratowéj list i mówił: „Będzie ślicznie, przyjedźże pani hrabino!"

I do Cetnera latały często listy z Warmii, ale wojewoda płakał z radości kiedy je odebrał, nie odpisywał jednak. Upominał przeto Krasicki i pisał do brata, że na Cetnera gniewa się i nie kłania mu się, i dąsa się i przymawia, i krzywo patrzy, i ręce zaciera, i w bok pluje, i po czuprynie się głaska i odgraża się. Dowcip do ostatnich chwil życia nie opuszczał księcia biskupa Warmii.

Czasem miał Krasicki straszny widok przed oczami. Wsie paliły się w okolicy Heilsberga, upały straszne dogrzewały i burze panowały na Baltyku. Książę czytał jakąś książkę wydaną w Hanowerze przed kilką laty, w któréj autor przepowiadał rewolucye, trzęsienia ziemi i nowe wyspy, które z morza wystąpią, i o powodziach strasznych, i o Renie, że wyschnie, i o kanale kaletańskim, że piasek go zamuli, a Anglia przestanie być wyspą. Śmiał się książę z tych przepowiedni i odpowiadał, że to gdzie dzwony leją albo farbują karmazyn.

W bibliotece Heilsbergskiéj znalazł książę nadzwyczaj ciekawe, piękne i bogate materyały do dziejów polskich. Przeglądał sam wszystko i nie spuszczał się na pomocników i sekretarzów swoich. Dopełniał także Niesieckiego herbarz, bo umiał cenić zasługi tego znakomitego jezuity. W pismach księcia znajdujemy listy o Niesieckim i o jego koronie. Archiwum i biblioteka heilsberska stanowiła bogaty materyał dla poszukiwań. Nie sposób wy-

liczyć tych skarbów, ale książę w dopełnieniu do Niesieckiego zostawił o nich pamiątkę. Znalazł tam pomiędzy innemi jednę szeroką korespondencyę, Hozyusza i Kromera, listy które do siebie pisywali. Rudnicki biskup warmiński, a Kuczborski chełmski, znalazł rękopismy Krzyckiego prymasa, Kryskiego kanclerza, Kostki chełmińskiego biskupa, Fabiana Konopackiego, poleconego królowi przez Rzym na biskupa do Warmii, tego samego co kapelusz kardynalski przywiózł Bernardowi Maciejowskiemu. O tych skarbach nie wiedzielibyśmy wcale nigdy, gdyby nie praca Krasickiego, nie dopełnienia do najlepszego Herbarza szlachty polskiéj. Nam się tylko dziwić należy, nadzwyczajnéj pracy Krasickiego. Dziwić się należy jak temu wszystkiemu wystarczył, i rodzinie, i królowi, i Warszawie, i literaturze.

Niesieckiego długo wartował. Znać to po *Zbiorze wiadomości*, o którego losach teraz powiemy więcéj. W téj encyklopedyi jest wszystko. Byłoto pismo znakomite w swoim czasie. Historya obca i polska, i literatura, i prawo i opisy miast, królestw i ziemi i powiatów, wszystko się w tym zbiorze mieści. Co do autorów polskich, Krasicki wiele z Niesieckiego czerpał, skracał go jednak, bo encyklopedya wykonana na większą skalę była i będzie zawsze nad siłę jednego człowieka. W autorach naszych są tak podane wiadomości, że nieraz niewiadomo kiedy kto żył i co pisał, gdzie wydawał swoje dzieła. Nawet często lata opuszczał Krasicki. Za to więcéj pisał o autorach, którzy po Niesieckim żyli.

Pierwiastkowo Grell wyrachował koszta wydania na 300 prenumeratorów, ale mimo powtórnego przedłużenia prenumeraty do 30 listopada 1780, mimo tego, że *Zbiór wiadomości* już drukować zaczął, że to było piérwsze dzieło po polsku w tym rodzaju, znalazł tylko 192 prenumeratorów, tojest zamiast 600 dukatów, ledwie zebrał 384. I z zaliczonych pieniędzy, ledwie tylko trzecia część doszła Grella. Ztąd z trudnością nadzwyczajną poszło daléj przedsięwzięcie, a biédny nakładacz przedłużał ciągle termin do składania prenumeraty i sam za 100 osób łożyć musiał. Grell nigdy się tego nie spodziewał, żeby praca Krasickiego tak mały pokup znalazła. Zarabiał na nim dawniéj, teraz tracił. Spóźniło się zatém wydanie piérwszego tomu tém bardziéj, że nad zamiar o 17 arkuszy powiększony został. Obejmował artykuły od A do K. Wyszedł nareszcie tom piérwszy z wiosną 1781 r. Grell ścisnął wydanie: ze trzech części, dwie teraz zrobił, i jakby odpoczywając po ciężkich trudach, tom drugi dopiéro za rok zapowiedział; prenumeratę podniósł do 54 złotych, zapowiadał, że obiedwie części grubsze będą nad zamiar. Oczywiście być tak musiało, kiedy Krasickiego rękopismy trzy tomy obejmowały. Byłto wybieg księgarski, Grell częstował gości swoich niby to grubszemi tomami, ale zawsze jednakowo obszerną treścią. Obiecał więc tylko do 31 stycznia 1782 roku, przyjmować prenumeratę po trzy dukaty, potém cena dzieła jeszcze miała być podwyższoną. Tom drugi wyszedł nareszcie na nowy rok 1782, większy o 40 arkuszy jak miał być kiedyś, i zawierał artykuły od K do Z.

Byłoto jedyne dzieło Krasickiego co tak szło z oporem, przyczyną temu, była zapewne potrzeba wielkiego nakładu i podniesienie ceny prenumeraty. Inne pisma księcia biskupa, poezye, satyry i całe poemata kosztowały zaledwie po kilka złotych. *Zbiór wiadomości* wymagał aż trzy dukaty.

Wpływ Krasickiego już się wtenczas objawiał. Jeszcze po wyjściu Myszejdy radził w liście biskupowi jakiś Bełzanin, żeby poemat Upiorejdos napisał. Grell w roku 1781 drukował: *Listy Doświadczyńskiego do przyjaciela radzącego się względem wyprawienia dzieci do cudzych krajów, i względem edukacyi córek.* Druga broszurka wyszła u Grella w czerwcu 1782 r. pod tytułem: *Listy Doświadczyńskiego względem młodzi applikującéj się: do Palestry donoszącego, że został deputatem.* Grell po półtora złotego sprzedawał te broszurki. Sąto kwestye często przez Krasickiego poruszane, bo w drobnych jego pismach znajdujemy w téj materyi listów kilka. W roku 1783 w sierpniu w drukarni nadwornéj wyszły wiersze: *przydatek do opisania podróży do Biłgoraju.* Kosztował ten *przydatek* 3 gr. sr. Widocznie był naśladownictwem Krasickiego. Posłannictwo biskupa już było spełnione.

Na nowy rok 1784 wygotował Grell *zbiór nowych wierszy autora Podstolego.* Wiele mówiąca cyfra X. B. W. była na tytule, a cena mała, bo tylko półtrzecia złotego. W lipcu tegoż roku za przywilejem królewskim drukował Grell część drugą Pana podstolego a przygotowywał nowe wydanie części piérwszéj, bo już wtedy zupełnie znikła z handlu księgarskiego. Prenumerata na obiedwie części wynosiła dwa złote, za część drugą nową tylko złp. 4. Część druga wyszła w lipcu. Piérwsza nowém wydaniem dopiéro w listopadzie. W październiku tegoż roku w drukarni nadwornéj wyszła: *kopia listu X. B. W. do przyjaciela swego w Grodnie mieszkającego.* Kosztowała 15 groszy. Zbiérał się właśnie wtedy sejm w Grodnie a uwaga Rzeczypospolitéj zwróconą wtedy była na Nieśwież i przyjęcie wspaniałe króla przez księcia Radziwiłła. Krasicki chciał wiedzieć co się będzie działo w Grodnie, dlatego list ten pisał umieszczony potém w wydaniu Dmochowskiego. W odpowiedź księciu wyszedł z druku odpis na kopię tego listu.

W grudniu po sejmie Trembecki wydrukował u Grella śliczny wiérsz swój *gość w Heilsbergu do J. O. X. B. W.* Sprzedawany po gr. 15, rozbiegł się po wszystkich rękach i był czytany z chciwością.

W roku 1785 nie mamy śladu prac Krasickiego, przynajmniéj w druku.

W listopadzie 1786 roku wyszły u Grella *listy i pisma różne X. B. W.*

W roku 1786 umarł Fryderyk wielki. Książę razem z panami pruskiemi musiał jechać do Królewca dla wykonania hołdu jego następcy. Wyjechał tam z sufraganem swoim księdzem Karolem de Zehmen i z biskupem chełmińskim Karolem de Hohenzollern. Hołd odbył się 19 września. Z Królewca ruszył Krasicki do Berlina i dopiéro w lutym 1787 powrócił do Warmii. W stolicy pruskiéj był celem podziwienia i hołdów nasz biskup. Nowy Król był dla niego bardzo łaskaw, a Berlin bardzo zabawny; cudzoziemców zjechało się wiele, a z Polaków bawił tam podówczas hetman

litewski Ogiński, sławny muzykalnym talentem. Opisując swoje tryumfy w Berlinie, Krasicki dowcipnie pisał do brata, „że Fryderyk Wilhelm łaskaw na kogoś, ale ten kogoś schronienia szuka i musi się zamykać przed inszemi kogosiami, którzyby mu łeb zawrócili, zdrowie odjęli, żeby tak jak inny chciał korzystać ze swego kogosiostwa. Ale kogoś jednak coś z czasem zrobi co nie zasmuci jego kogosiów.“ Nie pochlebiał królowi, wypierał się tego uroczyście, a przecież po stryju i na synowca, jak widzimy, miał względy. Nie król sam, ale i Niemcy berlińscy, oddawali hołd talentom Krasickiego. Królewska akademia kunsztów i mechanicznych umiejętności obrała go wtedy członkiem honorowym. Na posiedzeniu nadzwyczajném téj akademii 24 lutego, książę z rąk kuratora radcy tajnego ministra wojny, Barona de Heinitz otrzymał osobiście dyplom i zaraz głos zabrał, że gotów całym sobą przykładać się do wzrostu akademii. Jakoż w saméj rzeczy podał w téj chwili wniosek, ktory dla uczących się w akademii a potém mających jechać do Rzymu miał być bogaty w skutki dobroczynne. Ale nie objaśniają nas gazety, z których bierzemy tę wiadomość jakito był ten wniosek tak piękny.

Książę biskup warmiński już się widocznie starzał. Z ciężkością przychodziło mu już porzucać Heilsberg kochany. Listownie znosił się tylko z bratem, i nawet nie zapraszał go już do Warmii, bo i siebie i jego nazywał wtedy dwakroć jubileuszowym, i co sobie za fatygę uważał, uważać musiał i dla brata. Już im obudwu minęło lat 50: „przeciąg wielki, siły już nie owe, pisał do Antoniego. Starzyśmy ale jednakowo trzeba się też obaczyć, trzeba jednak uczuć słodycz braterstwa.“ Szło o to właśnie księciu, żeby urządzić sprawy familijne. Synowcowie już pokończyli nauki. Najstarszy Ignacy już się nawet i żenił z Magd. Bielską, pasierbicą wojewody inflanckiego Rogalińskiego. Jan był w wojsku, Xawerka chciał miéć książę przy sobie. Ignacy dostał wtedy od ojca Podhajce, zamek hetmański. Dlategoto właśnie pragnął się raz jeszcze z bratem widzieć Krasicki, ale narzekając na oddalenie, myślał sobie, że kto inny klątby los, że braci tak srogo rozdzielił; on prawy człowiek widział we wszystkiém zrządzenie Boże.

Umarł właśnie wtenczas biskup krakowski Sołtyk. Zawiódł Krasickiego powtórnie Stanisław August, chciał bratu już Prymasowi oddać i Kraków, ale Rzym nie pozwolił. Nadchodził właśnie sejm wielki, a na nim na nowo miały się urządzać sprawy i granice dyecezyj polskich. Krasicki znowu był w myśli, ale Turski jednak, biskup Łucki otrzymał Kraków i Siewierskie księztwo.

Podczas sejmu wielkiego pisał Krasicki poemat żartobliwy pod tytułem: *Organy*. Byłto wiérsz przeplatany prozą. Wystawiał w poemacie okoliczności, i osoby działające w owéj chwili. Powiadają znawcy, którym zupełnie wierzyć nie można (1), że w poemacie tym była trafność dowcipu, żywa imaginacya, przyjemna gładkość i satyryczność dworna. Nie wiemy jak dalece zasłużona ta pochwała, jak wielka prawda w krytyce. Organy

(1) Bentkowski, Historya lit. Pol. I. str. 404.

zostały w rękopismie, a dziś może latają gdzie po rękach. Zawsze jednak poemat Krasickiego, zdaje się, polityczny, czasowéj treści, wydany byłby skarbem dla literatury naszéj, chociażby zresztą żadnych innych nie miał zalet, a nie sposób przypuścić nawet, żeby nie jaśniał dowcipem.

Właśnie w tymże czasie zaczął Krasicki nietylko ze sławy swojéj i dowcipu znanym być i za granicą, ale nawet i z pism swoich. Sztejner w roku 1788 przełożył kilka satyr jego prozą i drukował w piśmie peryodycznem niemieckiém, które wtedy wydawał w Warszawie, w siódmym tomie. Sławny Jenisz jednocześnie prawie tłumaczył kilka satyr Krasickiego wierszem i drukował je w Berlinie także w peryodycznem piśmie poświęconém literaturze. Nie znamy tych tłumaczeń, ale wiedząc jak dalece satyry Krasickiego są narodowe i biorąc z tego miarę, że Niemcy niewiele umieli wtenczas po polsku, kiedy i teraz niebardzo się uczą naszego języka, tudzież z uwagi, że tłumaczenie Sztejnera było prozą, łatwo przyjdziemy do przekonania, że cały dowcip Krasickiego zmarniał w tych przekładach pozbawionych szaty językowéj i ducha polskiego.

W skutek ostatniego rozbioru Polski, Krasicki stracił nawet nadzieję, że kiedyś do kraju swego powróci. Warszawa przyszła wprawdzie pod zabór pruski, ale nie była już stolicą udzielnego kraju. Król wyjechał do Grodna, brat królewski książę Michał umarł nagle w Warszawie 1794 roku w sierpniu. Król Fryderyk Wilchelm mianował wtedy Krasickiego arcybiskupem gnieźnieńskim. Z żalem zapewne rzucał książę poetów polskich, bo to imię zostało mu w spadku, Heilsberg swój kochany, w którym wiek męzki i dojrzały przepędził, przyjechał do Warmii człowiekiem w saméj sile życia, a wyjeżdżał starcem. Lat 30 blizko mieszkał w Heilsbergu. Kiedy go opuścić musiał, miał już lat pięćdziesiąt przeszło.

Niedługo Rzym zwłóczył. Otrzymawszy bullę przeniesienia, Krasicki wyjechał do Gniezna, a potém zajrzał do Skierniewic i z kolei do Łowicza, nowéj swojéj stolicy. Zobaczmy jak ówczesna gazeta Warszawska opisywała ten przyjazd księcia, z jakiém uczuciem witało go to dawne prymasów miasto (A).

Jako arcybiskup gnieźnieński był Krasicki z kolei 79 naczelnym kapłanem w narodzie polskim rachując w poczet i Śgo Wojciecha. Jako Ignacy, piérwszy nosił to imię.

Był Krasicki na jarmarku w Łowiczu w dniu Śgo Mateusza a następnie pojechał zimą do Berlina. Złożył królowi powinszowanie na rok 1796. Rymował jeszcze, ale już wiek coraz więcéj ciężał nad nim. W domu zatém w Skierniewicach, oddał się całkiem innéj literackiéj pracy i pisał wiele prozą. Wtedy to zapewne ukończył wiele dzieł poumieszczanych w wydaniu Dmochowskiego. Z Dmochowskim związał się ściśle jak przyjaciel z przyjacielem, brat z bratém. Jeszcze za panowania Stanisława Augusta przypisał Dmochowski Krasickiemu swoje tłumaczenie *Nocy Junga* i w wierszu do księcia pomieścił pięknych strof kilka, tak często potém powtarzanych.

W twych dziełach, Polski pamiątka zostanie,
Wdziękiem ich wnucy będą się poili,
Zginęli Grecy, zginęli Rzymianie,
Lecz żyje wiecznie Homer i Wirgili.

I w sztuce rymotworczéj, kiedy przyszło mówić o Krasickim, zawsze nie pochlebstwo a prawda rzeczywista wodziła Dmochowskiego piórem, jego téż książę arcybiskup wybrał teraz sobie za literackiego współtowarzysza, za przyszłego wydawcę prac swoich. Błąkał się właśnie Dmochowski po obcéj ziemi, skompromitowany w wypadkach 1794 roku. Krasicki wstawił się do rządu i przeważną protekcyą swoją przywrócił wygnańca Warszawie i literaturze. Odtąd nietylko podziw dla talentu, ale i wdzięczność osobista przywiązała Dmochowskiego do arcybiskupa.

Razem teraz obadwaj naradzali się, razem gwarzyli w Łowiczu i w Skierniewicach. Powszechne żądanie, żeby wyszły wszystkie dzieła Krasickiego w jedném wydaniu, doszło do uszu księcia. Krasicki chciał zaspokoić ziomków, chciał téż i dla siebie samego zbudować ten pomnik, któryby późnym pokoleniom o jego trudach i sercu zaświadczał. Na wydawcę obrał Dmochowskiego. Ale nim plany przyszły do skutku, odwlec potrzeba było na czas jakiś powzięty, zamiar. Za odwłoką to poszło, że Krasicki nie doczekał chwili, któréj tak bardzo wyglądał, i umarł wprzódy nim pomnik poświęcony jego pamięci był gotów.

Wtedy to tłumaczył *Żywoty Plutarcha* i pisał sam żywoty na wzór Plutarcha nowym zepsutych rodziców pokoleniom starodawne cnoty stawiał przed oczy. Tłumaczył wtedy i *rozmowy zmarłych* Lucyana i sam pisał rozmowy zmarłych. Takim sposobem znowu uczył naród filozofii praktycznego życia. Układał wtedy wielkie dzieło o *rymotworstwie i rymotworcach*, w którém chciał dać wyobrażenie, jakie miał o poezyi, i poetach wszystkich wieków i czasów. Trudno nie dziwić się temu ogromowi pracy. Książka o rymotworcach nie tak zastanawia obszernością swoją, jak nadzwyczajną erudycyą. Krasicki starał się poznać wszystkich poetów świata, i narodowi swojemu pokazać z nich wzory, chociaż w urywkach, w tłumaczeniu. Żeby ten naród poznał i literaturę ludzkości, wielbił każdego poetę krótkim życiorysem i wzory załączał. Gdzie wzorów nie znalazł już tłumaczonych, sam przekładał, i dlatego nazwaliśmy księgę o rymotworstwie dziełem olbrzymiém, bo dla niego Krasicki pracować musiał nad Homerem i nad Pilpajem, nad Kalderonem i Wirgilim, nad Ossyanem i Hezyodem. Księga o rymotworcach była encyklopedyą poezyi. Przetłumaczył w tym czasie i poemata Ossyana jak je wydał Macpherson, ale chociaż według zaręczeń Dmochowskiego, są w tym przekładzie miejsca, w których przedziwny Krasickiego talent cudnie jaśnieje; wyznamy, że to nieszczęśliwa praca. Krasicki jako narodowy pisarz, wyborny jest i oryginalny, ale chociaż czuł i obcą piękność, wydać jéj po polsku nie potrafił, nietylko więc przekłady z Ossyana, ale i z innych poetów nie mogą się poszczycić ko-

lorytem i duchem oryginału. A zresztą inny to był wiek, inni ludzie, inne też wyobrażenia o literaturze dawnéj, do któréj należeli Ossyan i Homer. Do bajek, które już po większéj części stały się filozofią narodową, a z których wiele wyrażeń jak przysłowiów umiemy na pamięć, przybyło wtedy wiele nowych i dowcipnych. Wtedyto Krasicki ukończył i trzecią część Pana podstolego. Miał przygotować czwartą nawet, ale mu śmierć przeszkodziła.

W podeszłym już wieku wydawał także Krasicki pisma peryodyczne: *Co tydzień*, ale pozbawione dowcipu i treści, krótko trwało. W roku 1792 zaraz po reformie rządowéj wydał jeszcze *Kalendarz obywatelski.*

Wpośród tych zatrudnień literackich książę w Skierniewicach bawił się wciąż upiększeniem okolicy. Zakładał ogród podobny jak niegdyś w Smolanach na Pomorzu. Kilka lat mieszkał w pałacu Skierniewieckim. Do dziś dnia są tam jego pamiątki i ślady. Zbierał wtedy i uzupełniał piękną swoję bibliotekę. Pełno miał książę wydań wspaniałych i starożytnych. Zwracał na siebie uwagę pomiędzy innemi księgami, zbiór rzadki byzantynów weneckich. Najwięcéj jednak posiadał dzieł Krasicki do literatury pięknéj i teoryi wysłowienia.

W Skierniewicach prócz Dmochowskiego, nie przyjmował więcéj literatów, bo rozproszyli się wszyscy i rozbiegli po świecie. Sposępniał trochę w Skierniewicach. Nie byłto już wesoły prezydent trybunalski, nie byłto wspaniały biskup rozsiewający blask naokoło, ani też pan wielki, jak kiedyś. Nie miał już summ do rozdania, ale miał serce do współczucia. Zawsze jednak ludzki i uczynny, i w Skierniewicach świadczył dobrodziejstwa. Byłby nawet zasłynął w dziejach naszych z dobroci serca, gdyby więcéj umiał się rządzić, albo chciał przynajmniéj lepszego rządu. Szanował talent. Mamy dowód na Dmochowskim i Minasowiczu. Minasowicza nędzną starość zasilał swojemi dochodami; bo miał 900 złotych, miesięcznie wyznaczone, jako stały raz na zawsze fundusz dla ocierania łez cierpieniu. Nie był zazdrosny ani o sławę, ani o imię literackie, bo i komuż ze spółczesnych mógł zazdrościć. W podeszłym wieku często książę zapadał na zdrowiu, bo chorowity był, a przecież humor jego się nie starzał i chociaż go okoliczności przygniotły do ziemi, zawsze przecież wesołość i uśmiéch na twarzy gościły. Tysiące anegdot powtarzała o nim Polska. Dla pamięci wielkiego męża, powinienby kto ponotować te jego słowa, dowcipne odpowiedzi, bo i z nich wiele będziem mogli wnosić o jego zdolnościach i charakterze.

Doczekał się w starości swojéj, że go nawet na język łaciński tłumaczono. W roku 1796 Joachim Markwart pod nazwiskiem nauczyciela rolnika (paedagogus agricola) wydał w Warszawie u Dufoura w ósemce piérwsze cztery księgi bajek Krasickiego. Wiérsz jambowy łaciński, i piękny język zalecają ten przekład. Zaszczyt ten żeby tłumaczonym być w mowie Cycerońskiéj, nie wielu się dostał autorom współczesnym.

Kiedy zawiązywało się towarzystwo Przyjaciół nauk w Warszawie, Krasicki należał jeden z najpiérwszych do popierania pięknéj myśli, i został

członkiem Towarzystwa. Ale niedługo już pracował w nowym zawodzie, bo w początkach 1801 wyjechać musiał do Berlina dla ukończenia spraw pewnych jeszcze z czasów biskupstwa warmińskiego. W stolicy swojego króla zapadł na zdrowiu i umarł po krótkiéj słabości w dniu 14 marca 1801 roku. Żył lat 66, miesiąc i dwa tygodnie. Spółczesne gazety warszawskie, zamieściły tylko krótką wzmiankę o téj wielkiéj stracie, a jednakże śmierć Krasickiego była wypadkiem bolesnym; w środku boleści, jeszcze była ciosem. Śmierć ta cały naród pokrywała żałobą. Dmochowski tylko w grudniu 1801 w Towarzystwie przyjaciół nauk, piękną mową uczcił jego pamięć, a spełniając dług święty wdzięczności, ogłosił następnie 10 tomów prac jego.

Ciało Krasickiego pochowano w kościele Śtéj Jadwigi w prostéj trumnie; za staraniem księcia Antoniego Radziwiłła i arcybiskupa Wolickiego, w roku 1829 sprowadzono do Gniezna i tu złożone zostało na wieczny spoczynek w kaplicy Potockich.

Biblioteka księcia, ze Skierniewic dostała się liceum warszawskiemu. Umieszczona w salach pałacu Saskiego, powoli wcieloną została do biblioteki licejskiéj zwiększając ją o część trzecią. Około 4,000 tomów przybyło wtedy Warszawie. Odtąd datował się i wzrost tego pięknego księgozbioru.

Krasickiego wydań namnożyło się bardzo wiele. Zebrać wszystkie jego dzieła i dziełka, pojedynczo i razem wydane, możnaby zgromadzić sporą bibliotekę o jakie kilkaset przynajmniéj woluminów. Barbezat, paryzki księgarz, kiedy powziął zamiar wydawania dzieł polskich, zaczął w roku 1830 od Krasickiego, i powtórzył je potém. Bobrowicz wydał 10 tomów w Lipsku. A Glücksberga wydanie warszawskie (1829—32) obejmując i *Zbiór wiadomości* w sześciu tomach, 18 części zajęło.

Krasicki został do dziś dnia bez pomnika, chociaż na niego zdolnościami swojemi, pracą i wielkim wpływem jaki wywierał, dobrze zasłużył. Cóś to niby głosili Galicyanie o pomniku, a Stanisław Jaszowski drukował nawet w Słowianinie projekt na ten cel wygotowany. Projekt ten dla wstydu naszego przemknął się prawie niepostrzeżony, a Krasicki wciąż czeka oznaki wdzięczności swojego narodu.

30 listopada 1849 r.

Julian Bartoszewicz.

PRZYPIS.

(A) Z Łowicza dnia 11 sierpnia: J. O. Książę Jegomość Krasicki Arcybiskup Gnieźnieński bytnością swoją miasto Łowicz, stolicę całego księztwa, w dniu dzisiejszym udarować raczył. Jak upragnione były chęci obywatelów miasta tego w oczekiwaniu przybycia księcia pana swego; tak głos radości odezwał się w ich sercach skoro jego ujrzeli osobę. Nie mogli tego czucia dłużéj utaić. Życzenia serc swoich złożyli u podnóżka jego, jako najpowinniejszy hołd czci i wierności, i magistrat miasta Łowicza mianą mową Jegomości pana Urbańskiego radcy, téj najmilszéj powinności dla siebie dopełnił.

Rzadki jest na świecie przykład, aby lud wprzód ukochał swego rządcę, nim przez niego rządzonym został. To tylko wielkim trafiać się zwykło mężom, których sława z głębokiéj nauki, z serca równie łaskawego jak dobroczynnego, obcych i domowych dosięga zakątów. Głośno uwielbiana jest po wszystkich stronach dobroć jego. Słowa więc z tak wielkich rozumu i serca darów, zjednała mu wcześnie miłość u tych, których Opatrzność przeznaczyła zostawać pod jego rządem. Jakoż gdzie wysoka panuje mądrość, tam rząd słodszy, serce łaskawsze, mieszkańcy szczęśliwsi, pan jest ojcem poddanych, poddani jego dziećmi, opieka nad niemi czulsza, obrona nad uciśnionym prędka, wsparcie nad potrzebnym gotowe, pamięć na wdzięczność w najpóźniejsze przechodzi pokolenia. Podobnych szczęśliwych skutków pod słodkim rządem księcia pana swego kosztować obywatele miasta Łowicza sobie rokowali. Jakoż łaskawa odpowiedź księcia JMci upewniła ich, że nie w obietnicach, ale w skutku doznawać będą ojcowskiéj jego opieki, i że będzie tém dla nich, czém był jego poprzednik i pradziad arcybiskup i prymas Potocki, ów to mąż, którego dobrodziejstw lud w prawnukach swoich dotąd jeszcze zapomnieć nie może (1).

(1) Dodatek do Gazety Warszawskiéj 1795 Nr. 66.



STANISŁAW TREMBECKI.

STANISŁAW TREMBECKI.

Nie możem lepiéj i trafniéj rozpocząć życiorysu Trembeckiego, jak przywiedzeniem jegoż anakreontyku, przy odebraniu czaszy wina z rąk pięknych.

O wdzięków zbiory,
Piękności wzory,
Panie, królowe, boginie!
Niech wasze oko,
Sięga głęboko,
Nie sądząc gracza po minie.

Włos mi ubielił,
I twarz podzielił,
Srogi czas w różne zagony.
Lecz za tę szkodę,
Dał mi w nagrodę
Serdeczny upał zwiększony.

Tak Hekla siwa,
Śniegiem pokrywa,
Swoje ogniste pieczary;
Wiérzch ma pod lodem,
Zielona spodem,
I wieczne karmi pożary.

Płyń mi w potoku,
Bachowy soku,
Ręką przelany życzliwą,
Gdy na cześć waszę,
Pełniąc tę czaszę,
Przygaszam ogień oliwą!

Jakoż za prawdę dosadnie się w téj piosnce odmalował sam Trembecki. Wielbiciel kobiét, trzydzieści stoczywszy na broń różną za nie pojedynków, wielbiciel dobrego wina, smakosz na ucztę każdą, wykwintny w stroju aż do przesady, doskonały *szarmant* (jak ówczesne było wyrażenie), był nakoniec filozofem, według całego znaczenia szkoły Woltera i encyklopedystów. Niedziwota, że taki typ wyrazisty przedstawia nam Trembecki, większą część młodości strawił na podróżach, zwiedził całą niemal Europę, a najdłużéj bawił na dworze Ludwika XV. Żył téż we Francyi w przyjaźni ze wszystkiemi ówczesnemi literatami. Ztądto przywiózł wykwintną grzeczność, politykę (jak w owe mówiono czasy), tojest umiejętność ukrywania swoich uczuć, zatajenie w sobie prawdy, i wszelkich wzruszeń, a pokrywania zręcznie, wszystkiego, uśmiechem, dowcipem. Ztamtąd wyniósł bardzo dogodną dla siebie umiejętność służalstwa, umiał być w całém znaczeniu tego słowa człowiekiem dworskim, bawić dowcipem pana, zastępować dawnych trefnisiów nadwornych, i z tą giętkością właściwą, daleką i niepojętą od ludzi prawych, pochlebstwo posuwać aż do upodlenia, by zaskarbić sobie łaskę i wdzięczność pańską.

Zatarł on w sobie, wszystkie rysy charakteru rodowego: bez prawdziwéj wiary, bez uczucia szlachetnego, przy potężnym talencie wrodzonym, smutną zostawił Trembecki po sobie pamięć, stwierdzając tylko dowodnie tę prawdę, że poeta, upromieniony najwyższemi zdolnościami, nigdy nie spełni wielkiego powołania swego, jeżeli w sercu nie ma prawych uczuć, czystéj miłości dla kraju, i ludzkości, i nie służy jak wyraził Jan Kochanowski *„poczciwéj sławie.“*

Trembecki urodził się w dawném województwie krakowskiém. W bardzo młodym wieku opuścił kraj i kształcił się za granicą. Szczegółów pobytu, i podróży, żadnych nie mamy; z pism zaś jego wnosić musimy, że za powrotem do rodzinnéj ziemi, wiele pracował i zgłębiał pisarzy z czasów Zygmuntowskich. Żaden téż z literatów epoki tak zwanéj *Stanisławowskich czasów*, nie umiał tak dzielnie władać językiem prawdziwie polskim. Styl téż Trembeckiego przypomina okres najświetniejszy dla literatury polskiéj, bo okres Kochanowskiego, Górnickiego i Cypryana Bazylika.

W którym roku powrócił, nie wiemy. Trembecki zjawia się dopiéro w lat kilkanaście, po wstąpieniu na tron Poniatowskiego, występuje na *uczonych czwartkowych obiadach*, jako celna ich ozdoba. Mianowany szambelanem tego króla, już go odtąd nie odstąpił. Za dany chléb i łaski, sowicie się téż pan szambelan odpłacał pochlebstwy. Dość tu jeden przykład przytoczyć.

Stanisław August miał ulubionego szpica Kiopka. Trembecki taki daje jego *portret:*

„Czy dola szczęsna, czy skołatana,
Przez dzikie ludów narowy,
Ten zawsze strzegąc stóp swego pana,
Żywot dać przy nich gotowy.
Z równością myśli wszystko to znosi,
Co zdarza dola niebieska,
Służy najwierniéj, o nic nie prosi;
Mójże to obraz, czy pieska?"

To jest pochlebstwo pokojowe nadwornego trefnisia; zobaczmy jak Trembecki rzucał je śmiało z okna zamkowego narodowi, aby prawdę przytłumiać, a fałsz podać w jéj szacie.

W licznych swoich odezwach do Poniatowskiego, nazywa go gieniuszem, zapewnia mu posągi w potomności, i wzywa świętéj prawdy na świadectwo. Posłuchajmy w oryginalnym tekscie:

„Któryż między Lechitów umieszczony pany,
Więcéj życząc ojczyznie, więcéj był kochany?
Tobie winniśmy światło, które nas ożywia,
Tobie polor, co oba narody zadziwia,
Tyś nam bezpieczne w domach uczynił mieszkanie,
Tyś nam młódź ugruntował, świetne wychowanie;
Słowem tyś nas nauczył, wsławił, i ozdobił."

Do historyi odsyłamy po objaśnienie.

W roku 1787 w wierszu do króla nową Trembecki pisze pochwałę:

„Umié przez twe starania Polak już nie ciemny,
„Zgon przekładać chwalebny, nad żywot nikczemny."

Zaprawdę podobne przykłady poświęcenia i liczne zawsze, dzieje nasze przedstawiają: w niczém się Poniatowski do rozwinięcia tego uczucia nie przyłożył, byłato cnota, któréj on sam nie miał, ani czuć był zdolny, a żywot nikczemny, to godło jedyne Stanisława Augusta.

Kiedy czytam te wiersze, tak pięknym językiem napisane, tak harmonijnie składne, a prawie w każdym tyle kłamstwa, ile wdzięku, nie mogę utaić podziwienia, do jakiego stopnia mógł się Trembecki poniżać. Rzecz godna podziwu, jak zatarł w sobie wszystkie cechy domowéj, rodowéj cnoty. W dawnéj literaturze naszéj, iluśmy mieli poetów, każdego możem powołać na świadectwo historyczne, ku poparciu zdarzeń, i szczegółów: możem każdemu zaufać, bo szczególna ich téż prawda, i poczciwość, jak Trembeckiego fałsz wierutny cechuje.

Stanisław August używał go nawet, aby według jego myśli kierował opinią publiczną.

Kiedy rewolucya francuzka znalazła odbicie i u nas, a Wojciech Turski zaczął jéj zasady rozsiewać, przestraszony król, wzywa go, aby przeciwko temu wystąpił. Trembecki posłuszny pisze wiérsz pod napisem *Joannes*

Sarcasmus 1791 wydany, w którym Turskiego śmiesznością okryć się stara, i do czubków odsyła. Gdy zaś największe oburzenie dało się uczuć w narodzie, z powodu sejmu grodzieńskiego r. 1793, z polecenia także, napisał list do posłów powracających z Grodna. Wiérsz ten jest nacechowany nikczemością nad wszystko co wyszło zpod pióra Trembeckiego.

Głośném imię tego poety zrobił opisowy poemat *Zofiówka*. Przyznać należy, że żaden z współczesnych nie dorównałby mu w tym zawodzie. Potężnego magnata ogród, za miliony wzniesiony, podziw tych, co sztukę drogo złotem opłacaną uwielbiać mogą, rzecz godna zadziwu, że potrafił Trembeckiemu dać przedmiot do poematu.

Ale prawda, właściciel tego ogrodu, dawał mu chléb, i utrzymanie na swoim stole. Wyszedł wszakże zawsze zwycięzko Trembecki z zadania, i Zofiówka ma niepospolite piękności, szczególniéj téż pod względem języka.

Wiele wierszy poświęcał różnym panom, pisał epitalamium hetmanowi Branickiemu. Styl napuszony Naruszewicza naśladuje w odzie do tegoż; wita przybyłego w roku 1782 Krasickiego biskupa warmińskiego. W Puławach będąc na przedstawieniu opery Kniaźnina: *Matka Spartanka;* więcéj chwali pana tych miejsc, jak piękny utwór poety. Naruszewicza robi Teokrytą, Horacym, słowem największym poetą: wdzięcznie biskup historyk przyjął to pochlebstwo. Gdy zaś towarzyszył Stanisławowi Augustowi w podróży do Kaniowa w r. 1787, a Trembecki, z utęsknieniem oczekiwał w Warszawie na powrót króla, pisze znowu do biskupa; i dobrodusznie za to, że jadł dobrze, pił smaczne wina, użala się nad Naruszewiczem, i rachuje to mu za zasługę: że musiał:

„..... z panem niewygody dzielić,
W pracach czynić ulżenie, spoczynki weselić."

Zaklina go w końcu, aby mu doniósł:

„W których jest miejscach, w jakim myśli stanie
August, poddanych swoich rozkosz i kochanie?"

Trembecki jako szambelan, był codziennym niemal domownikiem króla; on mu się zwierzał ze swéj polityki, i wielu tajemic serca. W tym względzie uczucia i myśli były ich zgodne, bo obaj lubili kobiéty. Stanisława Augusta, jak i Trembeckiego było żywioł, i ztąd zostawił wiele poezyi, coby tom niemały stanowiły erotyków, tak brudnych, że dziś nie znajdzie bezwstydnika, któryby je śmiał powtórzyć.

Towarzyszył królowi w jego zabawach i przechadzkach. Chodząc raz po ogrodzie Saskim, ujrzeli szlachcica kontuszowca, wyniosłego wzrostu, z brodą siwą, na którego jednak głowie ani śladu starości.

— Powiédz mi szambelanie (zapytał król) dlaczego ma głowę czarną, a brodę siwą?

— Najjaśniejszy Panie (odrzekł Trembecki), widać, że więcéj pracował gębą, niż głową.

Był przy boku Stanisława Augusta w ostatniéj jego podróży do Petersburga 1797 roku. Trafiło się raz, że jeden z obywateli na trakcie z Grodna do Wilna zaprosił króla na obiad, nie odmówił, lubo zawsze i wszędzie choć w obcym domu, jeden z kucharzy Stanisława Augusta musiał, stosując się do jego wykwintnego smaku, choć parę potraw zrobić. Przy stole dano wino węgierskie stare. Król, który czasem tylko je pijał, bo zwyczajnie francuzkiego używał, rzekł:

— Dobre Waćpan masz wino.

— Znajdzie się i lepsze u szlachcica, Najjaśniejszy panie! — odpowiedział gospodarz.

— To dla kogo godniejszego tamto Waćpan przechowujesz? zapytał król z przyciskiem.

Trembecki siedząc przy stole, sądząc, że wyprowadzi gospodarza z kłopotu, odezwał się:

— Tamto zapewnie przy końcu obiadu będziemy pili.

Gospodarz nic niezmieszany odrzekł:

— Najdoskonalsze wino jakie mam tylko w méj piwnicy, będziem wówczas pili Najjaśniejszy Panie, gdy W. K. Mość szczęśliwie i pomyślnie dla dobra kraju, będziesz powracał do stolicy swojéj.

Król smutnie zwiesił głowę, Trembeckiego zwykły dowcip opuścił na te słowa szlachcica dobitnie powiedziane.

Przybył dwór do Grodna, dano bal dla króla: Trembecki pisze pieśń, którą na nim śpiewano.

W lutym Stanisław August stanął w Wilnie: nie widząc przy boku swoim ulubionego szambelana, zapytał:

— Gdzie nasz Pitagoras? Czy już tu przybył?

Urzędnicy policyjni z wielką usilnością po całém mieście szukali pod tém nazwiskiem człowieka, do dworu królewskiego należącego, ale go nigdzie znaleźć nie mogli. Dopiéro się późniéj dowiedzieli o kogo król się pytał, bo Trembecki, jak i Pitagoras mięsa nie jadał.

Nie mamy żadnych dalszych wiadomości o naszym poecie, aż do czasu kiedy okazał się na dworze Szczęsnego Potockiego. Jedna z Polek, świadek naoczny, tak nam go opisuje:

„Ujrzałam nagle w salonach Tulczyna, człowieka na sześć stóp wysokiego, z twarzą pełną wyrazu i powagi. Ubiór jego był francuzki, włosy w tył zaczesane, które w dni świetniejsze, w czarny z tyłu ujmował woreczek (catogau). Niepospolita grzeczność oznaczała człowieka, wyższych towarzystw świadomego, usta krasił uśmiéch, lecz nieco złośliwy. Byłto Trembecki, niegdyś do dworu i towarzystwa Stanisława Augusta należący. Z tego powodu pobierał pensyą z Petersburga: gdy ta mu nie wystarczała do swobodnego bytu, przyjął mieszkanie w Granowie, posiadłości księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, o cztery mile

od Tulczyna leżącéj. Ztamtądto Trembecki pisał do Jana Potockkiego o pożyczenie mu książek i wyjednanie przystępu do biblioteki Tulczyńskiéj.

Chętnie Felix Potocki, właściciel Tulczyna skłonił się do życzeń poety; zaprosił go nawet do swego domu, gdzie liczne towarzystwo i księgozbiór otwarty, tyle dlań miały ponęty, iż wkrótce stale tam osiadł około 1802 r.

Czytywano często razem w towarzystwie Tulczyńskiém. Ulubionym wówczas poetą był Delil. Po odczytaniu każdéj pieśni Ziemianina francuzkiego, co przez kilka wieczorów trwało, Trembecki powtarzał nam z pamięci całe pieśni Zofiówki, nad którą właśnie pracował. Nie słyszałam przecież aby przez te 7 czy 8 lat które przebawił w Tulczynie, jakąbądźkolwiek poezyę ułożył. Zdaje się, iż z ostatnim wierszem Zofiówki, lutnia jego na zawsze umilkła. Trembecki namiętnie lubił karty, i codzień wieczorem przybywał do pałacu, gdzie zawsze sobie znalazł kogoś do grania. W niedostatku podobnéj osoby, brał się do szachów, w grze których tak był mocnym, że zawsze wygrywał, wyjąwszy gdy damę miał za przeciwnika; całą bowiem zalotność dawnego eleganta francuzkiego, aż do podeszłego wieku zachował wiernie. Ze smutkiem wyznać trzeba, iż żadnych w nim oznaków pobożności nie dostrzegano nigdy; nie bywał nawet w kościołach: brano go powszechnie za materyalistę. Lubił mówić o swoich miłostkach, i wziętości za młodu. Zachorowawszy mocno w 50 roku życia, opuszczony już nawet przez lekarzy, sam się najściślejszą uratował dyetą, i od tegoto czasu, nie używał na pokarm nic takiego, coby, jak mówił, żyło: pił tylko wodę i mléko i bardzo wiele kawy. Zwyczajną jego strawą były żółtka jaj, owoce i warzywa; nie dotknął przecież nigdy grochu, ni fasoli. Przekonanym był, że zachowując tę dyetę, dojdzie do 140 lat życia; utrzymywał nawet, że gdyby był od dzieciństwa takich tylko używał pokarmów, z pewnością byłby dosięgnął lat trzechset, jako kresu, który natura wiekowi ludzkiemu oznaczyła. Wedle jego zdania zwyczaj siedzenia, skraca nasze życie: człowiek bowiem w pierwotném stanie stworzony był tylko do stania, lub leżenia.

Takie wiódł życie Trembecki w czasie pobytu swego w Tulczynie. Dwa lata przed zgonem, podarował hrabiance Zofii Potockiéj wszystkie swoje rękopisma w ogromnéj zamknięte skrzyni, z prośbą, aby je dopiéro po śmierci jego otworzono: gdyby się bowiem nieprzyjaciele dowiedzieli o treści pism jego, niezawodnieby go ukamienowali. Słyszałam nieraz uczone jego spory z Janem Potockim, o początkach Slawian. Utrzymywał, że Niemcy przywłaszczyli sobie sławę naszych najdawniejszych przodków, a gdy Jan Potocki nalegał o udzielenie mu na piśmie tych domysłów historycznych, zawsze wymawiał się Trembecki.

— Zresztą (mówił) znajdziecie po mojéj śmierci całą historyą polską, od jéj początków aż do naszych czasów.

Słowa te często bardzo powtarzane słyszałam. Szanowano wolę Trembeckiego, nie tknięto za życia skrzyni, lecz natychmiast po zgonie jego roz-

kazała hrabini Potocka, przynieść ją do sali i otworzyć. Cała była zapełniona papierami, które przecież w takim były stanie, iż je koniecznie przewietrzéć musiano. Podjął się jeden z przyjaciół domowych przejrzenia tych pozostałości literackich Trembeckiego, lecz na nieszczęście zbyt lekko przesunąwszy się po téj pracy, oświadczył, iż nic zajmującego, nic ważnego nie znalazł. Wielu wszakże utrzymywało, że pewni amatorowie przywłaszczyli sobie wspomnione rękopisma, które niezawodnie znajdowały się w skrzyni. Nie można nakoniec przypuścić, aby człowiek tak uczony, wytrawiony, i poważny, jak Trembecki, przez tyle lat, a zwłaszcza w uczonych sporach z Janem Potockim, żartował jedynie, i mistyfikacyą tę aż za zgon swój przedłużył (1).

„Trembecki utrzymywał, że ściśle biorąc, niéma nic brudnego w naturze, wszystko bowiem jest tém, czém być powinno. Wierny téj zasadzie, nie dozwalał nigdy służącemu, zamiatania pokoju, a jeżeli dokazano tego, zawsze to było w jego nieobecności. Nie zapomnę nigdy wrażenia, gdym go chorego odwiedziła z siostrami mojemi. Miał na sobie szlafrok tak wypłowiały, że już ani śladu pierwotnéj barwy nie miał, podszyty zaś był skórą, która niegdyś była futrem. Leżał wyciągnięty na kanapie, niesłychanie brudnéj, ogromne foliały mając przed sobą na stoliku; pod kanapą mebel nieodzowny: za wejściem zaś naszém taka wzniosła się z posadzki chmura popiołu tytuniowego, że wszystkie przedmioty ćmiąć dokoła, ledwie nas nie zadusiła."

Nie lubił odwiedzin Trembecki, z mężczyzn téż przyjmował tylko u siebie Jana Potockiego, i generała Chodkiewicza. Przed śmiercią tak pamięć utracił, że gdy mu pokazano tomik jego wierszy wydrukowany w roku 1806, oprócz *Syna marnotrawnego*, co do reszty nie wiedział że to były jego pisma, Zapytany, co się znajduje w rękopismach, które darował hrabini Potockiéj, odpowiedział, że nie pamięta.

W ostatnich latach pracować już nie mógł, i nie chciał; całe téż życie był leniwy. Latem miewał otwarte okna i wróbli pełno. Zapewniał, że stale i nieodmiennie przylatywało ich 200, tojest cała rodzina, którą on wychował i każdego z nich znał lata i rodziców, wszystko téż w stancyi jego było upstrzone wróblim pomiotem. Lat trzydzieści mięsa nie jadał i wina nie pił; wszelako na rok przed śmiercią, ten sposób życia odmienił. Ulubioną jednak zawsze jego potrawą były raki, nad temi codzień kilka godzin się bawił.

Często powtarzał, że do lat pięćdziesięciu był bardzo w obyczajach młodym. Wróg związków małżeńskich, umarł bezżennym. Znaną jest z tego powodu odpowiedź Trembeckiego dana jednemu z panków, którego żona była w łaskach u dworu: gdy ów z bogatéj tabakiery zażywał tabakę, nasz poeta, sięgnął po nią ręką.

— Jakto szambelanie, zażywasz, a nie masz własnéj tabakierki?

— Nigdym nie miał tak własnéj tabaki jak i żony — odrzekł poważnie Trembecki.

(1) Bacząc na stan owoczesnéj ktytyki historycznéj, niewiele żałujemy straty tych badań dziejowych Trembeckiego.

Służących miał kilku, którym nie pozwalał do siebie przychodzić, tylko po zapłatę, wyjąwszy jednego chłopca, z którym grał w szachy. Znałem jednego, który się zwał *dworzaninem pana szambelana Trembeckiego co wiersze pisywał.* Byłto szlachcic zagrodowy Krajewski z Augustowskiego zpod Zambrowa. Opowiadał mi, że tak gdy szedł do króla, jak późniéj do pałacu w Tulczynie, sadzał go i wdziewał nań biały półkoszulek, bo Trembecki w starszych latach zaniedbywał się w ubiorze. A przecież dawniéj, na dworze Stanisława Augusta, wykwintnie się stroił, nosił wysoką fryzurę, kształtnie w loki zwiniętą (1), i gdy mieszkał w Warszawie razem z Michałem Wolskim, szambelanem słynnym z dowcipu, do jego nadwornego fryzyera Jasia, który i naszemu poecie włosy układał, napisał list wierszem ciekawy, bo w nim opisuje Trembecki różne rodzaje modnych peruk i fryzur.

Umarł dnia 12 grudnia 1812 roku bez żadnych cierpień i choroby, w późnéj starości, bo około lat dziewięćdziesięciu zachowując jednostajną przytomność. Pochowany w Tulczynie; umarł spokojną śmiercią sprawdzając ten ustęp swojéj Zofiówki.

„..... Obciążony wiekiem,
Poznał, że już przychodzi przestać być człowiekiem,
Tak się spokojnie złożył, z przodkami pospołu,
Jak gdy po walnéj uczcie wstawałby od stołu."

Przedstawiliśmy dotąd Trembeckiego w charakterze jaki nam prawda wskazywała, jako człowieka, szambelana, i nadwornego poetę; musimy z obowiązku sumienia wskazać zasługi, jakie w literaturze naszéj położył.

Byłto talent potężny, poety, i mówcy; na wszystkiém co zostawił, piętno właściwe wycisnął, nawet jaśnieje w tych utworach wyuzdaną rozpustą spodlonych, których powtórzyć bez wstydu nie można. Ale miał téż Trembecki chwile szlachetnego uniesienia i szlachetnego celu: tam gdzie go prawe uczucie zwróciło, jaśnieje wydatnie wpośród wszystkich obecnych sobie pisarzy; przybiéra kształty olbrzymie, i góruje nad wszystkiemi, nietylko natchnieniem poety i mówcy, ale mistrzowskiém władaniem ojczystéj mowy. Żaden téż z literatów okresu Stanisława Augusta, nie wytrzyma porównania co do mocy, wdzięku i staropolskiego toku języka z Trembeckim

Czytajmy wiérsz do Maryańskiego kowala, z powodu darowanych przez niego dwóch wozów wojsku Rzeczypospolitéj, co za cudny język, jak poczciwe myśli, swobodnie, a z całą potęgą talentu wydane:

„Nie zpod złotem błyszczących szczytów wydobyty
Maryanie! w ubóstwie pracą znakomity,
Szukam ciebie z pochwałą, gdzie podłość nie bluźni,
Skromnéj cnocie, świadectwo kładnę w twojéj kuźni.

(1) Z tego czasu, zachowany wizerunek w miniaturze robionéj, przez artystę Marteau, tu załączamy.

Mijam gmachy stolicy, gdzie ciosem pokryte,
Stoją dumne przysienia, pychą znamienite,
Co gniotąc swym ciężarem powierzchowność ziemi,
Słupami, aż pod niebo pną się, koryntskiemi,
Te cuda świata, łzami ludzkości lepione,
Albo z łupów odartéj ojczyzny stawione;
Gmach co go zewsząd przepych i zbytek osłania,
A wspaniałością bożym świątnicom przygania.
Te olbrzymiéj przemocy w narodzie znamiona,
Pod któremi, na bruku nędza opuszczona
Spoczywa, wśród pogardy, w głodzie i sromocie,
Na wyrzuconym, zwierząt pieszczonych, wymiocie!
Ani ja was pałaców mieszkańce i bogi,
Których szaty rozświeca jasny kamień drogi,
Ani was szukać będę, wy gwiazdowe pany,
Których ród, pod imieniem wielmożności znany!
Nizka strzecho ubogich, a mieszkanie cnoty,
Gdzie się pot pracowitéj wylewa roboty,
Ciebie szukam uprzejmie, między twe ościenia,
Przynoszę szczerych pochwał niepochlebne brzmienia!
Minąłem tyle blasków, zamrużyłem oczy,
Tam gdzie błyskot tysiące nocnych świateł toczy,
Gdzie się palą jarzące w kryształach pochodnie,
Na ofiarę rozkoszy, a świecą na zbrodnie:
Byłem głuchy na owe melodyjne tony,
W których się rad zatapia leniuch rozpieszczony,
Gdzie haustem połykając za zdrowie dukaty,
Huczą, drogim tokajem zdurzeni, wiwaty.
Tu mnie przywiódł twój ogień do poziomej strzechy,
Ogień, co go szumiące rozdymają miechy,
Co w spokojnym zakącie z węglistego drzewa,
Krwawym żarem jak z paszczy na noc ciemną ziéwa.
Tu kołat ciężkich młotów pod którym stal twarda,
Jęczy, pryskając ogniem, i gdzie sztaba harda,
Zgina się pod cyklopów nachylona razy,
Tu są męztwa i pracy prawdziwe obrazy;
Tu w złéj toni narodu, brać trzeba naukę,
Jak wykształcać przez pracę twardą jaką sztukę,
Jak przez licznych na świecie przysłowiów tysiące,
Trzeba zginać żelazo, póki jest gorące.

W poematach opisowych jak *Zofiówka*, *Powązki*, ten sam znać język jędrny, dosadny, i harmonijny. Trembeckiego *Bajki*, nigdy prawdziwéj swéj wartości nie stracą; a naśladowanie komedyj z Woltera *Syn marnotrawny*, w za-

stosowaniu do naszych zwyczajów, zostanie arcydziełem w tym rodzaju. Wszędzie zgoła, gdzie Trembecki, wiedziony szlachetną myślą, brał pióro do ręki, pozostał wielkim artystą, umiejącym po mistrzowsku, cudnie zawładnąć ojczystym językiem. Zaprawdę, te tylko utwory, nadają mu niezaprzeczone prawo, do chlubnego wspomnienia, w odległéj nawet potomności.

Warszawa 14 grudnia 1849 r.

K. W. Wójcicki.

PRZYPISY.

„Na jednym z czwartkowych obiadów które *mądremi* zwano, znajdował się Ignacy Potocki, Adam Naruszewicz, Trembecki, Grzegorz Piramowicz, Karol Wyrwicz, i prócz innych Bekler nadworny lekarz królewski. Gdy roznoszono potrawy, uważał król, że Trembecki brał tylko jarzyny, i leksze łakotki, gdy Piramowicz za nie dziękował.

— Czemu nie bierzesz Piramku, które są zdrowe?

— Bo ja właśnie N. Panie, niezdrowe lubię.

— Jakieżto? król zapytał.

— Oto szynki, bigosy, kiełbasy i tym podobne — odpowiedział Piramowicz.

Skrzywił się na to, zawsze w jadle wybrydny Trembecki, a Naruszewicz rzekł:

— Może dlatego, iż rzeczy niezdrowe, do zakazanych należą.

— W tym rodzaju, ozwie się Potocki, przykazania wydawać, które nie są jak tylko radą, Bekler i jego towarzysze tylko moc mają.

— Owszem (mówił Trembecki) rozum je wydaje, a miłość własna ich słuchać powinna: dobrze myśleli Rzymianie, iż niéma szczęścia większego w życiu, jak w zdrowém ciele myśl zdrowa. *Mens sana in corpore sano.* Przestrzegam tego, i niewiele mnie obchodzi, iż mnie dlatego dziwakiem zowią.

— Tak jak pijacy, dodał Potocki, nazywają tego partaczem, który z nimi z kolei kielicha duszkiem nie spełni, nieraz już tę obelgę odniosłem.

— Wszakże, rzekł Naruszewicz, najlatwiéjby było, aby potrawa nie szkodziła zdrowiu, jeżeli od tego zależy, zyskać pozwolenie lekarza, i w tém się do naszego Eskulapa odwołuję.

— Naprożno go zaczepiacie, zawołał król, wszak wiécie iż jedząc, rozmowy nie cierpi.

— Tak jest, odezwał się Bekler, kiedy jem to nie gadam, najadłszy się każdemu odpowiem.

— Stępkowski wojewoda (przemówił Naruszewicz), aby był pewniejszy zdrowia, razem z sobą lekarza upajał.

— Gdy Bekler nic nie odpowiadał, Piramowicz śmiał się, a Trembecki niecierpliwy, coś niby szeptał, przedmiot rozmowy odmienił się, i skończył się obiad.

We czwartek następny przynosi Trembecki papiér i oddaje królowi mówiąc: *oto jest Najjaśniejszy Panie słowniczek zdrowych i niezdrowych pokarmów,* któ re w skutku dziś tygodniowéj rozmowy spisałem, a powaga znawcy i strażnika zdrowia W. K. Mości (Beklera), do któréj się tu odwoływano, spis ten zatwierdziła.

POKARMY ZDROWE.

Cebula, czosnek, pory, które jako pomocne zdrowiu, i najskuteczniéj je od zepsucia chroniące, we czci prawie boskiéj Egipcyanie mieli, a których żałowali żydzi wychodząc z ich niewoli.

Mięso wołowe, cielęce, baranie, i z innych zwierząt okrytych sierścią byle nie szczecią, tudzież piérzastego ziemnego drobiu, co chodzi lub lata, z uwagą, iż młode, niżeli stare, gotowane, niżeli pieczone jest strawniejsze.

Chleb dobrze wypieczony, byle nie prosto z pieca, bądź żytny, bądź pszenny, zdrowym jest pokarmem. Niektórzy utrzymują zdanie dogodne skąpcom, że chleb zczerstwiały i wyschły zdrowszy jest, od jednodziennego, ale *Spalanzani* dowiódł, że skórka nie jest od środka strawniejszą. Lepszy zaś jest zawsze, bo zdrowszy, chleb polski, niżeli francuzki; bo do francuzkiego piekarze soli mieszać nie zwykli.

Mléko jest bardzo zdrowe, ale prosto od krowy, nie zaś już kwasem zepsute, albo psuć się zaczynające, tojest śmietana, i śmietanka: ale jednę i drugą, miernie użytą od niezdrowych wyłączyć można.

Jaja do piérwszego rzędu łatwych do strawienia pokarmów należą, ale świeże i miękkie.

Jarzyny i owoce byle dojrzałe, tojest przysposobione z przyrodzenia do strawienia łatwego. Jeżeli człowiek nie jest mięsożernym zwierzem, te miały być jedynym pożywieniem jego. *Szpinak* bez przymieszki chwastu; *szparagi* raczéj z solą, niżeli z masłem, i bez zbytku, łatwość strawienia zaleca.

Kasze: z jęczmienia, hreczki, owsa, szczególniéj wygotowane z nich kleje, przyprawione solą, do zdrowych pokarmów należą.

Okonia, sandacza, i miętusa mięso jest zdrowe, od octu tylko i wina może nabrać twardości (1). Żydowski zaś sposób ryb gotowania jest najzdrowszy.

Piwo proste, i jako napój jest zdrowe i pożywne; i gotowane też, jakiego przodkowie nasi za ranne jadło używali, lepsze jest pewnie od herbaty i kawy, którym miejsca ustąpić musiało.

Barszcz też, byle nie tłusty, sam z siebie jest posilnym, i zdrowym, równie jako i żur owsiany, z wymyślnych stołów wypędzony: że jest zdrowy, dowodzi siła, hyżość, i cera rumiana góralów naszych, którzy najwięcéj kisielem i chlebem owsianym się żywią.

Sér, zwłaszcza stary, nakształt przekąski jedzony, strawności pomaga.

Cukier jest najpomocniejszą do trawienia pomocą, ułatwia rozrabianie się pokarmów w soku żołądkowym: jest jedném z lekarstw najbardziéj wzmacniających. Osoby słabe i stare, mieszaćby go do każdego pokarmu i napoju powinny.

Sól, jest przyprawą najpotrzebniejszą, wzbudza czynność żołądka, dodaje smaku potrawom, i z sokiem trawiącym je rozpuszcza.

POKARMY NIEZDROWE.

Wieprz, świnia, prosię, z całą swoją szkaradną rodziną, tak domowego wychowania, jako i dziką. Ustawy hebrajczyków, policzywszy ten ród naczelnie w poczet nieczystego zwierza, słusznie bardzo użycia im go w pokarmie zakazały.

(1) Trembecki tu zadaje kłamstwo dawnemu naszych ojców przysłowiu:
„*Post pisces, vinum misces.*"

Gęsi, *kaczki* i inne podobne wodnoziemne stworzenia, równie plugawego wychowu, jak świnia. *Indycze mięso* nie tak łatwo rozpuszcza się w soku żołądkowym, a *pawie* jeszcze trudniejsze do strawienia.

Tłustości wszelkie, jakiegożkolwiek miana są, do najniestrawniejszych rzeczy należą.

Niedojrzałe owoce, nowinki wszelkie, jakożkolwiek łakotne, są trucizną, która rodzi ograżki, zimnice (febry) trudne do pozbycia, i wielkie zaburzenia w żołądkach zwłaszcza słabych sprawuje. Owoce wszystkie są rozwalniające mniéj lub więcéj. Zbyteczne ich używanie, nie jest bez niebezpieczeństwa. Poziomki i porzeczki są najzdrowsze. Skórki owoców pestkowych, trudne są do strawienia.

Ciasta z wielością przypraw i zakalcu, przydatnego chyba księgowiązom, niegodziwe są; tém szkodliwsze, że łakome dla dobrego smaku, pięknego kształtu, i ozdobnego nazwiska.

Grzyby wszelkie, z całém swojém jednorodném pokrewieństwem, do jakiegożkolwiek imienia należą, nie wyłączając nawet truflów, szampionów i rydzów. Wszystkie, są owocem zgnilizny (1).

Owoce olejne, jako migdały, orzechy wszelkie, kasztany i t. d. nie tak łatwo trawić się dają. Doświadczył Spalanzani, że pogryzlone nawet rodzynki, dwa dni w żołądku niestrawione leżały.

Zup zwłaszcza gorących nie pochwalam; jada się ich więcéj jak innych potraw, bo zwyczaj je piérwsze głodnemu stawia, bez potrzebnego rozrobienia do kiszek prędko przechodzą. Wszak i wielość napoju strawności jest szkodliwą.

Wędliny wszystkie, solone mięsa i jarzyny, dla zachowania dłuższego, trudnéj do strawienia twardości nabiérają.

Jagły zostawmy Tatarom, ulubioną ich są strawą. Latającym dzień cały na koniu szkodzić nie mogły (2).

Ryby im większe, im starsze, tém mniéj są zdrowe, młode zaś jeść niewarto. Raki stare nie do strawienia, nie do jedzenia, są młode. Ryb solonych mięso twardnieje, i z trudnością się trawi. Stawowe też i błotne nie strawniejsze są od tych, które się w wodach czystych, i bieżących poławiają: tudzież zaraz po ułowieniu nie są zdrowsze, niżeli dłużéj trzymane. Morskie, które suszone lub solone nam przywożą, zdrowe być nie mogą.

Ostrygi, ślimaki, śledzie byłyby zdrowe, gdy są świeże, ale jedne z przyczyny przypraw, drugie gdy są solone, a tém bardziéj wędzone, łatwość strawności utracają.

Jaja twardo gotowane, furmańska potrawa, dla żadnego żołądka strawnemi nie są.

Kapusta kwaszona i bigos, pokarm prawdziwie hultajów, do strawienia łatwe być nie mogą; trudniejsza zaś jest biała i zielona, niżeli czerwona, a głąbie niżeli liście.

Grochy: boby, soczewice, i młode ich strączki, liczyć się do zdrowych nie mogą.

(Czasopism naukowy księgozbioru imienia Ossolińskich 1828 r. IV, p. 71).

(1) Miechowczyk nasz mawiał o grzybach: Gdy najwyborniéj będą przyprawione, najlepiéj jest za płot je wyrzucić. Żadnego lekarstwa dla swéj złości przyrodzonéj nie cierpią. *Marcin Urzędów o przyrodzeniu ziół.*

(2) Gdy Tatarzy Podola polskiego panami byli, zamiast płacy poboru, po osmaku jagieł z roli zsypywać im Podolaki musieli.

II.

Poezye Trembeckiego wyszły po raz piérwszy 1806 roku w Lipsku (rzeczywiście w Wilnie u Zawadzkiego) we dwóch tomikach w 12-ce, z wielu błędami. Oprócz bajek i drobnych wierszy, są tu poezye większego rozmiaru, jak *Powązki, Polanka*, i *Syn marnotrawny*, komedya. Oddzielnie drukowana *Zofiówka* czyli *opis ogrodu Szczęsnego Potockiego* tegoż roku i z firmą Lipską, a rzeczywiście w Wilnie wydana.

Poprzednio, pojedynczo wiersze jego, szczególniéj téż, pisane do chwilowych okoliczności, lub z polecenia Stanisława Augusta, drukowane jako broszury wychodziły. Zawsze prawie bezimiennie, lub pod cudzém imieniem.

Sam Trembecki, gdy jeszcze przebywał w Warszawie jako szambelan, przyboczny towarzysz króla, wydał wyborne naśladowanie komedyi z Woltera, Syn marnotrawny, pod następnym napisem:

„Syn marnotrawny, komedya w 5 aktach wierszem przestosowana, przez jegomość pana Ludwika Azarycza, dworzanina Rady nieustającéj. W Warszawie u Grella 1780 r. 8-vo.

W pismach peryodycznych, wydobyte z rękopismów, różne ogłaszano wiersze Trembeckiego: i dwa wydania w Wilnie poezyi jego ogłoszono.

W roku 1828 we Wrocławiu wydano we dwóch tomach w 12-ce.

„Dzieła poetyczne S. Trembeckiego.

Najzupełniejszy zbiór wyszedł w Wilnie 1836 we dwóch tomach p. n.:

„Poezye S. Trembeckiego, z popiersiem autora według rysunku wiedeńskiego: wydanie czwarte powrawne i powiększone, z dodaniem objaśnień do Zofiówki.”

Przekład Zofiówki na język francuzki, w przepysznem wydaniu, z widokami tego ogrodu, z wizerunkami Trembeckiego i tłumacza, wyszedł w Wiedniu p. n.:

„Sophiowka poème polonais, par Stanislas Trembecki.”

Traduit en vers Français par le Comte de Lagarde membre de l'académie de Naples. Vienne de L'Imprimerie D. Antoine Strauss 1815. 4-to major str. 106.

Tłumacz podjął tę pracę, nie dla poematu Trembeckiego, ale dla właścicielki pięknego ogrodu, hrabiny Potockiéj.

Równocześnie z czwartą edycyą wileńską, w tymże roku w Lipsku u Breitkopfa i Haertela, w zbiorze *„Biblioteka kieszonkowa klassyków polskich”* wyszły poezye Stanisława Trembeckiego (z popiersiem autora) 1836, w dwóch tomikach w 16-ce.

III.

Henryk Rzewuski, autor jednego z najpiękniejszych romansów historycznych polskich, *Listopada*, wprowadził na scenę w gabinecie króla Stanisława, i naszego poetę. Ciekawego czytelnika, który pragnie poznać jaką dał tam rolę Trembeckiemu Rzewuski, odsyłamy do tomu III rozdziału III p. n.: *Król Stanisław August.* Wydanie redaktora Tygodnika. W S. Petersburgu 1846 r.



TEODOR KERNER.

TEODOR KERNER.

Gdybym nie dzielił tryumfów powrotu,
Nie płaczcie mnie, zazdrośćcie raczéj szczęścia ;
Bo co na lirze mojéj wam nuciłem,
To dzisiaj swobodnym mieczem wywalczyłem.

Do najznakomitszych zjawisk poetycznych, z nowszych czasów w Niemczech należy niezaprzeczenie Teodor Kerner. Niedługo dźwięczały struny jego *liry*, gdyż na *oręż* ją zamienił; ale mu niczém niezatarte, powszechne i najwyższe zjednały współczucie i uwielbienie. Ów zapał niezrównany do wszystkiego co jest piękném i wielkiém, ta wrząca miłość ojczyzny i gorąca żądza wybawienia jéj zpod jarzma Francuzów, silny w każdém czującém sercu odgłos znalazły.

Wszędzie, nietylko na ziemi swojéj, lecz i w Anglii, Francyi, Szwecyi, szeroko głoszono sławę młodego wieszcza; wszakżeż i nam imię jego nie jest obcém, a silniéj jeszcze oddźwięczyłoby się w sercach naszych, gdybyśmy go bliżéj znali. Niestety, małą tylko cząstkę pieśni Kernera mamy dotąd w polskim przekładzie; a ileżto tam czucia, ile myśli ognistych, i mówiących do duszy!

Utwory Kernera cechuje wdzięk zupełnie jemu tylko właściwy, bo w nich umiał męzką siłę, z niezwykłą słodyczą połączyć, tkliwość i to ciepło kochającego serca, które ogół umiłowało; najkorniejsze uczczenie świętości wieje ożywczo w pieniach jego, bo on w religii najwyższą uważał pocieszycielkę. Cześć religijna odbrzmiéwa we wszystkich utworach jego, a mianowicie téż w *Geistliche Sonnette*.

Toodor Kerner urodził się w Dreznie r. 1791, z ojca, który w wysokim stopniu szacunek współobywateli posiadał, który się zawsze jako mąż pragnący powszechnego dobra odznaczał; i z matki, będącéj ozdobą płci swojéj, wykształconéj, wyższych pojęć i uczuć.

Dziécię w piérwszych latach swoich słabego zdrowia i wątłe, wielu trosk, kochających go rodziców było powodem. Ztąd i większą dnia połowę dozwalano mu na wolném spędzić powietrzu, to w ogrodzie, to na winnicy, w pięknéj okolicy Drezna. A już wtedy umysł chłopczyny nieba sięgał, które mu się tak piękném, jasném i uroczém przedstawiało, i młodziuchną duszą wielbił czary stworzenia wokoło, cudne kwiatki stubarwne, wspaniałe drzewa zielone, i myśli jego jak motylki bujały, i marzenia rodziły się w główce dziecięcéj, jak pączki kwiecia z którego potém młodzieniec gdy się pączki rozwiły, piękny wieniec na ołtarzu ojczyzny swojéj złożył.

W domu rodziców, którzy mu tak rzadkim jaśnieli wzorem, bawiła ciotka, znakomita artystka, dowcipna i rozumna, niekiedy złośliwa i sarkastyczna, pociągająca rozmową swoją, a ztémwszystkiém wybornego serca i niepospolitego charakteru. Nadto siostra Teodora, Emma, o trzy lata od niego starsza, pełna godności niewieściéj, zdolna, wykształcona, posiadająca w wysokim stopniu muzykę i malarstwo. Przejęta głęboką boleścią na widok hańbiącego uciemiężenia, jakiém Francya Niemcy przygniotła; marzycielka przeczuwająca los świetniejszy ukochanych Niemiec, miłująca brata całém sercem. Nakoniec uzupełniła jeszcze to koło, młoda jéj przyjaciółka, istota miła, wesoła, i śpiewająca jak anioł. Nie miałoż więc tak dobrane grono silnie i zbawiennie, na wrażliwy umysł chłopca-poety wpłynąć?

Prócz tego otaczał rodzinę Kernera zawsze wybór najznakomitszych ludzi, mężów stanu, artystów i uczonych. Ojciec jego żył w ścisłéj przyjaźni z Szyllerem, żył z Goethem, a duński poeta Oehlenschlaeger częstym w domu jego był gościem. Wszystko więc sprzyjało rozwinięciu się niepospolitych zdolności Teodora.

Nauki w większéj części pobierał w domu: najcelniejsi professorowie, byli jego nauczycielami; nie przychodziły mu jednakże z łatwością, lecz gdy się jakiemu oddał przedmiotowi, to go zgłębił aż do dna. Szczególniéj zajęło studyum dziejów, historyi naturalnéj, i matematyki. Miał także i wielki talent do muzyki, obiecywał dużo na skrzypcach, ale je późniéj zarzucił czując niezwykły pociąg do gitary; bo z cytrą w ręku, przenosił się w poetyczne czasy trubadurów. Poezya przedewszystkiém jego była bożyszczem; a najuwielbiańszemi przedstawicielami téj córy niebios, Szyller i Goethe. Piérwsze utwory jego, byłyto lekkiéj, wesołéj, a nawet i dowcipnéj treści piosenki.

W roku 1808 udał się Teodor Kerner na akademią górniczą, do Frejbergu, gdzie przez dwa lata zostawał. W czasie lata piérwszego roku, odbył piérwszą naukową podróż w górach szlązkich i Luzacyi. Piękność przyrodzenia okolic szlązkich, wielkie na nim wywarła wrażenie, i odtąd poezye jego więcéj poważny i głęboki poczęły przybierać charakter.

W roku 1810 po skończonym kursie naukowym w Frejbergu wydał piérwsze poezye swoje p. n. *Knospen*. Bawił czas jakiś w Lipsku, następnie w Berlinie, a w sierpniu 1811 roku przybył do Wiednia, polecony przez ojca

swojego, posłowi pruskiemu przy dworze austryackim, Wilchelmowi Humboldt, z którym ojciec jego w przyjaznych był stosunkach.

Tutaj powziął zamiar napisania Tragedyi: *Konradyn*. Lecz nie dopiął tego napotkawszy zbyt wiele przeszkód, ile że życzeniem jego było napisać ją dla sceny. Pierwsze jego teatralne próby, były dwie małe nader ładne komedyjki w alexandrynach: *Die Brant* i *Der grüne Domino* z wielkiém upodobaniem przyjęte. Fraszka *Der Nachtwächter* także wielkie miała powodzenie. Następnie ukazał się dramat w trzech aktach: *Toni* do którego wziął treść z powieści Klejsta; równocześnie z tymże tragedya *Die Sühne*; a nieco późniéj *Zriny*. Publiczność przyjęła przedstawienie owego Leonidasa Węgier z zapałem, wywołano nawet autora, co w Wiedniu zupełnie niezwyczajną było rzeczą. W tym czasie ucieszył go i pochwalny sąd Goetego, za którego pośrednictwem *Die Brant*, *Der grüne Domino*, i *Die Sühne* w Wejmarze, z wielką starannością i upodobaniem przedstawione zostały.

Po *Zriny'm* wydał dramat: *Hedwig* i tragedyę, *Rosamunde* i *Joseph Heiderich*; do piérwszéj wziął treść z historyi angielskiéj, do drugiéj z rzeczywistego zdarzenia. Napisał jeszcze trzy małe komedyjki: *Der Vetter aus Bremen*, *Der Wachtmeister*, *Die Guwernante*; opery: *Die Bergknappen*, *Das Fischermädchen*, *Der nerjährige Posten*, i różne pomniejsze poezye. To wszystko stworzył w ciągu 15 miesięcy, co dowodzi nadzwyczajnéj łatwości wierszowania i fantazyi.

Skutkiem uwielbienia jakie mu te utwory zjednały, a mianowicie téż *Zriny*, został mianowany nadwornym dramatycznym poetą: dochody z téj posady starczyły mu dostatecznie na wygodne utrzymanie. W tym czasie zajaśniało młodemu dramaturgowi i najwyższe szczęście ziemskie: pokochał istotę bogatą pięknością duszy i w powaby ciała, która młodziana, jakoby anioł opiekuńczy, strzegła od zdrożności i zepsucia stolicy. Rodzice pobłogosławili wyborowi jego, i już oznaczono chwilę szczęśliwą, w któréj połączenie kochanków nastąpić miało; gdy rok 1813 dla Niemców zaświtał, a z nim pospołu i zaranie swobody; bo w narodzie duch odżył, i wzdrygnął się, że tak długo narzucone jarzmo francuzkie dźwigał. Szeroko i daleko rozległ się odgłos powstania narodowego.

„Niemcy powstają" napisał Teodor do ojca; „sztuka moja tęskni za ojczyzną swoją, abym jéj godnym został wyznawcą; teraz kiedym poznał, jak wielka szczęśliwość może być udziałem naszym w tém życiu; teraz kiedy mi wszystkie gwiazdy moje, tak czarownym zajaśniały blaskiem, teraz, przysięgam na Boga, najczystsze owładło mnie uczucie; przekonanie niczém niezwalczone, że żadna ofiara nie jest zbyt wielką dla najwyższego dobra, dla swobody swojego ludu. Wielkie epoki wymagają serc wielkich, i czując w sobie dość siły, że potrafię być odłamem skały, w téj wielkiéj zatoce ludów, biegnę w wir wałów spienionych, by im naprzeciw pierś ognistą wystawić. Że życie moje narażę, mniejsza tam o to, ale że je oddaję umajone wszystkiemi kwiatami miłości, przyjaźni i szczęścia, że rzucam błogie przekonanie,

iż wam żadnego niepokoju i obawy nie sprawiam, oto jest ofiara godna tylko tak wielkiego celu i nagrody."

I ojciec jego dzielił święty zapał syna, i pragnął gorąco by kraj jego zrzucił jarzmo francuzkie. A matka płacząc pobłogosławiła drżącą dłonią chlubnym zamiarom ukochanego dziecka.

Piętnastego marca 1813 r., pożegnał Teodor Kerner Wiedeń, przybył do Wrocławia, i zaciągnął się do korpusu, nowo utworzonego przez majora Lutrow tak sławnego późniéj.

Poświęcenie tegoż nastąpiło w wiejskim kościołku, niedaleko miasteczka *Zubten*. Kerner w listach swoich tak o tém wspomina:

„Po odśpiéwaniu pieśni (która była utworu jego) miał ksiądz do nas mowę, przejmującą do głębi duszy i pełną siły. Żadne oko suchém nie pozostało; potém kazał nam przysięgę wykonać, że dla dobra ludzkości, ojczyzny i religii, ani krwi, ani też żadnego dobra szczędzić nie będziemy. Przysięgliśmy. I on upadł na kolana i modlił się o błogosławieństwo dla idących do boju. Przysięgam na wszechmocność Boga, że to była chwila, w któréj pierś każda namaszczeniem śmierci zawrzała, gdzie wszystkie serca bochatérsko uderzały."

Kilka pieśni wojennych napisał w owych chwilach pełnych uniesień z gorejącego serca, młodego wieszcza, które po większéj części zdobią zbiór poezyj jego: *Leyer* und *Schwert*.

W maju został Kerner adjutantem Lutrowa, którego korpus wszędzie gdziekolwiek był czynnym niezwykłém odznaczał się męztwem.

Nastąpiło zawieszenie broni: Lutrow w *Plauen* tę wiadomość odebrał, którą jako urzędową mógł uważać. A nie napotykając nigdzie żadnych przeszkód, chciał się z piechotą oddziału swojego połączyć. Bez najmniejszéj zawady przybył szosą do wioski Kissen pod Lipskiem, gdy na raz jeden ujrzał się przeważną siłą nieprzyjaciół otoczonym. Wysłał Kernera po wiadomość coby to znaczyło; cięcie pałasza powaliło tegoż w drodze, i wśród pomroki wieczornéj rozpoczął się pomiędzy obydwiema stronami bój krwawy.

Po raz drugi jeszcze upadł Kerner ciężko raniony, lecz po chwili zaraz znowu powstał, i wierny koń jego uniósł go w gęstwinę lasu. Zdążający za nim współtowarzysz zawiązywał mu właśnie rany, gdy ujrzał ścigający ich nowy oddział nieprzyjacielski.

— Czwarty szwadron, naprzód! krzyknął Kerner z niezwykłą przytomnością umysłu.

Oddział nieprzyjacielski się zatrzymał, a Kerner zdołał się schronić w głąb lasu.

Ból z ran odebranych począł mu mocno dokuczać; siły go odstępowały, i gorączka z każdą wzmagała się chwilą; już niemal ostatnia ocalenia się zniknęła mu nadzieja. Usnął z wysilenia, a gdy się obudził nad ranem, ujrzał przed sobą dwóch wieśniaków, którzy mu swoję ofiarowali pomoc. Orzeźwili posilnym pokarmem, a potém zaprowadzili wycieńczonego strasznym krwi upływem, manowcami do wsi poblizkiéj *Gross-Zuchocher*.

Niezły chirurg wiejski opatrzył tu rany jego, a poczciwi wieśniacy otoczyli go staraniem, i nie znalazł się zdrajca pomiędzy nimi, któryby go nieprzyjacielowi wydał, chociaż Francuzi śledzili oficera z korpusem Lutrowa, o którym wiedzieli, że ma kassę pułkową przy sobie. Ani groźby, ani obietnica nie trafiły do serc poczciwych.

Z tego ukrycia, napisał Kerner do jednego z przyjaciół swoich w Lipsku Lipsk był wtenczas w ręku Francuzów, i ukrywanie Lutrowskiego oficera, mogło surową za sobą pociągnąć karę. Lecz nie zrażało to przyjaciół jego; jeden z nich miał ogród, do którego z *Gross Zuchocher* albo wodą, albo też mało zwiedzaną można było dostać się ścieszką. Korzystano z téj okoliczności i przewieziono Kernera do miasta. Kassa z nim razem ocalała i zwrócono ją korpusowi po bitwie pod Lipskiem.

Pomoc biegłego chirurga i troskliwość przyjaciół przywróciły mu tak dalece siły, że po dniach pięciu już był w stanie Lipsk opuścić. Udał się do Karlsbadu, ale w drodze niezagojone rany pootwierały się na nowo, i musiał przez dwa tygodnie w domu pani Recke pozostać, która chorego z całą pieczołowitością matki doglądała. Z Karlsbadu pojechał do Berlina, by po skończonym rozejmie, znowu na dawniejszém stanąć miejscu.

Siedmnastego sierpnia rozpoczęły się kroki nieprzyjacielskie, i odtąd już oddział Lutrowa codziennie niemal był w ogniu.

Dwudziestego szóstego sierpnia nad rankiem napisał Kerner w dzienniku swoim ostatnią pieśń: *Das Schwerflied*, a w kilka godzin późniéj był wskróś przeszyty kulą francuzką. Pomoc ludzka była daremną.

Ciało jego pochowano pod rozłożystym dębem nazwanym odtąd *Kerners Eiche* (dąb Kernera) nade drogą pomiędzy Lübelów i Dreikrug, z wszelkiemi oznakami cześci wojskowéj.

Miejsce to wraz z małym obwodem darował książę *Meklemburg-Szwerin*, ojcu poległego wieszcza, otoczono je murem, a grób jego oznacza pomnik z żelaza. Obok niego złożono i zwłoki kochającéj go siostry Emmy, która trawiona głęboką boleścią, po stracie tyle jéj drogiego brata, wkrótce za nim pospieszyła, zdążywszy zaledwie przenieść rysy jego na płótno, i odrysować miejsce gdzie leży. W r. 1831 pochowano pod dębem Kernera i ojca obok ukochanych dzieci.

Żałość współtowarzyszy Kernera, jasno mówiła ile społeczność z zgonem wielbionego straciła śpiewaka. Jeden z nich nazwiskiem *Börenchorst* który najsilniéj tę stratę uczuł, stał w kilka dni późniéj na stanowisku bardzo niebezpiecznem, i rzucając się z całym ogniem entuzyasty w bój krwawy, zawołał: „Twoim torem spieszę Kernerze!" i padł odrazu kilką przeszyty kulami.

Król Ludwik bawarski, ówczesny jeszcze następca tronu, napisał wiérsz na śmierć Kernera, jako też tłumaczenie pieśni jego: Nachruf an Teodor Koerner. Wr. 1824 wyszło w Glazgowie pisemko p. n: *On the life and Writings af Charles Theodor Koerner*. A w r. 1827 wyszły w pięknem wydaniu dwa tomy: *Thelife af Cart Theodor Koerner, written by his Father, With selections af his poems, tales dan*

drames By G. F. Richardson. Niektóre z poezyj jego są w angielskim przekładzie, w dodatku umieszczone. A przekład wiérsza: *Die Wande brenut My deep wound burns* wydrukowano w amerykańskiém piśmie czasowém: Rhode-Island Gazette, 16 listopada 1827.

Ale nietylko Anglicy, którzy pospołu z powstającemi Niemcami w jednéj walczyli sprawie, lecz i Francya uczciła pamięć giermańskiego wieszcza. W *Journal des Debats* umieszczono 21 stycznia 1830 roku znamienitéj wartości artykuł o historyi restauracyi Lacrettelle'a, w którym wspomniano o Kernerze i powstaniu Niemców w roku 1813, na które on szczególniéj wpłynął. Przytoczymy tu mały ustęp.

„Miłość ojczyzny i entuzyazm podniosły gieniusz Kernera; nie byłto Tyrteusz gabinetowy, który przy kominkowym ogniu tworzy swoje piosenki wojenne, ale żołniérz ochotnik w strzelcach czarnych, z podniesioną w górę szablą i strzelbą na plecach. Stanął on w szeregu by ocalić kraj swój i ukarać ciemiężców, poeta i żołniérz, którego gieniusz i odwaga zapalały się przy ogniu bojowym. Wszystko dla niego było poezyą: płomyk z muszkietu, to piérwsza iskierka wolności Niemiec, krew, która zrumieniła pola, to purpura jutrzenki, jutrzenki niemieckiéj wolności. Gdy był rannym i mniemał że już umiéra, tę śmierć za ojczyznę ozdobiły najpiękniejsze obrazy i złudzenia: jego myśl ostatnią, tak jak i tę, która mu towarzyszyła w pełni życia, barwił urok poezyi germańskiéj. Przed oczyma jego snuły się wdzięczne widma, a jęki konających w melodyjne zamieniały się tony. To wszystko o czém śnił, co na dnie serca żyło, to wszystko miał oglądać i posiadać na zawsze; i owa cudność, którą całym żarem młodéj ukochał duszy, któréj raz wolności, to znowu miłości dawał miano, już się unosiła przed nim, jakoby serafin jaśniejący światłością niebiańską.

„Raz jeden jednakże zdawał się Kerner ubolewać nad śmiercią, raz jeden nie wydawała mu się tak piękną i słodką. Znajdował się na stanowisku nad brzegami Elby, i posłyszał trąb odgłos i huk armat. Tamci stawali do boju, a on musiał spokojnie w miejscu pozostać: „jakby jaki celnik strzegący brzegów rzeki," i umrzéć może niewinny, nie śmiercią chwały! „Ach! mamżesz więc tak prozaicznie umiérać? zawołał. Poezyo! o poezyo, prowadź mnie na pole bitwy, i zadaj śmierć wśród jasności dnia (1)!'

I piękną wśród huku dział i bojowego ognia, i pełną poezyi była śmierć Kernera, tak jak piękném kwieciem, ubarwioném i poetyczném było życie jego. Szczęśliwy, otoczony kochającą go rodziną, wzajemnie kochany, uwieńczony koroną z bluszczu, poległ laurami okryty na polu chwały, widząc naród swój wyswobodzonym zpod jarzma Francyi, jakoby zesłaniec nieba spełnił święcie powołanie swoje na ziemi.

(1) Niemal wszystkie te myśli są wyjęte z poezyj Kernera.



ALEXANDER ORŁOWSKI.

ALEXANDER ORŁOWSKI.

Wziętość i sława bardzo często ulegają dziwacznemu losowi; nieraz się zdarza, że człowiek z talentem, młodość w pracy, a wiek dojrzały w pocie czoła przepędza, a przecie nieznany, i jakby szatą nicości pokryty, karmi się gorzką niedolą; gdy tymczasem inni stanąwszy u szczebla zamożności, błogich używają dostatków, wpośród hołdów i wonnych kadzideł, któremi ich zewsząd obdarzają. Do liczby tych szczęśliwych może być policzonym znakomity i prawdziwie gienialny nasz artysta, przed kilką laty zmarły w Petersburgu Alexander Orłowski.

Jeżeli są ludzie, dla których przy desce grobowéj są potrzebne godła wyższości, jeżeli są potrzebne woniejące panegiryki dla nadania świetności ciemnemu ich życiu: to dla Orłowskiego stałyby się one obrazą: prace jego artystyczne, i sława utworami pędzla nabyta, wyższą jest nad wszyskie pochwalne mowy, zwykle garścią złota okupione, trwalszą nad spiże i marmury, jakiemi nadęta próżność, po śmierci zwykła się przyodziewać.

Mało oznajmiony ze szczegółami życia tego artysty, i kolejami losu jakie on przechodził, nie mogę zastanowić się nad temi okolicznościami, które niewątpliwie na wykształcenie jego talentu, i skierowanie myśli w obiorze przedmiotów mocno wpływały, ale pozostawiam tym, co są lepiéj z tém oświadomieni: ja zaś mając z nim osobistą znajomość, i przez lat sześć pobytu mojego w Petersburgu starannie ją utrzymując, miałem zręczność przypatrzéć się wielu jego pracom, sposobowi zatrudniania się, i dlatego postanowiłem te słów kilka o jego talencie napisać, z objaśnieniem krótkiém pojęcia jego

o sztuce, pomysłach estetycznych, a razem o stanowisku jakie sobie obrał; albowiem bardzo często wspólnie z ś. p. Wańkowiczem odwiedzałem go, przepędzając chwile na rozmowie o malarstwie, i artystach.

Urodził się Orłowski w *Nieborowie* w królestwie Polskiém, i Warszawa kolébką była talentu tego znakomitego artysty: mówię znakomitego, sława bowiem utworów jego, była głośniejszą od wielu innych współzawodników. Rossya, Niemcy, Francya, grzmiały odgłosem pochwał, jakiemi prawdziwi znawcy hojnie go obsypywali. Piérwsza jego młodość nie znała dostatków, ani téż błogiej opieki: biédni rodzice, zaledwo byli w stanie dać mu początkowe wychowanie i nauki. W bardzo młodym wieku, posłuszny losowi, i wrodzonéj skłonności do rysunków, udał się do pracowni znakomitego podówczas malarza Norblina, i tam rysując wspólnie z *Rustemem*, w bardzo krótkim czasie pokazał zarody wielkiego w przyszłości talentu, zjednał szczególniejsze swego mistrza względy, i jako wzór pracowitości, oraz szybkich postępów, współtowarzyszom, przez niego był ukazywanym. Zaledwo piętnastoletni młodzieniec, niemający jeszcze ani potrzebnéj rozwagi, ani poznania, niewinna ofiara uniesień, opuścił zacisze pracowni ulubionéj sztuki, a zagrzany wypadkami na jakie duch czasu powiewał, dał się uwieść powabom błyszczącego oręża. Pospieszył między zbrojne hufce, i na polach bitwy postanowił szukać dla siebie wawrzynów sławy. Dziwném jednak losu zrządzeniem, niedługo mu się udało pielęgnować w ręku swoich broń morderczą, a po kilku potyczkach, gdzie pokazał dowody niepospolitéj odwagi, i mężnéj waleczności, ciężko pod *Zegrzem* raniony, powrócił do Warszawy.

Długi czas nieborak męczył się i cierpiał, długi czas leżał na łożu, nim zagoił rany postrzałami zadane, i do zupełnego zdrowia nie przyszedł. Jakkolwiek świetnemi są blizny, na polu walki zaciętéj odniesione, jakkolwiek tryumf odwagi i męztwa zdobi człowieka, ochota jednak do stanu żołnierskiego zupełnie w nim wygasła, i już do niego więcéj nie powrócił, namiętne do sztuki przywiązanie, wzięło górę nad osobistą odwagą, i tryumfami, i pobudziło go do wytrwałości w pracy artystycznéj, długiéj wprawdzie i mozolnéj, ale urokiem powabów, i uczuciem błogiéj przyjemności, sowicie artystę wynagradzającéj.

Po tak smutném doświadczeniu, doznawszy biédy i niewczasów, wytrzymawszy znoje i trudy, niewygody i niedostatki, postanowił w zaciszu domowém na nowo się uczyć, aby kiedyś tworząc dzieła sztuki, mógł się stać korzystnym dla kraju, zjednać sobie dobre imię, a sławę dla ziomków. — Myśl tak piękna i chwalebna, mogąca się wywiązać, jedynie między temi, co w niedoli i w zapasach przeciwnego losu, rodzą się i żyją, statecznie się go trzymała. Niemałą to jest zaletą Orłowskiego, że żyjąc w czasie największego zepsucia jakie się objawiało w warstwach wyższego towarzystwa, kiedy nietylko zamożni bogacze, ale nawet piśmiennictwu oddani, na hulance i biesiadach czas przepędzali: on, młody co do wieku, ale dojrzały w pojęciach, ze wzgardą przypatrywał się téj wyuzdanéj swawoli, bo jak się niżéj poka-

że, ostro chłostał swoją krédką, rozpasanych na bezprawia, i tych co w nierządzie, w bachusowych zapustach gnuśne życie pędzili.

Jednakże jako młody jeszcze, i do krotochwil temu wiekowi właściwych z przyrodzenia nawykły, dał się uwieść na czas krótki, chciał ubawić siebie i drugich, w sposób niewłaściwy plemieniu naszemu, a przez to w sprawiedliwéj u wszystkich ziomków pogardzie. Zjawił się podówczas na ulicach Warszawy jakiś kuglarz, włóczęga z Niemiec, z małpami, pieskami tańcującemi, z bębenkiem i fujarką, a chodząc z domu do domu na dziedzińcach, lub na miejscach gdzie mu łatwiéj było próżniaków i gapiów przywabić, skokami małp i piesków bawił tłuszczę. Postrzegł to Orłowski, i mając jeszcze głowę zbyt młodą, tak upodobał te zabawy, że za wspólnika do tych krotochwil niemieckich przyłączył się, a nawet miał odwagę wsiąść na osiełka, i z bębenkiem w ręku jeżdżąc po ulicach, pomagał uwagę ludu zwracać na te *niemieckie komedye*. Jak długo w tym błędzie zostawał, i tego Niemca był wspólnikiem, nie wiadomo, pewno jednak, że blizko roku, miał takie podług swojéj myśli rozrywki i zapusty, i aż dopiéro wtenczas kiedy go towarzysze, już namową, już wyśmiéwaniem od tak niewłaściwéj drogi, a nawet imię nasze krzywdzącej odprowadzili.

Nie uważał Orłowski tego ustępu w życiu swojém za bardzo naganny, bo kilkakrotnie ołówkiem i piórkiem na papierze swój obraz, siebie na osiołku siedzącego z bębenkiem skréślił, a że był wzrostu słusznego, dziwnie i śmiesznie wyglądał w téj postawie, kiedy mu nogi po ziemi się wlokły. Jeden z takich własnoręcznych obrazów Orłowskiego, niedawno widziałem w zbiorze znakomitego rysownika, i wielbiciela utworów pędzla. Dziwném to jest zjawiskiem dla badacza przyrodę miłującego, wnikać w tajemnice skłonności człowieka. Bo jeżeli przypuścimy, że Orłowski w młodości rannéj osiérocony nie mógł znaleźć w obcéj osobie zacnego i rozsądnego przewodnika, któryby nauki dając, kierował jego umysłem, obrabiał go, i wskazywał najprzyzwoitszą ścieszkę, po któréjby w dalszém życiu miał postępować; to dlaczegóż w późniejszych latach, a nawet i w starości, tojest wtenczas, kiedy powaga i rozsądek zwykle najdobitniéj w czynnościach objawia się, Orłowski przy dziwactwie i śmieszności na zawsze pozostał, tak, że z nim trudno było rozmowę przyzwoicie prowadzić, gdzieby on albo bujnego dowcipu, albo téż wielce grubéj śmieszności nie wrzucił. Tam tylko *serio* rozprawiał, gdzie mógł obficie i do syta swój talent i swoję doskonałość wychwalać, poniżając i gardząc innymi artystami, jakoby niegodnymi zawiązać rzemyka u jego obuwia, lubo za prawdę mówiąc, wielu z nich i nie rozumiał. Ale jak zwykle na świecie bywa, zbytnia miłość własna zawsze jest ślepą, i prócz siebie, nic więcéj nie widzi: dlatego téż Orłowski z zuchwałością sobie właściwą, lekceważył wszystkich innych, a nawet i o samym *Wernecie* wcale niekorzystnie się odzywał, mówiąc, że konie jego nie są naturalne, i jak panna usznurowana wyglądają.

Kiedy już po zagojeniu blizn odzyskał pierwotne zdrowie, kiedy po tak nieszczęśliwéj spółce z Niemcem kuglarzem, przyszedł do upamiętania się,

wrócił do dawnéj pracowni swojego mistrza. Ten go najchętniéj i z rodzicielską miłością przyjął do orszaku swych uczniów, a nieszczęściami przygniecionego i doświadczonego tak upodobał, tak pokochał, iż na równi ze swojemi dziećmi domowe wygody mu ofiarował. Odtąd zaspokojony we wszystkiém, i już nie myśląc o własném utrzymaniu się, z niesłychaną ochotą jął się do pracy, i w bardzo krótkim czasie, wielu swoich rówieników przewyższył.

W samym początku pobiéranych nauk, odkryła się w nim ochota do rodzaju karykatur. Szczególniejsza wesołość i żywość temperamentu w pożyciu ze swymi towarzyszami, i właściwe młodemu wiekowi dowcipne ucinki, kierowały jego skłonnościami. Lubił kréślić dziwne i do śmiechu pobudzające figury, a udarowany od przyrody dobrą pamięcią, z zadziwiającą łatwością rysował z samego tylko zapatrzenia się, podobieństwo osób znajomych. Niekiedy dość mu było raz rzucić okiem, aby za powrotem do mieszkania, najpodobniejszy skréślić portret, a to nietylko chwytając rysy twarzy, ale nawet całą postawę, bo nieraz i tyłem stojącego, jak dwie krople wody, podobnym mógł zrobić. Rzadko ten dar chwytania podobieństwa, a nie każdemu artyście właściwy, odpowiadał wesołym chwilom i krotochwilnéj młodości; to pomagało do trafnego robienia portretów, i uławiało wstęp do domów, gdzie albo żądano od niego jakiéjś roboty, albo dawania lekcyi rysunków; i w rzeczy saméj nic tak nie popularyzuje artystę, jak portrety, choćby nawet bez najmniejszych zalet artystycznych były robione, jak tego nieraz mieliśmy przykłady na kuglarzach, co się do nas z zagranicy przywlekali.

Wielkim wprawdzie był mistrzem *Norblin*, robótki jego olejne, szkicowe, ze smakiem i uczuciem dotykane, wielkiéj wprawy i śmiałości pędzla dowodziły; lecz czyto idąc za duchem szkoły do któréj należał, czy z własnego przekonania przez zapatrywanie się i zastanawianie nad sztuką, mniéj zważał na rzeźbę i posągi starożytne, ale pilnował się saméj tylko natury, i uczniom swoim, jak to na ich robotach widzieć można było, z niéj rysować i onéj się trzymać zalecał.

Zastanawiając się nad tém uważnie, nie możemy potępiać metody, która całkowicie na stronę sztuki przemawia: piękność bowiem okrzyczana Wenery medycejskiéj, Apollina belwederskiego, Laokoonta, piękność tak nazwana *idealna*, o któréj tyle pisano, i za jaką tylu artystów uganiało się, czémże właściwie być może, jeżeli nie samą naturą, albo jaśniéj mówiąc wziętą z natury: bo jeszcze się nie urodził ten, coby mógł pojąć i odmalować coś takiego, czegoby uprzednio w naturze nie widział. Jestto dotykalne niepodobieństwo, i żadnych dowodów niepotrzebujące. *Rafael Sanzio* powziął raz myśl odmalować obraz Galatei z wdziękami twarzy najpiękniejszéj. Długi czas szukał wzorów, z nich się uczył, zawsze jednak był niezadowolony, bo jeszcze nie mógł uzupełnić powziętych w myśli kształtów: na końcu w chwili jakiegoś natchnienia i uniesienia się artystycznego odmalował głowę, podług własnéj idei usnutą; ale na nieszczęście, była ona piękną w oczach Rafaela ale

wielu innym się nie podobała; to co się zdawało być piękném mistrzowi, niekoniecznie musiało być piękném dla innych na to patrzących; jakoż w rzeczy saméj byłto utwór Rafaela dość mierny. Szperanie zatém téj piękności idealnéj, i zaciekanie się głębokie w jéj metafizyce, jest tylko warunkowe: albo pochodzi ze zbytniego entuzyazmu piszących i niektórych artystów, albo téż wypływa wprost z niezrozumienia zasad sztuki.

Ztémwszystkiém zaprzeczyć niepodobna, aby posągi greckie bynajmniéj się nie przyczyniały do uczucia i rozpoznania piękności; owszem, tego jesteśmy zdania, kiedy bezprzerywne rysowanie z natury, nie będzie prostowane wyborową pięknością marmurów i gipsów, może uledz wielu zboczeniom, opacznym pomysłom, i tym koszlawym błędom, jakie najwyraźniéj dają się widzieć na dziełach mistrzów szkoły flamandzkiéj, pomimo wszelką rozmaitość, w jakiéj się nam pokazuje natura; wszelako i tym uroku piękności odmówić nie można. Same nawet karykatury, w których tak świetnie celował Orłowski, pokazując najohydniejsze kalectwa i przełomy, jeżeli tylko są po mistrzowsku wykonane, mają na sobie piętno idealnéj piękności, bo się podobają, bo kalecwo tego rodzaju, nie można uważać za wadę rysunku: ale robią się one z umysłu, i jakkolwiek śmiesznemi, czy wstrętliwemi pokazują się, zawsze jednak ze względu na wykonanie, jako téż myśl i dowcip, wielkiego są znaczenia w sztuce malarskiéj. Wielka wprawdzie zachodzi różnica między stylem historycznym, gdzie *pathos* musi koniecznie być najpiérwszą zasadą i zaletą, a karykaturą, w któréj śmieszność z dodaniem niekiedy żółci, ma wiele poezyi, i wdzięku. Wirgiliusz i Juwenalis pokazują różnicę piśmienną.

Kiedy Orłowski już się otrząsł z kurzawy szkolnéj; kiedy się dobrze oznajomił z początkowemi zasadami sztuki, i umocnił się w rysunku; kiedy swobodną ręką i śmiałemi rzutami, mógł podług własnych urojeń, wszystko, co się podoba kreślić, przystąpił do barw wodnych, i pilnie nad akwarellą siedział. Nie jestto wprawdzie rodzaj, któryby mógł przyjąć wysoką doskonałość; i wielcy mistrzowie zwykli pospolicie swoje piérwsze myśli tym sposobem na papiér rzucać; ale do traktowania scen życia potocznego, albo przygód z kilku figur złożonych jest najdogodniejszym, wszelako obok tego, wymaga mocy talentu, pewności rysunku i śmiałości.

Należy oddać sprawiedliwość Orłowskiemu, że w tym rodzaju on nabył niesłychanéj wprawy, i nietylko rysunki małego wymiaru, ale nawet większe z lekkością i łatwością podziwienia godną wykonywał. Gwaszowy rodzaj (klejowemi farbami) mniéj go zajmował, a lubo rzeczywiście jest łatwiejszym od poprzedzającego, przez to jednak, że nietrwały, i tylko do samych widoków mogący się zastosować, niewiele mu się podobał, i mało w nim się ćwiczył. Po trzech latach usilnéj pracy doszedł Orłowski tego stopnia biegłości, że mógł się obejść bez przewodnika, i już imieniem artysty poszczycić się. Umyślił przeto opuścić rodzinne progi, a rzucić się w świat, świat tak obszerny, tak ponętny, i tam szukać dla siebie losu, i szczęścia. Ale czegoż to sobie nie wymarzy młodego artysty wyo-

braźnia, który czuje, i jest najściśléj przekonany, że talent tylko jeden, mocen jest doprowadzić człowieka do najwyższego szczytu sławy, jako klucz otwierający podwoje świata, i nadający prawo do wyższości, jakiéj ani bogactwa, ani téż urodzenie nie zdołają przyćmić? Czego to sobie nie wyroi głowa namiętnie do sztuki i do natury przywiązana? Jakich nie wypielęgnuje myśli, coby krążąc w sferze jego pracowni malarskiéj, kiedyś urzeczywistnione, wpłynęły do téj ogólnéj i świętéj sprawy, sprawy dobra powszechnego? Ten co nie jest artystą, nie jest poetą słowa i życia, ten nie jest w stanie uczuć nawet lekkiego ciepła tego ognia, który pali wnętrzności artysty, jego duszę. Żarząca się wyobraźnia jego, za najmniejszym bodźcem w ruch wprawiona, w bezprzerywnéj pracy uczenia się z natury, w przeskokach swych z pomysłów w pomysły, nabiéra z czasem odrębnych własności i barw, z któremi się przenosi poza krańce świata rzeczywistego, i tam dopiéro, jak w swoim żywiole, nurzając się w myślach, z których wątku do swych dzieł szuka, tworzy właściwe sobie obrazy. I cóż dziwnego, że dla takiego artysty świat okaże się zwyczajném mrowiskiem, gdzie każdy z własnym interesem na plecach, przełazi przez plecy drugiego? cóż dziwnego, że to wszystko, co powszechnie nazywamy cnotą, wyda się mu kuglarstwem, najdroższe nawet uczucia przyjaźni i miłości wierutném szalbierstwem? Lecz któż to jest ten artysta i poeta? Czy nie ten, co za garść złota napisze dźwięcznie rymowaną odę? za umówioną nagrodę kogoś odmaluje? Najemny wyrobnik, co przedaje talent, pióro i sumienie, nigdy nie podniesie umysłu, aby uczuć godność swego powołania; pieniądz jest jego celem, a klamka i przedpokój drogą osiągnienia. Prawdziwy artysta siedzi tam gdzieś na poddaszu, o kawałku chleba z wodą; utrzymuje ciało, aby żywić ducha; maluje, pracuje, nie wiedząc i nie troszcząc się bynajmniéj, czy da Bóg, i co da na dzień jutrzejszy! czy kto kupi jego pracę czy nie?

Pełen ognia Orłowski, a jak zwykle każdy młody, jeszcze pełniejszy w nadzieje, nasamprzód zwrócił swe oczy na Litwę. Litwa zdawała mu się *Eldorado*; snuło mu się w myślach, że tam znajdzie przynajmniéj okruchy tych cnót, i przymiotów, jakiemi przed laty możni panowie słynęli, rozumiał, że będzie drugim *Jazonem*, i talent jego piaskiem złotym tam zasypią! Nie bierzmy za złe i nie potępiajmy Orłowskiego, że będąc w niedostatku, w prostocie ducha, chciał szukać poprawy losu swojego na dworach znakomitych obywateli; bo zaprawdę, komuż ławiéj jest wspiérać talenta, kiedy nie tym co się urodzili w dostatkach, i one potomkom we dwójnasób przekazują! Albo ż ten co przy hojném życiu, marnując fortunę na rzeczy jałowe i sprosne, nie mógłby dać lekkiéj ofiary z chlubą dla siebie i zaszczytem dla kraju. Nadzieja tą razą zawiodła Orłowskiego widoki, i napróżno szedł w zapasy z przesądami i obojętnością, o które wszystkie jego marzenia, jakby o twardą rozbiły się opokę.

Orłowski wziąwszy pędzelek i krédę, jako rękojmię swojego losu i szczęścia wyruszył na Litwę, i tam przenosząc się z miejsca na miejsce, od

domu do domu, zmieniając siedziby bez ogrzania się, po upływie niespełna dwóch lat powrócił do Warszawy. Pobyt ten na Litwie przykre zrobił wrażenie na umyśle Orłowskiego; zapytywany nieraz od swoich współtowarzyszów, albo milczeniem zbywał, albo czasami dość gorzkiemi słowy swoje przyjęcie malował. Można było przewidzieć, że Orłowski czując wyższość swojego powołania, i świetność talentu, nie zechce skłonić czoła przed skarbami złota, bo ten co jest stworzonym do wcielania słowa i czynu, co ogniem Prometeusza przeléwa życie na płótno lub marmur, ten się nie poniży do tego stopnia, aby miał kadzić wypłowiałym zasługom.

Po powrocie do Warszawy, zajął się dawaniem lekcyj rysunków, i choć doznane przeciwności na Litwie mogłyby niejednego zrazić, zmienić dobre myśli; Orłowski bynajmniéj tém nieporuszony, zawsze wesół, pełen żartów i swawoli, rysował ciągle karykatury. Bardzo często, przypominając swoje wyprawy wojenne, lubił kreślić *stójki* i *leże* żołnierzy, w rozmaite grupy ułożonych, na koniach i pieszo, dniem i nocą.

Przyozdabiał te grupy ślicznemi widokami i dowcipnemi dodatkami, zwłaszcza na przednich planach; zawsze jednak miał wzgląd na miejsce odbywającéj się sceny, któremu nadawał charakter właściwy tak, iż nie patrząc nawet na figury, widzieć można było, że przygoda odbywa się na naszych polach. Dwie kopie z podobnego rodzaju akwarelli widziałem w zbiorze pana Wójcickiego, a choć przez miernego artystę wykonane, można jednak domyśléć się o cudnéj piękności oryginałów, bo lekkie uchybienia, i czasami niedokładne położenie krések, nie zmieni całego układu grupy, i ogólnéj kompozycyi. Jeden i drugi rysunek noc przedstawia, światło zaś misternie ukryte, i tylko na figury padające, czarowny sprawuje effekt.

W Wilnie dość często można było spotkać się z piórkowemi robotami tego artysty, i przypominam sobie jak proffessor *Saunders*, wykładając estetykę, i historyę sztuki w uniwersytecie, pokazywał uczniom kilka mistrzowskich jego robót, unosząc się nad pięknością, i uchwyceniem natury ze szczerą jéj prostotą. Rysunki te przedstawiały zwyczajnie pijaków, przy kuflu i dzbanie, albo téż sceny szynkowe. Hrabia Walicki wielki niegdyś orędownik i malarstwa i artystów miał sztuk kilkanaście Orłowskiego na papierze gwaszem rzuconych; bylito średniowieczni rycerze w zbrojach stalowych, od niechcenia draperyą przykryci, w rodzaju *Salwatora Rozy*. Te jego obrazki musiały być nieco późniéj robione, bo artystyczne dotknięcia, przy najwierniejszém oddaniu właściwéj barwy stali, i gry tamże kolorów, w zachwycenie widza wprawiają. Musiał Orłowski będąc już w Petersburgu robić te obrazki na wezwanie hrabi Walickiego, i z niewątpliwego źródła mnie upewniono, że każdy ten rysunek po złp. 1500 był zapłaconym.

Pobyt Orłowskiego w Warszawie nie był długim. Wynikało to ztąd, że w miarę doskonalenia się swojego, postępów i usilności w pracy, nie odbiérał współczucia ziomków swoich, zwłaszcza w tym czasie, kiedy lada

kuglarz z Włoch, Francyi i Niemiec, hołdy zwykle od naszych panów odbiérał. Uczuł to Orłowski, że mieszkał tu w Warszawie śród kamiennéj obojętności, że ci, co sobie roszczą prawo na mecenasów, bynajmniéj nie zechcą się przyczynić do podniesienia jego talentu. I w rzeczy saméj, czy przyszło na myśl komukolwiek podówczas wysłać Orłowskiego do Włoch i Francyi? nie, i właśnie nic sobie nadal nie obiecując, wyjechał do Petersburga.

Wiedział, że tam jest akademia sztuk pięknych od czasów Katarzyny doborem artystów i professorów słynąca, wiedział, że tam znajdzie jednę z najbogatszych w Europie galeryę Ermitażu: że w smutnéj niemożności uczenia się w Rzymie lub Paryżu, zobaczy tam mistrzów Europy, i ich znakomite dzieła, aby z nich korzystając, swój talent do wyższéj doskonałości mógł doprowadzić. Przyjechał Orłowski do Petersburga, i na tém się nie zawiódł. Uszło to mojéj uwagi, i mocno żałuję, żem nie wybadał Orłowskiego, jakie też było jego pierwiastkowe w téj stolicy powodzenie: miarkując bowiem ze wszystkich okoliczności, tak owoczesnych jako też i za mojéj tam bytności, wnoszę, iż musiał na samym wstępie doznać świetnego przyjęcia. Wiedzieć bowiem trzeba, że panowie rossyjscy osypywali dobrodziejstwy ludzi z talentem; prawie każdy z nich miał swoję galeryę, a niektórzy nawet nadwornych malarzy, którym sowicie płacili, albo też dożywotnie pensye naznaczali.

Szczęśliwym przypadkiem znajdował się podówczas w téj stolicy hrabia Walicki, człowiek bardzo bogaty, a nadewszystko dobrze wykształcony, mający obszerne stosunki, i prawdziwy mecenas oddających się malarstwu, jako też i piśmiennictwu. Prawdziwie nie wiem ktoby z ziomków tyle się poświęcił dla cierpiącéj ludzkości, tyle wspiérał artystów i literatów, i tyle położył zasług w sprawie dobra powszechnego, ile ten mąż. Zdaje się, że Opatrzność wybrała w jego osobie opiekuna, i sypiąc mu bogactwa z jednéj strony, wlała weń uczucia szlachetne, używania tychże bogactw na cele dobroczynne, na ocieranie łez sierotom, na podanie ręki uczącéj się młodzieży, uczonym i artystom, na znakomite i niesłychane w dziejach naszych ofiary dla zakładów naukowych. Wszakże i zbiór kamieni drogich przy uniwersytecie Wileńskim po większéj części z daru tego czcigodnego męża powstał. Z uczuciem do wszystkiego co piękne i wzniosłe, kupował książki, obrazy, ryciny, i tém mieszkanie swoje zdobił; nie meble *rococo*, nie obicia aksamitne ścian, nie cacka, ale oddanie myśli czy to piórem, czy pędzlem, czy ołówkiem, oko i uwagę jego zajmowały; nie złocisty przepych i zbytek na ścianach jego mieszkania świeciły, ale dzieje rodu ludzkiego, dzieje świata widzieć można było. Tam to właśnie każdy człowiek światły ujrzał to, o czém niegdyś czytał; znalazł pokarm dla duszy, a razem doznał tego błogiego uczucia, jakiém się napawają prawdziwie zamiłowani w naukach. Hrabia Walicki był człowiekiem światłym, i po większéj części z ludźmi uczonemi obcował; dwa razy na tydzień dawał obiady, na których znakomici uczeni i artyści zobopólnie bawiąc, o rzeczach naukowych rozprawiali.

Walicki dzielnie się przyłożył do podźwignienia talentu w Orłowskim, i do rozpowszechnienia sławy jego; a wziętość jakiéj przez to dostąpił Orłowski, podniosła go do rzędu najcelniejszych artystów, tak dalece, że sami professorowie akademii sztuk pięknych, wybrali go jednogłośnie na swojego członka, bez żadnéj obcéj pomocy i wpływu.

Lecz kiedy z jednéj strony doznana uczynność i pomoc wielce wpłynęły na polepszenie losu artysty, tak z drugiéj strony, po tymże artyście słusznie wymagaćby należało, aby uczuciem jego, nietylko w postępowaniu z ludźmi w ogólności, ale nawet, a można powiedzieć i najbardziéj w robotach, kierowała najszlachetniejsza, niestety bardzo rzadka dziś cnota wdzięczności. Tu właśnie, z boleścią serca wyznać musimy, że Orłowski niezupełnie odpowiedział głosowi sądu powszechnego, sądu jaki nie jest pisanym w żadnéj księdze praw, ale jest wyrytym na sercu każdego ulubieńca muz, każdego wieszcza, każdego człowieka poczciwego.

Nie piszę tego bynajmniéj, aby przyćmić jego talent świetny, bo sława jego jest wyższą nad moje błahe pochwały, ale jedynie w tym celu, aby ci, co się oddają temu zawodowi artystycznemu, umieli cenić dobrodziejstwa im świadczone; aby wsparcie i opieka nie napełniła goryczą serc tych, co radzi dłoń otwierają, i do pracy w zawodzie obranym zachęcają; aby nietylko ich kroki, co jest rzecz najmniejsza, ale aby każda ich myśl, każdy obraz i obrazek nie rozmijał się z uczuciem wdzięczności, z uczuciem dobra powszechnego. Każdy człowiek ma przywary, ale niewdzięczny ma je wszystkie w sobie. I jeżeli ktoś z ziomków podał mu chętnie prawicę, jaka go na szczebel wysoki i talentu i zamożności postawiła, toć należało, aby przynajmniéj choć jednym obrazkiem uczcić pamięć dobrodziejstwa u nas niesłychanego. Dąsać się na wszystko i wszystkich, z żółcią wszystkich malować, gryźć i kąsać nie jestto ani zaletą, ani też talentem. Najdroższe uczucie przyjaźni poświęcać dla dowcipnego ołówka, nie dowodzi dobrego wychowania, i prędzéj lub późniéj, obudzone sumienie, dni życia goryczą zatruje. Tu miał właśnie wiele sobie do wyrzucenia nasz gienialny Orłowski, i ten jego przykład niech się stanie nauką dla uczącéj się młodzieży, aby w wyborze przedmiotów wielce byli ostrożni, i nigdy się nie rozmijali ze szlachetném uczuciem.

Nie przypominam, gdzie pan Michał Grabowski pisze, zachęcając artystów młodych do obierania przedmiotów na płótno, nie z dziejów krajowych, bo te niby są trudne, ale raczéj z przygód potocznego życia, z wypadków dzisiejszéj społeczności, i to właśnie, co mi się zdaje najtrudniejszém, tak we względzie obyczajowym, jak we względzie myśli, a w któréj nasz Orłowski, nie najchlubniéj się okazał. Bo jeżeli artysta z pędzlem przystępuje do *Stryjkowskiego* lub *Wapowskiego*, to mu dość z uwagą odczytać ustęp, poradzić się i innych kronikarzy, zasięgnąć wiadomości od ludzi z dziejami obeznanych, zawsze przypuszczając, że artysta jest światłym i oczytanym, a wtenczas może śmiało kréślić obrazy, dziejowy wypadek, jaki tém więcéj będzie miał zalet, im więcéj artysta w wydaniu go, rozwinie uczucia i sma-

ku, przy technicznem dokładném obrobieniu. Przeniesie się myślą w owe czasy, kiedy wypadek miał miejsce, obierze stanowisko dla przypatrzenia się osobom działającym, wniknie w każdego, poczuje duszę i czynność, nada każdemu stosowną postawę, choćby trochę z przesadą, poprawnie narysuje, dobrze oświetli, barwnie i kwiecisto to wszystko odda, a może być pewny, że odpowié zagadnieniu, i że mu obraz się uda. Ale z obrazkiem *rodzajowym*, z obrazkiem wystawiającym przygodę żyjącéj społeczności, jakiéj przygodzie myśl koniecznie nadać trzeba, rzecz się ma wcale inaczéj. Tu właśnie porównać można tak licznie się u nas ukazujące powiastki, czy uczciwszy uszy powieści obyczajowe, jedno, dwu, trzy, a nawet i cztero-tomowe, w których po nudnych gawędach, rozmowach, korrespondencyach, po tych czułych westchnieniach, szlochach i płaczach, na rozdziały podzielonych, na końcu wypadnie na sens moralny, czy téż na obrok duchowny, że pan Alfred w swojéj kochance znalazł zazdrosną żonę, a taż żona w Alfredzie znalazła zazdrosnego męża; i czytelnik, musi te tomy odczytać, musi tyle zmitrężyć czasu, aby się w końcu dowiedział, o tak płaskiém rozwiązaniu uknowanych intryg miłości. Miłość brana powszechnie, jeżeli nie za główną sprężynę, to przynajmniéj za nieodzownie potrzebny warunek w powieści przez naszych pisarzy lubo jest rzeczywiście uczuciem starém jak świat, i tak w rozmaitych przygodach objawiająca się, że prawdziwie można w niéj saméj widzieć źródło niewyczerpane do pisania; ale ztémwszystkiém, że miłość jest miłością, jest uczuciem wrodzoném, a zatém zawsze jest jednostajną, i czyż uczucie to tak powszednie, powinno tyle pracy i mozołu pisarzy kosztować, aby koniecznie o niéj kilka tomów napisać? Od najdawniejszych czasów aż do dziś dnia, uczucie to pod piórem i pędzlem znacznie spłowiało.

Są wprawdzie powieści, niby obyczajowe na tle wypadków społeczności dziś żyjącéj osnowane, lub téż już wygasłéj; ale w tych powieściach, oprócz samego nazwania, wcale co innego się święci, pod jakąkolwiekbądź modłę przeprowadza autor myśl, ale myśl, nad wypracowaniem któréj, lata pracował, na wielu miejscach bywał, wiele czytał i jeszcze więcéj myślał; myśl, która się czepi człowieka, jako człowieka, jako lepiankę jednéj i téj saméj gliny, ogniem Prometeusza ożywionéj, jako przyjaciela, jako brata: cel zaś? O nie! ani zazdrość, ani zemsta, ani gniewy; nic powszedniego, nic gminnego. Jest tam coś wyższego, a choćby przez jakieś upodobanie pisarza i śmierć wymuszona była wprowadzoną w téj powieści, to jedynie w ofierze i w sprawie nierównie pojętszéj od miłości, w sprawie do jakiéj uczucie z łona naszych matek z mlékiem wysysamy, i dla jakiéj nie żal jest żyć, nie żal i umiérać. Jeżeli zaś myśl ma być odziana sukienką powieści, jakiemi są nieocenione pisma *Blepońskiego* p. n. *Bzdurstwa obyczajowe;* i często napotykane w Athenaeum krótkie powiastki *Syrokomli*, to téż na równi z piérwszemi mogą się mieścić, a w nich najwierniejsze odbicie obyczajów, skłonności osób na widownię pokazanych, a nadewszystko zdrowy i prawy sąd nietylko o wypadkach ale i o ludziach jedynie w celu poprawy wytknięte, są najpiękniejszą stroną. Tego właśnie wymagam po artystach, aby w swoim zawo-

dzie, jeżeli nie chcą być historykami, to niech będą takiemi jak Blepoński i Syrokomla, pisma bowiem ich, a mianowicie piérwszego są jedyne w swoim rodzaju. Blepoński na pozór zimny, piekielnym ogniem dociera niecnotę, szydzi z powagą z uczonego głupstwa, karci piętnem hańby powstających przeciw powszechnemu sądowi, i tych co się naigrawać chcą z rzeczy najświętszych; słowem przenika najskrytsze tajniki serca, wyjaśnia one, wytyka sromotę, i płaszczem ohydy okrywa targających się na rzeczy jakie czcić i uwielbiać powinni. W pismach Blepońskiego powinni artyści uczyć się jak widzieć mają, i widziane rzeczy malować, a do odmalowania przygód jakieby artyści na płótno przenieść chcieli, to jego Bzdurstwa są cudowne. Dwojakiego rodzaju pisma mają szczególniéj artystów zajmować, albo powieść historyczna jak Rzewuski, Kraszewski, Bujnicki, (Pamiętniki księdza Jordana), albo obyczajowe Blepońskiego i Syrokomli, jako pisarzy, pomimo wielkiego talentu usiłujących w barwie powieściowéj przeprowadzić święte myśli i otwiérać najszlachetniejsze i najzbawienniejsze zagadnienia uczuć człowieka. Pod tym względem znajdzie dla siebie Orłowski obronę w oddaleniu się od miejsca rodzinnego, i przynajmniéj dla satyry, samotność, nadto niedostatek dzieł polskich do czytania w téj stolicy; usunięcie się od towarzystwa ludzi światłych zatamowało mu drogę do ukształcenia się umysłowego, do nabrania tych zasad jakiemi się szczycą ludzie znakomici, do przejęcia się tą słodyczą i uprzejmością, z jaką bliźni bliźniemu przelewa uczucia serca swojego. Pozostał nazawsze odludkiem i jak odludek szorstkim, rubasznym, uszczypliwym, niezbyt kochanym w towarzystwie, a nawet i przy biesiadach, którego butelką zwabiano.

Ten jego charakter i w robotach aż nadto się przebija, nietylko co do myśli prawie zawsze jadem napojonych, ale nawet i co do techniki, co właśnie najbardziéj na to wpłynęło, że żadnéj ważnéj roboty nigdy w życiu nie przedsięwziął. I jak koń stepowy za nic ma bezdroża i przepaście miotany tylko namiętnościami, goni wiatry w polu, tam leci w zawody, gdzie własną zgubę znaleźć może; tak i Orłowski z talentem ślepy na świat go otaczający, na decorum, jakie nim rządzi, piérwszą lepszą posłyszaną gadkę lub plotkę bez zastanowienia się i bez sądu na papiér ołówkiem rzucił, jakby kwaśne bez przeżucia jabłko. Choć prawdę mówiąc, u pisarzy satyrycznych, jako i artystów balsamu pociechy szukać próżno. I czemuż nie można zapytać jakie poważanie mają tego rodzaju obrazki? Jeżeli technika czyli rzemiosło ma być zaletą, toć i obrazki na tabakierkach, filiżankach, tacach, bywają także doskonale robione; tu właśnie Orłowski spotkał się z powieściami bez żadnéj barwy, bez żadnéj myśli i uczucia, krótko mówiąc z nudnemi gawędami, plotkami, powieścią nazwanemi. Jeszcze i to dodać powinienem: jeżeli artyści jako powieściopisarze mają nam przedstawiać obrazki z przygód dzisiejszéj społeczności, aby je przekazać następcom, to niechże chwytają wszystkie przywary i zdrożności, i malując w sposób dowcipny, niech się starają wywierać wpływ na poprawę obyczajów, i jeżeliby się nie udało posunąć naprzód, to przynajmniéj, aby wstrzymali znacznie się cofającą ku cie-

mnocie ludzkość. Brać zaś do malowania wypadki zwyczajne, powszednie, z czego wątek życia indywidualnego najwięcéj się splata, to przyznam się jest rzeczą tak błachą, nizką i poziomą, że o tém nawet i wspomnieć niewarto, a bardziéj nie widzę godném ni pędzla, ni pióra. Ludzie zawsze są ludźmi, mała zaś ilość wybranych dlatego tylko żywi ciało, aby w niém dusza żyć mogła, co dnia jednego nie przeżyje, aby kilka godzin czytaniem dzieł umysłu nie nakarmili; tłuszcze zaś pasibrzuchów, dla których śniadania, wieczerze i tym podobne zmysłowe uciechy jedynym są celem życia, tych pamięć zagrzebać raczéj należy w popiołach kuchennych na wieczny spoczynek, bo tam dla nich miejsce najstosowniejsze.

Wziętość, jakiéj doznał Orłowski w téj stolicy, połechtała jego miłość własną, jął się do obrabiania przedmiotów najbardziéj pod oczy nasuwających się, zaczął studyować naturę indywidualną, chwytać najwierniéj formy, ich charakter, i w krótkim czasie stał się niezrównanym, piérwszym mistrzem w obrazowaniu tego ludu, wśród którego mieszkał. Istotnie lat sześć mieszkając w téj stolicy, oświadomiłem się z historyą sztuki malarskiéj w tym kraju. Do czasów Orłowskiego, jeszcze nie mieli tam malarza, któryby tak dobrze, i z taką prawdą, oddawał przygody życia sielskich mieszkańców. On piérwszy bez żadnéj skazówki, idąc za natchnieniem i skłonnością, obrabiał śliczne obrazki, gdzie albo podchmielona wesołość bojarów, albo zabawy i uciechy wiejskiéj gromady, z niesłychanym talentem, i urokiem czarodziejskiéj sztuki są oddane. Patrzałem na te akwarelle niejednokrotnie, ale przyznam się, że nigdy do sytości napatrzéć się nie mogłem. Bo czyto układ i grupowanie wszystkich figur, czy kompozycya krajobrazu, i akcessoryów, czyto ubiory, kształty wszystkich części ciała, wszystko to cechuje się mistrzostwem, artystycznością, i wyraźnie dowodzi głębokiego wnikania w istotę rzeczy, wszechstronnego rozważania przedmiotu.

Zastanawiając się nad temi jego pracami, które go nic pracy nie kosztowały, poniewolnie wyznać trzeba, że Orłowski był wieszczym malarzem, był on poetą w swoim rodzaju, co nie piórem, ale pędzlem, śpiewał przygody ludu. Słynął wprawdzie nieco późniéj, za moich czasów, także znakomity artysta *Wenecyanów*, ale ten lubo na równi z Orłowskim, wiernie oddawał sielską przyrodę, obiérał jednak wzory do malowania w zaciszu domowém, okazywał na sobie wielkie podobieństwo do *Teniersa*, i poprawnością rysunku, oraz pomysłami, do tego ostatniego się zbliżał.

W którym roku przyjechał do Petersburga Orłowski, dowiedzieć się nie mogłem, to jednak pewna, że jeszcze przed 1810 rokiem, tam na miejscu już miał sławę rozgłoszoną, i najświetniejsze imię. W tym albowiem czasie poseł cesarza Napoleona *Collincourt* postrzegłszy przypadkiem jego roboty, zamówił u niego mnóstwo obrazków, w których obyczaje i zwyczaje tego ludu, miały być główną myślą. Wypadek taki wielce posłużył Orłowskiemu do poszukiwania robót jego przez najpiérwsze w stolicy osoby, i wtenczas to podobno niełatwo można było dostać co od niego, chyba sowicie złotem

opłacając. Natłok roboty wymagający ciągłéj i nużącéj pracy, bynajmniéj zdrowia jego nie osłabiał, zawsze jednak urozmaicał swoje zatrudnienia: najwięcéj malował, często bardzo z gliny lepił figurki, i one sam draperyą przyodziewał: sam robił małego wymiaru kolasy, kibitki, sanie, i tym podobne sprzęty wiejskie, które tylko w swoich obrazach musiał naśladować. Miał przytém szczególniejsze upodobanie w starożytnościach krajowych, i ogromny zbiór tych osobliwości, nawet bardzo kosztownych, stanowił śliczny i rzadki w swoim rodzaju gabinet. Mnóstwo tam było puharów, tac, czasz, rzeźby z drzewa i kości słoniowéj, zbroi polskich, i ludów kaukazu, łuki i strzały kałmuków, i tysiące innych ciekawości, które przeszło 600,000 złp. przez znawców ceniono. Jak dziś pamiętam główkę dziecięcia z drzewa ciemnego rzniętą, za szkłem osadzoną. Pająk wlazł na czoło chłopczynie: przestrach i płacz nigdy być nie może lepiéj oddanym, jak w téj główce.

Pod tę właśnie porę, kiedy Orłowski tak obficie malował swoje obrazki, *Senefelder* wynalazkiem litograficznym, podał sposób artystom rozmnożenia pierwotworów. Poszło to bardzo na rękę Orłowskiemu, bo umiejąc władać krédką, pracę swoję w tysiąc razy mógł upowszechnić. Brał zatém kamienie od *Beggrowa*, dobrze oznajomionego z tajemnicami przyprawy, rysował feldjegrów w kibitkach, saniach, trójką lub parą koni jadących, rozmaitych podróżnych, w mieście targi wiktuałów, rozwożących drzewo i inne ciężary: na wsi pląsy i skoki włościan, huśtawki i skakania na desce: Persów, Czerkiesów, Kałmuków, Baszkierów na koniu. Przypominam jego trójkę pijanych, co za ręce z sobą się pobrawszy, nie idą, ale się potaczają; nic śmiészniejszego nad to w swoim rodzaju! Osowiałe oczy, uśmiéch na ustach, bezwładność członków, niezgrabność stąpania; jeden z nich zgubił rękawicę, drugi swój kapelusz, lekko rzucone, z uczuciem dotknięte, cudnéj piękności daje obrazek. Wszystkie jego rysunki pomimo znaczną liczbę egzemplarzy, już zupełnie z handlu wyszły, i dziś do rzadkości się liczą. Niektórych starano się zrobić kontrfakcye, ale je oko znawcy łatwo poznać może.

Petersburska akademia sztuk pięknych, mieści w galeryi swojéj obraz olejny Orłowskiego, dość wielkiego rozmiaru, wyobrażający tabor kozaków, na wozach, koniach, w przechodzie przez okolicę lesistą: koloryt w téj robocie, tak jak i we wszystkich akwarellach, zimny, w siny wpadający, zawsze jednak sposób malowania szeroki, pełnym pędzlem odrazu farby kładzione, ściany świateł i cieniów szerokie, na drzewach liście z wyszukaniem i dowcipem rzucane, ziemia trawą, krzewami, zaroślami, kamieniami i wodą upstrzona, wielkiego mistrza dowodzą: jakoż w nagrodę téj jego pracy, na posiedzeniu professorów, został uznanym za członka honorowego téjże akademii. Zblizka na tę robotę patrząc, zdaje się ona jakby niewykończona, tak miejscami chropawo i grubo farby nałożone: w oddaleniu jednak przyzwoitém, tak jak każdy obraz musi być widzianym, wszystka ta szorstkość pędzla niknie, sam tylko efekt najpiękniéj się wydaje.

Bitwy i utarczki, które stanowią podrzędny rodzaj malowania historycznego, były malowane przez udzielnie temu poświęcających się artystów, zawsze jednak, ile widzieć mi się zdarzyło po galeryach, były one traktowane artystycznie, więcéj dbano o pomysł, fantazyę i poezyę, bez natężonego względu na prawdę. Znajome obrazy *Lebruna* z wypraw Alexandra Wielkiego, o jakich z rycin pięknie wykonanych sądzić możemy, należą bez wątpienia do najcelniejszych tworów sztuki i poezyi. Tu i nagość ciała chciwie malowana przez artystów (którzy odbyli szkołę i znają rysunek) i zbroje, i rzuty szat, kompozycya w układzie grupp, pokaleczeni, pobici, umiérający, wszystko to z urokiem i poezyą, na jaką tylko zdobyć się może artysty wyobraźnia, jest oddane, a pomimo wielkości swojéj, bynajmniéj nie tracą, ani na zagmatwaniu, ani téż zgłębianiu się oddalenia. Flamandczycy zaś mieli upodobanie traktować te same przedmioty w małych rozmiarach, i utarczki ich z niezbyt licznéj drużyny składające się, po większéj części żołdactwa niemającego określonéj barwy i fantastycznie odzianych, miłe dla oka przedstawiają obrazki: więcéj one mają podobieństwa do napadów rozbójniczych, gromady na gromadę, i tych hord, jakie przed laty w czasie kwitnącego feudalizmu w państwach ościennych, jedyném były zajęciem się udzielnych władców, nad kilką stajami ziemi, a na niéj jakiegoś zamku, z ostremi wieżyczkami, i zwodzonym mostem. W tego rodzaju pracach starali się artyści, oddać jedynie tylko obraz wojny lub rzezi, z całém ich okrucieństwem: oddawali zaś prawdziwie po mistrzowsku, cała bowiem ich zaleta w tém się zawiéra, iż rozrobienie pędzla dotknięciami pokryte, i odrazu z największą pewnością barwy kładzione były wprawną, i pewnego rysunku ręką. W taki sposób malowano aż do czasów, kiedy znakomity wódz Francyi, pędząc życie obozowe, wzniósł sławę oręża swojego, w świetnych wyprawach i podbojach. Wątpię, aby nadworny jego malarz *Dawid* choć raz poświęcił pędzel jakiéjkolwiek rzezi, bo oprócz portretu Napoleona wskakującego konno na górę Śgo Gotarda, zawsze malował sceny spokojne, brane w uroczystościach obrzędów życia, któremi się przeplata panowanie tak gienialnego żołnierza. Uczniowie dopiéro jego, a między innemi *Gros* i *Gérard*, jakkolwiek surowością praw artystycznych krępowani, bardzo wiele namalowali scen, w których odwaga i męztwo waleczne tak żołnierza jak i wodza, na polach, przy zdobywaniu warowni, świetnie się pokazywały. Jednak żaden z nich nie doszedł w podobnym rodzaju tego stopnia doskonałości, i tego przejęcia się, że tak powiem, rzemiosłem wojny, jak dzisiejszy Vernet, którego sprawiedliwie uważają za jedynego illustratora historyi Napoleona.

Nie namaluje Vernet wejście Henryka IV do Paryża, jak to oddał *Gérard*, ale za to i *Gérard* nie wykonałby z taką prawdą, i takiém objęciem rzeczy, żadnéj bitwy Napoleona jak *Vernet*. Tamten wykarmiony na wzorach starożytnych, zaprawiony historyą grecką i rzymską, i kapelusz Napoleona starałby się oddać, według form starożytnego stylu, kiedy przeciwnie *Vernet* w oddaniu najdrobniejszych szczegółów, nawet w ruchach i stąpaniu bo-

haterów zpod *Austerlitz* i *Jena*, okazał się niezrównanym Nie wiem, czy był Vernet żołnierzem, i czy kiedykolwiek w ogniu się znajdował, wszystkie zaś utwory jego powszechnie nas zachwycają. Nieraz słyszéć się dało, że tylko ten, co sam z orężem w ręku walczył, może należycie bojowe obrazy malować: jestto naszém zdaniem sofizmat nieuków, którzy brak nauki i znajomości rysunku chcą tym jednym warunkiem, jakby tarczą bezpieczeństwa, od pocisków krytyki, i swoję nieumiejętność, i siebie samych osłonić. Można być najlepszym dowódzcą i żołnierzem, a ztémwszystkiém nędznym malarzem, jak i przeciwnie, najlepszy malarz, wielkim być może tchórzem, i najgorszym żołnierzem: sąto dwie odrębne rzeczy niemające żadnego wpływu jedna na drugą. Orłowski przecież walczył i bił się, i w gorącym musiał być ogniu, kiedy postrzelony karabinową kulą, długiém cierpieniem przypłacił swoję odwagę: w traktowaniu jednak utarczek był niesłychanie ostrożnym i wstrzemięźliwym. Czuł bowiem, i rozumiał sztukę, aż nadto dobrze pojął, że do odmalowania zaciętości boju z ofiarą własnego życia, dość kilku, kilkunastu figur: niepotrzebne są tam wcale nieprzeliczone tłumy, szeregi ruszające się w liniach prostych, właściwe tylko planom inżynierów. I dlatego właśnie obrazki bojowe Orłowskiego są napiętnowane najwyższą poezyą, i artystycznością, oddanie myśli i sztuki są największemi ich zaletami, i prawdziwego znawcę, do niewypowiedzenia zachwycają. Mało on w tym rodzaju pracował, wiedział że to rzecz wyczerpana, a przez częste powtarzanie ckliwością widzów nabawia, tyle tylko może nas zajmować, ile ręką prawdziwego mistrza są na płótnie rzucone. Miałem w ręku około pięciu obrazków zaczepek wojennych Orłowskiego tuszem i pędzlem na papierze rzuconych, z wypadków księztwa Warszawskiego, młodą jeszcze i niewprawną ręką skreślonych, zawsze jednak pojęcie sztuki i dążność do należytego oddania artystyczności, najwyraźniéj się malują.

Żołniérz austryacki miał w Orłowskim najzaciętszego nieprzyjaciela, samem widział w zbiorze p. Konarskiego dwanaście karykatur niewypowiedzianie śmiesznych, wydrwiwających to żołdactwo.

Dziwna rzecz jednak, że olejném malowaniem bardzo mało się trudnił, a choć wiedział, że ten rodzaj jest trwalszym i wyższym, wszelako namiętnie do akwarelli i krédki przylgnął, a niekiedy szarą i czerwoną krédą, najcudowniejsze głowy kolorowe z papiéru wydobywał. Mnóstwo takich głów i innych rysunków miała hrabini Choiseul, późniéj generałowa *Bachmetiew* w Kamieńcu Podolskim, która nietylko sama rysowała, ale nawet orędownictwem nad artystami, wielce słynęła. *Rustem* professor uniwersytetu wileńskiego był w ciągłéj z nią korrespondencyi, i zawsze szkice swoje do Kamieńca jej przesyłał.

Był Orłowski wzrostu słusznego, budowy ciała atletycznéj, zdrowie przytém miał czerstwe: ani praca, ani biesiady na jakie od swoich wielbicieli często bywał wzywanym, w niczém go nie nadwerężyły. Wesoły, żartobliwy, i pełen dowcipnych ucinków, stawał się niekiedy dla mniéj bacznych uszczypliwym, w obcowaniu nawet z poufałymi i przyjaciołmi trochę był szorstkim

i rubasznym. Mieszkał w oficynie *marmurowego pałacu* wielkiego księcia Konstantego jako nadworny malarz, gdzieśmy go bardzo często wspólnie z ś. p. Wańkowiczem odwiedzali: niekiedy i nam bardzo także dopiekał, nigdy jednak należnéj mu czci nie odmówiliśmy. Niekiedy przebijało się w nim dziwactwo, najbardziéj zaś w chętce ubiérania się po muzułmańsku z ciągłemi odmianami: i tak w jednym tygodniu przez wszystkie dni w pokoju był ubrany jak Pers, w drugim jak Czerkies, Gruziniec i t. p. Niesłychanie wielką miał siłę w rękach: naocznym byłem świadkiem jak ująwszy ręką za koniec sztaby żelaznéj, jedném machnięciem w powietrzu, zgiął ją pod kątem prostym, ująwszy za drugi koniec, podobném machnięciem zgiął w przeciwną stronę tak, że ona literę *Z* przedstawiała; niedość na tém, też samą sztabę około palca wielkiego ręki lewéj, prawą tak skręcił, że miała postać świdra, czyli wióra stolarskiego. Dwóch ludzi niższych od siebie wzrostem, ująwszy każdego z osobna za kołniérz, mógł jak chciał w powietrzu miotać bez najmniejszego sił natężenia. Nierad kogo odwiedzał, i chyba biesiada lub uczta solenna mogła go zwabić, na któréj podweselony, miał zwyczaj talentem swoim popisywać się, i rysując karykatury z osób przytomnych w sposób śmieszny i dowcipny, wielce się przyczyniał do uweselenia biesiadujących gości. Za prawdę mówiąc, dowcip satyryczny jego niekiedy bywał ostrzejszym od *Hogarta:* biada komu chciał dopiec, bo poruszywszy zasób artystycznéj żółci, tak odrysował, że nieraz i z przyjaźnią był pokwitowanym. Rysunek *kociego* koncertu był podobno przyczyną zerwania wszelkich stosunków ze znakomitym malarzem *Oleszkiewiczem,* który jednocześnie bawiąc w Petersburgu, był dość z nim w początkach zbliżonym. Docinał on niejednemu, ale nigdy nie miał zamiaru szkodzić, nigdy brudna nim zemsta nie powodowała; ale wydrwić, wyśmiać, aby się tylko ubawić, było jedyną uciechą i słabością. Kto może pojąć satyrycznego pisarza, kto czuje, coto jest nieskrępowana, i niczém niepokonana żądza wypisania się, ten nigdy nie weźmie za złe Orłowskiemu, téj jego ostrości wyrażeń obrazkowych.

Mówiliśmy dotąd o jego pracach, jakie i w jakich chwilach swojego życia wykonał: teraz zastanówmy się nad jego pojęciem estetyczném i stanowisku artystyczném, jakie sobie obrał.

Wątpliwości nie ulega, że Orłowski był udarowany ogromnym talentem; wychowanie jakie odebrał, i odbyte nauki pod dozorem *Norblina,* otworzyły mu oczy do poznania i wnikania w sztukę, a wyszedłszy z pracowni, oddając się studyom, bez żadnéj obcéj porady, nie trzymając się żadnéj obcéj szkoły, żadnych mistrzów, żadnych wzorów prócz natury, wyrobił sobie szczególny tryb, jakieś odrębne piętno, któremi jego robota różniła się od wszystkich mi dotąd znajomych artystów. Twórczość ta jego, i w technice i w pomysłach dowodzi gienialnego rozumienia sztuki, bo nie chciał iść drogą już ubitą przez sławnych artystów, ale wolał szukać, szpérać, błąkać się manowcami, byleby tylko samoistnie odznaczyć się, byleby nadać robocie smak i uczucie z własnych pomysłów wydobyte. Z tak potężnym talentem, i z tak bujną wyobraźnią, nie dziw, że Orłowski pędzlem, krédką i piórem na pa-

pierze, cudów dokazywał, i w rzeczy saméj, o każdéj jego robocie, o każdém jego świstku na jakim kilka kresek rzuconych było, inaczéj powiedzieć nie można, jak że są cudnie piękne. Istotnie, myśl i rzemiosło, piérwsze i główne zasady sztuki rysunkowéj, w całéj obszerności potrafił Orłowski rozwinąć w swoich robotach; lekkość i swoboda ręki, smak i uczucie w dotknięciach, przerywanie krések, zalanie miejscami cieniów, gdzieniegdzie pociągi fantastyczne, nadanie kolorytu, a przy tém wszystkiém niesłychana łatwość i szybkość wykonania, postawiły go w rzędzie piérwszych europejskich artystów.

Gdyby Orłowski jakimś szczególnym trafem, nie był opuścił ziemi rodzinnéj i w kraju własnym pozostał, gdyby nie doświadczył obojętności tych, od których współczucia spodziéwać się miał prawo, i jako rzadki talent doznał opieki możnych, był otulony skrzydłami dobroczynnéj fortuny, mielibyśmy w nim obrazowego kronikarza, mielibyśmy, sto, dwieście, świetnych wypadków dziejowych, jakie dotąd napróżno z kronik Miechowity, Kadłubka, Stryjkowskiego, Bielskiego wyglądają mistrzowskiéj ręki; wszakże oprócz kilku szkiców Smuglewicza co piérwszy u nas wpadł na myśl szczęśliwą objaśnić, i obrazkami upowszechnić historyczne podania, nic porządnego w tym względzie nie mamy, całkowity zaś zbiór Smuglewicza, nie może się porównać do kropli wody w morzu, stosownie do ilości wypadków w dziejach przeszłości naszéj. Gdy przed trzydziestą laty, sędziwy wieszcz ujáwszy lutnię, odśpiéwał kilka rapsodów, nie mógł jednak znaleźć człowieka, któryby krédką je ozdobił, a to wszystko cośmy widzieli gdzieś za granicą, bez smaku, bez uczucia, niezgrabnie rytowane, bardziéj oszpeca, aniżeli ozdoby dodaje. Mielibyśmy od jednego Orłowskiego galeryę rodzinną, jakiéj dotąd nam nie staje, i nie wiem czy prędko mieć będziemy.

Orłowski jak roślina przeniesiona na obcą ziemię, pod obcém niebem, i obcemi karmiąc się sokami, zupełnie inne wydał owoce. Przylgnął on duszą i ciałem do nowo przybranéj siedziby, uczył się starannie natury tamecznéj, i tych indywidualnych typów, jakiemi się od innych różni. Dokazał swojego w krótkim czasie, bo jako piérwszy w Rossyi malarz, poznajomił wszystkich z obyczajami, sposobem życia, zabawami tego ludu, wśród którego mieszkał, w sposób prawdziwie mistrzowski, gienialny, piérwszym Europy artystom właściwy. Nie wiem kogo dziś po *Wenecyanowie* mają, to jednak pewna, że Orłowski w historyi sztuki jako malarz zwyczajów ludu, piérwsze zajmuje miejsce. Obaczmyż teraz jak on traktował rodzinne przygody.

Nietrzeba się pytać, co ma za widoki pisarz lub artysta; pióro zawsze odkryje sposób myślenia i dążność autora, jak krédka i pędzel artysty. Nie wchodźmy kiedy i jak szedł Orłowski w zapasy z przeciwnościami, jak walczył z obojętnością. To pewna, że żółć i skłonność wyszydzania tlały w jego umyśle od saméj młodości: nie było gadki, nie było wypadku, nie było jakiegoś żartu, któregoby nie podchwycił ze strony śmiesznéj, i na papiérze nie oddał. Jak niegdyś *Opaliński* na wszystko okiem i sercem rozjątrzoném patrzał, wszystko złém widział, tak i Or-

łowski uchwycił się jedynie za przywary ludzkie, może tylko na kilku indywiduach postrzeżone, i te, jakoby ogólne przywary narodu ciągle przedstawiał, bez przyzwoitéj oględności, że tém dąży do przyćmienia świętości nietykalnéj, jaka bezwzględnie wszędzie powinna być szanowaną.

Rzućmy tylko okiem na te rysunki, gdzie starców z podgoloną czupryną, w kontuszach i żupanach zwykł malować, oto wypasłe potwory z wypukłemi i czerwonemi policzkami, z ogromnemi rubinowemi nosami, na których porastają sine grzyby od pijaństwa, karki fałdziste jak u zwierząt, brzuchy jak beczki wydęte, z kuflami w rękach, niekiedy i oburącz trzymają: w postawach chwiejących się, nawpół pijanych, w rozmaitych grupach, przy beczkach w piwnicach z napisem: „*Kochajmy się bracia a pijmy: bis repetita placet: omne trinum perfectum* i t. d. Niektórzy od przebrania miary oddają, niechlujny obraz przedstawiając, słowem, że ohydne postacie, i jeszcze w ohydniejszych przygodach wystawiał. Pióro Soplicy, odkryło nam szereg cnót i poświęcenia się, oddało w sposób godny wielkiego pisarza: Orłowski nie mógł się wznieść do uczucia téj poezyi, téj piękności, do odmalowania tych świętych zalet, tych bluszczowych wieńców, jakiemi się zdobi pamięć dziejów w kronikach zbutwiałych dochowana.

I tak gdy Soplica pisząc o *Panie kochanku* mówi: „Że został (książę) w hajdawerach amarantowych, i w koszuli, na któréj wisiał ogromny szkaplérz, i tak wlazł na wóz, na którym była kufa napełniona winem: on siadł na kufie, a wóz szlachta ciągnęła po ulicach Nowogródka; wóz co kilka kroków zatrzymywał się, a kto chciał, kielich lub garnek nadstawiał, a książę czop od kufy odtykał, i perorował, prosząc szlachtę by mu dopisała i t. d." Albo tam gdzie o Karolu Rysiu mówiąc, pisze: „Gdy książę po obiedzie nieco podochocony, miał zwyczaj parę godzin przesypiać, a jeden z paziów grających w przedpokoju w halbe-zwölbe, nie mając zapłacić czém przegranéj, zmuszony był przez towarzyszów księcia pijanego, i sennego kartą po nosie uderzyć tyle razy, ile *tynfów* na kartę stawiono." To są obrazy treścią i duchem pisane dla Orłowskiego, i gdyby za życia jego *pamiątki Soplicy*, były na jaw wydane, niewątpliwie zrobiłby z tego podania Orłowski, dwa najcudniejsze obrazki, godne pióra Cześnika.

Wielkie jest powołanie i poety i malarza, ale bardzo ostrożnie stąpać trzeba po stroméj ścieszce, na którą świat myślący ma oczy dzień i noc zwrócone. Jeden obrazek, jedno słówko wypuszczone może przygnieść na zawsze liście bluszczu, jakiemi opinia zdobi ich skronie.

Nie tykając rzeczy drażliwych, miał Orłowski w dziejach naszych niewyczerpane źródło obrazów, naprzykład z przygód Lisowczyków, czyli jak ich sam nazywa ksiądz z Konojad Dębołęcki, Elearów. Ich wyprawy, pochody utarczki, napady, łupieztwa, grabieże. Co za śliczny obraz jak tenże Dębołęcki, którego daleko późniéj ksiądz Marek Karmelita w Berdyczowie reprezentował: przy wejściu w granice Szlązka, w miasteczku po nabożeństwie na wzniesieniu pośród rynku, prawi kazanie do téj wyuzdanéj tłuszczy, która go otaczała; jedni na koniach, drudzy pieszo, stojąc, leżąc, z natężeniem

uwagi przepowiedni jego słuchają. Albo z przygód kozactwa Wychowskiego. Wiek Orłowskiego nie wystarczyłby na wydobycie złota, z kopalni dziejów krajowych, dotąd jeszcze żadnego mistrza ręką nietkniętych. Mógłby Orłowski to wszystko malować, ale bodźca nie miał, i dlatego właśnie był obcym dla nas pisarzem: my rościm prawo do jego imienia, a twory i plony jego prac, kto inny odziedziczył, bo nie były nasze, i w tkankę krajową wszyć się nie dały.

W galeryi Ermitażu dwa małe obrazki Orłowskiego znajdują się: na jednym koń, na drugim kilka krów stoi. Są one w rodzaju *Wuwermana* zrobione, ale nierównie lepiéj i śmieléj traktowane, choć do najlepszych robót się nie liczą. Ze wszystkich zaś jego prac, ile tylko widzieć mi się zdarzyło, nie znalazłem ani jednego historycznego, o którym można było powiedzieć, że w kronice téj a téj, na stronicy téj a téj, tak jest napisano: ale zawsze myśl krotofilna, wesoła, czasami nawet nic nieznacząca, była treścią rysunków; jak naprzykład z wierszy:

„Tańcowała ryba z rakiem,
A pietruszka z pasternakiem,
Cébula się dziwowała
Że pietruszka tańcowała."

Widziałem ten rysunek po kilkakroć i krédką i piórem robiony, tak zaś był po mistrzowsku dotkniętym, że nawet i dzisiejszy Grandville lepiéjby nie zrobił.

Nie może zatém Orłowski mieścić się w liczbie historyków, chyba w podrzędnym rodzaju utarczek, które dobrze mu się udawały. Jest on malarzem ludzi, przygód życia potocznego, mieszczan i wieśniaków, żadnéj jednak nie ma styczności ze szkołą flamandzką, bo satyryczny i uszczypliwy dowcip w swoich myślach pokazywał. Prędzéjbym go nazwał polskim Hogartem, a obcym dla nas malarzem ludu. Tak mi się wydały wszystkie jego prace, z których sąd mój powziąłem. Nieraz przypominam sobie, odwiedzając go ze ś. p. Wańkowiczem, nadmienialiśmy aby coś z *Bielskiego* lub *Stryjkowskiego* malował, zawsze milczeniem nas zbywał. Zdarzyło się około tego czasu, że Dawe, Anglik, znakomity artysta, także w Petersbugu zamieszkały, malował scenę nie pomnę z któréj powieści Walter-Skotta, jak nieszczęśliwa matka z narażeniem życia na niebezpieczeństwo, po drabinie włazi na szczyt najwyższéj skały, aby uratować dziécię, które orzeł pochwycił, i do gniazda zaniósł. Usłyszał to Orłowski, i powziął chętkę, to samo według swojego pomysłu odmalować, i kiedy z uniesieniem, był bowiem niesłychanie chełpliwym, pokazywał nam swoje arcydzieło, my jednogłośnie podziwialiśmy talent wykonania, aleśmy dodali, że miléjby nam było patrzéć na obraz tęsknoty i rozpaczy Ludgardy albo Jadwigi gromiącéj Krzyżaków, z dziejów krajowych. Widząc, że go to poruszyło, przystąpiliśmy do okna, zkąd widok był na Newę, i zmieniając rozmowę, staraliśmy się zesmutniałego Orłowskiego rozweselić.

Chełpliwość Orłowskiego jakem powiedział granic nie miała, tak, że niekiedy odrazę w słuchających go sprawiała; była ona mu wrodzoną, a jeszcze bardziéj się wzmogła polepszeniem jego bytu w samych początkach, kiedy mu raz otworzone przez Walickiego pole do zarobkowania, do świetności i do dumy przystęp dało. Każdym razem, kiedy u niego z Antonim Oleszczyńskim bywaliśmy, musieliśmy się uzbroić świętą cierpliwością, aby z téj jego przywary nie rozśmiać się i nie obrazić. Pamiętam dobrze gdy pewnego razu dostał przy nas paroxyzmu okropnego łajania wszystkich artystów, i gdy między innemi dostało się professorom akademii sztuk pięknych, czekałem cierpliwie końca nim się Orłowski całkowicie wyburzył i swoję żółć wylał, i po niejakim czasie rzekłem do niego: a przecież ci sami professorowie o których pan z pokrzywdzeniem odzywasz się, ci sami powiadam bardzo piękne świadectwo o talencie jego dają, i bynajmniéj nie czuję przez jakąś oględność dla nas żeśmy ziomkami, bo dla uczniów byłoby za wiele czci i grzeczności, ale ze szczerego przekonania, to tylko dodają, o czém przekonać się nie mogą, że pan cudnie na papierze rysujesz, że pan masz potężny talent; wszelako kiedy rysujesz konie, to bez względu, czy kozaka, czy Napoleona zawsze na kozackim posadzisz. Rozgniewany znowu wpadł w złorzeczenia. „Cóż to znaczy, że Napoleona sadzę na koniu kozackim? koń zawsze koniem, i czyto turecki, czy arabski, perski, kozacki, mniejsza z tém, idzie tylko, abym go dobrze narysował i na tém całą rzecz zasadzam. Powszechnie dziś chwalą konie Verneta, a mianowicie ci co żadnego pojęcia o sztuce rysunkowéj nie mają, konie Verneta są wyćwiczone, wymanierowane i jak panna w gorsecie, spięte, a tém samém bardzo się od natury oddalając są ckliwe; u mnie zaś sama natura: na jakiego konia patrzę, takiego rysuję, a o to nie dbam czy kałmuka, czy kozaka, czy Napoleona nań posadzę i kwita; a że mi przyznają talent, to w tém nic dziwnego, bo kiedy sami nie umieją rysować, to przynajmniéj tyle rozumu mają, iż widzą we mnie dobrego rysownika." Pomyślałem wtenczas, do czego to nie doprowadzi odosobnienie się od ludzi, oddanie się namiętnie sztuce z zaniedbaniem książki, któraby rozprzestrzeniając pojęcie, otwiérała podwoje do tajemnic i natury i sztuki, która obok talentu wykształciłaby i serce, bo czémże artysta lub wieszcz bez niego, i to nietylko w zapatrywaniu się na przyrodę, ale nawet i ćwiczenie cnót w towarzyskiém pożyciu, by nie zostać dzikim odludkiem, samolubem, któryby zagarnął do swych szponów wszystkie skarby świata, nie dbając czy bliźni jego ma na chléb powszedni. *Wolter*, *Dalambert*, *Holbach*, *Grecourt*, *Parny*, ochyda francuzkiego piśmiennictwa nigdy nie powinna się znajdować na stoliku malarza: niecne i sprosne obrazy nie podniosą ducha wysoko, nie obudzą żadnéj szlachetnéj namiętności, ale przeciwnie, popchną w wir zepsutego świata, oswoją go z występkiem i niecnotą, i w końcu pokalają jego sumienie postępki brudami o jakich bez wzdrygnienia wspomnieć nie można. Są ludzie co niby dla podniesienia uczuć poetyckich, jako artyści naprzykład portretowi chełpią się, że czytają *Petrarka*, *Tassa* i innych: nie podniesie ich ducha żaden poeta, żaden wieszcz, ani nawet sama lutnia *Orfeusza*,

nieokrzesany umysł, co może pojąć, co może uczuć, co może oddać choćby nawet i mógł nieźle narysować. Bryła kamienia powierzchownie niby ociosana, ślepa na wszystko co ją otacza, i jak głaz bezużyteczna, jestto talent bez nauki, bez wykształcenia umysłu i serca, a po takim więcéj można się spodziewać złego, jak dobrego dla społeczności. Prawda, że niektórzy, a nawet i najznakomitsi artyści ulegali słabościom. *Gwidoreni* nocami grywał w karty, dniem zaś arcydzieła lały się zpod pędzla na płótno, wyższe nawet od utworów *Rafaela*. Rzadko który z niemieckich lub flamandzkich artystów nie przesiadywał część większą dnia i nocy w karczmach; bylito prawie wszyscy malarze rodzajowi, niektórzy nawet pracownie swoje mieli w tych zbiegowiskach ludu do szklanki i do tańca pochopnego, lecz był czas potemu kiedy obraz był tylko ozdobą czczą, meblem i oprócz technicznéj rzemieślniczéj doskonałości, nic więcéj od artysty nie wymagano; odmalowanie rądelka miedzianego, kielicha z płynem przezroczystym, bańki mydlanéj, stanowiło największy stopień doskonałości. Ale dziś, kiedy piśmiennictwo tak wysoko stanęło w dążności swojéj, że nawet i w mniejszych utworach oprócz treści wypadku, pisarz musi koniecznie myśl przeprowadzić, myśl, jaka się czepi praw ludzkości do jéj uszczęśliwienia; biada, że Orłowski nie odbył nauk pierwotnych, jakie jedynie nasamprzód młodzieńcowi otwierają oczy do poznania świata, przyrody i samego siebie. Nie znał wcale języka łacińskiego, który w niedostatku wszystkich inszych mógłby mu przewodniczyć w obieraniu pracy, i mógłby należycie wypiętnować w jego utworach charakter gruntowności, dojrzałości i doskonałości. Człowiek w nieszczęściu i niedoli, w zapasach z losem zawistnym, gdzieś w obcéj stronie, uczci jednak pamięć przodków myślą i czynem, choć kilku obrazkami uświęci pamięć czcigodnych wypadków, gdzie cnota, męztwo, dobro krajowe jaśnieje. Nic z tego! puste *bamboszady*, miłe wprawdzie dla oka, ale nic do duszy nie przemawiają, i tu właśnie idzie Orłowski na równi z flamandzkiemi gieniuszami, co urodzeni i wychowani w karczmie, nie mogli podnieść się nad poziom zwyczajnych człowiekowi przywar i namiętności, a malowali tylko obrazki dla zabawy, jak dziś robią lalki dla zabawy dzieci. Ten niedostatek nauk stał się przyczyną, że Orłowski nie mógł harmonizować z ludźmi, wyzuł go z najpiérwszéj cnoty artysty, skromności, i wbił go w pychę ludziom najbardziéj ograniczonym, albo téż kuglarzom właściwą. Oleszkiewicz, jednocześnie z nim w Petersburgu mieszkający, człowiek prawy, poczciwy i światły, każdemu a nawet i nieprzyjacielowi sprawiedliwość oddający, definiował Orłowskiego temi słowy: „A cóż począć z tym waryatem?"

Życie tego artysty, musi koniecznie wiele szczegółów zawierać, bardzo ciekawych i zajmujących co do prac artystycznych: ci zatém którzy go osobiście znali, i jeszcze go pamiętają, zwłaszcza mieszkający w Petersburgu, będą mogli obszerną napisać biografię; nasze zaś niniejsze zarysy, mogą posłużyć za materyał dla niéj nieobojętny.

Wincenty Smokowski.

PRZYPISY.

I. U nas *Stachowicz* był takim pisarzem, artystą, jakim Orłowski w Petersburgu. Malowidła w pałacu biskupów w Krakowie, już w tym względzie uwieńczono pochwałami, abyśmy mieli tu je powtarzać: chyba tylko dodamy, że Stachowicz poświęceniem się swojemu zawodowi artystycznemu, i ogromem prac, jakie w życiu wykonał, nabył prawa do szczerej wdzięczności od tych co umieją pojmować i oceniać sprawę dobra publicznego.

II. Orłowski aż nadto szczodrą ręką wymierzał sobie sprawiedliwość, i wszystkim najwyraźniej dowodził, że jest wyższym od Verneta, i innych co w jego rodzaju pracowali. Miłość własna, jest zawsze chwalebną w artyście, o ile tylko nie przechodzi granic przyzwoitych, jak złe o sobie trzymanie i zwątpienie o własnych siłach, tak równie zbyteczna zarozumiałość, nietylko że są naganne, ale nawet dają złe świadectwo o wykształceniu umysłowém artysty. Wszelkie wyznania sądu, choćby najsurowsza krytyka, nigdy nie powinna gniewać artystę, ale przeciwnie ile możności, powinien starać się z niej korzystać, i to właśnie będzie najwyraźniejszym dowodem jego talentu. Nieraz przypominam sobie, był Orłowski celem krytyki, nieraz był najsurowiej i najjadowiciéj piórem dotknięty, zawsze jednak ze skromnością je przyjmował, i nietylko nigdy nie szemrał, ale nawet nie wypuścił jednego słowa uszczypliwego z ust swoich. Ta niezachwiana umysłowość artysty, i ten jego stoicyzm wyrobiony pracą sztuki, jest właśnie dowodem rzetelnéj godności jego talentu, i wyższości nad wszystkie nagany. W rzeczy saméj każdy wykształcony artysta z duchem, z talentem, nigdy się nie obruszy najsurowszą krytyką, ale przeciwnie więcéj mu przykrości sprawić powinny oklaski osób, co nie mają wyobrażenia ani o pędzlu, ani o barwach. Gdyby dziś w Paryżu napisał ktoś krytykę na Delaroch'a, Delacroix, i innych, w któréjby im zarzucał nieznajomość sztuki, rozśmiałby się z nich każdy niewątpliwie. Oto jest sposób postępowania, w pełném znaczeniu artysty, którego pędzel kierowany sercem, uwiecznia na płótnie dzieje, i którego usta, jako odgłos usposobienia umysłowego, niczém się kalać nie powinny.



FRANCISZEK BOHOMOLEC.

F. Bohomolec S.J.
mp

FRANCISZEK BOHOMOLEC.

Stanisław August Poniatowski, nadzwyczajnie był troskliwym, aby w blasku wskrzesiciela literatury i nauk, był w potomności uważany. Ztąd obdarzał medalami zdolniejszych mężów żyjących w owym okresie; ztąd biorą początek jego *obiady czwartkowe*, na które zgromadzał wszystko, co tylko w literaturze się odznaczało.

I trafił w szczęśliwe dla siebie czasy. Przy końcu panowania Augusta III, ruch umysłowy żywo dał się czuć w narodzie, powiew zbawienny od zachodu, roztajał zwolna owe grube, i brudne lody, w których zamrożona myśl i uczucie, nie miały nawet nadziei ujrzenia umajonéj wiosny. Wielcy mężowie stanęli na czele myśli postępowéj, a jako wytrwali pracownicy, oburącz chwycili się do obalenia bałwana ciemnoty i przesądu, który cześć, w miejsce prawdy, nauki, powszechnie odbierał.

Najstarszy z nich Niesiecki na dwadzieścia jeden lat przed wstąpieniem Poniatowskiego na tron, umiéra, zostawując herbarz, owoc olbrzymiéj pracy, ów skarbiec dla dziejów naszych, przy któréj maleją wielkie dzieła nawet, jak np. słownik Lindego.

Józef Jędrzéj Załuski w roku wstąpienia na tron 1764, podczas sejmu koronacyjnego, sławną bibliotekę swoję darował Rzeczypospolitéj, któréj skarby dał w znacznéj części poznać niespracowany Janocki.

Konarski, ów mąż wielkiéj zasługi, wcale do czasów Poniatowskiego nie należy, bo gdy ten król wstępował na tron, miał lat już 64, a sławne dzieło swoje: „O skutecznym rad sposobie," na kilka lat przedtém wydał.

Kitowicz, znakomity historyk, także w okresie czasów Konarskiego stoi, jakkolwiek przeżył czasy Stanisława Augusta. Spojrzyjmy na wszystkie znakomitości literackie ówczesne, a nabędziem przekonania, że nie Poniatowski ruch umysłowy w narodzie obudził.

W chwili wstąpienia na tron tego króla:

Krasicki miał lat 30; Naruszewicz lat 31; Trembecki około lat 40; Albertrandy lat 33; Karpiński lat 21; Piramowicz lat 29; Kopczyński lat 29; Waga Teodor lat 26; Ładowski lat 26; Wyrwicz lat 47; Kluk lat 25.

Bylito więc ludzie już wykształceni, ludzie nowych czasów, z wyrobioną ideą, pracownicy i rozkrzewiciele nowych, postępowych myśli.

Miał więc gotowe ozdoby do swoich *uczonych czwartkowych* obiadów. Gorąco powinien Poniatowski błogosławić Opatrzność, że go na tronie w tak szczęśliwych dlań czasach postawiła, że siebie mógł podnieść, i okryć godnością i talentami znakomitych mężów.

Spółczesność uwiedziona pochlebstwami w wierszach Naruszewicza, a szczególniéj dość nikczemnemi Trembeckiego, patrząc jak monarcha, zapraszał na zamek uczonych ludzi, lubił się niemi otaczać, i smakował w ich towarzystwie, uwierzyła zręcznie puszczonym wieściom, że Stanisław August, wrócił nam złoty wiek literatury polskiéj; ale potomność, surowy badacz prawdy, fałsz ten dziejowy, już dawno zdeptała.

Do rzędu znakomitych literatów, którzy byli ozdobą panowania Poniatowskiego, a należeli wyłącznie do okresu Konarskiego, należy niezaprzeczenie Franciszek Bohomolec. Onto pismami swemi zaprawdę najwięcéj przed Krasickim wpływał na opinię publiczną, kierował nią, i wiódł do szlachetnych celów. Bohomolec wykorzenił wiele szkodliwych przesądów, rozbudził naród ze zgubnego snu letargicznego; jemu winien język tę ogładę i czystość, jakiemi zajaśniał w wieku Stanisława Augusta. Król ten rad go zapraszał na *czwartkowe obiady*. Poleciwszy artyście Marteau w miniaturach zachowanie wizerunków współtowarzyszów uczt takich, i Bohomolca oblicze doszło naszych czasów; z tego więc zbioru wierny tu przerys dajemy.

Zwyczajem młodzieży współczesnéj, która zawód naukowy brała za cel żywota swego, Bohomolec wstąpił do zakonu Jezuitów. Zakon ten tyle głośny w dziejach naszych, przy końcu swego bytu, zaczął zwolna wylewiać się ze skóry zapleśniałéj fanatyzmu, ciemnoty i upartéj stagnacyi; gdy nagle grom Watykanu, rozbił tych *janczarów rzymskich*, jak dobrze Naruszewicz; sam jezuita, wyraził. Bohomolec po zrzuceniu sukni zakonnéj, nie porzucił użytecznéj i błogosławionéj pracy na polu umysłowém. I zostawił też chlubną pamięć po sobie, i wdzięczne rodaków wspomnienie.

Ignacy Krasicki w jednym ze swoich listów tak nam maluje Bohomolca:

„Nie była dziką cnota jego: używał się towarzystwu, i wielce miły w posiedzeniu dobranych przyjaciół, umiał łączyć wesołość żywą, z przykładnością nienagannego życia. Nienadęty czczym pozorem mędrzec, ani gardził dobrém mieniem, ani się o jego zbyteczność starał, i choć urodzenie, przymioty i wziętość dawały mu sposobność do wzniesienia się,

obrał sobie mierność, i w téj trwał do śmierci. Umierając, małość zbioru swojego poświęcił nieszczęśliwym, łzy słodkie wdzięczności uwielbiać będą pamięć jego."

W każdéj gałęzi literatury, spotykamy imię Bohomolca: bo téż on ku poparciu myśli postępowéj jak wytrwały pracownik, piérwszy zawsze pod jéj chorągiew stawał.

Przejrzyjmy uważnie wszystkie jego pisma, a one same, dadzą nam dowód na świadectwo o zasługach Bohomolca. Przejdziemy je chronologicznie, jak wychodziły zpod prassy drukarskiéj.

1750. Kiedy Konarski, rozmyślając o wielkiéj reformie narodu, zaczął ją od poprawy w wychowaniu młodzieży zamożniejszych domów polskich, i założył w tym celu *Collegium Nobilium*; zaczął już tłumaczyć z francuzkiego dramata, już pisał oryginalne, które przedstawiano w umyślnie urządzonym w gmachach szkolnych, teatrze. Cel szlachetny wielkiego męża, aby wzniosłe i piękne uczucia w młode zaszczepić serca, żeby młodzież wdrożyć więcéj w życie praktyczne, i ośmielić, osiągnięty został.

Jezuici, którzy pojęli odrazu wyższość planu w wychowaniu Konarskiego, nie dali się ubiedz, i zaczęli w tém go naśladować. Był w kollegiach jezuickich oddawna zwyczaj, przedstawiania dyalogów, i tragedyj, ale byłyto utwory bez wyższéj myśli i uczucia, tak nędzne ramoty, i niegodziwym językiem pisane, że zaledwie zasługują na wspomnienie, jako smutne dowody upadku umysłowości w Polsce.

Bohomolec, wtedy w zakonie Jezuitów professor, ocenił ważność przedstawień dramatycznych, dzieląc wszakże skrupuły braci w zakonie, zaczął pisać komedye, ale z męzkiemi wyłącznie tylko rolami, i zbiór takowy wydał w roku 1750. Gdy jednakże, lepiéj wyjrzawszy z celi jezuickiéj, spostrzegł, że komedye jego zostały pozbawione głównego zajęcia i prawdy dramatycznéj, a przez to za murami *collegium* nieużyteczne, wprowadził na scenę i kobiéty (A).

Piérwszy w te czasy po Konarskim co jął się literatury francuzkiéj, i Moliera dał poznać scenie jezuickiéj. Dowcip żywy, żart przystojny przy dobrym na ten okres języku, cechuje te utwory, jakkolwiek, znać zarazem zakonnika, z pleśnią klasztorną, i brakiem praktycznego i życia i ludzi.

We dwadzieścia sześć lat, po wydaniu piérwszém swych komedyj, wydał Bohomolec, operę p. n. *Nędza uszczęśliwiona* (B). Maciéj Kamiński napisał do niéj muzykę: i to jest piérwsza polska opera, która na naszym się ukazała teatrze.

Szlachetną tu myślą powodowany był Bohomolec, gdy bowiem w r. 1777 piérwszy raz na naszéj scenie ukazała się opera włoska *serio*, zapał publiczności do tego rodzaju widowisk wzrosł do najwyższego stopnia; opery polskiéj nie było: do *Nędzy uszczęśliwionéj* Kamiński podłożył muzykę nader przyjemną, któréj sam wyuczywszy artystów: „Wystawił piérwszą polską operę, cudo jak naówczas wszystkich zadziwiające, cudzoziemcom lękającym się wzrostu téj sztuki niemiłe, a rodakom mocno upodobane" mó-

wi Bogusławski w *dziejach teatru*, który kilka pieśni dodał do utworu ulubionego wówczas autora.

Śpiéw ubogiéj matki, taniec polski, i pieśń: „*Nigdy jak dzisiaj nie czułem rozkoszy*," wkrótce w Warszawie całéj i w kraju były ulubione. Śpiewki te, jeszcze sam zapamiętam, w mojéj młodości w domach staropolskich, z upodobaniem powtarzane.

Po wydaniu swoich *komedyj*: ogłosił Bohomolec w r. 1758 „*Rozmowy o języku polskim*" (C). W małéj ale treściwéj téj rozprawce wprowadza trzy osoby, wiodące rozmowę: Jana Kochanowskiego, Samuela Twardowskiego i Makarońskiego, jako obrońcę makaronizmów. Głównym tu celem autora, jest dowodnie okazać, że mieszanie do polszczyzny wyrazów z obcego języka, nietylko nie jest potrzebną, ale i śmieszną rzeczą: w ustępie mówi o dobrém tłumaczeniu z obcych języków. Rozmowa powyższa w czasach swego wydania, była żywotném pytaniem, bo uderzała śmiało, na tak bezrozumny, a zakorzeniony zwyczaj w narodzie. Wydał ją po łacinie; uczeń *Leski* tłumaczył, ale poprawiał sam Bohomolec ten przekład polski.

Od roku 1764, zaczął wydawać:

„*Zbiór dziejopisów polskich w czterech tomach zawarty.*"

W tym objął kroniki Bielskiego, Stryjkowskiego, Kromera (przekład Błazowskiego) i Gwagnina (przekład Marcina Paszkowskiego.)

Powziął Bohomolec tę myśl piękną, uważając historyę jako nauk mistrzynię, aby wiadomości ojczyste rozszerzyć w kraju; tém bardziéj, że pierwotne wydania tych kronik, stały się nadzwyczaj rzadkiemi, a ztąd i mało znanemi. Oprócz poświęcenia i pracy, wydanie tak ogromnych ksiąg wymagało i niemałego nakładu: Biskup Józef Załuski, wsparł na początek Bohomolca, resztę dała prenumerata. Szybko tomy tego *zbioru* wychodziły, tak że kronika Bielskiego wydaną została 1764; Stryjkowskiego 1766; Kromera 1767; Gwagnina 1768.

Wiele przeszkód musiał Bohomolec przełamywać: prenumerata szła opornie; ogłosił więc, że po wyjściu całego dzieła, cena jego wdwójnasób podniesiona będzie (D). Przy wytrwałości przecież i żelaznéj pracy, wykonał swoje przedsięwzięcie dokładnie i sumiennie (E).

Obok starań przy wydaniu pomienionych kronik, z polecenia starszyzny zakonnéj, ku rozszerzeniu chwały Jezuitów, tłumaczył ogromne dzieło, i wydał p. n.

„*Listy różne ku chwalebnéj ciekawości i chrześciańskiemu zbudowaniu służące, z Azyi, Afryki i Ameryki niegdyś od Missyonarzów Societatis Jesu, w rozmaitych językach pisane, teraz dla pragnących wiedzieć o pomnożeniu wiary naszéj w tamtych krajach, jako téż i obyczajach onych narodów po polsku przełożone, przez jednego zakonnika Societatis Jesu. W Warszawie, w Drukarni J. K. Mci i Rzeczypospolitéj, Soc. Jesu* 1767. — 4-to, *str.* 541."

Przez dwa lata następne zajmował się Bohomolec, nową edycyą, nieznanych pism Kazimierza Sarbiewskiego.

Naruszewicz professor naówczas poetyki w Kollegium Jezuitów Wileńskiém ogłosił w r. 1757 w piękném wydaniu tego łacińskiego poety *Liryki dytyramby* i *epigrammata*; późniéj wynalazłszy wiele rękopismów Sarbiewskiego, takowe Bohomolcowi przesłał. Gorliwy o sławę narodową zajął się nasz autor, i wydał w roku 1769 p. n.

„*M. C. Sarbiewski S. J. opera posthuma quibus accesserunt multa poemata vernaculo* (i. e. polonico) *carmine reddita. Varsaviae, typis Soc. Jesu.* 8-vo, *stron.* 312."

Po raz piérwszy wydany tu został ułomek poematu historycznego Lechias (bo cały zaginął) z księgi XI, z kilkuset wierszy złożony. Są tu listy Łubieńskiego do Sarbiewskiego i odpowiedzi tegoż: w ogóle listów 92, a nadto jeden list Dyoniz. Petawiusza do Sarbiewskiego pisany. Przyłączył nadto Bohomolec, obok oryginalnego tekstu, tłumaczenie 50 pieśni Sarbiewskiego, jakoto: Samuela Twardowskiego, Piotra Puzyny jezuity, Adama Naruszewicza, Antoniego Wiśniewskiego pijara, Jana Albertrandego naówczas jezuity, Józefa Minasowicza, Michała Przezdzieckiego starosty Pińskiego, i własne swoje.

Jestto ostatnie wydanie poezyi Sarbiewskiego.

Zwolennik i wielbiciel dziejów ojczystych opracował dwa żywoty znakomitych mężów w narodzie: piérwszy w roku 1775 wydał p. n.

„*Życie Jana Zamojskiego Kanclerza i Hetmana Wgo Koronnego* w Warszawie, w Drukarni Nadwornéj J. K. Mci, 8-vo, str. 324 (F)."

Drugi we dwa lata potém.

„*Życie Jerzego Ossolińskiego Kanclerza Wgo Koronnego*, Warszawa, w Drukarni Nadwornéj J. K. Mci, R. P. 1777, 8-vo, dwa tomy: 493 i 317 str." (G). Jasność i gruntowność wykładu, zalecają te prace historyczne, i nadają im prawdziwą wartość.

W roku 1779 wydał Bohomolec dla użytku młodzieży szkolnéj, przekłady mówców łacińskich p. n.

„*Zabawki oratorskie przez Ks. Franc. Bohomolca S. J. zebrane*, w Warszawie, w Drukarni Nadwor. J. K. M., 8-vo, str. 158."

Jestto praca lat dawniejszych, gdy w Kollegium jezuickiém, jako professor retorykę wykładał.

Upłynęło lat 33 od czasu kiedy Bohomolec, jako pisarz komedyj, piérwszy raz dał się poznać; teraz starzec zwątlony tak czynném życiem, nie wypuszczał pióra z ręki. Ostatnią téż jego pracą jest tłumaczenie podróży La Harpa, którą wspólnie z Kazimierzem Wróblewskim i Wincentym Magierem podjął i wydał w latach 1783, 1794 w pięciu tomach p. n.

„*Historya o podróżach przez pana de la Harpe, zawierająca odkrycie krajów dawniéj nieznajomych, oraz obyczaje, religię, rząd i handel obywatelów, na polski język przełożona*, w Warszawie, w Drukarni Królewskiéj."

Od roku 1764, Bohomolec zaczął wydawać pismo peryodyczne pod napisem: *Monitor*. Nowość w Polsce niesłychana, pokupna z ciekawości, wkrót-

ce silny wpływ wywierać zaczęła. *Monitor* położywszy sobie za cel, jak sam Bohomolec wyraża:

„Biorąc na się urząd Monitora, przyjmuję oraz złączony z nim obowiązek służenia krajowi, pokazując obywatelom, jakiemi oni być powinni, aby byli mu pożyteczni."

Ciągle do téj poczciwéj myśli dążył, i zaprawdę, silne w narodzie zajęcie obudził, wiele prawd zaszczepił, i wielkie zasługi położył w rozbudzeniu życia duchowego, i ogólnéj reformie na drodze postępu.

Nie unudzimy czytelnika przywiedzeniem kilku ustępów z tego rzadkiego dziś pisma, a te dadzą nam mniéj więcéj dokładne wyobrażenie, nietylko pod względem stylu i języka co się wyłamywał z nikczemnéj panegiryczności i pstrocizny łaciny, ale i co do samego ducha i myśli pisma.

I.

Młodość.

Niémasz piękniejszéj, ale téż równie i niebezpieczniejszéj rzeczy, jak młodość. Jestto róża wiosny życia ludzkiego, co do piękności, ale téż łacno pogrążoną być może w przepaści występków, przez niewiadomość na świecie rzeczy, i zbytnią swą żywość. Jestto morze nawałnościami ustawnie zaburzone, tysiącznych skał pełne, które każdy człowiek przebywać musi, wpośród niezliczonych niebezpieczeństw, chcąc dopłynąć pożądanego portu, męzkiego wieku. Jeżeli jako niektórzy utrzymują, szczęście zawisło od imaginacyi go osiągnienia, tedy w téj porze wieku człowiek jest najszczęśliwszy, lubo podtenczas nieroztropność jego jest wielka, niewiadomość gruba, rozumienie o sobie śmiechu godne, rozsądek słaby, uwagi omylne, upór niezwyciężony, pojętność tępa, namiętności wyuzdane, a przezorność, niebardzo daleko sięgająca. Młodość rozumié, że wszystko umié, nie chcąc się niczego dać nauczyć, i chce teoryę, czyli dochodzenie rzeczy, dowcipem na końcu kłaść praktyki. Bawi się i zaprząta fraszkami i cała głupstwu się oddaje. Nieczułość jest jéj wezgłowiem, a rozpusta łożem spoczynku, występki jéj asystują, a próżność w towarzystwie z nią chodzi; przytomne ją tylko rzeczy bawią, do przyszłych starania swego nier ozciąga, które niepewnemi być sądzi. Sama nie wié czego żąda, ponieważ za wiatrem się ugania; przedsięwzięcia jéj nie są stałe, gdyż nic trwałego sobie nie zakłada. Raz, wszystko co widzi kocha, bo się na niczém nie zna; drugi raz wszystko nienawidzi, bo nie przywykła uwagi czynić, co dla niéj byłoby męką. Nakoniec mimo tego wszystkiego, szczęśliwy,

kto młodość swoję w uczeniu się mądrości przepędza, w przyłożeniu pilności do nauk, które ona podaje, i ćwiczeniu się w cnocie, gdyż taki nieochybnie zachowa w starości wiele uciech swéj młodości. Włosi mówią, że ten kto sobie życzy być starym, trzeba aby wcześnie starzéć się zaczynał; i że rozpustna młodość przywodzi starość chorowitą i niedołężną. Kończę ten artykuł temi wierszami:

W czasie młodości, myśl płocha
W uciechach się tylko kocha;
A zaś w dojrzalszym wieku i starości,
W inne się wprzęga człowiek namiętności.

Tak w sen ze snu idąc, błędu
Niewolnik, bez prawdy względu,
Stawa nakoniec u wieczności bramy!
Pono i my się tamże przymykamy.
Łóżmyż, co nam zbywa, złoty
Czas, na poprawę ślepoty!

II.

Żądza i nadzieja.

Żądza i nadzieja, sąto zabawy myśli, rozrywki umysłu ludzkiego. Piérwsza jest przykrością, a druga pociechą, częstokroć źle ugruntowaną. Gdybyśmy się mogli pozbyć żądzy, widzielibyśmy się prędko w zupełnym stanie ukontentowania, ponieważ ten kto nic nie żąda, wraz wszystko posiada; przeciwnie zaś żądza, jest tyranem i katem serca, niezmordowana nigdy naszém udręczeniem. Mądry miarkuje swe żądze względem rzeczy tego świata, znając niepodobieństwo onym dogodzenia; gdy tymczasem nieroztropny, spokojnością przypłaca śmiechu godne żądze, którym się poddaje.

Największa część żądz naszych są, że tak rzekę, memoryałami, które głupstwo człowieka przeznaczeniu podaje, na które jednak żadnego względu, żadnego baczenia przeznaczenie nie czyni, częstokroć je i nie czyta, a nawet i rzadko przyjmuje. Prawdziwy znak niedoskonałości wszystkich rzeczy w tém życiu, jest chęć, mojém zdaniem, i skłonność owa, nieprzezwyciężona, którą wszyscy ludzie w sobie czują do żądz formowania: bo niech jak chce w szczęśliwym znajdują się stanie, przecież nie przestają być nigdy bez żądzy. Co dosyć dowodzi, że nie wprzód można koniec swym żądzom założyć, aż się dusza, do szczęśliwéj wieczności dostanie.

III.

Filozofy, nowowierkowie z roku 1770.

Można słusznie mówić, że ich patryarchą jest djabeł, szynkowny dom kościołem, a kaffenhauz kaplicą. Peregrynacye swoje i dróżki odprawują do *zamtuzów*, a rozpusty, mają za odpusty. Postem u nich jest posiedzenie z dobremi ludźmi, a zaś pokutą, słuchanie kazania. Ich biblia, gra w karty, gdzie czterech królów, są niby tyleż ewangelistów. Siedm grzechów głównych są ich przykazaniem, a oświadczenie miłości z serdecznem wzdychaniem, miasto spowiedzi. Ich psalmy są piosnki miłosne, a jałmużny, ich upominki, które swachom dla pośrednictwa dają, i zwodnikom. Msza ich dręczy, i po kościach w ławkach rozbiera; a nieszpory widzą się im być stratą niepowetowaną czasu. Opera włoska jest u nich *kompletą*, a komedya francuzka wieczorną modlitwą: gazety holenderskie, to ich ewangelie, a śmieszne powieści, obrokiem duchownym. Gęba ich, jest magazynem drwin, fraszek, i żartów nieuczciwych, a uszy schowaniem obmów i słów ladajakich. Bezbożność stoi u nich za rozum, a żywoty świętych, tyle ważą co romanse. Pieniądze są jednym z największych filarów ich religii, a ubóstwo zdaje się im być grzechem nieodpuszczonym. Pochwały które dają swym występkom, są miasto dziejów apostolskich u ich nowicyuszów; nowicyat zaś ich młodości, służy za nagrodę starszyznie w religii. Dusze błogosławionych są u nich rozkosznicy, aniołowie ich stróżowie, lokaje upudrowani. Zacni zaś i pobożni zakonnicy, jedni w ich mniemaniu za kozłów, owi za osłów niebieskich! Naostatek, jak młodość swą trawią na usłudze świata, ciała i czarta, tak też gdy już ich wiek rozpu-

stą stargany, do niczego być więcéj zdatnym nie może. Lucyper przez względną na ich usługi wdzięczność, gotuje im piekło miasto szpitala.

* * *

Czyżto nie jest dosadny obraz téj chwili *przejścia* w naszym narodzie, gdy prawdziwą wiarę, niedowiarstwo; czyste i proste obyczaje, zbytek i rozpusta pokalały. Wybornie się w tym małym ustępie sam Bohomolec maluje: jeszcze jezuita, nie może pojąć przewrotu wieku; z całą zakonną surowością brzmi przeciw zepsuciu, a ileż obok tego świeżych i pięknych myśli w innych rozprawach rzuca! Ileż ironii i dowcipu jest w poniższym liście, a wybornie malującym właściwą czasowość!

IV.

Mości panie Monitor!

(5 lutego 1772 r.)

Biorąc śmiałość zatrudnić W. M. pana, proszę o radę, co mam czynić z siostrzenicą moją, któréj edukacya jest mi powierzona. Lubo urodziwa, nie umié użyć piękności swojéj: przestaje spokojnie na darach przyrodzenia, a nie myśli o kunszcie, którymby dary takowe przykształcać powinna. W posiedzeniu to tylko mówi, co myśli: w czém zważ W. M. pan jak gruby błąd popełnia, i jeżeli będzie kiedykolwiek sposobna, do dystyngwowanych konwersacyj? Oczy, rozumié że na to jéj tylko dane są, aby patrzała, a pojąć nie może, że niemi gadać można. Od dwóch miesięcy uczę ją wzdychać, i tego jeszcze nie mogła dorozumiéć się, iż można westchnąć nie turbując się. Zapomniałem jeszcze i to nadmienić, iż nie chce chodzić w takt, i gdy ją o to strofowałam, odpowiedziała mi, iż jéj niepodobna taktu zachować wtenczas kiedy nie grają. Taką w niéj uczyniło impressyą wieśniackie grubijaństwo, iż lubo od sześciu miesięcy, bawi się ze mną w tém stołecznem mieście, jeszcze w kompanii gotowa się zapłonić i oczy spuścić. Jeżeli kto, to W. M. pan, ile jak się spodziéwam, świadom reguł grzeczności i mody, mógłbyś zabieżyć tak grubym i szkodliwym przywarom. Proszę więc W. M. pana jako najusilniéj, abyś raczył ją w téj mierze oświecić, nauczyć, i jéj podobne prostaczki. Mam honor zostawać z dystyngwowaną konsyderacyą.

Bohomolec w tém piśmie śmiało karcił zepsucie i wady; każdy wiek, każdy stan, znalazł tu swoję kartę: zdrożności nie przepuścił żadnéj. Szanuje wolę rodziców co do rozporządzenia losem swych dzieci, ale zarazem ostrzega, aby nie nadużywali téj patryarchalnéj władzy, zmuszania do ślubów małżeńskich bez miłości, do ślubów zakonnych bez prawdziwego powołania: i zaraz dobiéra smutne przykłady z rzeczywistego życia wzięte, ku poparciu swoich przestróg. Chwali życie zakonne, ale widzi jasno, że w każdym zawodzie człowiek może być użytecznym. Z całą potęgą przekonania, gromi popęd młodzieży ówczesnéj polskiéj do życia dworskiego. W dworach panów zabijało to w młodéj duszy wszelką samodzielność, jakkolwiek stary przesąd, wsparty starém przysłowiem radził *trzymać się choć klamki dworskiéj*. Jakażto prawda w tém określeniu stanu dworzanina!

„Niémasz żadnego stanu na świecie, któregoby powierzchowność przyjemniejszą była i powabniejszą, nad stan dworzanina; ale téż niémasz, któryby więcéj ciągnął za sobą goryczy i smutku. Przypatrzmy się téż, co się tam znajduje: kłamstwo sztuczne, oszustwo obrotne, oświadczenia obłudne, zazdrość pokątna, zawiść między rywalami wieczna, kobiétki kokietki, fałszywi przyjaciele, nienawiść nieprzejednana, złość chytrze namyślona, zemsta, która nigdy nie mówi dosyć, i próżna nadzieja. Owoż owoce, które się zbiérają u dworu, tak smaczne, że po nich zęby cierpną i trętwieją."

„Szlachcic u siebie jest panem, u dworu zaś niewolnikiem; w domu swoim czyni co mu się podoba, ale tam stosować się musi do woli drugich. Nie wié on u siebie, coto jest zazdrość, ale tam zawsze za nim w tropy chodzi. W swojéj włości nie obcuje tylko z swymi przyjacioły, ale tam jest przyniewolony społeczność miéć z ludźmi, którzy nikogo nie lubią, tylko swój worek i interes."

Niemal każdego żywotnego pytania, co obchodziło żywo ówczesną społeczność dotyka Bohomolec. Śledzi on je z pilną uwagą, a stawiając na właściwém sobie stanowisku, okazuje pożytek lub szkodę, powagę lub śmieszność godną pogardy. Karząc wyuzdany zbytek bogaczów, wskazuje cele

szlachetniejsze użycia złota: patrząc na natrętników, na nikczemnych, charakteryzuje ich w dosadnych zarysach, i oddaje na wzgardę publiczną. Zawsze przecie, jak sam wyznaje, nie ściga oszczerstwem pojedyncze indywidua, ale ogółowo zebrane spostrzeżenia, w jedno spoiwszy, przedstawia. W tém piśmie myśl wyższa Bohomolca wydatnieje, i *Monitor* zostanie na zawsze, wielkiéj zasługi tego pisarza, w sprawie postępu pomnikiem. Wspierali to pismo po części wszyscy literaci z czasów Stanisława Augusta; najczynniéj, (ale to w późniejszych czasach) Krasicki. Byt przecież, popularność, i powagę Monitora ustalił i zjednał sam Bohomolec. Sześć lat wyłącznie pracował niemal sam nad redakcyą, później zaczął po trosze czerpać z *Spektatora angielskiego*; od roku 1772, zaczął Monitor całe numera wypełniać tłumaczeniami angielskiego pisma, i na wartości téż swéj utracił. Bohomolec naciśniony wiekiem, styrany pracą, zatrudniony licznemi obowiązkami, nie mógł się tak wyłącznie peryodycznemu pismu oddawać, jak to mógł robić wtedy, gdy w celi zakonu Jezuitów, czas cały poświęcał zawodowi literackiemu. Dwadzieścia lat przecież ciągiem był redaktorem Monitora (od 1764 do 1784). Umarł 1790 roku.

Bohomolec miał świetne dni sławy i popularności w kraju: późniejsze znakomitości literackie, w cień przeszłości usunęły szanowną postać tego męża. Sprawiedliwa potomność, umiejąca oceniać sumiennie zasługi każdego pracownika na polu umysłowém, ze czcią zawsze wspominać będzie imię Bohomolca.

K. W. Wójcicki.

PRZYPISY.

(A) „Komedye X. Franciszka Bohomolca S. J. w Lublinie w Koll. Jez. 1757. w 12-ce, trzy tomiki."

To jest drugie z porządku wydanie; bo pierwsze było w r. 1750; trzecia edycya wyszła we Lwowie, u Jana Szlichtyna 1758 r. w 12-ce.

Czwarta i ostatnia w Warszawie, w drukarni jezuickiéj, w pięciu tomach w 8-ce; druk trwał lat trzy, bo od 1772 do 1775 roku.

W nich zawarte są następne sztuki, bez rol kobiecych, najdawniéj napisane przez Bohomolca dla młodzieży szkolnéj.

Tom I. 1. *Figlacki polityk teraźniejszéj mody.* 2. *Nieroztropność swym zamysłom szkodząca.* Obie komedye przerobione z Moliera. 3. *Urażający się niesłusznie o przymówki.* 4. *Ojciec nieroztropny: z łacińskiego* Ks. Karola *Pore*, Jezuity; przerobiona.

Tom II. 1. *Arlekin na świat urażony.* 2. *Dziedzic chytry.* 3. *Natrętnicy.* 4. *Pan do czasu.* 5. *Filozof panujący* (z Gabryela Lezej, Jezuity).

Tom III. 1. *Dziwak.* 2. *Chełpliwiec czyli samochwał.* 3. *Paryżanin polski.* 4. *Figlacki kawaler z księżyca.* 5. *Rada skuteczna* (przerobione z Moliera: le mariage forcé).

Tom IV. 1. *Statysta mniemany.* 2. *Mędrkowie.* 3. *Junak.* 4. *Ubogi hardy.* 5. *Ubogi pokorny.*

Tom V. 1. *Myśliwy.* 2. *Bliźnięta.* 3. *Kłopoty panów.* 4. *Przyjaciele stołowi.* 5. *Kawalerowie modni.*

Komedye gdzie ośmielił się Bohomolec wprowadzić na scenę i kobiety, wydał p. n.

„Komedye na teatrum J. K. Mci. W Warszawie, w drukarni Jezuitów 1767 r. w 8-ce." W tym zbiorze mieści się cztery sztuki: 1. Monitor (w jednym akcie). 2. Wdowa (we 3 ch aktach). 3. Pijacy. 4. Pan dobry.

F. Bentkowski (Histor. Lit. pol. T. I. str. 526) domyśla się że i następne sztuki, podobnymże drukiem jak poprzednie wydane, są Bohomolca.

5. Ceremoniant. Komedya. W Warszawie, w druk. Jez. 1767 w 8-ce.

6. Małżeństwo z kalendarza. Tamże b. r. w 8-ce.

7. Staruszka młoda. Komedya we 3-ch aktach, t. b. r. w 8-ce.

8. Staruszkiewicz, t. b. r.

9. Marnotrawca, t. b. r. Wolny przekład z Destucha.

(B) Operę tę wydał Bohomolec bezimiennie p. n.

„Nędza Uszczęśliwiona" z muzyką P. Kamińskiego. W Warszawie, u Diufura 1778 w 8-ce.

(C) „Franciszka Bohomolca Soc. Jesu rozmowa o języku polskim, najprzód po łacinie napisana, teraz z przydatkiem i odmianą na polski język przełożona przez Xawerego Leskiego Chorążyca Malborskiego. W Warszawie, w drukarni Miclerowskiéj 1758. 8-ka, str. 50.

(D) Od roku 1760 Bohomolec prowadził korrespondencyę gazetną dla pana Stolnika Drohickiego. Niéma śladu aby była drukowaną, wnosić przeto można, że ją tylko listownie prowadził, jak było w owe czasy zwyczajem, i wiele tego rodzaju gazet mamy pod ręką. Przywiedziem tu *memoryał* Bohomolca własnoręczny, w którym wspomina i o wydaniu Kronikarzy.

Był wtedy *prefektem* czyli zarządzającym drukarnią Warszawską kollegium Societatis Jesu. Data z 26 kwietnia 1764 roku.

„Z rozkazu W. JM-ci Pana Stolnika Drohickiego, ks. Bohomolec zaczął korrespondencyę gazetną roku 1760 primis aprilis. Skończą się jéj cztéry lata tego roku na początku aprila. Za dwa lata zupełnie mu za pocztę i gazety zapłacono, ale mu należy jeszcze za drugie dwa lata, które się skończą 1-mi aprilis tego roku. Ztąd pozna W. Jmość p. Stolnik Dobrodziéj czego żąda przez ten memoryał ksiądz Bohomolec.

„Tenże ksiądz Bohomolec za gazety francuzkie miał assygnacyę na 10 korcy owsa za rok przeszły. Podwodnicy nie oddali mu jak tylko 3 korce. Prosi więc o satysfakcyę z tych podwodników, przyrzekając ochotne usługi na wszelkie rozkazy Jmość pana Stolnika, dawnego swego dobrodzieja."

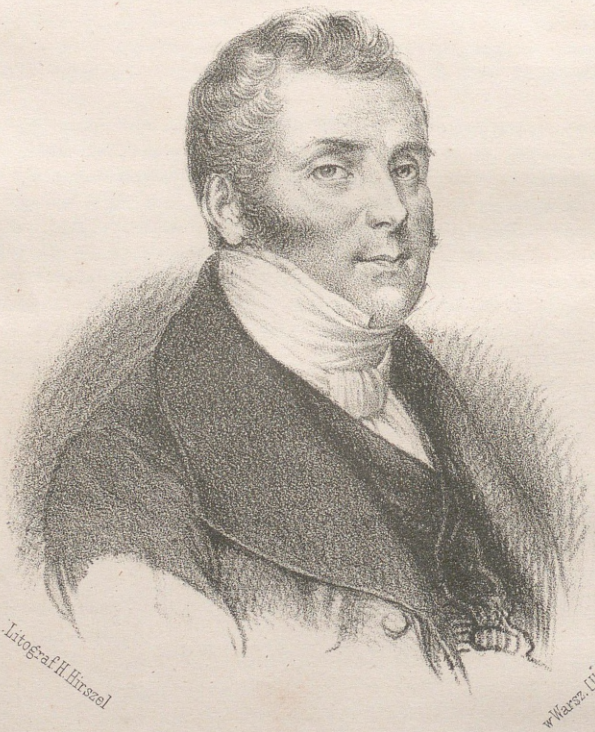
„*P. S.* Przypomina się téż i prenumerata, upewniając, że te *tomy historyczne*, będą potém we dwoje droższe."

(E) Przy piérwszym tomie *Zbioru dziejopisów polskich*, po oryginalnym tekscie Marcina Bielskiego kroniki polskiéj, dalszy ciąg dziejów jest oddany przez Bohomolca aż do Augusta IIIgo. F. M. Sobieszczański w swoich *poszukiwaniach historyczno-bibliograficznych* o rodzinie Bielskich (Album Literackie K. Wł. Wójcickiego tom II str. 399), mówi, że znalazł: „w notatach uczonego Kazimierza Chromińskiego, iż ten od najsłuszniejszych spółcześnie żyjących uczonych słyszał, iż rzeczywiście ksiądz Jan Bielski Jezuita gwoli dopełnienia niniejszego z Lengnicha wielce się przyłożył, co z gładkości i jasności stylu, jako i jego jednostajności potwierdzać się zdaje." Tomasz Święcki, który osobiście znał Bohomolca, uważał za jednę z ważniejszych prac jego, właśnie dopełnienie kroniki Bielskiego; rzeczywiście Jezuita Bielski pomagał Bohomolcowi w tém przedsięwzięciu, bo utrzymywał korrektę.

(F) Życie Zajmojskiego przedrukowane jest w *Wyborze pisarzy polskich* Mostowskiego 1805.

(G) Bohomolec biografię własną Ossolińskiego, doprowadzoną aż do 20 roku życia, wcielił do swojéj pracy. Życie Ossolińskiego przedrukował także Mostowski w swoim Wyborze pisarzy polskich.

Ostatnie wydanie obu życiorysów Bohomolca wyszło w Lipsku 1837—1838, w ozdobnej edycyi.



D. F. E. AUBER.

DYONIZY FERDYNAND

A U B E R.

Wielką jest zasługą artysty, jeżeli wpośród powszechnego popędu do obczyzny, zamiast niedołężnie naśladować cudzoziemców, potrafi utrzymać samodzielność ducha, zachować narodowość w sztuce. Ta sława słusznie Auberowi należy: bo zaprawdę od śmierci Boieldieu i Herold'a on jeden zpomiędzy kompozytorów fracuzkich, świetnie przedstawia *szkołę* francuzką; a gdy jedni biegną śladem Rossiniego i Meyerbera, gdy inni nie mogąc znaleźć prawdziwéj piękności w warunkach sztuki, szukają jéj w dziwném połączeniu dźwięków bez związku, i hałaśliwością usiłują zastąpić brak myśli: Auber równie daleki od naśladownictwa, jak i od ekscentryczności, unosi się na własnych skrzydłach, i własnych sił probuje. Jeżeli utwory jego nie są nacechowane piętnem wzniosłego gieniuszu, są bez zaprzeczenia pełne talentu, wdzięku i wytworności. Każdy rok pomnaża znaczną już i tak liczbę jego utworów, i przydaje nowy liść do bujnego wieńca artysty.

Gdy przed trzydziestu blizko laty ukazała się naprzód *Pasterka*, następnie *Emma*, publiczność mile ujętą została samodzielnością, prostotą, i fantazyą stylu nowego kompozytora. Obok uczonych, nadętych, i nieco ciężkich utworów Cherubiniego, kompozycye Aubera odznaczały się lekkością i wdziękiem. Talent jego wielce jest spowinowacony z talentem Skribego, a wspólne ich prace, zawsze z upodobaniem przyjmowane były.

Rodzaj stworzony przez Aubera, jest czysto francuzki: nie szuka on *effektu*, ani w harmonii niemieckiéj, ani w melodyi włoskiéj, ani w połączeniu obudwóch rodzajów; ale przywiązuje się do zalet, najlepiéj pojętych we Francyi. Wszakże jeżeli Auber otrząsnął się zupełnie zpod wpływu muzyki niemieckiéj, więcéj uległ wpływowi Rossiniego, umiał go jednakże zastosować do własnego talentu.

„Cała zaleta Aubera, (mówi znany krytyk) leży w nieprzerwanym ciągu motywów. Motywa stanowią życie i duszę jego muzyki. Utwory jego pozbawione są może wielkiéj myśli, lecz za to są pełne ciekawych szczegółów, i stanowią jakoby kosztowną mozajkę, złożoną z wielkiéj ceny sztuczek. Mówią że Auber, nadzwyczajną ma łatwość w kompozycyi. Ile Rossini stworzył wielkich melodyj, tyle Auber dał nam drobnych motywów, które się rozbiegły po całym niemal świecie. Trudne wprawdzie porównanie między dwoma mistrzami: jeden z nich śpiewa, drugi nuci; równa wszakże obfitość obudwóch, i niemniéj kwiatów rozsiał talent Aubera, ile drogich skarbów wydał potężny gieniusz Rossiniego."

Jednę tylko sztukę w wzniosłym rodzaju ułożył Auber, z zupełném powodzeniem, *Niemę z Portici.*

Wspomnione dzieło zawiéra cudnéj piękności szczegóły: uważają przecież w niektórych ustępach pewne wysilenie, gdy autor pragnie się koniecznie utrzymać na wysokiém stanowisku.

Komedyo-opera jest prawdziwém polem dla zdolności Aubera; tam jaśnieje w całém świetle, tam porusza się bez trudu, tam rozwija niezrównane bogactwo wyobraźni.

W czasie gdy Rossini przez lat przeszło trzydzieści dostarczał Europie *aryj, duetów* i *tercetów*; Auber ze swéj strony, zarzucał ją aryetkami i motywami do tańca. Jeżeli można mu niekiedy zarzucić brak siły i namiętności, za to przeszedł innych niepojętym wdziękiem i oryginalnością stylu; czém upowszechnił się w całéj Europie. Gdy w Paryżu wysilają się nad niezgrabném naśladownictwem niemieckiéj sztuki, tymczasem w Wiedniu, Berlinie, Monachium, i Dreznie, *Niema z Portici, Fra-Diavolo, Domino Czarne*, przedstawiane są z upodobaniem, i przyjmowane z oklaskami. Skribe i Auber zasłużenie zjednali sobie przydomek *talentów europejskich*, bo zaprawdę, niełatwo zadowalniać publiczność ciągle lat trzydzieści kilka, i to z ciągłém dla siebie powodzeniem.

Dyonizy Ferdynand Auber urodził się w Paryżu 1795 roku. Ojciec Aubera bogaty kupiec, człowiek z wyższém pojęciem, nie szczędził starań o troskliwe wychowanie syna. Przyszły *mistrz* odznaczał się zdolnością do rysunku i muzyki. W bardzo młodym wieku grał z wielką łatwością na wiolonczeli, skrzypcach i fortepianie. W późniejszych dopiéro latach, pojął on powołanie swoje artystyczne: w młodości utworzył zaledwie kilka pomniejszych *romansów.*

Przeznaczony do objęcia po ojcu kupieckiego zawodu, w dwudziestym roku życia, wyjechał do Anglii, w celu nabrania wiadomości handlowych. Po zerwaniu traktatu z Anglią, wrócił do Paryża.

Złączywszy się wówczas przyjaźnią ze sławnym wiolonczelistą *Lamarre*, napisał pod jego imieniem kilka koncertów na wiolonczelę, które sprawiły wrażenie w muzycznym świecie. Wówczas to przyjaciele Aubera, nakłaniali go nieustannie, aby zaczął pracować dla teatru; sam ojciec zachęcał go do tego. Ułożył więc naprzód kilka sztuczek granych na teatrach amatorskich, czując

wszelako niedostatek wiadomości muzycznych, począł pracować pod okiem Cherubiniego.

W roku 1813 wystąpił po raz piérwszy w teatrze z operetką w jednym akcie p. n. *Pobyt Wojskowy;* lecz nie doznał powodzenia: czém zrażony zawiesił na lat kilka dalsze swe próby. Posiadając podówczas znaczny majątek, wyrzekł się artystycznego zawodu; gdy w roku 1820, ojciec straciwszy całe mienie w nieszczęśliwych przedsiębierstwach, umiéra ze zgryzoty, zostawiając synowi całego spadku, zaledwie parę tysięcy franków.

Tak Auber zmuszonym został do szukania chleba w sztuce, w któréj dotąd czerpał jedynie chwile przyjemnego zajęcia.

Z razu nie śmiał sobie zaufać, rozpoczął swój zawód udzielaniem lekcyj na fortepianie, wkrótce jednakże za radą przyjaciół napisał operetkę *Testament*; powtórna próba nie poszła pomyślniéj niż piérwsza. Już Auber zaczął powątpiewać o sobie, gdy opera *Pasterka*, z wielkiemi oklaskami przyjęta, dźwignęła go zupełnie w powszechném mniemaniu. Dzieło to, pełne myśli samodzielnych, szczęśliwych melodyj, odznaczające się pełną wdzięku instrumentacyą, dramatycznością i nowością stylu, stanowi węgielny kamień późniejszéj sławy Aubera, a nowa opera *Emma*, grana w 1821 roku, nie mniejsze znalazła powodzenie.

Dotąd Auber, przejęty był duchem Gretrego, Dalajrac'a, i Mousini'ego; wznawiał przestarzałą ich metodę, ubiérając ją w nowoczesne kształty; lecz w owym czasie, zaczął w muzycznym francuzkim świecie panować Rossini, a Auber mimo swéj oryginalności, uległ mimo woli wpływowi włoskiego *mistrza*.

Opera w trzech aktach *Lejcester* (słowa Skribego) przedstawiona 1822 roku, pomimo wielkich piękności, i równie znakomitego powodzenia, osądzoną była jako utwor niezupełnie oryginalny. Nie ulega temu zarzutowi *Domino Czarne*, bo opera ta zawsze i na każdej scenie znajdzie chlubne dla siebie przyjęcie.

Późniejsza opera *Śniég* (La Neige) nosi wyraźną cechę walki Aubera z samym sobą. *Leokadya* wystawiona w 1824 roku lepiéj przyjętą została. Kompozytor potrafił się najdokładniéj przejąć myślą i słowami Skribego, ztąd wynikła doskonała jedność utworu.

W roku 1825 Auber otrzymał krzyż legii honorowéj. Wkrótce potém napisał *Mularza*, i *Fiorellę*. Arcydziełem wszakże Aubera, jest niewątpliwie *Niema z Portici*, opera w 5 aktach ze słowami Skrybe i Delavigne. Przedstawiono ją po raz piérwszy w Paryżu 1828 roku, z niesłychaném powodzeniem. Cała Europa równym odpowiedziała oklaskiem. Któż nie zna pięknego utworu Aubera, w którym autor umiał być wzniosłym, namiętnym, energicznym, a nadewszystko samodzielnym.

W roku 1829 grano po raz piérwszy *Narzeczoną*, odznaczającą się wielkiém bogactwem instrumentacyi, świetną *uwerturą*, i mnóstwem pięknych ustępów. Po przedstawieniu *Narzeczonéj*, Auber mianowanym został członkiem *instytutu* w wydziale sztuk pięknych. W roku 1830 ukazał się *Fra-Diawolo*: jestto niewątpliwie jedna z najlepszych komedyo-oper. Każdy zapewne zachował w pamięci piękną uwerturę, barkarollę, i zakończenie piér-

wszego aktu, równie jak aryę *Zerliny*, i śpiéw Fra-Diawola: „*Czy widzisz na téj skale*;" jako téż chór wieśniaczek, i modlitwę do Madonny.

Od roku 1830 do 1835 pojawiło się kilka dzieł Aubera pomniejszéj wartości jako muzyka do baletu, *Bożek* i *Bajadera* dla wielkiéj opery w Paryżu. Opery: Napój (*Le Philtre*) Przysięga (*Serment*), nakoniec *Gustaw III.*

W niektórych z tych widać nazbyt wielki pośpiech, w ostatniéj z właszcza uważano brak siły, nieodpowiadający ważności przedmiotu.

Odtąd Auber wrócił znów do komedyo-opery, ulubionego swego przedmiotu. *Lestocq*, *Bal kostiumowy*, *Koń spiżowy*, *Akteon*, *Domino czarne*, *Jezioro wieszczek*, *Klejnoty koronne*, *Książę d'Ollonne*, *Żanetta*, *Biały kapelusik*, *Żona ambassadora*, *Syrena*, *Spółka z szatanem* i w. i. dowodem są płodnego talentu kompozytora. Sąto utwory niejednakowéj wartości, wszakże najsłabsze z nich, odznaczają się pięknemi szczegółami, niepospolitym wdziękiem, i niewyczerpaną rozmaitością w pomysłach.

W niektórych pracach Aubera, widać zaniedbanie. *Felis*, znany krytyk muzyczny mówi, iż Auber wielokrotnie wyznawał, że nie ma zamiłowania w swéj sztuce. Szkoda niezaprzeczona, albowiem Auber, przy znakomitym talencie, byle przyłożył więcéj nieco pracy, mógłby zająć świetne stanowisko pomiędzy najpiérwszemi kompozytorami.

W ogóle Auber mało przywiązuje wagi do charakterów, i nie nadaje im wydatnéj indywidualności. Zdarza mu się niekiedy, że jakby przypadkiem stworzy piękny charakter, jak cudny *Fenelli*, w Niemém z Portici.

Auber namiętnie lubi tańce, i nieraz powtarza, że baletem zakończy swoje powołanie muzyczne. Przybywa zwykle na operę, w chwili gdy panny Elsler występują na scenę, a po skończeniu tańców, wnet opuszcza widowisko.

O ile miłuje balet, o tyle nie lubi opery: powiadają nawet, że nigdy nie był na przedstawieniu *Niemém*. Naśladuje w tym względzie Rossiniego, który utrzymywał, że nie cierpi muzyki, i pod tym zaledwie warunkiem dozwolił na wprowadzenie fortepianu do swego mieszkania, że nikt na nim grać nie będzie w jego obecności.

Pomimo téj ich wzgardy do muzy melodyi, sprzyjała ona równie Rossiniemu, jak i Auberowi. Za jéj bowiem pośrednictwem spłynęły na obudwóch zaszczyty, sława, a nakoniec pieniądze. Auber zebrał znaczny majątek.

W roku 1842, gdy stary Cherubini, na krótki czas przed śmiercią, złożył obowiązki dyrektora konserwatoryum muzycznego w Paryżu, po czterdziesto ośmio letniéj służbie, Auber zastąpił go na téj znakomitéj posadzie, i chlubnie rozpoczął swój zawód zaprowadzając w konserwatoryum, nader ważne na drodze postępu zmiany i ulepszenia.

Z utworów Aubera, teatr wielki w Warszawie przedstawił:

Mularza i ślusarza. Narzeczoną. Fra-Diavolo. Konia spiżowego. Jezioro wieszczek. Niemę z Portici. Współkę z szatanem, i Haydée.

Wyborny przekład *Niemém z Portici*, mamy przez J. D. Minasowicza w zbiorze *tworów* tego znakomitego pisarza: tom trzeci. (Lipsk 1844 r. 8-vo).



J. H^r DUNIN BORKOWSKI.

J. hr. Dunin-Borkowski

ŻYWOT
JÓZEFA DUNINA
BORKOWSKIEGO.

Józef Dunin Borkowski urodził się w Dzieduszycach wielkich na Pokuciu, dnia 22 marca 1809 roku, z ojca Franciszka i matki Franciszki z Dzieduszyckich. Najpiérwsze nauki pobierał w domu rodzicielskim. Miał lat 9 kiedy go zawieziono do Warszawy i oddano do konwiktu księży Pijarów, u których rok jeden zostawał. Uczęszczał potém do warszawskiego liceum, zostającego pod przewodnictwem Samuela Bogumiła Lindego, i skończył w nim klassę trzecią. Są wypadki w których ze świadectw szkolnych i zadowolenia nauczycieli o zdolnościach ucznia wyrokować nie można; niekiedy nawet mają się one do siebie w stosunku odwrotnym: dzieje się to zwykle tam, gdzie sposób w jaki się wykładają nauki i środki ku temu obrane są niestosowne i sprzyjają więcéj pamięciowemu mechanizmowi, niż samodzielnemu rozwijaniu zdolności. Co do Józefa, był on w téj mierze szczęśliwszym od innych, że trafił na nauczycieli, którzy mu najstosowniéj piérwsze wiadomości wpoić, i wcześnie na nim poznać się umieli. W świadectwie szkolném z dnia 9 września 1822 r. podpisaném przez Lindego, czytamy następujące wyrazy: „Młodzieniec ten tak we względzie naukowym jako i moralności jest wielkiéj nadziei. Na publicznym popisie otrzymał nagrodę.” W ciągu kilkoletniego pobytu w Warszawie ozwało się w nim mocne zamiłowanie literatury: czytał wiele i odwiedzał sławniejszych uczonych, jakoto Juliana Ursyna Niemcewicza, i Kazimierza Brodzińskiego, i z rozkoszą przysłuchiwał się ich rozmowom. Mimo usilne życzenie rodziców, aby tam i nadal

mógł zostawać, musieli oni zastosować się do przepisów krajowych zabraniających wychowania dzieci za granicą, i z końcem roku 1822 był już Józef we Lwowie, gdzie od piérwszéj gimnazyalnéj klassy zacząwszy, zdawał prywatnie po dwie klassy na rok.

Niepochlebny stan pod względem naukowości przedstawiała w owym czasie Galicya. Ważne w literaturze peryodycznéj przedsiębierstwa braci Chłędowskich wydawców Pamiętnika Lwowskiego i Pszczółki, już tylko znane były z tradycyi, z księgarskich niekiedy obwieszczeń, że są do nabycia po cenie bardzo zniżonéj. O nowych tego rodzaju usiłowaniach trudno było co słyszéć. Z krajowych drukarni rzadko kiedy pojawiła się książka w polskim języku. Jedynie pismo literackie donosiło od czasu do czasu, o występkach i zbrodniach jakie się na całéj kuli ziemskiéj zdarzały, a niekiedy wyczytałeś pod rubryką literacką że wyszło dzieło pod napisem: *Co dziś gotować?* Sam nawet teatr Lwowski znacznie był jakoś podupadł, i niewiele budził interesu. Na jedném z przedstawień głośnéj podówczas Barbary Felińskiego, zajęto tylko dwie loże na piérwszém piętrze, parterowéj żadnéj, a miejsc zamkniętych siedm. Były nawet widowiska, na których ani jednéj loży na piérwszém piętrze, ani na parterze nie zajęto. W towarzystwach wyższych, jeśli się zdarzyła chwila mądrości, usłyszałeś dowcipną bajeczkę Alberta Miera, lub ustęp z Fedry Rasyna przekładu Wincentego Kopystyńskiego, dwóch arystarchów literackich, a poniekąd i przedstawicielów umysłowości w Galicyi, nietyle zasługą jak raczéj zamożnością i stosunkami swojemi ze światem uczeńszym znakomitych, pod których przeważném zdaniem, sława wielkich nawet talentów, na długi czas cichnąć musiała. Wzorowe próbki przekładów Szyllera, przez Jana Nepomucena Kamińskiego rzadko się pojawiały, i najwięcéj od młodzieży tylko były cenione; a komedye Alexandra Fredry, który właśnie co tylko wtedy pisać zaczynał, długi czas nie miały należnego rozgłosu. W owych to czasach, w których łatwiéj było o wszystko, niż o jakikolwiek ruch umysłowy, widywałeś młodego chłopca, znaczących, i nieco na wschodnie zakrawających rysów twarzy, z czarnym mocno, na czoło spadającym włosem, w ubiorze dość zaniedbanym, który w towarzystwie młodszego brata do księgarni i biblioteki uczęszczał, każdą książkę z ciekawością oglądał, a najmiléj o literaturze rozmawiał. W mieszkaniu jego na ulicy Ormiańskiéj, ujrzałeś przedewszystkiém na stoliku pisma Brodzińskiego, i tylko co wtedy wyszłe dwa tomiki *poezyj Mickiewicza*, a na seksternach i okładkach ksiąg szkolnych, mogłeś nierzadko wyczytać parę wierszy, pobieżnie ołówkiem skréślonych, które jakkolwiek tchnęły naśladownictwem, nie były jednak bez wdzięku. Byłto Józef Dunin Borkowski. Poznałem się z nim na jednéj z przechadzek, a w krótce spędzaliśmy z sobą po kilka godzin codziennie przez lat kilka.

Między młodzieżą któréj zamiłowanie w naukach sięgało wyżéj nad szkolne przedmioty, można było wówczas dostrzegać dwojaką różnicę. Jedni wczytywali się w dzieła Krasickiego, Trębeckiego, Kniaźnina, i tym podobne, unosili się nad ich zaletami, całkowite z nich ustępy umieli na

pamięć i starali się je naśladować. W wyobrażeniu ich najwyżéj stał Felińśki, a wszystko rozciągające się poza niego, zdawało się im mniéj godne uwagi. Drudzy nie wypuszczali z rąk Szyllera, Szekspira i Bajrona, porwani ich pięknościami, ważyli lekce wszystkich pisarzów polskich, tak dawnych jako i nowych; w jednych tylko *dziadach Mickiewicza, poezyę znajdując*, i to w miejscach, które według wyobrażeń dzisiejszych najmniéjby pochwał zyskały; do nich więc przykrawywali swoje próby młodzieńcze. W piérwszych widoczne było pewne opóźnianie się, w drugich obok gorącéj chęci postępu, nieznajomość ojczystych pisarzów, a przeto brak gruntownéj podstawy, na którejby się oprzéć mogli; dlatego w płodach ich literackich odbijało się do późnego nawet czasu, rażąca obczyzna tak co do języka, jako i sposobu pisania. Różne od obydwóch zdanie i skłonność odbijały się już wtedy w J. D. Borkowskim. Wielbiciel cichych i głębokich obrazów, rozczytywał się już z upodobaniem w poezyach Brodzińskiego, o którym niejeden szczegół z jego życia opowiedzieć umiał; przyswoił sobie wszystko co tenże w sławnéj podówczas rozprawie swojéj o poezyi powiedział; obznajmiony przytém więcéj niż inni z pisarzami ojczystemi, oddawał cześć dawniejszym, powtarzał z zapałem liryczne uniesienia Jana Pawła Woronicza, i nową szkołą już tchnące ułamki poezyi Tymona Zaborowskiego; cenił zarówno plastyczne ustępy w Mickiewicza Grażynie, jak i uczuciowe w jego Dziadach, a nad porywające strumieniem wymowy, niektóre miejsca w płodach Szyllera, zwłaszcza w dramatach, zdawał się przenosić prostotę Goethego, ujmującą jedynie wewnętrzną wagą pomysłu. Wszystko to nadawało mu między towarzyszami pewien wyraz oddzielny i robiło wielce zajmującym w rozmowach. W ciągu lat kilku grono zajmujących się literaturą we Lwowie powiększyło się dość znacznie, a przyjacielskie udzielania się za pośrednictwem J. D. Borkowskiego, przybrały postać uczonych posiedzeń, na których każdy płody swoje odczytywał, i zdania drugich zasięgał. Wielu z tych młodocianych towarzyszów Józefa, przeszkodziła w obranym zawodzie albo śmierć wczesna, lub niespodziane życia wypadki; że jednak owczesne ich usiłowania nie przeminęły bez zostawienia jakiego bądź śladu po sobie, tu tedy będzie stosowne miejsce napomknąć o nich cokolwiek. Jednym z najwięcéj cenionych był Szczęsny Chlibkiewicz. Biegły w języku angielskim, tłumaczył on wybornie niektóre pieśni Bajrona i zamyślał wtedy o przekładzie Mazepy. Niektóre oryginalne wiérsze swoje umieszczał w pismach ówczesnych. Klemens, Julian i Faustyn Boguccy gorliwi zwolennicy tak zwanéj wówczas szkoły romantycznéj, mocno się literaturą zajmowali. Po piérwszym został w rękopiśmie całkowity niemal przekład Don Karlosa Szyllerowskiego, i ustępy z Makbeta; drugi tłumaczył liryczne Szyllera poezye, a ostatni probował sił swoich w powieści. Albin Niezabitowski zrazu wyłączny wielbiciel Felińskiego i jemu podobnych, stał się wkrótce najzapaleńszym zwolennikiem Mickiewicza, i naśladował w większym poemacie jego Dziady. Kilka jego elegii i wiérszów ulotnych, znane są częścią z dzienników, częścią też z rękopismów. Baltazar Zbrożek tłumaczył szczęśliwie niektóre sceny z Wallensztajna Szyllerowskie-

go; z oryginalnych jego prób drukowany był wiérsz do Podola. Ignacy Kikiewicz, pełen zdolności i najszlachetniejszych uczuć, które chwalebném poświęceniem się udowodnił, tłumaczył wtedy Horacego, i na sposób Kajetana Koźmiana, którego cenił wysoko, probował pisać ody z powodu niektórych okoliczności krajowych. Zginął zaledwie licząc lat dwadzieścia kilka.

Zpomiędzy tych i tym podobnych towarzyszów, których imiona zamilczam, był Józef wiekiem najmłodszy, niemniéj jednakże od wszystkich ceniony, najchętniéj słuchany ilekroć nowy swój utwór odczytywał lub otwierał zdanie w jakim przedmiocie. Kiedy nawet późniéj, niektórzy zawistni jego wzrastającéj między młodzieżą wziętości, ozwać się chcieli na jego szkodę, nie znajdowali innego przeciw niemu zarzutu jak ten, że nazbyt w młodym wieku brał się do piśmiennictwa.

Najwcześniéj drukowany wiérsz jego był o dobroci Boga, którego sam nadpis daje poznać uczucia z jakiemi w zawód ten wstępował. Jakoż przez cały ciąg życia jego ogrzewała go głęboka, czysta i niefanatyczna religijność. Z tegoż czasu pamiętam jego poezye: wieczór, kościołek powalony, i kilka uwag prozą nad wychodzącemi dziełami. W ogólności jednak tak wiérsze jak i rozprawki jego z owéj pory miały tylko wartość przechodową, i jakkolwiek wtedy mogły być cenione i wywierać wpływ zbawienny na otaczające go koło, tak w stanowisku dzisiejszém okazałyby się niedostateczne; o czém sam autor przekonanym był do tyla, że żadnego śladu o nich nie zostawił w swoich rękopismach.

W roku 1827 udał się z bratem do Czerniowiec gdzie słuchał filozofii przez lat parę. Wypadki w Grecyi napełniały wówczas całą Europę, a Czerniowce były przytułkiem wielu rodzin greckich, które tu spokojnie przesiadywały. Poznał się tu Józef z wielą światłymi Grekami i przejąwszy się ich sprawą, opiewał ją z zapałem Bajrońskim w hymnach. Kilkanaście ich znajduje się w rękopiśmie, a niektóre są nader rzadkiéj piękności. Młódź grecka, którą Józef do doskonalenia się w języku ojczystym i do oddawania się piśmiennictwu zapalał, i która dla niego pieśni ludu po różnych stronach Grecyi zbierała, przysłuchiwała się z rozkoszą tym jego hymnom, i rozwoziła je z sobą po różnych okolicach. Do nich to stosują się następujące słowa w jednéj z jego pieśni.

Poezye moje jak ptaki, jak strzały
Puściłem w okrąg po świecie:
Były w Atenach, w Koryncie zabrzmiały,
I na Pindu białym grzbiecie;
Zwiedziły Hydry bohaterskie skały,
Epir jak wielbłąd z garbami,
I miasto złote jak blaski południa,
Z tysiącznemi meczetami.
I wszędzie dla nich i stoły i studnia,
I kwiat i owoc i oczu wzrok błogi,
Otwarte serca, i gościnne progi.

Łatwo mu było w takich stosunkach wyćwiczyć się w nowo-greckim języku, czego też nie zaniechał. Począł się był także uczyć języka tureckiego, lecz niedaleko tę naukę doprowadziwszy, w końcu ją całkiem zaniechał. Zbiorek pieśni greckiego ludu nieznajdujących się u Fauriela, przygotował był wtedy do druku, i zajął się przekładem na język polski dziejów literatury nowo-greckiéj Jakowakisa Rizosa Nerulosa. Ukończywszy tę pracę, chciał ją natychmiast drukiem ogłosić, co jednak z powodu przeszkód, które usunąć nie było w jego mocy, uskutecznione być nie mogło; rękopism wszakże tych dziejów uczonemu stryjowi swemu Stanisławowi Duninowi Borkowskiemu przypisawszy, posłał Towarzystwu przyjaciół nauk do Warszawy. Jakie uczucia przejmowały go na widok powracających do kraju swego Greków, została tego piękna pamiątka w następującym hymnie do Konstantyna Rizosa, syna Jakowakisa, autora dziejów literatury nowogreckiéj, z którym się w roku 1828 poznał i zaprzyjaźnił.

OKRĘT.

I.

Spaniale okręt w owe płynie strony
Gdzie swobodnie słońce wstaje;
Głośne w eterze kołyszą się tony:
Daléj w bohatyrów kraje!
Stójcie żeglarze! z brzegu zawołałem;
Nie tak spiesznie idźcie w drogę
Z równym wam kocham Elladę zapałem,
Czemuż być z wami nie mogę?

II.

Weźcie mnie z sobą w te święte krainy
Zkąd błysnął oświaty promień,
Gdzie do wędrowca głazy i ruiny,
Mocą przemawiają wspomnień.
Gdzie się z powietrzem miesza czyste tchnienie,
Krwią ich morze spurpurzyło,
Ach! jak tam słodko ugasić pragnienie,
Jak tam oddychać jest miło!

III.

Ludzkości długów zaciągnąłem tyle,
Że chcę przyspieszyć spłacenie;
I ja winienem łzę Pargi mogile,
Nieszczęściom Skios westchnienie.
Weźcie mnie z sobą na Suliockie wzgórza
Pójdziemy na Hydry skały,
Przejdziemy ziemię i przepłyniem morza,
Miejsca bohaterów chwały.

IV.

Tam nas Bocarych, Dzawellasów cienia
Słodkiemi obdarzą snami,
Zwycięztwem będą tam nasze marzenia,
A nasze myśli orłami:
Tam gdzie z pieczary, wolnych Kleftów łona,
Wznoszą się sępy zwycięzkie,
Zanucim pieśni na lutni Bajrona,
Ogniste dzikie i męzkie.

V.

Stójcie żeglarze! Bałwany wezbrane
Okręt unosiły nagle,
Tylko zdaleka wiatrem kołysane,
Jak nadzieje, błysły żagle.
Już i szczyt masztu uchodzi zprzed oka,
Zdaje się że okręt tonie;
Na morzu cisza osiada głęboka,
Jak w sercu męża po zgonie.



roku 1829 wróciwszy do Lwowa zastał tu odmienny stan rzeczy. Walenty Chłędowski wsparty pracami Alexandra Fredra, Jana Nepomucena Kamińskiego i kilku młodszych pisarzy. powstał na niektóre przywłaszczone powagi literackie w kraju i ogłosił *Haliczanina*. Przyłączył się do tego najchętniéj Józef, dał mu niektóre swoje artykuły, i przyrzekł wspierać go niemi stale na przyszłość. Jakoż znajduje się w Haliczaninie rozbiór nowogreckich pieśni Alexandra Chodźki, i elegia na śmierć Jana Pawła Woronicza, pióra Józefa. W tym jeszcze roku opuścił Lwów udając się z pomienionym stryjem swoim do Wiednia, gdzie blizko rok bawiąc oddawał się wyłącznie nauce greckiego języka tak starego jak i nowego, których znajomość przywiódł do zupełnéj doskonałości. Nauczycielem jego był *Kumas*, autor sławnego słownika, i dziejów powszechnych. Poznał tu się ze znakomitemi uczonemi, jakoto: z Kopitarem i Hammerem, nadewszystko zaś z Grekami, bądź tu zamieszkałymi, bądź przyjezdnymi i z nimi najwięcéj obcując wzbogacił wiadomości swoje o dziejach literatury nowogreckiéj do tyla, iż dzieło Rizosa Nerulosa, wydało mu się niedostatecznem, i zaczął myśléć o napisaniu oryginalnego dzieła w tym przedmiocie. Dawał on nieraz dowody wielkiéj swéj w nim biegłości. Wszystkie najrzadsze wydania dzieł greckich znał i posiadał; wiedział przytém szczegółowo przygody ksiąg i autorów, w czém mu jego ogromna pamięć wybornie usługiwała, tak, iż najuczeńsi Grecy dowiadywali się od niego o rzeczach nowych dla siebie. W 1830 r. wrócił na krótki czas do Lwowa; a w następnym znajdował się tam, gdzie dawniéj piérwsze nauki szkolne z takim postępem pobierał. Nareszcie od r. 1832 bawił we Lwowie, kiedyniekiedy tylko na czas niedługi, do domu rodzicielkiego w Gródku pod Zaleszczykami, lub do Głuchowic wyjeżdżając. To była właściwie pora, w któréj jako już wielostronnemi wiadomościami zbogacony, mógł korzystniéj pracami swemi służyć krajowi. Rozpatrywał się w greckich klassykach, i probował przekładać ich na język polski. Tak, znajdują się w jego rękopismach znaczne ustępy z Homera Odyssei, Hezyoda Teogonii, i niektóre jego hymny; cały prawie Apollodor, to źródło jedyne greckich mytów; dwie księgi niezupełne Herodota dziejów, mianowicie Klio i Melpomene, którato ostatnia

jak wiadomo, ma najwięcéj interesu dla nas ztąd, że opisuje najdawniejszych mieszkańców naszéj ziemi: Skitów. Zastanawiając się nad ojcami epopei, Homerem i Hezyodem, nie uszła baczności jego różnica wiersza sześciostopowego czyli hexametru u Greków i Rzymian, Cała owa sławiona doskonałość hexametru, u starożytnych jest właściwie tylko wymysłem Rzymian, i ową to pozorną doskonałością formy uwodził się nasz Dmochowski kiedy Wirgilego nad Homera przekładał. Co do tłumaczów polskich Iliady, których Józef w obszernéj rozprawie porównać i ocenić zamyślał, kładł on najwyżéj ów mało znany i w Warszawie przez Kicińskiego wyśmiany niegdyś przekład Staszica. Mąż ten zdaniem jego, najlepiéj zrozumiał charakter Homerowskiego tworu, i z całą śmiałością silnego przeświadczenia starał się go schwycić i oddać w języku polskim, nie dbając na szyderstwo jakiém zfrancuziali pisarkowie rzucić nań umieli. Dziś przyznając słuszność jego usiłowaniom, żałować tylko wypada, że do oddania wielostronnych wdzięków Homera, Staszic zamało miał zdolności, nie był bowiem poetą.

Porównanie języka staro-greckiego z nowogreckim, zajmowało długi czas Józefa. Różnicę między niemi znachodził on wcale niewielką. W téj mierze był tego mniemania, że to jest jeden i ten sam język, który uległ tu i owdzie pewnym małoznaczącym odmianom, dającym się łatwo wytłumaczyć samym zbiegiem okoliczności. Pomysł przez Dankowskiego rzucony, o jakiémś nader blizkiém powinowactwie Greków ze Słowianami, uważał za etymologiczne błazeństwo, z którém się bardziéj kuglarzowi, niż prawdziwie uczonemu popisywać należy. Żaden rozsądny, nie będzie upatrywał chluby dla swego narodu w tém co mu było obce, choćby to się naciąganemi dowodami, jako tako skleić dawało. Nic komiczniejszego, mawiał on, jak widzieć spore dzieła niektórych sławianofilów, których cała mądrość oparta jest na fałszach etymologicznych, lub nawpół niedosłyszanéj, a wpół skłamanéj baśni gminu.

Do korzystnych jego w tym przeciągu czasu zatrudnień, należało poznanie języka Mołdawianów, którzy w wielorakich z narodem naszym stosunkach zostawali. Nauczył go się własną usilnością w roku 1835, i wkrótce doprowadził do tego, że mógł w nim pisywać listy, a nawet układać niektóre poezye. Czuł jednak mocno tę prawdę, że wszelkie rzucanie się w obczyznę, jeśli nie ma być czczą tylko fanfaronadą, powinno mieć cel jakiś. Jestto jakby jaka podróż, w któréj jeśli się wystawiamy na niewygody, i niemiłe rozłączenie z krewnemi, to dlatego tylko, aby z plonem pewnym do własnego domu powrócić. Dlatego jak przekładał dawniéj klassyków greckich, tak teraz starał się poznać niektóre źródła dziejowe Mołdawianów, mające związek z dziejami polskiemi, i takowe wraz z uwagami nad językiem mołdawskim i jego pokrewieństwem z językiem polskim, przygotował do druku. Tłumaczenia jego greckich pisarzy, jakiekolwiek z nich korzyści odnieść może literatura ojczysta, nie były jednak głównym celem, do którego zdążał. Wiedział on jak wysoką wartość nad pojedynczemi przekładami jednéj lub drugiéj księgi zagranicznéj, ma takie dzieło,

któreby obznajmiało naród z całością literatury obcéj i z jéj stopniowym rozwojem, a razem, wskazywało w czém, i w jaki sposób literatura narodowa z obcéj najlepiéj korzystaćby mogła. Wszystkie tedy przekłady służyły mu po większéj części do gruntowniejszego obeznania się z zaletami greckiéj literatury, a wynikłość długoletnich uwag swoich, chciał złożyć w swojéj historyi owéj literatury, do któréj mnóstwo materyałów w rękopismach swoich zostawił. Obok tych zatrudnień nie zapomniał o literaturze peryodycznéj, i od roku 1833 zasilał artykułami swojemi kolejno różne pisma jakoto: Ziewonie, Pamiętnik naukowy krakowski, Bibliotekę Warszawską, i dziennik Kulczyckiego; przetłumaczył nadto dla teatru tragedyę Dumasa: Teressę, i od czasu do czasu, posyłał do dziennika Mołdawskiego, wychodzącego w Jassach wiadomości o literaturze polskiéj. Towarzystwo uczone mołdawskie mianowało go swoim członkiem. W roku 1837 przygotował był znaczny zapas artykułów tak swoich jako téż swoich przyjaciół, i zamierzał wydawać pismo tomikami w nieoznaczonych okresach, pod napisem: *prace literackie*. Po piérwszéj jednak próbie tego rodzaju przekonał się o niepodobieństwie wydawania go odpowiednio potrzebom, i wymaganiom publiczności, i zostawił to do pory sposobniejszéj. Dawniéj już mianowany członkiem uczonym zakładu imienia Ossolińskich, wezwany był w roku 1842 powtórnie przez Adama Kłodzińskiego bibliotekarza tego zakładu, aby się przyczynił artykułami swemi do wydawania: „Biblioteki." Wezwanie to naprowadziło go na myśl, którą gdy późniéj rozwijać zaczął, postanowił napisać dzieło mające związek z dawniejszemi jego pracami, a z którego ważniejsze ustępy, ogłaszać chciał w tém piśmie. Chciał on w nim wykazać jaki wpływ wywierała od najdawniejszych czasów literatura grecka na oświatę w Polsce i ile z niéj u nas korzystano. Plan tego dzieła zakreślił na wielki rozmiar. Nie przestając na tém co w najuczeńszych dziełach o tym przedmiocie powiedziano, brał każdą księgę do ręki, których mu tak biblioteka Ossolińskich, jako i biblioteka akademicka obficie dostarczały, czytał ją od deski do deski i kreślił w krótkości zdanie swe o niéj i o jéj autorze, popierając takowe przytoczeniem miejsc ciekawszych. W przeciągu kilku miesięcy wygotował około stu arkuszy takich przeglądów, wypisów i biografij, i przekonał się o niejednym fałszu, który dotąd w naukowym świecie za prawdę uchodzi. Dziełu temu dał napis: *greczyzna w Polsce*. Śmierć nie pozwoliła mu je dokończyć, a to w części najważniejszéj, mianowicie tam, gdzie już od pojedynczych szczegółów miał przystępować do prawd ogólnych. Tém pożądańsze zapewne będą dla publiczności niektóre jego spostrzeżenia jakich mi w poufnéj rozmowie udzielał.

Obiega dziś w wielu uczonych dziełach to twierdzenie, że dawni Polacy kształcili się wyłącznie na dziełach rzymskich z zaniechaniem literatury greckiéj, do któréj albo wcale nic, albo nader mało, i to już w czasach późniejszych zaglądali. Ci co tak utrzymują, wychodzą z tego, że Polska oddalona od Konstantynopola, nie miała bezpośrednich z cesarzami bizantyńskiemi stosunków. Wspiera ich nadto ta upowszechniona pogłoska, że

znany z mnogich dzieł swoich uczony Polak, Jerzy Liban, który żył od roku 1464 do r. 1544, był na początku XVI wieku piérwszym nauczycielem języka greckiego w akademii krakowskiéj, a i jemu zabroniło było wyższe duchowieństwo, przez czas jakiś wykładać publicznie tę naukę. Ztąd biorą niektórzy pochop do mniemania że z przyczyn religijnych zaniedbywano u nas ten język. Wszystkie te jednak powody są tylko pozorne i po większéj części mylne w swym gruncie. Jest bowiem rzeczą pewną, żeśmy mieli niektóre bezpośrednie z cesarzami bizantyńskimi stosunki. Tak w 1018 r. wyprawiał Bolesław Chrobry świetne poselstwo do cesarza bizantyńskiego, Bazylego III, ofiarując mu swoję przyjaźń, a w razie jéj odrzucenia, potęgą mu swoją zagrażając. Musiał więc król ten, mieć na dworze swoim ludzi zdatnych do takiéj posługi i posiadających język grecki. Wiadomo także, że syn jego Mieczysław drugi, umiał sam po grecku, jak o tém poświadcza w swym liście księżniczka szwedzka, Matylda. I nic téż nie jest w tém dziwnego, gdy zważymy, że żona Mieczysława, Ryxa, była wnuczką Teofanii Greczynki, córki Romana cesarza wschodniego. Od tego króla począwszy, znaczna część mieszkańców Polski była obrządku greckiego i w stosunkach z patryarchami greckimi, a przeto sama nauka języka greckiego nie musiała być zupełnie obcą w tych ziemiach; niekiedy przebywali w nich sami władcy greckiego narodu, członkowie ich rodziny, lub ich posłowie, jak Teodor Laskarys, zięć cesarza Alexego, za czasów Leszka Białego w Haliczu; za Kazimiérza Wielkiego w Krakowie król Kipru; a za Jagiełły posłowie cesarza wschodniego, Emmanuela II, którego Jagiełło zaopatrzył hojnie zbożem i ludem. Co się zaś tyczé Libana i jego nauczycielstwa w Krakowie, przekonać się można z własnych słów jego, i z tego co o życiu jego Janocki i Mułkowski powiadają, że kiedy przybył do Krakowa (a trzeba wiedzieć, że i sam Liban był dawniéj uczniem akademii krakowskiéj), zastał tam nietylko mężów z którymi się mógł doskonale rozmówić po grecku, jakoto: Jana i Franciszka Bonerów, Piotra Tomickiego, Stanisława Hozyusza; ale nadto znalazł w ich bibliotekach, mnóstwo dzieł greckich tak drukowanych jako i rękopismów, z których sam wiele korzystał, i za których uprzejme udzielanie sobie, zachował największą wdzięczność dla tych mężów. Zrobił także Józef Dunin Borkowski trafne spostrzeżenie, że Libanowi zabraniano nauczycielstwa w akademii krakowskiéj, nie z przyczyny języka greckiego, bo tylko bardzo ograniczony mnich jaki, mógł w tém upatrywać niebezpieczeństwo dla religii, ale z powodu kilku mów, które miał w kościele P. Maryi w Krakowie, jak to sam Liban w przemowie swojéj do Hozyusza wyznaje. Wreszcie przekonał się Józef Dunin Borkowski, że tłumaczenia autorów greckich na język łaciński, i różne objaśnienia ich i wykłady, które albo w Polsce, albo przez Polaków dokonane były, należą do najlepszych prac tego rodzaju i poszukiwane były w całéj Europie. Wszystko to wskazuje wyraźnie, że język grecki, ani tak późno jak niektórzy mniemają, ani tak powierzchownie w Polsce wykładano, że mu duchowieństwo Polskie nie kładło tak wielkich przeszkód; owszem z powodu sa-

mych sporów kościelnych, znajomość jego stawała się coraz potrzebniejsza kapłanom. Te i tym podobne uwagi są dostateczne aby usunąć, a przynajmniéj bardzo zmodyfikować ów zarzut jednostronnego kształcenia się narodu naszego w czasach dawniejszych. Józef Dunin Borkowski chciał udzielić tych swoich spostrzeżeń Michałowi Wiszniewskiemu, autorowi historyi literatury polskiéj (dla którego miał największy szacunek, i przez którego w roku 1840 uczonemu towarzystwu krakowskiemu przedstawiony na członka, mianowany został), a to w tym celu, aby tenże w tak ważném dziele swojém, które publiczność z zapałem odczytuje, sprostował niektóre mylne w tym przedmiocie twierdzenia.

Długą chorobą i ustawicznem natężaniem umysłu, znacznie już był zwątlony na siłach, kiedy w skutek podanéj przez Tadeusza Wasilewskiego myśli, aby wydać Album na korzyść pogorzelców, podjął się powierzonéj mu przez przyjaciół redakcyi téj książki, i w czasie, w którym słabość jego zatrważające robiła postępy, widywano go zajętego przez większą część dnia, to zbieraniem i porządkowaniem nadsyłanych artykułów, to ich poprawą. Jedna z pięknych poezyj umieszczona w téj książce, jest poniekąd natchnieniem ostatnich chwil jego. Staraniem swojém przyprowadził do tego, że już połowa Album odbitą była na czysto, a umiérając nie przepomniał polecić stojącemu obok bratu, aby się zajął dalszém tego dzieła wydaniem. Umarł dnia 18 czerwca 1843 roku.

Był chararakteru łagodnego, w pożyciu ludzki, w obcowaniu uprzejmy, i chętnie udzielający się młodzieży, która się zewsząd około niego gromadziła, a na którą on wpływał korzystnie. Nadewszystko zasługuje na wspomnienie jego uczynność: stojąc w wielorakich związkach z uczonymi, podejmował się ochoczo usług połączonych nierzadko z przykrościami, i takowe dopełniał sumiennie. Ta sama uczynność była powodem, że mając wiadomości w lekarnictwie, (ile że dla własnego zdrowia nieraz nad niém zastanawiać się musiał), podejmował się dawać rady zachowania się chorym, opuszczonym od lekarzy i zrozpaczonym osobom, a samo rozbudzenie siły moralnéj, sprawiało im znaczną w cierpieniach ulgę, a niekiedy zupełne wyzdrowienie.

Są kwiaty, które niezbyt rychło się rozwinąwszy, rosną i kwitną przez cały ciąg przeznaczonéj im pory; są inne, które wschodzą raniéj, świetniéj przez chwilę rozkwitają, ale też nikną zawcześniéj. Życiu tych ostatnich podobien był żywot Józefa Dunina Borkowskiego. Jego kształcenie przypada w epokę dzieciństwa, w lata młodzieńcze rozwinięcie się wszystkich zdolności, a ledwie stawał na progu wieku męzkiego, skończył swój zawód. W dwóch różnych swego życia okresach znajdował się u celu jednego, zdążając doń różnemi drogami: raz kiedy zawód piśmienny poczynając, od poznania narodowego piśmienictwa wywodził; drugi raz kiedy z plonami literatury obcéj wracał dla wzbogacenia ojczystéj. W jednym i drugim okresie znajdowali wzór dla siebie jego współtowarzysze, a chwila w któréj się z niemi rozłączył, utrwaliła go w ich papięci hożym młodzianem, podobnym jednemu z owych gieniuszów, których z lotną stopą, promieniącém obliczem, i roznieconą w ręku pochodnią, wystawiała ulubiona mu Grecya.

August Bielowski.

I.



REJ Z NAGŁOWIC.

MIKOŁAJ REJ

Z NAGŁOWIC.

DO

Zacnie urodzonego szlachcica polskiego, Mikołaja Reya z Nagłowic.

MI-łosierny wieczny Pan dać ci wiele raczył,
A prawie żadną rzeczą tu cię nie przebaczył.
KO-chać się przodkiem możesz w dziateczkach ućciwych,
Które noszą, twarz i stan, przodków twych poćciwych.
ŁA-ska Boża obfita to sprawiła tobie,
Iż w nich teraz w swych leciech rozkoszujesz sobie.
Y dał ci k temu dosyć doczesnéj możności,
Którać tak przypadała dla twojéj godności.
REY bowiem, jako mówią, ty sam w Polszcze wodzisz (1),
W naszym polskim języku ty sam przodkiem chodzisz:
ZNA-ją cię wszelkie stany, i na pieczy mają,
Tak wieldzy, jako mali, w tobie się kochają.
GŁO-śna jest sława w Polszcze rozumu twojego,
Wszakoż to jest nawiętsza, iż znasz Pana swego.
WI-ele błędów dzisiejszych imo sie puszczając,
Prawdziwéj, wiecznéj skały mocno się trzymając.
CZ-o Pan Bóg niechaj zdarzy, żebyś na téj skale,
Dom swój mocno zbudował, a mieszkał w nim trwale.

(1) W dawnym języku naszym *rej wodzić*, znaczyło przodować; *rej wieść w tańcu*, byłoto tańczyć w piérwszą parę, i wieść za sobą, i kierować całym wieńcem tancerzy.

Żywot i sprawy poczciwego szlachcica polskiego, Mikołaja Reja z Nagłowic, który był za sławnych królów polskich Zygmunta Wielkiego, piérwszego tém imieniem króla polskiego, a potém za Zygmunta Augusta, syna jego, także wielkiego a sławnego króla polskiego, który napisał Andrzéj Trzecieski jego dobry towarzysz, który wiedział wszystki sprawy jego (1).

* * *

„Ten to Mikołaj Rej wyszedł był z starodawnego a poczciwego domu, które zawżdy Rejmi zwano, którzy się zawżdy pisaliz Nagłowic, ze wsi ziemie krakowskiéj, powiatu księskiego, niedaleko to rzeki Nidy. A ci to Rejowie byli z starodawna herbu Okszéj, który herb zaniósł był do Polski niejaki Nankerus Ślężak, który tu jeździł w poselstwiech do królów polskich, i potym mu się w Polszcze spodobało, i tu był osiadł, i był biskupem krakowskim, i ten kościół wielki, jako teraz sam w sobie jest na zamku krakowskim, on z gruntu zbudował. I wiele potym tu tych Okszyców do Polski się za nim było przyniosło, których i po ty czasy dosyć jest. A był to naród tych Rejów zawżdy cichy, skromny, poczciwy, nie bawiąc się nigdy żadnemi świeckiemi sprawami, tylko zawżdy spokojnego a poczciwego żywota swego szlacheckiego używali. Acz był jeden starosta na Rowie, gdzie dziś Barem zową, rycerskiego stanu tam używając, i tamże go potym wielką mocą Tatarowie dobyli i zabili. A ten to Mikołaj Rej, miał ojca Stanisława z tychże Nagłowic, a stryja rodzonego Piotra, który żony nigdy nie miał, tamże w tych Nagłowicach leży, bo mu się były działem dostały, które przypadły na brata Stanisława.

A ten Stanisław, ojciec tego to Mikołaja udał się był na rycerski chléb do ziem ruskich, tamże się z młodości parał, bo tam miał stryja herbowne-

(1) Mało znany i upowszechniony podajemy tu wizerunek Mikołaja Reja z Nagłowic w młodym wieku, wraz z życiorysem przez przyjaciela jego Andrzeja Trzecieskiego napisanym, za życia jeszcze Reja. W jednym z następnych poszytów, damy drugi wizerunek tego znakomitego pisarza w 50 roku życia, z obszerniejszą biografią uczonego W. A. Maciejowskiego, która będzie dopełnieniem życiorysu tu podanego. Oba drzeworyty są wiernem faksimilem z dzieła nadzwyczaj rzadkiego p. n.

„Zwyerciadlo albo kształt w którym każdy stan snadnie sie może swym sprawam iako we zwierciedle przypatrzyć. Za szczesnego panowania sławnego krola Zygmunta Augusta krola Polskiego. Roku po narodzeniu Pańskim 1567."

(M. Reya) folio, druk Macieja Wirzbięty.

go téjże Okszéj, niejakiego Wątróbkę arcybiskupa lwowskiego, który go około siebie bawił, i tamże się był pirwszą żoną ożenił z narodu Buczackiego. Która gdy mu umarła pojął był drugą żonę tamże w Rusi z imieniem niemałem Barbarę Herburtownę, z domu zdawna sławnego Fulszyńskiego, siostrę rodzoną Herburta Odnowskiego, kasztelana Bieckiego i starosty Sądeckiego, herbu trzech mieczów w jabłku, która była została wdową po zacnym człowieku, po Żorawińskim, którego byli pojmali Turcy na Bukowinie za Alexandra króla, który potym tamże w tym więzieniu w kilka lat umarł, tamże w Rusi potym mieszkał. Tamże mu się z téj Herburtowny urodził syn tento Mikołaj w miasteczku w Żorawnie które dzierżał, nad Niestrem, nie daleko Żydaczowa, w mięsopustny wtorek, roku Bożego 1515. Tamże w tym Żorawnie ten Stanisław Rej umarł, i tamże leży. A tu dzierżał w krakowskiéj ziemi Topolą, Słąnowice, Bobin, ale tu barzo rzadko bywał.

A iż był człowiek pobożny, poczciwy, a spokojny, a nie parał się żadnemi sprawami ziemskiemi, także téż i o wychowanie tego syna mało dbał, bo jednegoż miał, także gi przy sobie chował aż do niemałych lat, że go byli potym ledwie namówili, iż go był dał do Skiermierza do szkoły, iż tam było blizko jego wsi Topoléj. Tamże był dwie lecie, i nic się nie nauczywszy wziął go był zasię do domu, i potym go był dał do Lwowa, i tam się téż nic nie nauczył, bawiąc się między przyjacioły, bo już był podrosły, a był tam dwie lecie. Potym dał go do Krakowa, i był rok w bursie Jeruzalem, też mu mało albo nic pomogło, bo już rozumiał co to jest dobre towarzystwo.

I zdało się ojcu, iż już był nauczony człowiek, a on przedsię jako dawno nic nie umiał; wziął go zasię do domu do onego Żorawna. Tamże z rucznicą, a z wędką biegając około Niestru, aż do ośmnaście się lat ćwiczył bąki strzelając. A gdy przyniosł pełne zanadra płocic, laskowych i wodnych orzechów, a kaczora, albo gołębia, abo wiewiorkę za pasem, to go z onéj koszule z płoskonek rostrząsali rospasawszy, ano wszystkiego dobrego dosyć. To się tu w nim kochali mówiąc: nic nasz Mikołaj, nic, ba nie zależyć ten na starość gruszki w popiele. Ano prawdę mówili, bo było prawie ze wszystkiego nic. Potym go posłali do Topoléj do stryja, aby go był wyprawił gdzie na służbę, i kupili mu kitajki na kabat na wyprawę, a on się jął brogiem wron łowić, a nim mu uszyto sukniéj, tym on kitajkę wykrajał na proporczyki, a czyniąc drzewca z onemi proporczyki przywiązywał wronom do szyje, a do ogona pod skrzydło, a żywo je puszczał. Także z onemi proporczyki latając wygnały inne wrony i kawki precz, że szkody w gumniech nie czyniły. A ten dla kabata rok przy urzędniku musiał mięszkać, aż ociec przyjechawszy, toż mu iny sprawił, a pan młody się ćwiczy około brogów z wronami. I dał go potym już we dwudziestu lat do pana Andrzeja Tęczyńskiego, który na ten czas był wojewodą Sędomirskim, a byłto człowiek zacny i mądry, acz był wzrostem mały, ale głowę wielką miał.

Tam potym będąc, począł go pan w listy polskie wprawować, bo łacińskiego języka bardzo mało, abo nic nie umiał. Tamże potym z listów, z rozmów między pisarzmi, z czytania, a snadź więcéj z natury, jął się już był

przegryzować po trosze i łacińskiego pisma czytać, a czego nie rozumiał, tedy się pytał. Także potym z onego zwyczaju począł potrosze rozumieć co czytał, a Bóg a natura ostatka dodał, iż był przyszedł potym *ad iudicium*, iż wżdy już rozumiał co czarno, a co biało. Jedno, iż mu to wiele przekazało, iż był zawżdy zabawion towarzystwem a muzyką tak z natury, że rzadkiéj któréj nie umiał. Teksty dziwne a wirsze rozmaite tak nic się nie rozmyślając czynił. A był pan barzo ciekawy z młodu, że nigdy na jednym miejscu długo posiedzieć nie mógł, a myśliwstwo mu też wiele przekazało.

Potym zasie odstawszy od onego pana parał się znowu między przyjacioły w Rusi, ale nigdy nie służył, a wszakoż był zawżdy pilen hetmana, który był na ten czas zacny człowiek Mikołaj Sieniawski wojewoda bełzki potym ruski, radby też był widział co ludzie zacni czynią, ale mu się tego nigdy pozdarzyć nie mogło. Bo był tak fortunny, albo też niefortunny, że powiadał, iż nigdy za żywota jego taka nań potrzeba nie przyszła, aby był powinien korda swego dobyć, chyba w rozwadzaniu, a to był pan barzo ciekawy, jedno iż był wielkiego zachowania, a dworski. A nigdy żadnéj przyczyny z siebie nikomu do złego nie dał, tak tego około siebie przestrzegał.

Potym się był ożenił, pojął był z imieniem niejaką Kosnownę z Sędziszowa tu z krakowskiéj ziemie, siestrzenicę arcybiskupa Rożego, który był powinowatym swym niemało imienia nakupił, także się też jemu było dostało w Chełmskiéj ziemi Kobylskie imienie i Siennica. Tamże to w tym imieniu więcéj go potym dostawszy przemięszkawał, i tamże był założył miasteczko niedaleko Chełma przezwiskiem Rejowiec. A wszakoż tu do krakowskiéj ziemie barzo go zawżdy przyrodzenie ciągnęło dla dworu, bo bez tego być nie mógł. A żadnego sejmu, zjazdu, ani żadnéj koronnéj sprawy nie zamieszkał. I był nań *stary król* (1) barzo łaskaw, także i królowa Bona, i dał mu był iurgielt i stacyą Skarmierską, i wieś, także i wszyscy barzo gi radzi widzieli i wiele mu dawali. Także potym od arcybiskupa Gamrata dzierżał Kurzelow i Biskupice. A urzędem żadnym ziemskim nigdy się nie chciał parać, powiedział iż w zatrudnionym żywocie, dwa co najszlachetniejsze klejnoty ociążone być muszą, niezależność a sumienie, które powiedział, iż w zabawionym żywocie nigdy bezpieczne być nie może. A wszakże kiedy rozumiał, iż tego była potrzeba, bywał posłem, i barzo rad służył Rzeczypospolitéj, bo już ze zwyczaju rozumiał, i sprawy koronne, i prawo pospolite. Ale się nie chciał żadną rzeczą bawić, tylko wolny a spokojny żywot sobie obierał. A z Polski też jako żyw, za żadną granicę nie wyjechał, chyba w księstwie litewskim bywał, i to barzo mało.

Potym się parał około króla, onego sławnego Zygmunta Augusta, który mu też był iście miłościwym panem, i dał mu był jurgielt na Chełmskim mycie, i wieś mu był dał, która była dziedziczna Mikołaja Odnowskiego, jedno iż była miała przypaść na króla *jure donatorio*, którą zwano Dziwięciele. A ten to Mikołaj Odnowski był mu bratem bliskim, i dał mu był swe prawo jeszcze za żywota swego, a był kasztelanem przemyskim i starostą lwowskim.

(2) Zygmunt piérwszy.

Potym tu w krakowskiéj ziemi nad Nidą założył był miasto przy Nagłowicach przezwiskiem herbu swego Oksza, i nie mało był imienia tam potym przykupił.

Potym mu był dał Paweł Bystram brat jego blisko bezpłodnym będąc, dwie wsi w lubelskiéj ziemi, Popkowice i Skorczyce, i spuścił mu je był jeszcze za żywota swego.

Potym gdy przyszła prawda święta Ewangeliéj Pańskiéj do Polski, która acz była téż i przed tym ale barzo zawikłana, i pisał *postyllę* polskim językiem, bo acz był nieuczony, ale z czytania a ze zwyczaju tedy mu to już snadnie przychodziło, w któréj niczym nie allegował dla lepszéj pewności jedno starym a nowym zakonem, i wiele ludzi się było tą postyllą wprawdzie obaczyło z onych dawnych zwykłych a zawikłanych nałogów starych. Pisał téż przed tym katechizm *dialogiem*, ludziom młodym potrzebny. Przełożył téż *Psałterz Dawidowy* z modlitwami, który téż barzo radzi ludzie i czytali i śpiewali. Pisał téż żywot i sprawy onego *Jozefa żydowskiego*, patryarchy cudnemi i ozdobnemi słowy, który téż ludzie barzo radzi widzieli. Pisał téż *spectrum* albo nowy czyściec, aby się ludzie z starych błędów obaczali. Pisał téż pod figurą *kupca* nadobną sprawę człowieka chrześcijańskiego. Pisał téż *Apokalipsim* Jana świętego cudnym polskim językiem z wykładem zacnego a uczonego doktora w piśmie świętym Henryka Bulingera. Pisał téż książki nadobne o *potopie* Noego, dzisiejszym czasom barzo potrzebne, a pożyteczne.

Napisał téż dla dworskich ludzi nadobne księgi *Wizerunk*, z którego wiele każdy i nauczyć, i obaczyć się mógł.

Pisał téż potym *Zwierzyniec stanów szlacheckich*, którzy natenczas żywi byli, poczciwie krótkiemi słowy, które tylko w ośmi wierszach zależały, ozdabiając. Pisał téż dla białychgłów: *Zatargnienie fortuny z cnotą*, z których snadnie mogły swym powinnościom zrozumieć.

Pisał téż dla dobrych towarzyszów dialogi rozliczne, *Kosterę z pijanicą*, *Warwasa z Dikasem*, *Lwa z kotem*, *Gęś z kurem*. Pisał téż zasię dla kmiotków: *wojta z panem a z plebanem*, jako się téż o swych dolegliwościach rozmawiają. I wiele innych rzeczy pisał co ich poginęło, i księgi niemałe *de neutralibus* w Brześciu litewskim i z impressorem utonęły.

A na ostatek już we wszystko się ochynąwszy, pisał księgi *żywota człowieka poczciwego*, rozdzielony na trzy wieki jego, to jest młody, średni, i stary, jako się ma poczciwy człowiek, na każdym stanie będąc, w swéj powinności zachować. Napisał téż narzekanie *na nierząd Polski*, przytém *Apophtegmata* rozmaite. Przemowę do *poczciwego Polaka stanu rycerskiego*. Przytém téż: *Zbroję rycerza chrześciańskiego*. Naostatek, *Żegnanie z światem*.

A wszakoż na żadném piśmie swém ani się podpisać ani swego imienia wspomnieć nie chciał, powiedał iż się tego wstydał, iż był nieuczony, a miotał się prawie jako z motyką na słońce. A co tych pieśni i nabożnych i świeckich, wierszów rozlicznych, *epitaphia* ludziom poczciwym, także téż i na herby ich, to temu i liczby nie było, bo mu to ze zwyczaju a z natury tak

snadnie przychodziło, że tego przez jednę noc napisał co chciał, bo we dnie nie mógł, bo był barzo ludźmi zabawiony; panięta a ludzie młodzi zawżdy się około niego bawili, bo był człowiek poczciwy, zachowały, dworski, znajomy wszem, a byli nań ludzie żacni barzo łaskawi, a żadnego stanu mieć nie chciał, tylko był sobie żywot wolny a spokojny obrał, będąc *nemini molestus*, tak że się nigdy nikt nie ozwał, ktoby był nań kiedy o co poskarżyć miał, sam się każdemu osądził i usprawiedliwił. Także sobie wszystko tuszył, iż się już w żadny inny stan, ani w żadne zawikłane sprawy nigdy wdać nie miał, jedno iż tak spokojnego a wolnego żywota swego używać miał. Bo acz to był pan z młodu barzo ciekawy a bespieczny, a barzo mu światek smakował, ale już był potym skromny, trzeźwy, spokojny, tylko się już był na wszem na wolny żywot udał, a wszakoż co czas przyniosł i Rzeczypospolitéj i przyjacielskiéj posługi nigdy nie omieszkał. Tamże w téj Okszy, którą sobie fundował i kościół zbudował, powiadał, iż miał wolą swe kości położyć, Panu Bogu wszystko poruczywszy, tak jako o tym nadobnie w onych wierszach rozmawiając się z światem, napisał. A toć była wszystka sprawa żywota, postępków, i spraw, tego poczciwego szlachcica polskiego.



JÓZEF DOBROWSKY.

DOBROWSKI JÓZEF.

„Ach mně ve slavenskijch Kragìnách
Sama zem uź vonj přigemnĕgi."
Jan Kollar.

W czasach, gdy Czechy zniemczone, zapomniawszy przeszłości swojéj tak świetnéj, zapomniawszy języka ojczystego, żadnéj cechy rodowości własnéj nie ukazywały, i naród cały, najwydatniejszy kiedyś w całéj Sławiańszczyźnie, oświatą i duchem rycerskim wybitny, zaczął być liczony do plemienia germańskiego, zjawił się *Dobrowski*, i silném ramieniem podniósł popchnął naprzód ideę czeszczyzny; piérwszy dziełami swojemi zaznajomił obcych uczonych z nazwą czeskiego literata. Z bystrą przenikliwością, i pracą niezmordowaną, oddał się badaniom mowy rodzinnéj, i jeżeli bezpośrednio nie przeprowadził jéj w życie narodu, przynajmniéj przygotował zupełne materyały dla następnych ludzi czynu.

Życie Dobrowskiego ważny wpływ wywarło na piśmiennictwo czeskie, a stanowisko posągowe tego męża w dziejach literatury wszechsławiańskiéj, godne naszéj uwagi.

Józef Dobrowski urodził się w Węgrzech 1753 roku. Ojciec jego kapral w pułku piechoty, był z rodu Słowakiem, matka zaś Czeszką. W piérwszych latach życia Dobrowski stracił ojca, matka powtórnie poszła za mąż za jakiegoś weterana Kroata, od którego mały pasierb, doznawał ciągle okrutnego obchodzenia. Postępowanie ojczyma, zniszczyło w samym zawiązku zdrowie Dobrowskiego, zwłaszcza tak w nim nadwerężyło system nerwowy, że w wieku późniejszym cierpienia te zmieniły się w hypokondryę. W dziesiątym roku, matka oddała go do gimnazyum w *niemieckim*

Brodzie, gdzie młody uczeń, w którym bolesne wspomnienia lat dziecinnych zabiły wszelką wesołość, szukał w naukach jedynéj pociechy. Ztamtąd przeszedł do *Klattau*, gdzie słuchał wymowy i poezyi, a gdy śród tego rodzice jego całkiem zubożeli, bez żadnych sposobów utrzymania, tylko z nadzieją i wytrwałością udał się do uniwersytetu pragskiego. Tu ucząc młodzież szkolną, zaopatrywał swoje potrzeby, i w dziewiętnastym roku życia został *magistrem*.

Znakomite zdolności i wytrwałość w pracy, zwróciły nań uwagę Jezuitów. Zakon widząc, że młodzieniec poświęca się teologii, poruszył wszelkie sprężyny, i nareszcie r. 1772 wciągnął go do nowicyatu w Bernie. Dobrowski wszelako, przy głowie kształcił i uczucia własnéj godności: przypatrzywszy się więc bliżéj następcom Lojoli, po dziesięciu miesiącach pobytu, opuścił nowicyat, i został księdzem świeckim.

Zamiłowany szczególniéj w badaniu języków już na uniwersytecie, obok innych przedmiotów, oddawał się nauce hebrajskiego, chaldejskiego i syryjskiego. Upodobanie to, zapowiadało przyszłego znakomitego filologa. Wtedy spostrzeżono młodego uczonego w Pradze, i hrabia *Antoni Nostitz*, wezwał go na nauczyciela do swoich dzieci. W tym czasie w Pradze znajdował się drugi uczony, i badacz znakomity dziejów czeskich, *Pelcel;* ten poznawszy tyle zdolności w Dobrowskim, wzbudził w nim chęć badania historyi ojczystéj, i Czechy zyskały więcéj jednego historyka. Dobrowski wziął się do pracy: owocem jéj są znane krytyczne rozbiory kronikarzy czeskich. Zaczął wydawać pismo peryodyczne: O stanie oświaty czesko-morawskiéj. Odtąd ciągle oprócz prac innych komentował kroniki i biblie słowiańskie.

Roku 1786 otrzymał święcenie kapłańskie. Po jedenastoletnim pobycie w domu *Nostitza*, został vice-rektorem seminaryum w *Hradiszczu* pod Ołomuńcem; a we dwa lata późniéj rektorem. Gdy jednak po śmierci Józefa II zniesiono seminarya, wrócił do Pragi, gdzie nie mając innego sposobu do życia, znalazł znowu przytułek u *Nostitzów*.

Roku 1792 wraz z hrabim Sternbergiem wybrał się do Sztokolmu, aby ztamtąd przywieść dzieła i rękopisy, zabrane podczas trzydziestoletniéj wojny. W téj podróży zwiedził Kraków i Warszawę; zabiegi jednak w Sztokolmie były daremne: Szwedzi nie tak łatwo chcieli ustąpić trofeów swych zwycięztw.

W 1803 roku Dobrowski opuścił dom Nostitzów: odtąd prywatnie żyjąc, z bezprzykładną pracą, oddawał się badaniom języka i dziejów szwedzkich. Przy tylu zatrudnieniach codziennych, utrzymywał ciągłą korrespondencyą z wielu uczonymi europejskimi, i pracował dla mnogich towarzystw naukowych, których był członkiem.

Roku 1818 powzięto w Pradze zamiar założenia muzeum czeskiego. Dobrowski silnie ujął się téj myśli, słowem i piórem wspierał to przedsięwzięcie: nadszedł bowiem czas, w którym sławiański filolog pojmował, że język czeski może kiedyś powrócić do dawnéj potęgi i życia.

Dobrowski zostawił po sobie 64 dzieł, najwięcéj treści filologicznéj i historycznéj. Te ostatnie zwłaszcza obejmowały badania nad początkami dziejów czeskich, morawskich i innych narodów sławiańskich, nadto rozbiory krytyczne starych kronikarzy i pomników piśmiennictwa. Między temi dwa traktaty nas dotyczące są:

Uwagi nad Wincentym Kadłubkiem, wydanym przez Lindego i Ossolińskiego, i Recenzya *Ruskiéj prawdy*, Rakowieckiego. Ostatnią jego pracą był rozbiór krytyczny kronikarza niemieckiego Jornandesa *De rebus geticis*, uczyniony na żądanie towarzystwa frankfurckiego, do wydawania źródeł do dziejów Germanii.

Roku 1828 Dobrowski zamierzył udać się do Krakowa, aby tam daléj prowadzić prace i poszukiwania, na czém zaprawdę wiele bylibyśmy zyskali. W tym celu w końcu grudnia tegoż roku wyjechał do Berlina, ale tam nagle zapadł na zdrowiu, i pomimo troskliwych starań lekarzy, dnia 9 stycznia 1829 roku, zakończył życie.

Wieść o śmierci męża tyle zasłużonego szybko rozniosła się po Czechii, i wszyscy witający brzask jutrzenki sprawy czeskiéj, głęboko uczuli stratę człowieka, który cały swój żywot poświęcił na usługi ojczyzny powstającéj z grobu.

Przeszło pół wieku pracy mozolnéj bynajmniéj nie przytłumiły w nim ducha: Dobrowski do ostatnich chwil z równym zapałem zajmował się umysłowo. Rękopisy i korrespondencye po nim pozostałe, znajdują się w muzeum w Pradze. Dziś skromny pomnik na cmentarzu *Staro-Bernskim* kryje popioły człowieka, którego pamięć łączy się z każdym krokiem, jaki, tak język, jako i oświata czeska, czynią na drodze postępu.

Wpływ Dobrowskiego ważnym jest w rozwoju ducha czeskiego, chociaż kierunek onego był zupełnie przeciwnym temu, jaki uczony czeski zamierzył mu nadać. Dobrowski wcale nie wierzył w powrót do życia narodowości czeskiéj: zapalony starożytnik uważał mowę rodzinną za trupa, którego z niezwykłą biegłością rozbierał skalpelem badań i krytyki. Wedle jego przekonania, zanim wieko trumny pokrywające ostatki czeszczyzny, miało zamknąć się na zawsze, pragnął pokazać światu uczonemu zagasłą świetność swojéj ziemi; nie chciał, aby tyle czynów bohaterskich, tyle prac ważnych umysłowych, przebrzmiało bez wspomnienia, i ofiarował życie na wypracowanie olbrzymiego nekrologu Czechii politycznéj i piśmienniczéj.

Dobrowski przy schyłku dni swoich, przekonał się, że mylnie sądził: zabłysła mu przyszłość o jakiéj dotąd lękał się marzyć, a pracując wyłącznie w języku niemieckim, zaczął artykuły po czesku umieszczać w *Czasopiśmie muzeum czeskiego*.

Przez ciąg życia swego wiele podróżował i widział, już więc samą rozmową i obcowaniem z młodzieżą pragską, przyczynił się do wzniesienia chęci do nauk, i badania dawnych pamiątek ojczystych. Nadto sam wiele zastanawiał się nad stroną zewnętrzną języka, i tym sposobem śledząc i systematyzując mowę wedle nowych prawideł dotąd nieznanych, rzucił zasady

dzisiejszéj filologii, zajęcia, jakiemu Czechowie poświęcają się z bezprzykładnym zapałem.

Dobrowski przy schyłku życia obudził go wprowadzeniem żywotnéj kwestyi filologicznéj. Tą kwestyą był spór zacięty z professorem *Nejedlym*, o prawopis czeski (1).

Nejedly, doktor prawa, professor literatury i języka czeskiego na uniwersytecie pragskim (1801—1835) również przejęty zapałem zaprowadzenia czeszczyzny, gorliwie pracował nad mową ojczystą, nie chciał wszakże pojąć, że język od dwustu lat wyszły z użycia, nie wystarczy na oddanie nowo przybyłych wyobrażeń, i koniecznie upierał się, aby go zostawiono w dawnych formach z XVIgo stulecia. Szczególniéj powstawał przeciw zmianom w prawopisie, i wszelkie ulepszenie uważał za próżną chęć nowatorstwa.

Śród tego Dobrowski podał zasady ortografii wyrozumowanéj i oczyszczonéj z błędów; ztąd wszczęła się długa polemika, któréj wypadek w każdym razie musiał przynieść korzyść językowi. Spór zakończył się na tém, że powszechnie przyjęto prawopis Dobrowskiego.

Przygotował więc materyały i wyrobił język tak, że następnemu pokoleniu pozostawało tylko wprowadzić go w codzienne użycie. Znaczna część dzisiejszych uczonych czeskich wychodzi z jego szkoły, i na drodze rozświeconéj im przez mistrza, teraz o własnych siłach postępuje. Toż samo rzec można co do historyków. Dobrowski bowiem piérwszy ściśle badał stare źródła do dziejów czeskich, i odłączał wiarogodne od błędnych. Wyznawca sumienny prawdy, gdy W. Hanka odkrył *rękopism królo-dworski*, ów pomnik najcudowniejszy poezyi czeskiéj, obok którego nietylko Czechy, ale żadna literatura europejska, nic równego z ówczesnych czasów postawić nie może: olśniony pięknością niewysłowioną tego zabytku, i urokiem: Dobrowski zaprzeczył jego wiarogodności, i przeważném zdaniem swojém, zachwiał wiarą całéj Czechii. Wziąwszy jednakże późniéj pomnik ten pod badanie surowéj krytyki, uznał, prawie na łożu śmierci, błąd swój, i przyznał autentyczność *rękopismu królodworskiego*, który świeci wśród poezyi czeskiéj, jako jasna i najpiękniejsza gwiazda.

(1) Byłoto w ten sam czas, kiedy u nas zajadłe spory wiedziono o wprowadzenie *joty*. A chociaż była znaną w najdawniejszych polskich pomnikach, konserwatyści literatury polsko-francuzkiéj, walczyli z całym zapałem przeciw tej przez nich uznanéj nowości.



SZYMON SZYMONOWICZ.

Mościwy Pane Vrguier

Vprzejmą służbę mą wtrącę WM. pilnie oddawszy &

Iakli Jo Mość Pan nasz, odiezdzać nas raczył? Szczęścia ustrzem się ustrzedzeniu zatoszim: ale widzę, że mi nic inszego niepożądanego; iedno tylko podczas modlitwam moiem. Za czego wszelakie powodzenia P. Bogu ustawicznie proszę. Wzięć y niewiadomość moią o Jo Mości, tym mię troskliwszym czynię. Na myślnie dla tego do WM posyłam, pilnie prosząc, abyś mi WM. oznaymić raczył, ieśli WM. raczysz co o Jo Mości wiedzieć. Jestliby mię kto co potrzeba było do Zamościa dla potrzeb iakich abo posług Jo Mości, racz to WM. o mnie pamiętać; będę zawsze gotow na zawołanie Twe. Zmierzyńską, iaką nam obszyłam WM, ktory raczył WM. zaszyć Jo Mości P. Rotmistrzym, ktorym służbę mą zwykle pilnie zalecam. Oddaiąc się pilnie a pilnie do łaski WM. W Czerneczcie. Roku 1614 Nov. 23.

WM. uprzejmy przyiaciel
y sługa
Szimon Szimonides

SZYMON SZYMONOWICZ.

W pojmowaniu artykułów i ich tworów wielka zachodzi różnica między dzisiejszemi a dawniejszemi. Teraźniejsze twory sztuki, mając mniéj lub więcéj w idei swojéj to co jest żywiołem życia obecnego, mają widoczne i wszystkim dostępne tło, na którém wyrosły: zrozumienie więc ich jest pod tym względem łatwiejsze, wyświecenie więcéj obudza interesu, bo niejedno z tego co dziełu wartość nadaje, jest w nas, przebiega przez nasze serca, i przewodniczy w naszych walkach moralnych. Inaczéj się ma z jedném lub drugiém arcydziełem dawniejszém, i jakkolwiek ładnie brzmią słowa tak często powtarzane, iż dzieła sztuki żyją wieczyście, że ludzkość ciągle się w ich ognisku ogrzewa, są one jednak nie zewszystkiém prawdziwe. Pominąwszy już bowiem zatraty, jakim pomniki sztuki równie jak wszystko co ludzkie podlega, jakże wielką ujmę w ich żywotności robi czas tém, że nie mogą się ruszyć, nie mogą stanąć oblicznie przed nami bez kommentarza, który jak całun grobowy wlecze się za niemi, i otula ich członki promienne. Ledwie nie taka sama między niemi różnica wrażeń jakie sprawiają: dawniejsze leżą w ukryciu, do którego ledwie niekiedy zajrzy jeden lub drugi zwolennik sztuki, i otrząsnąwszy pył z nich, pokaże ich lubownikom niewielu; podczas kiedy twory nowe szumią bezustannie około naszych uszu, swą zasłużoną lub urojoną sławą, a wytknięcie ich zalet lub uchybień zajmuje nawet tych, którzy do znawstwa żadnego usposobienia nie mają. I nie dziw: teraźniejszość ma swoje prawa i słuszną nad dawniejszością przewagę; ale ona wyrasta z przeszłości

i wielce użyteczną jest rzeczą, trącać od czasu do czasu o twory sztuki dawniejsze, wskazując ową nitkę, jaka się między dawnemi a nowemi ideami przeciąga. Nie pochlebiam sobie, abym mówiąc o jednym z najznakomitszych naszych artystów i uczonych, o Szymonowiczu, potrafił czytelnikom uobecnić czas jego tak, iżby ztąd jego twory mogły wziąść rzeczywistą poświatę: co jest niezbędnym warunkiem dobréj biografii; dość, jeśli do tego co o nich wiemy, dodam kilka rysów mniéj znanych.

Niewiele wiadomo dotąd o życiu Szymonowicza. Raczéj dziełami jego i sławą ich u postronnych, niż szczegółami życia tego pety zajmują się ci, którzy o nim pisali. Starowolski podał o nim wiadomości niedokładne wprawdzie lecz pewne; późniejsi chcąc być dokładniejszymi, dołączali gdzie nieco z własnych domysłów. Co się zaś tyczé samego autora, jest on tak skromny, tak powściągliwy wszędzie gdzie mu przyjdzie wspomnieć o siebie, iż ledwie słów kilka w téj mierze pochwycić można, z jego własnego wyznania. Niedawno przybyło nowe źródło do wiadomości o jego życiu; przeglądając rękopisma Ossolińskich biblioteki, natrafiłem na biografię jego tę samą, z któréj wyciąg tylko ogłosił niegdyś Starowolski. Nie jest ona obszerną: krótko i pobieżnie w duchu nieco panegirycznym skreślił ją nieznany nam pisarz, dołożywszy na brzegu, że ją pisał 5 grudnia 1630 roku, a zatém w rok po śmierci Szymonowicza. A gdy obok tego wraz i poezye Szymonowicza znajdują się, a między temi kilka niedrukowanych i nienanych nam wcale, które jeśli nie są autografem, zdają się przynajmniéj mieć własnoręczne autora poprawki, tedy chlubna jest, że taki pomnik, posiada właśnie to miasto, w którém ten autor świat ujrzał.

Urodził się nasz poeta r. 1557 we Lwowie, gdzie ojciec jego, Szymon Brzeziński piastował urząd rajcy miejskiego. Byłto człowiek uczony; jak dawno przedtém mieszkał we Lwowie i zkąd właściwie tu przybył, czy z Mazowsza, czy jak się inni domyślają, z Brzeżan, nie jest dostatecznie wiadomo; zapisano tylko w lwowskich miejskich aktach, że w roku 1547 Szymon z Brzezin, mistrz nauk wyzwolonych, otrzymał prawo obywatelstwa, a w r. 1552 obrany został rajcą z kilku innemi. Dom jego był otwarty dla ludzi uczonych, z któremi jako znawca literatury greckiéj i rzymskiéj obcować lubił: schadzali się do niego nauczyciele kwitnących podówczas, jak powiada nasz bezimiennik, szkół lwowskich, a nierzadko zagościł do niego jeden lub drugi z europejskich uczonych, którzy przy owoczesnych stosunkach uczęszczali do naszéj ojczyzny. W domu rodzicielskim i w szkołach lwowskich pobierał piérwsze nauki młody Szymon, a jako syn mistrza nauk wyzwolonych, nasłuchawszy się niemało o poetach i tworach nadobnych literatury klassycznéj, ubrał w zgreczoną formę imię ojcowskie, i nazwał się Szymonem Simonidesem. Zwyczaj to między uczonymi w XV i XVI wieku gęsto praktykowany. Tak ów Włoch Buonacorsi, tyle znakomitą rolę na dworze królów polskich grający, przybrał nazwiski starożytnego poety Kallimacha; naszemu Szymonowi przypadło nazwisko poety greckiego Simonidesa, tém więcéj na rękę, że nie ustał był jeszcze zwyczaj w Polsce, jaki jest po dziś dzień

między innymi Słowianami, że imię własne ojca z zakończeniem stosownem służy za nazwisko synowi. Po ojcu tedy był on Szymonem Szymonowiczem, a rodzina ich z Brzezin pochodząca zwała się Brzezińskiemi. Ale skoro nasz poeta szlachectwo otrzymał (a właśnie w metrykach koronnych i w legitymacyi, któréj opis mam przed sobą zwany jest Symonidesem), wszyscy zaczęli odtąd zwać się Szymonowiczami.

Posłany do Krakowa na nauki wyższe, pobierał je od nauczycieli prywatnych, bo w owym czasie nie było jeszcze humaniorów w Krakowie, i przedział między niższą szkołą a akademią zapełniali nauczyciele prywatni. Tu celował między swojemi towarzyszami bystrością pojęcia, a w swobodnych chwilach oddając się poezyi, napisał poemat o Śtym Stanisławie, rytmem łacińskim w 84 zwrotkach ośmiowierszowych, który mu zjednał sławę między rówiennikami. Nie zaraz ujrzał świat tę jego robotę: w sędziwym dopiéro wieku przez Stanisława Grochowskiego wezwany, przesłał mu ją z Czernęcina, dnia 15 lipca 1604 wraz z listem, w którym pozwala mu zrobić z nią co mu się podoba wyznając oraz, że w téj młokosiéj pracy, dzisiejszym sądem rozmierzonéj, nie widzi nic prócz pobożności.

W akademii krakowskiéj odbywał popis pod Anzelmem z Bożęcina dziekanem wydziału filozoficznego, i ozdobiony stopniem magistra udał się w podróż do Włoch. Ciągnęła go tam sława wielu uczonych. Marek Antoni Muret, znany jako filolog, krytyk, i mówca, Krysztofory i Klawiusz matematyk, Mutius, Witeleschi i Molina, byli wkrótce poufnymi jego przyjaciołmi, z którymi ustawicznie obcując starał się przyswoić sobie te wiadomości, w których każdy z nich górował. Wychodził on z téj zasady, że wszystkie nauki wiążą się z sobą najściślejszym węzłem, i niepodobna jest pisarzowi zająć wysokie stanowisko w któréjkolwiek z nich, bez ustawicznego odnoszenia się do ogółu nauk. Ta sama chęć korzystania z obcego światła, nie zaś próżna ciekawość, wiodła go z Włoch do Francyi, gdzie słynął podówczas jako cud uczoności i talentu Józef Just Skaligier, zwany w Polsce Skaliskim. Byłto syn równie sławnego ojca, który przy całéj swéj uczoności miał tę słabość, że wywodził ród swój od książąt werońskich a pisał się Julius Cezar della Scala de Bordone. Jak na przekorę doniósł właśnie Tiraboschi, że ojciec tego Juliusza Cezara był prostego stanu, zwał się Benedykt Bordonne, i zajmował się w Weronie illuminowaniem obrazków, a nazwisko della Scala miało się im dostać od mierniczego narzędzia. Ztém wszystkiém wierzono powszechnie w jego księztwo, i syn téż z dumą się na nie powołuje w swoich pamiętnikach, a niepospolity rys twarzy zastępował dla wielu brak pargaminów. Tę wiarę, jeśli się w wyczytaniu jednego wyrazu nie mylę, podziela i nasz bezimiennik. Jakkolwiekbądź Józef Skaligier był człowiek niepospolity i głęboko uczony. Posiadał rozmaite języki, starożytne i nowożytne, a między niemi jak się zdaje i język polski, bo w swoich pamiętnikach wspomina o niestosowności polskiéj pisowni. Tamże wspomina o bracie swoim Konstantym, przezwanym Vasco Diabolo, który razu jednego z ośmiu Niemcami powaśniwszy się, kilku z nich ubił, resztę pokale-

czył, sam zaś uciekł do Polski i walczył w szeregach Stefana Batorego. W końcu, z przyczyny jakowéjś zawiści przebity został na polowaniu. Józef Skaligier żył w mierności, a często nawet w niedostatku, bo przejście jego na wyznanie protestanckie sprawiło, że mu we Francyi żadnéj katedry powierzyć nie chciano. Z mocą stoika umiał się ograniczyć w swoich potrzebach, wymawiając się od przyjęcia pieniężnych nadsyłek, ofiarowanych sobie przez bogatszych wielbicieli swego talentu. Widziano nieraz jak zatopiony w książkach spędzał dni całe bez pokarmu. Onto jest twórcą nowego systemu chronologii, objaśniaczem i oczyścicielem starożytnych pisarzów: Teokryta, Nonnosa, Katula, Tybula, Propercego, Seneki, Warona i innych. Nie była ta znajomość bez przeważnego wpływu na dalszy zawód naszego Szymonowicza. Polubił go bardzo Skaligier, ocenił jego zdolności i odjeżdżającemu dawał naukę: aby zdala od zgiełku i próżności świata żyjąc, nie zaniedbywał przestawać ze starożytnymi mędrcami, a nadewszystko służyć ojczyznie swéj piórem i radą, bądźto ostrzegając ją przed niebezpieczeństwami, i zapobiegając takowym, bądź wystawiając cnotę a karcąc występki. Rady te wsiąkały głęboko w umysł młodego Szymona, i rozpatrując się tak w jego życiu jako i tworach, spotykamy się z nimi niejednokrotnie. Kiedy już był domownikiem i przyjacielem Zamojskiego, odwiedzał go Skaligier: przypatrywał się twierdzy Zamościa obwarowanéj zdobytemi na nieprzyjaciołach działami, rozmawiał z okolicznym ludem, który opiewał Szymonowicz w swych pieniach, i daje chlubne o nim świadectwo, że prócz grubéj odzieży nie ma nic w sobie barbarzyńskiego. Sam téż Szymonowicz wyznawał w latach późniejszych, że czémkolwiek jest, winien to wszystko Skaligierowi.

Wrócił do ojczyzny ukształcony zupełnie, i zaopatrzony w dokładną znajomość języków i literatury starożytnéj, osobliwie greckiéj, z któréj jako poeta, największą korzyść wyciągnąć umiał. Filozofia, prawnictwo, matematyka a nawet lekarnictwo, wszystko to obcém mu nie było. Ściągnął najpiérw uwagę na siebie Jakóba Górskiego, gorliwego krzewiciela nauk nadobnych w Polsce, który go poznał z Sokołowskim Stanisławem, uczonym kaznodzieją Stefana Batorego, znanym z licznych dzieł swoich w naszéj literaturze. Przez niego poznany z Zamojskim podobał mu się tak, iż tenże postanowił nigdy się z nim nie rozstawać. Zrobił go swoim sekretarzem, dał mu dożywociem wioskę Czernęcin, w powiecie krasnostawskim leżącą nad rzeczką Purem, o trzy mile od Zamościa, i poruczył mu wychowanie jedynaka swojego Tomasza. Teraz mógł swobodnie oddawać się ulubionym swoim zatrudnieniom. W dworcu nieróżniącym się niczém od prostéj wiejskiéj chaty, znaleźli go roku 1593 posłowie Klemensa VII papieża, któremu *Joela* poemat swój poświęcił, i oddając mu od niego wieniec oraz bogate upominki, powitali komplementem: iż w tak miłém ustroniu filozofa i bogowieby sami radzi mieszkali. Brał atoli żywy udział w sprawach publicznych, i są ślady, że towarzyszył Zamojskiemu w wojennych wyprawach, a ten zwierzał mu największe tajemnice. W wierszu, *Na obrazy zamojskie*

napisanym około roku 1592, jest wzmianka o zaszłych między Syxtusem V a Batorym układach względem wojny tureckiéj, dla któréjto przyczyny wiérsz ten, jeden z najpiękniejszych, długo musiał leżéć w ukryciu. Inny jego poemat *Aelinopaean*, wysokiéj wartości pod względem artystowskim, opiewa przedmiot następujący: Zamojski ostrzega na zgromadzeniu senat, że Tatarzy zamyślają wkroczyć do Polski, i radzi, że nie należy spuszczać się na Kozaków, którzy w podobnych napadach własnych korzyści upatrują; ale zebrać wojsko i uprzedzić ich. Rada ta nie odniosła skutku, a tymczasem Turcy, łącznie z Tatarami wkraczają w polskie granice. Lecz w mgnieniu oka zbiera Zamojski wojsko i staje pod Trębowlą. Przerażeni Turcy cofają się. I w tym poemacie wydanym wnet po wypadkach, pokazuje jak dalece był powiernikiem Zamojskiego zamysłów. W roku 1590 na wniesienie posłów ziemskich i za przyczynieniem się Zamojskiego, nadany został Szymonowicz szlachectwem przez Zygmunta IIIgo. Nadanie to 18 kwietnia w Warszawie na sejmie datowane, znajduje się w spółczesnym odpisie między rękopismami Włodzimiérza hrabiego Dzieduszyckiego, a zaczyna się tak:

„Jest zwyczaj we wszystkich rzeczach pospolitych, dbałych o własną pomyślność, nagrodą i zaszczytami wywoływać cnotę, i nie szczędzić dla niéj żadnych dostojności. Dlatego mądremi ustawami naszych przodków obwarowano, aby ludzie stanu niższego, skoro się czém wyższém odznaczą, stawali się uczestnikami coraz większych zaszczytów i swobód, osobliwiéj zaś ci, którzy albo orężem zasłużą się ojczyznie, lub staną się jéj użytecznemi, uprawą nauk. Gdy zaś lata obecne są dla nas szczęśliwe i dozwalają tyle spokoju, iż talenta mają wczas dostateczny do rozwinięcia swego, nie możemy więc nie uściskać tych, co pracą duchową, zmierzają ku temu, iżby się stać ozdobą wieku swojego. W tych gronie świetne imię Szymona Szymonowicza wzniosło się nauką wysoce i mądremi zdaniami, zwłaszcza dziełmi wybornemi, puszczonemi w świat, nietylko w ojczyznie naszéj głośne się stało, ale rozsławiło się i między obcymi. Owóż uznanie i chęci znakomitych mężów tak się ku niemu skłoniły, że nam w obec zgromadzonego tu senatu, przez posłów ziemskich i przez wielu możnych zalecon został, i złożyliśmy radę najwyższą tym końcem, aby powołać go do praw i zaszczytów szlachectwa i t. d. (1)."

Piękny pomnik światłego postępowania, odpowiednio duchowi czasu.

Liczne są twory Szymonowicza, i wyszczególniać ich tu nie będę; podali dość dokładnie ich szereg ci, co o nim dawniéj pisali, jak naprzykład Juszyński. W różnych czasach wyliczył jego dzieła najdokładniéj Stanisław Przyłęcki, w pracowicie ułożonych księgach bibliograficznych, przygotowanych do druku, z których niejednokrotnie zasięgałem wiadomości. Nie-

(1) Przy téj nobilitacyi otrzymał herb *Kościesza* w ten sposób zmieniony, iż zamiast trzech piór strusich nad koroną, w chełmie umieszczonych, dano mu trzy włócznie z herbu Zamojskich (*Jelita*) uwieńczone koroną laurową.

które z nich są nader rzadkie, i ledwie jest jaka biblioteka, coby posiadała wszystkie dzieła Szymonowicza. Zupełném ich wydaniem nikt się nigdy nie zajął, i sama biblioteka Ossolińskich, tak starannie i z tak wielkim nakładem przez swego założyciela zbierana, nie posiada wiele pomniejszych dziełek jego i wydań. Nie będę też tu wchodził w rozbiór krytyczny pojedynczych tworów jego, wykazując zalety ich lub wady wytykając: wiele trafnych nad niemi spostrzeżeń może czytelnik znaleźć w pismach Kazimiérza Brodzińskiego. Najstosowniéj będzie dać tu, choć w słabym zarysie ogólną charakterystykę jego talentu.

Szymonowicz pisał w wieku w którym stan kraju był kwitnący. Główna więc uwaga jego wytężona jest w obecność. W innych czasach, w inném położeniu nie tak wyłącznieby ją tam zwracał. Szukając pola na któréby się talent jego rozpostarł, obrał dwa kierunki przeciwne: jeden na zewnątrz, a drugi w głąb narodu, i zrobił sobie jakoby dwa zadania: zdawać Europie sprawę z wielkich bohatérskich czynów, jakie się w Polsce dokonywały, lub niedawno były dokonane; a w własnym kraju zstąpić między wiejskie lepianki i dworce ubogie, i kreśląc ponęty cichego, cnotliwego życia wiejskiego i obrazy narodowych zwyczajów i obyczajów, dać w nich niejednę przestrogę, i jakby upomnienie dla tych, co są u góry. Piérwsze z tych zadań, rozwiązuje w swych odach: drugie w tak zwanych sielankach. W tych dwóch kierunkach rozlał się główny prąd jego talentu, i twory w obu tych dążnościach kreślone, mają po dziś dzień ważne znaczenie; inne są przypadkowe i blade najczęściéj. Na obojem tém polu snują się w głębi przed wyobraźnią autora mistrzowie greccy i ich arcydzieła z swojemi mitologicznemi zmyśleniami, odsłonione niedawno do wydatności przez filologów, o których się autor zblizka ocierał: tam cień olbrzymi Pindara, tu Teokryta. Mimo to jest u Szymonowicza w pochwyceniu przedmiotu wiele siły, w wykonaniu wiele mistrzostwa. I środki też obrał do swych celów stosowne. W piérwszych przemawia językiem Rzymian, by go zrozumiał zarówno Anglik, Włoch, Hiszpan lub Francuz; w drugich, sielska zagroda otwiera mu skarbnicę czystéj rodzinnéj mowy, do któréj makaronizm z wyższych klass jeszcze się nie zabłąkał.

Kiedy piérwsze ody jego rozeszły się po Europie, przyjęli je z największém uwielbieniem uczeni wszystkich niemal narodów. Just Lipsius uznał go poetą jedynym, innych obok niego wierszokletami; Puteanus zowie talent jego boskim, a uczony Anglik, Tomasz Sechet nie wachał się powiedzieć w swojéj przedmowie, że w języku łacińskim nigdy nic równego tym odom nie powstało. I nie sąto bynajmniéj głosy przesady; wydawali je nie młodzi zapaleńcy, lecz starzy filologowie, mający jednak żywe uczucie dla piękności, a oprócz tego niepospolici znawcy i wielbiciele literatury starożytnéj. Jakoż sąto twory, których i dziś nie można czytać bez uwielbienia, i które pozostaną na długo wzorami usiłowań tego rodzaju. Nic piękniejszego jak owa godność i prosta, prawdziwie grecka wzniosłość, z jaką Szymonowicz zwracając mowę do Tomasza Zamojskiego, opowiada, czém

był między bohatérami swojego czasu Batory, w jakim stosunku zostawał do jego ojca. Żałuję, że nie mogę tu przytoczyć własnych słów jego; ciekawi mogą je odczytać w wydaniu Duryniego na stronnicy 78 i następnych.

W sielankach znowu jakaż swoboda i naturalność! Wiele z nich sąto arcydzieła w swoich rozmiarach, tém szacowniejsze, że w nich są wierne wizerunki życia, wykonane z tak czystém pojęciem narodowości, na jakie ledwie w naszych czasach zdobyć się można. Tu najprzód wysuwa się ów prześliczny obrazek pod napisem: „Żeńcy."

„Już południe przychodzi, a my jeszcze żniemy."

Jakże z serca płynie ta wrótka, którą jedna ze żniwiarek: „Pietrucha" niby pół żartem a pół na prawdę zawodzi:

Słoneczko śliczne oko, oko dnia pięknego!
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego:
Ty wstajesz kiedy twój czas, jemu się zda mało,
Chciałby on, żebyś ty o północy wstawało.
Ty bieżysz do południa zawsze swoim torem,
A onby chciał ożenić południe z wieczorem.
Starosto! nie będziesz ty słoneczkiem na niebie!...

Słoneczko śliczne oko, oko dnia pięknego!
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego:
Ty dzień po dniu prowadzisz aż długi rok minie,
A on wszystko porobić chce w jednéj godzinie.
Ty czasem pieczesz, czasem wionąć wietrzykowi
Pozwolisz, i naszemu dogadzasz znojowi,
A on zawsze: pożynaj! nie postawaj! woła,
Nie pomnąc, że przy sierpie trójpot idzie z czoła:
Starosto! nie będziesz ty słoneczkiem na niebie!....

Słoneczko śliczne oko, oko dnia pięknego!
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.
Ciebie czasem pochmurne obłoki zasłonią,
Ale ich prędko wiatry pogodne rozgonią.
A naszemu staroroście nie patrz w oczy śmiele,
Zawsze u niego chmura i kozieł na czele.
Ty rosę chojną dajesz po-ranu wstawając,
I drugą także dajesz w wieczór zapadając;
U nas post do wieczora zawsze od zarania,
Nie pytaj podwieczorku, nie pytaj śniadania.
Starosto! nie będziesz ty i t. d.

W sielance nadpisanéj „Kołacze" jakże ładnie opisane weselne obrzędy! Wielu umié ją zapewne na pamięć; niech mi jednak wolno będzie przytoczyć tu choć niektóre z niéj ustępy.

Sroczka krzekcze na płocie, będą goście nowi,
Sroczka czasem omyli, czasem prawdę powié,
Gdzie gościom w domu rado, sroczce zawsze wierzą,
I nie każą się kwapić kucharzom z wieczerzą.
Sroczko! umiész ty mówić, powiédz, gdzieś latała?
Z któréjeś strony goście jadące widziała?
Sroczka krzekcze na płocie, pannie się raduje
Serduszko, bo miłego przyjaciela czuje.
Jedzie z swoją drużyną panicz urodziwy,
Panicz z dalekiéj strony, pod nim koń chodziwy,
Koń łysy, białonogi, rząd na nim ze złota.
Panno! gotuj się witać, już wjeżdża we wrota,
Już z koni pozsiadali, wszystko się po dworze
Rozśmiało, jako niebo od wesołéj zorze.
Witamy cię, panicu dawno pożądany!
Czeka cię upominek tobie obiecany,
Obiecany od Boga i od domu tego.
Po obietnicę trzeba wsiadać na rączego,
A ty się gdzieś zabawiasz? Już nam nie stawało
Oczu wyglądając cię, winieneś niemało
Sam sobie, a pogonić trudno i godziny,
Cobyś rzekł, gdyby to był otrzymał kto inny?
Bardzoś się ubezpieczył; czyli tak urodzie
Dufasz swojéj? kto dufa największéj pogodzie,
Dészcz go zléwa. Nietrzeba spać, i w pewnéj rzeczy,
I Bóg nic dźwignie kto się sam nie ma na pieczy.

Albo owe proste, a tak piękne zakończenie:

Panno, przegrana twoja! chłopięta dowodzą:
Kołacz im z stołu dano, i za łeb oń chodzą.
Lepsza zgoda niż zwada: zgoda wszystko mnoży,
Niezgoda wszystko kazi i domy uboży.
Panno, miéj się do tańca, już wodę oddają,
A muzycy niechaj co rzeźkiego zagrają.
Sroczko! z dobrąś nowiną do nas przyleciała,
Bodajeś i u sąsiad także zakrzeczała.

Sielanka z rzędu dziesiąta, nadpisana „Wierzby" odznacza się prócz artystowskiéj swojéj wartości, tém, że należy do owych niewielu tworów,

w których autor, choć gdzie nieco o sobie napomyka. Tu wystawia on muzę swoję w postaci najady, która u nadbrzeżnych wiérzb Czernęcińskich stojąc, opowiada ich dawne przygody i łączy z ich żalami swe żale. Oto jéj początek:

Nad cichym Purem stojąc Nais żałościwa,
Jako, prawi, ta woda za wodą upływa,
Tak lata nasze bieżą nazad niezwrócone.
Lecz wody za wodami idą nieskończone,
Ale życia mojego skoro czas przeminie,
Inszy nie przyjdzie, ani wiek nowy nadpłynie.
Czyli trudno przeskoczyć kresy zamierzone?
Albo prawa naganiać wiecznie położone?
Raczéj to co nam wieku pozwolono trochę,
Niechaj troski nie gryzą i frasunki płoche.
Samo nadbieży co jest naznaczone komu,
A zła chwila namaca i w zawartym domu.
Ja tymczasem ten warkocz będę rozplatała,
Będę się w tobie Purze piękny przeglądała,
Owo mię téż tu potka co i siostry moje,
A jako teraz żywa nad tym brzegiem stoję,
Będzie pamiątka moja na wieczny czas stała,
Bo nie żył, po kim piękna pamięć nie została!

Bazyli Rudonicz doktor filozofii, którego rzadka, i w bibliotece Ossolińskich nieznajdująca się książeczka o Lwowianach, wyszła w Zamościu roku 1651 w ćwiartce, a poświęcona jest senatowi lwowskiemu; upewnia, że z dzieł Szymonowicza aż po owe czasy wydanych, nierównie większa część ukrywa się w rękopismach, w bibliotece Solskiego, wnuka Szymonowicza. I w rękopiśmie téż biblioteki Ossolińskich, o którym wyżéj wspomniałem, jest nadpis nad poezyami polskiemi, że to są tylko niektóre zpomiędzy bardzo wielu wyjęte. Tymczasem prócz sielanek i nagrobków zbieranéj drużyny, tudzież pary wierszów przygodnych osobno drukowanych, nie znamy dotąd nic więcéj z polskich Szymonowicza poezyj. Może je kto z czasem odkryje. Janocki wymienił między rękopismami biblioteki niegdyś Załuskich, poezye i inne pisma Szymonowicza w języku greckim. Może być, że to są także próby autora, jakich się do publikowania nie przeznacza; bliższa jednakże wiadomomość o nich zawszeby była pożądana. Rękopism biblioteki Ossolińskich zawiéra z niedrukowanych jego poezyj, elegią na śmierć Zygmunta Solikowskiego, po łacinie, i trzy pieśni nabożne po polsku. Ostatnia z nich pisana we Wroninie roku 1622, po wielkiéj nocy, a opiewająca żale Maryi Magdaleny, ma właściwe sobie piękności.

Żył Szymonowicz lat 71, w związki małżeńskie nigdy nie wchodził, podobnie jak mistrz jego, Józef Skaligier, na co się przyjaciele jego użalali,

Że nie był jednakże księdzem, jak to niektórzy późniejsi z bibliografów jego głosili, i na której to pogłosce opierając się, dodano przy niektórych wydaniach sielanek, wizerunek jakiegoś opasłego mnicha, tego tu dowodzić nie potrzebuję. Spółczesny nasz biograf nic o tém nie wié, równie jak nie wié też nic o jego ormiańskiém pochodzeniu, które mu Józef Epifani Minasowicz na błachych jakichś pozorach i na widoczném przekręcaniu słów Douzy wmawiał. Okoliczność, że w naszém mieście Brzeżanach było, lub też jest wielu Szymonowiczów ormiańskiego pochodzenia, okoliczność ta nic nie dowodzi. Akta urzędowe lwowskie i nasz stary biograf zowią ojczystą włość, z której się piérwéj ta rodzina pisała, Brzeziny nie Brzeżany; i przy tém wypada nam pozostać.

Umarł 5 maja 1629 roku o 9 godzinie z rana, porobiwszy znaczne zapisy dla kościoła kollegialnego w Zamościu, gdzie też go pochowano, a pomieniony wnuk jego z siostry, Kacper Solski, postawił mu tamże nagrobek. Przeznaczył też 12000 złp. na utrzymanie professora teologii w akademii Zamojskiéj, i darował téjże akademii bibliotekę składającą się z 1428 dzieł.

We Lwowie było niemało po Szymonowiczach pamiątek; chlubił się tém Bartłomniéj Zimorowicz, znany jako historyk i poeta, że był Szymonowicza nietylko ziomkiem ale i sąsiadem blizkim. Jakoż kamienica Szymonowiczów była w rynku pod liczbą 232, a prócz tego mieli dom na halickim, przedany, jak się o tém ze współczesnego dokumentu dowiaduję, w r. 1634 przez niejakiego Alexandra Szmidta Karmelitom bosym przy kościele Śgo Michała za fórtą.

Augustyn Bielowski.

PRZYPIS.

Przywodzimy tu własnoręczny list i dyplom Zygmunta III, mianujący Szymonowicza poetą królewskim. Oryginał w języku łacińskim znajduje się w głównem archiwum metryk koronnych.

„Zygmunt III król Polski i t. d. Oznajmujemy i t. d. i t d. i t. d.

Najpiérwszém staraniem królów i książąt zawsze było, aby na sławę i nieśmiertelne imię, wielkie łożyć usiłowania; poczytywali zaś mianowicie jakoby za nagrodę cnót swoich, jeżeli nietylko za życia po wszech ich ziemiach sławni mężowie kwitnęli, ale gdy nawet i po śmierci, jak najdłużéj u potomnych w pamięci pozostali. Dlatego gdy wszystkim sprawom zadość uczynili, wtedy sztuki, które ówczesny wiek przyniósł, a które do rozprzestrzenienia sławy się przyczyniły, oraz mistrzów samych, z właściwą sobie łaskawością pobudzali, ogrzewali i przyozdabiali. W czém gdy palma poetycka wyższość otrzymała, bo blask jéj nie idzie w zapomnienie, ale najwyższych przydaje ozdób i godności, przeto najsłuszniejsze miała prawo być rozkoszą i podziwem cesarzów, prawo, do którego wielu napróżno wzdychało. Z téj przyczyny za szczęście naszych czasów poczytujemy, iż podobnego rodzaju umysły, w pracowni na wieczność sił nie szczędzą, a wybornemi pismami wiek nasz ozdabiają, zkąd dla imienia naszego spodziewamy się długowiecznéj sławy i blasku. Między któremi, gdy Szymon Szymonowicz Lwowczyk boskim swym dowcipem tak się odznaczył, że co do wielkości ducha, wzniosłości zdań, najszczęśliwszéj obfitości słów, i przedmiotu długo za książęcia uchodzić będzie, przeto słuszna, abyśmy tym dowcipu i nauki jego pomnikom, należne oddali świadectwo.

Dlatego naprzód przypuszczamy go do łaski naszéj, a następnie mistrza tak szlachetnéj sztuki, z tłumu reszty innych poetów odłączamy, a biorąc go pod opiekę swoję, za jedynego poetę naszego obieramy i uznajemy, i nadając imię i prerogatywy poety królewskiego, zezwalamy na używanie tego imienia po wieczne czasy, a ponieważ nie zostawi równego sobie w tym zawodzie, przeto potrzeba, aby się samém nazwiskiem od innych odznaczał, a naszego imienia wieczność napominał. Gdy przeto tak znakomita jest wyższość sztuki poetycznéj, że wymaga zaniechania spraw innych, i tylko cichéj samotności szuka, aby tém łatwiéj i godniéj w zabawach swych ćwiczyć się mogła, my przeto opatrując i ochraniając szczególną łaską naszą, pozwalamy jemu w jakiejbądź prowincyi, i w jakiémbądź mieście obywatelstwo

przyjąć, a przywilejów i wolności tego miasta używać, wyjmując go jednakże od sprawowania i ponoszenia tak obowiązków, jako i ciężarów, nietylko w czasie pokoju, ale i podczas wojny. I aby nietylko sam żył spokojnie, ale nawet i dom jego, który za święty przybytek muz uważamy, od wszelakiéj turbacyi wolen był, uwalniamy go od *prawa gościnności*, i wszystkich nadzór nad tém mających napominamy, iżby schronienie naszego poety w niczém zakłócone nie było. Dla lepszéj wiary czego pieczęć naszą przyłożyć rozkazaliśmy.

W Warszawie dnia 23 grudnia 1590.

Zygmunt Król.



TOMASZ MOORE.

TOMASZ MOORE.

Sławny ten poeta angielski urodził się dnia 28 maja 1780 roku w Dublinie. Jest on jedynym synem szanowanego powszechnie w stolicy Irlandyi kupca, Garreta Moore. W towarzystwie dwóch siostr przeżył tu Tomasz najszczęśliwsze lata młodości, i najmilsze o nich wspomnienie aż dotąd zachował. Talent jego wcześnie objawiać się zaczął, co spowodowało, iż ojciec dał mu staranne wykształcenie, a piérwszych zasad nabył pod przewodnictwem Samuela Whyte w Dublinie, znanego już poprzednio jako nauczyciela Sheridana. Tak więc w czternastym roku życia, widzimy Moora w kollegium Trójcy (Trinity College) w Dublinie.

Nie jest bynajmniéj naszym zamiarem podawać tu anegdotki, jakie o młodzieńcu wiele obiecującym w przyszłości zebraćby można. Młodość jest zwodnicza, a przyszłość, nie odpowiada często zapowiedzianym nadziejom. Dlatego zastanowimy uwagę, jako na wielkim poecie dojrzałego talentu i stanowisku jakie zajął w zawodzie literackim.

Nowsza literatura angielska może mu dziś zaszczytne przyznać miejsce, bo i w czasach gdzie ów potężny gieniusz, Byron, w literaturze angielskiéj najwyższego dosięgnął szczytu, Moore wystąpieniem swojém, z ust tego śpiewaka Albionu, zasłużone otrzymał pochwały. Życie i dążności obu tych wielkich poetów wielce różne były. Moore uniesiony miłością ku swéj biednéj Irlandyi, przelewa to uczucie w czytelników. Niezawisłość tego kraju cenił nad wszystko, i już z temi uczuciami odzywał się wtedy, gdy na

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

uniwersytecie zostawał, a nie mogąc zaradzić nędzy rodaków, w pieśni zamknął tęskność i żałobę, które go dręczyły. Ztémwszystkiém posiada mniéj niż Byron excentrycznego ducha, a jego satyra nie obraża nigdy, bo ma w sobie tyle wdzięku, co i pieśń miłosna. Wszędzie jest on towarzyskim, przyjacielskim poetą, i umié przelewać w otaczających uczucia, które nim miotają. Często wpada w zapał, a mianowicie gdy idzie o prawa, lub cierpienia ludzkości.

Poświęciwszy cały czas wolny poznaniu starożytnych klassyków, a co następnie przerodziło się u niego prawie w namiętność, wolnym jest jednak od pedantyzmu; towarzysze lat młodych, często mieli sposobność podziwiać jego talent jako mówcy i poety. Piérwsze Moora poezye opiewają zabawy towarzyskiego życia, a mianowicie w rodzaju Anakreona pisane. Tłumaczenie Anakreona, którém się od dwunastego roku życia zajmował, wyszło w roku 1800, objaśnione licznemi przypisami. Tento klassyk grecki w angielską przyodziany szatę, zapewnił tłumaczowi sławę i przydomek Anakreon-Moore, który mu podówczas nadano. Sława jaka przybycie Moora do Londynu poprzedziła, nie zagłuszyła w nim bynajmniéj uczucia skromności, i nigdy w obliczu arystokracyi nie zapierał się swego pochodzenia, otwarcie wyznając, iż jest synem prostego kramarza.

W roku 1801 wydał drobniejsze poezye pod pseudonimem Tomasza Little, sąto utwory żywéj młodzieńczéj fantazyi, i jeżeli im co zarzucić można, to chyba tylko, że je w dwudziestym roku życia napisał. W tym czasie muza Moora inny przybrała kierunek. Otrzymawszy miejsce sekretarza admiralicyi na Bermudzie, opuścił Anglię, aby inném życiem tchnące kraje Ameryki odwiedzić; jakoż w jesieni 1803 roku wsiadł na okręt i tam popłynął. Obowiązki przyjęte nie odpowiadały usposobieniu Moora; poznał to wkrótce, i zapragnął uwolnić się od nich. Znalazłszy za siebie zastępcę, urząd porzucił, przez co naraził się na niedostatek i różne przykrości tak, że z nienajlepszém mniemaniem o Ameryce do kraju powrócił. Cała korzyść jaką z téj podróży odniósł, było tylko zaspokojenie ciekawości, oraz liczny zbiór *listów*, *ód* i *drobnych poezyj*, które następnie drukiem ogłosił. Opuścił Amerykę w październiku 1804; powrót do Europy odbywał na fregacie *Boston*, pod rozkazami kapitana *Douglas*, a podejmowany od niego uprzejmie w ciągu całéj podróży, słuszne mu w swém piśmie oddaje pochwały.

Od czasu podróży do Ameryki okres wieku młodzieńczego Moora za ukończony uważać można. Żywioł poetyczny bynajmniéj w nim nie osłabł, raczéj rozwinął się, dojrzał, a pełen zapału, silniejszym blaskiem zajaśniał. Zrzadka Moore Londyn odwiedza, i większą część swego czasu pod domową strzechą na łonie rodziny przepędza.

W roku 1817, w tym roku gdy poemat jego pod tytułem *Lalla-Rukh* z druku wyszedł, odwiedził Paryż, i podróż ta dostarczyła mu zasobów do humorystycznego utworu pod napisem: *Rodzina Fudge w Paryżu*. W roku następnym odbył podróż do Irlandyi, ze czcią wszędzie przyjmowany. W 1822 r

odwiedził powtórnie Paryż, bawiąc tą razą wraz z całą rodziną dłużéj niż poprzednio. W roku 1823 wydał *Miłość anioła*, i wkrótce pojawiły się dwa tłumaczenia tegoż utworu na język francuzki. Równocześnie wydał Byron *Niebo i Ziemia*, a obadwa mają za podstawę rozwinięcie piérwszego i drugiego wiersza, szóstego rozdziału księgi *Genesis:*

„A gdy się ludzie poczęli rozmnażać na ziemi i zrodzili córki.

„Widząc synowie Boży córki ludzkie, iż były piękne, wzięli sobie za żony ze wszystkich, które obrali."

Z powodu takiego współzawodnictwa, zniewolony został Moore, przyspieszyć wydanie swego dzieła, poprzedziwszy je przedmową, w któréj się cała skromność tego poety maluje; między innemi mówi on: „iż osobliwym trafem przyjaciel mój, lord Byron, tenże sam przedmiot dla swego wybrał dramatu, a gdy nie mogę spodziéwać się jak tylko niższego dla siebie stanowiska, gdybym po tak straszliwym wystąpił rywalu, osądziłem przeto za stosowne nakreślone przezemnie poprzednio szkice uporządkować, przerobić, i dodać, o ile mi na to czas pozwalał, abym przez wcześniejsze pojawienie się na horyzoncie literackim, postawił się w tym przypadku jaki astronomowie *czasem przed wschodem słońca* nazywają, tojest wprzódy nim się pokaże światło, którego blask zaćmi mię zupełnie." Tak więc zawczasu ostrzegając, iż nie chciałby być przez talent swego przyjaciela upokorzonym, sam mu najlepszą oddaje pochwałę.

Zastanówmy się teraz nad dziełami przez Moora ogłoszonemi:

Najpiérwszém jest jakeśmy wyżéj wspomnieli, *ody Anakreona*, tłumaczenie opatrzone przypisami i poświęcone księciu Wallis, co następnie jako król pod imieniem Jerzego IV panował; 4to 1800 roku.

Szczere odwołanie się do zaufania publicznego, czyli uwagi nad niebezpieczeństwem tegoczesnego przesilenia (A Candit Appeal to Public Confidence, or considerations on the Dangers of the present Crisis), 8-vo; 1803, jestto pismo więcéj politycznéj treści.

Zepsucie i niepobłażanie, dwa poemata dane tylko na próbę, a które miały poprzedzać cały szereg podobnych utworów.

Listy, ody i inne poezye, 1806.

Poezye wydane pod pseudonymem Tomasza Little, o których już wspomnieliśmy wyżéj; 8-vo, 1808.

List do katolików rzymskich w Dublinie; 8-vo, 1810. *M. P. czyli niebieskie pończochy* (Blue Stocking), opera komiczna w trzech aktach, 1811; jestto rodzaj satyry na owe półuczone kobiety, którym żartobliwy przydomek *niebieskich pończoch* nadają.

Przejęte listy czyli worek z dwugroszowéj poczty (Intercepted Letters, or the Twopenny-post Bag), pod pseudonimem Tomasza Browna młodszego; 8, 1812. Dzieło to doczekało się czternastu wydań w saméj Anglii.

Wybór melodyj irlandzkich, w dziewięciu oddziałach.

Uzupełnienie tłumaczenia Sallustyusza, które przez Artura Murphy niewykończoném było.

Powątpiewacz (The Sceptic), satyra filozoficzna.

Lalla Rukh (Lalla-Rookh) poemat romantyczny wschodni, roku 1817, przypisany Samuelowi Roger. Utwór ten składa się z czterech oddziałów osobne stanowiących powieści. Piérwsza z nich nosi tytuł: *Zasłoniony prorok korazanu* (The Veiled prophet of korassan); wartość jéj wewnętrzna jest o wiele niższa od następnych. Tło powieści tylko jest historyczne, tojest osoba i działania proroka, reszta zaś prostym wymysłem autora. Osoby, które najwięcéj czytelnika zajmują, bynajmniéj nie są bohaterami, gdy główni bohaterowie, żadnego nie budzą współczucia. Pomimo to niektóre ustępy są cudnéj piękności. W drugiéj powieści opisane *Raj* i *Peri* (Paradise and the Peri) obrazowanie i uczucia z niebieskiego raju wygnanki, silnie oddane, a cały ten dźwięczny ustęp z równym oryginałowi talentem przepolszczony został przez A. E. Odyńca; czytelnik przeniesiony myślą w nadziemskie krainy, żywy przed oczyma widzi obraz w którym:

U progu niebios gwiaździstych podwoi,
Wygnanka Peri, zasmucona stoi;
I kiedy słyszy jak zdroje żywota
Rajskiemi dźwięki harmonijnie brzęczą,
I kiedy widzi jak ich jasność złota,
Z bram na jéj skrzydła promieni się tęczą,
Płacze dumając, że jéj ród zuchwały
Stracił dziedzictwo wiekuistéj chwały.

Z nią razem poeta uniesiony współczuciem niedoli puszcza się aby znaleźć *dar godny nieba*, któryby jéj bramy niebios otworzył, i znowu pyszne rozwijają się obrazy. Znalazłszy ten dar tak upragniony, cieszy się, iż cierpienia biednéj wygnanki skończone, i gorące jéj pragnienia spełnione. Obrazowanie uczuciem ożywiając cały ten ustęp, dziwnie pięknie brzmi w oryginale (1).

Trzeci oddział zajmuje poemat: *Czciciele ognia* (The Fire-Worshippers), podobnież przepolszczone przez Odyńca. Część ta jest najlepszą tak pod względem historycznym, jako téż i pod względem wykonania przez Moora. Obrazy żywe i rozmaite, nieszczęsny koniec szlachetnych zwolenników staréj perskiéj wiary, oraz dwojga kochanków, cudnie są oddane. Czarowny i uroczy obraz *Hildy* jakże pięknie odbija przy męzkim *Hafedzie*, Gwebrze. Czysta dziewica, w zapale namiętnéj miłości, jakże skromne ma żądania, gdy głosu własnych słów się lękając, mówi:

„Jak pięknie dzisiaj to światło księżyca,
Ową cienistą wysepkę oświeca!

(1) Tłumaczenia Antoniego Edwarda Odyńca. Tom piąty, Wilno 1843, str. 51 i następ.

W moich marzeniach jam nieraz żądała,
Żeby ta wyspa ptaka skrzydła miała,
I nas siedzących pod cieniem swych gajów,
Przeniosła razem gdzie do pustych krajów,
Lub gdzie na jakie nieżeglowne wody,
Gdziebyśmy sami mogli żyć dla siebie,
Żyć i umiérać, bez ludzkiéj przeszkody;
Gdzieby się tylko przez gwiazdy na niebie,
Oczy aniołów na nasz raj patrzyły.
Tego się tylko obawiam mój miły,
Czyby świat taki wystarczył dla ciebie?"

Gdy spojrzawszy, zamiast uśmiechu w twarzy lubego, spostrzegła wzrok chłodny, wtedy z rozpaczą uderzywszy w dłonie narzeka; żegnając go i błogosławiąc razem, mówi:

„Jam od dzieciństwa przywykła do tego,
Utracać wszystko com tylko kochała:
Nie było drzewa, ni kwiatu jednego,
By wnet nie usechł, gdym ja go wybrała;
Nie było ptaka, ni młodéj gazeli,
Gdy już mię znała i jadła z méj dłoni,
Gdy igrać ze mną zaczęła już śmieléj,
Bym zaraz potém nie płakała po niéj!
I ty mój luby, ty coś moję duszę
Nauczył uczuć tak nowych, tak tkliwych,
Wiem, że i ciebie równie stracić muszę.
Idź, nie dziel losów moich nieszczęśliwych!
Idź i nie wracaj. . . . . .
. . . . . .

Prześliczne ustępy z tego oddziału, jużto opisujące krainy wschodnie, już malujące uczucia kochanków lub pozostałych wiernych swemu bóstwu *czcicieli ognia*, odznaczają się zapałem dobitnie wyrażonym tak w oryginale jako i tłumaczeniu. Odsyłamy czytelnika chcącego poznać potęgę talentu poetyckiego Moora do samego poematu.

Ostatnia powieść pod tytułem *Światło Haremu* (The Light of the Harem), jakby na złagodzenie okropności w poprzednich zawartych obrazach, odznacza się czystym śpiewem miłosnym, a czytelnik zdaje się być przeniesiony do nieba, gdzie spokój i miłość rozlane naokoło, mile przemawiają do uczuć śmiertelnika.

Rodzina Fudge w Paryżu. Listy wierszem podobnie pod pseudonimem Tomasza Brown młodszego (1818), są po części humorystyczną satyrą, któ-

ra dotychczas bynajmniéj się nie zestarzała, i w całéj rozciągłości bardzo jest zrozumiałą.

Pieśni narodowe (National-Airs) w czterech poszytach, między któremi znajdują się pieśni różnych narodów, jak np. hiszpańskie, szwedzkie, rossyjskie, a nawet jedna węgierska, i parę azyatyckich.

Śpiewy religijne (Sacred Songs) w dwóch poszytach, sąto pieśni ułożone do znanych już melodyj najpiérwszych mistrzów.

Ballady, pieśni i t. d. zamykają w sobie zbiór czterdziestu dwóch drobniejszych poezyj, między któremi odznacza się *pożegnanie Bessy* (Farewell-Bessy); wszystkie zaś są w rodzaju jakie pod pseudonimem Tomasza Little wydał.

Memoryał na kongres, Tomasza Crib's (Tom Crib's Memorial to Cóngress), jestto poemat satyryczny, odznaczający się dowcipnie zastosowanym językiem, przez łotrów używanym. Przekład na obcą mowę, pozbawiłby go całéj wartości, która na właściwym sobie języku spoczywa. Mimo to, postacie bokserów *Sandy* i *Georya* nawet w tłumaczeniu wybitnemi pozostaną.

Drobnostki (Trifles-Reprinted) niewiele mają zajęcia, gdyż głównie sąto wiersze okolicznościowe.

Miłość anioła (Loves of the Angels) jestto raczéj opisanie miłostek anioła. Utworowi temu zarzucić można rozwlekłość, ale wynagradzają to obrazy żywe, w niczém nieustępujące Lalla-Rookh.

Poezye podróżne, wyjęte z dziennika podróżującego członka towarzystwa pokokurantów (1) (Rhymes of the Road, extracted from the journal of a traveling member of the Poco-Curante Society); wydał je podobnież jak wiele innych pod pseudonimem Tomasza Browna młodszego.

Bajki dla związku świętego (Fables for the Hoty Alliance), jestto utwór po większéj części polityczno-satyryczny.

Różne poemata przez rozmaitych członków towarzystwa pokokurantów (Miscellaneous poems, by different members of the Poco-Curante Society).

Pamiętniki kapitana Rock; dzieło to prozą napisane przyniosło Moorowi równą sławę jak i inne poetyczne jego utwory; w niém opisuje wypadki kapitana Rock, który w swym czasie uważany był jako Rynaldo-Rinaldini irlandzki.

Życie Ryszarda Brinsleya Sheridana.

Otóż te są dzieła Tomasza Moore, które razem zebrane wyszły w Lipsku nakładem Flejszera 1833 r. Niektóre z nich pojedynczo ogłaszane przyniosły autorowi znaczne zyski, bo za poemat *Lalla Rookh* trzy tysiące, a za życie Sheridana dwa tysiące gwineów od wydawcy Longmana otrzymał. Moor jest największym dziś w Anglii poetą, przeżył współczesnych sobie gienialnych wieszczów Albionu: Walter Skotta, i Byrona, co jego utwory wysoko cenili, a od których różnił się zawsze cechą wybitną w pomysłach, i barwie poetycznéj. Moore jak król ptaków, nie dotykając ziemi, płynie i góruje

(1) *Poco-curante*, człowiek, który o nic się nie troszczy, nie dba, nic nie szanuje; ztąd *poco-curanisme*, obojętność absolutna, egoizm odrętwiały.

w niebiosach: a śpiéw jego malownicze okolice Indyi, Persyi i Arabii, słowem całéj niemal Azyi nam podaje, z całą prawdą i życiem.

W polskim języku mamy tłumaczenie sławnego poematu *Lalla Rookh* przez Wandę Walecką, p. n.: Lalla-Rukh, księżniczka Mogolska, z dzieł poetycznych T. Moora, dwa tomy, 8. Waszawa 1826 r.

Przekład ten prozą, nie z oryginału, ale z francuzkiego tłumaczenia, w niczém nie przypomina poematu irlandzkiego poety.

Antoni Edward Odyniec dał nam dopiéro w swoich cudnych *tłumaczeniach* dokładne wyobrażenie o potędze talentu Moora, przekładem *Czcicieli ognia* (w czterech pieśniach), oraz *Peri* i *Raj*, powieści wschodniéj ([1]).

Julian Korsak kilka utworów Moora przełożył. W wydanym zbiorze p. n. *Poezye*, w St. Petersburgu 1830, pomieścił Dytyramb z tego poety: *Upadek Heby, Miłość i Rozsądek, Melodya Irlandzka*, i *Łza*.

W drugim zbiorze p. n. *Nowe poezye*, Wilno 1840, r. w tomie piérwszym fragment Moora z hymnu mitologicznego do miłości.

Przekłady Łzy i Melodyi załączamy.

([1]) Tłumaczenia Antoniego Edwarda Odyńca. Lipsk u Breitkopfa i Haertela 1838 r. w 12-ce Tom II, 1843 r. Tom V.

MELODYA IRLANDZKA.

Z MOORA.

Nieraz na licach wody promień słońca świeci,
Choć spodem ciemna, zimna fala wre i pieni;
Nieraz uśmiéch słoneczny twarz nam opromieni,
Choć już serce zbyt chłodne, w przepaść zguby leci.

Gdy jedna troska, jedno złowrogie wspomnienie,
Rzuci swój cień na nasze szczęście, jak niedolę;
Dla któréj, gdy nam duszę długie zdrętwią bole
Rozkosz nie jest balsamem, ni żądłem cierpienie.

O! ta myśl pośród uciech, jak schorzałe zbytnie
Latem bezlistne drzewo, świeci nie wesoło!
Próżno promienie słońca nad niém lśnią około:
Uśmiechnie się w ich blasku, lecz już nie odkwitnie.

ŁZA.

Na śniegów pościeli śpi promień księżyca,
Choć chłodno i wietrzno, do grobu kochanka,
Codziennie wieczorem przychodzi dziewica,
Modli się, i wzdycha, i płacze do ranka.

Choć chłodno i wietrzno, ni śnieżne zawieje,
Ni wicher kochanki nie straszy zimowy;
Na grobie miłego dziewica łzy leje,
I łza jéj raz padła na kamień grobowy.

Łza była gorąca, lecz wiatrem zmrożona,
Przystygła do głazu śród nocnéj zamieci;
Jak śronu perełka na drzewie zwieszona,
Noc całą, dzień cały na mogile świeci.

Wtém postrzegł to anioł, i łezkę na grobie
Przeziębłą, co prędzéj pochwycił w swe dłonie:
Ztąd Litość ją w niebie podobała sobie,
I perłę tę na swéj zwiesiła koronie.

Z drobniejszych poezyj Moora, mamy kilka tłumaczeń K. Gaszyńskiego. Dla poznania ducha mniejszego rozmiaru utworów tego poety, przywiedziem je tutaj:

I.

PIOSNKA IRLANDZKA.



iłość, o luba, mieszka wraz z tobą,
Na twoich licach widzę jéj łoże;
Nie, na tych licach zbladłych żałobą,
Miłość, róż świeżych znaleźć nie może.
Ale nie zawsze różane twarze,
Miłość obiera za tron dla siebie,
Patrz!... W mojém sercu są jéj ołtarze:
Tu ona żyje żyje dla ciebie!
Luba! w twych oczach miłość osiędzie,
Tu znajdzie słodką, miłą uchronę;
Nie, jéj świątynią nigdy nie będzie,
Oko tęsknotą, miłość co rani,
W promiennych oczach tron ma dla siebie,
Patrz! w mojém sercu ołtarz jest dla niéj,
Tu ona żyje, żyje dla ciebie!

II.

PIOSNKA IRLANDZKA.



Popłyń ze mną dziewczę hoże,
Na falami wzdęte morze,
Przez skwary słońca, burze, zawieje.
Jedna pora drugą strąca,
Ale dusza kochająca,
Jednakim ogniem wszędy goreje.

I niech na mnie los fale najgroźniejsze wzdyma,
Tam życie, gdzie ty jesteś, śmierć, kędy cię niéma!

Więc płyń ze mną dziewczę hoże,
Na falami wzdęte morze,
Popłyń gdzie żaglem wicher powieje:
Jedna pora drugą strąca,
Ale dusza kochająca,
Jednakim ogniem wszędy goreje.
Czyż morze nie jest ochroną,
Dla swobody utworzoną,
Ziemia niecnych więzów jedynie?
Tuśmy niewoli poddani,
Ale na morskiéj otchłani,
Miłość, swoboda, za nami spłynie!
I gdy przemoc i chytrość znikną z jady swemi,
Otoczeni od nieba, zapomnim o ziemi.

Więc płyń ze mną dziewczę hoże,
Na falami wzdęte morze,
Przez skwary słońca, burze, zawieje.
Jedna pora drugą strąca,
Ale dusza kochająca,
Jednakim ogniem wszędy goreje.



WŁADISŁAW ALEX. ŁUBIEŃSKI.

WŁADYSŁAW ALEXANDER

ŁUBIEŃSKI.

Dawna, chociaż wcale niezamożna szlachecka rodzina Łubieńskich, pochodziła z sieradzkiego województwa, i pisała się z Łubny. Jeden z tego domu miał jeszcze walczyć pod Chojnicami obok Kazimiérza Jagiellończyka. Późniéj przez Świętosława, założyciela imienia rozrodziła się wielce. Używała herbu Pomian.

Wsławiła się ta rodzina w dziejach kościoła polskiego przez dwóch znakomitych braci, z których jeden Stanisław chlubną po sobie zostawił pamiątkę, jako znakomity dziejopis swojego czasu, a drugi Maciéj, sławny przez swoje cnoty i skromność patryarchalną. Stanisław był księciem biskupem płockim i myślał o Krakowie, a Maciéj został prymasem arcybiskupem gnieźnieńskim. Przez te stosunki obadwaj bracia, wysoko wznieśli ród swój dotąd prawie nieznany w Polsce. Od nich, Łubieńscy zasiadali już na senatorskich krzesłach, a potomek tegoż samego rodu, Kazimiérz zacny także świątobliwością życia posiadł katedrę krakowską, cel myśli biskupa Stanisława.

Z tegoż samego gniazda, które kościołowi polskiemu dostarczyło trzech świateł, pochodził i Władysław Alexander Łubieński, człowiek uczony, skromny, pobożny, który także idąc śladem przodków, powiększył rodzinne zaszczyty; bo jak Maciéj, stanął na czele kościoła polskiego. Łagodny z natury, cichy był, nienarzucający się nikomu, a pełen wylania dla przyjaciół i nędzy, Władysław Łubieński. Być może, szczęście więcéj jak zasługi wyniosły go na stopień znakomity; być może i sława imienia nieskalanego w kronikach kościoła. Ale na świeczniku błyszczał prawdziwemi cnotami. Gorliwością biskupią jaśniał, bo uczył wiary lud pobożny. Sam do niego często przemawiał z kazalnicy w skierniewickiéj farze, albo w Łowiczu.

Dochodów swoich używał na wsparcie potrzebnych. Zasłynął także jako uczony w kronikach literatury polskiéj, a dzieła jego rzucały gruntowne w naród wiadomości, chociaż Władysław żył w czasie panegiryków i scholastycyzmu jezuickiego. W dziejach narodu zostawił także po sobie pamięć, bo on przewodniczył obradom na elekcyi Stanisława Augusta. Ale dobrotliwy, a starzec już wtenczas, spuścił się zupełnie na swoich zauszników i pochlebców, a ci pod zasłoną imienia prymasa, o sobie, o intrygach myśleli. Jedném słowem, Władysław Alexander Łubieński prowadził żywot pracowity i pełen zasług.

Pochodził w prostéj linii od Jana, najmłodszego z pięciu braci, między którymi wsławili się Stanisław i Maciéj, biskupi. Syn Jana, Wojciech, kasztelan sieradzki, starosta przedecki, z Górskiéj, wojewodzianki mazowieckiéj zostawił między innemi syna Macieja, starostę wągczowskiego. Wągczów była maleńka wioska w sieradzkiém, własność stołu królewskiego, gdzie chowali się przodkowie Łubieńskich. Jeszcze Maciéj prymas ze Stanisławem bratem wyprosili u króla i sprowadzili tutaj miechowitów krzyżaków. Łubna i Wągczów byłyto dwa gniazda rodziny.

Starosty wągczowskiego Macieja, syn znowu Maciéj, był ojcem Władysława. Imię to Maciéj widać było jakąś pamiątką rodzinną w imieniu panów na Łubny i Wągczowie. A ogromna, wielka to była rodzina, więc dlatego samego zubożała i podupadła. Starosta wągczowski, z Radolińskiéj kasztelanki Krzywińskiéj, zostawił aż dwadzieścioro dzieci. Na taką liczbę dziedziców mógł się rozejść i wielki majątek, a Łubieńscy wówczas wcale nie byli bogaci, i nie liczyli się do rodzin magnackich Polski, ale do rodzin zasłużonych i historycznych. A z tego wniosek, że Maciéj ostatni, ojciec Władysława a późniejszego prymasa, może nigdy nie pomyślał o losie świetnym, jaki w przyszłości oczekiwał jego potomstwo. Maciéj był łowczym sieradzkim i często deputatem na trybunały i posłem na sejmy, jak prawie wszyscy jego współcześni urzędnicy ziemscy, dziedzice na nieobszernych włościach. Nie myślał wcale o krześle senatorskiém. Spokojny siał na swoich zagonach, żył z bracią szlachtą i perorował może nieraz w jéj gronie na obradach uroczystych. Ożenił się z Maryanną Stokowską, która mu tylko dwóch synów powiła. Starszy był Władysław, młodszy Floryan. Ale umarł niedługo na panującą zarazę za czasów szwedzkich, zapewne w chwili téj krwawéj morowéj klęski, która w latach 1709—12 wyniszczyła ludność Warszawy i całéj Polski. Liczył wtenczas zaledwie 36 lat wieku. Zostawił wdowę i dwoje małoletnich sierót, potrzebujących starań i opieki, zwłaszcza w czasach tak niespokojnych i burzliwych.

Starszy Władysław mógł mieć lat siedm, ośm, w chwili kiedy go ojciec odumarł, urodził się albowiem dnia 1 listopada 1703 r. (1) Lata jego dziecinne otulił opieką ojcowską stryj Alexander, podobno kasztelan gnieźnieński. Umie-

(1) Wiadomości Warszawskie z roku 1767 w kalendarzyku na r. 1761 data urodzin Łubieńskiego podana na dzień 11 listopada 1703.

rający ojciec zostawił sieroty pieczołowitości rodzonego brata, który jak mógł wywiązał się z włożonych na siebie obowiązków. Sądząc po przyszłości jaka obudwu synów Alexandra spotkała, sądząc po szacunku jaki zjednali dla siebie za życia, sądząc wreszcie po ich charakterze prawym i szlachetnym, wnosimy, że i opieka ta nad małoletniemi była pełną zabiegów i starań prawdziwie ojcowskich, miłości prawdziwie stryjowskiéj i rodzinnéj.

W czasach najazdów szwedzkich i stronnictw w kraju upłynęła młodość Władysława i piérwsze chwile kiedy pokosztował co to jest słodycz życia. Pokazał wtedy jawną skłonność do stanu duchownego, i nikt się z krewnych nie dziwił marzeniom młodzieńca i nadziejom. Latorośl tę młodą, olśniła sława jakby dziedziczna w kościele, Łubieńskich rodu. Wzniosłe przykłady mogły mniéj nawet spokojny umysł zapalić. Wspomnienia działały téż niezawodnie na Władysława, który z natury odebrał charakter cichy, bogobojny, a umysł zaprzątniony myślą o Bogu, poświęcony pracy i modlitwie. A ta epoka jego życia, kiedy to najwięcéj działają w człowieku namiętności, kiedy to młodzieniec pasuje się z samym sobą przy wyborze stanu o przyszłości myśląc, upłynęła Władysławowi w niemém podziwieniu dla prac i zasług Kazimiérza Łubieńskiego, który podówczas był biskupem na stolicy Śgo Stanisława. Młody łowczyc sieradzki żył wspomnieniem, a miał wzór przed oczami. I on więc poczuł gwałtowną chętkę do stanu duchownego, a nikt z rodziny nie odradzał mu téj myśli. Brat jego młodszy Floryan był mu we wszystkiém podobny. Również cichy, również bogobojny i przykładny miał także jak gdyby namaszczenie do świętego powołania. I stanowili ci obadwaj bracia jakby jedno ciało, zespoleni w pobożném uczuciu i wiarą żywą, i przekonaniem, że żyć potrzeba nie dla siebie jedynie, ale dla drugich, dla rodziny, dla braci, dla ludzkości.

Początkowe nauki skończywszy w domu, udał się Władysław Łubieński do kollegium jezuickiego w Kaliszu, przeszedł tutaj cały ówczesny kurs zakonnéj edukacyi i przekonał się, że mu pobożność na całe życie wystarczy. Powziął zatém mocne postanowienie poświęcić się służbie ołtarza dla spełnienia dawnych marzeń i dlatego do Włoch wyjechał. Kilka lat strawił na teologicznych naukach w Rzymie, idąc za przykładem większéj części światłego duchowieństwa polskiego. Potém puścił się w podróż po Europie, bo chciała rodzina, żeby się przyjrzał i ludom różnym, i prawom, i zwyczajom. Z chciwością po téj drodze chwytał wrażenia przyszły lewita, zajmowało go wszystko co widział. Inni przeglądają świat dlatego tylko, żeby coś widzieli, i żeby się z tém pochwalić mogli w kraju ojczystym przed rówiennikami. Władysław podróżował dla nauki. Oglądał téż wszędzie pomniki sztuki dawnéj, zastanawiał się nad pamiątkami, które ubiegłe pokolenia przekazały potomstwu. Miał on z natury ciekawość, ale nie ciekawość próżną, bo wszędzie chciał zajrzéć dlatego, żeby oświecić umysł wiadomościami. Zwiedził tak Włochy całe, Francyę, Holandyę, Belgię i Niemcy. Na każdym kroku spotykał drzémiącą historyę, widział wszędzie rozmaity kształt rządu, i notował swoje spostrzeżenia. Notaty te mnożyły się późniéj zbiorem faktów wyszukanych po

księgach starych, i rosły powoli w dzieło, które najpiérwéj w ojczyznie wsławiło Władysława Łubieńskiego. Wszystko co tylko uderzało ten chciwy nauki a postrzegający umysł, wszystko spoczęło w tych notatach, jako owoc prac kilkoletnich, i dowód niepróżno straconego czasu młodości.

Łubieński podróżował wtedy najwięcéj po Francyi, jeden z najpiérwszych ziomków, którzy potém do tego kraju odbywali prawie pobożne pielgrzymki. Właśnie wtenczas uwaga całéj Europy, a Polski zwłaszcza, była zwróconą na Francyę. Leszczyński wydawał córkę za Ludwika XV. Zwiedził młody podróżnik Alzacyę i Lotaryngię, bawił długo w Paryżu, przyglądał się dawnéj rejencyi i rejentom, podziwiał wspaniały Wersal, i przypatrywał się uroczystościom weselnym z radością. Na obrzędach w Fontaineblau, kiedy Ludwik XV osobiście brał ślub z Maryą Leszczyńską, znajdował się także Łubieński. Najwięcéj wszakże wrażeń wywiózł z Rzymu i Francyi. W Rzymie widział tajemnice wiary, a we Francyi spotykał wspomnienia rodzinne i nieszczęśliwego króla. Jeszcze młody był wtenczas i nie należał do stronnictwa saskiego. Leszczyński budził w nim zatém miłość i poszanowanie (1).

Kiedy wrócił do Polski Władysław, panował jeszcze August Mocny. Spory zasób wiadomości jaki z sobą młody Łubieński przywiózł z zagranicy, rozsławił prędko jego imię. Nie żył już wtenczas biskup krakowski Kazimiérz, ale Bogusław podstoli koronny, a niedługo i kasztelan sandomierski utrzymywał wtedy sławę rodziny Łubieńskich. Młody Władysław mógł zachwycić kasztelana gruntowną swoją oświatą. Mówił czysto i pięknie po włosku, po francuzku, po niemiecku, i po łacinie. O swojéj podróży opowiadał z zajęciem, o miastach, o krajach, o starożytnościach. Unosił się nad pomnikami wiecznego grodu. O rządach traktował jak biegły polityk. Podobał się zatém Władysław wszystkim a najwięcéj biskupom i kapitułom. Ta okoliczność właśnie piérwsze kroki jego na świat w zawodzie duchownym otoczyła większą jak sam może sądził pomyślnością. Podkanclerzy koronny, Jan Lipski miał wiele wtedy łaski u dworu, a więc i świetną przyszłość przed sobą. Prymas Teodor Potocki stał właśnie na czele kościoła polskiego, a Lipski i Potocki obadwaj polubili Władysława i ciągnęli go do siebie. Władysławowi zostało się do wyboru, osiąść w Krakowie czy w Gnieznie, bo i następca Kazimiérza Łubieńskiego, Felicyan Konstanty Szaniawski myślał o młodym kapłanie. Mógł téż za przykładem Lipskiego poświęcić się pracy w kancellaryi koronnéj.

Około roku 1727, wykonawszy ostatnie kapłańskie śluby, Władysław osiadł naprzód w dawnéj stolicy królów i został kanonikiem krakowskim. Niedługo potém od prymasa Potockiego przyjął kanonią gnieźnieńską fundacyi rodzinnéj, którą ustanowił i uposażył przed wiekiem blizko prymas Maciéj Łubieński. Niedługo posunął się wyżéj jeszcze w dostojeństwach kościelnych, został prałatem, scholastykiem krakowskim.

(1) 15 sierpnia 1725 był w Fontaineblau na weselu; pisze sam o tém, patrz str. 161. Świata.

Władysław nie był tylko dla tytułu członkiem dwojga znakomitych kapituł polskich. Gorliwie pełnił obowiązki do swoich urzędów przywiązane. Podzielił się zupełnie na Kraków i Gniezno. Mieszkał w Krakowie, ale często i do metropolitalnego kościoła zaglądał. Była wtenczas i trzecia świątynia dla której w sercu swojém znalazł miłość. Byłato świątynia słynącéj cudami Boga Rodzicy na Jasnéj Górze w Częstochowie. Z Krakowa miał blizko do Częstochowy Władysław Łubieński. Często go więc tutaj pod sklepienia Jasnéj góry wiodła pobożność, wielkich wspomnień urok, obudzonych wielkiém Kordeckiego imieniem. Tak np. w roku 1732 często przesiadywał w Częstochowie. Umyślnie jechał tędy zawsze z Krakowa do Gniezna i tędy powracał. Tak w tym roku przypadła kapituła nadzwyczajna w Gnieznie dla obrania prymasowi kandydata na wakującą suffraganią. W styczniu wyjechał Władysław do Częstochowy, a po odbytéj elekcyi zajrzał na chwilkę do Warszawy w marcu, gdzie wszystko gotowało się do wielkiego kampementu, mającego świat cały zadziwić. Tymczasem po śmierci biskupa Szaniawskiego, podkanclerzy Lipski z Łucka przeniósł się na katedrę krakowską. Byłto wielki Władysława przyjaciel. Przyszłość stała już u wezgłowia Łubieńskiego. Właśnie wtenczas Paulini częstochowscy wprowadzili do siebie na Jasną Górę relikwie Śgo Jana Nepomucena, złożone dotąd w kościele farnym. Z uroczystością tego wprowadzenia miał się połączyć i doroczny obchód pamiątki koronacyi cudownego obrazu. Dla celebrowania w dniu świętym zaprosili Paulini księdza Augustyna Wessla, nominata biskupa kamienieckiego. Jako assystenci biskupowi zaproszeni zjechali do Częstochowy: ksiądz Kobielski suffragan kujawski i Władysław Alexander Łubieński scholastyk krakowski w orszaku kanoników i prałatów. Obiedwie te uroczystości odbyły się z największą wystawą w dniach 7 i 8 września 1732 roku.

Nastąpił rok 1733, sławny śmiercią Augusta Mocnego. W bezkrólewiu dał liczne dowody obywatelstwa, bo się nie wyłączał od żadnéj posługi w kraju. Musiał wtenczas razem ze swoim opiekunem i nowym dobroczyńcą Lipskim biskupem utrzymywać stronę króla Augusta III przeciw pretensyom Stanisława. Nie mamy wprawdzie na to dowodu, ale zdaje się, że Władysław był stronnikiem saskim. Cały los swój przyszły winien był protekcyi Lipskiego, a dobrym chęciom i przyjaźni króla Augusta. Musiał zatém położyć wtenczas pewne zasługi, które mu nadawały prawo do wdzięczności elektora saskiego.

Kiedy spokojność wróciła do kraju i August zasiadł już na tronie polskim, na Łubieńskiego bystro polały się łaski królewskie. Zdolności młodego kapłana przeszły już szkołę doświadczenia: pragnął jednak Łubieński spokojności w zaciszy wiejskiéj, bo właśnie wtedy powziął myśl uporządkować swoje notaty, podopełniać je z ksiąg, porobić wypisy z autorów i wydać na świat obszerne opisanie ziemi, podług ówczesnego stanu nauki i wiadomości geograficznych. Wziął zatém w dzierżawę od kapituły gnieźnieńskiéj dobra Kamionkę na lat dwanaście i osiadł w ustroniu na wsi. Wioseczka ta leżała w ziemi wieluńskiéj. Dał się poznać obywatelstwu z okolic. Gościn-

nością w domu i ludzkością więcéj jeszcze ujął tameczną szlachtę, jak nauką swoją, którą już szeroko zasłynął w Polsce. Przyjmował sercem otwartém gości swoich, a kto go widział raz tylko, już Łubieńskiego i jego Kamionki nie mógł zapomnieć. Brat Władysława, Floryan wybrał sobie właśnie zawód sądowy, i na urzędach ziemskich posuwał się, aż został wreszcie pisarzem ziemskim sieradzkim, a z tego powodu i pisarzem akt trybunalskich w Piotrkowie. Już dlatego samego znała go Mała i Wielka Polska. Był jeszcze trzeci w okolicy Kamionki w blizkiém sąsiedztwie z Władysławem człowiek, którego także znała cała koronna ziemia, uczony i zacny obywatel, Stanisław Kożuchowski, cześnik wieluński, właściciel Mokrzka, w którym drukował swoim nakładem konstytucye koronne. Musiał się znać z nim i żyć poufale Władysław Łubieński; bo literat zawsze znajdzie literata dla swojego towarzystwa.

Pracował scholastyk krakowski właśnie wtenczas nad wielkiém swojém dziełem w ulubionéj Kamionce, kiedy go odwiedzali to brat Floryan, to bracia szlachta z okolic, to wreszcie księża i lud pobożny. Obywatele wieluńscy przepadali za nim, za jego rozmową, z któréj tyle nauczyć się mogli, za jego towarzystwem, które taką odznaczało się gościnnością. Odwiedzali tutaj Łubieńskiego i kanonicy gnieźnieńscy. Raz w przejezdzie do Kamionki przez Kalisz wzięli z sobą Bartłomieja Pstrokońskiego, młodego i niepełnych jeszcze lat, ale wyświęconego już kapłana, który bawił wtedy na naukach teologicznych i filozofii u Jezuitów w tém mieście. Jechali kanonicy za urzędowemi czynnościami, a Pstrokoński miał im być pomocą w pisaniu. Młodszy o lat dziesięć od Łubieńskiego przyglądał się Pstrokoński Władysławowi w milczeniu. Widział w nim wielką powagę, wspaniałość i urodę śliczną, jak sam to opowiada w swoich pamiętnikach. Zasmakował w towarzystwie Łubieńskiego i wtenczas jakby już prorockim duchem uniesiony powiedział sobie w duszy: „To pewny nasz prymas.“ I zgadł Pstrokoński. Scholastyk krakowski upodobał sobie także młodzieńca. Zdwoiła się jego radość, kiedy się dowiedział, że ten młodzieniec nosi Pstrokońskiego nazwisko, bo to mu przypomniało chwile piérwsze świetności swojéj rodziny. Przed laty stu kilkodziesięcią, Maciéj Pstrokoński, kujawski biskup i kanclerz za panowania Zygmunta III prowadził piérwsze kroki na świat swoich siostrzeńców rodzonych Stanisława i Macieja Łubieńskich. I szczęśliwe były te piérwsze kroki, kiedy obaj bracia biskupami zostali. Przypomnienie to odezwało się w sercu Władysława. Pokochał odrazu Bartłomieja Pstrokońskiego i postanowił nad nim odtąd rozciągnąć swoję opiekę. Zbliżyli się niedługo obadwaj do siebie, bo Kożuchowski cześnik oddał niedługo młodemu Pstrokońskiemu probostwo swojéj kollacyi w Mokrzku.

Łubieński został w tym czasie ozdobiony infułą, bo bardzo młody jeszcze z łaski króla otrzymał probostwo w kollegiacie Łaskiéj. Dokończywszy dzieła swojego, drukował je wtedy we Wrocławiu pod tytułem: „Świat we wszystkich swoich częściach większych i mniejszych, tojest w Europie, Azyi i t. p. geograficznie i historycznie skreślony, z opisaniem religij, rządów i t. d.“

Tytuł strasznie długi. Byłato najpiérwsza a najobszerniejsza geografia w języku polskim, dzieło na swój czas wysokiéj ceny i zdumiewające erudycyą. Niezawodnie za czasów Augusta III był ten *Świat* uczonego prałata prawdziwą encyklopedyą geografii. Czytelnik znalazł tu wszystko co tylko wiedzieć potrzebował: opisy prowincyj i miast, zarysy dziejów, starożytności, wiadomości o rządzie i całe prawo polityczne narodów europejskich, o ile to wchodziło w zamiary autora. *Świat* Łubieńskiego, temu nikt zaprzeczyć nie może, rzucił w naród massę gruntownych a ciekawych wiadomości, i to właśnie w chwili kiedy literatura nie była potrzebą, a zabawką jeszcze i jakiemiś szrankami do popisania się. Dzieło było ozdobnie i z wielkim nakładem wydane. Krajobrazy całego świata znajdują się w niém jeden po drugim, są mappy prowincyj, ryte wszystko w Norymberdze; druk wyraźny, i poprawny. W swoim czasie żadne dzieło polskie nie było tak pięknie wydane i nie popisało się takim zasobem wiadomości przed narodem. Łubieński dedykował téż *Świat* samemu królowi.

Wieści o nauce Łubieńskiego znalazły teraz zatwierdzenie uroczyste w opinii całego narodu. Niedawno jeszcze jako deputat krakowski na trybunał w Piotrkowie i Lublinie, Łubieński już się i sądownictwu polskiemu zasłużył. Został więc z kolei dziekanem gnieźnieńskim, a potém i kustoszem sandomierskim. Teraz kardynał biskup krakowski z najlepszéj strony wciąż zalecał królowi Łubieńskiego. Opisywał Augustowi naukę i zdolności prałata swojéj kapituły, mówił wiele o jego przywiązaniu do dynastyi saskiéj. Ale i August już był dobrze uprzedzony o Łubieńskim i za ofiarowanie sobie dzieła pragnął się wywdzięczyć. Wakowały téż właśnie wtedy dwie wysokie godności w koronie; jedna obywatelska, druga kościelna. Biskup kardynał usilnie zalecił na obadwa te wakanse Łubieńskiego i dzięki jego wstawiennictwu, autor Świata został mianowany przez króla pisarzem wielkim koronnym i opatem paradyskim. Takim sposobem w roku 1741 sześć rozmaitych urzędów piastował Władysław Alexander Łubieński, a miał wtedy lat 38.

Z powodu otrzymanego dygnitarstwa, Łubieński musiał teraz przemieszkiwać przy dworze królewskim i poświęcić się całkiem służbie rzeczypospolitéj. Przeniósł się zatém za Augustem do Drezna zarzuciwszy rękopisy, książki i prace literackie, jeżeli jeszcze jakie wygotować zamyślał. Ale zawsze skromny, potulny i cichy, jak żył w Kamionce, tak i na dworze drezdeńskim, nie wtrącał się do żadnych intryg, powołaniem tylko swojém i obowiązkami urzędu zajęty. Był tyle bezinteresowny, że nie żądał utrzymania ze skarbu rzeczypospolitéj, do czego miał prawo. W Dreznie żył o własnym koszcie i oprócz mieszkania, drzewa i małego funduszu jaki pobierał na kancelaryą i posługę nie brał żadnego wsparcia od skarbu, a wydatki pospolicie zastępował z własnych funduszów. Bo sądził Łubieński, że na to go tak hojnie w dobra doczesne i dostojności opatrzyła rzeczpospolita, żeby dawał z siebie przykład dobrego i przywiązanego syna. Nie lenił się wtenczas podwójnéj pracy Łubieński. Zdarzało się nieraz, że trzeba było nieobecnego kanclerza albo podkanclerzego zastąpić. Kanclerzem był wtenczas Jędrzéj Sta-

nisław Załuski, a podkanclerzym Jan Małachowski. Łubieński zastępował ich chętnie w każdym razie, kiedy tego zachodziła potrzeba. Często on był ministrem w pracy, choć nie w urzędzie. To wszystko coraz więcéj jednało mu przyjaciół. Król August z każdym dniem coraz więcéj mógł ocenić jego serce i przychylność dla siebie. I widoczne było wtedy że Łubieński posunie się jeszcze wyżéj na swoim urzędzie. Prorokowano mu wielkie biskupstwo albo pieczęć mniejszą. Nie było nic wcale nadzwyczajnego w tych przepowiedniach: tą drogą szli wszyscy poprzedni kanclerze z duchownego stanu, i posuwając się po szczeblach w kancelaryi koronnéj, na urzędach publicznych, pracując na zaufaniel królewskie i dobrą pamięć, z kolei dochodzili pieczęci, albo wysokiego biskupstwa.

Nie prędko jednakże przyszło do spełnienia się nadziei. Był czas nawet, że wątpili przyjaciele Łubieńskiego o łasce królewskiéj, albo składali winę niepowodzenia na znany charakter Augusta dobrotliwy i spokojny, że nigdy i nikomu narazić się nie śmiał. Bo kiedy w r. 1746 umarł kardynał biskup krakowski, a katedrę po nim zajął kanclerz koronny Załuski, to Małachowski otrzymał pieczęć wielką, a małą wszyscy w myśli oddawali Łubieńskiemu. Ale oczekiwania zawiodły. Podkanclerzym koronnym został Michał Wodzicki dziekan i officyał krakowski. Pisarz wielki koronny, zniósł lekko to zapomnienie. On wszystko przypisał łasce królewskiéj i swoim zasługom. Gdzie jest prawo i powinność, tam muszą być i zasługi, a niéma miejsca dla łaski. Wniósł zatém Łubieński, że jeszcze nie dojrzał do wyższych zaszczytów w ojczyznie. Nie ustawał zatém daléj w swojéj gorliwości i wciąż jeszcze przemieszkując w Dreznie, dawał ciągle z siebie przykład całéj kancellaryi koronnéj. Z królem razem zjeżdżali do Polski na sejmy albo na rady senatu do Wschowy. Zastępował ciągle i to zawsze chętnie nowych kanclerza i podkanclerzego. Żył skromnie chociaż gościnnie. I nic nie przerywało jednostajności tego spokojnego życia, aż nastała wojna siedmioletnia. Król August z siedlisk swoich wypłoszony przez Fryderyka pruskiego, piorunem przyleciał do Warszawy, i żył już tutaj ciągle lat siedm, nie troszcząc się o los rodzinnego kraju. Za królem i dwór do stolicy polskiéj pospieszył, a wtedy i Władysław Łubieński wrócił do ojczyzny, któréj już dawno nie widział, albo widział tylko chwilowo.

Właśnie w téj epoce spotkały go najwyższe godności w kościele, bo król nie zapomniał wcale o jego przywiązaniu dla siebie i o zasługach. W istocie Łubieński był może aż do zbytku zakochany w całéj rodzinie Augusta. Nie dziwim się wcale temu. Lat tyle przeżył na dworze, w Dreznie, i widział całe to pokolenie młodych książąt jak wzrastało na pociechę króla, a Łubieński w tém pokoleniu widział i przyszłość rzeczypospolitéj. Przy nim się rodziły, przy nim umierały dzieci królewskie. On je witał przy urodzeniu, i żegnał przy śmierci. Oglądał już wnuki króla Augusta. I myślał wtedy nieraz zapewne o przyszłości tych latorośli młodych w swoim kraju rodzinnym, o koronie, którą może kiedyś będą nosiły. Dzieci Augusta w saméj rzeczy stanowiły wtenczas piękne i pełne nadziei grono. Wszy-

stko się dla nich uśmiechało na świecie, a Łubieński był im sercem i duszą oddany. Teraz na te dzieci żałoba padła: umarła im matka, Marya Józefa Rakuska.

Właśnie w chwili powrotu królewskiego do Warszawy zakończył życie w Czarnokozińcach na Podolu Mikołaj Dembowski, nominat arcybiskup lwowski. Ledwie pół roku cieszył się tytułem arcybiskupim. Kiedy wieść o jego śmierci nadeszła do Warszawy, król nie namówiony przez nikogo, poszedł za natchnieniem własnego serca, i arcybiskupstwo oddał Łubieńskiemu pisarzowi wielkiemu koronnemu. Dembowski umarł 17 listopada, a w dni dziesięć potém, 27 listopada dowiedziała się Warszawa o jego następcy we Lwowie. Wtenczas Łubieński spuścił prebendę familijną w Gnieznie, tojest kanonię synowcowi swojemu Stefanowi, który później został także biskupem. Dziekanią gnieźnieńską spuścił także drugiemu Łubieńskiemu, Maciejowi, który był synem Bogusława kasztelana sandomierskiego, a słynął także nauką i wielkiemi zdolnościami.

Kiedy przeprowadził Władysław proces swój o nuncyaturze, na dniu 9 kwietnia 1758 r. w Rzymie zapadła nominacya jego na arcybiskupstwo. Byłto jeden z ostatnich czynów Benedykta XIV, bo niedługo potém, w miesiąc niespełna świat nasz pożegnał. Na dniu 7 maja nastąpiła uroczystość ważna dla Łubieńskiego. Był poświęcony w Warszawie na arcybiskupa. Z kolei był on trzydziestym trzecim, a z tego imienia piérwszym pasterzem w stolicy czerwonéj Rusi. W sierpniu w dzień imienin królewskich objął uroczyście w swoję posiadłość katedrę lwowską. A że był ten dzień i świętem razem orderu orła białego, król August 3 sierpnia właśnie w chwili objęcia, mianował nowego arcybiskupa kawalerem tego jedynego w Polsce orderu. Ale niedługo mieszkał we Lwowie Łubieński, nie zostawił téż na Rusi wielu pamiątek po sobie. Ułożył wprawdzie sobie plany jak ma zwiedzić całą dyecezyę i odbyć wizyty kościołów. Dotąd kapłanem już będąc, od lat tylu, nie był jeszcze przecież pasterzem, bo życie jego upływało wpośród kapituł i na dworze królewskim. Chciał zatém gorliwością swoją pasterską odznaczyć się, ale nie zdążył planów swoich przywieść do skutku, bo inne wionęło przeznaczenie na przyszłość nowego arcybiskupa. Zaczął tylko wizytę swoję od katedry i na zagajenie pasterskiego urzędu powiedział sam osobiście kazanie do ludu we Lwowie, w dniu 11 lutego 1759 r. To było zarazem jego wystąpienie i ostatni czyn na stolicy arcybiskupiéj. Sam się tego nie spodziewał, że końcem będzie początek.

W niespełna trzy tygodnie po téj wizycie Łubieńskiego katedry lwowskiéj, umarł w dniu 2 marca 1759 w roku życia sześćdziesiątym, Adam Ignacy Komorowski prymas arcybiskup gnieźnieński. I on łaską króla Augusta prosto z prelatury krakowskiéj zasiadł naczelne miejsce w kościele polskim. Król wysokim urzędem nagrodził przychylność Komorowskiego dla swojéj dynastyi, jak nagrodził i Łubieńskiego przywiązanie. O zawakowane prymasostwo mogli się zapewnie ubiegać biskupi polscy. Ale Sołtyk nowy po Załuskim krakowski biskup, młody był i zaledwie osiągł książęcą infułę, Czar-

toryski książę biskup poznański już samém swojém imieniem był niemiły dworowi. Stanisław Grabowski nie myślał rzucić Warmii, a inni biskupi mało mieli zasług i w kościele i u rzeczypospolitéj. Był wprawdzie na Kujawach biskup Antoni Sebastyan Dembowski, niecierpliwy i żądny wywyższenia się, niby literat uczony, a zasłużony domowi królewskiemu. Ale wtedy nominacye na biskupów następowały zaraz po ogłoszeniu wakansu i czyjéjś śmierci. Nieraz starania się były już za późne, bo zaledwie interesowany dowiedział się o dostojności, już katedra oddaną była komu innemu. Tak i tą razą postąpił sobie król August III. Nie dał nawet czasu biskupom polskim do poczynienia piérwszych kroków. Wdzięczność wskazała mu już zawczasu Komorowskiego następcę i znowu w dni dziesięć po śmierci prymasa na dniu 13 marca 1759 r. mianował Łubieńskiego arcybiskupem gnieźnieńskim. Nadzwyczaj prędko poszła cała ta sprawa przeniesienia Władysława ze Lwowa do Gniezna. Klemens XIII na konsystorzu w Rzymie odbytym w dniu 9 kwietnia zgodził się z wolą królewską, a zaraz nazajutrz pisał do Łubieńskiego brewe apostolskie.

Był Łubieński z kolei rachując w to i poprzedników Sgo Wojciecha siedmdziesiątym piątym arcybiskupem gnieźnieńskim. Jako Władysław nosił to imię drugi, bo piérwszym był Oporowski herbu Sulima, prymas zmarły jeszcze za Kazimiérza Jagiellończyka. Jako arcybiskup lwowski trzeci dopiéro z kolei przesiadł się na Gniezno, jeżeli nie będziem liczyć Konstantego Zielińskiego, którego prymasem mianował król Leszczyński, ale go Rzym nie potwierdził. Nie było nawet zwyczajem w Polsce arcybiskupów lwowskich przenosić do Gniezna. Pospolicie kujawscy, warmińscy albo płoccy pasterze zasiadali na prymasowskiéj stolicy. We Lwowie, rachując od piérwszéj daty nominacyi królewskiéj aż do zamianowania w Gnieznie ledwie piętnaście miesięcy siedział Władysław Łubieński. Przy objęciu prymasowskiéj katedry liczył były arcybiskup lwowski lat 56, tojest był w saméj sile męzkiego wieku (1). Zwyczajem dawno przyjętym przy katedrze gnieźnieńskiéj nowy prymas otrzymał razem i opactwo tynieckie.

Osiadł teraz Łubieński na łowickim zamku i w Skierniewicach. Zbliżył się znowu do brata i stron rodzinnych. Na Rusi był tylko gościem. Nie znał jéj wcale, i myślał, że na niéj zabawi chwil kilka, że może śmierć go tam na pasterskiéj pracy zaskoczy, tymczasem przeznaczenie wróciło go znowu w strony rodzinne. Król August pomnażał łaski dla całego domu Łubieńskich przez wzgląd na prymasa. Floryana, brata Władysława, zasłużonego w ziemstwie sieradzkiém i w trybunale zrobił w marcu 1760 roku wojewodą poznańskim i dał mu order orła białego, a syna jego Celestyna szambelanem swoim mianował. Był Celestyn synem Bogumiły Walewskiéj, kasztelanki rozpirskiéj, i młodzieńcem wielkich nadziei. Arcybiskup cieszył się niewy-

(1) Wyszło wtedy pisemko: „De Exercitio Actium Episcopalis Muneris propriorum ante Palliu receptionem Archiepiscopis denegato. Exercitatio theologica-canonica ad Excell. D. D. Venceslaum Sierakowski Epis. Praemisl. w 4-ce ark. 6.

mownie kiedy tego ukochanego synowca ożenił z Paulą Szembekówną, córką Marka generała. Doczekał się z Celestyna i wnuka Felixa, na którego zlał całą miłość swoję. Widział w potomstwie brata ród swój uwieczniony, a zamyślał wiele zrobić dla swojego imienia, żeby się coraz więcéj uświetnić. Dotąd imię to kilku wielkościami błyszczało w kościele: teraz trzeba było postawić je na świeczniku i w obywatelskich posługach dla rzeczypospolitéj. Ale marzenia te nagle śmierć przecięła. Celestyn Łubieński umarł w kwiecie wieku zostawując sierotą jedynego syna. W tym synu skupiła się teraz cała nadzieja prymasa.

Arcybiskup myślał również i o swoich obowiązkach pasterskich. Urządził najprzód dwór prymacyalny w Łowiczu Piérwsze na nim miejsce zajął Andrzéj Młodziejowski, człowiek pełen zdolności, chociaż zrodzony do intrygi. Długie lata przebył w Rzymie jako rektor tamecznego kościoła polskiego Sgo Stanisława. Znał gruntownie prawo kanoniczne i serce ludzkie. Nabył też znakomitéj wprawy w załatwianiu spraw kościelnych. Takiego człowieka potrzebował przedewszystkiém prymas Łubieński. Przypuścił go też do boku swojego, zaszczycił zaufaniem i powierzył się zupełnie jego rozumowi i sercu. Młodziejowski umiał korzystać z nowego swojego położenia: zręcznością i wysokiemi talentami dokazał tego, na co zasługa zdobyć się nie mogła. Prymas był łagodny i dawał się chętnie powodować. Nie znaczyło to wcale, żeby nie miał własnego sposobu myślenia i pewnych zamiarów, ale wszystkie jego chęci rozbijały się o jakąś dziwną słabość charakteru. Łubieński widział może zaraz błędy, nadużycie, i chciał je naprawić, ale ubolewać tylko umiał, nie zaradzić potrzebie. Nie powiemy tutaj wcale, że Młodziejowski nadużył tego zaufania. Owszem, całe jego zachowanie się względem prymasa uderzało zawsze głęboką oznaką szacunku i poddania się jego woli. Ale zawsze Młodziejowski był prawą ręką Łubieńskiego, a wszyscy już sobie po cichu szeptać zaczęli, że w nim prymasa i rozum. Młodziejowski tą drogą torował sobie przyszłość.

Był w tym czasie podskarbim księcia prymasa ksiądz Józef Grygołowicz proboszcz chrośliński, krucyferem Ignacy Cieński kanonik z Gniezna, Młodziejowski audytorem. Niedługo miejsce na tym dworze zajął i Bartłomiéj Pstrokoński, dawny znajomy z Kamionki. Prymas w kilka chwil po swojém wstąpieniu na katedrę gnieźnieńską odwiedził z Młodziejowskim Chocz, gdzie właśnie dziekanem był Pstrokoński. Młodziejowski w Choczu przypomniał prymasowi dawną znajomość. Łubieński drugi raz wtedy w życiu widział Pstrokońskiego i przypomniał sobie dawne względem niego zamiary. Dziekan chocki był człowiekiem ze wszech miar zacnym i pobożnym. Prymas ściągnął go tedy do swojéj stolicy do Łowicza, i dał mu kanonią w tamecznéj kollegiacie. Takim sposobem Pstrokoński osiadł w Łowiczu i cieszył się, że dobrze przedtém kiedyś przewidział wypadki. Został delegatem dworu prymasowskiego, ale przez skromność, unikał władzy sądowniczéj, która spoczywała w jego ręku, bo powiadał, że sam godzien jest sądu. Ale mimo to często przesiadywał w pałacu księcia prymasa, zawsze mile od niego widziany. Żeby uzupełnić ten obraz dworu, dodajmy, że kapelanem Władysława był wtedy ksiądz Szeliski.

Z temi ludźmi naradzał się i kierował sprawami kościoła polskiego prymas Łubieński, a jeżeli wejrzymy w domowe jego życie, zobaczymy doprawdy piękny wzór do naśladowania biskupom. Czyny księcia mówią za nim. Był może najpobożniejszym kapłanem swojéj dyecezyi. Codzień prawie, chociaż znękany niemocą ciała, odprawiał mszę w kaplicy pałacowéj, a co rok rekollekcye odbywał z wielkiém wylaniem się ducha. Kleryków sam często święcił, nie spuszczał się w tym względzie na suffraganów swoich. Dbał o plebanów dobrych, wchodził w ich potrzeby i postępowanie, a gorszących życiem usuwał od parafii. Nikomu nie dał beneficium do którego przywiązany był urząd pasterski, aż go osobiście nie poznał i nie słyszał na kazalnicy. Wyznaczył wtedy kandydatom do probostwa temat do kazań, ale najlepiéj lubił słuchać kiedy mówiono z ambony o miłości Boga i bliźniego. Zwiedzał kościoły i sam się do ludu odzywał. W Łowiczu i w Skierniewicach często po nabożeństwie wstępował na ambonę i w prostych słowach mówił do owieczek swoich o przyszłém życiu nieśmiertelném. To jako biskup. A jako obywatel, Łubieński także stanowił do naśladowania przykład. Wiernie służył królowi i rzeczypospolitéj. Nie opuszczał sejmów, a kiedy się rwały, zasiadał z senatorami na obradach w zamku warszawskim. Ludzki i wylany dla obywateli, wciąż starą gościnnością słynął, i dlatego rad był serdecznie, kiedy na święto jakie albo uroczystość, otoczyło go grono szlachty i panów, których podejmował na swoim dworze. Raz spotkał pewnego szlachcica nie z bogatych, i wymawiał mu, że nie był u niego na obiedzie, chociaż w kościele znajdował się na odpuście. Szlachcic nie śmiał się pchać do stołu arcybiskupiego, przy którym wojewodowie i dygnitarze zasiedli, nie miał więc słów w ustach, żeby się wytłumaczyć prymasowi. Ale arcybiskup odgadł jego skrupuły i wręcz odpowiedział szlachcicowi: „Panie bracie! stół prymasowski, jest stół dla szlachty."

I żaden może arcybiskup nie wysypał tyle grosza z własnéj kieszeni na fabryki kościołów i na cele dobroczynne, co Władysław Łubieński. Myślał naprzód o zaprowadzeniu drukarni w Łowiczu. Dla samego zarządu obszerną dyecezyą potrzeba się już było na tę myśl odważyć i znaleźć potrzebne dla jéj urzeczywistnienia fundusze. Wiele expedycyj, listów pasterskich, poleceń wychodziło do proboszczów i dziekanów na prowincyę z kancellaryi prymasowskiéj, a ręce nastarczyć nie mogły. Czuli już tę potrzebę zaprowadzenia drukarni dawni arcybiskupi, przecież jeden Karnkowski czas jakiś nakładem swoim utrzymywał w Łowiczu prassę. Po jego śmierci myśl zaginęła. Łubieński ją znalazł i tchnął w nią życie. Kilkadziesiąt tysięcy musiał wyłożyć na czcionki, na potrzebne narzędzia, na zecerów, ale zaprowadził w Łowiczu w r. 1760 zaraz w początkach swojego urzędowania, drukarnią. I stał się odtąd Łowicz jedném z ognisk ówczasowéj literatury polskiéj. Zaczęto drukować tutaj książki duchownéj i światowéj treści. Sam Łubieński kazał tu wydrukować dzieł i dziełek kilkanaście. Korzystali z jego pozwolenia i literaci, pospolicie duchowni. W Łowiczu nawet rzadkie wycho-

dziły książki. Stan drukarni jednak najświetniejszy był za Łubieńskiego: przetrwała ona przecież nawet upadek Rzeczypospolitéj. Ze dwieście książek wyszło w czasie lat kilkudziesięciu zpod prass łowickich.

Miał nieszczęście Łubieński doczekać się smutnéj chwili na swojém pasterstwie, kiedy mu na dniu 25 sierpnia 1760 spaliła się katedra gnieźnieńska, a w dwa miesiące potém umarł brat jedyny, ledwie w chwil kilka wojewoda poznański. Małoletniego wnuka Felixa wziął wtedy arcybiskup do Łowicza pod swoję opiekę, a późniéj oddał go w Albertrandego ręce, a sam się zajął odbudową starożytnéj swojéj arcykatedry. Znowu ogromnych nakładów kosztowała księcia ta chęć zatarcia śladów straszliwéj klęski. Pokrył wtedy miedzią dachy kościoła, a wyniosłszy go z rozwalin, i ściany wewnętrzne i ołtarze pięknie przyozdobił. Mówił zawsze książę, że w kapitule gnieźnieńskiéj, strawił najpiękniejsze chwile życia, bo lat trzydzieści trzy był w niéj kanonikiem i dziekanem. Musiał zatém łożyć i na katedrę. Co rok szło z jego dochodów po 1000 złp. li tylko przeznaczonych na upiększenie kościoła. A teraz reperacya ogromne kosztowała summy. Prócz tego i na prowincyi budował świątynie pańskie. W Opatowku pięknie przyozdobił kościół przez pamięć dla matki, bo ją tam w młodych leciech pochował. Rozlewał hojnie dobrodziejstwa swoje na kollegiaty dyecezyi gnieźnieńskiéj. W Łowiczu, w Łęczycy, w Uniejowie i w Łasku zostawił ślady téj dobroczynności. Byłyto wszystko miejsca, którym winien był wspomnienie młodości. W Łowiczu wystawił i uposażył dom dla wysłużonych kapłanów. Kościoły parafialne w dobrach prymasowskich wszędzie stawiał, a stare podnosił, zdobił i rozszerzał. Roboty w katedrze gnieźnieńskiéj nie dokończył, i przekazał ją następcom swoim. Złożył i kommisyę w Łagiewnikach dla roztrząsania cudów zmarłego w stanie świątobliwym zakonnika Franciszkana Rafała Chylińskiego. Chciał prymas coś zrobić i dla samych Łagiewnik, żeby po sobie trwałą pamiątkę w tamtych stronach zostawić. Od 23 listopada, do 1 grudnia 1761, przesłuchywał tymczasem w Łagiewnikach świadków o cudach, i kazał spisać protokuły, zaopatrzył to wszystko dowodami świadków, i miał proces cały przedstawić stolicy apostolskiéj, dla wyjednania kanonizacyi błogosławionego. Po spisaniu protokułu, odłożył tę sprawę prymas do marca następnego roku, a tymczasem zaszły polityczne w kraju wypadki, które tę sprawę do nieoznaczonego czasu odwlokły.

Dla poddanych był ojcem nie panem Władysław Łubieński: żeby słuchać ich skarg, często w pole wyjeżdżał wieczorami, nad zachodem słońca, w czas letni. Niby to robił dla agitacyi, dla zdrowia, a jednak zawsze z drogi zboczył na pole, żeby porozmawiać z wieśniakami i przyjrzéć się ich mozołom. Brał wtedy zwykle do karety z sobą księdza Pstrokońskiego, którego coraz bardziéj kochał. Nie ukrywał nawet przed nim prawdziwego celu swoich przejażdżek. „Dlatego tak wyjeżdżam," mówił do Pstrokońskiego, „żebym odbierał zażalenia od ubóstwa, bo ich podobno nie dopuszczają do mnie." Słowa szlachetne i godne serca wielkiego. I sze-

roko też wieść rozgłosiła litość, miłosierdzie prymasa, kupił się do niego lud biedny, i z pociechą odchodził, a przysłowie pomiędzy wioski poszło i krążyło, że dosyć się schwycić klamki jego pałacu, żeby znaleźć spokojność i los zapewniony.

Na urzędzie pasterskim nie przestał też i miłych naukowych zatrudnień prymas Łubieński. Nauki i praca stały się jego rozrywką tak w latach młodych, jak i dojrzałych. Może pod starość zaniechał już mozolnych zatrudnień, może już szerszy zakres działania odwołał go od literatury, przecież rzecz wiadoma była wszystkim powszechnie, że prymas był jednym z najuczeńszych ludzi swojego czasu. W pałacu jego domownicy widzieli obszerne rękopisy własną ręką prymasa przygotowane, jako może materyał do prac literackich, jako owoc ciągłéj i gruntownéj nauki lat długich.

Skreśliliśmy obraz uczonego prawdziwie kapłana. Był nim niezawodnie prymas Władysław Łubieński, bo świecił cnotą biskupią i obywatelstwem. Nie mamy wielu szczegółów po których sądzićbyśmy mogli o jego nakładach dla kościoła. Ale zacytujemy przynajmniéj znajome fakta. Na odnowienie arcykatedry w Gnieznie dał książę z własnéj kieszeni 190,359 złp. Na probostwo jedno z najsławniejszych w Łowiczu zwane szpitalem przy kościele Śgo Jana dał 22,000. Jestto właśnie ten sam dom dla wysłużonych kapłanów, o którymeśmy niedawno wspominali. Komorowski piérwszy fundusz na ten szpital wyznaczył, a Łubieński chciał myśl dawną przywieść do skutku, przecież nie doczekał téj chwili, aż instytut wziął życie. Wspomnimy jeszcze i o nadaniu w roku 1761 wójtostwa wsi Skaratki na rzecz zakładu dobroczynnego i naukowego ubogich dzieci *bartoszkami* nazwanych, który od pewnego czasu utrzymywał się przy kollegiacie. Żebyśmy inne wydatki Łubieńskiego policzyli, w tym czasie doszlibyśmy może do milionów. Dochodów swoich dobrze zatém używał, bo jak mówiliśmy, miał to przekonanie w sercu, że dlatego uposażył go kraj rodzinny, żeby w tym kraju zajaśniała jego cnota i dobroczynność.

Jako obywatel rzeczypospolitéj, Łubieński wpływał przeważnie na jéj losy. Kiedy z powodu zepsutéj monety, obawiano się redukcyi od podskarbiego Wessla, sejmiki wysyłały do księcia pełnomocników prosząc go, żeby pośrednikiem był w téj sprawie. I w saméj, rzeczy, wysoki urząd prymasa, już jakby prawem od lat dawnych stał się pośrednikiem pomiędzy szlachtą a królem. Trybunały kiedy rozpoczęły swoje sądy, miały zawsze zwyczaj, przez umyślnie wybranych z grona swojego deputatów zawiadamiać o nowéj pracy króla, marszałka i prymasa w Łowiczu. Łubieński był jednak stanowiskiem swojém jedynie a nie znaczeniem pośrednikiem szlachty, na to miał mało woli nad sobą, żeby szczerze za sprawą się ująć i zapewnić jéj skutek. Miał zawsze obietnice na ustach i szczerą chęć w sercu, ale czyn nie odpowiadał nigdy zamiarom. Pisał zawsze do króla, udawał się za szlachtą, ale naprożno. Redukcyą ogłoszono. Potém znowu, kiedy wieść się rozchodziła o zamachach stronnictwa monarchicznego, i kiedy

rozpowiadano, że kanclerz litewski z bratem rodzonym wojewodą ruskim prowadzi do kraju wojsko zagraniczne, sejmiki znowu wysyłały poselstwa do prymasa. Łubieński pisał znowu do króla. A kiedy potém nowa sprawa zajęła umysły i książę Karol saski miał zostać księciem kurlandzkim, prymas stawał gorliwie w obronie domu królewskiego, i zatwierdzał prawa Karola, przeciw widokom familii. Zdawało się zatém, że Łubieński należał do stronnictwa szlacheckiego, żeby razem z Potockiemi i Radziwiłłami utrzymać na tronie polskim dom saski i rząd dawny.

W roku 1763 prymas tylko co przed śmiercią królewską, zajęty myślą, która mu już spoczynku długi czas nie dawała, pisał do Rzymu do Klemensa XIII w sprawie miasta Łagiewnik, bo przez pamięć Rafała Chylińskiego chciał wynieść kościół tameczny do godności bazyliki Laterańskiéj. Pisał zatém o przywileje i odpusty. List ten ze Skierniewic 24 lutego datowany, oddychał prawdziwie poufałością synowską, i my chcielibyśmy widzieć w tém dowód szacunku, jaki w Rzymie obudzał Władysław Łubieński. Ale i ta sprawa, równie jak i proces kanonizacyi musiały się odwlec do czasu, bo zaszły wielkiéj wagi wypadki polityczne w kraju. Umarł król August III, a Łubieński stawał się przez to samo władcą przeznaczeń narodu. Objął wodze rządu w koronie i wielkiém księztwie litewskiém. Był *między królem*, *Inter-Rex*, jak szlachta prymasów w bezkrólewiu nazywała.

Książę bawił właśnie w Skierniewicach, kiedy odebrał z Drezna sztafetę i wiele listów o śmierci króla. Wybrał się natychmiast do Warszawy, gdzie stanął na dniu 14 października 1763 r. Zaczynała się nowa epoka dla dziejów polskich. Młodziejowski nieodstępnie towarzyszył prymasowi. Wyrachował on dobrze, że na polu elekcyjném wpośród walki i zazdrości stronniczych, zaświta przecież i dla niego chwila, ażeby się z tłumu wydobyć. Młodziejowski był zrodzony na dyplomata, jak prymas na spokojnego obywatela. Łubieński zatém wszędzie zastawiać się teraz musiał zdolnościami swojego audytora, pełnomocnika, drugiego siebie.

Z Warszawy prymas rozpisał listy do pobliższych senatorów, kasztelanów krzesłowych, oraz ministrów koronnych i litewskich, donosząc im o śmierci króla i prosząc o zjazd do Warszawy; a do ziem, powiatów i województw rozpisał uniwersały. Pod koniec października senatorowie zaczęli się zjeżdżać, i wciąż naradzali się z księciem na prywatnych posiedzeniach. W listopadzie w pałacu *prymasowskim* nastąpiła walna rada, która trwała tydzień cały, a przedewszystkiém sądy kapturowe zaprowadziła. Miał teraz książę prymas sposobność okazania się prawdziwym przyjacielem rodziny zmarłego króla. Elektor saski pisał do niego, prosząc o koronę. Książę pokazywał listy panom, rozmawiał o przyszłéj elekcyi, ale bał się wydać ze swojém zdaniem. Zakazał mu tego Młodziejowski, który bystrém okiem śledził wypadki dlatego, żeby uchwycić się téj strony, która miała najpiękniejsze nadzieje powodzenia. Tymczasem całą dyplomacyę i stosunki z za granicą, senatorowie zostawili prymasowi, bo jak się wyrażali, wierzyli

jego *dexteritati et actoritati*. Książę krzątał się dość żwawo, wyprawiał posłów do rozmaitych dworów, pisał ciągle listy i uniwersały, a nawet ośmielił się raz pisać z godnością do króla pruskiego, kiedy rotmistrz jego Paszkowski najeżdżał kraje pograniczne, a województwa wielko-polskie do księcia częste zanosiły skargi. Pomogło wstawienie się Łubieńskiego i król obiecał zadość uczynić słusznym żądaniom prymasa.

Mieszkał w Warszawie cały ten czas bezkrólewia prymas Łubieński aż do sejmu konwokacyjnego, kiedy wypadki coraz jaśniejszą przybrały barwę. Arcybiskup rzucił myśl jeżeli miał jaką o popieraniu domu saskiego i przeszedł na stronę Czartoryskich i Rossyi. Konwokacyą otwarto nabożeństwem u Śgo Jana w dniu 7 maja 1764 r. Znajdował się na niéj prymas, a potém szedł na czele senatu do izby poselskiéj. Po elekcyi marszałka, sejm konfederacyjny zasiadł w izbie senatorskiéj na zamku. Książę prymas zajął miejsce na krześle z poręczami z prawego boku tronu na piérwszym stopniu. Ztąd doskonale mógł widzieć wszystko co tylko działo się w izbie i naprzeciw siebie, bo tam za orszakiem ministrów pomieścił się Młodziejowski. Książę z ulubieńcem swoim rozmawiał migami i spojrzeniem. Radził się go prawie w każdém zdarzeniu, w każdéj odpowiedzi, jak ma sobie postąpić, co mówić. Jeżeli migi nie były dostateczne, leciał środkiem izby do prymasa Młodziejowski i szeptał do ucha, a potém wracał na swoje miejsce. Uderzało to wszystkich, ale arcybiskup był tyle powolny, tyle słaby, że nie uważał na tę nieprzyzwoitość. Powiadano wtedy cichaczem w izbie senatorskiéj, że głowa prymasa tylko peruką pokryta, że w niéj pustki. Znosił nawet z tego powodu Łubieński dotkliwe przycinki od posłów i senatorów, bo pojąć nie mogli i nie chcieli wpływu nieznanego człowieka, na zdanie piérwszéj osoby w kraju, a więc i na losy rzeczypospolitéj. Źli i gniewni mówili wtedy, że Młodziejowski był Machiawelem po księzku przebranym, a Młodziejowski był niczém więcéj, tylko rozumem i myślą księcia prymasa, a nie narażał się wcale krajowi.

Konfederacya generalna widząc uległość prymasa dla swoich widoków na sejmie konwokacyjnym, wielką go władzą opatrzyła. Zachowała go naprzód przy prawie nominowania króla i przywilejach jakie zdawna służyły w tym względzie arcybiskupom gnieźnieńskim. Przepisała mu tryb postępowania w czasie elekcyi i postanowiła, że przed nominacyą ma się zapytać trzy razy województw o zgodę. Pozyskał także prawo książę prymas wydać *wici* do szlachty na pospolite ruszenie, jeżeli to za potrzebne uzna: w takim razie jednak uwolnił sejm dwór księcia od powinności zbrojnego stawienia się na usługi rzeczypospolitéj. Więcéj jeszcze, dla wydatków w czasie bezkrólewia, poleciła także konfederacya podskarbim wielkim, żeby w ręce arcybiskupa 150,000 złp. wypłacili. Prymas od lat już kilku powziął zamiar Łowicz swój wynieść do rzędu miast grodzkich. Sejm wszedł w słuszność jego żądań, i pomnażając prerogatywy prymacyalne, pozwolił księciu w grodzie łowickim uskuteczniać wszelkie tranzakcye doczesne i wieczne w interesach tyczących się jakimkolwiekbądź sposobem prymasów. Waga pod tym wzglę-

dem grodu łowickiego miała być zupełna tak jak w księgach ziemskich lub dawniejszych grodzkich po województwach. Przywiléj to był wielkiego znaczenia i dla Łowicza i dla arcybiskupów gnieźnieńskich. Piérwszy to w dziejach naszych przykład, żeby miasto prywatne, pozyskało dla siebie przywiléj grodu. Łowicz był dotąd stolicą prymasów, teraz miał się stać i ogniskiem życia dla szlachty. Nabierał i znaczenia i powagi; a sam arcybiskup gnieźnieński był teraz jakby panem politycznym, bo zyskał cząstkę królewskiego majestatu.

Dwudziestego siódmego sierpnia był także obecny książę prymas u Ś. Jana w Warszawie na zagajeniu sejmu elekcyjnego nabożeństwem przez kujawskiego biskupa. Przeniósł się następnie pod Wolę, i tam przyjmował u drzwi 3, 4 i 5 września na posłuchaniu, nuncyusza, księdza Serra Kajdeskiego i księcia de Schonaj. I wreszcie w dzień elekcyi wyjechał od siebie z pałacu prymasowskiego na pole w karyolce bogatéj, kapiącéj od złota i ozdób z axamitu czerwonego i galonów, co blask prześliczny rzucało. Czterokonny zaprząg wiózł księcia prymasa, a foryś siedział na przodzie i stangret w galonach, konno jechali. Rumaki czubami złotemi błyszczały. Otaczał księcia ogromny orszak strojny i piękny. Podług prawa, powinien był prymas konno objeżdżać województwa, ale uchylił się od dawnego zwyczaju, bo na krzyże stękał i ztąd chodził pochyło, a tém bardziéj nie mógł się utrzymać na koniu. Zajechał prosto przed poznańskie i kaliskie województwa, które były ziemią jego rodzinną, i obraził przez to krakowskie, które narzekało na przełamanie zwyczajów elekcyjnych. Objeżdżając po kolei powiaty i ziemie, pytał się książę prymas: „Witam Waściów, mościwych panów i braci na tém elektoralném polu, i pytam się, czy zgoda, kogo Waszmość wybieracie na króla.“ Potrzykroć zapytane województwa, po trzykroć Stanisława Poniatowskiego mianowały. Ogłosił więc prymas nowego króla, i na polu zaśpiéwał: Te Deum; ozwały się trąby, kotły i działa, i szlachta ze Stanisławem Augustem przeniosła się do Warszawy, do kościoła Śgo Jana, w którego podwojach witał króla prymas, i na nowo Te Deum zaintonował. Trzynastego września odebrał Łubieński przysięgę od króla na pakta konwenta naprzód w zamku, a potém u Śgo Jana. Miał przy téj okoliczności mowę równie jak i Stanisław August. Elekcyę podpisał razem z województwem poznańskiém, a w paktach nowy zawarowany był artykuł, który świadczył o szacunku stanów skonfederowanych dla prymasa: prezenty na wakanse, które po śmierci Augusta III sam władzą swoją rozdał prymas, miał zatwierdzić powagą tronu Stanisław August.

Władysław Alexander Łubieński był ostatnim prymasem, co przewodniczył obradom elekcyjnym, i pod Wolą ogłaszał uroczyście obranego króla. On téż, i chociaż słaby w kilka miesięcy potém koronował Stanisława Augusta w dniu 26 listopada, w dzień Śtéj Katarzyny. Nie zapomniał wtedy o Młodziejowskim. Kiedy król rozdawał wakanse, Młodziejowskiemu za przymówieniem się prymasa, dostała się pieczęć mniejsza koronna. Tym czynem zamknął polityczne swoje życie Władysław Łubieński. Osiadł już teraz zu-

pełnie na ustroniu w pałacu swoim skierniewickim i prawie się już nie mieszał do wypadków świata. Słabowity był, a choroba powiększała się teraz jeszcze niedołężnością lat swoich. Przyszłość tylko wnuka ciążyła mu jak kamień na sercu.

Król Stanisław August przysłał mu do Skierniewic wtedy ustanowiony przez siebie order Śgo Stanisława, a Łubieński postanowienia sejmów w czasie bezkrólewia doprowadzał do skutku, bo w dniu 13 stycznia 1766 r. otworzył gród w Łowiczu. Dyssydenci wtenczas zaburzyli i Litwę i koronę. Powstawały wszędzie konfederacye, jedna za drugą. Działając w duchu zgody, jak przystało na katolickiego pasterza, Łubieński myślał, że wdaniem się swojém, oddali burzę i sprowadzi pokój między zwaśnione umysły. Miał nawet bulle z Rzymu zalecające jak ma postępować z tego powodu na sejmie. Bulle datowane były 6 września 1766 r. (1). Prymas rozpisał wtedy po całéj dyecezyi listy pasterskie, i starał się wszędzie uśmierzyć konfederacye. Ale nie w jego sile było pochamować zapał i złą wiarę stronnictw. Że słabość ciągle go trzymała na łożu, nie mógł sam odbywać wizyt po kościołach swojéj metropolitalnéj dyecezyi, mianował Pstrokońskiego wizytatorem generalnym gnieźnieńskim. Oddał mu niedawno i kanonię w téj katedrze, i wyprawił na trybunał wielko-polski jako wice-prezydenda. Oddał mu jeszcze i kanonię intratną Śgo Jerzego w Gnieznie. Wiele osób ubiegało się o to beneficyum, przecież prymas dla Pstrokońskiego wyprosił je u króla; opatrzył swojego kanonika spiżarnią, piwnicą, dał mu pieniędzy i na trybunał wysłał. Chciał go zrobić książę i oficyałem generalnym gnieźnieńskim, ale nie przyjął téj dostojności, bo rozwody strasznie podówczas weszły w modę, a Pstrokoński bał się sądów z tego powodu, bo nie chciał dawać wyroków. Nie czekał zatém na instrument z kancellaryi prymasowskiéj, i po cichu wymknął się ze Skierniewic do Piotrkowa. Co do wnuka, tego już arcybiskup myślał wysłać w podróż z Albertrandim.

W początkach 1767 roku prymas przyjmował jeszcze u siebie w odwiedzinach, nową rodzącą się znakomitość. Mówim o dopiéro co poświęconym na biskupstwo warmińskie Ignacym Krasickim. Krasicki był w Skierniewicach przed wielką dla samego księcia uroczystością. Jego audytor niegdyś, a potém podkanclerzy koronny ksiądz Młodziejowski znowu za jego wsparciem, a za łaską królewską, posunął się wyżéj w kościele polskim, bo otrzymał biskupstwo w Przemyślu. Audytorem księcia prymasa, był wtedy Antoni Sierakowski. Miał właśnie prymas poświęcić Młodziejowskiego na biskupstwo, ażeby zaś uświetnić więcéj ten obrzęd, porozdawał świeżo wakanse w kapitule gnieźnieńskiéj, i razem z poświęceniem biskupa, miały się odbyć i instalacye na urzędy kapitulne. Był zatém na dniu 2 lutego świetny zjazd panów w Skierniewicach. Przypadało właśnie święto Oczyszczenia Matki Boskiéj, dzień obrany przez prymasa na obrzęd poświęcenia.

(1) Litterae Clementis XIII p. p. ad archiepiscopum 1766 fol. (Jocher Tom III, str. 469).

Posługiwali temu uroczystemu aktowi, niosąc pochodnie, chléb i baryłki z winem: Twardowski wojewoda kaliski, Jędrzéj Myszczeński wojewoda i Józef Podoski wojewoda płocki, Siemianowski kasztelan rawski, Gurowski kasztelan przemycki, i Małachowski starosta ostrołęcki, marszałek trybunału. Prócz tego znajdowało się jeszcze w Skierniewicach wiele gości, których listę skrzętnie zacytowały gazety spólczesne. Była z Łubieńska Stanisławowa Lelowska, był Konowski podstoli nadworny koronny z żoną, była szlachta z okolic i urzędnicy ziemscy: Łuszczewscy, Szymanowscy, Załuscy. Nadjechał i audytor nuncyatury, ksiądz Silva. Kanoników, prałatów asystowało dużo prymasowi. Między innemi odznaczał się i ksiądz Pstrokoński vice-prezydent trybunału, przybyły z Piotrkowa. Sierakowski audytor księcia prymasa miał kazanie, już po odbytych ceremoniach poświęcenia o godności charakteru biskupiego i potrzebie szacunku dla świętego stanu. Potém książę z całém swojém towarzystwem powrócił do pałacu, i przyjmował na posłuchaniu deputatów od trybunału wielko-polskiego. Dał im sam odpowiedź w wyrazach pełnych względności i przyjemnych. Poczém obiadem uczęstował swoich gości wspaniale, a uroczystości z tego powodu odbywały się dni kilka, póki Młodziejowski nie wyjechał z powrotem do Warszawy. W końcu lutego odbył jeszcze w Skierniewicach uroczystości instalacyi dwóch prałatów gnieźnieńskich, z tych jeden był Szaniawski krucyfer księcia, mianowany przez niego kanclerzem w kapitule. To był już ostatni czyn Łubieńskiego w doczesném życiu.

Na święta wielkanocne odwiedzili raz jeszcze prymasa w Skierniewicach razem Krasicki i Młodziejowski. Starzec żył wtedy już z dnia na dzień słaby i pochylony wiekiem. Rzadko już wtedy miał siłę życia, które szczątkami błyszczało. Jednakże, na imieniny królewskie, przed dniem 8 maja zjechał ostatni raz do Warszawy. Dziesiątego maja dał u siebie w pałacu prymasowskim bal, na którym Stanisława Augusta, i przytomnych w stolicy panów zaprosił. W dwa tygodnie potém (22 maja), dawał także w prymasowskim pałacu, za zgromadzeniem się licznych obywateli publiczne posłuchanie delegowanym do siebie wysłańcom dyssydentów. Bo wtenczas cała Polska najeżyła się konfederacyami, które się dobijały niby o wolność religijną. Warszawa pełno miała gości z rozmaitych stron i z odległych i z bliskich. Wielkie wypadki zachodziły na ziemi polskiéj, która w straszliwém znajdowała się przesileniu. Arcy-biskup gnieźnieński jako prymas był jedną zasadą rzeczypospolitéj. Dlatego téż i do niego, lubo naczelnikiem był kościoła, posłali swoich deputowanych dyssydenci. Na ich prośby i przedstawienia, odpowiedział książę publicznie wobec panów: „Delegacyę W. M. panów od współbraci ziemian i obywatelów obojga narodów przyzwoitym affektem w osobach ich witam i przyjmuję. Żądania wyrażone jako tyczące się rezolucyi rzeczypospolitéj, do zgromadzenia trzech jéj stanów odłożyć życzę, jako piérwszy senator. Jako zaś piérwszy pasterz do jednomyślności owieczek tych państw zapraszam." Po téj mowie cofnęli się z pałacu delegowani dyssydentów Kurnatowski i Dziębowski, a prymas pozostał ze

swojemi gośćmi. Z tych słów kilku jednakże, możemy wnosić, że w kwestyi dyssydentów, jak w całém życiu, polityką prymasa byłaby łagodność i pobłażanie. Nie miał zapewne nigdy Władysław Łubieński tyle zdolności politycznych, albo dumy własnéj, żeby przywodził stronnictwom, które wtenczas miotały osłabionym okrętem rzeczypospolitéj.

W miesiąc po tém posłuchaniu książę prymas Władysław Łubieński żyć przestał. Umarł w Warszawie w pałacu swoim na Senatorskiéj ulicy w nocy 21 czerwca 1767, o drugiéj godzinie rano. Było to dzień właśnie niedzielny. Żył lat 63 miesięcy 7 i 3 tygodnie. Na arcybiskupstwie gnieźnieńskiém siedział lat ośm przeszło. Biskupem był lat 9 i półtora miesiąca. Testamentem przygotowanym zawczasu, rozporządził wszystko i co do duszy i co do majątku. A miał czas po temu, bo dwa tygodnie chorował tylko, ale mógł przewidzieć, że to już była choroba ostatnia, więc śmiertelna. Gazety ówczesne te parę wyrazów poświęciły wtenczas jego wspomnieniom: „Śmierć ta, mówiły, niezmiernym napełniła żalem nietylko krwi związkiem z nim złączonych, ale też współ z nim, około powszechnego ojczyzny dobra pracujących; owszem, wątpić nie można, iż żalem przeniknie wszystkich w powszechności królestwa obywatelów, pomniących na wielkie jego w ojczyznie zasługi, a mianowicie na podjęte w ostatniém bezkrólewiu prace, dla ugruntowania powszechnéj spokojności i obdarzania kraju tą szczęśliwością, którą się pod słodkiemi najjaśniejszego króla JMci pana naszego miłościwego rządami zaszczyca, zkąd nieśmiertelną do ostatniéj potomności obdarzony będzie chwałą.” Gazeciarz nie powiedział prawdy, może nie chciał: ale w kilku jego wyrazach gorzka ironia. Prymas Łubieński cnotami biskupiemi, dobroczynnością i dziełem znakomitém w swoim czasie, zasłużył na pamięć, a nie przez swoje czynności w bezkrólewiu. Pochwała także Stanisława Augusta razi pochlebstwem. Jego panowanie miało się niby spokojnością odznaczać, a nad grobem zmarłego prymasa wrzały konfederacye.

Zapisał Łubieński na reperacyę archikatedry swojéj jeszcze 33,000 złp.; prócz tego pozostawił materyały do zupełnéj odbudowy kościoła. Materyały te także wartością swoją kilkanaście tysięcy wyniosły. Dziedzicem całego majątku ustanowił wnuka Felixa Łubieńskiego. Obszerna biblioteka księcia i zbiór bogaty jego własnych rękopisów dostały się także wnukowi i składały potém jakby odrębne bogactwo we wsi Szczytnikach gdzie mieszkał Felix Łubieński. Exekutorem testamentu był mianowany Młodziejowski biskup przemyślski, podkanclerzy koronny.

W piątek 26 czerwca 1767 r. o godzinie 8 wieczorem, odprawił się w Warszawie z przyzwoitą okazałością kondukt zmarłego prymasa z pałacu. Prowadził ten kondukt żałobny Hieronim Szeptycki biskup płocki, a towarzyszyli mu: Krasicki warmiński, Młodziejowski przemyślski, i Załuski kijowski dyecezalni biskupi, tudzież suffragan poznański Kierski, sekretarz wielki koronny; cechy, magistrat, zakony, i liczne duchowieństwo postępowało w żałobnym orszaku. Przy wyprowadzeniu ciała z pałacu miał mowę pogrzebową Żórawski kanonik warmiński, a drugą przy Jezuickim kościele

ksiądz Sebastyan Lachowski jezuita; ostatnią przy figurze Śgo Jana Nepomucena naprzeciw *błękitnego pałacu* powiedział mowę *Obermajer*, professor retoryki w kollegium szlacheckiém Pijarów. Orszak żałobny pospieszył do Łowicza, bo tam w grobach prymasów chciał być pochowany zmarły arcybiskup. Cała Warszawa wysypała się wtedy za ciałem, żegnając na wieczność znakomitego człowieka.

Młodziejowski wyznaczył pogrzeb w Łowiczu na dzień 27 lipca. Zjechało się na ten smutny obrzęd nadzwyczaj licznie duchowieństwo gnieźnieńskie i sąsiednich dyecezyj. Trzy dni trwało nabożeństwo pogrzebowe. Dnia piérwszego Ostrowski biskup kujawski, drugiego biskup płocki, trzeciego Krasicki śpiéwali msze żałobne, a po każdéj mszy następował kondukt z pięciu biskupów złożony. Wigilie codziennie od rana do mszy wielkiéj śpiéwało duchowieństwo zakonne i świeckie. Ze stolicy licznie najechali i Missyonarze warszawscy; nie było muzyki, oni więc zaprowadzili żałobny śpiéw gregoryański i wzruszali smętną nutą obecnych. Piérwszego dnia po mszy wielkiéj, biskup Załuski powiedział kazanie, a po kondukcie zesłani z Warszawy żegnali zmarłego prymasa: imieniem króla, Moszczeński wojewoda inowrocławski; imieniem senatu, Lipski kasztelan łęczycki; od rycerstwa Rogaliński, starosta nakielski, a od duchowieństwa ksiądz Morawski, archidyakon gnieźnieński. Wynurzali oni w uczonych mowach swoich żal, wdzięczność, szacunek, oświadczali zmarłemu, że pamięć jego nie zagaśnie. Od familii dziękując za współczucie, przemawiał Zbijewski kasztelan kaliski marszałek księcia prymasa. Nareszcie roztkliwił wszystkich przemową swoją dziewięcioletni wnuk arcybiskupi, Felix Walezyusz, jedyna domu nadzieja. Pobudził do litości nad sobą, kiedy wspomniał o sieroctwie swojém, sam jeden już teraz na ziemi, bez ojca, bez dziadka, bez arcybiskupa, który mu miejsce całéj rodziny długo zastępował. Dziwili się słuchacze wymowie dziecka, i mówili, że w nim zdolności nad lata. Wnuk zaprosił w końcu wszystkich gości na chléb żałobny, którym to w zamku, to w seminaryum, to po klasztorach częstowano hojnie. Na końcu żałobnego obrzędu ksiądz Kaszewski kanonik, kaznodzieja kollegiaty łowickiéj rozdawał mowę swoją, którą miał przy złożeniu ciała w grobach kollegiaty. Wydrukował ją właśnie i przy uroczystém posłuchaniu, oddał w ręce Młodziejowskiemu, któremu przypisaną była, dziękując od swojéj kapituły za pogrzeb tak wspaniały. Ta jedyna mowa drukowana, została pamiątką literacką po obrzędzie żałobnym w Łowiczu. Z kapituł polskich, lwowska odprawiła także exekwie za duszę prymasa przez pamięć, że zmarły był kiedyś jéj pasterzem. Lwów wystąpił także ze świetną wystawą i pokrył się przez trzy dni prawdziwą żałobą. Zakończył obrzęd mszą śpiewaną ksiądz Samuel Głowiński biskup Hebroński suffragan.

Miejsce Władysława Łubieńskiego w Gnieznie zajął Gabryel Podoski.

II.

Władysław Alexander Łubieński wsławił się w literaturze ojczystéj przedewszystkiém napisaniem jednego wielkiego dzieła, które dzisiaj należy do rzadkości bibliograficznych. Zupełny jego tytuł następujący:

„Świat we wszystkich swoich częściach większych i mniejszych, tojest: w Europie, Azyi, Afryce i Ameryce, w monarchiach, królestwach, księztwach, prowincyach, wyspach i miastach, geograficznie, chronologicznie i historycznie określony; opisaniem religij, rządów, rewolucyj, praw, zwyczajów, skarbów, ciekawości i granic każdego kraju, z autorów francuzkich, włoskich, niemieckich i polskich zebraném przyozdobiony, przez księdza Władysława Łubieńskiego, scholastyka krakowskiego, kanonika gnieźnieńskiego, proboszcza infułata Łaskiego. Tom I, roku MDCCXL. Do druku wrocławskiéj w Szlązku akademii Societatis Jezu dla ciekawego, a nie próżnującego oka polskiego podany." Dzieło w arkuszu, stronnic 656, prócz indexu i sześciu kart tytułowych.

Literatura geograficzna Polski przed wydaniem *Świata*, prawie nie miała dzieł uczonych. Opisów Polski było dość, ale na opis ziemi nikt się jeszcze przed Łubieńskim nie zdobył. Cały zapas wiadomości geograficznych mieli Polacy w niewielu księgach i to napisanych po łacinie. Gdańszczanin Filip Kluwer stanowi epokę w dziejach geografii, ale byłto pisarz wyższego polotu, więcéj krytyk i filozof, badacz więcéj starożytności jak geograf. Pisał Kluwer dla uczonych, a nie dla ogółu. Maleńka geografia, wydana po łacinie w Krakowie 1672, przez Jana Stanisława Formankowicza, zaledwie na uwagę zasługuje. Łubieńskiego poprzedziła: *Geografia novissima* Naumańskiego, wydana u Pijarów w Warszawie 1729 r; pisemko bez żadnéj wartości, ułożone dla uczących się, bo rozdzielone na pytania i odpowiedzi. Oto była cała literatura polska pod względem geograficznym.

Świat był zatém zjawiskiem, a wartość jego jeszcze wyżéj ocenim, jeżeli na stan spółczesny literatury i wiadomości geograficznych w Polsce zwrócimy uwagę.

Rozpoczyna dzieło na odwrotnéj zaraz stronie tytułowéj kartki, dedykacya do Augusta III, po polsku i po francuzku, zaraz obok portretu królewskiego. Łubieński dzieło swoje poświęcił królowi jako hołd winny dla jego nauki, i z powodu, „że przezacny czytelnik kiedy się zapatrzy na intytulacyę własnego monarchy, wybaczy niedoskonałości *Świata*. Imię króla jest

ozdobą dzieła, ale istota, jak powiada Łubieński, jest w opisie krajów, nad któremi Wasza Królewska Mość słodko i świętobliwie panujesz.“ Dlatego jądro *Świata* stanowi opis Saxonii i Polski. Łubieński pisze w dedykacyi że dzieło jego „wyrazi niezwyciężone imiona monarchów krwi Piastów i Jagiellonów, złączonych z N. N. krwią W. K. M.; wytłumaczy początki chrześciańskie N. N. książąt saskich w sławnym Witykindzie książęciu saskim, i z wiary Ś. przyjętéj, i z batalij 24 wydanych Karolowi W. cesarzowi. Opisuje trony cesarzów rzymskich, tak jako i francuzkie, hiszpańskie, angielskie i sycylijskie najjaśniejszą krwią W. K. M. ozdobione; wyprowadza niezwyciężone imiona domu austryackiego, ściśle złączonego z W. K. M. w N. N. Józefie Maryi monarchini Polskiéj, a ozdobie wieku tego z wydaną najjaśniejszą familią ilu pociech, tylu tronów. Nakoniec wyrazi w sobie ta księga wszelką ciekawość, bo cały świat podzielony na swoje części, i w nich uniwersalne rządy, rozległości, bogactwa i osobliwości wydające z siebie piękność i ozdobę machiny świata tego, którego teraz W. K. M. jesteś rządcą, jako namiestnik państw rzymskich“. W r. 1740 kiedy dzieło to wychodziło, było bezkrólewie w Niemczech, bo umarł niedawno Karol VI cesarz, i z urzędu swojego rządcą rzymskim był król Polski jako elektor saski. A że cesarz rzymski według pojęć średniowiecznych był panem całego świata, więc i August III, miał w r. 1740 czasowe panowanie nad całą kulą ziemską. To właśnie przymawia królowi Łubieński w tych ostatnich słowach.

Następuje portret autora i przemowa do czytelnika. Byłato może zarozumiałość, że Łubieński dzieło swoje ozdabiał własnym wizerunkiem, a jednak dla nas ten portret, to pamiątka.

W przemowie jest historya świata. Łubieński mówi: że „świat za najdoskonalszych uznaje ludzi sobą władnących“, kiedy są uczeni, i na tym to fundamencie (dodaje) europejskie monarchie utrzymują swój lustr i ozdobę, założywszy w wnętrznościach państw swoich liczne akademie dla nauk kwitnące.“ Z akademii wychodzą ministrowie, statyści, historycy i geografowie, którzy piszą księgi i rozprawiają o rządzie dobrym. Z tych ustępów widać że Łubieński chciał przedewszystkiém rządy Europy w różnych kształtach przed oczy ziomkom swoim przedstawić. Zwracał uwagę na wady i zalety rządów. Tak *Świat* jego był dziełem politycznem. Przyszłość może wyjaśni, czy Łubieński był człowiekiem reformy i pragnął zmiany w rządzie rzeczy-pospolitéj. Jeżeli tak jest, postać jego dziejowa zyska wiele na interesie, bo coraz więcéj widoczne są cele, co myśl społeczną dźwigały: widzimy wszędzie echo, jakby innego świata, wyświecają się ludzie i zamiary.

Dzieło swoje zbierał Łubieński z obcych autorów i z notat, które robił w podróży za granicą. Najwięcéj zajmowały go akademie tak liczne w Niemczech, Włoszech i Francyi. Chciał wystąpić z akademickiém dziełem i sam własną osobą zastąpić Polsce wielu professorów, krórzy pisali w téj materyi. Wróciwszy do ojczyzny umyślił sobie próżnowanie zastąpić czytaniem włoskich, francuzkich, łacińskich i niemieckich autorów, i robił z nich wypisy przez lat 12 bezustannie, wyjąwszy 4 lata na dwie funkcye deputackie na

trybunał, i na czas rozruchów w czasie bezkrólewia. Tak *Świat* powstał w r. 1728—1740. Z nieśmiałością puszczał dzieło swoje w ręce czytelników, myśląc: że albo da tém samém komuś powód do napisania lepszego *Świata*, albo obudzi w narodzie chęć do założenia osobnéj akademii dla nauk geograficznych, jakich kilka widział za granicą. W tém widzimy znowu drugą myśl obywatelską Łubieńskiego.

Rozwija daléj plan swojego dzieła autor. Geografię wszędzie połączy z historyą, jako najpewniejsze środki do poznania świata. Za początek badań, za punkt wyjścia, obiéra pismo ś. Najprzód więc opisał stworzenie świata, pokolenia, rząd, religie, język piérwszych rodziców, potop, dzieje Noego, podział ziemi, rozmnożenie się familij, początki monarchij i t. d., aż do Narodzenia Chrystusa.

Nastąpił potém sam opis świata. Na czele Europa, a w niéj Rzym, chronologia piérwszych królów rzeczypospolitéj, cesarzów, aż do niedawno zmarłego Karola VI. Za tym rysem historycznym prawdziwego, a potém urojonego państwa, Łubieński chce pomieścić opis Włoch, podział państw i prowincyj. Przy Rzymie rozszerzy się nad rządem kościoła, opisze papieżów, obrzędy ich koronacyi, elekcyi, wjazdu, rozwinie instytucyę kardynałów, opisze podział świata na arcybiskupstwa i biskupstwa. Potém nastąp iopis wysp włoskich, Hiszpanii, Francyi, Niemiec, Czech, Węgier i Polski. Za Polską pójdą: Brytania, Dania, Szwecya, Moskwa i Turcya. Od Turcyi przejście naturalne do innych części świata.

W końcu przemowy przyznaje się Łubieński: że „przymłodszéj pory praca w łaskawości doskonałego czytelnika miéć będzie swoję exkuzę“, że obawiał się drukować „tych zabaw”, ale że perswazye ludzi godnych, zobowiązały go ogłosić swoje dzieło, tém bardziéj że podobnéj księgi nie było jeszcze w języku polskim. Kończy religijną, szczeropolską myślą: „przyznam ci się zacny czytelniku, żem te zabawy moje zebrane w tę księgę począł i szczęśliwie skończył pod jedyną protekcyą Najwyższéj Królowéj Nieba i Ziemi, a skończoną do usług publicznych, spodziewając się wdzięczności od kraju konsekruję“.

Zamieszczony spis autorów po przemowie, których używał Łubieński zawiera imiona 66 ksiąg i pisarzów. Między innemi oprócz polskich, są tam Eneasz, Sylwiusz, Herodot, Horacy, Pistoryusz, Cezar, Lipsiusz, Moreri, Otto fryzyngeński, Puffendorf, a nawet ś. Augustyn. *Świat*, niezawodnie był dziełem wysokiéj erudycyi.

Do historyi samego dzieła, zacytujem jeszcze kilka faktów. Łubieński przed wydrukowaniem *Świata*, poddał pracę swoję pod rozpatrzenie teologów, których wyznaczył kardynał Lipski, i kiedy teologowie zaświadczyli, że nic przeciwnego ani wierze, ani obyczajom nie zawiéra, kardynał 28 lutego 1741 roku w Kielcach pozwolił drukować dzieło. Następnie w Lipsku 2 maja tegoż roku, król August III na lat 10 wydał przywilej Łubieńskiemu, mocą którego, w tym przeciągu czasu, pod karą tysiąca dukatów i konfiskatą, nie pozwalał ani przedrukowywać, ani tłumaczyć świata. Podpisali przywilej: kan-

clerz Jędrzej Stanisław Załuski biskup chełmiński, i Teodor Howel kanonik gnieźnieński, koadjutor i sekretarz pieczęci wielkiéj. Ostatnia cenzura była polecona Piotrowi Hiacentemu Śliwickiemu, zacnemu Missyonarzowi w Warszawie. Śliwicki w lipcu 1741 r., pozwolił ostatecznie drukować „*Świat we wszystkich swoich częściach.*“

Znać zaraz po dziele, że autor jest księdzem. Pod każdém państwem, którego skréślił historyę i geografię, następuje zaraz artykuł: „*Rząd duchowny*“ albo „*Istota kościoła.*“ Wylicza wtedy Łubieński patryarchaty, metropolie, biskupstwa, prowincye, wskazując zaraz i na czas założenia tych wszystkich katedr. Że Łubieński był księdzem, przemaga w nim fanatyzm katolicki, i z cierpkością pisze o innych wyznaniach wiary, od rzymskiego odrębnych. Widocznie przebija w nim uprzedzenie i interes hierarchii, ale po wszystkiém sądzić możemy, że to się więcéj działo przez nawyknienie, jak przez chęć samolubną. Szczegóły podane, są bardzo w Łubieńskim ciekawe.

Co się tycze opisu właściwego krajów, *Świat* jest dziełem nietylko uczoném, ale i zbiorem anegdot i osobliwości. Dziśby już nikt tak geografii nie pisał, bo książka ściśle naukowa, ma dzisiaj przedstawić naukę, a pismo więcéj urozmaicone, ozdobione powieściami, możeby wyszło na podróż malowniczą, do któréj i rysunki potrzebne. Łubieński jak widzieliśmy, wszędzie geografią łączy z dziejami i tém podwaja interes dzieła. Opisując nawet miasta, napomyka o szczegółach historycznych: przytacza śmieszne po domach i kościołach napisy, nagrobki, i objaśnia je zaraz. Dlatego pismo jego powiedzieliśmy, ma wiele rozmaitości, i nietylko stroną swoją poważną może zająć; *Świat* potrafi nawet zabawić. Widać że dzieło jest kompilacyą, ale zaraz widać że jest i płodem własnych spostrzeżeń, że powstało skutkiem podróży, w ciągu któréj autor przyglądał się i osobom i miejscom. Dlatego *Świat* Łubieńskiego, może i za opis podróży po Europie wydawać się. Co autor widział, sam opisał; a czego nie widział, dla uzupełnienia dzieła, to wziął z zagranicznych pisarzy. Dlatego *Świat* ten, będzie zawsze zwierciadłem, w którém się odbije ilość wiadomości, jakie przodkowie nasi mieli o ziemi przed stu laty przeszło. Pomimo tego, że wiek cały przedziela nas od *Świata* Łubieńskiego, dzieło jego dzisiaj jeszcze ma wartość, przynajmniéj warunkową. Gdyby kto pilnie przejrzał *Świat* ten cały, możeby trafił na wiele kwestyj żywotnych, politycznych owego czasu, możeby widział, jak w Polsce rozwiązywano to, albo inne pytanie, jak umiano roztrząsać wypadki i dawać zdanie o ludziach. Nie mówimy już o tém, że w *Świecie* znaleźlibyśmy niezawodnie wiele szczegółów biograficznych do życiorysów znakomitych ludzi naszych, a między innemi i samego autora, który przypomina się czasami jak np. że w 1725 r. widział sam w Wersalu uroczystość zaślubin Ludwika XV z Maryą Leszczyńską.

Artykuł o Polsce, jest sam w sobie całością i szacownem wcale dziełem. Nie zastąpi go *Widok* Jana Bielskiego jezuity, chociaż o lat kilkanaście późniejszy. Artykuł ten zajmuje nawet w stosunku więcéj jak cała Europa, jak *Świat* cały, bo ciągnie się od str. 285 do 452. Dzieje Polski, idąc za kry-

tyką swojego czasu, Łubieński zaczyna od Noego i wieży Babel. Potém koleją czasów snuje się ta historya aż do Augusta III, i zajmuje kart przeszło 20. Panowanie każdego króla jest szczegółowo opisane: im późniejsze, tém obszerniéj. Ten sam wstęp, już mógł uchodzić za osobne dziełko. Następuje artykuł: Rząd Polski, a daléj idą po większéj części, nie próżne interesa, pełne faktów i erudycyi, pracowicie zebrane artykuły, które po kolei jak idą wyliczym: O dyssydentach, interregnum, kaptury, elekcya króla, koronacya, osoba królewska, osoba królowéj, potomstwo królewskie, dobra stołowe, dobra królewskie, dobra zasłużone, kwarta z dóbr. Potém artykuł o senacie polskim i skład jego; o biskupach, wojewodach, kasztelanach, ministrach. Daléj o kardynałach, o arcybiskupie gnieźnieńskim, lwowskim i t. d. Przechodzi kolejno tu Łubieński w oddzielnych artykułach o sprawach, przywilejach, zwyczajach i władzy pojedynczych w Polsce kapituł i biskupstw. Zdaje się że to rys wyjęty z Niesieckiego, przecież treściwszy wiele i dopełniony. O biskupie wileńskim seryo jednakże napisał Łubieński anegdotkę, że pisze się zawsze księciem Iwanem. Skończywszy tę materyę, Łubieński rozprawia o katedrach, o kortezanach, tojest prałatach polskich zasłużonych papieżowi, a przesiadujących w Rzymie, którzy za protekcyą stolicy apostolskiéj dostawali się z Rzymu prosto na urzędy i dostojności koronne albo duchowne np. biskupstwa i opactwa. Daléj idzie artykuł o annatach, opactwach, o akademii krakowskiéj, o senacie świeckim, o prerogatywach wojewodów, kasztelanów. Potém po kolei przechodzi Łubieński materyą o ministrach, od marszałków wielkich aż do hetmanów. Daléj idzie artykuł o pisarzu polnym, o generale artylleryi, o sekretarzach i pisarzach W. K. i tak aż do metrykantów. Następuje rzecz o urzędnikach ziemskich, podkomorzych, starostach grodowych i chorążych, o sądach ziemskich, o elekcyi urzędników ziemskich, officyalistach grodzkich, o wielkorządcy krakowskim, o burgrabiach, nareszcie o stanie rycerskim. Potém o indygenatach, o sejmach i sejmikach, o sejmie walnym. Następują materye wojskowe: o pospolitém ruszeniu, o lustracyi wojska na pospolite ruszenie, o wsiadaniu na koń, o prowadzeniu szlachty, o stacyach i szkodach pospolitego ruszenia, o wolnych od pospolitego ruszenia, o lustracyi szlachty. Potém rzeczy sądowe: o trybunale koronnym, litewskim i radomskim, o orderach. Następuje właściwe opisanie krajów rzeczypospolitéj. Łubieński w tém dziele swojém poprzedził Święckiego. Opis województw, ziem, powiatów, prowincyj, miast, wcale nauczający i ciekawy, pełen faktów historycznych i anegdot. Rzecz o Polsce kończą artykuły: Inflanty, Kurlandya i Semigalia, księztwo Pruskie i Wołochy. Jak widzimy, cała tu encyklopedya polska. Po Święckiego dziele, po Starożytnéj Polsce Balińskiego i Lipińskiego, niktby może nie zajrzał teraz do dzieła Łubieńskiego, żeby się czegoś nauczyć z geografii narodowéj; a przecież rzecz dziwna, Łubieński do dziś dnia stanowi źródło i powagę, a przeto cytowany być musi. Starożytna Polska nie wniknęła w całą wartość *Swiata* Łubieńskiego. Cały jego artykuł o Polsce dzisiaj przedrukowany, pomimo tylu nowych faktów co rozjaśniły przeszłość, pomimo tego

że dzisiaj i sposób widzenia rzeczy się rozwinął, i zmienił się sam nawet sposób pisania, nie byłby wcale uderzał anachronizmem.

Inne dzieła Łubieńskiego są:

2. Domowe wiadomości o koronie polskiéj, albo o Małéj i Wielkiéj Polsce, przedrukowane r. 1763 w Wilnie, w drukarni Societatis Jezu, stronnic 22. Potém następuje osobny tytuł: Historya Polska z opisaniem rządu i urzędów polskich, przez JW. JMci ks. Władysława Łubieńskiego, pisarza W. K. teraz arcybiskupa gnieźnieńskiego, prymasa korony polskiéj i W. X. R. napisana, na 4 części podzielona, li na żądanie wielu, przedrukowana w Wilnie w drukarni JKMci akademickiéj Soc. Jesu r. p. 1763, w 8ce, stronnic 270. (Bentkowski Historya lit. pols. T. 2gi. str. 234 i 736). Jestto przedruk ze *Świata* z pewnemi wypuszczeniami.

3. Wyszły także podobno z druku *Mowy i Kazania*, które Łubieński miewał jako prymas w kollegiacie łowickiéj.

W bibliografii naszéj znajdujem jeszcze dwie księgi ofiarowane Łubieńskiemu. Jedną jest: *Praxis Episcopalis* Piaseckiego, wydanie piąte, we Lwowie, w r. 1758, w któréj znajduje się i Bullaryusz dla Polski Benedykta XIV. (Jocher T. III str. 284), i druga ważniejsza nierównie: Constitutiones Synodorum Metropolitanae Ecclesiae Gnes. Prowincialium. Przedrukowana w Krakowie w r. 1761. Tytuł cały, patrz Jocher T. III str. 307. Te konstytucye Wężykowskie przedrukowało kollegium większe akademii krakowskiéj i dedykowało Łubieńskiemu, już prymasowi. Przytoczym w tłumaczeniu wyjątek z dedykacyi, gdzie akademicy rozprawiają o zasługach prymasa w kościele. Powiedziawszy, że powtarzając wydanie zprzed trzydziestu lat, zalecają je imieniowi prymasa; akademicy mówią: „Bo w czasie zmian i niepewności dzisiejszych, w czasie tak burzliwym, kiedy prawa są w pogardzie, a najświętsze ustawy gwałcą hezbożni, kiedy coraz się bardziéj oddalamy od chwalebnych pradziadowskich zwyczajów, konstytucye nasze od Ciebie arcypasterzu mogą tylko brać zalecenia, jako od tego, który dla zachowania praw ojczystych, dla całości praw kościelnych jesteś jakby puklerz mężny, który walczysz z zapałem. Konstytucye te w Twoje się uciekają ręce, a to tém śmieléj, że są pracą po większéj części Twoich, na arcypasterskiéj godności i piérwszym po królu urzędzie w téj wolnéj rzeczypospolitéj, poprzedników. Dlatego wychodzą na świat, tém pewniéj ozdobione Twojém wysokiém imieniem, żeś Ty nigdy, najlepszy i od Opatrzności dany nam książę! nie odepchnął od siebie ani praw powagi, ani sprawiedliwości. I sprawiedliwość, i sama powaga prawa, kryje się pod sąd Twój, bo tam gdzie Ty jesteś, niéma dla nich przemocy, kiedy masz zawsze gotową radę i pomoc.... Tyś sędzia, a przemoc nie zwycięży; Tyś zwierzchnik, a zdrada i postęp daleko; Tyś obrońca, a niéma niebezpieczeństwa. We wszystkich Twoich chwalebnych czynnościach, błyszczy żywa poczciwość, w sercu Twojém mieszka sprawiedliwość święta i przesiaduje na trybunale, roztrząsa prawa, łagodzi ustawy, interes cudzy sprawiedliwie ocenia i wyrokuje. Na tak wysokim dostojeństw szczeblu, na który Cię wyniosła cnota i niezmierne zasługi położone względem kraju i kościoła Bożego, widzą wszyscy szczególną

skromność w postępowaniu, nadzwyczajną słodycz wymowy Twojéj, przystępność i łagodność dla wszystkich i łaskawość, którą bogom (!) podobny jesteś. Tyś hojny na święte budowle, rozrzutny na wsparcie nędzy. To prawo szczególne, jakie masz do sławy. Ale jeszcze troskliwość Twoja niezmierna o prawa ojczyzny i kościoła, miłość wielka równości obywatelskiéj, niepodobna do pojęcia gorliwość Twoja o wiarę sprawia to, że Imię Twoje przejdzie do najodleglejszéj potomności jako sława od wieku do wieku poważana i święta. Błyszczy w osobie Twojéj ta świątobliwość, która błyszczała w naddziadzie twoim Macieju. Widać w Tobie tę miłość dla nauki i uczonych, któréj dowody miała akademia w stryju twoim Kazimierzu. Miały w każdym wieku święte prawa wiary, w wysokim domu Twoim szczególną cześć i obronę; i teraz więc, znakomity książę! znajdą w Tobie opiekę, boś Ty żywém prawem szlachetności, boś Ty zasadą i prawidłem wszelkiego rodzaju cnoty".

Julian Bartosiewicz.



ALEKSANDER PUSZKIN.

Alexandr Puszkin

ALEXANDER SIERGIEJEWICZ

PUSZKIN.

Najsławniejszy ten między nowszemi poetami rossyjskiemi, i zarazem najbardziéj ze wszystkich czytany autor, urodził się dnia 26 maja 1799 roku w Moskwie, ze starożytnéj szlacheckiéj familii, a w linii żeńskiéj był prawnukiem sławnego niegdyś negra Hannibala, ulubieńca Piotra Wielkiego, i pod owe czasy generała *en chéf* w armii rossyjskiéj. Puszkin urodził się poetą, zrzucił dziecinne sukienki, bo w dziewiątym roku życia, już słuszne otrzymywał pochwały za swoje poetyczne utwory, na jakie zaledwie rozkwitająca myśl młodociana zdobyć się mogła. Oddany jako pensyonarz do cesarskiego liceum w Carskiém Siele 1811 roku, mając dopiéro lat trzynaście, napisał *List do Licyusza*, i *Wspomnienia Carskiego Sioła* poezye więcéj poważnéj treści, które ogólne obudziły zajęcie, a ostatnia, tojest *Wspomnienia*, czytana przez niego na publicznym popisie, ściągnęła nietylko pochwały ogółu, ale najwyższe zadowolenie obecnego tamże Dzierżawina. Dla zachęty zaś jakoby autora i uczczenia objawiającego się wyższego talentu, wydrukowane zostały w zbiorze podówczas wychodzącym pod tytułem: *Wzorowe utwory pisarzy rossyjskich.* Ta nagroda pracy utalentowanego autora, jakkolwiek widocznie zasłużona, niekorzystne jednak dla niego samego ściągnęła następstwa, bo oddrwała go od szczerego zajęcia się nauką.

Po wyjściu z liceum, mając dostateczne do tego środki, rzucił się w odmęt wielkiego świata, a o ile mu zbywający czas od zajęć służby i uciech światowych pozwalał (gdyż w roku 1817 wstąpił do *kollegium spraw zagranicznych*, gdzie do początku 1820 pozostawał), poświęcił na gruntowne poznanie historyi i literatury klassycznéj, a mianowicie na zbadanie ducha i żywiołu narodowego, którego objawem był poemat *Ruślan i Ludmiła*. Poemat ten drukiem ogłoszony, przyjęła czytająca publiczność z zachwyceniem, lecz młodość, niedoświadczenie, i żywy charakter, był przyczyną, iż autor ściągnął na siebie wiele nieprzyjemności, musiał się oddalić ze stolicy i otrzymał miejsce przy namiestniku Bessarabii, *Inzowie*. Tu on natchniony pięknem położeniem kraju, lub malowniczemi wypadkami, które w podaniach usłyszał, napisał (1820) najpiękniejsze ze swych poezyj: *Jeniec Kaukazu*, i *Fontanna w Bakczyseraju*. Umieszczony następnie przy noworossyjskim generał-gubernatorze hrabi *Woroncowie*, przemieszkiwał w Odessie, gdzie powziął piękną myśl, i tę odziawszy w formę satyryczną napisał początek poematu pod tytułem *Oniegin*.

W roku 1824 na własną prośbę otrzymawszy pozwolenie oddalenia się na wieś, starał się jak najrychléj wyrwać z tłumu i zamętu, który go otaczał. Poznał wtedy, iż dla niego konieczną jest samotność, lecz nie samotność rozpaczy lub egoizmu, ale tylko jako środek do nabycia wiadomości, na jakich czuł, że mu zbywało. W siele Michajłowskim, które w spadku po matce otrzymał, otoczył się książkami, nie zaniedbując przytém sposobności, poznać gruntownie języki niemiecki i angielski. Po całych dniach zamknięty w swoim gabinecie, rzadko tylko udawał się na przechadzkę i to najczęściéj do blizko leżącego Monasteru Świętogórskiego, aby się pomodlić na grobie swoich przodków. Niestety! nie myślał on wtedy bynajmniéj, iż tak prędko połączy się z niemi.

Czas, który na wsi przepędził, nie zszedł mu bynajmniéj na poważnéj a mozolnéj nauce. Tu albowiem napisał dalszy ciąg i koniec *Oniegina*, oraz zupełnie nowe, jakoto: *hrabia Nulin*, *Cygany*, *Bracia rozbójnicy*, dramat wyższego pomysłu *Borys Godunów*, i wiele drobniejszych lirycznych utworów.

W roku 1825 przybył podczas koronacyi do Moskwy, i od tego czasu wolno mu było mieszkać nietylko w Petersburgu, ale gdziekolwiekby sobie życzył.

Wszechstronny gieniusz Puszkina, nie ograniczał się samą tylko poezyą. Wyrabiał w sobie ideę napisania téj historyi. Jako piérwszy zaród téj wielkiéj myśli, jest ogłoszona przez niego historya Puchaczewskiego buntu. Aby tém dokładniéj całą monografię wyrobić, jeździł dla zebrania materyałów i obejrzenia okolic na miejsca, w których się ten nowy samozwaniec ukrywał, i gdzie krwawe dokonywał sceny. Z zebranych obfitych materyałów napisał nietylko historyą samego zamieszania, ale te nadto posłużyły mu za tło do ślicznéj powieści pod tytułem *Córka kapitana*. Lecz nie tu był kres jego prac historycznych. Z wielkim trudem zebrał mnóstwo materyałów do historyi Piotra Wielkiego, którą z gruntu wyrobić zamyślał;

i byłby dokonał swego zamiaru, gdyby okoliczności uboczne nie stanęły temu na przeszkodzie.

W roku 1828 i 1829 odwiedził zakaukazkie kraje: był w Erzerum z księciem warszawskim Paskiewiczem, i z miłym wdziękiem opisuje doznane tu wrażenia, w artykule pod napisem *Podróż do Gruzyi*. Wróciwszy ztąd, powrócił znowu do ulubionego sobie zatrudnienia, tojest do historyi; nie przestając mimo to obdarzać czytającą publiczność swoimi utworami. Probował także sił swoich w wydawaniu peryodycznego pisma, i onto piérwszy dał początek pismu „Sowremiennik“ (*Współczesny*).

Wszystkie jego utwory noszą na sobie po największéj części charakter liryczny, tam nawet gdzie z epopeją chciał wystąpić. Język giętki i kwiecisty, sięga często do najszczytniejszych wyrażeń, przyczém bez zaprzeczenia jest on najdowcipniejszym ze wszystkich pisarzy rossyjskich, a jakkolwiek mianowicie w utworach późniejszych, widocznym jest wpływ Bajrona, pod owe czasy wiele czytanego, to jest on zawsze co do bogactwa pomysłu i wyrażeń, ze wszystkich najobfitszy.

Puszkin umarł wskutek odniesionéj śmiertelnéj rany w pojedynku d. 29 stycznia 1837 roku, i o tym fatalnym wypadku, doniosły wszystkie znaczniejsze pisma peryodyczne zagraniczne. Dzieła jego przetłumaczono już na język niemiecki, francuzki, angielski, włoski, a nawet i francuzki. My również możemy się pochwalić wielu tłumaczeniami.

Śmierć Puszkina grubą okryła żałobą wszystkich jego przyjaciół, a miał ich tyle! bo całą czytającą Rossyą! Posłuchajmy co powiada Polewoj, znamienity pisarz i wielbiciel tego poety: (1) „Umarł i pieśń jego już zaniemiała; głuchy, pogrobowy nad mogiłą jego jęk dzwonu, rozniósł smutną po całéj ruskiéj ziemi wiadomość: Puszkin już nie żyje! W rychle się zazieleni błoga, rozkoszna wiosna, i zpod tającego Pskowskich lasów śniegu, wynurzy naprzód zimną, niemą, wielkiego ruskiéj ziemi poety, mogiłę.

„Człek umarł, pokój więc cieniom jego! wszakże co dzień umierają ludzie. Codzień pozostali mieszkańcy tego świata gniewają się, że im czyjś pogrzebowy wóz zawadza na ulicy. Codzień ktokolwiek z żyjących oblewa łzami świeżą mogiłę. I w każdym roku porasta zielskiem zapomniana czyjaś mogiła, i w każdym roku przerzedzają się szeregi naszych współwędrowników, gasną nadzieje żyjącego pokolenia, i jak połyski meteoru, tak giną jego radości, ledwie poczęte chwilowo. Nowy rok życia wpływa w koryto świeżo wyschłego potoku, a grób naciska kolebka. Świat mało pamiętny, on w rychle zapomni i Puszkina, jak zapomniał tysiące swoich wielkich i małych współbraci. Łzy wyschną, uśmiéch zastąpi miejsce smutku. Jeszcze czas jakiś żyć będzie Puszkin w ustach spółczesnych, ale minie lat kilka, kilkanaście, a niewielu sędziwych starców wyrzeknie: „Znałem go przed laty, widziałem, cokolwiek pamiętam;“ młode pokolenie jeszcze słuchać będzie rozmowy starców, ale przejdzie znowu lat kilka, a po dzisiaj współczesnych, tylko rzęd mogił po-

(1) Oczerki ruskich literatorów. Tłumaczenie polskie w wizerunkach Wileńskich.

zostanie, wiązka ulotnych wspomnień, przytłumiona pamięć o tém, co złém co dobrém w nas było, i niejasna wiadomość, żeśmy kiedyś żyli i coś znaczyli na świecie.

„Od kolebki do grobu wiedzie bity gościniec. Cisną się nań jedne po drugich tłumy pokoleń, pragnąc zmienić co rychléj pieluchy na śmiertelną szatę. Wśród tych pokoleń zjawiają się niekiedy przybysze, dziwni tułacze na ziemi, godne litości sieroty. Z nas każdy jest przecie czémkolwiek zajęty w życiu. Ci tułacze żadnego zajęcia nie mają. Tylko z ust ich płyną jakieś harmonijne dźwięki, tak niekiedy przemawiające do pojęcia, do duszy, że nawet tłum ludu zastanawia się, słucha ich, i pełen zachwycenia, wytyka przybysza palcami, woła nań z całéj siły: „Poeta!“ Gdzie? gdzie on jest? alboż to nowy zjawił się poeta?—Tak, zjawił się nowy kuglarz, nowy szaleniec. Bieżcie co prędzéj za nim, posłuchajcie jego piosenek; patrzcie, oto on właśnie!— I tłum, tysiące nań oczu obrócił. Ale on do nas wszystkich podobny? On taki jak tu z nas każdy? Bez wątpienia!

„I wpośród dzieci znikomych na ziemi,
Musi marniejszym być on przed wszystkiemi.“

„Dlaczegoż on nie śpiewa? Może go co dolega? Ach jakże to nie szczególnie! niesfornie! on lepiéj kiedyś śpiéwał! Patrzcie jak się teraz dziwaczy! A to co? ciszéj... to głos drugiego; ten lepiéj nierównie śpiewa; w tym daleko więcéj nadziei. Nadziei?... Biedni ludzie! a czyjąż to mogiłę trącacie nogami? alboż to nie jego mogiła? Ach! jaka szkoda poety! Jakże on wcześnie umarł! I życie ludzkie posunęło się rączym krokiem naprzód, zostawując idącym po sobie potomkom mogiłę wieszcza, mogiłę skropioną łzami niewielu, których serca odpowiadały jego sercu, biły dlań współczuciem. Oni tylko jedni w smutnych ponurzeni myślach, stoją nad jego grobowcem!

„Nie winujcie tłumu, nie winujcie ludzi; i ten i owi są sprawiedliwi. Poezya, to szaleństwo, dziwne niepojęte szaleństwo; tęsknota po niebieskiéj ojczyznie. Możnaż ją pojmować na ziemi? Ileżto ofiar tym okropnym ogniem zgorzało! Palił on ich wnętrza; bo za ubóstwem, za wzgardą, nie było mu sposobności wyrwać się z duszy na swobodę. A ileż to gwiazd pogasło, dlatego jedynie, że się zbyt wyniosły; że w sferze, gdzie same tylko burzliwe chmury wędrują, zabrakło im żywiołu do życia! Iluż gości niebieskich, zdurzonych światem i namiętnością, wyzionęło ducha na wieki! Nie myślcie aby urodzenie i bogactwo ocaliły poetę; aby go wzgarda i ubóstwo niszczyły. Bajron był parem, był bogatym, pieściła go miłość i sława; on szalony, poleciał umiérać za greckie ruiny i gruzy. Szekspir przybył do Londynu za kawałkiem chleba; tu nie przyjąwszy ni pochwał, ni pieniędzy, wrócił nazad do ubogiéj lepianki, i już tylko zaklinał ludzi: „Dla Boga nie naruszać kości jego.“ A tenże niepojęty, żelaznego ciała Göthe, który umarł w głębokiéj starości radcą tajnym z gwiazdami na piersiach i uśmiechem zadowolenia na ustach; to dziwne zjawisko, ta uosobiona równowaga świata idealnego z re-

alnym? Bajka: nie wierzcie jego słowu: on zaczął od „Wertera", a na „Fauście" skończył: Łomonosów syn ubogiego rybaka, gorzko żałował na śmiertelnéj pościeli, że zasłużył w ojczyznie na imię piérwszego uczonego i poety. Dzierżawin zdziecinniał na starość, i sam nie rozumiał pełnych natchnienia pism swoich.

„Takie to przeznaczenie poezyi; tacy to poeci byli, są i będą wszędzie i zawsze. Biédnyś młodzianie, jeżeli na drodze twojéj przyświeca natchnienie; szkoda mi ciebie! Biednaś dziewczyno, jeżeli twa dusza chce połączyć się z duszą poety; o! jakżesz ubolewam nad tobą! Zdala od téj pożerczéj gorączki, jéj żywiołem człek z pełną harmonii duszą! wartoż bowiem okupować chwil kilka, prawda że nieziemskich chwil, jakich inni ludzie nie doznają na ziemi, okupować może całemi laty łez i cierpień, jakich inni także nie doznają. Po tém wszystkiém, porywaj, jeśli chcesz ogień z nieba, nierozsądny Prometeju, on cię pozrze i zniszczy! przywołuj do siebie Jowisza nierozsądna Semello! on się pojawi, ale spali ciebie.

„Puszkin był za dni naszych takiém właśnie zjawiskiem, takim nieproszonym na godach żywota gościem. On był prawdziwym poetą, jakimi nie stają się z czasem, lecz się rodzą podług słów Horacego, który na przekonanie chciał stać się poetą.

„Nie teraz, kiedy jeszcze i darniną nie oblekła się świeża cudownego śpiewaka mogiła; nie teraz mówić o życiu Puszkina, o ciągłéj, nieprzerwanéj pomyłce, wiecznym chaosie nieba z ziemią, tęgości gieniuszu z niedowierzaniem człowieka sobie samemu, wzniosłéj i polotnéj fantazyi, z materyalnym, cierpkim bytem. Niechaj zimny mierzony sąd innych, cięży nad jego grobowcem. My cośmy go znali i widzieliśmy, co zań cierpieliśmy, kiedy szedł na przekorę swojemu przeznaczeniu, kiedy tracił zprzed oka wytkniona sobie drogę, upadał, i z nowemi podnosił się siłami, i znowu upadał, niechaj ożyje, a powiemy co już mu kiedyś za życia mówiliśmy, powiemy wiele czego dziś wypowiedzieć nie jesteśmy w stanie. Męczennik przez ciąg żywota! znalazł nareszcie spoczynek, zamilkł, ukończył!... Burzliwa jego była na tym padole pielgrzymka. Młoda i ognista wyobraźnia wcześnie go uniosła w świat urojeń; dla urojeń, zmarnował on najpiękniejszy, bo piérwszy kwiat żywota; a uposażony takim niezrównanym talentem, tak wielkim umysłem, musiał czuć, aż nadto dobrze swoję w tym względzie rozrzutność kiedy wyrzekł w 1825 roku.

„Gdyś muzom ślubował, zapomij o świecie:
Gdyś piękną ukochał, rzuć wszystko na stronę;
Lecz często się zwodzim w młodości swéj kwiecie,
I same nas bawią widziadła rojone;
Czas przyjdzie, że przejrzym, i w smutku godzinie
W tył spojrzym: tam nawet przeszłości ślad zginie."

„A jednak w samym warze życia, w chwili wygórowania świetnego talentu, Puszkin z niewymowną duszy radością ślubował znowu muzom. Witały go

z chlubą oklaski całéj ojczyzny. Ale minęło nie więcéj jak dwa lata, i Puszkin, w czarujących wierszach, policzonych przez jednego z wielkich spółczesnych poetów do jego lepszych utworów, gorzko się żalił przed światem:

„Kiedy dla śmiertelników ucichną dnia gwary,
I noc wpół przejrzystą szatę,
Rozciągając nad głuchéj stolicy obszary,
Spuszcza sen, trudów zapłatę:
Wtenczas mnie samotnemu rozmyślań godziny
W ciszy leniwo się wleką;
Wtenczas mnie ukąszenia serdecznéj gadziny,
Bezczynnemu srożéj pieką.
Mary wrą w myśli, którą tęsknota przytłacza,
I trosk obiegają roje;
Wtenczas i przypomnienie w milczeniu roztacza
Przedemną swe długie zwoje.
Z wstrętem i przestrachem czytam własne dzieje,
Sam na siebie pomsty wzywam,
I serdecznie żałuję, i gorzkie łzy łeję;
Lecz smutnych rysów nie zmywam."

„Już dlatego samego, aby dać poznać współczesnym wielkość ich utraty i słuszność smutku naszego; i aby ludzie w tym szczerym żalu próżnéj nie upatrywali chełpliwości, winniśmy mówić o Puszkinie, jako o poecie. Winniśmy przechować dla potomnych czucia i wrażenia spółczesne, by mieli na czém opiérać swoje domysły. Winniśmy wykazać naszym wnukom, czém mianowicie był dla nas Puszkin.

„Trudno jest mówić błędnie, kiedy się mówi co czuje.

„Puszkin nie należał do rzędu tych wiekuistych gieniuszów, zjawienie się których, czas od czasu rzadszém już bywa na świecie, i stanie się w końcu zgoła niepodobnym, jak okazywania się piérwotnych natury fenomenów, w karlejęcych coraz bardziéj pokoleniach, przy nieustannéj walce żywiołów i działaczów świata współczesnego. Homer, Dante, Szekszpir, już i teraz są niepodobni: do osób mitologicznych należą.

„Za to dzielniéj i korzystniéj świetnieć mogą, gieniusze odrębne, objawienia jednéj jakiéjkolwiekbądź strony człowieczego ducha, i jednego narodu.

„Wszystkie te objawienia nie mogą przejść za granicę swego posłannictwa, swojego czasu i swojego miejsca; ale stają się tém wznioślejsze i tém znakomitsze, im bardziéj im sprzyjają okoliczności, czas i miejsce.

„Przez ciąg lat 20, Puszkin przeżył, wyczerpał całe życie i wszystkie myśli swojego czasu i swojego narodu. Owe szczątki klassyczności i ośmnastego wieku, w jego utworach początkowych; nagły przeskok do nowych pomysłów; nieporządna młodzieńcza dążność do mamiących nowości, jakiemi wrzały od r. 1815 literatury: angielska, niemiecka i francuzka; wstręt od rażących następstw, na

których się potém skończyły usiłowania dla większéj części zachodu; daléj myśl o własnéj niezależności, o narodowości północnéj, wschodniéj, ruskiéj; próby wcielenia jéj do literatury; konieczna potrzeba rozmaitości w zatrudnieniach; częste przejścia do dramatu, powieści, romansu, historyi, narodowego poznania; wieczne niezaspokojenie siebie tém, czém się zaspokajały umysły powszednie; ciągły i nieprzerwany postęp, tudzież idące w ślad za nim znużenie, wachanie się, nieukontentowanie z siebie i z drugich, wszytko to zaliż nie dowodzi gieniuszu, zrodzonego w wieku przechodowym? Takim właśnie był Puszkin."

Dzieła Puszkina w różnych czasach wychodziły pojedynczo; razem dopiéro, wyszły już po jego śmierci, w jedenastu tomach. Wydanie początkowo obliczone na ośm tomów, wyszło w 1837—8, trzy zaś ostatnie późniéj dodane, zawierające wynalezione po śmierci jego rękopisma, które dotąd nigdzie drukowane nie były, a między niemi wielka ilość utworów licejskich wyszły z druku 1841.

Przystąpmy teraz do poznania dzieł tego poety, w tym porządku, w jakim w ostatniém wydaniu wydrukowane zostały.

Tom piérwszy zawiéra powieść satyryczną, pod napisem *Eugieniusz Oniegin*. Mały z téj powieści początkowy ustęp tłumaczony wierszem na język polski, znajduje się w Roczniku literackim wydawanym przez Podbereskiego w Wilnie, ale tłumaczenie to, ani wiernością, ani gładkością bynajmniéj do oryginału nie jest zbliżone, i bardziéj zakrawa na parodyą, aniżeli przepolszczenie tego dzielnego wieszcza. W poemacie tym przedstawia autor młodego człowieka, przesyconego wielkim światem w stolicy, który jednakże zmuszony żyć czas niejaki na wsi, tęskni znowu do Petersburga i uciech miejskich. Oddany tu dobitnie charakter narodowy, a dowcipem swoim, autor, często przypina łatki tym, których w allegorycznych wystawił postaciach. W tymże tomie zamieszczony poemat dramatyczny *Borys Godunow* jest raczéj obrazem historycznym wypadków w Moskwie w czasach od 1598—1612, narysowanym śmiało i żywemi kolorami. Jako próbę załączamy następujący wyjątek z tłumaczenia przez Juliana Bartoszewicza dokonanego, a dotąd w rękopiśmie zostającego.

NOC

CELA W CUDOWNYM MONASTYRZE

roku 1603.

OJCIEC PIMEN I GRZEGORZ ŚPIĄCY.

PIMEN *(pisze przed lampą).*



Ostatnia skazka i powieść gotowa,
Rodzinnéj ziemi skończony latopis,
Niegodny grzesznik, wypełniłem święte
Zlecenie niebios. Niepróżno Bóg wielki
Długiego życia udzielił starcowi,
I dał mu widzieć wypadki i lata,
I w księgach czytać nauczyć się kazał.
W lat kilkadziesiąt jaki mnich ciekawy,
Znajdzie tę pracę prostą bez przesady,
Ale tak drogą — i lampę zapali,
Jak moja lampa — i pył tylu wieków,
Z kart zapleśniałych otrząśnie, i skazki,
I powieść dawną przepisze na nowo,
Żeby wiedziały dzieci prawosławnych,
O dawnych losach swéj ziemi rodzinnéj;
Żeby wspomniały dawnych carów swoich,
Za ich starania, ich pracę, ich sławę,
A za ich grzechy, za czynności winne
Żeby ze skruchą przebłagały Stwórcę,

Starzec zsiwiały odżyłem w téj pracy,
I cała przeszłość sunie mi się w oczach.
Dziwnaż ta przeszłość! jak ocean burzy,
Pełna wypadków, w bałwanach wzbierała!
Teraz to cisza nastała grobowa:
Niewiele osób pamięć zachowała,
I słów niewiele dochodzi do starca;
A zresztą wszystko zginęło bez śladu!...
Ależ dzień blizko, lampa się dopala,
Ostatnia powieść i praca skończona (*pisze*).

GRZEGORZ (*przebudzając się*).

I zawsze ten sen, czy podobna? Zawsze
Ten sen okropny!... i zawsze przed lampą,
Ten starzec siedzi i pisze, a powiek
Dziwnego starca sen nigdy nie sklei!
Jakże jest piękna ta jego spokojność,
Kiedy uczuciem pogrążony w przeszłość,
Latopis wieków ciągnie starożytnych!
Częstom chciał zgadnąć o czém pisze starzec,
Czy nie o czasach, niewoli tatarskiéj?
Może o zbrodniach, o kaźniach Iwana,
Może o szumném nowogrodzkiém wiecu,
O sławie Moskwy? — i próżne domysły.
Ani na czole wyniosłém, ni w oczach,
Nie można czytać jego dum tajemnych,
I ten sam zawsze spokojny i wielki.
Tak dziak, prawdziwie, co posiwiał w radzie,
Spokojnie patrzy na dobrych i niższych,
I słucha wieści o zbrodniach, o cnocie,
Zawsze tak zimny, obojętny sercem.

PIMEN.

Nie śpisz Grzegorzu?

GRZEGORZ.

Błogosław mnie ojcze.

PIMEN.

Błogosław Panie sługę Ci wiernego,
Ninie i potém, i na wieki wieków.

GRZEGORZ.

Tyś ciągle pisał i nie zmrużył oczu;
A mój spoczynek szatan zamitrężył,

I dziwne myśli rozpostarł po głowie!
I śniło mi się, jakieś schody kręte,
Gdzieś mię wysoko na wieżę zawiodły.
A z wieży Moskwę widziałem pod sobą,
Mrowisko czyste, i naród na placu,
Gwarzył i brzęczał, i śmiał się, i palcem
Wskazywał na mnie, a wtenczas okropność,
I wstyd mi jakiś oplatał wciąż serce,
Padałem w przepaść, i naglem się budził.
Co powiész ojcze, trzy razy raz po raz,
Ten sen mnie dręczył, nie dziwneż to ojcze?

PIMEN.

Krew młoda, synu! postem i modlitwą
Przebłagaj Pana, a sny twoje wtenczas
Nie będą straszne. Ach! i dzisiaj jeszcze,
Jeśli czuwaniem zmęczony, zamarzę,
I do snu głowa starca się pochyli,
Bez modłów świętych; marzenia i cudy
Jakieś po głowie plączą się bez ładu,
To pyszne uczty, to obóz na polu,
To jakieś bitwy i mordercze walki,
Do których serce tak lgnęło lat młodych!

GRZEGORZ.

Jakżeś wesoło przepędził swą młodość!
Wojownik kiedyś na polach kazańskich,
Potém pod Szujskim walczyłeś na Litwie,
I dwór widziałeś i rozkosz Iwana!
Szczęśliwy starcze! a ja od dzieciństwa
Z celi do celi błądzę biedny inok,
Dlaczegoż los mi nie pozwolił w bojach,
Tarcz z tarczą zetrzéć, dlaczegoż za carskim,
Nie mogę stołem ucztować i pijać?
Byłby czas jeszcze i na lat ostatek,
Zapomnieć uciech i blasków światowych,
A potém złożyć przysięgę ubóstwa,
I w skromnéj celi zamknąć się na wieki,

PIMEN.

Nie żałuj bracie, że na lat zaraniu,
Świat porzuciłeś występny i grzeszny;
Że Bóg wszechmocny mało cię doświadczał.
Wierz mi, mój drogi; zdaleka nas tylko

Sława i rozkosz przynęca, i miłość
Niewłast udana. Żyłem ja na świecie
Długo mój synu, i widziałem wiele,
Alem spokojny, szczęśliwy od chwili,
Kiedym w monaster błędne zwrócił kroki!
Pomyśl mój synu o carach światowych:
Kto nad nich wyższy? Sam stwórca jedyny.
I któż im z ludzi oprze się, sprzeciwi?
A jednak synu, ta złota korona,
Nieraz im legła ciężarem na głowie,
A wtenczas chętnie rzucali blask świata
W klasztornych celach kryli myśli swoje.
Car Iwan groźny nieraz szukał szczęścia
Wśród modłów naszych. I dwór jego świetny,
Pełen pochlebców i dumnych Bojarów,
Nagle w klasztorne stronił się zacisze:
Grzesznicy jawni kładli włosiennice,
I trepki; wtenczas rzekłbyś że to mnichy,
A car, że ojciec pobożny Igumen!
Widziałem tutaj; ot — w téj saméj celi,
(W niéj mieszkał wtenczas Cyryll człowiek święty
Cierpiał on wiele wtenczas i sam także
Zrozumiał próżność czczych blasków światowych);
Tum widział Cara. Zmęczył się po kaźniach,
I mękach tylu; smutny, zamyślony,
Siedział przed nami car groźny, a przed nim,
Drżący z bojaźni staliśmy w milczeniu,
A on spokojnie rozmawiał tu z bracią,
I rzekł nareszcie, „ojcowie pobożni,
Dzień ten nadejdzie, kiedy utęskniony,
Stanę przed wami o zbawienie prosić;
Ty Nikodemie, Sergiuszu, Cyryllu,
Wy wszyscy bracia, przyjmiecie me modły:
Przyjdę i przed was grzesznik potępiony,
I suknię świętą przyjmę uroczyście,
I padnę u nóg twoich święty ojcze."
Tak mowił wielki i groźny car Iwan,
A mile w uchu brzęczały te słowa,
I płakał Iwan. I my ze łzą w oczach,
Słaliśmy prośby do niebiosów Pana,
Żeby był łaskaw, spokojność i szczęście,
Zesłać téj duszy cierpiącéj, burzliwéj.
A syn Iwana, na tronie moskiewskim
Wzdychał nasz Fedor do celi klasztornych.

Wspaniałe izby i pałace przodków,
Zmienił w monaster posępny i cichy.
Tam troski rządów i kłopoty tronu,
Nie zasmucały jego świętéj duszy.
I Bóg téż bardzo polubił Fedora,
Odział go łaską, a Moskwa spokojna,
Liczyła przy nim dni szczęścia i sławy.
W czas zgonu jego, niesłychane cudo
Zdziwiło wszystkich: do łoża boleści
Przystąpił jakiś człowiek, pełen blasku,
Świętości pełen; car go tylko widział.
I zaczął Fedor rozmawiać z tym światłym,
Nazwał go świętym, wielkim patryarchą,
I wszystkich wokoło jakaś zdjęła bojaźń,
Bo głos słyszeli a nic nie widzieli,
Jak gdyby święte niebios objawienie.
To wiedzą wszyscy, że nasz patryarcha,
Nie był w pałacu kiedy Fedor konał,
A kiedy skonał, w komnatach na Kremlu,
Jakaś woń miła rozlała się wkoło,
I twarz Fedora świetniała jak słońce,
Już nie zobaczym tak dobrego cara!
Nieszczęście na nas i na dzieci nasze!
Pan się rozgniewał, bo téż jak okropne,
Jak straszne, ciężkie, nieprawości nasze!
Na tronie Rusi zasiadł carobójca,
A my milczymy.

GRZEGORZ.

Dawno ojcze święty,
Chciałem się spytać o śmierci Dymitra,
I jakoś zeszło: mówią żeście wtenczas
Byli w Ugliczu i wszystko widzieli.

PIMEN.

Pamiętam dobrze: kazał mi Bóg wielki
Widzieć tę zbrodnię i występek krwawy.
Archimandryta posyłał mnie wtenczas
W daleką drogę, do murów Uglicza;
Przyszedłem w nocy, pamiętam dziś jeszcze.
Nazajutrz rano w czas świętéj liturgii,
Nagle dzwon zabrzmiał przeciągły, donośny.
W gwałt uderzono, i krzyk i zgiełk w mieście;
Biegnie lud z trwogą, na dworzec carycy,

I ja tam biegnę, spóźniłem się nieco,
Bo tam już miasto zleciało się całe.
Patrzę, Carewicz leży krwią oblany,
A nad nim matka klęczy bez pamięci,
A przy nim mamka leje łzy rozpaczy,
A lud szalony, wściekły, rozpasany,
Włóczy bezbożną zbrodniczą piastunkę.
A wtém wśród tłumów, jako trup pobladły,
Nagle się zjawia Judasz Bitiagowski,
„A to, ot zbrodniarz!" wściekły lud zakrzyknął,
I w oka mgnieniu nie było zbrodniarza.
Szalone tłumy rozbiegły się wtenczas,
Szukać zabójców niewinnego dziecka.
Złapano wszystkich, przywiedziono zbrodniów
Przed trup młodzieńca, — nie ostygły jeszcze,
I, wielkie cuda! zmarły zadygotał.
„Kto was namówił! lud wrzasnął szalony,
A zbójcy wtenczas klękli pod toporem,
Zabójcą dziecka nazwali Borysa.

GRZEGORZ.

W jakim był wieku Carewicz zabity?

PIMEN.

Lat siedm kończył; dziśby miał (bo temu
Lat dziesięć przeszło... nie... więcéj jak dziesięć,
Dwanaście blizko), dzisiaj byłby Dymitr,
Lat twoich właśnie, byłby nam panował,
Zwyczajem przodków; lecz Bóg chciał inaczéj!
Tą smutną skazką zakończę latopis,
Ziemi rodzinnéj, smutny mój latopis!
Niedługo potém porzuciłem próżność.
Bracie Grzegorzu! tobie pracę moję,
Poświęcam starzec; ty się znasz na świecie.
W czas wolny od prac i modłów w klasztorze
Opisuj po mnie coś widział, coś słyszał,
Ale nie zmyślaj, i pisz prawdę świętą:
Pokój, i wojny, i sprawy monarchów,
I cudy świętych wyznawców Chrystusa,
Proroctwa, znaki niebieskie na ziemi,
Wszystko opisuj, a mnie już starcowi,
Pora odpocząć i zagasić lampę...
Ale patrz bracie, dzwonią już na jutrznię,

Chodźmy Grzegorzu! modlić się i płakać,
Ale bądź łaskaw podaj mi tę laskę (*odchodzi*).

GRZEGORZ.

Wszystko zadrżało przed tobą Borysie,
I nikt ci nie śmié przypomnieć Borysie,
O zbrodni twojéj, o cieniach Dymitra!
A ty nic nie wiesz, ukryty w zaciszu,
Pisze na ciebie tu skargę mnich, starzec,
W samotnéj celi, i poda potomkom!
I ty Borysie, nie ujdziesz przed sądem
Świata i ludzi, nie ujdziesz przed sądem
Wielkiego Boga, co zna serce twoje.

Tom ten zakończony jest scenami dramatycznemi, między któremi wyjątek z Fausta piérwsze trzyma miejsce: następują *Uczta w czasie morowéj zarazy*, *Mozart i Saliery*, *i Skąpy rycerz*.

Tom drugi zawiéra następujące większego rozmiaru poemata:

Ruślan i Ludmiła; jestto poemat w sześciu pieśniach, wystawiający bohaterskie czasy staréj Rusi, jakoby w dramat ułożone. Miejsce działania miasto Kijów i okolice; a obrazy żywe i wierne, zbliżają nas duchem do owych starożytnych czasów, lubo więcéj w poetyczną przystrojonych szatę.

Jeniec Kaukazu maluje dziki sposób życia pokoleń czerkieskich, a niektóre zwroty harmonijnie oddane zasługują na przywiedzenie ich chociaż w słabém u nas tłumaczeniu (1) np. gdy jeniec zapatrując się na wiarę, obyczaje i t. p. czerkiesów:

Znalazł w życiu wdzięk prostoty,
W nizkiéj zagrodzie gościnność,
Chęć do wojny, ciągłą czynność,
W ich poruszeniach bystrą przenikliwość,
Siłę w ręku, w nogach żywość.
Nieraz patrzał i dzień cały,
Jak zwinny czerkies i śmiały,
Rozległe stepy, gór szczyty,
W kosmatéj czapce, burką okryty,
Do łuku zgięty, a zgrabne nogi,
Zlekka oparłszy o strzemię,
Jakby nie tykając ziemie
Przebiegał drogi,
Stepy, pagórki, góry i błonia,
Na wolę swego zdając się konia.

(1) Jeniec Kaukazu, poemat z rossyjskiego; i Wygnaniec świata, wiérsz oryginalny. Warszawa 1828.

I pięknością uniesiony,
W téj odzieży wojownika,
Różną bronią obwieszony,
Wcześnie do wojny przywyka.
I z nią się rodzi, i nią się poi,
Zawsze cały w zbroi,
Kołczan, kopia, łuk kubański,
Sztylet i arkan tyrański,
I miecz, towarzysz nieodstępny znoju,
Jak pośród walk i wśród pokoju.
Nigdy się nie utrudzi — choć tyle obronny,
I nic na nim nie brzęknie czy pieszy czy konny,
Jedna odzież, jedna postać,
Nikt się mu nie może ostać,
A swych napadów tajemnych zamachem,
Dla Kozaków są postrachem.

* * *

Bogactwem jego koń żwawy,
W dzikich górach wykarmiony,
W głębi jaskini lub wśród gęstéj trawy,
Z nim wraz czycha utajony;
I nagle z szybkością strzały,
Ledwie przechodnia spostrzegnie,
Z wściekłém spojrzeniem zuchwały,
W cwał ku niemu biegnie.
W mgnieniu oka bój się toczy,
Krew we krwi broczy,
I Czerkiesa nieomylny,
Walką rozstrzyga cios silny.
Wlecze arkan w gór szczeliny,
A za nim leci ślad krwawéj drożyny.
Tętent w stepach się rozdaje,
I w tym niewstrzymanym biegu,
Na pieniącym się wód brzegu,
Bez przestrachu staje.
Rzuca się w zgubne bałwany,
Zanim nieszczęsny niewolnik upadnie,
Mętną wodę pije na dnie,
I konający, falą zalany,
Śmierć widzi, lecz koń dzielny z błyskawicy lotem,
Wynosi jeńca na brzeg z powrotem,
Lub na rozległe pustynie.
Kiedy ciemna noc już spłynie,

Pień w rzekę burzą zwalony,
Chwyta Czerkies niezlękniony,
Na gałęziach broń rozwiesza;
Kopia, kołczan, łuk, bekiesza,
Pancerz, miecz, i sam w momencie
Rzuca się pośród milczenia.
Noc głucha, szumią fale, w brudnym wód zamęcie,
Niesiony pędem bałwanów lotnych,
Płynie wzdłuż brzegów samotnych,
Gdzie Kozak z wału wsparty na broni,
W pienistéj rzece topi spojrzenia,
Lecz przed bacznością ciemność zbójcę chroni....
O czém rozmyślasz Kozaku w téj dobie,
Czyli o polu śmierci i sławy,
Czyli łzy lejesz na współbraci grobie?
Czy przypominasz rodzinne zabawy?
Precz marzenie, precz śnie błogi!
Żegnaj ojczyste twe strony,
I Don, i ojców domek ulubiony:
Już się do brzegów zbliżył nieprzyjaciel srogi!
Świśnie strzała, utkwi w łonie,
W krwi potoku Kozak tonie.
Lecz kiedy z cichą rodziną,
Czerkies siedzi w swéj zagrodzie,
A w czasie burzy i w chłodzie,
Obcy zbłąkaną drożyną,
Zajdzie do niego podróżą zmęczony,
I blizko ognia stanie zatrwożony,
Wtenczas gospodarz gościnny,
Nie jest już mordercą srogim,
Wita przychodnia z uniesieniem błogiém,
Wnet mu podaje napój miodopłynny,
Chciałby usłużyć w każdym zabiegu,
Rozścieła burkę, a gdy sen miły,
Zwątlone pokrzepi siły,
Po tak przyjemnym noclegu,
Z słodkim wspomnieniem, bez trwogi,
Wdzięczny przechodzień żegna gościnności progi.
Niekiedy w czasie Bajramu (1),
Zbiegłszy się młodzież krwi chciwa,
Rozbiera strzały kołczanu,
Pełna ognia, niecierpliwa,

(1) Święto wielkanocne.

I dumna trafnością w oku,
Dosięga orły w obłoku;
Lub gdy znak dany, jak chmury,
Z pochyłości wzniosłéj góry,
Lecą w najszybszym zawodzie,
Każdy z chęcią by był w przodzie.
Tumany piasku się wznoszą,
A echa tętent po stepach roznoszą.
Każdy tęsknotą dzieci jest spokojny,
Z rodzoném sercem dla wojny.
Często w wolny czas zabawy,
Gra się zmieniała na obraz krwawy,
Często błyszczą straszne miecze,
Wśród nierozsądnéj hulanki,
I niewolników krew ciecze,
Drżą i żony i kochanki.
Ale jeszcze zimném okiem,
Spoglądał na ich zabawy;
Lubił on dawniéj igrzyska sławy,
Niebezpieczeństwa gardził widokiem;
Nie zatopiony w gnuśnym spoczynku,
I bez obawy nieczule,
Już w niejednym pojedynku,
Napotykać przywykł kule.
Czyli goni przeszłe chwile,
W gronie przyjaciół ubiegłe mile?
Albo się zastanawia nad smutną koleją,
Dni oszukanych nadzieją?
Czyli uważa ciekawy,
Grubéj prostoty zabawy?
I z jéj poruszeń powodu,
Czyta charakter dzikiego narodu?
Chociaż cierpieniem miotany,
Głęboko taił wzruszenie,
Ani zachmurzył spojrzenie,
Ani na czole było znać zmiany.
Groźne czerkiesy w téj chwili,
Wiek jego mając w uwadze,
Wszyscy się wkoło dziwili,
Nieulęknionéj odwadze!
I każdy z tajną słodyczą,
Był dumny taką zdobyczą.

Fontanna bakczysarajska, ma za przedmiot zdarzenie milosne, i ze wszystkich większych poematów, ten najlepiéj się Puszkinowi udał, a jakkolwiek cały utwór zaledwie 600 wierszy liczy, to przecież autor za piérwsze jego osobne wydanie od księgarza Ponomarewa trzy tysiące rubli assygnacyjnych otrzymał. Przywodzimy tu wstęp:

Posępny siedział Girey z spuszczonemi oczy,
Z ust w kłębach dym w powietrzu ulatał powoli,
Dwór wśród milczenia, służalce niewoli,
Wkoło groźnego się tłoczy.
W ścianach zamku panuje cichość nieprzerwana,
Baczni z uszanowaniem na jego obroty,
Widzieli ślady cierpień i ciężkiéj zgryzoty,
W zamrożonéj twarzy Hana;
Lecz dumny chcąc samotnie błądzić w myślach smętnych,
Wnet niemym rozkazu tonem,
Skinął ręką, natychmiast oddalił natrętnych,
Z pokornym wyszli ukłonem.
Jeden wpośród uniesień boleścią miotany,
Swobodnéj piersi cichém wznosząc się westchnieniem,
Srogie czoło maluje jaśniéj uczuć zmiany,
I walką ciągłą z cierpieniem.
Jak kiedy niebo nagle się zachmurzy,
Odbija w głębi woda straszny obraz burzy,
Gdzie początek rozpaczy i jakaż zgryzota,
Biegiem myśli jego miota?
Czy ma wypowiedzianą zostać wojna krwawa?
Rossyi albo Polsce chce nadać swe prawa?
Czyli zemstą oddycha? lub w własnych szeregach,
Odkrył ślady czarnéj zdrady?
Czyli go trwożą Góralów napady?
Dowiedział się o chytrych Genui zabiegach?
Nie, krwią wieniec zbryzgany już mu obmierzł chwały,
Zemdlała ręka, żądze zaborów zbolały,
A myśl od wojny daleka,
W lube zacisze ucieka.
. . . . . .
Więc jakież dręczą umysł Gireja wyrzuty?
Fajka zgasła, — wzrok jego maluje cierpienie;
Eunuch nieporuszony, jak gdyby przykuty,
U drzwi czekał na skinienie.
Powstał Girej zamyślony
Drzwi były ądemknięte, wchodzi w pomieszkanie,

Gdzie niedawno miłe żony
Dzieliły jego kochanie.
Wokoło, gdzie czarownie wytryska fontanna,
Czekali z bezpieczeństwem na przybycie Hana,
Na jedwabnych dywanach w igrającém gronie;
Z uniesieniem wyśledzały,
Jak na dnie marmurowém, w jasnéj wody łonie
Spokojnie rybki pływały;
A wonie roznoszone wietrzyka powiewem,
Słodziły rozkoszne tchnienie.
Wtém miłym cały harem odezwał się śpiewem,
Echo niosło przyjemnie dźwięczące ich pienie.

Dwaj bracia rozbójnicy w tymże tomie i w témże tłumaczeniu pomieszczone, przedstawiają uczucia młodego zbójcy, którego okoliczności postawiły na drodze zbrodni, jak to następujący ustęp objaśnia.

Nas było tylko dwóch braci,
Rośliśmy w cudzéj zagrodzie;
Niestety, w samym dni wschodzie,
Już życie w smutnéj postaci,
Zatrute jadem cierpienia,
Zostało pasmem tęsknoty;
Myśl żywiły zemsty tchnienia,
Bez domu, pola, sieroty,
My za umową wzajemną,
Poszliśmy z losem w zapasy,
Wziąwszy za przyjaciela bułat i noc ciemną,
Za ukrycie dzikie lasy.
Wnet rozpacz skonała w łonie,
Zmienił się obraz niedoli,
Zabłysła radość w nowéj osłonie;
Młodości pełna swawoli!
Dni wtenczas były słodyczą,
Kiedy niebezpieczeństwa wzgardziwszy widokiem,
Rozdzielali się zdobyczą.
. . . . . .
Niedługo bracia hulali,
W wycieczce jednéj obudwóch złapali,
I kowal zakuł na nogach kajdany;
Wkrótce zbłąkane wejrzenia,
Zbiły się w ścianach więzienia.

Pięć lat starszy od niego więcéj miałem siły,
Znieść srogość zmiennego losu;
On nie mógł wytrzymać ciosu,
Krwią straszliwéj rozpaczy napełnione żyły,
Ledwie dysząc wśród zgryzoty,
W nagłéj gorączce, lecz swych nieszczęść pomny,
Skłoniwszy głowę z wyrazem tęsknoty,
Umierający, chociaż nieprzytomny,
Powtarzał często, chcę dawnéj swobody:
Tu źle mnie — w las chcę, wody . . .
Lecz nadaremnie
Napój dawałem żądany,
On coraz bardziéj gorączką miotany,
Nie poznawał brata we mnie;
Wołał co moment: tajne gdzie zwróciłeś kroki,
Dlaczego brat porzucił mnie wśród ścian więzienia?
Wszak sam wydarł mnie światu, zatruł moje tchnienia,
W las zaprowadził głęboki,
Gdzie nocą silny i srogi,
Uczył zabijać bez trwogi.
Teraz bezemnie na woli,
I jeden w swobodnéj doli,
O swoim towarzyszu zapomniał na wieki,
Igra po polu, cierpieniu daleki!
Jadem rozpaczy zatruty,
To coraz nowe zgryzoty,
Zwiększały ciągle wyrzuty,
Serce ścigały mar roty;
. . . . . .

Poemat pod tytułem *Cyganie* maluje nam w pięknych obrazach, rodzaj koczującego życia i swobody tego pasożytnego plemienia, co nie przybierając nigdzie narodowości, odrębnemi rządzi się zwyczajami, nie znając, a raczéj nie chcąc znać Twórcy, jakkolwiek tyle jego używa dobrodziejstw. Piękne tłumaczenie tego poematu Leona Janiszewskiego, wiernością swoją bardzo jest zbliżone do oryginału (1). Przywiedziemy niektóre ustępy:

I.

Po Bessarabii koczuje
Szumna cyganów gromada;

(1) Tłumaczenie to zamieszczone w Bibliotece Warszawskiéj 1842 r. T. II, str. 344.

Już noc na ziemię zstępuje,
Wkoło step pusty, daleki,
Więc w polu, na brzegu rzeki,
Wędrowny tabor zakłada.
Pod nagiemi niebiosami,
Ich nocleg wesół, sny hoże;
Chwieją się między kołami,
Porozwieszane rogoże,
I rodzina przy ognisku,
Krząta się koło wieczerzy.
Tam rżą konie na pastwisku,
Za namiotem niedźwiedź leży,
Zaszumiał życiem step dziki.
Bez troski biedna chołota,
Jutrzejszéj podróży czeka.
I tylko słychać zdaleka
Pieśni kobiét, dzieci krzyki,
I w dróżnéj kuźni dźwięk młota.
Lecz już głębokie milczenie
Na cygański tabor spływa;
Czasem tylko się odzywa
Wycie psów, i koni rżenie.
Zgaszone wszędzie ogniska,
Cisza; i z niebios przestrzeni
Księżyc blask srebrnych promieni
Na milczący tabor ciska.
W jednym szałasie milczący
Przed zarzewiem stosu siedzi;
I często jego wzrok drżący
Mgłą zasłane pole śledzi.
On czeka na córkę młodą
Która z dziecinną swobodą
Daleko w pole wybiegła.
Lecz oto i noc zaległa,
I księżyc przy kresie drogi
Daleko niebo pozłaca,
A Zemfira nie powraca,
I stygnie pokarm ubogi.
Otóż wraca do zagrody;
Za nią cudzoziemiec młody.
On nieznajomy starcowi.
„Ojcze mój! Zemfira mówi:
Gościa wiodę — za kurhanem
Błądził po stepie daleko;

Jego nazwisko Aleko.
On chce być jak my cyganem.
Ścigany srogością prawa,
Znajdzie przyjaciółkę we mnie
Lubię go, on mnie wzajemnie:
I chętnie z nami zostawa."

Stary cygan.

Rad jestem — zostań do rana
Pod naszym biednym namiotem,
Lub dłużéj jeszcze — a potém
Jak chcesz, obierz los cygana,
Chléb i dach podzielę z tobą;
Bądź naszym, choć w biednym bycie
Znajdziesz z tułaczą chudobą,
Pokój i swobodne życie.
A jutro z wschodem jutrzenki,
W jednéj teledze pojedziem,
Zajmij się lubą robotą:
Kuj żelazo, nuć piosenki,
I obchodź sioła z niedźwiedziem.

Aleko.

Zostaję u was z ochotą:

Zemfira.

Więc zemną na zawsze zemną!
Któż mi cię teraz odbierze!
Dziel z nami biedną wleczerzę
Bo już późno, tak już ciemno,
Pole zaległy tumany,
Już czas spocząć mój kochany!

II.

Już dzień, lecz cisza dokoła,
Uśpione milczą szałasy.
Lecz starzec wstaje i woła:
Witaj Zemfiro! słońce świeci;
Ocknij się gościu! czas dzieci
Rozkoszne porzucić wczasy.

I tłum sypie się i krząta,
Zwija szałasy, uprząta,
I już zaprzężone wozy,
Już rusza szumna drużyna.
A z nią wędrowne obozy.
Brzmi życiem pusta równina,
Na osłach kosze zwieszone,
A w nich nagie z czarną twarzą
Cyganięta wrzeszczą, gwarzą.
Wszystkie rodziny złączone,
Spieszą jedną szumną zgrają,
A wkoło się rozlegają
Rzeźwe śmiechy, głośne sprzeczki,
Dzikie cygańskie piosneczki.
Ryk niedźwiedzia, brzęk łańcucha,
Zgorzała nagość cyganów,
Pstrocizna łat i łachmanów
I wołynki wrzawa głucha,
I psów szczekanie i wycie,
Skrzyp teleg, niestrojne krzyki,
Obraz tak nagi, tak dziki,
A przecież jakie w nim życie!
Ile w nim ognia i blasku!
Jakąż harmonią tajemną
Zgaduje dusza w tym wrzasku!
Jakże przy téj dzikiéj doli
Przedstawia sprzeczność nikczemną
Nasz byt pieszczotą uśpiony,
I na wieki pogrążony
W głupiéj przesądów niewoli.

III.

Smutno młodzian się ogląda
Na opuszczoną równinę,
I sam przed sobą skryć żąda
Tajną tęsknoty przyczynę,
Z nim Zemfira czarnooka,
On wierny mieszkaniec świata,
I jasne słońce z wysoka
Południowym blaskiem płonie.
Czemuż troska ćmi mu skronie
I burza sercem pomiata?

Bez zabiegów ptaszek żyje
Pod skrzydłem Bożéj opieki,
On z ciężką pracą nie wije
Gniazda, coby trwało wieki.

W nocy drzemie w cieniu drzewa
A z piérwszym słońca promieniem
Bozkim zbudzony natchnieniem,
Wstrząśnie piórkami i śpiewa.

Za wiosną, ziemi ozdobą,
Następują letnie znoje;
Potém mgły i deszczu zdroje
Późna jesień niesie z sobą.

Człowiek tęskni w mglistéj porze;
A wolny ptaszek radosny,
W ciepły kraj, za sine morze
Leci szukać nowéj wiosny!

Jak ptak bezpieczny i wolny,
Posłuszny swemu losowi,
I on, tułacz w życia kwiecie
Dotąd, nie znalazł na świecie
Serca, które byłby zdolny
Pokochać miłością stałą;
Miejsca, coby tułaczowi
Spokojny przytułek dało.
Gdzie spojrzał, wszędzie mu droga,
Gdzie zaszedł, tam dach gospody,
Rano wstając dnia przygody,
Polecał opiece Boga.
Powszednich potrzeb udziały
Nigdy myślą kłopotliwą,
Ciszy serca nie rozchwiały.
Niekiedy w chwilę szczęśliwą,
Spotykał rozkosz zabawy;
Niekiedy ku gwiazdzie sławy
Tęsknił tęsknotą przelotną;
Nieraz nad głową samotną
Srożyły się burze, grzmoty,
A on drzemał, drzemał obojętnie,
Równie słodko, równie chętnie
W czas pogody i w czas słoty.

Wszystko co wśród burzy świata,
Sercem człowieka pomiata,
Czém nas los dręczy, czém pieści,
Nadzieję, bojaźń, boleści,
Odepchnął od siebie z wzgardą.
Jednak nad tą duszą hardą,
Jakąż żądza miała władzę!
Ta pierś, co w chlubnéj odwadze
W walkach z losami zmężniała,
Jakże niewolniczo drżała,
Na każde żądzy skinienie!
Dziś, długież tych żądz uśpienie?
O! strzeż się! strzeż się Aleko!
O! nie wierz żądzy uśpionéj!
Już ta chwila niedaleko
Kiedy w twéj piersi zmęczonéj,
Potrząśnione bytu zmianą
Namiętne burze powstaną!
.....

Stary cygan.

Lubisz nas, choć cię karmiła
Ręka pieszczot, kraj bogaty,
Lecz nie zawsze wolność miła
Dziecku szczęścia i oświaty.
Jest między nami podanie
Że kiedyś, pan obrażony
Przysłał do nas na wygnanie
Mieszkańca południa strony.
Jego imię z czasu ściekiem,
Znikło z pamięci pomału,
Był on już podeszły wiekiem,
Lecz z duszą pełną zapału;
I dziwnym darem natchniony,
Tęsknego serca gorycze
Zlewał w pieśni tajemnicze,
I śpiewał słodkiemi tony.
Żyjąc na brzegach Dunaju,
Często, dla ulgi boleści
Prawił ludziom dziwne wieści
O swoim rodzinnym kraju.
Jak dziecko słaby, nieśmiały,

Zdawał się niedbać o siebie,
W codziennéj życia potrzebie
Cudze ręce go wspierały.
Nie umiał zręcznością, trudem,
Uprzątać potrzeb zawady;
I tak błądził wyschły, blady
Pomiędzy obcym mu ludem.
Mawiał, że Bóg rozgniewany,
Za ciężkie karał go winy;
Tęsknił, czekał zapomniany
Niosącéj łaskę godziny.
Często śród burzy, śród chłodu,
Błądząc nad rzeki brzegami,
Powtarzał zalany łzami,
Imię rodzinnego grodu.
I gasnąc cnotliwém życiem,
On, z ostatniém serca biciem
Wyjęczał prośby jedyne,
Aby ktokolwiek z litości,
Przeniósł tam w świętą krainę,
Tęskniące tułacza kości.
. . . . . .

Młodzieniec przyjęty do koczującéj familii cyganów, zakochał się i ożenił z Zemfirą; zdradzony zaś później przez nią, zapalony zazdrością, pozbawia życia naprzód kochanka, a potém wiarołomną żonę.

W tym tomie pomieszczone są: hrabia *Nulin;* wielki poemat pod tytułem *Połtawa*, do którego natchnęły go prace historyczne na wsi; oraz pomniejsze: *Domek w Kołomnie* w rodzaju opisowym, i *Andżelo.*

Tom trzeci zawiéra zbiór drobniejszych utworów, podzielonych na pewne oddziały, jakoto: poezye liryczne, pieśni, sonety, listy, elegie, naśladowania poetów wschodnich i epigrammata. Wiele między niemi odznacza się głębokim pomysłem i mistrzowskiém wykonaniem.

W tomie czwartym mieszczą się ballady oryginalne, klechdy (skazki), pieśni Sławian zachodnich, poezye antologiczne, oraz wiersze rozmaite. Między balladami znajdujemy dwie tłumaczone z Mickiewicza pod tytułem: *Trzech budrysów*, i *Wojewoda*, jak równie między wierszami rozmaitemi, znany ustęp z Konrada Walenroda przez tegoż autora:

Sto lat minęło jak zakon krzyżowy
We krwi pogaństwa niemieckiego brodził i t. d.

Z ballad oryginalnych Puszkina, zamieszczamy tłumaczenie jednéj, przez A. E. Odyńca dokonane ze zwykłym jemu talentem.

CZARNY SZAL.



Rozpaczą, wściekłością i żalem miotany,
Poglądam dzień cały na szal krwią zbryzgany.

Przed laty, gdym jeszcze był płochy i młody,
Kochałem Greczynkę przecudnéj urody.

Przecudna dziewica łudziła mnie wzajem,
Lecz krótko, ach krótko świat dla mnie był rajem!

Sprosiłem przyjaciół na ucztę wspaniałą,
Do drzwi mych żyd podły zapukał nieśmiało.

„U ciebie rzekł, goście godują weseli,
Greczynka z kim innym pieszczoty swe dzieli."

Z przekleństwem mu kiesę cisnąłem pod nogi,
Mój Arab za chwilę był gotów do drogi.

Jak wicher, jak piorun leciałem przez błonie,
Wiatr świszcząc wokoło, żar głuszył w mém łonie.

Lecz próg jéj zaledwo ujrzałem zdaleka,
Krwią serce zabiegło, łzą trysła powieka.

Jak wściekły pobiegłem w znajome ustronie:
Ormianin niewierną piastował na łonie.

Skry w oczach mi błysły, miecz zagrzmiał, uderzył;
Nim usta od ust jéj odchwycił, już nie żył.

Patrzałem z rozkoszą jak drżąca i zbladła:
Dłoń wznosząc, na klęczkach do nóg mi upadła.

Pamiętam błagania, krwi strumień i jęki,
Zginęła Greczynka, i miłość, i wdzięki.

Z wściekłością szal czarny zerwałem z jéj skroni,
I krew nim ciekącą otarłem z méj broni.

Niewolnik mój skoro wieczorna mgła wstała,
W głębinę Dunaju powrzucał ich ciała.

Ach! dotąd mię piękność przywabia daremnie,
Ach! odtąd sen cichy odleciał odemnie.

Rozpaczą, wściekłością i żalem miotany,
Poglądam dzień cały na szal krwią zbryzgany.

Tom piąty i szósty zawierają ciekawe szczegóły i wypadki oraz materyały do historyi buntu Puchaczewa, które aby zebrać i w całość uporządkować, autor podjął wiele trudów, i uczynił mnóstwo poszukiwań.

W tomie siódmym umieszczone są powieści prozą, z których *Dama pikowa* znaną jest w przekładzie polskim, zaś *Córka kapitana*, do napisania której dostarczyły materyału poszukiwania do historyi Puchaczewskiego buntu uczynione, zawiéra wiele pięknych scen i opisów, pomieszanych z krwawemi obrazami dzikiéj rzezi, przez Puchaczewa i jego stronników dokonanéj.

Tom ósmy równie zawiéra powieści prozą pisane, które pod pseudonymem *Biełkina* ogłosił. Noszą one tytuły: Wystrzał, Burza zimowa, Grobowszczyk (*ten co się zajmuje dostawą materyałów do pogrzebu należących*), Pisarz pocztowy, i Pani wieśniaczka. W rozmaitościach zamieszczono: Podróż do Erzerum, rozbiór pism Jerzego Konińskiego, o Wolterze, Tennerze i t. d. Tu także zamieszczony jest list Żukowskiego w którym są opisane ostatnie przedśmiertne chwile Puszkina.

Tom dziewiąty zamyka w sobie powieści ludowe wierszem, z których *Miedziany rycerz* w polskiém tłumaczeniu, znajduje się w Jutrzence wydawanéj przez Dubrowskiego. W tymże tomie pomieszczono wiersze jego licejskie, elegie, i inne drobniejsze opuszczone w poprzednich ośmiu tomach.

Tom dziesiąty, składa się z artykułów prozą pisanych, między któremi *Arab Piotra Wielkiego* dotycze dziada samego autora w linii żeńskiéj. *Kronika wsi Gorochina* odznacza się bystrym dowcipem, najwydatniejsze zaś zajmują miejsce: *Sceny z czasów rycerskich*, utwór w kształt dramatu ułożony.

Tom jedenasty i ostatni zajmują podobnież pisma prozą, między któremi są artykuły o Moskwie, o Łomonosowie, Miltonie, Szatobryanie, Bajronie, anegdoty po największéj części z własnego życia Puszkina. Najciekawszą z nich jest jedna gdzie mówi o samym sobie, jak czytając na publicznym popisie w liceum, piérwszy swój wiérsz *Wspomnienia Carskiego Sioła* okryty pochwałami, skrył się i uciekł, gdy go obecny Dzierżawin widzieć zażądał.

* * *

Taką jest treść dzieł tego poety. Minęły lata! Od tego czasu wiele już pojawiło się nowych pisarzy, ale imię Puszkina, upromienione sławą wieszcza, w dalekiéj nawet przyszłości, wzniosłe stanowisko w dziejach literatury zajmować będzie.

S. L.



MARCIN NIKUTA.

Marcin Nikuta

MARCIN NIKUTA.

Marcin Nikuta filozof, moralista, były professor korpusu kadetów w Warszawie, za panowania Stanisława Augusta, urodził się 1741 r. we wsi Schaufelsdorf, w okolicy miasta Pasenheim niedaleko Królewca. w Prusach wschodnich.

Osierocony w młodym bardzo wieku, przez przyjaciół opiekujących się losem jego, którzy widzieli wielką chęć do nauki młodzieńca, oddanym był do gimnazyum w Królewcu. Tu zwróciwszy uwagę szczególną zdatnością i pilnością swoją jednego z tamtejszych professorów, przyjętym został na korrepetytora nauk do jego dzieci i młodzieży na pensyi tamże umieszczonéj, za co oprócz zwyczajnych domowych wygód, talarów pięć (czyli złp. 30) płacy miesięcznie pobierając, przyzwoicie utrzymać się potrafił. Wkrótce jednak przeniesiony na nauki do akademii tamtejszéj, po złożeniu prawem przepisanego examinu w roku 1765, patent na magistra filozofii i zarazem nominacyą na professora akademii królewieckiéj otrzymał.

Przed tym czasem będąc jeszcze uczniem akademii, wyręczał chorego bibliotekarza, i miał poruczoném sobie ułożenie księgozbioru akademickiego, a gdy późniéj umarł bibliotekarz, miejsce jednomyślnie przez rektora i professorów Marcinowi Nikucie (jako już doktorowi filozofii) zastępczo ofiarowano, z powodu iż położonemu w nim zaufaniu zwierzchności akademickiéj w zupełności odpowiedział: pracując bowiem przez dwa lata w bibliotece, takową porządnie ułożył, i sporządzony spis czyli katalog całéj biblioteki, akademii złożył. Kiedy zaś za tak mozolną, dokładną i spieszną pracę spo-

dziewał się być wynagrodzonym objęciem posady, którą dotąd zastępczo sprawował, i do której przez zwierzchność akademicką był przedstawionym, tymczasem z rozkazu króla pruskiego Fryderyka II, przysłany został z Berlina professor na ten urząd, a król zasłużonemu Nikucie oświadczyć kazał, że w dalszym czasie będzie o nim pamiętnym.

Zawiedziony młody professor tak dotkliwie w nadziei oczekiwanéj i przyobiecanéj przez rektora akademii posady bibliotekarza, postanowił porzucić Królewiec, a korzystając z ofiarowanego sobie wkrótce przez króla polskiego Stanisława Augusta, miejsca na professora do utworzonego w październiku 1765 roku korpusu kadetów obojga narodów, wyjechał do Warszawy (1).

Przybywszy w roku 1766 do Warszawy, objął zaraz nowo przeznaczony obowiązek professora korpusu kadetów. Za dwie godziny codziennéj pracy, miał wyznaczone trzysta dukatów płacy rocznéj, i mieszkanie bezpłatne w prawym pawilonie koszar kadeckich. Oznaczona jednak pensya wkrótce przez samego króla do pięćset dukatów powiększoną mu została.

Z powodu, że nie umiał jeszcze języka polskiego, wykładał z początku po niemiecku lub francuzku nauki jakoto: ekonomię polityczną, dyalektykę, prawo powszechne i kameralne, logikę i filozofię moralną. Wkrótce jednak tak się polskiego języka wyuczył, że nim dokładnie rozmawiać i nauki swoje wykładać potrafił. Oprócz rodowitego niemieckiego, posiadał jeszcze doskonale języki łaciński, grecki, francuzki, polski, włoski i hebrajski.

Król Stanisław August wynagradzając jego zasługi professorskie w korpusie kadetów, obdarzył go w roku 1775 klejnotem szlachcica polskiego (2); w kilka lat potém zachorowawszy na ból w piersiach i dlatego z trudnością odbywając prelekcye, podał prośbę o dymissyą. Ówczasowy kommendant korpusu kadetów książę Adam Czartoryski generał ziem podolskich nie chcąc utracić tak godnego, pracowitego i przez młodzież korpusu ukochanego professora, przez wzgląd oraz na kilkonastoletnie zasługi Nikuty, starał się go nakłonić, aby zamiast dymissyi zażądał urlopu, który mu na cały rok udzielonym będzie. Nikuta oświadczył wspaniałemu księciu stanowczo, że sumienie nie dozwala mu brać nagrodę z korpusu nie pracując w odwdzięczeniu. Gdy żadne uwagi i prośby skłonić go nie mogły do pozostania dłuższego w korpusie, sam król przyjechał do pałacu *ordynackiego* (do którego Nikuta na parę lat wprzódy przeprowadził się), i wszedłszy do

(1) Jan Grabowski hrabia, generał, szef gwardyi konnej litewskiej, a ojciec Stefana, zostawał na wychowaniu i naukach u piérwszego professora prawa, oraz kanclerza i dyrektora akademii w Królewcu, a w którego szkole czyli pensyi i Marcin Nikuta uczył się, i dawał lekcye przez lat kilka w różnych umiejętnościach kolegom swoim akademickim; ten więc hrabia Grabowski zarekomendował go królowi polskiemu, a później uprosił Nikutę, że mu syna Stefana na dokończenie edukacyi przyjął.

(2) Między osobami do klejnotu szlachectwa polskiego przypuszczonemi w roku 1775 zamieszczony jest Marcin Nikuta professor korpusu kadetów obojga narodów, patrz dzieło: „Prawa, konstytucye i przywileje królestwa Polskiego i wielkiego księztwa Litewskiego i t. d. pag. 304, w Warszawie 1782.

mieszkania professora, zapytał się go „o przyczyny jakie go zniewolić mogły do oddalenia się od korpusu kadetów, który sobie życzy, ażeby z jego umiejętności korzystał?" Wzruszony taką łaskawością monarchy nie wiedział co mówić, lecz na powtórne zapytanie odpowiedział: „Gdy Wasza Królewska Mość każesz, podam je na piśmie." Na co król rzekł: „Chcę wiedzieć jakie to są przyczyny." Nie chcąc jednak tak dobrego dla siebie króla prywatnemi interesami zatrudniać, nie dopełnił jego rozkazów, lecz na usilne prośby wyjednał sobie dymissyę w roku 1780 (1), poczém poświęcił się zupełnie dokończeniu wychowania i edukacyi hrabi Stefana Grabowskiego (w późniejszym czasie generała dywizyi wojska polskiego i ministra sekretarza stanu królestwa Polskiego), oraz hrabi Wacława Chodkiewicza syna starosty żmudzkiego, którzy od dwóch lat poprzednio zostawali u niego na naukach. Z powodu jednak nastąpionéj w roku 1781 śmierci hrabi Jana Chodkiewicza starosty żmudzkiego, pozostała po nim wdowa zażądała przysłania syna swego Wacława do dóbr Młynowa na Wołyniu, dokąd tenże zaraz udawszy się, w krótkim czasie tamże umarł. Następnie starościna Chodkiewiczowa chcąc dać gruntowniejsze wychowanie drugiemu synowi hrabi Alexandrowi Chodkiewiczowi, tegoż professorowi Nikucie 1790 roku na edukacyą przysłała do Warszawy, gdzie aż do dnia 25 listopada 1794 zostawał. W pałacu Ordynackim pod Nrem 2874 na piérwszém piętrze mieszkał sam professor Nikuta, a w dalszych pokojach i na sali, lekcye czyli nauki pobierali uczniowie jego, tojest: hrabia Stefan Grabowski i hrabia Wacław Chodkiewicz, a w późniejszym czasie: hrabia Alexander Chodkiewicz (były generał brygady), Józef Nowicki (były generał brygady i sekretarz generalny Kommissyi Rządowéj Wojny), oraz Alexander Reinschmit (były kommissarz wydziału skarbowego w Kommisyi Województwa Augustowskiego, a w końcu Mazowieckiego). Ci uczniowie zajmowali całe dolne (parterre) mieszkanie w pałacu wraz z guwernerem. Do nauki języków: francuzkiego, niemieckiego, rysunków i arytmetyki przybrani byli za nauczycieli: Karol Gaward, Jerzy Kindel, Mikołaj Kayzer, Krystyan Naumann, a Jan Czempiński doktor medycyny konsyliarz Jego Królewskiéj Mości i Gagatkiewicz doktor, jako etatowi lekarze mieli obowiązek odwiedzać rzeczonych uczniów co trzy dni. Oficyna zaś na pagórku po prawéj ręce pałacu, zajętą była przez restauratora i liczną służbę dworską każdego w szczególności ucznia.

Pensya professora Nikuty, jaką ani dawniéj, ani w późniejszym czasie nikt w podobnym sposobie po pańsku, jak to mówią, nie utrzymywał w Warszawie, zamkniętą została w listopadzie 1794 roku.

Po ukończeniu nauk wspomnionych wyżéj uczniów, Nikuta zatrzymawszy przy sobie Jerzego R.... (który był kamerdynerem i fryzyerem professora i paniczów, gdyż fryzury z lokami wówczas noszono) za kamer-

(1) W miejsce Nikuty powołany został na professora korpusu ksiądz Kajetan Skrzetuski Pijar.

dynera i fryzyera, oraz Antoniego S..... za służącego, zajął się odtąd dokończeniem i wydrukowaniem dzieł rozpoczętych w polskim i francuzkim języku, jakoto:

1. Zasady nauki moralnéj, przepis sposobu do życia w towarzystwie ludzkiém okazujące. W Warszawie 1796 (1).

2. Przyzwoity i stosowny do szczęśliwego życia myślenia sposób, w gruntownéj nauce krótko zebrany. W Warszawie 1796.

3. Teinture de la morale. Varsovie 1796.

4. Recueil des idées élémentaires pour servir de principes aux sciences morales. Tomów sześć. Varsovie 1797.

5. Sciagraphie de l'art de penser. Varsovie 1798.

Dziełka te swoim kosztem wydrukował i bezpłatnie przyjaciołom i znajomym, a nawet księgarzom rozdawał, udzielając przytém zgłaszającym się do niego pomocy pieniężnéj, lub rady rodzicom proszącym o takową względem edukacyi synów, do szkół lub na pensye przeznaczyć się mającym.

Cały dzień zajęty był professor Nikuta pisaniem lub czytaniem książek w różnych językach i przedmiotach naukowych, oraz gazet Warszawskich: hamburgskiéj i berlińskiéj, a dopiéro nad wieczorem wychodził w lecie na kilka, a w zimie na parę godzin na spacer do ogrodu przyległego pałacowi Ordynackiemu i na pagórek oraz galeryą, na Wisłę i Pragę widok mających. Wtenczas przybywali do niego przyjaciele, dawni uczniowie korpusu kadetów lub nauczyciele z pensyj warszawskich i znajomi jego. Gdy tych odwiedzin nie otrzymał, natenczas przywoływał mnie, a czasem i inną młodzież w okolicach Ordynackiego mieszkającą, i z temi chętnie rozmawiał, wypytując się o nauki jakich się w szkołach uczą, a przed rozstaniem się zawsze moralną naukę udzielając. W lecie dwa lub trzy razy wyjeżdżał ze mną najętym koczykiem to do Wilanowa, Królikarni, to do Bielan i Młocin, gdzie odwiedzał dawnych przyjaciół pp. Potza i Reychla tamże mieszkających, a używając przechadzki po polach i lesie, zastanawiał się nad roślinami i drzewami, nauczając mnie przytém botaniki.

Przyzwyczajony do zatrudnień naukowych, nie uważał za poniżenie siebie uczyć dzieci ubogich rodziców, przyjaciół lub znajomych i to bezpłatnie; co dzień po godzinie lub dłużéj wykładał im niemiecki, francuzki i łaciński język, a nadto historyę, geografię, starszym zaś logikę i moralną naukę. Młodzież téż przychodziła ochoczo na spotkanie professora, i ucałowawszy ręce, śmiało i wesoło z nim rozmawiała, co go w dobry humor i wesołość wprawiało. Jak dalece był ludzkim i dobroczynnym, dowodzi

(1) Na końcu dzieł Nro 1 i 3 napisał: patrz pag. 77—98. „Służyło to pismo niegdyś za przewodnika do ukształcenia serca szlachetnéj młodzieży, torując jéj oraz drogę do nabycia gruntowniejszego prawd poznania, które z interesem człowieka najistotniejszym, ściśle są skojarzone. Gdy ten krótki zbiór nie zostanie bez korzyści, poczyta sobie autor za powinność przysłużyć się publiczności, obszerniejszém i dokładniejszém pismem." Jakoż w następnym roku wydał dziełko: „Recueil des idées élémentaire etc. etc." w sześciu tomach.

wsparcie jakie ubogim codziennie udzielał; miał nawet takich, którzy co tydzień, a inni co miesiąc po wyznaczoną sobie jałmużnę przychodzili. Służącego Antoniego S.... wyuczywszy czytać, pisać, rachować, oraz niemieckiego, łacińskiego i francuzkiego języka, miał zamiar przeznaczyć na nauczyciela, lecz gdy tenże mimo rady Nikuty ożenił się, dał mu kilka tysięcy złotych na rozpoczęcie handlu drzewem (jak wówczas bardzo korzystnéj spekulacyi); lecz po kilkoletnim handlu takowym, gdy w roku 1806 znaczne wezbranie Wisły zabrało cały prawie zapas drzewa nad tą rzeką, i upadek jego majątku zrządziło, przyjął go znowu Nikuta do służby nawet z żoną i pięciorgiem dzieci, i aż do śmierci przy sobie zatrzymał, a starsza córka tegoż, Eleonora S..... była jego ostatnią uczennicą, gdyż podeszły wiek i osłabione zdrowie, nie dozwoliły mu więcéj trudnić się uczeniem młodzieży.

Mieszkając ciągle w pałacu Ordynackim, za przyjściem do Warszawy wojsk francuzkich i bawarskich w końcu listopada 1806 roku, gdy cała ta possesya na koszary zajętą została, Nikuta wtenczas wyprowadzić się musiał, i przez całą zimę 1807 roku mieszkał w domu Rougeta przy ulicy Wareckiéj pod Nr. 1357. Na wiosnę przeprowadził się na Nowy-Świat pod Nr. 1297 do possesyi Kajzera, Fauxhal zwanéj. We dwa lata dopiéro oddano pałac Ordynacki zupełnie zniszczony, a wtenczas wprowadził się Nikuta do officyny po prawéj stronie na pagórku, i tam jak dawniéj zatrudniając się pisaniem, czytaniem i uczeniem dzieci ubogich, zachorował na suchoty, i po kilko-miesięcznéj słabości, umarł dnia 5 kwietnia 1812 roku, mając lat 71.

Na parę dni przed śmiercią zrobił testament urzędowy, i cały swój majątek oraz liczną bibliotekę zapisał Antoniemu S..... dawnemu słudze swemu.

Nikuta lubił bardzo kwiaty i owoce: założył więc sobie ogródek za officyną na pagórku, i tam pielęgnując najwięcéj róże, gwoździki, lewkonię, lak, muszkatel i geranium, zasadził własną ręką po parę sztuk najlepszych drzew owocowych, i orzechów włoskich i tureckich: późniéj doczekał się téj przyjemności, że mógł ofiarowywać żonom i córkom przyjaciół odwiedzających go bukiety lub owoce w koszyku, które dochował własném staraniem. W czasie suchéj pory roku sam trudnił się polewaniem drzewek i roślin. Wszyscy mieszkańcy Ordynackiego znając upodobanie professora w tym ogródku, nigdy bez jego szczególnego wezwania nie wchodzili do niego, chociaż tylko na haczyk był zamykany, a gdy drzewa licznym owocem były pokryte, nikt a nawet dzieci nie śmieli pójść zrywać kwiatów lub zbiérać spadłych owoców, co go bardzo cieszyło, i więcéj téż owoców rozdał aniżeli sam użył. Po wyprowadzeniu się jego 1806 roku rozebrano parkan na opał, a ogródek zniszczono, lecz po wprowadzeniu się jego 1809 na nowo go założył, nie doczekał się jednak téj przyjemności, ażeby do dawnego stanu mógł go przyprowadzić.

Nikuta bezżenny, był ewangelicko-augsburgskiego wyznania; dość często do kościoła swego wyznania, a czasem do kościoła księży Missyonarzy Śgo Krzyża chodził na nabożeństwo.

Pogrzebowi jego na cmentarz ewangelicki assystowali liczni przyjaciele i ucznie, jako też obecny naówczas w Warszawie hrabia Alexander Chodkiewicz (późniéj generał brygady wojska polskiego), który uwielbiając pamięć swojego nauczyciela, nabył od Antoniego S..... księgozbiór i wszystkie rękopisma tegoż w języku łacińskim, niemieckim, francuzkim i polskim własnoręcznie pisane.

Marcin Nikuta był wzrostu słusznego, twarzy rumianéj i przyjemnéj; czoło miał wysokie, oczy niebieskie, blondyn, otyły. Ubierał się zawsze bardzo czysto, porządnie, nawet elegancko. Na głowie fryzura upomadowana i upudrowana z czterema lokami po bokach i harcap dość długi. Po śmierci Jerzego R.... kamerdynera 1808, nie fryzował się, lecz tylko siwe i rzadkie włosy zaczesywał. Stroił się po niemiecku staroświeckim krojem z długim stanem frak, lub surdut z wielkiemi jedwabnemi guzikami. W lecie nosił frak z materyi jedwabnéj lub z kazimierku w jasnym kolorze, chustka na szyi biała batystowa i żaboty czyli kryzy i mankietki u koszuli także batystowe, spodnie z materyi jedwabnéj lub nankinowe krótkie, ze sprzączkami srebrnemi, pończochy jedwabne białe, trzewiki na duże srébrne sprzączki zapinane, kapelusz biały, a czasem czarny kastorowy z dużemi skrzydłami, i wysoka trzcina z gałką złotą, a druga z gałką z słoniowéj kości, które naprzemian nosił. W jesieni i zimową porą ubierał się zawsze jednakowo, tojest surdut długi bajowy ciemno-orzechowy, spodnie sukienne ciemne lub szaraczkowe krótkie, buty ze sztylpami, a na mróz sukienne czarne lub szaraczkowe flanelą podszyte; czapkę całą sobolową bardzo piękną, oraz futro z pięknych białych niedźwiedzi bardzo kosztowne, i to był dar pani starościny Chodkiewicz.

Pamiętając na przyjaźń ś. p. ojca mojego, okazywał szczególną troskliwość i staranie o mojéj edukacyi i wychowaniu, i gdy już piérwsze początki nauk podług domowego wykładu posiadałem, kazał mi codzień przed południem na nauki do siebie przychodzić, a następnie poradził matce mojéj, że mając lat 12 oddany zostałem na pensyą ś. p. Mikołaja Kajzera, którego szkoła do najlepiéj uczących w Warszawie policzoną była, co niedziela jednak i święto na nauki przed południem, a nad wieczorem na przechadzkę do niego przychodziłem: wtenczas to wiele zdarzonych przypadków tak z historyi narodów jako też swoich opowiadał, co teraz przywiódłszy sobie na pamięć, wiernie opisuję.

O Marcinie Nikucie znajdzie czytelnik chlubne wzmianki w następujących dziełach:

1. Literarische Nachrichten von Preussen, herausgegeben von Goldbeck. Berlin 1781. Tom I pag. 182 i 240.

2. De l'Etat des Etudes, des Lettres et des Moeurs en Pologne, pour servir de reponse à l'essai critique sur l'education Polonaise, par E. N. Murray. Varsovie 1800, pag. 131.

3. Historya Literatury Polskiéj, wystawiona w spisie dzieł drukiem ogłoszonych przez Felixa Bentkowskiego professora historyi i bibliotekarza w liceum warszawskiém. W Warszawie i Wilnie 1814. Tom II, pag. 52 i 53.

4. Opisanie historyczno-statystyczne miasta Warszawy przez Łukasza Gołębiowskiego; wydanie drugie poprawione, znacznie pomnożone i rozszerzone. W Warszawie 1827 pag. 178.

5. Dykcyonarz uczonych Polaków, zawierający krótkie rysy ich życia, szczególne wiadomości o pismach i krytyczny rozbiór ważniejszych dzieł niektórych. Porządkiem alfabetycznym ułożony przez X. Ignacego Chodynickiego zakonu Karmelitów. We Lwowie 1833. Tom II, pag. 169 i 170.

Grzegorz Jahołkowski.



JÓZEF KRASZEWSKI.

Józef Kraszewski

JÓZEF IGNACY

KRASZEWSKI.

Józef Ignacy Kraszewski urodził się dnia 26 lipca 1812 r. w Warszawie (w domu Zięteckich blizko Śgo Krzyża), gdzie rodzice jego przybyli, unikając przechodu wojsk, zalewających kraj podówczas. W parafii święto-krzyzkiéj ochrzczonym został.

Ojciec jego Jan Kraszewski z rodziny z Mazowsza pochodzącéj, ale zbiegiem okoliczności aż na Ukrainę zapędzonéj, zamieszkał już był podówczas w Grodzieńskiém, niedaleko Prużany. Matka (jak i ojciec do dziś dnia żyjący) z Malskich Kraszewska, pochodzi z Podlasia.

Początkowo wychowywał się u prababki swéj, anioła dobroci, ideału dawnéj polskiéj niewiasty, Konstancyi Nowomiejskiéj, i babki Malskiéj na Podlasiu w *Romanowie;* gdzie pod cieniem starych jodeł i olch, wśród klekotu niezliczonych bocianów, zbiegły piérwsze jego lata. Oddany naprzód do szkół, do kolonii dawnéj *Bialskiéj* (1), tu znów znalazł w starym zamczysku, w kilku dawnych kościołach, i powabném miejscu, miłe na przyszłość wspomnienia. Tu piérwszy raz w starych na strych wyniesionych grzebiąc książkach, zamiłował je jeszcze dzieckiem. Do nauczycieli, których z wdzięcznością wspomina, należy dziś żyjący w Warszawie Adam Bartoszewicz, który piérwszy do literatury wlał mu ochotę. Już i tu na szkolnéj ławie, zrodziły się piérwsze bajki, piérwsze powiastek zarysy.

(1) Miasto Biała, dziedzictwo dawniéj ks. Radziwiłłów leży w Podlasiu dawném, a dzisiaj gubernii lubelskiej.

Mając dać szczegółowy życiorys tego znakomitego pisarza, jednéj z świetnych gwiazd literatury naszéj, możemy się wyręczyć opowieścią samego Kraszewskiego, co nam się w pismach swoich z każdéj niemal życia chwili wyspowiadał. Zatrzymamy więc naprzód uwagę czytelnika na *Romanowie*, gdzie dziecięce chwile życia przebył (1).

„Na rozległéj płaszczyznie ciągniącéj się ponad Bugiem, w Podlasiu dawném, jest majętność zwana *Romanowem*. Piękne to miejsce, o tyle, o ile bez biegącéj wody i gór, może być kraj jaki pięknym. Zdobią okolice i osadę samą lasy starych bardzo drzew, jedna z najcenniejszych ozdób, bo jéj za żadne pieniądze dostać nie można: a stare drzewo, jest czémś tak pięknem, i prócz tego, tak mówiącém o przeszłości, iż każdyby go sobie życzył u wrót swojego mieszkania. Na małym wzgórku, wznosi się nowy, murowany dom mieszkalny, poważny, milczący, przed który zajeżdża się okrążając dziedziniec otoczony zewsząd drzewy, zamknięty z jednéj strony długiemi drewnianemi oficynami, z drugiéj odpowiadającemi im stajniami. Dokoła tych zabudowań, i obszernego, ciemnego ogrodu, ciągną się kanały, otoczone olchami staremi, a każda prawie z nich nosi na sobie gniazdo bocianie. Od ganku wychodzącego na ogród, wzdłuż przezeń, idzie ulica z ogromnych starych jodeł, posępnie zawsze szumiących. Po bokach ciągną się długie szpalery z lip i grabów; a przestrzenie między niemi zajmują rozrzucone tam i sam grusze, wielkie odwieczne kasztany i lipy.

„Za szpalerami łąka zielona, i olchy znowu, i nowy ogród, gdzie stoi chatka, łazienka i kaplica. Wyjrzawszy za rozległy ogród ujrzysz zielone smugi łąk, i dalekie lasy *Kraszczyna*, wsie *Wygnankę* i Czeputkę. Naprzeciw domu od dziedzińca przez wyciętą długą trybę lasem sosnowym, prawie dojrzéć można trzeciéj wioski, Sosnówki.

„W takiém to miejscu wychowałem się, zrosłem, tak wesoły, tak pieszczony, tak kochany (choć zapewne nie od wszystkich), jak gdyby po wyjściu ztamtąd, samo mię szczęście na świecie oczekiwać miało. Przygotowany do życia przez prababkę i babkę, (z których jedna jest już w niebie od roku, a druga ze łzami w oczach mieszka jeszcze w Romanowie), sposobiłem się do niego jak na ucztę wesołą.

„O! wesołym wstępem do życia był mi Romanów, byłto brzeg gorzkiéj czary, którą Bóg słodyczą zaprawił, abym długo wspominał, i długo płakał lat moich dziecięcych. I wspominam téż, i płaczę, z bolesném serca ściśnieniem, płaczę po téj niepowrotnéj przeszłości, którą tak mam w sercu i pamięci, jakbym się z nią wczoraj dopiéro rozstał. Ileżto razy w usta moich powieści bohatérów kładłem żal lat dziecęcych, który z mego serca płynął: sądziłem przypisując go innym, że każdy, każdy żałować musi młodości, ile razy ją przypomnim: bo jéj nic nie zastąpi, bo tak okropnie, tak na wieki dla nas umarła.

(1) Obrazy z życia i podróży. Wilno 1842 r.

„Lata pobytu mego w Romanowie, były bardzo szczęśliwemi, dnie mi zajmowała nauka wcale nie ciężka, wesołe zabawy, przechadzki po Romanowskim ogrodzie, przechadzki, w ciągu których poglądając po starych drzewach, po cienistych zakątach, uczyłem się marzyć, i domyślać mglistéj jakiéjś przeszłości, zdając się ją tylko przypominać sobie.

„Już ciebie niéma droga moja przybrana matko, na któréj kolanach nauczyłem się czytać, myśleć, i modlić, już ciebie niéma aniele święty, a Romanów opustoszał. Jedna już tylko babka w nim płacze: o! nie mógłbym go teraz widzieć, a jak mnie boli wspominać! jak tam teraz pusto i cudzo być musi, jak zimno, jak zimno! Ale dawniéj, dawniéj, mimo kłopotów życia, mimo nierzadkich zmartwień, Romanów żył, Romanów był tak wesoły, tak miły! Pamiętam jeszcze dziadka naszego, w bajowéj czujce chodzącego koło gospodarstwa i ogrodu: pamiętam prababkę, którą wówczas *białą babunią* zwałem, jadącą do *Chmielity* spokojną klaczą Jaroszewską, przykrytą od much białą kapą w pstre cętki.

„Pamiętam, o! pamiętam wszystko, i naukę czytania na kalendarzu, i wieczorne zabawy, i cacka dziecinne, i wszystkie nauki twoje, biédna prababko, pamiętam, kiedyś mi dając łakocie, po jakiémś przewinieniu dziecinném, powiedziała:

— Tak, Józiu, trzeba za złe dobrém płacić.

„Bóg twoje cnoty, zapłacił długiém, choć bolesném życiem, weszłaś teraz świętą do nieba przecierpiawszy na ziemi, co tylko najdotkliwszego dla serca matki być może, przepłakawszy nad mogiłami dzieci, i gdybyż tylko nad mogiłami! Wspomnień tych początku mojego życia zgromadzić nie mogę, tak mnie żal ogarnął. I nigdy, nigdy, nie wróci ta przeszłość, nigdy nie wrócą ci ludzie, tamte czasy, nigdzie już nie znajdę Romanowa, nigdzie! Bóg łaskaw, ja mam znowu drugi Romanów, ale i piérwszego mi żal, i po piérwszym płaczę.

„Od dzieciństwa, nie wiem jaki szał wrzał w mojéj głowie, nie uwierzycie mi gdy powiem, żem wprzódy pisać począł, nim pisać umiałem: ale to pewna, żem drukowanemi literami składał już jakieś powieści i wiersze. Przyszłość moja objawiała się wyraziście, lecz prócz dobrych babek, reszta familii nielitościwie szydziła z tych dziecęcych wysileń. Równie mnie wówczas zajmował rysunek, do którego taż sama i dziś pozostała namiętność. Tu już, w Romanowie, dzieckiem jeszcze, marzyłem na przemiany o nauce, o sławie, o sztuce, miałem już jakieś przeczucie wszystkiego, przeczucie powołania. Nietyle jednak zajmowała mnie nauka sama, która mi się, przyznam, wydawała dość nudną, nie byłem bardzo pilny, nie miałem pamięci do słów i formuł, ale po lekcyach kradłem książki, aby je czytać. Pamiętam dobrze, jak jeszcze małym chłopięciem drżałem od strachu, czytając romans p. Radcliffe, na ganku ogrodowym, gdzie żywéj duszy nie było, i smutno tylko jodły szumiały. Byłem tak w końcu przejęty, żem musiał uciec do pokojów. Trzeba przyznać, że gdy wszyscy w domu, drogie babki, dziad, wuj, ciotki, wszystko czytało i mówiło o lite-

raturze, wpłynąć to musiało niemało na zachęcenie mnie do niéj. Pewna jednak, że jak siebie zapamiętać mogę, zawsze z tą wrzącą ciekawością do książek i nauki. Nie miałem w początkach innych nauczycieli nad drogie moje babki, aż do lat w których do szkół mnie oddano. Przejście to było ciężkie, okropne, zpod macierzyńskich skrzydeł i pieszczot, pod dozór zimnych ludzi, których nie obchodziłem. Lecz wróćmy jeszcze do tego Romanowa, który dziś jest pustką i ruiną dla mojego serca; pieszczoném dziecięciem biegałem tak wesół, tak przywykły do szczęścia, żem bardzo długo nie pojmował śmierci, a kiedy mi o niéj mówiono najmocniéj w nią nie wierzyłem. Ileżto razy od tego czasu, każdy grób zamykający się z mojemi drogiemi przekonał mnie, iż w śmierć wierzyć potrzeba.

„Późniejsze lata życia, już się zatarły w pamięci: nie wiem dlaczego te piérwsze tak żywo jeszcze przytomne, jakbym wczoraj dopiéro z niemi się rozbratał? Każdy szum drzew, przypomina mi Romanowskie jodły, każdy klekocący bocian, tamtejszych bocianów, i myślę patrząc na lecącego: może on rodem ztamtąd? Każda olcha, przywodzi mi na myśl, stare nad kanałami rosnące. Mój Boże! wszystko minęło; ludzie poszli do niebios, czas mignął się, i nie wróci, jam postarzał. A owe chwile młodości to tylko marzenie dzisiaj, które im daléj odemnie, tém więcéj jaśnieje na tle przeszłości.

„Jak pisać o Romanowie, o tych latach? Nie wiem, i więcéj nie będę. Są rzeczy, których człowiek nie śmié rzucać w oczy światu obojętnemu, boszyderstwa się lęka, gdyby się z nich śmiać odważono, okrutnie czułby na tém. Dość, dość, tych słów kilku, wspomnienia drogich osób i łez, które na papiér upadły. Miałem napisać i wiele, ale nadto czuję straty, abym potrafił na nie narzekać, i słów do elegii dobierać."

Posłuchajmy jak sam opisuje, przy wspomnieniu miasta Biały, piérwsze chwile życia studenckiego.

„Ach! w téj to Białéj, przebyłem ja najlepsze z moich lat dziecinnych, w niéj się moja dusza otworzyła na świat, tu poczułem raz piérwszy chętkę do pisania, i raz piérwszy wziąłem pióro w rękę. Widzicie teraz, dlaczego tak kocham Białę, i szanuję jéj wspomnienie. Wy, którym moje nieustanne pisanie, może się już nieraz sprzykrzyło, niewiele zapewne będziecie wdzięczni miasteczku: ale ja, ja je kocham, ja je szanuję. Mimowolnie w starości czuje każdy przywiązanie jakieś czułe do piérwszéj kochanki (bodaj ta była służącą jego matki) tak ja do tego miejsca, w którym poznałem raz piérwszy rozkosz wylania duszy na papiér, czuję dotąd, coś nakształt tego przywiązania. Plebania Bialska (pod względem powierzchowności) była oryginałem mojéj plebanii w *Panu Walerym*: patrząc na nią ukradkiem z okna sali szkolnéj, opisywałem ją na okładkach seksternu geografii. Cały *Wielki świat małego miasteczka*, osnuty już prawda późniéj daleko, w kilka lat, ale na tle wspomnień o Białéj.

„Biała jestto miasteczko na Podlasiu, położone na trakcie warszawskim z Brześcia Litewskiego, przez Międzyrzec i Siedlce idącym; niegdyś była punktem granicznym między Polską a Litwą, a bodaj czy jéj nawpół linia graniczna nie rozcinała. Leży ona wpośród równin, lasów i błot, ma ruiny zamku Radziwiłłów, kilka klasztorów, kilka kamienic, (których teraz, gdy to piszem znacznie przybyło). Wszystko co zwykle składa stare miasteczko, niegdyś rezydencyonalne możnéj rodziny, potém wyglądające jak futerał od czegoś, pełen pająków, i pajęczyny, gdy ożywiający je dwór i dziedzice możni znikną.

„Pięknie się jeszcze za moich czasów (1825—1827) świecił w Białéj zamek niegdyś obronny, otoczony wałem, na którym rosły stare lipy, naszych przechadzek wieczornych, i śpiewów wesołych świadki i słuchacze. Patrzaliśmy w wyschłe fosy: dumaliśmy o zamczysku na który jedno wejrzenie, dziś mi maluje całą jego przeszłość, i dawniéj jego mury z podaniami domyślonemi, podsłuchanemi, wydumanemi, zaprzątały głowę chciwą dziejów, i wzruszeń, ciekawą powieści, i łaknącą ich jak powszedniego chleba. Ten zamek niegdyś obronny, te wały zarosłe lipami, a wśród nich, w ich wianku pożywniejszego już życia, pałace, oficyny, kaplice, groty, malują i przypominają, i wieki najazdów, wojen, niepokojów, i wieki przemocy arystokracyi tak nieszczęściem silnéj w ostatnich czasach, która drąc się z sobą i ze szlachtą dumnie brząkała o szablę, w niéj tylko widząc kodeks prawa dla siebie, aż póki i szabla i ręka co nią potrząsała, nie upadły w proch na zawsze.

„Cieniste, stare lipy wałów, ileżeście to dziecinnego życia scen widziały, ileśmy to pod waszemi gałęźmi bajek sobie napletli, patrząc w te fosy, w których gdzieniegdzie, stęchła i zielona woda, odzywała się do nas głosem tysiąca żab, ostatnich dziedziców zamkowéj okolicy, najgłośniéj podobno, a pewnie tu najdłużéj panujących.

„Wchodu do zamku strzegła pięćdziesiąt dwu łokciowa wieża (wiem o tém z geometryi praktycznéj) i brama ciemna, w któréj wiwatowe stare armaty jeszcze leżały bez nóg, sparaliżowane i umarłe, zapchane śmieciem i piaskiem. Z téj wieży dzwonił jeszcze ostatni, co przeżył wszystkich w zamku, stary zegar, ale dzwonił niedawnym panom swoim, nie weselu i dostatkom, dzwonił nad głową kajdaniarzy w wieży zamkniętych, dzwonił godziny nędzy, upodlenia, występku, rozpaczy. Mój Boże! myślałem nieraz o tém, gdy godzinę uderzał zimno, równo, jednostajnie, tak jak za dawnych czasów bywało: myślałem jak się pod nim ten czas, który on mierzył tak równo, odmienił. Dawniéj wesela, uczty, biesiady, albo pacierze pobożnéj staréj księżnéj; dziś godziny więźniów, godziny stworzeń głupich, spodlonych, występnych. A wszystko jednakowo! Szczęk łańcuchów tych ludzi, był dla mnie, pomnę, najstraszniejszym dźwiękiem, obawiałem się ich tak bardzo, nie śmiałem spojrzéć na nich, gdy przechodzili ulicą, i uciekałem gdym zbliżających się usłyszał. Zamczyska dziedziniec pusty, zarosły był zielem, zamek pusty także, straszliwie pusty, bo wyjąwszy boczną oficynę, w któréj mieszkał ktoś jeszcze, wydając się tam jak jaskółka pod

dachem, reszta murów była mieszkaniem duchów, bajek, sów i wróbli. Sale stały ogromne, smutne, puste, zawalone potłuczonemi szkłami okien, ledwie dawnego życia ślady pisały się po murach w otłuczonych gipsach, w których lęgły się wróble, w malowanych naddrzwiach. Osobliwością zamku, były dwa żebra wielkoluda (w istocie kości wieloryba) i kocioł duży, w którym jak niosło podanie, Radziwiłł któryś kąpał się w winie, a tym winem potém zapewne, szlachtę sejmikową poił. Był tam i tradycyonalny zwierciadlany niegdyś pokój, w którym miała być téż i podłoga zwierciadlana. Na najwyższém piętrze zamku ile zapamiętam, w murze był niewielki luft, który przez całą jego wysokość, aż do podziemnych schodził sklepień i kończył się studnią. Rzucaliśmy tam kamienie i nastawiali ucha, jak długo obijając się o ściany, padały coraz ciszéj, coraz głębiéj, aż plusnęły w wodę. Były tam i ślady małego teatrzyku, na górném piętrze. W ogrodzie objętym wałami (przestrzeń, którą one otaczały, była wielką), zarosłym zdziczałemi drzewy, chwasty, i kapustą dzisiejszych mieszkańców zamku, była grota z muszli i gipsatur, z któréj tylko to pamiętam, żem w niéj piérwszy raz widział krzyż Śgo Stanisława, trzymany przez aniołów: musiało to być na wieczną pamiątkę kawalerstwa któregoś z ostatnich Radziwiłłów; wróble na tym wiele skorzystały, bo zdaje się, że dla nich, nic w świecie niéma wygodniejszego na gniazda, nad połamane gypsatury, przyczepione do murów, i lubo im świergotać na zwaliskach. Była tam téż wśród kapuścianych grządek fontanna bez wody, kaplica bez nabożeństwa, i słupy bez parkanu, tak jak zamek bez panów i bez duszy. Jedna część zamczyska za moich się czasów obaliła w nocy z ogromnym łoskotem: początek putrefakcyi tego trupa, którego godziny i lata wydziobią i pożrą jak krucy i sępy.

„Czemuż nie mogę znaleźć książeczki, w któréj dzieckiem jeszcze, trawiony gorączką literatury i sztuki, opisałem był sobie, i wyrysowałem po dziecinnemu stare Bialskie zamczysko: byłaby to dla mnie miła pamiątka.

„Mieszkałem u rektora Preissa niedaleko zamku, naprzeciw farnego kościoła, w domu pompatycznie zwanym *akademią* (byłato dawniéj kolonia naukowa) Naprzeciw okien stał murowany słup, dawniéj granica Litwy i Polski. W tymto domu na strychu, piérwszy raz rozmiłowałem się w starych książkach, i jakimże wypadkiem tam leżących!

„Uczeni owego czasu professorowie (wyjmuję z ich liczby Adama Bartoszewicza, który pewnie o tém nie wiedział), otrzymawszy do biblioteki dar wielu książek starych, wybrali nowsze i lepiéj oprawne, a resztę kazali na strych wyrzucić. Chodziłem tam postrzegłszy to, i jakem się bawił przeglądając stare holsztychy, usiłując zrozumiéć, co tam było napisane, w niepojętych jeszcze dla mnie językach. Już wówczas jakiś węzeł sympatyi łączył mnie z księgami: czułem na ich widok to, co czuje młodzieniec, gdy ujrzy przeznaczoną mu od wieku, kochankę. Zdało mi się, żem gdzieś widział to wszystko, żem znał, przypominał sobie, zdało mi się, że gdzieś, kiedyś te książki czytałem, że nie były mi obce, nie były dla mnie nowe; czułem, że nie piérwszą już, kocham je miłością. Goethe byłby powiedział z Lejbnitzem, że duchowna moja monada, szlachetniejsza część mnie, wyszła świeżo z ja-

kiegoś bibliofila, mnie się to zdaje, i zdało prostém tylko przeczuciem przyszłości, które brało na się postać wspomnienia!

„Naprzeciw naszéj akademii, stał, jakem powiedział, kościół farny, nie stary jeszcze, ale czarny i posępny, bo brudny; wpośród cmentarza obmurowanego, otoczonego lipami, na którym jeden tylko kamień grobowy wtyle za kościołem leżał. Czytaliśmy go jeszcze z mchu odzierając: pamiętam że tam były wiersze polskie, że kamień pokrywał doktora, czy aptekarza. W kościele żadnych pamiątek. Ileżto tu odbyło się wesołych festów! biegaliśmy na roraty z papierowemi latarniami, drżąc od zimna i chuchając w skostniałe palce; śpiewaliśmy *Gorzkie żale* po niedzielnych w poście nieszporach; tuśmy stroili ołtarze na *Boże ciało*, to święto tak wesołe, w którém trudno się było modlić inaczéj jak duszą, bo wszyscy tak strojni, bo dzień tak piękny, tak wesoły, tak zielony i kwiecisty! Ileżto znowu widzieliśmy ślubów i wesel! Pamiętam jedno. Szła para do ślubu, a z kościoła szarym mrokiem nieśli trupa na mogiłki. Spotkało się wesele z pogrzebem wpół cmentarza, i poszło swoją drogą wesele, swoją drogą pogrzeb łzy w jednę, nadzieja w drugą stronę. Szeptali wszyscy o złéj przepowiedni, mąż wkrótce potém umarł. I jak było nie uwierzyć w tajemniczą przestrogę losu?

„Od Fary szła droga szeroka, na lewo rzucając zamek, do klasztoru Panien Miłosierdzia, który mi jest pamiętny niejednym smacznym u panny starszéj podwieczorkiem. Idąc tędy na przechadzki przyglądaliśmy się ciekawie sierotkom wesołym, swawolącym z rozwianemi włosami, w białych sukienkach, po ogrodzie klasztoru. W drugą stronę od Fary, wiodła ulica do rynku, w prawo mniejsza, na któréj wielu mieszkało studentów, ku Reformatom i przedmieściu *Woli*. Tu był szpital kościelny, na który patrzałem nieraz z okien akademii, ciekawie śledząc wypadki życia ubogich, którego nie pojmowałem spełna, wyobrażając je sobie poetyczną mieszaniną nędzy i dziwów. Tam daléj ku *Woli*, częstośmy ponad zarosłym trzcinami stawem, chodzili na przechadzki. W lewo stał smutny, posępny jak życie mnisze klasztor, i kościół Reformatów. Idąc rynkiem w miasto, ku końcowi jego ukazywała się dziwaczna struktura kościoła księży Bazylianów, którego architektem był sławny asceta, ksiądz *Szczurowski* fundator nowego jakiegoś żeńskiego zakonu, upadłego podobno.

„Jest jego drukowana *Missya Bialska*; a mimo tych wszystkich dzieł niewątpliwa, że miał coś nakształt spokojnego pomieszania. Dowodzi tego po części i architektura kościoła z mnóstwem galeryjek, galeryj, wschodów, wschodków, nisz, korytarzy i t. d. Nad wielkim ołtarzem złożone ciało błogosławionego Józefata Kuncewicza. W rynku miasta była apteka, kramy drewniane, poczta, traktyer i t. d. Mieszkałem u rektora w staréj owéj akademii, o któréj wspomniałem. Dzień nasz schodził na nauce, zabawach w ogrodzie, trzpiotaniu się, a nareszcie ukradkowych czytaniach książek już pożyczanych, jużto tysiącznemi sposoby łapanych na drodze. W rekracye chodziliśmy na spacery, na wały zamkowe, do ogrodu akademickiego, do *Pohulanki* na Warszawskiéj drodze, rysowaliśmy lub tysiące czynili doświadczeń fizyczno-chemicznych, do których Gabryelek dopomagał nam dostarczając potrzebnych

ingredyencyj. Chemia Śniadeckiego służyła za przewodnika. Nieraz Bóg wié, jakiego stuku i zapachu narobiliśmy naśladując Wezuwiusz w garnuszeczku. A co tam były za ciekawe eksperyencye z fizyki księdza *Nolleta*, z machiną elektryczną i elektroforem własnéj naszéj fabryki: ileśmy luster napsuli do natarcia poduszek, ile opiłków żelaznych i laku. Jeszcze dziś pomnę naszą radość, gdy udało nam się zrobić *arbor diannae*, choć chemią tylko z książkiśmy znali. Tak to nas wszystko bawiło, zajmowało, cieszyło!

„Ze wspomnień Białéj, nic mi mocniéj w pamięci nie zostało, nad częste miasteczka pożary. Raz pomnę, miasto zaczęło się palić w nocy, zbudził nas głucho odzywający się dzwon Reformatów; porwaliśmy się z łóżek i patrzéć wybiegli. Płomienie świeciły w rynku, czerwony dym podnosił się na czarném niebie, i czerwono malowała się w oddali oświecona łuną, facyata prosta kościoła Reformatów, z któréj dzwonek ciągle powolnie bił na trwogę. Ludzie biegali, krzyczeli, płakali, inni stali ziewając i patrząc, inni wstawać z łóżek lenili się, dowiedziawszy, że pożar daleko, a wiatr w przeciwną stronę. Trwa tak pożar do rana, a z rana zaczęło się miasteczko palić w dwóch i trzech miejscach. Wiatr zapewnie głownie poroznosił, lecz głucha wieść rozeszła się u ludu, że więźniowie z turmy zamkowéj dobywszy się, podpalają i będą rabować. Cóżto był za przestrach dla nas dzieci! Drugie niemniéj przykre i pamiętne wrażenie zrobiła na mnie śmierć biednéj kobiéty, która nie wiem za co osadzona w więzieniu, okuta w kajdany, z rozpaczy wlazła na topolę nad stawem, i z niéj w wodę skoczywszy, utopiła się. Prowadzono ją cicho, zakrytą, na wozie: widziałem tylko zpod lichego kilimka wystające nogi: lecz historya została mi w pamięci.

„Skończywszy wszystkie klassy w szkole Bialskiéj, z poczętą powieścią, z pełną teką bajek, głową roztrzepaną, marzeniami rozbitą, żądzą widzenia i nauki, jechałem do Lublina. Ale jakaż wówczas była we mnie ta żądza nauki? Połknąć ją chciałem bez pracy; ciężkie nabywanie wiadomości nie podobało mi się, rwałem się do książek, do pisania, czekałem, że tak powiem, aby mi nauka sama przyszła. Małom umiał, przeczuwałem wiele. Droga babka odwoziła mnie do Lublina, nigdy nie zapomnę mojego wstydu. Zbliżaliśmy się do miasta, wieże kościołów już się z za wzgórzów ukazywały, biło mi serce mocno; nowe miejsce, nowi ludzie, nowi towarzysze mnie czekali.

— Powiédz mi Józefie — odezwała się babka — pamiętasz ty co się w tém miejscu stało ważnego, pamiętnego?

„Niestety! napróżno szukałem w głowie, czerwieniłem się, bełkotałem. Unii lubelskiéj przypomnieć sobie nie mogłem. Podpomogła mi babka i zawstydzonemu zaleciła uczyć się lepiéj historyi. Kto wié czy to drobne zdarzenie, nie wpłynęło na zamiłowanie jéj późniejsze, bo pamiętam, że już w Lublinie spisywałem nagrobki stare, i chwytałem, jakie mogłem książki historyczne.

„Lublin po Białéj wydał mi się ogromny, wspaniały, ale pusty, zimny, bo w nim nie było jednéj twarzy znajoméj, jednego przyjaciela: a choć młodzieńcze przyjaźni łatwo się zawiązują, początki poznania się, są w pe-

wien sposób przykre. Trzeba przejść nowicyat szyderstwa, wytrzymać próby, nim cię przyjmą towarzysze. Stanąłem u professora O... na biedę professora matematyki, do któréj nigdy wielkiego nie miałem nabożeństwa. Cóż jednak robić gdy gwałtem wciskają ci ją do głowy? Musiałem codzień rozwiązywać zadania professora, mozolić się nad algebrą i geometryą, choć mi one nic nie mówiły; i obiecywałem sobie porzucić je, jak tylko mi wolno będzie, pokłonić się im, i pożegnać. Tymczasem książki których łatwiéj dostać było można, pocieszały po suchych zadaniach. Książki te bez żadnego wyboru chwytane, rozprzęgające wyobraźnią, zapalające ją, często szkodliwe, tyle tylko na mnie wpływały, żem coraz jaśniéj widział, iż pisać muszę. Pisałem więc bez odetchnienia gryzmoląc, a niebardzo pilnie się ucząc. Z niepojętą też ciekawością biegałem po starym Lublinie. Pamiętam jak na Farnym kościele zewnątrz znajdujący się dawny, wpół zatarty, zrysowałem napis. Byłato piérwsza antykwaryuszowska próbka; a professor znalazłszy ją, jakkolwiek matematyk, nie wziął mi jéj za grzech wcale.

„Lublin więcéj ożywiony, mniéj zrujnowany, nietyle przemawiał starożytnością swoją do mnie. W nim pamiątek szukać nie można było, wszystkie pokryła pobiała, i potynkowali odnawiacze. Zamek, pamiętny nauczycielstwem Długosza, tylą wojnami, najazdami, począwszy od Mindowsa i Lubarta, świeżo w nowo-gotyckim szkaradnym smaku wyrestaurowany, stał się więzieniem. Jakże w nim, patrząc na żółte ściany, myśléć było można o ubiegłych wiekach? Dziejów Lublina, już w księgach tylko szukać było potrzeba. Kościół Farny założony wedle tradycyi przez Leszka Czarnego podobno, najposępniejszą i najbardziéj przemawiającą miał powierzchowność. On jeden, i kilka pustych po przedmieściach rozrzuconych przypomniało, że tu dawniéj kilkadziesiąt ich liczono. Inne w nowe się ubrały sukienki, i zaparły swéj dawności, którą bielidłem i fryzurą pokryć usiłowały. Lublin z łaski architektów wyglądał za moich czasów, jak stara kobiéta w nowych, nie do jéj wieku sukienkach, które nie pokrywając lat, czyniły ją tylko śmieszną. Chodziliśmy na nabożeństwo do kościoła Dominikanów, w którém podpisana została sławna *unia*, i stół podobno ukazywano, gdzie ten akt obu państw reprezentanci podpisami stwierdzili. Prócz tego obszerny, ale niepiękny, i niesmaczny z pozoru kościół Dominikański, zalecał się relikwią wielkiéj części drzewa Krzyża Świętego. Kilka w nim jeszcze przypominam sobie obrazów, zapewne krajowych malarzy, bo wyobrażających w polskich ubiorach osoby i całe sceny z legend miejscowych. Ale tuż obok szkół, które mieściły się w dawném jezuickiém kollegium, stał opuszczony kościół Jezuitów, będący jakiś czas magazynem wojskowym; a potém poczęty restaurować w smaku gotyckim najnieszczęśliwiéj. W kościele tym widziałem piérwsze piękne, i bardzo piękne freski. Zwrócili na nie uwagę moję przejeżdżający pan C. i książę J. W., z którymi razem oglądałem je po raz piérwszy. Pan C., który widział Włochy, był amatorem i znawcą sztuki, unosił się nad ich pięknością. I mnie téż otworzyły się oczy, zabiło serce, na widok tego gmachu tak pięknie,

smakownie, z takiém bogactwem wymysłów i wdziękiem kolorytu ozdobionego. Malowania bowiem w niższéj części tylko, nadwerężone niewiele, w wyższych mimo obojętności na nie, siły czasu, i niszczycieli, całe i świeże pozostały. Nie mogę sobie przypomnieć imienia malarza, które jednak czytałem zapisane, z prawéj strony drzwi kościelnych wewnątrz. Dokończono malowanie około połowy XVIII wieku. Przypominam jeszcze zakrystye dwie, z których jedna wyobrażała na sklepieniu wybornie narysowane postacie lecących aniołów i świętych: druga kształtu owalnego, zastanawiała akustycznym fenomenem. Stojący w dwóch przeciwnych ogniskach, mówiąc po cichu, słyszeli się dobrze, gdy wpośród będących, głos ich ledwie niewyraźnie dochodził. Miejscowe podanie nieprzyjazne Jezuitom, niosło, że w dwóch tych miejscach, ustawione były konfessyonały. Niedaleko kościoła stał pałac biskupi i klasztor Brygitek, a podszedłszy ulicą w miasto czerniał jeszcze, późniéj rozrzucony, dla uczynienia miejsca publicznemu ogrodowi, kościół Śgo Ducha. Dwie bramy wznosiły się jeszcze poważnie za owych czasów w Lublinie, jedyne, niezepsute pamiątki dawniejsze. Jedna żydowska przy wejściu z żydowskiego miasta na ulicę Grodzką, gdyż żydzi osobną i tu jak gdzieindziéj wyznaczoną sobie mieli część na mieszkanie; druga Krakowska, na Krakowskiém-Przedmieściu. Ta ostatnia większa, ile pamiętam, i powierzchowności więcéj zajmującéj. Stary gmach sądów trybunalskich, milczący już, pusty i osierocony z gwarnéj palestry, stał jeszcze obiecując długie lata, tak wyglądał czerstwo i zdrowo.

„Od Krakowskiéj bramy, daléj poczynało się świéże, wytworne, czyste miasto, wytynkowane, pomalowane kamieniczki, w których dolne mieszkania zajmowały sklepy. Niemi wysadzoną była droga do kościoła Kapucynów, gmachu Kommissyi Rządowéj, i pomnika *unii* nowo wystawionego. Wszystko w téj stronie nosiło cechy młodości, niczém się stary gród nie przypominał. Za to zstąpiwszy z Grockiéj ulicy w miasto żydowskie i przedmieścia, postrzegałeś stare domy, brudów do sytości, i gdzieniegdzie na wzgórzu, z czarnemi oknami, z przyświecającym się dachem, z pochylonym krzyżem, kościół konający bez modlitwy, opuszczony, spustoszały. Takich kościołów kilka pamiętam. Przedmieście *Winiary* zwane, sławne było lochami wykutemi w kamieniu piaskowym, (z jakiego tu i domy budują) i win węgierskich składem. Za miastem ciągnęły się wzgórza, po których swawolni wypuszczeni na geometryczne rozmiary, biegaliśmy niewiele myśląc o stoliku, dyoptrze, i łańcuchu.

„W ogólności rok jeden przebyty w Lublinie, nie zostawił mi miłych wspomnień, a zakończenie tragiczne jego, odmówieniem nagrody do któréj zdawało mi się, żem miał prawo, do reszty mnie zraziło. Wśród czytania imion uczniów wybranych, rzuciłem książkami i sexternami o podłogę, i oddaliłem się z sali. Ale dziś widzę, że słusznie bardzo zaprzeczono mi naówczas pochwały. Jako uczeń, nigdym się nie mógł odznaczyć. Więcéj może naówczas umiałem od innych towarzyszów, bo w ciągu tego roku skorzystałem, sam przez się czytaniem książek; ale gdzie było potrzeba nauczyć

się czegoś na pamięć, wypowiedzieć pensum słowo w słowo, nigdym się nie mógł odznaczyć. Pamięć moja skrzętnie chowając nazwiska i daty pojedyncze, fakta, wypadki, nie mogła się nakłonić do przyjęcia jednéj seciny wierszy, pół kartki prozy. Ztąd najłatwiéj mogąc napisać zadanie, dość mając językowéj wprawy, nigdy nie uchodziłem za dobrego ucznia, bo żadnéj lekcyi słowo w słowo nauczyć się nie potrafiłem. Dziś gdy to piszę, z swoich własnych nawet robót, dziesięciu wierszy nie umiem na pamięć."

Jakkolwiek tylko rok Kraszewski przebył w Lublinie, tym starym trybunalskim grodzie, żywo mu on utkwił w pamięci, jak tego mamy dowód z wstępu do powieści *Maleparta*, i innych pism jego. Z Lublina, z powodu, że rodzicom zręczniéj było miéć starszego syna przy sobie, na dokończenie szkół pojechał do gimnazyum w *Świsłoczy* (w Grodzieńskiém), i tu w nauczycielu *Walickim*, znalazł znowu przewodnika, jakich mało. *Walicki* zwrócił uwagę jego na język, i na dzieje; światłemu professorowi temu winien, że zawczasu czytanie poważniejsze, i badanie źródeł zamiłował.

Sam Kraszewski szczegółowo opisał swój pobyt w *Świsłoczy*: przywiedziem go tu, w tém przekonaniu, że gdy z taką chciwością czytamy anegdotki o francuzkich pisarzach, nie obojętną będzie dla nas rzeczą, wiadomość jak kształcił się naukowo, ten, który tak znakomite i podniosłe stanowisko zajął w dziejach literatury krajowéj.

„Spokojne życie w Świsłoczy, gdzie trzeba się koniecznie było zająć nauką, choćby dlatego, że czém inném nie było, i mnie, i wielu innych zapewne zmusiło do oddania się namiętnego książkom, pracy. W młodym wieku, przy czynniejszym umysle, jak tylko niéma nic, coby oderwać mogło, coby nęciło jakim powabem, rzucić się musimy do nauki, potrzebując za warunek do życia, zajęcia, któreby siły nasze wyczerpywało. Dlatego miasteczka takie jak Świsłocz, podobniejsze wsi, ustronne, spokojne, najlepsze są dla młodzieży. W nich uczyć się potrzeba koniecznie, lub z nudy umrzéć; i młodzi téż się uczą. W większych miastach, umysł się zapala widokiem żywego, działającego świata, życia; tu wszyscy otaczający oddychają nauką, przypominają tylko wszystko, a nic od niéj nie odrywa. To pewna, żem ja więcéj się nauczył w czasie krótkiego pobytu w Świsłoczy, niż przeszłych lat po innych szkołach. Zaraz w początkach nauczyłem się języka rossyjskiego, którego wcale nie znałem. Wprędce obeznałem się z nim, i piérwszym tego dowodem, było tłumaczenie rozmowy *Karamzina* o szczęściu, które mi otworzyło wstęp do klass wyższych.

„Następnie wziąłem się szczerze do innych języków, mianowicie łacińskiego i greckiego. Nigdy was nie zapomnę paradoxa Cyceronowe, na których sił moich probowałem. I tych nocy bezsennych, spędzonych z Adamem u jednego stolika nad tłumaczeniem w togi poubieranych frazesów Tulliuszowych! I téj mianowicie nocy ostatniéj, nocy majowéj, którąśmy heroicznie przesiedzieli oba z książką w ręku, choć oczy nam się kleiły, a po ukończeniu, biegliśmy kąpać się w rzece! A nigdy Cyceronowe paradoxa, tak zimne nam się nie wydały, jak woda rzeczki przed wschodem słońca, z któréj dzwo-

niąc zębami, wyskoczyliśmy, wracając do zimnéj kąpieli w łacinie. I nie myślcie, że tłumaczenia te, na które noce nam schodziły były zadaniem szkolném; — nie, samiśmy je sobie zadali.

— Pomnisz ty to jeszcze Adamie?

„Ja wszystko pamiętam, jednéj zda się chwili nie straciłem z téj przeszłości, którą mi miło wspomnieć dziś jeszcze. Pamiętam i ciebie łagodny, uczony professorze *Walicki*, któryś mnie na drogę filologicznéj nad językiem pracy, zastanowienia wprowadził, któryś podał myśl téj historyi języka polskiego, leżącéj po dziś dzień w tece, czekającéj rozpalonego kominka. Pamiętam zdrowe twoje rady, serdeczne przywiązanie do mowy, któréj czystości broniłeś, którąś chciał nieskażoną wlać w usta uczniom twoim. I twe uszanowanie dla Kopczyńskiego, i twój wstręt do wyrazu *przedstawiam*, barbarzyńskiego, naturze języka wbrew przeciwnego. Trzebaby też być niewdzięcznym, żeby takich rzeczy nie pamiętać.

„Zaczęte w *Białéj* jeszcze powieści, porzuciłem już, porzuciłem poezye, wziąłem się do języków, a w szczególności języka swojego. Zaszczepiona chęć zgłębienia jego zasad, natury przeszłości, pozostała na długo w umyśle. Pod wpływem to nauczyciela, którego nie miałem już w Wilnie, począłem zbierać materyały do dziejów języka, chronologiczne wypisy z dzieł; wreszcie układać *glossarium*. To ostatnie dzieło, którego bez wątpienia nigdy nie dokonam, mogłoby być użyteczném. W niém miały się zawrzéć wyrazy wyszłe zupełnie z użycia, z objaśnieniem kiedy były używane, w jakiém znaczeniu, i kiedy je zarzucono; wyrazy, które zmieniły znaczenie na inne, jakich jest bardzo wiele i t. p. Wyciągi z Lindego stały się podstawą glossarium, ale przybyło do nich z czytania mnóstwo wyrazów, wiele znaczeń.

„W tém cichém i spokojném miasteczku przebytych lat dwa, pomimo kilku nieprzyjemnych wspomnień, wpłynęły zapewne na moję przyszłość. Więcéj tu pracowałem niż kiedykolwiek: ale zmieniłem kierunek. W *Białéj* bawiliśmy się więcéj niż uczyli fizyką i chemią; w Lublinie męczyłem się matematyką; w Świsłoczy właściwie wziąłem się do języka i literatury. Tu czytałem Górnickiego, Reja, Kochanowskiego, świéżo wydanych w Warszawie, w małéj, taniéj edycyi. Prócz tego jakie mi wpadły pod rękę książki, jakich od Walickiego dostać mogłem, i z niewielkiéj półki pana Hołówki zarwałem, czytałem wszystkie. Trzy, czy cztery razy Moliere wpadał mi w ręce, zawszem się nim jak nową znajomością cieszył. Nie kończyłem już powieści moich, bo pisałem obszerną rozprawę o przysłowiach, zbierałem wypisy z autorów XVI wieku; prócz tego ślęczałem nad łaciną, uczyłem się słowiańskiego, i ruskiego języka. Wypadło zdjąć plan szkolnego gmachu, i to mnie, jako lepiéj rysującemu polecono: o ile sobie przypomnieć mogę, niebardzo mi się udała architektura, chociaż ją nauczyciele z zadowoleniem przyjęli. Obok tych zatrudnień szły jeszcze lekcye muzyki, ale powolnie, nudnie, a podobno bezkorzystnie. Nie mając w domu fortepianu, czego się było można nauczyć z dwóch czy trzech w tygodniu lekcyj.

„Tak w mgnieniu oka, dwa te lata przebiegły, przeleciały. Ze starych szkolnych przyjaźni, nie pozostała mi żadna; towarzysze rozbiegli się po białym świecie, każdy w swoję stronę pędząc za szczęściem, za niedolą! Jednego tylko z moich nauczycieli Walickiego, widziałem potém raz jeszcze.

„Ze wspomnień wypadkowych, nie przychodzą mi na pamięć inne nad pogrzeb rektora, na którym miałem mowę wśród paroxyzmu febry: zapewne z wielkiém boleści uczuciem wyrzeczoną, bo głowa pękała, i gorączka mnie właśnie trzymała w objęciach swoich. Dwie nagrody, i patent (świadectwo maturitatis) otrzymałem. Teraz miałem jechać do uniwersytetu; zdawało mi się, żem był poważnym człowiekiem, ręka napiérała się pióra, które późniéj tylu mi wytrącić chciało, i teraz jeszcze usiłują; głowa paliła się nadziejami przyszłości, nigdy się niemającemi ziścić. Wyjeżdżałem ze Świsłoczy modląc się do aniołów stróżów, którzy mnie mieli prowadzić po świecie.

„Straszna burza z piorunami napadła mnie na wyjezdnem do Wilna. Byłażto przepowiednia burzy, w któréj szwankować miałem i cierpiéć tyle?"

Zakończa tu Kraszewski wspomnienia swoich lat dziecinnych, i młodzieńczych (1), kronikę, że tak powiem obrazową, dla nas wielce zajmującą, bo widocznie odsłania, jak się ten potężny talent wyrabiał i kształcił.

Idąc za wolą ojca, zamierzył kończyć nauki w uniwersytecie wileńskim. Byłoto w roku 1829. Obrawszy sobie oddział literacki, rozpoczął studya które przerwały wypadki ówczesne, i po długim mimowolnym pobycie w Wilnie, w roku 1832 powrócił dopiéro do domu rodziców.

Pobyt w Wilnie już powołanie jego do literatury rozwinął zupełnie, i piérwsze powiastki jego w tym czasie wyszły, a rękopisma nowych przygotowywały się na wsi. Przyjęcie jakiego doświadczył, nie było zachęcające, ale między innemi przymiotami naszego pisarza, jest wytrwałość.

Zaczęta w roku 1830 historya języka polskiego, która nigdy nie wyszła z druku, podała myśl Kraszewskiemu ubiegania się o katedrę (lektoryą) języka polskiego w uniwersytecie Śgo Włodzimierza w Kijowie. Posłana przezeń w tym przedmiocie rozprawa do konkursu z godłem: „*Sed quid tentare nocebit?*" otrzymała piérwszeństwo, i mianowany lektorem, dla szczególnych późniéj okoliczności, i zawieszenia katedry objąć jéj nie mógł.

W roku 1835 z przyjacielem dawnym ojca swego udawszy się na Wołyń, dla poznania własnego kraju, tu związawszy stosunki ściślejsze, winien im był, że się w tę stronę zupełnie przeniósł, i zamieszkał. W roku 1836 wziąwszy w dzierżawę wieś *Omelno* od hr. Krasickich, lat trzy tutaj przesiedział. W tym przeciągu czasu od roku 1835, przypada najgorliwsze Kraszewskiego do *Tygodnika Petersburgskiego* współpracownictwo, i wiele wydanych pism, między któremi *Poezye, Szatan i Kobiéta, Wędrówki literackie, Ulana*, i późniéj nieco *Witolorauda* napisane w Omelnem (A).

(1) Obrazy z życia i podróży. Wilno 1842 r. dwa tomy.

W roku 1838 dnia 11 czerwca zaślubił *Zofię Woronicz*, synowicę ś. p. Jana Pawła Woronicza, z nią naprzód w Omelnem zamieszkując, potém w nabytym na dziedzictwo majątku *Gródku*, dokąd się w roku 1840 przeniósł. Nieprzestając pracować, a dzieląc czas między gospodarstwo, rysunek, czytanie, rzadko wychylał się z domu, nie widząc potrzeby innych uciech, nad te, które go otaczały. Piękny ogród, położenie miejsca zachwycające, spokój domowy, i praca, uprzyjemniały życie.

Największą część pism tu w Gródku ułożył i napisał Kraszewski. Ztąd odbył pełną miłych wspomnień podróż do Odessy i Bessarabii i drugą do Warszawy (B).

W podróży swéj do Odessy mianowany członkiem tamtejszego towarzystwa starożytników; wkrótce potém podobnyż dyplom otrzymał od Towarzystwa starożytności północnych z Kopenhagi, a w roku 1848 dyplom na członka towarzystwa naukowego krakowskiego.

W życiu Kraszewskiego niéma wypadków, dzień dniowi podobny, równie zajęte wszystkie. Dadajmy, że od r. 1842 wiele godzin poświęcił rysowaniu i malarstwu, które namiętnie lubi: fortepian jest tylko wieczorną zabawką. Oprócz niewielkiego zbioru rozmaitych starożytności krajowych, zebrał znaczny, bo kilka tysięcy sztuk wynoszący zbiór rycin i rysunków krajowych, i piękną kollekcyą obrazów do stu sztuk wynoszącą.

Wyliczymy teraz poczet dzieł Kraszewskiego, chronologicznie, jak były wydane.

W r. 1831. — Pan Walery, powieść z XIX wieku, przez K. F. Pasternaka. Wilno. 18-ka. Tom I.

W r. 1832. — Wielki świat małego miasteczka. Powiastka K. F. Pasternaka. 18-ka. Wilno. Tomów 2.

W r. 1833. — Kościół Święto-Michalski w Wilnie. Obraz historyczny z piérwszéj połowy XVII wieku. Wilno. 12-ka. Tomów 2.

W tymże roku. — Rok ostatni panowania Zygmunta III. Obraz historyczny przez J. I. Kraszewskiego. Wilno. 12-ka. Tomów 2.

W tymże roku. — Pan Karol, powieść fantastyczna. Wilno. 12-ka. T. 2. (Drugie wydanie poprawne wyszło w Wilnie r. 1841, w jednym tomie, 8-ka).

W r. 1834. — Cztery wesela, szkic fantastyczny. Wilno. 12-ka. Tom. 2. (Drugie wydanie poprawne. Wilno 1841, 8-ka. Tomów 2).

W tymże roku. — Improwizacye dla moich przyjaciół, książeczka do zapalania fajek. Wilno. 8-ka. (Drugie wydanie poprawne wyszło 1844 r. w Wilnie, 16-ka).

Jak ocenił sam Kraszewski te piérwsze swoje utwory, widzimy to w Wędrówkach literackich. (Wilno 1838 r. Tom 1, str. 113).

„Byłem bardzo młody, i nadto młody, kiedym zaczął pisać. Wyobraziłem sobie dziecinnie, że dość jest chcieć, żeby zrobić dobrze; wyobraziłem sobie, że przeczułem świat i ludzi, bo znać ich nie mogłem: pisałem więc; z początku mi odradzano, potém śmiać się zaczęto. I w istocie było z czego.

„*Pan Walery*, którego drukowałem pod obcém nazwiskiem śmieszném (1), (które mi Bóg wié wiele przykrości zrobiło), Pan Walery jest nieforemną rapsodyą, w któréj chciałem gwałtem mieć dowcip, a w istocie napakowałem tylko frazesów.

„Potém nastąpił zawsze p. Pasternaka (nie przezemnie) pisany *Wielki świat małego miasteczka*, pisemko trochę zgrabniejsze pod względem układu, bez myśli jednakże, z najgłupszém jak być może rozwiązaniem, w którém imaginacya wyraźnie jest torturowaną, żeby coś urodzić, i rodzi tylko słabe bardzo kopie. Nie dziwno mi wcale, że znaleźli się tacy, którzy chwalili tę książeczkę w jakiéjś gazecie: interes księgarza wymagał tego.

„Potém, już niby mocniejszy, śmielszy, odważyłem się na *Kościół Święto-Michalski*, w wielu miejscach fałszywy, co do badań historycznych o Wilnie, lepszy co do wykonania, ale równie bez planu zupełnego, jak poprzednie próby.

„Po *Kościele*, spadłem na drugi gorszy daleko obraz historyczny, nudny i źle pisany (2), a pisany daleko wprzód od *Kościoła*, chociaż drukowany późniéj. Będę sobie miał długo do wyrzucenia żem go drukował; na co się to zdało, kiedy nie zabawne, i nie nauczające?

„*Pan Karol*, wystąpił po tém wszystkiém; ułożyłem go, napisałem, przepisałem we trzy tygodnie, wśród których inne jeszcze miałem zatrudnienia, tak mało wypracowany, chociaż więcéj ma ciągu i myśli, chociaż żywiéj interesuje, choć będzie się wielu osobom zdawał wcale oryginalnym, plan jego jednak tak jest już stary, jak wszystkie Don-Juany. A przytém wyrzucano mi nadto gruby, często nieprzystojny sposób obrabiania rzeczy, któreby się grzeczniéj i przystojniéj powiedzieć dały. Nie przyjmuję tego zarzutu co do rozmów, bo te dla naturalności, musiały być w całéj swojéj naiwności wypisane; ale co do opisów. Zresztą charatery są przesadzone i nie nowe.

„*Cztery wesela* jakkolwiek nie wypracowane, lepsze są pewno od wszystkiego, co je poprzedziło, przynajmniéj w moich oczach, i nie jestto uprzedzenie autorskie, wszak mówię com zrobił złego. Zresztą daję moje zdanie, nie jako dobre, ale jako moje. W *Czterech weselach* mniéj jest przesady, dosyć ciągu, i wiele życia. Nie bez tego jednak, żeby i w nich wiele do krytyki i śmiechu nie było. A naprzód co znaczy zemsta pana Hilarego, jego obejście się z piérwszą i drugą żoną? potém Adolf nie jestże za nadto głupi i słaby? a Julia nadto niecnotliwa? Pan Alexy nie jestże karykaturą?

„*Improwizacye*, pisane odrazu bez poprawek do druku, tém są złe, że są niepoprawne, że ton panujący w nich, jak w *Panu Karolu* wielu osobom słusznie za nadto grubym się zdaje. Artykuł o *osłach* jest nieznaczący, o djabłach niekompletny, o gryczanéj kaszy bez sensu, niepotrzebna jest fantazya niedokończenia ostatniego artykułu o pannie Chorążance.

„Ach! zawołają czytelnicy, czemużeś sobie tych uwag przed drukowaniem nie zrobił, czemuś nie poprawił, nie wygładził, nie okrzesał?

(1) Kleofasa Pasternaka.

(2) Rok ostatni panowania Zygmunta III.

„O! moi mili panowie, gdyby to warto było tyle pracy, pewnobym jéj nie odmówił. Dawniéj strojono pieczyste w pióra ptaków i kwiatki, dziś go nie stroją, a i dawniéj, i dziś, dobre pieczyste jedzą, a złego nie chcą, chyba głodni."

* * *

W r. 1837. — Dwa a dwa cztery, czyli piekarz i jego rodzina. Powieść. 16-ka. Wilno.

W tymże roku. — Majster Bartłomiéj, powieść fantastyczna. Wilno. 16-ka.

W r. 1839. — Poeta, i świat, powieść. Poznań. 8-ka. Tom 1. Wydanie drugie wyszło w Wilnie we dwóch tomach. 8-ka.

Powieść tę na język rossyjski przełożył Polewoj (1); na francuzki Alex. de Noirville i wydał w Paryżu; na niemiecki W. Constant. Lipsk 1846 r.

W r. 1838—40. — Wędrówki literackie fantastyczne i historyczne. Wilno. 8-ka. Tomów 3.

(Ustęp z trzeciego tomu *Maciek* i *Maciuś*, przełożony został na język rossyjski).

W r. 1840. — Mistrz Twardowski. Powieść z podań gminnych. Wilno. Tomów 2. 8-ka. (Tłumaczony na rossyjski język p. Pobiedonoscowa).

W r. 1841. — Całe życie biédna, powieść. Wilno. 8-ka.

(Przełożona na rossyjskie przez Pollewoja).

W tymże roku. — Historya o bladéj dziewczynie zpod Ostréj-Bramy. Powieść. Wilno. 8-ka.

W tymże roku. — Ostatnia z książąt Słuckich. Kronika z czasów Zygmunta III. Tomów 3. 8-ka. (Z trzema rycinami samego Kraszewskiego).

W tymże roku. — Stańczykowa kronika od r. 1593 do 1598. Powieść. Wilno. 8-ka.

W tymże roku. — Szatan i kobiéta, fantazya dramatyczna w XI nocach. Wilno. 8-ka (wierszem).

W r. 1842. — Obrazy z życia i podróży. Wilno. Tomów 2. 8-ka, (z trzema samego autora rycinami).

W r. 1840—42. — Wilno od początków jego do r. 1750, ozdobione 20 rycinami i portretami. Wilno. 8-ka. Tomów 4.

(Poprzednio był wydany tom piérwszy; Kraszewski cofnął go z obiegu księgarskiego, i w obszernych rozmiarach wydał dzieje starożytnego Grodu litewskiego).

W r. 1842. — Studya literackie. Wilno. 8-ka. Jako dalszy ciąg pomienionego dzieła wyszły:

W r. 1843. — Nowe studya literackie. Warszawa. Tomów 2. 8-ka.

W tymże roku. — Poezye, wydanie drugie poprawne i znacznie pomnożone). Warszawa. Tomów 2.

(1) Hr. Alexander Przezdziecki miał wydać w przekładzie francuzkim powyższą powieść, z listem do W. Hugo, i poglądem na literaturę polską. (Przegląd Naukowy).

W tymże roku. — Powieść składana, (pisana na współkę z Johnem of Dycalp czyli Placydem Jankowskim). Wilno. 8-ka.

W tymże roku. — Pomniki do Historyi obyczajów w Polsce. Warszawa. 12-ka.

W tymże roku. — Latarnia Czarnoksięzka, obrazy naszych czasów. Warszawa. Tomów 4. 8-ka.

W tymże roku. — Powiastki i obrazy historyczne. 8-ka. Wilno.

„ „ Ulana, powieść poleska. Wilno. 8-ka.

„ „ Akta bakińskie, pismo nie peryodyczne, i nie zbiorowe. Książeczka piérwsza. 12-ka. Jako dalszy ciąg:

W r. 1844. — Akta bakińskie, książeczka druga. 12-ka.

W tymże roku. — Tęczyńscy, dramat historyczny. Wilno. 8-ka.

„ „ Latarnia Czarnoksięzka. Oddział drugi. Warszawa. 8-ka. Tomów 4.

W tymże roku. — Maleparta, powieść historyczna z XVIII wieku. Lipsk 1844. 12-ka. Tomów 4.

W r. 1845. — Pod włoskiém niebem. Fantazya. Lipsk. Tom 1. 16-ka.

„ „ Żacy krakowscy w r. 1549. Lwów. 12-ka.

W r. 1846. — Zygmuntowskie czasy. Powieść. Warszawa. 8-ka. Tom. 4.

„ „ Pamiętniki nieznajomego. Powieść. Warszawa. 8-ka.

W r. 1847. — Sfinks. Powieść. Warszawa. Tomów 4. 12-ka.

„ „ Milion posagu. Powieść. Warszawa. Tomów 2. 8-ka.

„ „ Ostap Bondarczuk. Powieść. Wilno. 8-ka.

W r. 1849. — Ostrożnie z ogniem. Powieść. Lwów. 12-ka.

W r. 1840 wydał:

Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy. Wilno, we dwóch tomach (1).

W r. 1845. — Wspomnienia Odessy, Jedyssanu i Budzaku. Wilno. T. 3.

W r. 1842 ogłosił piérwszą część Anafielas: *Witolorauda* pieśń z podań Litwy (pieśń piérwsza). 8-vo.

W r. 1843. Pieśń drugą *Mindows*. Wilno. Nakład i druk J. Zawadzkiego.

W r. 1845. Pieśń trzecia i ostatnia: *Witoldowe boje* (z ryciną na stali przedstawiającą Witolda W. K. L.).

W r. 1846. Witolorauda wyszła w wydaniu drugiém z 50 drzeworytami Wincentego Smokowskiego, i muzyką Stanisława Moniuszko (2).

(1) Drugie wydanie tego dzieła zaczęło się już w Paryżu, z drzeworytami z rysunków autora, illustrowane i rycinami staraniem J. K. Wilczyńskiego. Wyjść ma w r. b.

(2) Wydanie tych trzech pieśni należy do okazałych, i przynoszą zaszczyt drukarni J. Zawadzkiego w Wilnie, bo w niczém nietylko nie ustępują zagranicznym, ale je przewyższają. W odbiciu tylko drzeworytów znakomitego naszego artysty W. Smokowskiego zarzucić musimy nieumiejętność pressera. W tym względzie odbijanie drzeworytów tylko typografia S. Strąbskiego, umiejętnie, artystycznie wykonywa.

Z Witoloraudy Kraszewskiego, kantata Milda, z muzyką St. Moniuszki wyszła po rossyjsku w Petersburgu 1849 r. (8-ka, str. 15) p. W. Benediktowa.

W r. 1847. Litwa. Starożytne dzieje, ustawy, język, wiara, obyczaje, pieśni, przysłowia, podania. Warszawa. 8-ka. Tomów 2. Tom 1, Historya do XIII wieku. Tom 2 pod prassą.

W r. 1848. Budnik. Obrazek (przedruk z Biblioteki Warszawskiéj). Warszawa 1848 r.

Rękopisma będące pod prassą drukarską.

Jaryna: część druga Ostapa Bondarczuka. (Wilno u Zawadzkiego).

Dziwadła, powieść drukująca się częściami w Tygodniku petersburskim wyjdzie odzielnie w 2 tomach (Petersburg).

Tomko Prawdzic. Powieść. Tom 1. Lwów.

Słownik artystów, i *Ikonotheka polska.*

Owóż jest spis dokładny tego ogromu pism Kraszewskiego do 90 tomów wynoszący; dodajmy do tego Atheneum pod jego redakcyą (wyszłych 50 tomów) czynny współudział do wszystkich pism peryodycznych, jakie wychodziły lub dziś istnieją, a słuszny podziw dzielić musimy, i hołd złożyć olbrzymiéj pracy, i wytrwałości naszego pisarza.

Znakomite i podniosłe stanowisko zajął Kraszewski w nowéj epoce literatury polskiéj od 1832 roku. Potężny talent jego w chwilach natchnienia, promieni blaskiem prawdziwego gieniuszu. Różnorodność pism nadaje mu właśnie prawo, do zajęcia w dziejach piśmiennictwa naszego, tego miejsca, jakie zajmował w swoim czasie Krasicki. A gdy kto zapyta, dlaczego nie skupia potęgi swego talentu wyłącznie na jeden przedmiot, ale rozrzuca go hojną dłonią w tak rozmaitych kierunkach; sam Kraszewski wybornie na to odpowiada (1).

„Spytajcie ptaków dlaczego śpiewają, kwiatów dlaczego kwitną, ziemi dlaczego się zieleni, chmur dlaczego płyną, samych siebie dlaczego robicie to, co robicie, a będziecie wiedzieli doskonale, dlaczego ja to piszę."

I zaprawdę, żądać od artysty, aby talent i natchnienie swoje, nie do zamiłowanego przedmiotu kierował, ale nałamywał go do woli, i myśli cudzéj, jest wymaganie tylko nieuków, i takich, którzy pojęcie sztuki na równi z rzemiosłem trzymają.

Różnorodność pism Kraszewskiego, stawia nam silne przeszkody do ocenienia ścisłego jego talentu. Chciawszy to dokonać sumiennie, potrzebaby każdy utwór tego pisarza oddzielnie wziąść pod rozbiór, co zakres naszego pisma przechodzi. W ogólnych przeto zarysach, powiemy słów kilka.

Jako powieścio-pisarz, niewątpliwie stoi Kraszewski najwyżéj: ma tę niepożytą, a wielką zasługę, że on to sam, a nie kto inny, potrafił zająć miejsce francuzkich romansów w salonach, i buduarach wyższego naszego (jak nazywają) świata; że tam zajrzały jego powieści, i chętne znajdują odtąd miejsce, gdzie przed ośmiu, lub dziesięcio laty polskiéj nie ujrzałeś książki. Jeżeli nie wszystkie powieści wytrzymają surowy sąd

(1) Akta bakińskie, książeczka pierwsza. Wilno 1843 r.

krytyki, to każda układem, obudzająca zajęcie nieszykowność całości, cudownemi nagradza ustępami.

Kraszewski w odpoczynkach wieczornych, po pracach ważniejszych, pisze swoje powieści: jestto doba odetchnienia, choć w niéj nie wypuszcza pióra z ręki. Jeżeli wtém chwila natchnienia nadleci, gieniusz zaraz upromienia każdą kartę pisma. Ślady tego wyraźne mamy w ustępach wielu powieści *(Świat i Poeta. Ulana. Pod włoskiém niebem. Budnik)*, i w poezyi (ustępy *Witoloraudy* i *Mindowsa*).

Historyą krajową zbogacił niemało pracami swemi *(Litwa. Wilno)*. Jak równie i do objaśnienia literatury, do jéj dziejów, niemało się przyłożył. *(Studya literackie)*.

Nie taił gorzkiéj prawdy, i miał odwagę wypowiedzieć ją śmiało i otwarcie ziomkom swoim. (Akta bakińskie).

W cudnych obrazach odmalował nam okolice kraju nieznane, *(Wspomnienia Wołynia, Polesia, Litwy. Wspomnienia Odessy)*, i lud wyprowadził na scenę.

Działalność jego wielką w rozbudzeniu życia literackiego nieoceniono zasłużenie, chociaż nietylko współuczestnictwem do wszystkich pism polskich, ale i wytrwałą redakcyą *Athenaeum*, na niepożytą wdzięczność bratnią zasłużył.

Obecnie po sprzedaniu Gródka, mieszka w gubernii wołyńskiéj w *Hubinie*, niedaleko Łucka.

Styczeń 1850 r. *K. Wł. Wójcicki.*

PRZYPISY.

(A) Kraszewski piérwszemi powieściami silne obudził zajęcie. Wielkich zdolności poeta, zbyt młodo zgasły Edmund Wasilewski, w r. 1837 taki nam podał zarys o tym pisarzu:

„Wpośród ciszy umysłowéj, jaka panowała w naszém piśmiennictwie powieściowém, wpośród nawalnego strumienia tłumaczeń i naśladowań w tym rodzaju, strumienia, który chłonął w sobie to wszystko, cokolwiek się na téj drodze oryginalnego pokazało, i mknęło przelotnie, jak odrobina czystego błękitu wśród zachmurzonego słotą nieba; w téj, że tak rzekę, mglistéj jesieni dla powieści i romansów: Kraszewski wystąpił z swoim górującym talentem, i mamy nadzieję, że droga po któréj poszedł, nie zarośnie chwastami, i wyprowadzi nas przecie, choćby przynajmniéj w powieściach, z téj choroby zapatrywania się zawsze na obcych.

„Lecz nim przystąpiny do Kraszewskiego, zobaczmy jakąto była ta cisza umysłowa, o któréj namieniliśmy. Przypatrzmy się na chwilę powieściom i romansom w Polsce, nie sięgając daléj jak do czasu, nim się w niéj Walter-Scott tłumaczony pokazał. W téj całéj minucie czasu, wszystkie gałęzie literatury naszéj były do siebie podobne z tego względu, że wszystkim brakowało głównego żywiołu, tojest oryginalności. I dla téjto właśnie przyczyny, romanse Bernatowicza, Wężyka, i innych, prócz stylu i innych form zewnętrznych, co do ducha swojego mało się czém różnią od siebie. Jaką była poezya przed rokiem 1822, taką była powieść, takim był romans, kopią drugich.

„W ich duchu najprzód zawitała jakaś wygórowana, nie ludzka, nie ziemska, ckliwo-sentymentalna czułość, i ta czułość, używając wyrażenia Kraszewskiego, rozlała się jak zupa rumfordzka po całéj literaturze romansowéj. Reprezentanci jéj były romanse: *Nierozsądne śluby, Julia i Adolf*, i cały kalendarzowy szereg imion obojéj płci, połączonych z sobą literą *i*, i nazwany powieścią lub romansem. Wszystkie te książki wzdychały i płakały, słowem cała ta gałęź literatury, kołysała się wzdychaniem, a przecież mało kto się roześmiał, chociaż niéma nic nudniejszego, jak wzdychanie przy papierowéj kochance.

„W czasie tego wzdychania i ziewania, spojrzał pochmurném okiem na czytelników i autorów polskich, tłumaczony Walter-Scot. I wnet jakby na wrożki skinienie, pojawiły się w Polsce turnieje średniowiecznych rycerzy, karczmy i szynki an-

gielskie stanęły dla czytelników polskich otworem, i bardzo słusznie! dla pokrzepienia sił zwątlonych w nużącéj podróży, od rozdziału do rozdziału. Wróżki, cyganki, i wszystkie mistyczne osoby północnego poety, żeglowały na łopatach z Łyséj-góry, dokąd? zapewne za granicę po wzór do naśladowania. Niejedno udzielne książę polskie (*Władysław Łokietek* Fr. Wężyka), albo tam jaki wojewodzic lub starościc śpiewać zaczęli pod oknami swoich kochanek czułe piosenki, i dlaczegoż nie mieliby śpiewać? Zasady moralności, tak surowo przestrzegane w staréj Polsce, przecież nie wzbraniały jéj obywatelom śpiewać pod oknami swych najulubieńszych jakiéj ody Horacego, lub psalmu Kochanowskiego!

Do tego obrazu dodać nam tylko wypada niestosowność, jakiéj wielu z naszych pisarzy się dopuściło, nadając bohaterom romansów z czasów dawnych, charaktery i wyobrażenia z XVIII lub XIX stulecia, i sposób wyrażania się dziś używany powszechnie, a będziem mieli zupełny obraz naszych romansów narodowo-historycznych, i ogólną formułę na nie, nie bez małych wyjątków jednakże. Nie przeczymy tu jednak, żeby nie miały być dobrze naśladowane, twórcy ich nie kłamali nawet faktów historycznych, nie brakowało im talentu; jedynie tylko nie chcieli lub nie mogli być oryginalnemi pod dwojakim, jak to wyżéj powiedzieliśmy, względem. Im się zdawało jak Niemcewiczowi, który tłumacząc niektóre poezye angielskie, sądził, że uczyni je krajowemi przez to, że zamiast Tamizy lub Twedu, położy Dniestr lub Wisłę. Oni tak sądzić musieli, i to można powiedzieć, było nie ostatnią przyczyną prędkiego przesycenia czytelników.

Ale przestańmy o nich, bo ich wyobrażenia o powieści i sposób ich oddania, słowem wszystko było tak wszechstronne, na tak wiele rozszczepione promieni, że dla powieści każdego zosobna potrzebaby oddzielnego określenia (definicyi), z których żadne nie byłoby prawdziwe, a wszystkie tém do siebie podobne, że nie odpowiadają celowi. Do zrozumienia tylko tego, cośmy dotąd o nich nawiasem powiedzieli, zapatrzmy się na powieść w naszém indywidualném rozumieniu, i na stanowisko, jakie względem takiéj zajął Kraszewski.

Powieść, według nas, czy ona będzie historyczną lub nie, czy polską czy niemiecką, turecką czy jakiegokolwiek innego narodu, w najogólniejszém jéj znaczeniu jest kopią życia ludzkiego, i ta sama jéj istota, ażeby była wierną kopią życia, jest już niejako jéj celem; bo gdyby taką nie była, nikogoby nie mogła zająć. Ale rozmaitém okiem na świat poglądać można, i autor, który patrzy na niego przez pryzma swoich marzeń, jak np. autor Heloizy, będzie poetą, ale nie autorem powieści lub romansu. Pragnienie szczęścia, nieodłączne od natury ludzkiéj prowadzi ludzi do marzeń; marząc robią utopię ze świata i ze wszystkiego, i poznają dopiéro wtedy, że się znajdują na ziemi, gdy im co z świata rzeczywistego (jak się dowcipnie ktoś wyraził) na nos spadnie. Ażeby ich nawrócić, potrzeba wszystkie barwy ich pięknych marzeń, powlec kolorytem rzeczywistości, która w tym razie będzie ironią; potrzeba im rzucić przed oczy obraz świata rzeczywistego, kopię ich własnego życia, powieści Kraszewskiego. Z jego pism widno, że długo także na świat swoich marzeń, spoglądał. Wypadki życia nam nieznane potłukły te tęczowe pryzma, bo Kraszewski przejrzał, rozważném okiem pojrzał w przeszłość swojego narodu, ironiczném okiem w prywatne jego życie obecne, i stał się autorem powieści. W Kraszewskiego powieściach wszystko

jest tak ludzkie, tak zgodne z naszą ziemią, tak naturalne jednem słowem, iż niepodobna nie przyznać mu pierwszeństwa przed jego poprzednikami. z których jedni wisieli między ziemią a niebem wymarzoném, i śniąc tylko ostatniém, nie dotknęli nigdy piérwszéj; a drudzy nie probowali sił swoich, by coś oryginalnego napisać. Kraszewski obrazuje ludzi rzeczywistych, nie wymusza z ich serc innych uczuć, prócz tych które tam natura zaszczepiła; nie tuła się ponad ziemią, bo zapewne czuje tę prawdę, że przyjdzie czas gdy nasze cielesne sukienki rozsypią się, a duch, jak elektryczność do składu ogólnego, spłynie do oceanu przeszłości. Ale dajmy temu pokój, co tam nas czeka za grobem; grób ludziom zawsze stoi na oczach, i pocóż im jeszcze nasuwać obrazy tego zagrobowego życia, życia, gdzie (jak powiada Kraszewski) nie będzie ani panny Karoliny, ani wakształu, ani szampańskiego. W powieściach trzeba być w pewnym względzie materyalistą.

Czas w czasie, jak gienialny malarz, pędzlem życia, ludźmi jak farbami, maluje wielki obraz historyi.

Obraz ten stoi zawsze całkowity i wykończony, ale ludziom potrzeba kopii tego obrazu na papierze, kopii mogącéj im wskazać prawdę, i to będzie historya; kopii mogącéj ich zająć tą prawdą, i to będzie powieść historyczna. W bezgranicznym pasmie czasu, cieką wieki jak namiętności w bezgranicznem w pragnieniach sercu ludzkiém; każdy jak namiętność wypala niezatarte właściwe piętno na twarzy żyjącego w nim człowieka, i tylko gieniusze żyją wcześniéj o jeden wiek, jakby mniéj o jednę namiętność. Powieść więc, którą nazwaliśmy wyżéj kopią życia ludzkiego musi być zmienną jak to życie, musi iść za swoim oryginałem, za duchem wieku. Dlatego to powieści i romanse mogą być tylko względnie piękne i dobre. Ale ta właśnie harmonia między duchem czasu a kopią życia ludzkiego, jest zadaniem autora powieści. Kraszewski rozwiązał to zadanie.

W historycznych powieściach zdają się zmartwychwstawać pod jego piórem postacie przeszłości. Ich usta przemawiają językiem, do którego swojego czasu przywykły. Oczy zapalają się dziwnym dla nas blaskiem, jak zgasłe dawno meteory, na nowo zapalone. Poruszają się w poważnym uroczystym ruchu. Westchnienie wydobywa się z piersi ich, jedno, święte, ku świętemu celowi, który wytknęła natura. Takimi są bohatérowie powieści: *Rok ostatni panowania Zygmunta III* i *Kościół Święto-Michalski w Wilnie*. Kraszewski nie uronił z nich najmniejszego rysu bezpotrzebnie. Gdy nam maluje chorego i niedołężnego Zygmunta, zdaje nam się widzieć dąb wypróchniały, który wznosi jednak majestatyczne i wzniosłe czoło. Nie stracił jeszcze pozoru wielkości, chociaż w nim wszystkie soki życia już wymarły. Dumna i przebiegła Mejeryn, jakby duch jaki niewidzialny, przemawia rozkazami z tego dębu, a każdy zdaje się wierzyć, że to król sam przemawia. Rozpustni Kazanowscy, dumny Radziwiłł, inni, przesuwają się koleją przed naszemi oczami tacy sami, jakich widzieliśmy w marzeniach. Kraszewski nie nudzi jednostajnością opowiadania, nie przenosi i nie stosunkuje wypadków w pewne prawidłowe dawnych powieściarzy następstwo, ani ich wikła z sobą niezręcznie, aby w końcu, bohatérów wyplątanych z tego węzła intrygi poprowadzić do ołtarza lub do grobowca. Zdaje się, że u niego idą wypadki po sobie w takim samym porządku, w jakim szły w przeszłości; wykopiowane dokładnie, powle-

czone draperyą dowcipu i poezyi. A co najwięcéj uderza w jego powieściach, jest ten kontrast wypadków i charakterów osób, jaki wszędzie napotykać można.

W *Panu Karolu*, Kraszewski skupił i uosobił wyobrażenia tych ludzi, którzy za cel swojemu życiu wytknęli rozkosz zmysłową, u których wszelkie zasady moralności są niczém, jeżeli im staną zawadą na drodze. Namiętny, z twarzą mającą jakiś dziwny, ponętny urok dla kobiét, pan Karol bałamuci dwie żony sędziego; niszczy szczęście ubogiéj matki, któréj córkę uwiedzioną rozkoszą szczęścia zadomowego, rzuca w zamęt występku; a idąc ciągle tą drogą, kończy na pustelniczém i odludném życiu swój zawód. Kraszewski w téj powieści pędzlem prawdziwie malarskim, po mistrzowsku odmalował słabość kobiét i przebiegłość lubieżnego mężczyzny; jak przeciwnie w *Czterech weselach* w odwrotnym stosunku ich uważał. Charakter Karola jest prawie ten sam, co charakter Julii w Czterech weselach. Tu znowu kobiéta występuje z wyobrażeniami, które wszystko to co dotąd pomiędzy ludźmi było skromnością i cnotą, umieszczają w rzędzie przesądów i głupstwa, a słaby charakter Adolfa, którego ona odciąga od serca dobréj i kochającéj go małżonki, odpowiada zupełnie słabości kobiét w Panu Karolu.

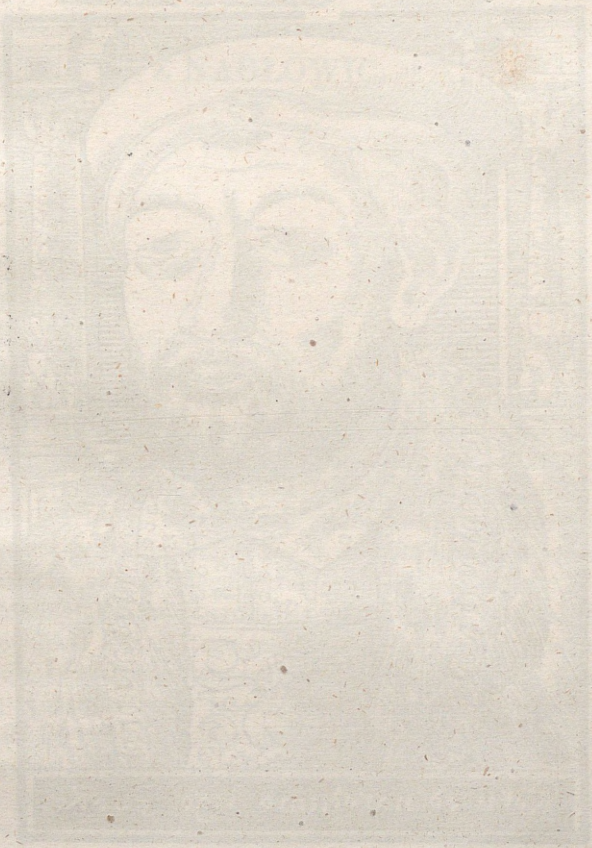
Zdaje się, że w obu tych powieściach, Kraszewski miał na celu uważanie dwustronne mężczyzny i kobiéty, i z całą ironią jaka mu wszędzie towarzyszy, odmalowanie większéj części dzisiejszéj młodzieży; i dopiął go z wielkim talentem.

Charaktery bohaterów powieści Kraszewskiego może niejednemu z czytelników widzieć się przytrafiło, a których może nieraz odgadnąć nie mogli. Przecież bylito ludzie zwyczajni, w których albo egoizm wszystko opacznie umieścił, i oni śmieją się wtedy, gdy płakać potrzeba; albo w eleganckie ramki wysznurowanych ust udaniem oprawili polipa namiętności, krzewiącego się na dnie serca, lub na których obliczu martwe usadowiło się głupstwo, i tym podobni. Kraszewski pojrzał ironią w tych ludzi; jednych rozrzewnił właśnie wtedy, gdy śmiać się mieli, drugim rozsznurował usta, a czoła ich nabiegły wstydem; z letargicznéj twarzy głupstwa, wydobył promienie czucia, bo myśli wydobyć z niéj niepodobna. Z każdéj rzeczy, któréj się dotknął, wydobył jéj ducha i oprawił go w atramentowe ciało, i wykopiował życie tak dokładnie, jakby to była jaka kopia urzędowa, tylko że po niéj powiał poezyą, powlokł kolorytem wdzięku i życia.

Lecz by Kraszewskiego dzieła należycie ocenić, koniecznie je czytać potrzeba i porównywać z dziełami jego poprzedników, od których się we wszystkiém różni. Według nas Kraszewski zrobił epokę w powieści, i dlatego właśnie znajdą się tacy, którym się podobać nie będzie, a tymi będą ci wszyscy, którzy szukają form i prawideł tam, gdzie niéma, ani być mogą, w sercu ludzi i w ich życiu."

(B) Przyjęcie jakiego doznał w Warszawie Kraszewski w r. 1846, musi należéć do miłych wspomnień naszego literata. Au. Wi. w Dzwonie Literackim (T. III str. 229, 1846 r.) uczcił jego pobyt wyborną ramotką p. n. „Józef Ignacy Kraszewski w Warszawie," w któréj rozwinął tyle dowcipu i humoru. Rzecz godna uwagi, że tak umiał ją pokryć i przystroić szatą rzeczywistości, że wielu posądzało jéj autora, o prawdę. Przywiedziem tu z niéj mały ustęp, malujący postać Kraszewskiego.

„Wzrost nizki, budowa szczupła, włosy jasne, oczy modre, spojrzenie żywe i wesołe, na czole myśl widoczna, nos wielki, uszy cudownie maleńkie, usta obdarzone przyjemnym uśmiechem, w ogóle cały wyraz wdzięcznie uprzedzający; trzyma się nieco pochyło, świadectwo ciągłéj pracy piśmienéj, pracy nadzwyczajnéj; liczy obecnie lat 34, wydaje się młodszym. Ubiór miał bardzo przyzwoity, czarny, skromny, bez najmniejszéj oryginalności.





REJ z NAGŁOWIC.

MIKOŁAJ REJ

Z NAGŁOWIC.

Życie Mikołaja Reja opisał przyjaciel jego Andrzéj Trzycieski, pięknie ale niedokładnie. Oprócz innych usterek, popełnił i tę, że czas jego urodzenia mylnie roku 1515 położył, gdyż wcześniéj, bo roku 1507 urodzić się musiał. Umarł r. 1568 lub 1569, sędziwéj nie doczekawszy się starości, z przyczyny złego prowadzenia się w młodym osobliwie wieku; o czém mówią w niczém niepodejrzani świadkowie.

Mikołaj Rej miał pochodzić od sławnych w czeskich dziejach Werszowców. Zdania tego jest p. Jan Prawosław Kaubek. Lubo zaś swoje twierdzenie tém jedynie popiéra, że i Rej miał za herb Okszę; wszelako sama ta okoliczność, że przodkowie Mikołaja nie porodzili się w Polsce, lecz do nas przybyli ze Szlązka (czeskiéj od XIV wieku koronie hołdującego), zdaje się przemawiać za tém mniemaniem. Drobnostka ta jest ważną w zawodzie pisarskim Mikołaja, jak się to wykaże niżéj. Trzycieski mówi: że pochodził z ziemi krakowskiéj, gdzie się przodkowie jego ze Szlązka tu przesiedlili. Za celniejszego przodka daje mu tenże Trzycieski, Nankiera Opolczyka, który z kanonika krakowskiego, biskupem w ówczesnéj stolicy polskiéj obrany został r. 1320. Niewiadomo kiedy Nankierowie w nazwę Rejów przeszli; wiemy atoli, że już na początku XV wieku Jan Rej kanonik krakowski towarzyszył r. 1440 do Litwy Kazimierzowi Jagiellończykowi. Ojciec naszego Reja Stanisław, miał w krakowskiéj ziemi odziedziczoną wieś Nagłowice. Zostawała ta majętność niedawnemi jeszcze czasy w rękach Eufrozyny z Jordanów Kotkowskiéj, ostatniéj z linii

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

Reja następczyni, która Juszyńskiemu (jak to sam mówi przy opisie życia Reja) darowała ważny rękopis, życia sławnego jéj przodka i ówczesnych dziejów dotyczący się. Juszyński zrobiwszy z niego do opisu życia Mikołaja użytek, nie wiadomo gdzie ten rękopis podział. Ojciec Reja opuściwszy krakowską, przeniósł się do ziem Ruskich, mając tamże dzierżawę nadaną sobie od króla, za usługi rycerskie. Tamto w Żorawnie nad Dniestrem, urodził się Mikołaj. Pieścił rodzic synka, nie troszcząc się o dobre jego wychowania, z wielką szkodą ojczystego piśmiennictwa. Bo młody Rej miał wielkie z przyrodzenia do nauk zdolności, lecz ich nie rozwinięto w nim. A tak przez własne tylko kształcenie się, został on znakomitym pisarzem, i stał się z natchnienia filozofem praktycznym, ten, który mógłby wyjść na najświetniejszego swojego wieku gieniusza, gdyby był stosowne odebrał wychowanie. Oddany do szkoły parafialnéj w Szkarmierzu pod Krakowem, (dziś właśnie gimnazya z ówczesnemi parafialnemi szkołami, poniekądby porównać można) później posłany do szkół lwowskich, a następnie umieszczony w uniwersytecie krakowskim, niczego się nie nauczył. Tego w życiu swojém nader ważnego wypadku dotykając Rej, obwiniać się zdaje mistrzów swych, o małe postępy, które w naukach uczynił.

Ówczesny uniwersytet krakowski (sąto jego słowa) darmo tuczył niejednego z nauczycieli swojego grona, którzy zamiast strzedz młodych opiece swéj powierzonych, czas na fraszkach przepędzali, urzędu swego nie pilnując. Tak więc zadziwiać nas nie powinno, co o Reju pisze Trzycieski, że on ze szkół wyszedłszy, małoco, albo raczéj nic nie umiał po łacinie. Chociaż później usilnie się starał przez własną pracę niedostatkowi temu zaradzić, przecież w pismach swoich najoczywistsze zostawił dowody małéj biegłości w naukach.

Rej, stanąwszy raz w sprzeczności z samym sobą, zostawał w niéj przez całe życie, i był niby trzcina, którą w tę lub ową stronę, naginał wiatr dowolnie, mimo oporu, na który się zdobywało giętkie jego ciało. Jakoż dopiéro przy schyłku życia, oparł się umysł Reja burzom namiętności statecznie. Kiedy niczego się w szkołach nie nauczywszy, oddany został na dwór Tęczyńskich, celem przetarcia się w świecie, i gdy tamże obudziła się w nim chęć do nauk, do tego nawet wzniósłszy się stopnia, że rymować począł: kiedy następnie pisząc już gładko, zwrócił na siebie uwagę współwyznawców helweckiego kościoła, którego się trzymał, i namową ich wiedziony, poświęcił się cały pisarskiemu zawodowi; wtedy dopiéro zaczął się uczyć na dobre, lecz nie umiał się uczyć. Stanął więc powtórnie na rozstaju, a obierając drogę po któréjby mógł zajść do celu, zamiast w prawo, poszedł w lewo, zamiast się poświęcić rzymskiéj literaturze, chwycił się łaciny, (1) i tak się jéj uczepił mocno, iż nie chciał już żadną miarą przekonać się o tém, że plewy bierze za złoto, że nie prawdziwemu bóstwu, lecz bałwanowi hołduje. Był

(1) Łaciną nazywam piśmienność nowszą rzymską, czyli tę, która, nie wyszła zpod pióra rzymskich pisarzy. Krótko mówiąc, łaciną jest cokolwiek po Rzymianach pisano w języku łacińskim.

BIBLIOTEKA
Wydział Szkoły Polit. - Wyd.

wszakże jeszcze czas po temu, bo mu jeszcze pora kształcenia się nie przeszła, i Rej, który pisarzem zostawszy, nigdy się od nauk nie uchylał, byłby może przeparł w sobie upór, gdyby go znowu okoliczności odwiódłszy od dobrego, nie były w sprzeczności postawiły z sobą. Okrzyczany przez spółwierców za mędrca (mimo utyskiwań na to świadomszych rzeczy) i temu uwierzywszy, nie dał się niczemu przywieść do tego, ażeby w naukowym celu odwiedził obce kraje, lub własne nawet zwiedził kąty, przypatrzył się rozległéj Polsce, poznał ją lepiéj, nią się przejął, i pojął jéj potrzeby. Zaledwie, że się na przejażdżkę do Litwy zdobył, dokąd go nie żądza poznania kraju, lecz zażyłość, jaką miał z Mikołajem Naruszewiczem, sekretarzem i sprawcą kancelaryi Wielkiego Księstwa Litewskiego (jemu swoję Apokalipsę przypisał), powiodła. Gdzieindziéj wyjechać nie było czasu, lubo się ten znalazł zawsze na zabawy. K'woli nim jeździł na zjazdy, na sejmy, te tylko pełniąc dla kraju posługi, do których go przymus nie wiązał. K'woli nim jeździł na dwór królewski i do pałaców możnych, aczkolwiek mawiał, iż nie ma we zwyczaju wychylać się z domu, gdyż u siebie znajduje, coby go oświecić, coby mu ukochanéj swéj Polsce blizko się przypatrzyć dało. Bo ma podostatkiem ksiąg, ma zawsze przy boku dobraną drużynę, ma czas na zabawę i na pisanie, i umié korzystać z każdéj chwili, dla własnéj i ziomków nauki. I tak też było. Mając z przyrodzenia ponętę do życia zgiełkliwego, otaczał się wielką paniąt i ludzi młodych zgrają, którzy tém chętniéj wieszali się około swego ulubieńca, gdy umiał każdemu trafnie w myśl, będąc (jak się wyraził Trzycieski) człowiekiem zachowałym, dworskim, znajomym wszem, czyli we wszystkich doświadczonym psotach. Zkąd (jak się wyraził tenże) rosła mu sława rozumu u wszystkich stanów ludzi, iż go za wielki skarb mieli sobie wielcy i mali.

Tak czas swój podzielił, iż we dnie (mówi tenże) bawił się towarzystwem i muzyką, a pisywał nocą, wylewając na papier, co mu na myśl przyszło. To znowu postawiło go w sprzeczności z sobą, bo pracując w ten sposób, mając ciągle rozproszone, w różne strony skierowane i rozrzucone myśli, nie mógł się nad rzeczą zastanawiać należycie, nie mógł z namysłem i rozważnie pisać. Przemogło wreszcie lepsze przyrodzenie, i przywiodło go do tego, że z czasem zmienił sposób życia, wziął rozbrat z światem, i zawód swój pisarski na piérwotny tryb skierowawszy, został znowu czém był w młodości, pisarzem przyrody, ludowo-narodowéj literatury utwierdzicielem, przewodnikiem dla młodzieży w nauce obyczajowéj, jakiego samemu pozazdrościł los niegdyś. Porzuciwszy przeto światek który mu za młodu bardzo smakował, stawszy się skromnym, trzeźwym, spokojnym (słowa są Trzycieskiego), porzuciwszy wszystko prócz pisania, przyłożył rękę do ostatniego dzieła, w którém niejako odwołał wszystko, co niegdyś na papier wylał. Trzy lat czasu wystarczyło na zmazanie grzechów które przez dziesięć lat (od roku 1557 w którym Postile swą wykończył) nabroił, których niedawno temu składem uczynił swoje pisma, wielkie z pomysłu, płaskie w wykonaniu. Co albowiem w Po-

styli, co w Zwierzyńcu, roku 1564 powtórnie wydanym, rzekł był o katolickiém duchowieństwie, to odwołując w Żywocie poczciwego człowieka r. 1567 ogłoszonym, z uwielbieniem pisał o biskupach polskich, chwaląc ich za cnoty obywatelskie, że chętnie podejmowali się znosić ofiary dla publicznego dobra, bezpłatnie sprawując urzędy, o własnym koszcie posłując dla rządu u dworów zagranicznych. Wtedyto ów Rej który niegdyś fukiem i hukiem dowodził pracowitość swych zdań, do pięści uciekając się nieraz, każdemu oddawał sprawiedliwość, nikomu (nawet swym spółwiercom) nie pochlebiając (dał tego dowody w Apoftegmatach), i bez względu na zdania, kłaniając się wszystkim, których znał z własnego uważania i z powieści ludzkich, że wiedzą i rozumieją co chrześciańskiemu człowiekowi wiedzieć i rozumieć należy, a co gorliwemu o dobro kraju obywatelowi, który rzeczy przyszłe dla dobra rzeczypospolitéj przepatruje.

Zawód pisarski osobliwego tego człowieka, został okolicznościami pchnięty na tę koléj, na któréj go ujrzymy. Przypadek to bowiem zdarzył, że Rej (spowinowacony będąc z prałatami rzymsko-katolickimi), przystawszy do kościoła helweckiego, został najgorliwszym protestantyzmu głosicielem, że za namową spółwierców zawodowi się pisarskiemu poświęciwszy, stał się z nieuka pisarzem, a pisarzem nie lichym; gdyż dziś nawet, po upływie trzech wieków, ma on znaczenie w naszéj literaturze, a w stylu polskim piérwszéj doby dotąd celuje tak, iż teraz jeszcze do niego zastosować można Trzycieskiego słowa (przy Żywocie poczciwego człowieka): „Rej bowiem, jako mówią, ty sam w Polsce wodzisz, w naszym polskim języku ty sam przodkiem chodzisz." Dziwuje się temu Juszyński, zkąd Rej, ów nieuk, gdy wystąpił z swoją Postilą, pokazał się w niéj uczonym, w pismach ojców świętych obojga kościoła, wielce oczytanym pisarzem, chociaż po łacinie nic albo mało umiał, a przeto czytywać ich nie mógł: i ztąd wnosi, że to nie Rej, lecz jakiś zboru helweckiego minister (1) w Polsce, wydał Postilę pod imieniem jego, tém pewniéj, gdy Jan z Woźnik spółwyznawca Mikołaja, wyrzucał mu publicznie, iż się w tém dziele, niby owa bajeczna kawka, w cudze ustroił piórka. Lecz pominąwszy tę okoliczność, iż gdy od wydania przekładu psalmu (r. 1533) a ukończenia Postili (1557) lat dwadzieścia cztery upłynęło, i gdy w tym przeciągu czasu, mógł się dobrze Rej z łaciną zapoznać, któréj znajomości dawał odtąd wielkie dowody w swych pismach, poetycznéj zwłaszcza treści; to mówię pominąwszy, można właśnie ztąd i z zeznania Jana z Woźnik powziąść to przekonanie, iż sami protestanci w piórka owe ustroiwszy go, do pisarstwa głębszego zaprawili; że z ich namowy został Rej teologiem mimowolnie, i że skoro się raz z obowiązku swojego wywiązał, więcéj się kościelnością zajmować nie chciał; ale w inną skierował się stronę, satyrze i obyczajowosci poświęciwszy się odtąd wyłącznie.

(1) Ksiądz protestancki.

Protestanci wystrychnąwszy Reja na teologa, sobie przez to i polskiéj literaturze usłużyli dobrze. Trafiwszy łatwo do człowieka, w którym czeska, husycka krew wrzała, i rozsiewaczem go swych zrobiwszy myśli, sprawili przez to, iż musiał iść koniecznie taką drogą, na którą był raz wstąpił, że musiał pisywać po polsku, i ażeby tém więcéj zjednać mógł słuchaczów swéj mowie, musiał żyć popularnie, że mimowolnie nawet musiał się stać ludowo-narodowym pisarzem, otwarcie i serdecznie a rubasznie mówić, gdy właśnie szło o to, ażeby trafiał do serca, a przez to zjednywał jak najwięcéj protestanckiéj sprawie zwolenników; że chociażby i chciał, nie mógł zostać naukowym, lecz musiał pozostać natury pisarzem, jak Kato cenzor u Rzymian, jak Jakób Rousseau u Francuzów, pomimo, że się naukami zajmował wielce. Wielkie bowiem ma z niemi podobieństwo Rej, i wielce się różni od nich, co właśnie szczęśliwszemu usposobieniu, jakiém go przyrodzenie obdarzyło, zawdzięcza. I on samemu sobie winien ukształcenie swoje (do czego się wziął nierychło i niezręcznie, bo czasu nie było staranniéj około nauki chodzić); i on zadziwiał głębokością myśli i wzniosłością duszy. Pomimo to jednakże mędrcem nie został, a nie został przez to, że rozum kładąc za główny warunek oświecania się, nie umiał go podsycać; że ciągle uprawiając a nie użyzniając wyjaławiał go, że go zagłuszał chwastem, wyzwalając się z więzów przyzwoitości, a nawet od względów i stosunków, nietylko światowych, lecz i duchownych, wyswobodziwszy się. I on, aczkolwiek nosił na sobie owéj surowości piętno, podobał się naturalną swą prostotą; lecz gdy w najwyższych warstw narodu towarzystwach chętnie widywany bywał, nie musiał jak owi ckliwość sprawiać gburowatością i szorstkością swéj powierzchowności, i wiedział o tém pewno, gdzie i co mówić, i jak się w karbach przyzwoitości zachować należy. Widać z pism Reja, widać z całego Żywota toku, że to nie był ani uprzykrzony zrzęda, jak Kato, ani samowolny utrapieniec jak Rousseau, lecz był człowiekiem czynu i życia, sobie i drugim, o ile siebie i ducha czasu pojął, użyteczny; że jako mąż wytrawionéj myśli, przejrzawszy się na wylot, i przekonawszy o tém, co ma w sobie dobrego, co złego, pojął zawczasu, dokąd i jak potrzeba skierować życia nawę, by naprawić, co zepsuł. Jak Rzymianin i Francuz był i Rej różnolitéj barwy, i jak owi późno się na pole nauk puszczał. W wymowie ich zrównał a przewyższył obrazowością języka, który plastycznie jako teolog, poeta, moralista ukształtował.

Teologią rozpoczął od przekładu pieniów Dawida pojedynczych, z których 113 psalm już roku 1533 wyszedł z druku. Snadź z czasem dopełniwszy przekład, wydał całkowity psalterz wraz z modlitwami, jak zeznaje Trzycieski. Jeszcze przed rokiem 1838 miał się znajdować exemplarz tego dzieła (ze znanych jedyny) w bibliotece gimnazyum toruńskiego, gdzie, jak upewnia, widział go p. Józef Łukaszewicz, a gdzie, zwiedzając tę bibliotekę roku 1844 już go nie znalazłem.

Po Psałterzu wydał Postilę, która raz za jego życia, a po śmierci dwakroć jeszcze wyszła. Mylnie opisał jéj wydania Jocher, co z czasem udowodnię.

Nader się, mówi Trzycieski, spodobało to dzieło owczesnéj publiczności, i ważném stało się w piśmiennictwie przez to, że spowodowało wydanie Postyli katolickiéj, któréj dotąd nie było, i że się stało celem sporów religijnych, które, ale dopiero po jego śmierci, wiedli z Rejem kapłani zgromadzenia Jezusowego.

Trzeciém z porządku dziełem religijnéj treści jest *Apocalipsis* czyli Objawienie ś. Jana, które u Macieja Wierzbięty r. 1564 wydał w ćwiartce. Ponieważ poprzednicy moi (zwłaszcza I. S. Bantkie, który w historyi drukarń krakowskich, pierwszy dał je poznać dokładnie) opisali to dzieło bibliograficznie, a p. Wojcicki w dodatku do drugiego tomu swéj Historyi literatury przedruk jego (lubo nie całkowicie, z opuszczeniem właśnie tego, co się do opisu Polski stosuje) uczynił, zkąd czytelnik może poniekąd obeznać się bliżéj z tém pismem, przeto, nie rozwodząc się nad niém, powiem tylko, iż Rej ułożył to dzieło podług łacińskiego przekładu Apokalipsy, które Henryk Bulinger (urodzony 1504, umarł 1576 r.) teolog szajcarski (Zygmuntowi Augustowi dobrze znany, gdyż z nim listował ten król) zrobił, czyli raczéj, że naśladował w piśmie swojém. Albowiem sam tylko text apokalipsy przełożywszy, opuścił objaśnienie Bulingerowskie, a dodał własne, i zrobił wykład swój w duchu etyki, czyli moralności chrześciańskiéj. Widać z tego dzieła już niejaką odmianę w sposobie myślenia piszącego, aczkolwiek i w niém szydzić z obrzędów kościelnych nie zaniedbał.

Juszyński (w artykule o Reju) liczy do prac naukowych Mikołaja, tak przez siebie nazwane: *Ewangelie* i *Epistoły* bez miejsca i roku, w ósemce, jak mówi, wydane, uważając je za Nowy Testament przez niego przełożony, a uważa dlatego, iż w Postili są ewangelie tak samo co tu przełożone. Przy téj uwadze kładzie p. Jocher II, 370, znak zapytania, powątpiewając snadź o Juszyńskiego twierdzeniu. I słusznie: bo i owszem wcale inny w obudwóch dziełach jest przekład ewangelii, wyjąwszy niektórych wyrazów podobieństwo, co przecież niczego dowodzić nie może.

Wystąpił Rej na polu poezyi świeckiéj z poematem moralnéj treści, którego napis: *Żywot Jozepha z pokolenia żydowskiego, sina Jakóbowego rozdzielonego w rozmowach person.* Aczkolwiek nigdzie nie wymienił się w tém dziele, i sądziłby można, że jeżeli ten, to również i ów Żywot, który wyżéj w poczcie druków pierwotnych pod r. 1530 przywiedliśmy, za pismo Reja poczytaćby można: jednakże, gdy (pominąwszy język) tytuł dzieła podany przez Trzycieskiego raczéj na to, niż owo z r. 1530 pochodzące pismo wskazuje, Żywotem a nie Historyą nazywając go, przeto nie wachamy się przyznać Rejowi za własny poemat ten. Nazwano go słusznie żywotem w rozmowach, gdyż rzeczywiście raczéj dramatycznym poematem, aniżeli dramatem, lub, jeżeli się tak nazwać go spodoba,

zbiorem jest dramatów kilku, spojonych w jednę całość poniekąd. Mówię poniekąd, bo w istocie niémasz w niém jednéj całości, a przynajmniéj niémasz takiéj, któréjby części czyli akty (sprawami, rozprawami nazwał je Rej), jeden spajał węzeł, obudzający i zaspokajający ciekawość słuchacza przez zręczne zawiązanie, prowadzenie i rozwiązanie intrygi w całéj sztuce; ale pojedyncze części wielkiego tego, bo na dwanaście aktów podzielonego dramatu, tak są ułożone, że one same w sobie uważane dwanaście małych dramatów stanowią znowu, a wszystkie razem wzięte, wystawiają dzieje przygód Józefa Patryarchy, które mu się w ziemi Chananeńskiéj i w Egipcie wydarzyły. Trzecia szczególniéj rozprawa, czyli akt trzeci, godny jest uwagi, z powodu charakterów różnych i zręcznie prowadzonéj intrygi przez dwie niewiasty, na zgubę Józefa sprzysiężone. Widać tu mocne rysy różnego sposobu myślenia osób wprowadzonych na scenę: Magona służącego (Hausknechta mówi Rej) Potyfara, Zefizy żony Potyfarowéj, Achizy panny jéj służebnéj i powiernicy, Józefa dorodnego i cnotliwego młodzieńca, osobliwie też dobrodusznego i ociężałego Potyfara; który nie troszcząc się wcale o to, co się dzieje w domu, nie rad i plotek słuchać niewieścich rozsiewanych o Józefie, aż wreszcie, fukami i szlochami zniewolony żony, posyła ulubionego sobie młodziana do więzienia, następnie narzeka na swą porywczość, znowu go przed sobą stawić każe, i sam nie wiedząc co czyni, posyła napowrót do więzienia.

Cała ta sztuka takąż samą poezyą, co i inne dzieła Reja oddycha, celuje on i w niéj jako satyryk i moralista, lubiący i umiejący wady cudze wytykać i opisywać.

Powtarza się jak i w innych swoich pismach. Jak Achiza podobnie do Zefiry mówi w tym dramacie o marnościach tego świata, i o potrzebie używania rozkoszy, dopóki można, w jaki rozwiódł się epikur filozof w poemacie Reja, który następuje.

Poemat ten ma napis: *Wizerunek własny człowyeka poczciwego, w którym jako we zwierciedle, snadnie każdy swe sprawy oglądać może: zebrany y z filozofów, y z różnych obyczajów świata tego, w Krakowie u Matysa Wierzbyety roku od przyścia Syna Bożego na świat* 1560. Przedstawił w nim Rej niby walkę człowieka z namiętnościami, wskazał niby prawidła rozumu przez mędrców greckich podane, a pokazujące jak poczciwie żyć należy.

Jak w Odyssei Homera, jak w rzymskich romansach Apuleja i Petroniusza, dobre i złe istoty przewodniczą błąkającemu się po świecie młodzieńcowi, ku cnocie przywodząc go lub zbrodni; tak Rej oprowadzając po ziemi i niebie niedoświadczonego młodziana, dobre i złe nastręcza mu jestestwa, rozum i rozpustę, cnotliwych i rozpustnych ludzi za towarzyszów podróży mu daje, którzy na rozstajne wyprowadziwszy go drogi, obierać każą poczciwy lub rozpustny żywot. Po długiéj walce z namiętnościami, wsparty łaską bogini mądrości, przestrzeżony radami mędrców starożytnych, i karą zagrożony nieba, odwraca się nakoniec młodzieniec od niecnót, porzuca rozpustę i ku cnocie zwraca swe kroki.

Trzeci poemat Reja ma napis: *Zwierzyniec w ktorim rozmaitych stanów ludzi, zwirząth y ptaków, kształty, przypadki y obyczaye, są właśnie wypisane. A zwłaszcza ku czasom dzisieyszym naszym nieiako przypadaiące. Na rok od Narodzenia Pańskiego* 1562.

Taki jest tytuł dzieła, które w dwóch exemplarzach, w bibliotece gimnazyum ś. Maryi Magdaleny w Wrocławiu, i uniwersyteckiéj w Pradze czytałem. Jest w ćwiartce, i z dwóch składa się części. Exemplarze te zawierają dwa pisma Reja *Zwierzyniec* i *Przypowieści*, które razem r. 1562 wyszły. Wydanie drugie piérwszego dzieła wyjść miało we dwa lata; o czém zapewnić nie umiem; w exemplarzu bowiem biblioteki warszawskiéj, który czytałem, tytuł wydarto.

Po śmierci Reja przyczepili się do jego Przypowieści przyjaciele zmarłego, a mianowicie Piotr Rojzyusz Hiszpan, professor prawa rzymskiego w uniwersytecie krakowskim, i nieznany zresztą Adryan Brandeburczyk lekarz lubelski (z którym się zapewne widywał Rej w Lublinie, ilekroć do swych dóbr tamże położonych przyjeżdżał), i ogłosili je drukiem, bez wyrażenia miejsca, r. 1570. Wtedy bowiem drugi zrobił piérwszemu przypisanie dziełka z Lublina, odmieniwszy jego tytuł, i nazwawszy go: *Figliki, albo rozlicznych ludzi przypadki dworskie, które sobie po zatrudnionych myślach, dla krotofile, wolny będącz, czytać możesz. Teraz nowo drukowane.* Dzieło swe z dwóch, jak rzekliśmy części złożone, nie chcąc, jak był powinien, nazwać *lasem*, mianował Rej *zwierzyńcem*, co według zeznania jego, tudzież drukarza (mówi o tém Wietor w przypisaniu) jedno oznaczało. Podczas zaczynającego się psować u Rzymian smaku w naukach, nazywali ich poeci *lasem*, doraźne swe wiersze, dlatego, że wysypując bez namysłu, trzebili następnie, psując lub ulepszając je, według potrzeby. Zkąd upowszechniły się u średniowiekowych pisarzy tak zwane *sylve* (silvae rerum), które bardzo się zagęściły w Polsce, znacząc u nas księgi, zawierające w sobie bez żadnego braku, przedmioty wierszem i prozą pisane. Rej również brakował w swym lesie, (jak sama objętość i różnica wydań jego Zwierzyńca pokazuje), i byłby go snadź dobrze przetrzebił, gdyby go nie była śmierć zaskoczyła, zwłaszcza, gdy się z Apoftegmatów, o których wnet będzie, pokazuje, iż z czasem wszedłszy na nową drogę, wcale inne zakładał lasy, i że o ile dawne przezeń siane i sadzone, wszeteczne były i plugactwem zarosły, o tyle późniéj zakładane moralne, iż tak powiem i schludne były lub miały być, według zmienionéj zakładacza mysli. Czuł to snadź i wydawca tego dzieła, i od własną Reja ręką nowo zasadzonego lasu, od Apoftegmatów, mówię, pożyczywszy imienia, i niém okrasiwszy Figliki, uniewinnił się z zarzutu, iż takowe brudy drukiem ogłosił, a uniewinnił przez to, że raczéj k'woli języka, niż rzeczy wydał je jako fraszki, facecye, śmieszne powieści, nie w to godząc ażeby się ich czytaniem psuli, ale raczéj przestrzegali (naprawiali) młodzi ludzie. Lecz przypowieści Rejowe, dopóki stały w lesie, i częścią były Zwierzyńca, odpowiadały jakkolwiek przeznaczeniu swojemu. Puszczone samopas, wykazały się być po większéj czę-

ści stekiem brudów. Piszący miał na celu przedstawić w Zwierzyńcu malowniczą Polskę, a chociaż myśli swéj nie przeprowadził, godzien wszakże chwały dlatego, że innym utorował drogę dojścia tam, gdzie sam dojść nie umiał. W prologu zwróciwszy uwagę na to, że pospolita-rzecz potrzebuje naprawy, zapuścił się w rozdziale piérwszym w czasy dawne, i z dziejów piękne charaktery osób znakomitych wydobywszy, przedstawił je za wzór pobożności, cnoty, rozumu. Przeszedł następnie do Polski, i takową opisał historycznie, religijnie, politycznie, miejscowo, moralnie, a nakoniec (w Przypowieściach) humorystycznie. Prawda, że dzisiejsze tego rodzaju opisy wcale inaczéj wyglądają, lecz pomnąc na wiek, w którym pisał Rej, i biorąc na uwagę usposobienie jego naukowe, musimy podziwiać myśl, którą w swém dziele objawił. Niektóre przedmioty wyrażone tu dopełniał w piśmie poetycznéj treści, z wydawanych przez siebie, ostatniém, które li moralności poświęcił.

Dzieła Reja poetycznéj treści ważne są z swojego postępu i wstecznych dążeń, dwie łącząc sprzeczności, i sprzeczności te w zdaniach o sobie dawanych wywołując już za życia jego.

Po rymowanéj prozie, w żywocie Józefa przedstawiającéj się, *wizerunek* wydany odznacza się poetycznemi rzeczywiście obrazami, które się w opisach natury, miejsc, gmachów i w porównaniach duchem wieszczym wyśpiewanych, w malowaniu potęgi Wszechmocnego, rysach cnót i ułomności ludzkich, podobają najwięcéj. Widać w tém dziele wielki postęp rymotwórcy, który już na poetę zakrawał, i z przyczyny téj może z Janem Kochanowskim (czemu jednakże sam Rej przeczył) porównywany bywał, w wyższych nawet warstwach ówczesnego społeczeństwa, jak Łukasz Górnicki w drugiéj księdze Dworzanina swego zaświadcza. Rej atoli poetą nie był i zostać nim nie mógł, z przyczyny téj iż natchnienia i uczucia poetycznego, obudzić w sobie nie był w stanie, nie umiejąc okiełznać sztuką dzikiéj swéj wyobraźni, ani rozrzewnić rubasznego, grubizmem namiętności ciągle miotanego serca. Pod tym więc uważany względem daleko pozostał za Andrzejem ze Słupia, który na sto lat przd nim sentymentalnością natchniony, czule opiewał smutek Bogarodzicy stojącéj pod krzyżem, który w duchu jakoby Petrarki, uwielbiał Dziewicę Maryą, torując drogę Sępowi Szarzyńskiemu. Rej nikomu na drodze poezyi nie przewodniczył, w rymowanéj jednakże prozie miał i on swoich naśladowców. Ponowił rymy w Zwierzyńcu, i odtąd rymował wciąż, nie czyniąc żadnego postępu w poezyi, lubo w wyrażeniu myśli czynił go rzeczywiście, osobliwie odkąd z siebie zrzucił w apoftegmatach jarzmo namiętności, która długo wyciskała na nim swe piętno, każąc mu nosić brudną swą barwę, niby pan swojemu słudze. O ile bowiem wszetecznym a nawet plugawym jest w drugiéj mianowicie części Zwierzyńca, o ile bezwstydnym w piérwszéj, tam zwłaszcza, gdzie obelgi miota na kościół katolicki i jego kapłanów, o tyle przykładnym, przyzwoitym, a nawet prawowiernym jest w wierszach, które przy Żywocie poczciwego człowieka ogłosił, naprawiając co niegdyś zepsuł, i tak do siebie stosując, co przed siedmią laty wyrzekł był rubasznie o sta-

rych wszetecznikach. Różne doby, przez które jego przechodziła muza, na uwadze mając spółcześni, stosownie jak Klonowicz i Miaskowski Enniuszem go, Hezyodem nazywali polskim; gdy przeciwnie drudzy jak Trzycieski, Homerem, Dantem, niewłaściwie go mianowali. Jakoż stosuje się to do Reja, co o Enniuszu wyrzekł Owidyusz i Kwintylian, a nawet to co o Hezyodzie tenże Kwintylian powiedział, zwłaszcza gdy pomnimy na to, że i Hezyod dla samych tylko podoba się opisów. Ale z Homerem lub Dantem, z powodu wizerunku (że w nim przedstawił błąkającego się po ziemi, piekle i niebie młodzieńca, że w nim wyobraził dwie mądrości pogańską i chrześciańską) porównywać Reja, śmiesznością trąci. Nie mając on od sztuki żadnych wrażeń, nie mógł mieć i wyobrażeń, któremiby bujną swoją, ale dziką okiełznawszy fantazyą, mógł coś artystycznego wyrobić; zwłaszcza gdy pomiatając dobrymi wzorami, gdy ganiąc rzymskich wieszczów, których nie pojmował, czerpał z kałuży, i ztąd brał natchnienienie: skutkiem czego dopiéro następcy Reja, sztukę w nie wlawszy, z wielkich pomysłów jego skorzystali, jak Bartosz Paprocki, jak Szymonowicz, jak Ignacy Krasicki; gdy przeciwnie sam, ubogim w sztukę pozostał jak się urodził, i jak pod gołém wychował się niebem, tak też umarł powity w pieluchy rymów, nie mając nawet wyobrażenia o duchu wieszczym, i przez to wizerunku swego, choć w małéj cząsteczce na ten, co Dante sposób, pod względem społeczeńskiego życia przedstawić nie umiejąc; aczkolwiek jak właśnie z tego poematu widać, schylał głowę nad książką i wszystko o mądrości i obyczajowości z starożytnych i średniowiekowych pism zebrał, co się tylko zebrać dało. Nie posiadając bowiem Rej zasad, nie był w stanie rozumiéć źródeł, jako ten, który samą tylko łaciną się karmił. Co wszystko mając się u Dantego odwrotnie, miało skutek przeciwny, wcale z tém co zdziałał Rej nieporównalny. Aleć, bo też to dziecko przyrodzenia, nie miało w przeznaczeniu stać się sztukmistrzem (ćwiczonym podług prawideł), lecz uczoném z natchnienia. Miał on zostać pisarzem natury, mimo własnéj poniekąd woli, gdyż go naprowadzili na to protestanci, ażeby rozprawiał, naprzód o tém czego nie rozumiał, następnie o tém co dobrze pojmował, co czuł, w czém żył. Miał zostać natury ludzkiéj pod warunkami polskości znakomitym przedstawicielem. Więc też Rej raz do mówienia i pisania pobudzany, pisał, mówił co myślał, nie mogąc ani się powściągnąć w mówieniu, ani poprzestać, dopókiby wszystkiego co wiedział nie wymówił. Żartował z drugich i z siebie, i właśnie żart uważając za znamię dobrego serca, i głosząc, że kto się śmieje serdecznie, taki źle myśléć nie umié, przestrzegał od szyderców, którzy umizgując się kozim uśmiechem, dybią na szkodę bliźniego. Przez co zwrócił on wielką na siebie uwagę spółczesnych, tudzież zwrócił ją przez to, iż nie rozumiejąc podług przepisów, nieraz trafniéj rozumował, od mistrza z ksiąg uczonego, a rozumował dlatego, iż swobodnie o wszystkiém wynurzając myśli, szedł za popędem wrażeń nie pytając się zresztą o dalsze ztąd skutki. A jako słowa, które z ust wypuszczał, były niby odlewem najpiękniejszego po większéj części kształtu, przez to, iż swobodnie wyjść im na jaw dozwalał, bez narażenia na szwank i zbę-

karcenie się nietrafnie użytą sztuką; tak i spostrzeżenia, które czynił nad światem, tak i pytania, które przytomnym dawał, były najczęściéj trafne i w kłopot względem odpowiedzi wprawiały tych, którym je do rozwiązania dawał. Skończył na tém, od czego zaczął, szczęśliwiéj do skutku doprowadziwszy, niż był rozpoczął dane sobie posłannictwo: co właśnie miał do zawdzięczenia niestateczności swojego charakteru, który nie znając i znać nie chcąc żadnego przymusu, mimo wiedzy i woli wprawił go w przymus, w niewolę zaprzągłszy jego swawolę. Sprawdził więc Rej na sobie co był wyrzekł, „że postawy i sprawy każdego człowieka, a zwłaszcza młodzieńca są jak młode piwo lub wino, które gdy się trybuje wszystko z siebie na wierzch wyrzuca." Ów niedbalec, jak siebie i dom swój nazywał, ów nieuk, który uczył drugich, czego sam nie umiał, głosząc słowo Boże; ów ustawiczny kręciciel, który nigdy na miejscu nie usiedział spokojnie, ślęczał po nocach, spisując cokolwiek posłyszał we dnie, czemu się przypatrzył, co dostrzegł i rozważył. Skoro się znaczny zebrał zapas myśli, i dosyć namnożyło się różnego rodzaju wzorów i wzorków, obrazów i obrazków, wnet, pracowity ten próżniak, składał ztąd dzieło, czyli wierny siebie i spółczesnego świata kreślił wizerunek podobniusieńki w tym i w każdym innym względzie do satyryka rzymskiego, który jednakże bynajmniéj nie znał, układając niby nowy zwierzyniec, który mu z czasem dostarczał budulcowego drzewa do wystawienia czegoś nowszego, a może lepszego i pożyteczniejszego.

I stało się, że gdy przyszedł wiek myślenia, i gdy już więcéj nie zaspokajały go fraszki, znalazł podostatkiem we własnych dziełach zasobu do zbudowania wybornego pisma, które na wieczną sławy swéj pamiątkę, po sobie zostawił. Napisał bowiem Rej naukę obyczajową, a napisał już nie urywkowo, jak w poprzednich swych dziełach, już nie baraszkując, lecz rozważnie i z wszelkim namysłem (jako ten, co się już był, Trzycieskiego mówiąc słowy, we wszystkiém ochinął czyli upamiętał), napisał ją systematycznie, nazwawszy ją *Żywot poczciwego człowieka* (taki dał napis dziełu). Rozłożył go na trzy wieki, na młody, średni, i w lata podeszły, i wskazał w nim (są Trzycieskiego słowa) jak się ma poczciwy człowiek, na każdym stanie będąc zachować w swéj powinności. Wespół z tém dziełem wydał apoftegmata, czyli krótkie i roztropne zdania, któreby myśli mądre i dowcipne w sobie zawierając, toż samo przedstawiały wierszem, co prozą wyraził żywot. Obok położył pisma politycznéj treści, zmierzające do ustalenia porządku w Polsce, a zarazem ostrzegające o przyszłych nieszczęściach krajowych, (które się niestety sprawdziły), tudzież zachęcające do prowadzenia żywota w duchu prawdziwie chrześciańskim.

Dzieło to nietylko w niczém nie ustępuje pismom téjże treści, które czeska literatura XIV i XVI wieku przedstawia, ale nawet w wielu przewyższa je względach. Zawiéra niejako treść tego wszystkiego, co kiedykolwiek pisywał i drukiem ogłaszał Rej: kościelność, moralność, filozofia, dzieje, dykteryjki, podobnież co w poprzednich występują tu dziełach, niekiedy przedstawiając się anachronicznie. O czém albowiem, jako niedawno wydarzoném,

stosownie w dziełach wcześniejszych powiedział, o tém po upływie lat kilkudziesiąt niestosownie, jako o świéżo wydarzonéj okoliczności rzekł. Widać w téj księdze wylew serca wytrawionego długiém obcowaniem ze światem; widać człowieka, którego umysł i zdanie upewniło się zasadami mocnemi; widać starca, który przebywszy burze młodzieńczego i męzkiego wieku, przenosił się na inne życie, i to wyznanie uczynić chciał, że umiałby inaczéj żyć, i naczéjby nie o jednéj rzeczy myślał, gdyby mu się odrodzić pozwolono. W dziele tém dał naukę spółbraciom, jak się w każdym wieku prowadzić i sprawować powinni, szczęśliwy, gdyby był sam dostał w młodości takiego przewodnika, jakiego dla innych przysposobił. Nie działają tu bóstwa pogańskie, nie występują na scenę mędrcy starożytnego świata, ale rzecz całą prowadzi sędziwy starzec, lepiéj niż mistrz z katedry, (sąto jego słowa) uczący ludzi, „jak się najprzystojniéj w każdym wieku zachować mają, i co się od nich panu świata, trojakiemu w osobach a jednemu w bóstwie, który króluje bez początku, i będzie bez końca na wiek wieków; co cnocie, co rodzinie, i całéj rzeczypospolitéj należy.“ Wieńcem i tego dzieła jest satyra, lecz ta nie razi grubizmem jak w *Zwierzyńcu*, nie wykrzywia ust ustawicznem chychotaniem się nad światem i jego sprawami, jak w *przypowieściach*, nie zrzędzi, nie wzbudza ckliwości, i nie zostawia przykrego smaku na języku, po skosztowaniu niedojrzałego owocu, którym do sytości nakarmił czytelnika w *Postyli*. Zgoła kwiatem literatury ludowéj XVI wieku jest całe to dzieło, zwierciadłem pięknéj duszy człowieka, który jak sam swobodnéj był myśli, tak téż swobodę umysłu swego i serca, a przytém uczucie naturalnego i do przyrody najwięcéj zbliżonego piękna, chciał przelać w społeczność ludzką, i niejako plastycznie wyrazić na umyśle każdego człowieka w obrazowéj, i pełnéj świeżości mowie.

W. A. Maciejowski.

PRZYPIS.

Donatio perpetua ville Dziewiacziele cum sortibus in villis Obrazowicze et Sdziemierzicze generoso Nicolao Reij.

Darowizna wieczysta wsi Dziewiacziele z częściami wsi Obrazowicze i Sdziemierzicze, urodzonemu Mikołajowi Rejowi.

Z akt metryki koronnéj.

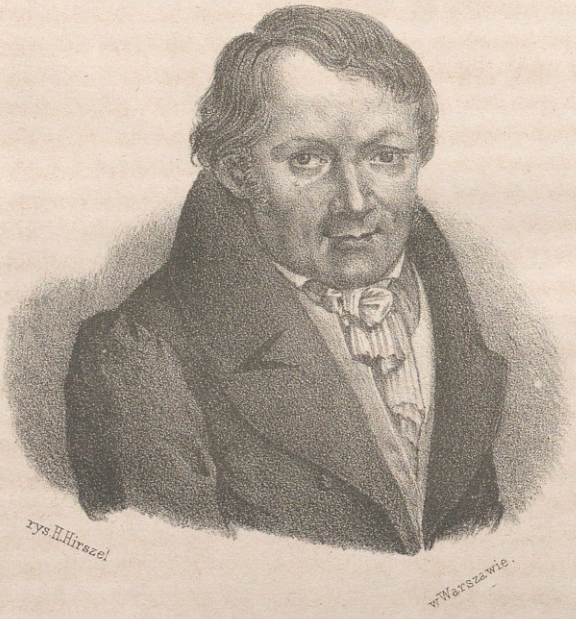
In Nomine Domini Amen. Ad perpetuam rei memoriam. Solent reges et principes quorum memoriam volunt esse perpetuam ea litterarum monumentis commendare, et praesertim cum dignis aliquem ornaverint praemiis, ut et eorum munificentiae extet testimonium, et ceteros ad preclare de se merendum alliciant. Proinde nos Sigismundus Augustus, Dei gratia Rex Poloniae, magnus dux lituaniae, nec non terrarum Cracoviae, Sandomiriae, Siradiae, Lanciciae, Cuiauiae, Russiae, totius Prussiae, Masoviae, Samogitiae, Culmensis, Elbingensis, Pomeraniaeq: etc. Dominus et heres. Significamus praesentibus litteris quorum interest universis. Quod cum generosus Nicolaus Reij, de Naglowicze Aulicus noster, et erga divum olim parentem nostrum et erga nos ita se gesserit, ut fides et observantia ejus, probata et chara nobis extiterit, dignum omnino eum judicavimus, in quem gratiam nostram declaremus. Ipsi itaque et ejus legitimis successoribus, sexus utriusque, voluntate et assensu consiliariorum nostrorum accedente, villam no-

W imię Pana Amen. Na wieczną rzeczy pamiątkę. Królowie i książęta zwykli na papier przelewać to, co chcą do wiecznéj podać pamięci, mianowicie gdy kogoś zasłużoną obdarzają nagrodą, aby się zostały ślady ich wspaniałości, i aby przez to inni do zasługiwania się mieli zachętę. Dlatego My Zygmunt August, z Bożéj Łaski król polski, wielki książę litewski jako też ziemi krakowskiéj, sandomierskiéj, sieradzkiéj, łęczyckiéj, kujawskiéj, ruskiéj, całych Pruss, Mazowsza, Żmudzi, Chełmski, Elblągski, Pomorski pan i dziedzic. Wiadomo czynimy niniejszém pismem komu o tém wiedzieć należy, iż szlachetny Mikołaj Rej z Nagłowic dworzanin nasz, i względem ś. p. ojca naszego, i względem nas tak się zachowywał, iż wierność i zachowanie jego wyprobowaną i widoczną się okazała, przeto za godnego jego uznaliśmy, abyśmy na niego łaski nasze zlali. Jemu więc i jego prawym następcom obojéj płci, za zgodą Panów Rad naszych: wieś naszą *Dziewiacziele* w ziemi krakowskiéj położoną z częścia-

stram *Dziewiaczicle* in Terra Cracoviensi sitam, cum sortibus in villis Obrazowicze et Sdziemierzicze, cum omni jure quodcunque in eisdem villis et sortibus, post mortem generosi Nicolai Odnowski nobis competit, dandum et donandum duximus, damusque et donamus praesentibus literis, titulo perpetuae et irrevocabilis donationis. Per ipsum Generosum Nicolaum Reij et ejus legitimam posteritatem, villam praedictam Dziewiacziele, cum sortibus in Obrazowicze et Sdziemierzicze: cum agris, cultis et incultis, pratis, silvis, borris, nemoribus, rubetis, stagnis, molendinis, pisciuis, paludibus, pascuis, censibus, laboribus, proventibus, angariis, curiis praediis et aliis quibusvis obuentionibus et emolumentis, hiis qui nunc sunt et qui postea humana industria excogitari poterint, tenendum habendum utifruendum, pacifice, et quiete possidendum, cum omni jure dominio et proprietate. Ita late longe et circumferentialiter, ut villla prefata Dziewiacziele et sortes in Obrazowicze et Sdziemierzicze, in suis metis et finibus consistunt, vendendi donandi commutandi et in eos quos illi et ejus successoribus videbitur usus libere convertendi nostro et successorum nostrorum non requisito consensu. Nihil nobis juris dominij et proprietatis in eisdem villis reservando, sed totum in ipsum generosum Nicolaum Rej et ejus successores, plenarie transferendo perpetue et in aevum. Ita ut nihil amplius juris nobis ad ea ipsa bona competere poterit, quam ad alia bona nobilium Regni nostri, expeditione saltem bellica et Reipub. oneribus salvis manentibus. In cujus rei fidem et testimonium manu nostra presentibus subscrip simus et sigillum nostrum apendi jussimus. Datum Piotrcovie in Conventione generali Regni, feria quinta ante Dominicam Letare proxima. Anno Domini millesimo, quingentessimo quinquagesimo secundo. Regni vero nostri vigesimo tertio.

(*Sigismundus August Rex*).

mi wsi Obrazowicze i Sdziemierzicze, ze wszystkiemi prawami jakie do tych wsi i części po śmierci urodzonego Mikołaja Odnowskiego, dać i darować postanowiliśmy, dajemy więc i darujemy obecném pismem, prawem wiecznéj i nieodwołanéj darowizny. Ażeby sam urodzony Rej i jego prawe potomstwo wieś wspomnioną Dziewiacziele, z częściami Obrazowicz i Sdziemierzicz, z polami uprawnemi i nieuprawnemi, łąkami, lasami, borami, gajami, zaroślami, stawami, młynami, sadzawkami, bagnami, pastwiskami, czynszami, robociznami, dochodami, spichrzami, dworami, folwarkami i innemi jakiemibądź dochodami i korzyściami, takiemi jakie teraz są lub późniéj ludzki przemysł wyciągnąć może, trzymał, mieli, i używali, i spokojnie posiadali; z całém prawem dziedzictwa i własności. W takiéj saméj obszerności w jakiéj rzeczona wieś Dziewiacziele i części Obrazowicz i Sdziemierzicz, w swoich granicach znajdują się, z prawem przedawania, mieniania, i na taki użytek jak się będzie jemu i jego następcom podobało, obracania, bez wyłącznego naszych sukcessorów pozwolenia. Żadnego sobie prawa dziedzictwa i własności do tych dóbr nie zostawując, lecz całe na tegoż urodzonego Mikołaja Reja, i jego sukcessorów przelewając na zawsze i na wieki. Tak, iż żadnego więcéj prawa do tych dóbr mieć nie będziemy, jak do innych dóbr szlachty państwa naszego, z obowiązkiem jednak dostarczania żołnierzy na wyprawy wojenne, i ponoszenia ciężarów publicznych. Co dla lepszéj wiary i świadectwa, własną ręką podpisaliśmy, i pieczęć naszą przyłożyć kazaliśmy. Dan w Piotrkowie na sejmie walnym, we czwartek najbliższy przed niedzielą *Letare*. Roku pańskiego tysiąc pięćset pięćdziesiąt drugiego. Panowania zaś naszego dwudziestego trzeciego.



JERZY SAMUEL BANDTKIE.

JERZY SAMUEL
BANDTKIE.

Kiedy Opatrzność zbliża wśród ciemnoty gwiazdę oświaty, zanim jasną jutrzenką rozświeci wybraną ziemię, wpośród tłumu, co bez myśli dźwiga tylko ciężar ziemskiego żywota, jakby apostołów nowéj idei, wybiera pracowników, którzy przygotowują umysły, żelazną pracą dobywają z pleśni zapomnienia, co godne i potrzebne przyszłości, i zwolna oswajają nieświadomą społeczność rodzinną, z myślą, i niecofnionym postępem wieku. Sąto przodownicy do obfitego żniwa, z którego plonu prawie nigdy nie zakosztują, bo praca ich zanim myśl wyższą pobudzi, potrzebuje lat długich, a wątek żywota tak krótki! Przygnieceni trudami umysłowemi, przed zakresem właściwym człowiekowi oddanemu pracy fizycznéj, — schodzą do grobu cicho, i niepostrzeżenie, rzadko poznani, i z hołdem współczesnych.

Późniejsza dopiéro potomność, śledząc bieg ducha co rozbudził do życia, co upromienił pewien okres czasu, stawia przed sąd po kolei wszystkich pracowników po wyrok czy sławy, czy wzgardy.

Historya, ta mistrzyni nauk, nie da się uwieść żadnym fałszem, a usiłowania ludzi, do zagaszenia pochodni prawdy—nigdy nie dopną celu. Przed tym surowym sądem postawiony Jerzy Samuel Bandtkie, musi odebrać hołd należny, i piękne zająć stanowisko w dziejach literatury polskiéj.

Urodził się w Lublinie dnia 24 listopada 1768 r., z ojca Jana Samuela rodem z Szlichtynkowa w Wielko-Polsce, i matki Anny z Noaków rodem z Lublina. Chrzczony był Bandtkie w porze zimowéj o kilka mil od tego miasta.

Gdy po chrzcie wieczorem z dziecięciem wracały zbyt wiele uczęstowane niewiasty, nie spostrzegły, iż przy uderzeniu sań, dziécię w śniég wypadłszy na drodze zostało. Niemały czas upłynął zanim zmiarkowano zgubę, i długo przy świetle trzeba było szukać dziécięcia, zanim je w śniegu zagrążone znaleziono.

Ojciec jego należał do zamożnych kupców w Lublinie: w jedenastym roku życia, wysłał Samuela do szkół gimnazyalnych Ś. Elżbiety w Wrocławiu 1779—gdzie po trzech latach, złożywszy examen maturitatis udał się do Halli roku 1787—tam pobierał nauki lat dwa, a w Jenie rok jeden. Gdy ojciec Bandtkiego podupadł, stryj jego Jan Jerzy, mieszczanin, i rękodzielnik obuwia w Wrocławiu, był mu drugim ojcem (jak sam wyraża) nietylko, utrzymywał go bowiem przez lat ośm w Wrocławiu, ale dał mu 300 talarów na odwiedzenie akademii, i nie żądał nic za to od synowca, jak tylko, żeby dla innych równie był dobroczynnym. Ta szlachetna, i poczciwa myśl wiernie wypełnioną była przez zacnego Samuela; długo był bezżennym, aby cały niemal dochód swój, mógł obracać na zapomogi, dla młodzieży celującéj pilnością, i odznaczonych talentem.

Po powrocie z Jeny, r. 1790 był nauczycielem synów pastora Nürnbergera w Hermansdorfie o 1½ mili od Wrocławia, i w tymże roku, przyjął obowiązki nauczyciela u młodych synów Piotra hr. Ożarowskiego kasztelana wojnickiego, a późniejszego hetmana koronnego. Pozostawał w tym domu lat ośm, i w tym przeciągu bawił w Dreznie i Berlinie: ostatnie zaś lat dwa w Petersburgu, gdzie się nauczył po rossyjsku, i poznał literaturę staro-słowiańską. Tak upodobał sobie Petersburg, że byłby w nim na zawsze osiadł, gdyby nie dostał stałego we Wrocławiu urzędu. W roku 1798 został Substytutem przy gimnazyum Ś. Elżbiety, i nauczycielem języka polskiego, posadę tę w téj saméj szkole w któréj niegdyś był uczniem, otrzymał za szczególném staraniem professora *Dawida*, co umiał ocenić zdolności Bandtkiego. W następnym roku został tłumaczem przysięgłym przy Urzędzie Municypalnym w Wrocławiu, a nieco późniéj i przy Kamerze Królewskiéj tamże.

Roku 1803 po śmierci swego opiekuna Dawida, został *kolegą ósmym* (nauczycielem), późniéj kolegą siódmym w gimnazyum Ś. Elżbiety: 1804 r. rektorem szkoły u Ś. Ducha, oraz bibliotekarzem u Ś. Bernarda Seneńskiego W r. 1811 wezwany do Krakowa przez Izbę Edukacyjną, gdzie objął zarząd biblioteki, przy akademii Jagiellońskiéj. W jakim nieporządku ją znalazł opisał sam Bandtkie w Historyi téj biblioteki. Ledwo dziesięcioletnią pracą usilną, mógł ją dźwignąć z nieładu, i uporządkować. Zaraz w tymże roku, zaczął wykładać z katedry bibliografią; a w następnym 1812 roku otworzył księgozbiór do powszechnego użycia. Od r. 1813 dawał lekcye języka łacińskiego, bez żadnego wynagrodzenia. Przez lat trzy 1814, 15 i 16, był dziekanem wydziału filozoficzno-literackiego; roku 1819 obranym z akademii został na rok jeden *senatorem* b. rzpltéj krakowskiéj.

W pięćdziesiątym roku życia—ożenił się r. 1818 d. 25 listopada ze stryjeczną siostrą swoją Zuzanną Dorotą Bandtkie. Z małżeństwa tego żadnego

potomstwa nie zostawił. W cichém życiu Bandtkiego oddanego pracom naukowym, upływały spokojnie lata, aż do r. 1833, w którym nowa uniwersytetu reorganizacya nastąpiła. Nie zrządziła ona zmiany w jego położeniu, lecz przy niejednem zmartwieniu, wstrząsnęła zbyt mocno umysł, ogromnemi pracami znękany. Uderzenie paralityczne, na górną część ciała, poddało w stan wątpliwy życie jego. Biegłość lekarzy wywiodła go jeszcze z niebezpieczeństwa, tak iż w lecie r. 1834 znów był zdolnym do pomniejszych prac umysłowych, do których się rwał ciągle, mimo zakazu lekarzy. W jesieni tegoż roku zwiedził mineralne wody *Karlsbadu* i *Cieplic;* lecz po powrocie do domu, tak mocno po raz drugi 1-go listopada zapadł, iż już najmniejszéj nadziei wyliczenia go nie miano. Opatrzność jednak zachowała go jeszcze przy życiu, aż do lata 1835 r.; lecz czas ten, lubo przy polepszonym nieco stanie zdrowia, był raczéj tylko chwilą oswajania się jego krewnych i przyjaciół z myślą blizkiéj śmierci jego. Jakoż przy trzeciém uderzeniu paralitycznem, rozstał się z tym światem dnia 11 czerwca 1835: o godzinie 3 po południu. Na obchodzie pogrzebowym, przemowę godną mistrza, miał jego uczeń, a późniéj kolega, professor uniwersytetu Jagiellońskiego *Kajetan Trojański.* Zwłoki pogrzebano na cmentarzu *Rakowickim.*

W ostatniéj swéj woli, dziedziczką całego majątku, oprócz pewnych legatów, mianował żonę swoję. Piękną i zamożną własną bibliotekę przeznaczył na wcielenie jéj do biblioteki Uniwersytetu, pod warunkiem, aby rząd za to wdowie po nim pozostałéj 1500 złotych corocznie opłacał.

Był wybrany członkiem towarzystwa uczonego w Luzacyi 1804 r., królewsko-warszawskiego Przyjaciół Nauk 1810 r.. doktorem filozofii w Krakowie 1810. towarzystwa naukowego krakowskiego 1815 r.

Z dzieł zostawił:

Historisch-Critische Analecten zur Erläuterung der Geschichte des Ostens von Europa. Bresl. bey Mayer. 1802.

Słownik polsko-niemiecki. w Wrocławiu 1806. 8vo. Podjął się Bandtkie téj pracy ciężkiéj, gdy mu potrzeba było pieniędzy na wsparcie młodzieży uczącéj się.

Słownik kieszonkowy polsko-fraucuzko-niemiecki w 4-ch tomikach, jest częścią Samuela, częścią brata jego Jana Wincentego pracą. Wychodził od 1815 do 1818 r.

Grammatyka polska dla Niemców (Polnische Grammatik für Deutsche). Wyszły jéj trzy wydania w latach 1808, 1818 i 1824.

Dzieje Narodu Polskiego: w Wrocławiu 1810 (z rycinami kolorowanemi). Tamże 1820 we 2-ch tomach 8vo. — Wydanie trzecie znacznie pomnożone z popiersiem autora i dwiema rycinami w Wrocławiu 1835 r. 8vo, dwa tomy.

Ueber die gräfliche Würde in Schlesien. Wrocław 1810. — Jestto jedna z ważniejszych prac Bandtkiego. — Koniecznie znaną być powinna każdemu, co pracuje nad historyą prawa Polskiego.

De primis Cracoviae incunabulis in arte typographica. (Rozprawa 4to arkusz, czytana na otwarcie Biblioteki Krakowskiéj).

Historya drukarń krakowskich. 1815. 8vo.

Historya biblioteki krakowskiéj. 1821. 8vo.

Historya drukarń w Polsce i W. X. Litewskiém. Jakkolwiek jestto przerobienie dziełka Daniela Hofmana *De Typographiis:* dodatki, i układ Bandtkiego— nadają prawo do liczenia tego dzieła, jako utwór oryginalny naszego badacza. 3 tomy 8vo. 1825—26 r.

Modlitwa Pańska w języku polskim, i w innych słowiańskich językach 22 razy, (15 razy po polsku. a 7 razy w innych) w Wrocławiu u Korna 1825.

Commenii orbis sensualium pictus quadritinguis. Vratisl. 1805. Bandtkie poprawił tylko wydanie Lacontella.

Wydał *Przysłowia Fredry,* jako ważny językowy pomnik. Wyszły dwa wydania 1802 i 1809.

Parkossii de Żorawice de orthographia Polonica libellus.

Wiele pojedynczych rozpraw historycznych znajduje się w Dzienniku Szlązkim, *Schlesische Prowintzial-blätter* od 1798—1810.

W Pamiętniku Osińskiego i Bentkowskiego: w Dzienniku Rejcha i Oelsnera: *Schlesien ehedem und jetzt*: w *Miscellanea Cracoviensia* dawne i nowsze — tudzież w *Rozmaitościach Naukowych Krakowskich,* co wychodziły głównie pod redakcyą Bandtkiego.

Zostało po śmierci Bandtkiego w rękopiśmie niezmiernie ważne i uczone dzieło: *Historya prawa Saskiego, czyli Niemieckiego w Polsce*: napisane w języku łacińskim. Dzieło to niezupełnie ukończone darował przed zgonem swoim Bandtkie, K. Rzesińskiemu, znanemu uczonemu w Krakowie prawnikowi. Spodziewamy się że tę pracę zacnego męża wkrótce ujrzymy. Pozostały prócz tego bardzo ważne rękopisma, i wyciągi historyczne pióra Bandtkiego, i zbiór nieznanych dotąd zupełnie listów Jana III.

Zygmunt Helcel redaktor Kwartalnika Naukowego 1835 r. T. 2 w pięknéj i ważnéj rozprawie p. n. *„Jerzy Bandtkie w stosunku do społeczności i literatury polskiéj*: wybornie oznaczył stanowisko literackie Bandtkiego; nie możem w Życiorysie tego męża, opuścić tego ustępu.

„Jako historyk obrał Bandtkie za przedmiot swych badań, to całość politycznych dziejów, to znów w szczególności dzieje oświaty narodu polskiego. Pod piérwszym względem, zaczął on zawód autorstwa, od pojedynczych historycznych wywodów, szczególniéj Szlązka dotyczących. Byłyto prace przygotowawcze do obszernéj historyi tego kraju, którą aż do roku 1355 t. j. do wygaśnięcia zupełnego stosunków zawisłości Szlązka od Polski, doprowadzić zamierzał. Umieszczane zrazu w piśmie perjodycznem w Wrocławiu wychodzącém (*Schlesische Provincial-Blätter*), późniéj poprawne, wraz z kilką nowemi badaniami ogłoszone zostały przez autora w zbiorze jego rozpraw odnoszących się do Polski, Szlązka, Misnii, Rossyi, i do uwag nad dziełami innych pisarzy, rzeczy słowiańskie rozbierających. Zbiór ten wydał w Wrocławiu pod napisem: *„Historisch critische Analecten zur Erläuterung der Geschichte des Ostens von Europa.“* Dziełko to, acz niewielkie, wprowadziło Bandtkiego, w poczet znakomitych narodu naszego pisarzy. Nie wielu bowiem przed nim takich było

u nas, którzyby krytycznie dzieje badali, opierając się na najskrzętniejszém poszukiwaniu źródeł. Z śladów historycznych podać wierny obraz stanu włościan w Polsce, i zniszczyć przesądne cudzoziemców w tym względzie mniemania, wykryć pochodzenie nazwy Szlązka, wyrzetelnić właściwe imię Agnieszki żony Władysława II książęcia krakowskiego, i podać wypadki panowania księcia tego; przedstawić i zbadać źródła wiadomości o znakomitém w dziejach naszych życiu *Piotra Dunina*, i jego zięcia *Jaxy* księcia serbskiego, wyrzetelnić podania i chronologiczne daty o Henryku II *Kietliczu* arcybiskupie gnieźnieńskim; zgłębić usilniéj i sprostować głoszone o Słowianach podania *Antona*, o służebnościach włościan polskich podania *Böhmego*, i o ich losie podania *Klosego*, oto były przedmioty dziejów które Bandtkiego w dziele tém zajmowały. W ogóle dość powiedzieć, iż co tam uczony mąż wykrył, to nowém było, lub nowemi dowodami wspartém; a wszystko co orzekł, to dla następnych badaczów stało się przeważnym powodem zbliżenia się do prawdy, nawet i wtedy, gdy zdania przeciwnego byli.

Zamierzył Bandtkie skreślić dzieje Szlązka, jako części starożytnéj Polski, późniéj myśl jego ta snadź wzrosła, a tak, napisał dzieje nie już owéj części, lecz kraju w całości. W roku 1810 wystąpił Bandtkie z dziełem swém: „*Krótkie wyobrażenie dziejów królestwa Polskiego*" w którém mistrzowską głębokość Naruszewicza i Czackiego, zwięzłością odpowiedni celowi wszechstronnego upowszechnienia wiadomości o kraju, połączyłą W dziele tém (iż tylko powtórzę słowa uczonéj jego krytyki) odpowiadając ściśléj jak ktokolwiek dotąd widokom historyi pragmatycznéj, po spełnieniu różnych uwag, o początku narodu Polskiego, dzieląc historyę na cztery epoki, w swoich podziałach wchodzące w karby odmian stanu wewnętrznego, i opisując po kolei panowania królów i monarchów polskich, pod niemi wytyka wewnętrzny, mianowicie psujący się skład narodu, jego naokoliczne związki, wzmaganie się, słabienie, i przyczyny ostatniego upadku, a to z tą prostotą, z takiém przywiązaniem do prawdy, otwartością i śmiałością, która pociąga ku sobie czytelnika, wzbudza w nim zaufanie i szacunek z wdzięcznością, ale razem żal, że autor wyławszy swą pracę na ostatnią epokę, na równi z nią innych poprzednich nie postawił. (1)

„Szczególniéj zaś kultura narodu zajęła autora, i dała mu powód do tak interesujących przedmiotów, które tém ważniejsze się w tém dziele stają, że gruntownie, i z obszerną rzeczy znajomością, a bogatym wiadomości zapasem wyłożone, że obok ich wykładu, postronne przytaczane, i związek z niemi wyjaśniony, że spokojny duch historyi, cieszy się pomyślnością, utyskuje nad niedolą, ocenia wszystko warunkowie do czasu." (2)

(1) Dziennik Wileński 1816 r. tom III.

(2) Pamiętnik Warszawski 1820 r. tom. XVI.

„Przeznaczał skromny Bandtkie swe dzieło na użytek czternastoletnich dzieci, a przecież zalecone głębszém zgruntowaniem rzeczy, zdaniem słusznem bystrego krytyka, stawiło autora obok *Naruszewicza i Czackiego*, tak iż nikomu nie godzi się nad dziejami narodowemi pracować. bez zgłębienia owéj: „*najdokładniejszéj i najuczeńszéj historyi*" owéj księgi która za „*jednę z najcelniejszych w języku polskim*" uznaną została, przez mężów godnych tę pracę oceniać. (1) Rozbiór dokładniejszy po trzykroć wydawanego, a coraz to więcéj pomnażanego dzieła, (2) podały w różnych czasach, różne pisma nasze peryodyczne.

„Postąpiwszy na tak wysoki stopień doskonałości, w pracach całość dziejów ojczystych wystawiających, nie mógł być niższym w szczegółowych poszukiwaniach dziejów naukowéj oświaty w kraju, zwłaszcza gdy go do prac podobnych, główna nawet dążność umysłu pociągała. Uchwycił on przedmiot bibliografii najmniéj u naś opracowany, a zajmował się nim z tém większą ochotą, że widział, jak ta gałąź lekceważoną była, i jak o niéj między miłośnikami nawet nauk, najfałszywsze pojęcia miano. Naukę tę znano tylko z jéj mechanicznéj niejako strony, jako nudną wiadomość o formacie, roku wydania i drukarzu książki. Nie widziano, jak sama nauka ta, jest czémś nierównie więcéj, niż jéj nazwa wskazuje; nie wnikano w to, że w martwéj i butwiejącéj księdze, że w maluchnéj czcionce drukarskiéj, że w jednéj napisanéj literze jest ukryty promień życia umysłowego, jakby duch zaklęty w pęta materyi; że więc wiadomość o zabytkach w piśmie i druku złożonych, odnosząca się tak do względu technicznego, jako téż i do ocenienia wartości dzieł wewnętrznéj i zewnętrznéj jest połączona ściśle z dziejami oświaty.

„Pod względem bibliograficznych opisów i zbiorów, dostarczył okres ostatni szacownych prac, szczególniéj Załuskiego, Janockiego, Sołtykowicza, Bentkowskiego i Ossolińskiego. Pod względem historyi drukarstwa w Polsce, jeden tylko Daniel Hofman, w uczonym lecz krótkim rysie, Bandtkiego uprzedził.

„Począwszy od pomniejszéj rozprawy: „*De primis Cracoviae in arte typographica incunabulis*" daléj w nierównie ważniejszych dziełach, rozbierał ten przedmiot z takiém bogactwem nauki, iż w nich czytelnik na korzyść złudzony, znalazłszy daleko więcéj niż zapowiada tytuł, więcéj się zaprzyjaźnia z książką przy jéj ukończeniu, niż gdy jéj piérwszą kartę odwinął. Dzieła te jego oceniane były w uczonych za granicą i w kraju pismach, a tu szczególniéj w poważnych Ossolińskiego i obszernych Lelewela rozbiorach. (3) Byłyto dzieła „nie do porównania z żadném tego-

(1) Ossoliński, Wiadomości hist. tom 3 pag. 209. Pamiętnik Warszawski 1.

(2) Wydania piérwszego 1810 czytamy recenzyę w *Dzienniku Wileńskim* 1816 r. tomów III. Wydania drugiego w *Pamiętniku Warszawskim* 1820 roku tom XVI, autorem ich był J. Lelewel. O ostatniéj edycyi w *Kwartalniku Naukowym* tom I.

(3) Lelewel *Bibliograficznych ksiąg dwoje*. Leipziger Literatur Zeitung z r. 1815 Nr. 159.

czesnym w krajowéj literaturze płodem." Historyę zwłaszcza piérwszych drukarń w Polsce (krakowskich), dzieło wcale nowe, z nienaruszonych od nikogo źródeł, z spleśniałych i zbutwiałych aktów, z wielkim nakładem czasu, trudu, oczów, zdrowia wyczerpnione, pełne nowych z zarzuconych rękopismów, z nieznajomych nam zagranicznych i rzadkich książek wiadomości, pełne odkryć, z między których arcy-ważne są o przed-Hallerowskiéj u nas drukarni. W témto dziele, nietylko nasze krajowe rzeczy zjawia, ale wprowadza w znajomość zasad ogólnéj bibliografii. Im się więcéj miłością naszéj literatury zajmować będziemy, tém chciwiéj szukane będzie." Wyrzekł to *Ossoliński*, o Bandtkiego Historyi drukarń krakowskich, a nie mniejszą, mógłby był podać pochwałę jego *Historyi drukarń w królestwie Polskiém i W. X. Litewskiém*, gdyby ta wówczas już na widok publiczny wydaną była. Wziął Bandtkie w dziele tém, za podstawę wspomnionego Hofmana książkę, lecz ją tak przelał i przekształcił, tak pomnożył i rozszerzył, iż miał wszelkie prawo poczytywania się za jego twórcę.

„Z zawodem autorstwa Bandtkiego w przedmiocie bibliografii, łączy się jego powołanie jako bibliotekarza Jagiellońskiego uniwersytetu. Dzieje szkoły téj, jak to okazywał Sołtykowicz, odpowiadały ściśle dziejom oświaty krajowéj, i z niemi się łączyły. Podobnież znów, w losach biblioteki owéj malował się często stan uniwersytetu całego. Od małych w początkach wieku XV zasobów, hojnością miłośników nauk, a szczególniéj członków akademii, wzrósł zwolna Jagielloński księgozbiór, i w wieku XVII, należąc do znakomitych w Europie, najznakomitszym był w Polsce. Zaniedbany i podupadły, w nieszczęsnéj drugiéj połowie tegoż wieku, zaczął przychodzić do siebie w sto lat późniéj, pod starannością członków kommissyi edukacyjnéj; lecz znów przy końcu XVIII wieku (od r. 1792—1795), dla największego niedostatku, nie mogąc służyć użytkowi publicznemu, w tak opłakanym był stanie, iż przy zajęciu Krakowa przez rząd austryacki, ówczesnemu bibliotekarzowi Jackowi Przybylskiemu, przyszło narzekać, że za posługaczy w bibliotece ma wróblów, które mu robactwo z ksiąg wyjadały. Nie przyszła do ładu biblioteka, pod dwoma następnemi bibliotekarzami *Speiserem* i *Voigtem*, przez rząd austryacki osadzonemi; żaden bowiem z nich nie dopełnił nawet braku katalogów: a tak po małéj przerwie w sieroctwie niemal opuszczona biblioteka, przeszła w r. 1812 pod pieczę Bandtkiego.

„Wprowadzony w omszałe mury odwiecznéj Jagiellońskiéj wszechnicy nauk, pomiędzy usypane w stosach kilkunasto-tysiączne księgi, zwaliska szaf, gratów i śmieci, widział przed sobą ruiny, jakby rozwalonéj niegdyś wspaniałéj stolicy, któréj odbudowanie, jednemu polecono budowniczemu; widział zamęt, który aby do ładu przyprowadzić, czuł, iż całą resztę życia poświęcić musi. Ogrom trudu nie zachwiał gorliwości Bandtkiego, boć to był budowniczy zaprawny w swéj sztuce, co znał i świetność owéj dawnéj stolicy, i wspaniałość samych nawet jéj ruin, a nadewszystko, zbawienność powtórnego jéj dźwignienia. Wnet się zajął urządzaniem jakby nowego swego

państwa, a wstąpiwszy w ściany książkowe, z całą siłą męzkiego wieku i czerstwości zdrowia, wyszedł z nich zgięty pod ciężarem trudów, z starganą siłą umysłu i ciała, z posiwiałą głową i pomarszczoną twarzą, krok ciężki zaledwie pomykając, a oczy jego mogłeś był widzieć pokryte mgłą, jakby tych wszystkich głosek, na których je wypatrzył. Takim był Bandtkie, kiedy bibliotekę opuścił; byłoto wtenczas, kiedy i z światem się pożegnał. Umarł, lecz wprzód w księgozbiór Jagielloński wlał życie i porządek; budowniczy umarł, lecz wprzód zieloną wiechę na wieży odbudowanéj stolicy zatknął. Do jakiego stanu przyprowadził bibliotekę z nieładu, jakie były w tém jego sposoby i pomoc, jakich też przytém kosztować musiał goryczy, zdał sprawę w piśmie uczoném, podającém historyę biblioteki uniwersytetu Jagiellońskiego.

„Drugą gałęzią autorskiego zawodu Bandtkiego, były badania ojczystego języka.

„Już w swych *Analektach* umieścił on pomniejszą rozprawkę, w któréj mówiąc o nowéj metodzie pisania po rossyjsku łacińskiemi głoskami, zastanawiał się nad związkiem tego języka z polskim i czeskim, dodając swe uwagi do dzieła *Antona* o Sławianach, wyjaśniał polszczyznę mowy Szlązaków. Następnie, jak w zawodzie prac historycznych, tak i w tym także wzmogła się myśl jego do tworów nierównie wyższych, a jako tam objął ogół dziejów polskich, tak tu całość języka; podając publiczności to *Słowniki*, które (zdaniem uczonych) zbogaciły prawdziwie lexykografię polską, to znów *Grammatykę*; którą najznakomitsi właściwi sędziowie (Bentkowski, Mroziński) za najlepszą ze wszystkich uznali. W tém drugiém mianowicie dziele, jakkolwiek szedł w ogóle za śladem przez Kopczyńskiego podanym, odróżnił się szczególniéj głębszém pojęciem ducha języka polskiego. W jego stosunku do innych sławiańskich języków, obszerną i gruntowną znajomością dziejów jego ukształcenia się, a wreszcie ową zdrową krytyką, która odrzucając zboczenia prowincyonalizmu, lub narzucanych przez wielu urojonych prawideł, umiała wszędzie właściwość języka rodową w czystości utrzymać. Żyjąc wówczas w Szlązku, a we wszystkich swych pierwotnych pracach, mając na widoku obalenie grubych przesądów Niemców, względem oświaty słowiańskich szczepów, w którychto przesądach, jakby z zamiłowaniem trwać zwykli, napisał grammatykę dla ich szczególniéj użytku, bo w ich języku.

„Napisałem (mówi on) grammatykę dla Niemców, którym znajomość języka polskiego potrzebna, tojest dla tych, którzy albo mieszkają w Polsce, lub z Polakami przestając, radziby po polsku się nauczyć; lecz ją też daję i dla tych, którzy wiedzą, że bez znajomości którego ze sławiańskich języków, nie można rozumieć dziejów średnich wieków. Boć też ta była między innemi przyczyna, dla któréj najuczeńszy z cesarzów niemieckich Karol IV w *złotéj* swéj *bulli*, synom książąt elektorów, od siódmego roku życia, polecił uczyć się włoskiego, i jednego sławiańskiego języka. Język polski, acz nie tak łatwy jak francuzki, nierównie od łacińskiego jest łatwiejszym. Największą trudnością są przesądy Niemców, jakoby był twardym, ubogim, tru-

dnym! Odsyłając ich w téj mierze do dzieła samego, to tylko przydam, iżby się nie powinien niemiecką szczycić pilnością, komu język ten zbyt ciężkim się zdaje."

„Jeżeli więc z jednéj strony, pozbawiał nas Bandtkie korzyści, czytania wybornego rozbioru mowy naszéj w naszym téż języku, to znów z drugiéj wynagrodził nasz ubytek, stawając tak dzielnie w obronie ojczystéj właściwości." (1)

Przy tylu trudach podjętych w ułożeniu i uporządkowaniu biblioteki, przy pracy nad tylą mozolnemi dziełami, Bandtkie pełnił jeszcze obowiązki jako nauczyciel uniwersytetu Jagiellońskiego. Metoda uczenia jego (mówi tu Z. Helcel) była nader prostą i zgodną z ogólnym kierunkiem naukowości jego. Wyraził się on sam w tym względzie, i odcieniował, kiedy w przedmowie do Grammatyki rzekł, że *„najpewniejszą metodą jest i będzie na zawsze wzajemna pilność ucznia i nauczyciela."* To zaś co pod względem grammatyki oświadczył, uznawał i urzeczywistniał w przedmiotach wykładanych przez niego. Wykład jego był jakby wspólném ćwiczeniem się mistrza z uczniami; a ta jego rzeźka nauczycielska ochota, i bez wszelkiéj przesady udzielane skarby najwytrawniejszéj uczoności, przeplatanie rzeczy nawet suchych, często najbardziéj zajmującemi wiadomościami historycznemi, wszystko to ściągało do szkoły jego uczniów, gorliwością w naukach się odznaczających. Ktoby pragnął poznać owoce nauczycielskich prac Bandtkiego, ten niechaj spojrzy na poczet znakomitych w nowéj literaturze imion. Zaszczytnie znani w polu naukowém mężowie: Jan Wincenty Bandtkie, W. A. Maciejowski, Kajetan Trojański, Józef Muczkowski, szczycą się tém otwarcie, iż w swych postępach głównie jego za mistrza i pomocnika mieli. Wszakże pilność Bandtkiego istotnie brak metody zastępowała. Nie stracił na tém nic uczeń, tém więcéj może szczegółów dlatego się nauczył, lecz to pewna, iż gdy ten sam sposób przelał się w wszystkie naukowe przedsięwzięcia, przeto nadał pismom jego, pewną cechę niejednostajności, i zaniedbania, które mu wyrzucali krytycy, a które widoczniejszemi stawały się właśnie w miarę, jak Bandtkie w uczoności i w wieku postępował. Sam on wyznawał, iż nie dość zgłębiał systematów filozofii, któraby mu w téj mierze niepomału pomocą być była mogła. Sam porównywał się do kamieniarza, który w pocie czoła dostawiając trwałych do budowli ciosów, ich składanie komu innemu zostawia." (1)

Pamiętnik naukowy (Kraków 1837 r. tom 3) ogłosił ciekawe listy znanego podróżnika i badacza starożytności sławiańskich *Zoryana Chodakowskiego* (Czarnockiego) pisane do Bandtkiego w 1817 i 1818 latach. W nich, zdając sprawę ze swych poszukiwań i odkryć, w jedném (z daty 5 lutego 1817 r.) tak przemawia:

(1) Zygmunt Helcel: Kwartalnik naukowy tom 2. 1835 r.

(2) Z. Helcel.

„Chlubna pamięć, że poznałem osobiście pana, przetrwa we mnie na zawsze. Jego ciągłe trudy w dziejach naszych, jego sąd trafny i bezstronny we wszystkiém, ogłaszam moim rodakom, i stawię za przykład tym, którzy chcą w podobnym względzie przysłużyć się powszechności. Z tém przekonaniem miło mi jest przemówić i do pana, spodziewając się, że tak mówiąc do siebie, rumienić się nie będziemy."

Listy te stawiają dowód, jak z ochotą Bandtkie, udzielał w każdém przedsięwzięciu naukowém swéj pomocy chętnéj i z współczuciem. W roku 1830 poznałem Bandtkiego bawiąc w Krakowie. Wydawszy *Przysłowia narodowe,* złożyłem na jego ręce jako dar dla biblioteki. Przyjął mnie uprzejmie, a odebrawszy dzieło, zapytał.

— Pan Polak?

— Tak jest, odrzekłem.

— Wieleż pan lat masz? pyta znowu.

— Lat 23.

— Pan Polak i tak młody, a napisałeś trzy tomy, to ja pana muszę kochać. I uścisnąwszy rękę po przyjacielsku, był mi odtąd przewodnikiem w zwiedzaniu pamiątek Krakowa.

Codziennie zapraszał do siebie na partyę szachów, i cieszył się zawsze wielce, że mi dawał mat po macie. Wiadomo, że Bandtkie w téj grze był nieporównanym. Nadzwyczaj wiele zażywał tabaki, a ztąd téż gdzie siedział, żaboty od koszuli i kamizelka, zasypane miał hojnie tym proszkiem: i zaprawdę więcéj jéj rozsypał jak zużył. Po zwiedzeniu katedry i grobów królów polskich, schodziliśmy do miasta, na półgórze, dostał zawrotu lekkiego, i stanął nagle: spostrzegłszy to, posunąłem się poddać zacnemu starcowi ramię, aby się wsparł na niém.

— Dziękuję ci, wyrzekł z uśmiechem łagodnym — ja całe moje życie nigdy cudzéj nie używam pomocy.

Przy oglądaniu biblioteki, miałem za towarzysza, młodego pana J. M. wysokiego wzrostu, który ciągle mówiąc do Bandtkiego, używał wyrażenia *Asan Dobrodziéj:* widać że to się naszemu uczonemu nie podobało. Kilkakroć zmierzywszy go zpod oka, wziął dużą księgę, w któréj się każdy zwiedzający bibliotekę zapisuje, i przewracając karty, wskazując sławnych i znakomitych ludzi własnoręczne podpisy, w końcu tak się odezwał:

— Tu oto widzi pan podpis — byłto tak wysoki jak pan, ale wcale nie głupi człowiek!

Roztargniony pan J. M. nie zrozumiał Bandtkiego przymówki.

K. W. Wójcicki.



LUDWIK ADOLF THIERS.

A. Thiers

LUDWIK ADOLF

THIERS.

Słosny polityk i dziejopisarz, urodził się w Marsylii dnia 16 kwietnia 1797 roku. Ojciec jego niezamożny ślusarz poświęcił wszystko, aby synowi odznaczającemu się zdatnością, naukowe dać wykształcenie. Za wstawieniem się jednego z krewnych młody Thiers otrzymał wakujące stypendium, w kollegium rodzinnego miasta. Mając lat ośmnaście wszedł do akademii w Aix, i tam słuchał nauki prawa. Nauczyciele oddając zasłużoną pochwałę pilności i zdolności, nie byli jednak zadowoleni zapałem politycznym jaki się u niego już wtedy objawiał. Po ukończeniu nauk został w Aix adwokatem, lecz widząc wszystkich przeciwko sobie walczących, wkrótce ten zawód porzucił, i poświęcił się wyłącznie historyi, polityce i ekonomii politycznéj.

W roku 1820 udał się do Paryża wraz w towarzyszem szkolnym *Mignetem* mając zamiar probować szczęścia w zawodzie dzienikarskim. Poznawszy się w roku 1823 z mającym podówczas wziętość deputowanym Manuelem, wszedł przez to w stosunki z Etiennem, Lafittem, i całym szeregiem znakomitych członków oppozycyi. Lafitte wyrobił mu miejsce przy redakcyi dziennika Constitutionnel, jako najsilniejszego wtedy organu partyi liberalnéj. Niezmordowana czynność Thiersa i wymowa publicysty, wzniosły go do stopnia przewodnika liberalizmu, a wszystkie najznakomitsze osoby nawet Talleyrand przyjmowały otwarcie nieznanego dotąd literata. Stronnictwo którego był duszą wywdzięczyło mu się, bo został współwydawcą dziennika *Constitutionnel.*

W ostatnich czasach ministerstwa Martignac'a, o mało co Thiers nie porzucił obranego zawodu. Główną tego przyczyną, było zamiłowanie do nauk matematycznych, i już u ówczesnego ministra marynarki Hyde de Nouville wyrobił był sobie pozwolenie, towarzyszenia wyprawie w podróż naokoło ziemi. Utworzenie się ministeryum Polignac'a, skłoniło go do zaniechania tego zamiaru. Myślał on oddawna nad założeniem nowego zupełnie niezawisłego oppozycyjnego dziennika, i jeżeli kiedy to teraz mógł liczyć na pomyślny skutek, gdy dzieło które wydał „Historya rewulucyi francuzkiéj" od wszystkich z zapałem czytane było. Połączywszy się z kięgarzem Sautelet i Armandem Carrel przystąpił teraz do wykonania swego planu i zaczął wydawać dziennik *National*, którego piérwszy numer wyszedł d. 1 stycznia 1830 r. pod jego własnym kierunkiem. Pojawienie się tego dziennika który przez śmiałą i silną polemikę, wkrótce wielu czytelników i współpracowników pozyskał, w ówczesnym stanie Francyi, policzyć trzeba do wypadków politycznych.

Thiers podkopał do gruntu politykę dawnego królestwa, i słowa jego: *Król panuje lecz nie rządzi* (le roi règne et ne gouverne pas) stały się hasłem dziennem, a gdy nazajutrz 26 lipca 1830 wydał rząd swoje rozkazy, redaktorowie wszystkich liberalnych dzienników, zgromadzili się w biurze *Nationala* i tam pod wpływem Thiersa, napisali silną protestacyą, która za wstęp do walki uchodzić może. W dniu 27 lipca, połączył się z wielą mającymi silny wpływ deputowanymi, podzielając ich zdanie, że gwałt podobnież odeprzéć należy. W wybuchłéj jednak walce nie miał osobistego udziału, a nawet dowiedziawszy się d. 28, że go aresztować mają, schronił się do Montmorency; lecz zaraz d. 29 powrócił do Paryża, i tam na zgromadzeniu u Lafitta wygotował proklamacyą, która zwróciła oczy ludu na księcia Orleanu. Z polecenia swego stronnictwa, udał się w dniu następnym do Neuilly, i doręczył księciu memoryał rozbierający powody, dla których miał przyjąć koronę. Gdy nareszcie Ludwik Filip w d. 31 na ratusz przybył, powtórzył mu Thiers na czele deputacyi też powody, i był nadzwyczaj łaskawie przyjęty.

Tak zaciętemu przyciwnikowi staréj, a tak czynnemu i pełnemu talentu przyjacielowi nowéj dynastyi, po rewolucyi lipcowéj, szerokie do zawodów otworzyło się pole. Przy utworzeniu administracyi 11 sierpnia, został Thiers radcą stanu, a oprócz tego powierzono mu ważne miejsce generalnego sekretarza w ministeryum skarbu, a gdy w d. 2 listopada Lafitte uchwycił za ster rządu, zrobił go podsekretarzem stanu w departamencie finansów. Trudne to położenie, tém więcéj obarczało młodego literata, że przeciążony interesami Lafitte zdał na niego zupełnie wydział administracyi. W tymże czasie wstąpił do izby jako deputowany z Aix, lecz piérwsze wystąpienia w parlamencie w grudniu 1830 nie były szczęśliwe. Jako nieobeznany z mównicą nudził na niéj wszystkich, tém bardziéj, iż nie otrząsłszy się jeszcze z wrażeń rewolucyjnych, podawał za konieczną wojnę z zagranicą, wystawiając w umyśle odnowione pochody wojenne, z przeszłości cesarstwa. Podobnież

z małym skutkiem bronił operacyj finansowych nowéj administracyi. Przy wystąpieniu Lafitta w marcu 1831, nad spodziewanie pozostawiono Thiersa na miejscu, on téż przejął się polityką Kazimierza Perrier, przez co wyrzekłszy się dawnych zasad, ściągnął na siebie niechęć i wyrzuty przyjaciół i opiekunów; ta przemiana jego nie była bynajmniéj zdradą, ale tylko skutkiem postępu w polityce. Teraz dopiéro gdy wiadome sobie stosunki rozbierał, mowa jego nabyła jasności i siły. Z wielką zręcznością bronił przed izbami d. 10 sierpnia 1831 politycznego programatu nowego gabinetu. Zdając sprawę z piérwszego budżetu po rewolucyi lipcowéj, wykazał całą talentu swego potęgę.

Zmęczony sporami, po zakończeniu posiedzeń wyjechał do Rzymu, zkąd po śmierci Perriera został przywołany.

W nowo utworzoném ministeryum d. 11 października 1832 r., znaczną otrzymali przewagę doktrynerowie Guizot i Broglie; pomimo to Thiers ministeryum spraw wewnętrznych otrzymał. Trudne miał wtedy do rozwiązania zadanie, albowiem księżna Berry, wylądowała w Wandei, a departamenta zachodnie groziły powstaniem. Thiers przedsięwziąwszy energiczne i zręczne środki wkrótce zachód uspokoił, i księżnę Berry w więzieniu osadził, a przez usilne starania w gabinecie, równocześnie wojska francuzkie do Belgii wprowadził. Ostatnia mianowicie okoliczność, dała sposobność rozwinięcia się jego talentowi wymowy, pochlebiając uczuciom narodowym, a przez to zyskał dla siebie stronnictwo liberalne. Nie mogąc się zgodzić ze współministrami, (gdyż przy objęciu przez niego departamentu spraw wewnętrznych, powierzono mu tylko wydział policyi, i ciągle opiérano się rozszerzeniu jego wydziału) obrażony, złożył portefeuille spraw wewnętrznych, a 31 grudnia 1832 r. objął kierunek departamentu handlu i prac publicznych. Aby zakres swego działania tém więcéj rozszerzyć, wyrobił u izby kredyt na 100 milionów, celem ukończenia robót publicznych za cesarstwa przedsięwziętych. Wiele przepysznych budowli upiększających stolicę, kanałów, dróg publicznych, równie jak zakładów przemysłowych i handlowych, które przez rewulucyą ucierpiały, były owocem jego zarządu, a przy tém wszystkiém pozyskał jeszcze współczucie ludu, wykończeniem kolumny Napoleona, na placu *Vandome*, oraz łuku tryumfalnego *de l'Etoile*. Ufortyfikowanie Paryża, które w zamiarze przyszłéj obrony kraju rozpoczął, obudziło tak wielką niechęć, że tymczasowo planu swego odstąpić musiał. Napaści jakich doświadczył rząd na posiedzeniach w 1833 i 1834, spowodowały wystąpienie ministrów Broglie i Sebestianiego, a wkrótce potém Barthego i d'Argouta, w ostatku tego ostateczne rozwiązanie gabinetu 4 kwietnia 1834. Dwór, jakkolwiek odwagi i zmienności Thiersa oddawna się lękał, to jednak w tych grożących poruszeniach, jakie dotychczasowa polityka u ludu obudziła, król przy utworzeniu nowego ministeryum, jemu kierunek spraw wewnętrznych powierzył. Zaledwie Thiers objął urząd, gdy powstanie w Lyonie, i groźne wzburzenia d. 12 i 13 kwietnia w Paryżu wybuchły. Ten niegdyś, tak rewolucyjnie myślący minister, teraz przytłumił zamieszki nietylko z energią, ale nawet z pewną srogością. W Pa-

ryżu dosiadłszy osobiście konia, wystawiał się awanturniczo na największe niebezpieczeństwa. Aby wpływ tego postępowania złagodzić, projektował gabinetowi, iżby naczelnicy spisku nie w izbie parów, lecz przez sąd przysięgłych sądzeni byli, lecz to się nie utrzymało. Z téj przyczyny Thiers poróżnił się z Soultem, który znieważywszy swego przeciwnika, musiał nakoniec z miejsca prezesa ministrów ustąpić. Na miejsce Soulta wszedł Gerard, lecz ten żądaniem ogólnéj amnestyi, wywołał chwilowe zachwianie się rządu. Po trzydniowém ministerstwie Mareta, Thiers i jego koledzy przyjęli znowu portefeuille, a wymowny minister spraw wewnętrznych miał teraz zadanie bronić przed izbami znienawidzonego systematu rządów dworu. Z wielką taktyką wywikłał się z tego Thiers, i pomimo silnéj napaści ze strony legitymisty Berriera, zwyciężył ministeryum. Ustąpienie z prezesostwa gabinetu niezdolnego marszałka Mortier, zagroziło znowu rozwiązaniem ministeryum, wtedy Thiers oświadczył chęć uchwycenia steru rządu, ale gdy w Guizocie silnego znalazł przeciwnika, wziął uwolnienie, i Broglie 12 marca 1835 r. kierunek interesów przyjął na siebie. Okropny wypadek zamachu Fieskiego przyszedł w pomoc polityce ministeryalnéj. Wybuch machiny piekielnéj, zranił pod Thiersem konia, gdyż wtedy znajdował się w orszaku królewskim. W uniesieniu żądał zwołania izby, aby teraz przeprowadzić wrześniowe prawa, zasadom *karty* przeciwne. Późniéj (jak to zwykle był czynić gdy mu się co nie udało) starał się znowu pozyskać stronnictwo liberalne, przez skierowanie zajęcia na zewnątrz, i wspierając wdanie się Francyi w sprawie hiszpańskiéj.

Niezgoda ministrów co do redukcyi *renty* przyprawiła o upadek znienawidzony gabinet, i sprowadziła przesilenie w lutym 1836 roku; tym sposobem Thiers zbliżał się do celu swych życzeń. Król powierzył mu portfeuille spraw zagranicznych, a wraz z tém polecił utworzenie gabinetu liberalnego, który rzeczywiście dnia 22 lutego 1836 r. przyszedł do skutku; a porozumiawszy się z Ludwikiem Filipem, nie odstępował zasad polityki dworskiéj, od rewolucyi lipcowéj zaprowadzonéj. Administracya małych tylko zmian doznała: prawa wrześniowe pozostały w swéj mocy, i tylko prassa większą pozyskała swobodę. Ztémwszystkiém jednak Thiers, nie rozwinął na zewnątrz téj przezornéj i bojaźliwéj polityki swych poprzedników; posłowie francuzcy odzywali się stanowczo, i tym sposobem wspólne działanie z Anglią na jaw wystąpiło. Opierając się na poczwórnym aliansie, chciał teraz Thiers rozwinąć zbrojne współdziałanie w Hiszpanii, lecz Ludwik Filip w stanowczéj chwili odmówił swego zezwolenia, i rozwiązał gabinet w dniu 25 sierpnia 1836. Molé więcéj giętki i posłuszny królewskiéj woli, zastąpił miejsce Thiersa, który aby uniknąć intryg, rozmaitych stronnictw na jego współudział liczących, w lecie 1837, wyjechał wraz z żoną, córką generalnego poborcy Dosne, do Włoch, i tam się badaniu kunsztów i starożytności poświęcił. Na posiedzeniach 1838 r. wystąpił przeciwko polityce dworskiéj z wielką energią, żądając reprezentacyjnego rządu, a przez to wkrótce ujrzał się na czele wszystkich liberalnych stronnictw, przy otwarciu zaś izby 1839 roku już Guizot i inni doktrynerowie stawili się pod jego rozkazy. Walka przeciwko rządom Molego

doszła do najwyższego stopnia zaciętości. Thiers wyrzucał mu otwarcie tchórzostwo i znieważenie kraju, a gdy Molé w styczniu 1839 r. wystąpił, król nie mógł kogo innego na czele ministeryum umieścić jak tylko Thiersa, który większość izby reprezentował. Jednakże Ludwik Filip ociągał się z powołaniem tak osobistego przeciwnika swéj polityki, i polecił Soultowi utworzenie nowego ministeryum, a chociaż tenże, Thiersa zamieścił, to jednak skład ten rozbił się wkrótce przez haniebne intrygi. Nazajutrz po zamachu paryzkim dnia 12 maja 1839 r. utworzono ministeryum bez Thiersa. Poruszony tém do żywego, postanowił całkiem wycofać się z życia publicznego. Zaczął więc naprzód zbierać materyały do historyi cesarstwa, która wedle jego mniemania miała pokazać ludowi czém był, i czém jest. Upadek ministeryum Soulta 21 lutego 1840, zmusił teraz Ludwika Filipa do skierowania się ku skrzywdzonemu poprzednio Thiersowi, z poleceniem utworzenia nowego gabinetu, co tenże porozumiawszy się z umiarkowanemi naczelnikami liberalnych, z wielkiém natężeniem przyprowadził do skutku 1 marca 1840 roku. Natychmiast skierował on całą swą baczność na kwestyą Wschodnią, która po bitwie pod Nisib, od poprzednich ministrów straszliwie zawikłaną została. Thiers starał się na nowo zbliżyć do Anglii, chcąc pogodzić żądania Baszy Egiptu z żądaniami innych mocarstw, lecz to pojednanie nie udało się. Na wypadek wojny chciał on ducha narodu obudzić, i dlategoto popioły Napoleona z wyspy Ś. Heleny, do Francyi sprowadził. Gdy mu Guizot, podówczas poseł w Londynie, o połączeniu się czterech mocarstw doniósł, wydał wtedy groźny protest w nocie z 5 września, i równocześnie ogromne przedsięwziął uzbrojenia tak na lądzie jak i na morzu, a dopiąwszy planu ufortyfikowania Paryża, zdawał się być gotowym do rozpoczęcia wojny z całą Europą, a naprzód z Niemcami. Podczas gdy sprzymierzeni odbywali pochód ku brzegom syryjskim, doręczył Thiers gabinetowi pewien rodzaj ultimatum. Tymczasem bojaźliwa polityka Ludwika Filipa, przyszła w pomoc ogólnéj chęci utrzymania powszechnego pokoju, bo król odpłynięciu floty francuzkiéj się sprzeciwił, a gdy minister żądał u izb powiększenia wojska do 900,000, otrzymał odmówną odpowiedź. Thiers zrozumiał wtedy wątpliwe swoje położenie, i zaszczytnie wycofał się wzięciem dymisyi, wraz z współkolegami dnia 21 października. Od tego czasu znikła dla niego nadzieja współudziału w rządach na przyszłość, przedsięwziął więc podróż do Niemiec, aby pola bitw Napoleońskich osobiście obejrzéć. Ograniczył się od tego czasu działaniem oppozycyjném przeciwko ministeryum Soulta, Guizota, tak w izbach jak i przez dziennik *Constitutionnel* pod jego będący wyłącznie wpływem. We wszystkich znakomitych kwestyach zawsze się odzywał, lecz nie potrafił zjednoczyć pod swą chorągiew wszystkich przeciwników systematu rządowego. Bez zaprzeczenia, posiadał on odwagę, zręczność i wymowę wielkiego polityka, lecz już wtedy uważali go właśni sprzymierzeńcy za nieprzyjaciela postępu. Historya rewolucyi francuzkiéj (wyszła po polsku 1845 i 1846 r.),

napisana z wielkim talentem, osobliwie w obrazowaniu pochodów wojennych; zbywa jéj wszakże na wyższéj historycznéj etyce, bo sława tylko narodu francuzkiego jest tu głównem zadaniem. Równe zalety i niedostatki ma jego *Historya konsulatu i cesarstwa, którą od 1845 roku drukować rozpoczął*, (zaczęta po polsku w roku 1846.), lecz to ostatnie dzieło więcéj niż piérwsze ugruntowane jest na zbadaniu pierwiastkowych źródeł.

Cały przeciąg czasu aż do rewolucyi lutowéj 1848 roku, upływał Thiersowi jużto na polemice oppozycyjnéj, już na ogłaszaniu drukiem poprzednich prac swych historycznych. W dniu 24 lutego 1848 r. jako ostatnia podpora upadającego rządu, wstąpił znowu na parę godzin w polityczny zawód, ale gdy poruszenia rewolucyjne groźniejszy przybrały charakter, a król abdykacyę podpisał, musiał ustąpić, postanowiwszy nie mieszać się do polityki, i dlatego w marcu nie chciał konferować z posłem angielskim, który się z nim widzieć pragnął. Wkrótce jednak zdaje się, że tego żałował, bo w okólniku swym do wyborców departamentów ujścia Rodanu, między innemi powiedział: „Prawda, że Rzeczypospolitéj nie życzyłem sobie ani pragnąłem..... Opatrzność inaczéj rozstrzygnęła. Schylam czoło przed jéj wyrokami, nie myślę nigdy opierać się potędze okoliczności objawionéj w faktach. Dlatego bezwarunkowo przyjmuję Rzeczpospolitą, ale nie wypieram się przez to żadnéj części mego żywota. Z ośmnastu lat od 1830, przepędziłem dwanaście w najwytrwalszéj, najstarszéj i najbezinteresowniejszéj opozycyi.....

„Pozwoliłem na to, aby mnie przedstawiono jako kandydata; pozwoliłem na to z obowiązku, z poświęcenia, z uczucia honoru, nie dlatego by w łonie nowego zgromadzenia narodowego, pracować tajnie dla restauracyi, ale dlatego, by nowa Rzeczpospolita ugruntowana została na trwałych, i pewnych zasadach. Powiedziano mi, że żądać będą; odemnie zobowiązań i objaśnień, że wczorajsi republikanie, długo bardzo nie dadzą mi wiary, a konserwatyści pamiętają o mojéj oppozycyi..... Zdaje się, że interes mego kraju reprezentowałem dotąd tak, jak tylko na to pozwoliły nasze dotychczasowe instytucye. Co do talentu, mogę być niższym od wszystkich kandydatów mego departamentu, ale żadnemu nie ustąpię w przywiązaniu do kraju, i oświadczam, że jeżeli zostanę wybranym, nie stawi mię to w przykrém położeniu względem Francyi i Europy."

Licząc na swych przyjaciół, i pewny niemal wyboru do zgromadzenia narodowego, piérwszéj kandydatury ofiarowanéj sobie w Aix nie przyjął. A gdy w Marsylii zamieszczony obok Lamartina i Berryera, pomimo opinii, iż on tylko może dokończyć świeżo wzniesiony gmach republikanizmu, nie utrzymał się, umyślił próbować szczęścia w Rouen, gdzie na miejsce Lamartina kilkokrotnie gdzieindziéj obranego, do głosowania na nowego deputowanego przystąpić miano. Ale powszechny głos: „Każdy inny byle nie Thiers" stał się prawie hasłem. Tak omylony, postanowił teraz wystąpić ostatecznie, jako kandydat w Paryżu.

Napastowany przez nowe republikańskie dzienniki, które twierdziły, iż rzeczpospolita długo się obejdzie bez usług Thiersa, gdyż polityka i finanse i bez niego są dość zawikłane, żywo był broniony przez dzienniki byłéj lewéj strony, wystawiając go jako człowieka obeznanego ze sprawami państwa, i stawiając go wyżéj nad Flocona. W ten sposób prowadzona była polemika dziennikarska aż do 8 czerwca 1848 r., w którym to dniu ogłoszono ostateczny wypadek wyboru departamentu Niższéj Sekwany. Wraz z dziesięcią deputowanymi ogłoszony, stanął wśród zgromadzenia narodowego.

Odtąd postępowanie Thiersa znane powszechnie. Otwarta teraz nowa karta dziejów rzeczypospolitéj francuzkiéj zachowa o nim wspomnienie, jako o tym, co się już nieraz zaparł swéj przeszłości, co przeżył własną sławę w zawodzie politycznym. My podaliśmy krótki jego życiorys ze względu, jako znakomitego historyka, którego dzieła przełożone na ojczysty język, znalazły niemały odbyt, i upowszechnienie.

Mamy w przekładzie polskim:

Historya zgromadzeń prawodawczych konwencyi narodowéj i dyrektoryatu, czyli od 1789 do 1800 roku, przez Leona Rogalskiego. Warszawa 1845—46, tomów 4 8vo majori.

2. Historya konsulatu i cesarstwa, napisał po francuzku A. Thiers były prezes rady ministrów, członek izby deputowanych i akademii francuzkiéj. Dzieło ozdobione rycinami, tłumaczył Leon Rogalski. Warszawa 1846 r. 8vo majori. Przekład ten zeszytami wychodzi dotąd.

3. O Własności, przez Adolfa Thiers. Warszawa. Druk St. Strąbskiego, dwa tomy 8vo, część I str. 209, część II str. 241. Rozprawą tą potępić chciał dążenia socyalistowskie, dowodząc, że lud większą część nieszczęść sam sobie przypisać powinien. Wychodziło naprzód w dzienniku *Constitutionnel*; w odpowiedzi na nią Ludwik Blanc wydał broszurkę pod napisem: *Socyalizm*.



JÓZEF JAKUBOWSKI.

J. Jakubowski

JÓZEF JAKUBOWSKI.

Ksiądz Józef Jakubowski Missyonarz, proboszcz kościoła parafialnego Świętego Krzyża w Warszawie, generalny wizytator zgromadzenia księży Missyonarzy, członek byłego towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk, urodził się w dawném województwie i dyecezyi krakowskiéj dnia 30 listopada 1743 roku. Po ukończonych początkowych naukach w mieście Rzeszowie (położoném teraz w Galicyi austryackiéj) wszedł do służby w wojsku polskiém. Tu okazawszy szczególną pilność, i znakomity talent, zwrócił na siebie uwagę ówczasowego komendanta korpusu kadetów obojga narodów, księcia A. Czartoryskiego generała Ziem Podolskich, i przez niego wysłanym został do szkoły wojskowéj francuzkiéj w mieście Metz, słynącéj szczególniéj.

Przez dwa lata kształcił się tam Jakubowski; za powrotem otrzymał nominacyą na porucznika, a wkrótce na kapitana artylleryi, i przeznaczonym został na nauczyciela matematyki w korpusie artylleryi, a od roku 1779 i w korpusie kadetów, który to obowiązek przez lat kilkanaście, sumiennie, i pracowicie sprawował.

Znaczna część dawniejszych oficerów artylleryi wojska polskiego, a pomiędzy niemi ś. p. Stanisław książę Poniatowski, generał-lejtenant, i szef pułków królewskich, oraz książę Józef Poniatowski minister wojny, byli jego uczniami.

Czasy wolne od nauczania, poświęcał Jakubowski na tłumaczenie i wydawanie różnych dzieł, które miały na celu oświecać rodaków w sztuce wojennéj, odpowiednio do stanowiska, jakie zajmowała w ościennych krajach.

Jakkolwiek obok przekładów, i swoje postrzeżenia dodawał, przez skromność, która była osobliwym jego przymiotem, przyznaje sobie tylko (jak sam w jednéj przemowie wyraża) lichego tłumacza nazwisko. Król Stanisław August szczególnym zaszczycał go szacunkiem, i łożył koszt na wydanie dzieł przez Jakubowskiego wypracowanych.

Na początku roku 1781 zażądał uwolnienia ze służby wojskowéj. Powody jakie go do tego skłoniły dotąd niewyjaśnione, ale zamiar powziął stały opuścić świat, i ukryć się w murach klasztornych. Gdy pomimo prośb samego króla, Jakubowski był nieporuszonym, otrzymał dymissyę z żalem korpusu artylleryi i kadetów, i dnia 8 lipca tegoż roku wstąpił do zgromadzenia księży Missyonarzy w Warszawie. Wkrótce, bo w parę lat na kapłana wyświęcony, pracował jako wierny sługa ołtarza po missyach i przy parafii Śgo Krzyża przez lat kilka; potém sprawował urząd przełożonego czyli *superyora* seminaryum w Gnieznie, a następnie z powodu jego wysokich nauk, gorliwości, i zamiłowania o dobro zgromadzenia, obrany został w roku 1796 wizytatorem generalnym zgromadzenia księży Missyonarzy, i proboszczem parafialnego kościoła Śgo Krzyża w Warszawie. Odtąd poświęcenie się jego dla religii i kościoła było zupełném: cały czas zajmowały mu niemal *wizyty*, to szpitali siostr Miłosierdzia w Warszawie, to na prowincyi, gdzie zarazem zwiedzał i domy zgromadzenia księży Missyonarzy.

Wszyscy uczeni duchowni, wojskowi, i professorowie byli dla niego z wielkim szacunkiem i przyjaźnią; zbierali się ochoczo u niego na rozmowy naukowe, którym chętnie poświęcał chwile wolne od obowiązków prawdziwego kapłana. Służąc wiernie religii i kościołowi, nie przestawał być użytecznym krajowi.

W początkach roku 1794 wezwany do szkoły wojskowéj dla uczenia młodych artylerzystów, nie wymówił się od takowéj posługi i gorliwie z prawdziwém poświęceniem wypełniał ją święcie. Gdy w sierpniu tegoż roku król pruski Fryderyk Wilhelm II osobiście w 50,000 wojska obległ Warszawę, i we wsi *Woli* główną założywszy kwaterę, zaczął bombardować miasto, ówczasowy naczelnik siły zbrojnéj, wezwał księdza Jakubowskiego aby się stawił w obozie, i rozkazał mu objąć komendę nad bateryami z téj strony usypanemi.

Stawił się na rozkaz: a gdy tłumaczył się stanem duchownym, poleconém miał tylko celowanie dział, ażeby zmusić do milczenia nieprzyjacielskie baterye. Wkrótce zagrzmiały działa z wałów Warszawy, ogień z nich tak szybko, tak celnie niósł kule, że zaraz téjże saméj nocy dnia 6 września, wojsko pruskie po bezskutecznym miesięcznem oblężeniu i bombardowaniu Warszawy odstąpiło, i usunęło się ku Bygdoszczy.

Pamiętną jest mowa księdza Jakubowskiego, którą miał dnia 1 sierpnia 1808 roku, na wezwanie i w obecności księcia Józefa Poniatowskiego przy zaprowadzeniu szkoły artylleryi, w któréj zwięźle i trafnie obowiązki chrześcianina, z powinnością obrońcy żołnierza połączył, i wykazał.

Obciążony wiekiem i pracą, po kilkodniowéj chorobie z zupełną przytomnością umysłu, przyjąwszy święte sakramenta, pożegnawszy ze łzami zebranych w jego celi około śmiertelnego łoża współbraci kapłanów, kleryków i braciszków zgromadzenia, dawszy im jako ojciec błogosławieństwo, umarł dnia 18 września 1814 roku, mając lat 71.

Pogrzeb księdza Jakubowskiego był dowodem jak wielki szacunek, i miłość posiadał za życia. Ksiądz Jan Gołaszewski, biskup wygierski, senator, przez szczególną przyjaźń ku zmarłemu wprowadzał ciało jego do kościoła Śgo Krzyża dnia 20 tegoż miesiąca i roku, a nazajutrz mszę solenną śpiewał. Duchowieństwo świeckie i zakonne, z własnéj woli, pamiętne przeważnych zasług zmarłego, nadzwyczaj licznie się zgromadziło; towarzyszyli żałobnemu nabożeństwu wszyscy uczniowie szkoły artylleryi i inżynierów, którzy w księdzu Jakubowskim stracili światłego nauczyciela; byli obecni i różnéj broni wojskowi, co głęboką byli przejęci boleścią ze straty tak odznaczonego towarzysza broni.

Ciało jego złożone zostało w Katakumbie kościoła dolnego Śgo Krzyża (A).

Z prac naukowych ksiądz Józef Jakubowski zostawił:

„Nauka artylleryi, zebrana z najpóźniejszych autorów, napisana dla pożytku korpusu artylleryi narodowéj, z rozkazu i nakładem Jego Królewskiéj Mości Stanisława Augusta do druku podana. Warszawa 1781—1783." Trzy tomy 8-vo majori. W dziele tém wiele własnych postrzeżeń i myśli ksiądz Jakubowski udzielił.

„Nauka matematyki do użycia artylleryi francuzkiéj napisana przez p. Bezoat towarzysza akademii nauk i marynarki etc., a dla pożytku, osobliwie dla korpusu artylleryi narodowéj na język polski przełożona, z rozkazu i nakładem Jego Królewskiéj Mości do druku podana. Warszawa 1781 r." Cztery grube tomy 8-vo majori, z wielu rycinami.

„Krótki zbiór historyi greckiéj od czasów bohatérskich aż do podbicia Grecyi w prowincyą rzymską. Z francuzkiego na polski język przełożony. Warszawa 1775." Dwa tomy.

„Nauki powszechne w sposób katechizmowy, przekład z francuzkiego. Warszawa 1791 r." Tomów cztery.

„Lekcye elementarne fizyki, hydrostatyki, astronomii i meteorologii z traktatem o sferze. Tłumaczone z francuzkiego P. L. Cotte. Warszawa 1809."

„Zasady wymowy świętéj, objaśnione przykładami wyczerpnionemi osobliwie z pisma świętego, ojców świętych i z innych najsławniejszych krasomówców chrześciańskich. Warszawa 1809 r."

Będąc jeszcze nauczycielem matematyki, był redaktorem pisma wychodzącego w Warszawie p. n.: *Wyjątki z dzienników paryzkich*, które dla zaszłych odmian we Francyi 1789 r. wychodzić przestało.

PRZYPIS.

(A) Brat rodzony, młodszy księdza Józefa Jakubowskiego Wincenty Pijar, który od r. 1807 do 1809 był prowincyałem tegoż zgromadzenia, tłumaczył trzy ostatnie księgi Enejdy Wirgiliusza, i te są drukiem ogłoszone jako dopełnienie przekładu tego poematu przy tłumaczeniu Fran. Dmochowskiego autora *Sztuki rymotworczéj*. Umarł Wincenty Jakubowski dnia 27 września 1826 r. w Warszawie, w wieku lat 75.



BEJRON.

LORD BAJRON.

„Kto widział *Salvatora* posępne utwory,
Te bez drzew najeżone skałami pejzaże,
Te w obrazach wyżółkłe i zdziczałe twarze,
Albo tańce czarownic, strzygi, i upiory;
Kto odczytał Bajrona fantastyczne twory,
Gdzie śród pół krwią przesiąkłych, w klątw i szyderstw gwarze,
Przechodzą *Don Żuany*, *Dziaury*, i *Korsarze*,
I *Manfred* co zuchwale z niebem toczy spory,
Ten przyzna, że natura w celach niepojęta,
W jednéj formie odlała dwóch mistrzów talenta,
Jedném mlekiem karmiła wieszcza i malarza;
Obaj ciężkie wśród ludzi wytrwali cierpienia,
Obaj gdzieś w piekieł głębi szukali natchnienia,
Ztąd gieniusz ich *zwątpienie* i *rozpacz* wyraża."

K. G.

Epoka literatury romantycznéj, mówi Karol Nodier, tak ma odmienną postać, tak wydatnie odbija na tle przeszłości, że przynależy jéj zupełnie oddzielne piętno. Znikło już i zamarło wszystko, z czego człowiek kiedykolwiek czerpał był poetyczne natchnienie. Nowa szkoła zastała mitologią starożytnych, owe bujne pole obrazów i allegoryi, zupełnie wyczerpaną i odartą z wszelkiego uroku, przez nazbyt częste i niedołężne powtarzanie. Chrześcianizm, długo przez obawę zniewagi wygnany z dziedziny wyobraźni, mimo że mógł był dostarczyć poecie nowéj i świetnéj barwy, znikł już był zupełnie z świątyń i ołtarzy; wraz z nim pierzchły wszelkie wyższe natchnienia umysłu i serca, a zarówno w poezyi jak i w życiu społecznem, słychać było przerażający okrzyk, który niegdyś ścigał okręty Tyberyusza, gdy z łona rozchukanego oceanu słyszéć się dały straszliwe wyrazy: „Zamarli bogowie."

A jednak żyła poezya, bo poezya żyje wieczném życiem. Poezya piérwsza pojmuje myśl wieku, ubiera ją w ponętne szaty fantazyi, i rzuca światu

na podziw, na uwielbienie. Tłumy zdumione nie pojmują zrazu wielkiéj myśli, rzucają częstokroć kamieniem w natchnioną pierś wieszcza, ale zwolna pierzchają ponure chmury kryjące jasne oblicze prawdy, potęga słowa przebija twardą skorupę przesądu i ciemnoty, otaczającą umysł ludzki, budzi nowe pojęcia, serce ogrzewa nowém ciepłem, wrasta w krew człowieka, i przesiąka całą jego istotę.

Słusznie powiedział jeden z pisarzy naszych, że poeci są jak drogoskazy wytykające drogę nowym pokoleniom. Ale zkądże owi poeci czerpią natchnienie? czyż nie z zewnętrznego świata, który ich otacza? czy nie z dziwnego zbiegu wypadków, zmieniających oblicze społeczeństwa? Minęły zaprawdę czasy, gdy tłumy wierzyły, iż poeta jakoby kapłan namaszczony boskim duchem, bezpośrednio z nieba wyższe odbierał natchnienie; dziś już nie uderzają jak niegdyś czołem przed natchnioném obliczem poety, albowiem poeta przestał być dla nich półbogiem. A jednakże pomimo błędnego zwrotu wyobrażeń, dziś nawet słowo wieszcza działa tajemniczo na ogół, słowo wieszcza podnosi ludzkiego ducha z prochu ziemi, i rozdmuchuje w nim iskrę boską, przysypaną obcemi wpływy.

Lecz pomimo, że źródło prawdy stoi dla wszystkich otworem, tłumy jednakże nie umieją w niém czerpać. Ale poeta obdarzony wieszczym duchem, czerpie w niém pełną dłonią. On myśl wieku przetrawia w swojém łonie, i tak jak niegdyś w oddalonéj starożytności, staje się widomym tłumaczem pomiędzy niebem a ziemią; a ponieważ zastaje umysły ludzkie przygotowane do pojęcia owéj wielkiéj prawdy, którą ma im objawić, ztąd widzimy niezaprzeczony wpływ poezyi na postęp ludzkiego ducha.

Żyła więc poezya, mimo pozornego wyczerpania, mimo że starożytne wzory spłowiałe, okryte śmiesznością, nie dostarczały już nowego żywiołu poecie, mimo że ołtarze Pańskie zdeptane i znieważone, nie były już jak niegdyś przybytkiem wiary, mimo że ludy nie wiedząc do czego przyczepić swą nadzieję, odzywały się jękiem bólu i rozpaczy. Poezya więc uderzyła w najdrażliwszą stronę serca ludzkości, i stała się organem owéj rozpaczy, owego bólu dręczącego nowe pokolenie.

Poezya nie mogąc już czerpać wrażeń z nadziemskiego świata, albowiem ówczesna filozofia bronią szyderstwa i zimnego rozbioru, wygnała Boga z niebiosów, poezya mówię zaczęła czerpać w sercu człowieka, i znalazła w niém skarb nieprzebrany, burzliwe źródło namiętności. I ubóstwiła też namiętności, a mianowicie potężne miłości uczucia, podniosła do szczytu ideału.

„Rozwaliny starożytnych gmachów, mówi Karol Nodier, natchnęły także dumający gieniusz nowéj szkoły. Owe zwaliska nieznane zupełnie starożytnym, tak wymownie świadczące o przeszłości, trwożące myśl zapowiednią niechybnego upadku wszelkim wielkościom ziemskim, stały się źródłem tęsknego marzenia romantyków. Poeta szukał wśród gruzów, śladów przejścia człowieka, człowieka, który niegdyś twardym odziany pancerzem,

równie czuł, cierpiał i marzył, jak wszyscy ludzie na ziemi po wszystkie wieki i czasy."

Ależ ani serce ludzkie z wszelką boleścią i walką, z bezdenną otchłanią namiętności, ani wspomnienie zamierzchłych wieków z całym swym urokiem, nie byłyto jeszcze dostateczne źródła na ugaszenie pragnienia nowéj szkoły; brakło jéj bowiem wiary, a ta jedynie myśl ludzką zupełnie zaspokoić może.

„Zwątpienie — mówi Karol Nodier, — ponurym całunem ogarnęło umysły, człowiek ogołocony z wszelkiéj wiary zwrócił się sam do siebie, ztąd wyrodziła się osobistość. Dusza pogrążona w zwątpieniu z rozkoszą nurzała się w nicości, a zasady społecznego życia, rozprzęgły się pod wpływem niedowiarstwa. Obok tego dziwna chęć badania i dociekania unosiła wyobraźnię poza granice zakreślone wiedzy ludzkiéj. Ani religia, ani prawa, ani sama nawet przyroda nie stawiały jak niegdyś zapory szalonéj ciekawości, ale raczéj podniecały ją coraz gwałtowniéj.

„Niegdyś Egipcyanie otoczyli posąg Izydy mnóstwem nieprzejrzanych zasłon. W miarę jak wybrani, przypuszczani byli do świętych tajemnic, uchylały się owe zasłony, kryjące oblicze bóstwa. Samym nawet kapłanom niewolno było bez świętokradztwa uchylić ostatniéj zasłony. Tę to więc tajemniczą zasłonę, gieniusz nowéj epoki gwałtem rozedrzéć usiłował, w mniemaniu, że za nią ujrzy martwe oblicze trupa. Na téj zasadzie opierały się szalone złudzenia romantyków: trudno zaprawdę odmówić im poezyi."

Bajron, piérwszym był i najpotężniejszym tłumaczem nowéj szkoły. On rozczarowanie podniósł do najwyższéj potęgi ideału. Wprawdzie dwieście lat temu, Szekspir piérwszy krok postawił na drodze romantycznéj, ale Szekspir oceniony przez współczesnych jako dramatyk wielki, nie mógł być za życia pojęty, jako romantyczny poeta. Potomność dopiéro wieniec nieśmiertelny zawiesiła na jego grobowcu. Bajron przyszedł w czasie gdy umysły zdolne były przyjąć ziarno, do zasiania którego naznaczony był z wyższéj woli. Bajron więc w mgnieniu oka zmienił postać literatury, współcześni uderzyli czołem przed natchnionym wieszczem, a tłum naśladowców niebawem poszedł w jego ślady.

Jerzy Gordon Bajron urodził się w Londynie 22 stycznia 1788 roku. Lubo przez matkę królewskiego sięgał rodu, zdawał się zrazu przeznaczony do skromnego i niepozornego życia.

W chwili przyjścia na świat skutkiem wypadku, Bajron skaleczał na nogę. Okoliczność ta silnie zadrażniła umysł poety, i zaszczepiła w sercu jego zaród dziwnéj goryczy. „Bajron będąc jeszcze maleńkim — mówi Moor — usłyszawszy swą mamkę utyskującą nad jego kalectwem, uniesiony gniewem uderzył ją biczykiem karząc jéj niewczesną i nieproszoną litość."

Późniéj żarty szkolnych współtowarzyszów, a mianowicie niebaczne pieszczoty matki, która częstokroć zwała go małym kulasem, zbudziły w nim

chorobliwe usposobienie, przebijające się w niejednym z poetycznych jego utworów.

W piątym roku życia, oddano Bajrona do szkoły elementarnéj w Aberdeen. Po śmierci stryja przewieziono go do Anglii, gdzie dalsze pobierał nauki. Tak w Aberdeen jak następnie w Harow młody Bajron odznaczał się silnym i nieugiętym umysłem, szukał nadewszystko chluby w ćwiczeniach ciała, uczył się źle, i niczém nie zapowiadał przyszłéj swojéj chwały.

W roku 1796 odbył po raz piérwszy podróż do górnéj Szkocyi. Wspaniały widok gór, rozognił dziecinną wyobraźnię przyszłego poety, przyszłego wielbiciela Alp, Pirenejów i Parnasu. Wówczas to naśladując Danta, który w dziewiątym roku życia ukochał swoję Beatryxę, młody Bajron zaledwie ośmioletni uczuł gwałtowną miłość do małéj Maryi Duff; jéj poeta poświęcił znaczną część życia, jak to sam wyznał przed śmiercią; do niéj napisał niezliczone mnóstwo wierszy.

W roku 1798, gdy umarł stary Lord Bajron, nasz poeta, wezwany do odebrania spadku opuścił wraz z matką Aberdeen i udał się do Anglii, gdzie starania usilne lekarzy zmniejszyły nieco jego wrodzone kalectwo.

Od piérwszych lat młodości Bajron okazywał dziwną skłonność do marzenia. Nieraz przy świetle księżyca puszczał wodze bujnéj wyobraźni. Leniwy do nauki, lubił jednak czytanie, ale czytał bez wyboru cokolwiek mu wpadło pod rękę. W szkołach już okazywał wielki dar wymowy, a nieraz odczytując zadane ćwiczenia wpadał wprawdziwie poetyczny zapał, nagle odstępował od przedmiotu, najpiękniejsze tworzył obrazy.

„Odznaczałem się nadewszystko zdolnością do sztuki wojskowéj i wymowy — mówi Bajron w dzienniku, który późniéj ogłoszono drukiem, — do poezyi mało okazywałem daru. Piérwsze moje wiersze zimno zostały przyjęte, za to biłem się dzielnie. W Harrow na siedm bitw przegrywałem zaledwie jednę. Przyjaźń szkolną posuwałem aż do zapału. Nie zawsze nauczyłem się zadania, ale czego się raz nauczyłem, to umiałem dokładnie. W historyi tylko przeszedłem wszystkich współtowarzyszów."

W dwunastym roku życia Bajron pokochał się powtórnie w krewnéj swojéj Miss Parker. Ona piérwsza zbudziła uśpioną dotąd iskrę poezyi. Po jéj nagłéj śmierci w roku 1803, nowa miłość stalsza i silniejsza zrodziła się w sercu młodziana, i wyryła w nim niezatarte na przyszłość ślady.

Stary Lord Bajron zabił niegdyś w pojedynku Chawortha, ojca pięknéj i młodéj Maryi. Młody Bajron w szesnastym roku życia ukochał ją z zapałem. „Nasz związek — mówi on — mógł zatrzéć nienawiść rodzinną, mógł zmazać ślad przelanéj krwi, a wówczas Bóg wié coby się ze mną stało."

Wtedyto Lord Bajron najdotkliwiéj czuł swoje kalectwo. Jego Marya lubiła taniec, on tańczyć nie mógł. Urok sławy nie świecił jeszcze na jego czole. Czuł więc z goryczą swoje poniżenie w obec kochanki, i z boleścią widział niepodobieństwo pozyskania jéj serca. Na domiar nieszczęścia usłyszał raz słowa Maryi: „czyż mogę kochać kulawe dzieci?" Słowa te jakby szty-

letem przeszyły serce poety, uciekł natychmiast z jéj domu, i nie oparł się aż w Newstadt.

W rok potém żegnając Maryę rzekł do niéj z pozorną spokojnością, mimo że dusza młodziana szarpaną była niepojętym bolem: „gdy wrócę, już cię zastanę zamężną.” — „Zapewne” — odrzekła Marya. Jakoż rzeczywiście nim rok upłynął, Marya poszła za Musters'a, ale pożycie jéj tak było pełne smutnych i ciężkich przygód, Bajron z swéj strony tak nieszczęśliwym był w małżeństwie, iż żałować wypada, że ta miłość pomyślniéj nie została uwieńczoną.

O owéj to miłości mówi Bajron w poemacie „Sen,” tak pięknie przełożonym przez naszego wieszcza:

Opowiem wam co mi się dawniéj przywidziało,
Może we śnie, bo kiedy sen uwięzi ciało,
Duch wolny może obiedz rozległą krainę,
I długie pasmo życia w jednę zwić godzinę.
Zdało mi się, żem widział młodych ludzi dwoje:
Chłopca i dziéwkę; — stali na wzgórku oboje.
A wzgórek był zielony, pochyłéj urody,
Niby jaki przylądek; tylko zamiast wody,
Wkoło żywy krajobraz i powiewna fala
Kłosów i sianożęci, i gdzieniegdzie zdala
Porozrzucane chaty, nad niemi dym bury
Ulotne snuł kolumny. Sam wierzchołek góry
Zdobiły zasadzone drzew i kwiatów wieńce:
Nie przypadek je sadził, lecz umyślne ręce.
Chłopiec i dziéwka patrzą: ta na okolice
Piękne jak ona sama, a ten na dziewicę;
W nim rozwija się młodość, w niéj piękność rozkwita,
W obojgu młodość, ale młodość rozmaita.
Jak wśród niebios jaśnieje wdzięczna twarz księżyca,
Tak wpośród lat niewieścich jaśniała dziewica.
Chłopiec był laty młodszy, lecz starsze nad lata
Serce jego, wzrok jego w całym kręgu świata
Jedyne tylko widział swéj kochanki lice,
I widział ją przed sobą, w niéj utkwił źrenice,
I nie mógł ich oderwać, nie było w nim ducha:
Ona była mu duchem, głosu jéj drżąc słucha,
Ona była mu głosem; on swych oczu nie ma,
Ona była mu okiem: bo ścigał oczyma
Jéj spojrzenia, i wszystkie oglądał przedmioty
W świetle od niéj odbitém; on nie ma istoty,
Nie ma życia, w nią przelał całe życie swoje,
W niéj jako w oceanie wszystkie myśli zdroje

Pogrążył. Za jéj słówkiem, za ręki dotknieniem
Krew w nim ścina się lodem, albo wre płomieniem.
Twarz jego na przemiany goreje i bladnie,
Serce boli i bolów przyczyny nie zgadnie.
Lecz ona słodkich jego cierpień nie podziela,
Wzdycha, lecz nie do niego; ma w nim przyjaciela,
Ma brata, i nic więcéj! On przestawał na tém,
Że ją zwał przyjaciółką, że go zwała bratem,
Teraz nie chce przestawać. Zkądże ta różnica?
Czas rozwiązał zagadkę. Kochała dziewica,
I kochała innego, i właśnie w téj chwili,
Gdy oboje na górze stali i patrzyli,
Ona wzrokiem kochanka dalekiego nęci,
Aby leciał tak bystro, jak lecą jéj chęci.

Daléj zaś, wspominając smutne życie swéj Maryi, jakże tkliwie określa jéj niedolę:

Otaczają małżonkę wesołe plemiona,
Nadobne syny, córki, ale za cóż ona
Jakąś tęsknoty chmurą tęskną postać mroczy,
Zdradzając tajną boleść co jéj serce toczy?
Źrenice niegdyś jasne zamgliła powłoka,
Niby jakaś mgła dawna, przystygła do oka.
Zkądże to? wszak z kochankiem złączona na wieki,
Wszakże ten co ją kochał, jest od niéj daleki.
Nie będzie myśli czystych złém życzeniem brudzić,
Nie będzie jéj westchnieniem nieumyślném nudzić.
Czegoż smutna? wszak darmo wzajemności żądał,
Darmo w jéj oczach zimnych nadziei wyglądał.
Wzgardzony, nie jest pewnie sprawcą jéj katuszy:
Jest widmem dla pamięci, nie sępem dla duszy.

Ale skończył się niebawem dziecinny wiek Bajrona.

W kollegium w Kambricz, gdzie dalsze pobierał nauki, mało się jeszcze przykładał do pracy. Uczył się za to pływać z dziwném upodobaniem, a zabawa z ułaskawionym niedźwiedziem najmilszą jego była rozrywką.

W roku 1806, zamieszkał wraz z matką w Suthwell, ale zbyt częste między niemi spory do takiego dochodziły stopnia, że oboje nawzajem lękając się otrucia, upominali potajemnie aptekarza aby nie przedawał trucizny. Wówczas to w Newmark Bajron wydał piérwszy tom poezyi pod tytułem: „Godziny próżnowania," wszakże więcéj jeszcze niżeli poezya, zajmowały go psy, strzelanie do celu, i teatr towarzyski.

Dzieło Bajrona lubo znalazło poklask zwłaszcza w wielkim świecie, co niesłychanie pochlebiało próżności poety, ściągnęło jednak na siebie silne zarzuty w *przeglądzie edymburskim* wydanym przez stronnictwo Whigów. Zna-

ny krytyk pan Brugham wziął sobie za cel upokorzyć młodego lorda sięgającego dumnie po wieniec poety. Ostra krytyka rozwinęła dzielnie gieniusz Bajrona. Uczuł w sobie nagle wzrastającą potęgę. Artykuł z edymburskiego przeglądu działał nań jakoby odgłos trąbki na młodego rumaka. Bajron przeczytawszy znieważające słowa, wypił duszkiem trzy butelki bordeaux, oko jego zapłonęło niezrównanym ogniem, męzkie jego oblicze dziwnego nabrało wyrazu, i pod wpływem piérwszego wrażenia, napisał początek satyry na edymburskich krytyków, znany pod tytułem: „Bardowie angielscy i krytycy szkoccy."

— „Wierne moje pióro! szlachetny darze nieba, niewolniku méj myśli, wiecznie posłuszne mojemu natchnieniu! wyrwane niedawno ze skrzydła niewinnego ptaka, ty stajesz się potężną bronią w ręku najsłabszego człowieka. Daremnie piękność zdradza nas, daremnie krytyka nas szarpie. Ty dzielna podporo niecierpliwéj ręki pomstą jesteś kochanki i chlubą poety. Ileżto gieniuszów winno ci wiekopomną sławę?"

W owym czasie Bajron w dziwném znajdował się położeniu. Tytułem wyniesiony na piérwszy szczebel arystokracyi, pozbawiony był wszelkich wyższych stosunków. Dziedzic majętności należącéj zdawna do jego rodu zmuszony był kilkakrotnie dopominać się o swe prawa. Obarczony długami, rzucony w zawód niezgodny z wrodzoném jego usposobieniem, widział przed sobą nader ograniczoną przyszłość. W części wielki pan, w części awanturnik, skłonniejszy do polityki niżeli do poezyi, miał zarazem prawo błogosławić Opatrzność i przeklinać koleje losu, lecz zbieg okoliczności, zwrócił go nagle na obszerne pole literatury.

Właśnie wówczas pokochał był kobietę dwuznacznéj sławy, a związek ten stał się późniéj źródłem niezliczonych plotek i potwarzy. Uczęszczał nadto do domów gry i rozpusty. Wszelako umysł jego chciwy był wyższego zajęcia, lecz dziwną jakąś powodowany niespokojnością rzucał się namiętnie w to wszystko, cokolwiek napotkał w drodze osamotnionego swego życia.

Postanowił nakoniec opuścić kraj, w którym nie znalazł właściwego dla siebie stanowiska, pragnął jednak odznaczyć się czémkolwiek. Boleśnie podrażniony nieszczęśliwém swém kalectwem, albowiem piękność męzkich jego rysów tém wydatniejszém czyniła wrodzone upośledzenie, zawiedziony w miłości, bo ta którą ukochał odrzuciła jego zabiegi, zrażony w zawodzie literackim skutkiem dotkliwéj edymburskiéj krytyki, srożéj jeszcze zraniony w feodalnéj swéj dumie, widząc się pozbawionym majątku, zgromadził w duszy swéj obfity zapas satyrycznych żywiołów i wszystką żółć zranionego serca wylał na papiér w gorzkiéj satyrze. Rzucił ją światu jako zadosyćuczynienie za ostrą krytykę edymburgskiego przeglądu, jako gniewne pożegnanie współrodaków.

W początkach roku 1809 udał się do Londynu przedsięwziąwszy już podróż na Wschód. Ogłosił nowy swój poemat i przełamawszy ciężkie zapory, zasiadł nakoniec w izbie parów. Instalacya jego odbyła się w dniu 9 marca. „Nikt w podobném położeniu — mówi jeden z biografów Bajrona — nie oka-

zał smutniejszéj postaci. Wszedł sam jeden do izby, a żaden z obecnych panów nie podał mu przyjaznéj dłoni, nie ośmielił go przychylném spojrzeniem. Oblicze jego blade, zdradzało wewnętrzną i tajemną walkę.

W kilka dni potém pojawiła się w Londynie pełna goryczy satyra Bajrona. Poeta tymczasem usunął się do Newstadt marząc o swéj boleści, a nadto układając zamiar przyszłéj podróży w piękne okolice starożytnéj Grecyi. W samotności chciał się koniecznie zagłuszyć jak sam mówi wpośród szalonych uciech, w towarzystwie kobiét i ludzi złego życia, szukając w trunku i rozpuście zapomnienia obecnéj chwili.

Z początkiem lata popłynął Bajron do Lizbony.

— „Jestem tu zupełnie szczęśliwy — pisał do przyjaciół, — lubię pomarańcze, rozmawiam z mnichami po łacinie, pływam po Tagu, kłusuję na ośle, a nadto jestem pastwą komarów; ale cóż czynić? obok uciechy trzeba też przyjąć i małe przykrości."

Podróże Lorda Bajrona stanowią ciekawy ustęp w jego życiu. Umysł poety igraszką był dziwnych sprzeczności: z jednéj strony romantyk w najrozciąglejszém znaczeniu tego wyrazu (dowodem tego przedwczesne miłostki, pojedynki i rozliczne dziwactwa, jak np. używanie czaszki ludzkiéj w miejsce puharu); z drugiéj znów strony okazywał wiele zdrowego zdania i smak nadzwyczaj wykształcony. Zpomiędzy poetów najwięcéj uwielbiał Popego. W satyrze obok wielkiego dowcipu, umiał zachować się w obrębie przyzwoitości; okazał to mianowicie w poematach: Beppo i Don Juan. Krytycy angielscy przyznają mu rozum niepospolity.

Gdyby Bajron pozostał był w Anglii, gdyby po dotkliwych przygodach, nie szukał był natchnienia wśród pięknych gór Albanii, i na gruzach starożytnych Aten, byłby sobie niewątpliwie wyrobił inne stanowisko w literaturze. Dalekie podróże w wieku chciwym wrażeń, rozwinęły bujnie romantyczną stronę poety.

W Kadyxie naprzód uległ piękności owych czarnookich Hiszpanek z głębokiém i powłóczystém wejrzeniem, pełnych niezrównanego wdzięku, które opisał tak uroczo. Jednę z nich nawet ukochał z zapałem. W Malcie zaś zawiązał tkliwe stosunki z młodą i piękną współrodaczką.

Za przybyciem do Grecyi, Bajron udał się zaraz do obozu Albańczyków. Ów widok zupełnie nowy, dziwne sprawił wrażenie na umyśle młodego i zapalonego poety.

„Nie zapomnę nigdy — mówi on — piérwszego wstępu do Tepala. Byłoto nad wieczorem, słońce chyliło się do zachodu. Zachwycił mnie widok zgromadzonych Albańczyków przybranych w płaszcze z złotemi hafty, w szaty aksamitne, uzbrojonych w pistolety i pałasze o srebrnéj rękojeści. Obok nich malowniczo wyglądali Tatarzy w wysokich baranich czapkach. Turcy przybrani w szuby i turbany, czarni niewolnicy i żołnierze. Na boku stało parę set okulbaczonych koni. Huk bębna, wrzawa zgromadzonych, głosy dziecięce, zaledwie dosłyszane z wierzchołków minaretów, dziwne kształty budynków, wszystko to razem silnie uderzyło moję wyobraźnię."

Bajron zwiedzał koleją: Albanię, Illyrię, Moreę, Teby i Ateny, Delfy, Parnas i Konstantynopol. W ciągu podróży żył naprzemian w zbytku i nędzy. Niejeden dzień strawił w wspaniałym pałacu Baszy, niejednę noc w ciemnéj i wilgotnéj stajence.

Sztuka, przyroda, wspomnienia dziejowe, wypadki podróży, słowem niezliczone zewnętrzne wpływy, zbudziły nowe zupełnie pojęcia w umyśle Bajrona. Władze jego duszy rozwinęły się dzielnie, powrócił do Anglii prawdziwym i wielkim poetą. A jednakże wrócił do kraju z duszą otoczoną barwą smutku i tęsknoty, a dziwne koleje przez jakie następnie przechodził, służą za nowy dowód, że niedola udziałem bywa poety. „Przyszłość moja smutną jest i bezbarwną — mówił Bajron — nieznany, samotny, poplątany w dziwne okoliczności, nie pragnę związków ze światem, wracam do kraju z ciałem strawionem gorączką, ale z duchem silnym i potężnym. Wracam bez żadnéj nadziei, bez żadnego nawet pragnienia."

Wkrótce po przybyciu do Anglii, Bajron stracił matkę i dwóch najlepszych przyjaciół. „Przekleństwo ciąży nad moją głową — pisał w liście do Dawiesa — matka moja nie żyje, przyjaciele pomarli, — gdzież pójdę? co mam czynić? Przybywaj, albowiem dusza moja strapiona, sam jeden zostałem na świecie" — „Pokój zmarłym — mówi w innym liście — nasz żal ich nie obudzi; ciężkiém jest życie, pociesza tylko nadzieja, że i my kiedyś spoczniemy."

Ale wśród smutnych i ponurych myśli poety, zawitała jutrzenka przyszłéj jego chwały. Nadeszła nakoniec chwila, gdy imię Bajrona stanąć miało obok piérwszych imion swego czasu.

Plonem podróży Bajrona był piękny poemat Child-Harold. W utworze tym poeta odstąpił od wszelkich dotychczasowych prawideł, a malując uroczo wrażenia doznane wśród najpiękniejszéj okolicy ziemi, śmiałém i ognistém piórem kreślił srogą boleść niepojętego i oderwanego żywota.

Poemat Child-Harold niesłychane otrzymał powodzenie. Tajemnicza postać bohatera uważaną była powszechnie jako wierny wizerunek poety, a tęskne słowa Harolda zdradzały wymownie chorobliwy stan duszy Bajrona.

Nie żal mi ziemi, gdziem młodość strawił:
Nie straszne podróże wodne;
Żałuję tylko, żem nie zostawił
Nic, coby było łez godne.
Teraz po świecie błądzę szerokim,
I pędzę życie tułacze.
Czegoż mam płakać, za kim, i po kim,
Kiedy nikt po mnie nie płacze?
Pies chyba tylko zawyje z rana,
Nim, obcą karmiony ręką,
Kiedyś swojego dawnego pana,
Wściekłą powita paszczęką.

Już okręt piersią kraje głębinę,
I żagle na wiatr rozwinął:
Nie dbam ku jakim brzegom popłynę,
Bylebym nazad nie płynął.

Powszechny odgłos niechęci i potwarzy, który ścigał niegdyś Bajrona przed odjazdem, zmienił się teraz w szmer uwielbienia. Dziwny urok otoczył młodego nieznanego lorda, który tworzył tak cudowne poemata, tak głęboko poznał serce ludzkie, tyle zwiedził krajów; urok ten zwiększył się jeszcze, gdy poznano w Bajronie pięknego i zajmującego młodziana.

Podczas gdy sława poety wzrastała codziennie, charakter jego zaczął się nieco wyrabiać. Coraz mniéj był dumnym z tytułu lorda, coraz słodszym i łagodniejszym w pożyciu. Ale jako prawdziwy Don Juan rzucił się w niezgłębioną otchłań intryg miłosnych. Wkrótce jednak przesycony, z umysłem chorym i niezaspokojonym, powziął myśl zawarcia małżeńskiego związku. Pragnął usilnie pokonać trawiącą go nudę, rozpocząć nowe życie. „Gdyby Lady Forkes chciała przyjąć moję rękę — pisał do Moora — oddałbym ją z ową chłodną obojętnością, która zmroziła już zupełnie czarne morze mojego uczucia. Nie odrzucam ja nowych wrażeń, ale je przyjmuję obojętnie. Dowodem tego, że najmniejsza przeszkoda zraża mnie i niechęci. A jednak dawniéj ileż to popełniłem szaleństwa? dawniéj, wszelka zapora była dla mnie nową podnietą. Dziś przeciwnie, gdyby słomka stanęła na méj drodze, nie schyliłbym się, aby ją podnieść. Jednak jeżeli chcesz, ożeń mnie z kim ci się podoba."

Ciekawe są szczegóły małżeństwa Bajrona. „Lady Milburn zaufana przyjaciołka poety — mówi Moor — widząc trawiącą go tęsknotę, skłaniała go aby się ożenił. Wskazała mu naprzód pewną młodą osobę. Bajron z swéj strony wspomniał o pannie Milbank. — Nie! zawołała Lady, panna Milbank nie dla ciebie: najprzód nie ma gotowego posagu, a potém trzeba ci kobiéty, któraby umiała ocenić twój gieniusz; panna Milbank nie do tego. — Dobrze — odrzekł zimno Bajron — niech będzie według twéj woli. To mówiąc, zasiadł i napisał list do młodéj osoby wskazanéj przez Lady Milburn. Otrzymał odpowiedź odmówną. — Widzisz pani — rzekł — przeznaczenie chce abym się żenił z panną Milbank; napiszę do niéj. I napisał w téjże chwili. Lady nie rada z postanowienia lorda, wydarła mu list z ręki, ale przeczytawszy go rzekła: — co za śliczny list, nigdy nie czytałam podobnego; szkoda gdyby nie doszedł swego przeznaczenia. — A więc poślę go — zawołał Bajron. — I tak się stało, a małżeństwo nastąpiło niebawem."

Lord Bajron rozpoznawszy stan swego majątku, radby się był wycofać, ale już było zapóźno. Ślub odbył się 2 stycznia 1815 r.

Drugiego lutego pisał do przyjaciela: „Przeszedł już miesiąc miodowy. Zbudziłem się i widzę że mam żonę. Swift utrzymuje, że mędrzec nie po-

winien się żenić, ale dla szaleńca jestto stan nader pożądany. Sądzę jednak, że należałoby zawierać związki na czas ograniczony. Wszelako odnawiałbym moje zobowiązanie, gdyby nawet miało trwać przez lat dziewięćdziesiąt dziewięć."

W tymże samym roku Bajron poznał Walterskota; powziął dla niego szczerą przyjaźń i głęboki szacunek. Raz jeszcze potém spotkali się w życiu, a po nagłym zgonie Bajrona, Walterskot zwany przez niego angielskim Aryostem, napisał piękne słowa: „niechaj umilknie odgłos złośliwości wraz z odgłosem słusznych zarzutów. Zdaje się, jakoby świetna gwiazda zgasła na niebie w chwili, gdy przez wymierzone teleskopy wyszukiwano plam ćmiących wspaniałe jéj światło."

W kilka miesięcy po ślubie Bajron ścigany za długi, coraz dotkliwiéj czuł położenie swoje. Skutkiem tego oziębły znacznie stosunki jego z żoną. Tymczasem przyszła na świat maleńka córeczka Ada. Nakoniec gdy nieszczęście coraz bardziéj ścigało lorda, Lady Bajron opuściła go nagle. Wyjechała do ojca na czas krótki, ale niezadługo Bajron otrzymał list z uwiadomieniem, że nie powróci.

Bajron, którego bujna wyobraźnia dręczyła dotąd bez celu, okazał w obec rzeczywistego nieszczęścia umysł nieugięty. Gdy straszna wiadomość uderzyła go jakby gromem, poetyczna jego dusza wzniosła się wysoko ponad poziom. Gorąco zapragnął widzieć znowu cuda przyrody, zdało mu się, że w samotności, głos z nieba złagodzi boleść jego i tęsknotę: zapragnął uciec przed niedolą w świat inny, w świat cudów i poezyi.

„Powody rozłączenia naszego — mówił Bajron przed śmiercią — zbyt były proste i dlatego świat ich nie pojął." Jakoż w rzeczy saméj, Lady Bajron, nie była zdolną pojąć poetycznego charakteru męża: chwile szału, którym ulegał równie jak wszyscy niemal poeci, były w jéj oczach wyraźnym dowodem obłąkania umysłu.

Razu jednego będąc obecnym mistrzowskiéj grze Keana, Bajron uległ gwałtownemu cierpieniu nerwów; skutkiem tego w dziwném uniesieniu wrzucił w ogień ulubiony swój zegarek. Żona obecna temu powzięła najsilniejsze przekonanie o szaleństwie męża. Myśl ta ścigała ją nieustannie. Zapał poetyczny w jaki poeta wpadał niekiedy, trwożył często słabą i lękliwą kobietę i potwierdzał jéj smutne wnioski. To było jedynie powodem zerwania łączącego ich węzła.

Dnia 28 kwietnia 1816 roku, Bajron przedsięwziął powtórną i ostatnią swą podróż. Wydał był ostatnie śpiewy Child-Harolda, Giaura, Narzeczoną z Abydos, Oblężenie Koryntu, Sarę i Korsarza. Wszystkie te poemata z oklaskiem uwielbienia przyjęte zostały. Opuścił Anglię na zawsze, a uświetniwszy blaskiem nieśmiertelnym swoję kolebkę, porzucił ją z goryczą w sercu.

W zbyt krótkim przeciągu, w roku, Bajron przeszedł straszne boleści: wierzyciele rozszarpali wszelką jego własność, a blask urodzenia uchronił go ledwie do więzów. W walce z całym światem, w walce z własną żoną

i krajem, spotwarzony, obdłużony, opuścił ojczyznę z czołem dumném i nieugiętém, jako szatan gdy opuszczał raj ziemski; powierzył los swój wzburzonym falom oceanu, i pod inném niebem szukał pociechy i zaspokojenia.

Życie Bajrona podzielić można na trzy wydatne epoki: od dzieciństwa do piérwszéj podróży; następnie do zawarcia małżeńskich związków; nakoniec od rozwodu aż do śmierci.

W piérwszéj, rozwijał się zwolna charakter jego osobisty; w drugiéj, charakter romantyczny poety; w trzeciéj duch wieszcza wzbił się potężnie, a gieniusz jego nowym nieznanym dotąd zajaśniał blaskiem.

Bajron opuściwszy Londyn udał się Renem do Szwajcaryi, a malownicze wybrzeża wspaniałéj rzeki, pięknym uczcił rymem. Zwiedził pole bitwy pod Waterloo, a nakoniec osiadł nad brzegiem Limanu. Tam przestał chwilowo żyć osobistém życiem, myśl jego zespolona z otaczającą go przyrodą, wzrosła niejako w wyniosłe szczyty Alp, w bystre nurty Rodanu, a na wzór J. Jakóba Rousseau, stał się nowym apostołem dzikiéj boleści, nowym wielbicielem idealnéj piękności miejsca tego.

W Deodatti blizko Genewy napisał Bajron trzeci śpiéw Child-Harolda, więźnia z Acillonu, i Manfreda. Poznawszy dokładnie Alpy udał się do Włoch, zatrzymał się nieco w Medyolanie, zwiedził w Weronie grób Romea i Julii, i popłynął nakoniec do Wenecyi. Zachwycony pięknością starożytnego miasta pisał do przyjaciół: „Wenecya dziwnie mi się podoba, przechodzi nawet wszelkie moje wyobrażenie, lubo wyznaję, wiele się po niéj spodziewałem. Bawi mnie wesołość gondolierów, i dziwnie nęci głęboka cisza panująca w mieście. Lubię ową postać ponurą, ale zarazem żałuję dawnych obyczajów, z których nie pozostało już żadnego śladu."

Tajemnicza piękność miejsca usposobiła zlodowaciałe serce poety do nowych uczuć i wrażeń. Wśród wielu kobiét, które zajęły chwilowo zmienny umysł Bajrona, pamiętném jest imię pięknéj Maryanny, żony weneckiego kupca i Margaryty, kobiéty z ludu. Postać ostatniéj godna dawnéj Wenecyanki, pokrywała ognistą duszę, burzliwe uczucia. Margaryta siłą pięknego oka, ujarzmiła poetę, rządziła samowładnie w jego domu, a zazdrosna i namiętna znieważała wszystkie kobiéty, które pragnęły wydrzéć jéj serce kochanka.

Pod wpływem tak rozlicznych wrażeń, poeta kreślił piérwsze karty Don Juana. Wówczas to poznał hrabinę Guicciolli, a nowy urok wyrwał duszę jego z ponuréj i bolesnéj tęsknoty. Młoda hrabina od siedmnastego roku życia, zaślubioną była zgrzybiałemu starcowi. Bajron wzbudził w jéj sercu silną i gwałtowną miłość, a uczucie to głęboko odbiło się w sercu poety. Stary hrabia zrazu pobłażającém okiem patrzał na wzrastającą słabość żony, lecz gdy Bajron odmówił mu pożyczki tysiąca funtów szterlingów, zmienił nagle sposób postępowania i wywiózł żonę do Rawenny. Hrabina tymczasem skutkiem wewnętrznego cierpienia zapadła nagle na zdrowiu. Rodzina jéj strwożona przyzwała lorda Bajrona, stary hrabia nawet upoważnił go do przybycia. „Sama najlepiéj osądzisz, co czynić daléj wypadnie — pisał Bajron do kochanki przed wyjazdem swym do Rewenny — czyli mam się oddalić

lub pozostać. Co do mnie, zgadzam się na wszystko, jestem obywatelem świata, cały obszar ziemi zarówno mi obojętny. Odtąd jak cię poznałem, jesteś jedynym przedmiotem méj myśli. Zdało mi się, że dla twéj spokojności, dla pokoju twéj rodziny powinienbym uciekać daleko, bardzo daleko. Ale żądasz sama powrotu mego do Rawenny, wracam więc posłuszny twéj woli."

W słowach Bajrona przebija dziwny wyraz tęsknoty i cierpienia. Znać że poeta niewiele już spodziewał się od losu, a zniechęcony życiem, zdawał się na wolę przeznaczenia.

Długi czas Bajron pozostał w Rawennie. Tamto napisał: Sardanapala, Dwaj Foscari, Kaina, Proroctwo Danta, i ostatnie śpiewy Don Juana.

Świat niesłusznie posądzał Bajrona o nienawiść przeciw rodzajowi ludzkiemu. Poeta z goryczą znosił czynione mu zarzuty. Ileż on smutnéj prawdy wyraził w słowach pełnych boleści; „moi prześladowcy tryumfują, wówczas dopiéro świat mi przyzna słuszność, gdy ręka moja zimną będzie, równie jak ich serca."

Oddawna już Bajron marzył o nowéj wyprawie do Grecyi. Poeta zapragnął wieńca bohatera, i w tym celu poświęcił się wyłącznie sprawie Hellenów. W roku 1823, wykonał dawno ułożony zamiar, i w towarzystwie hrabiego Gamba brata kochanki opuścił Włochy na zawsze. Dowiódł Bajron w ostatniéj swéj podróży, że poeta może być człowiekiem czynu, a śmiałością pomysłów, oraz niezłomną wytrwałością w niedoli, zadał fałsz mylnemu mniemaniu, że poezya tamą jest do rozwinięcia praktycznego pojęcia ludzkiego umysłu.

Dnia 15 lutego 1824 roku, obecny podówczas w Missolungii zapadł na zdrowiu, a po dwumiesięcznéj chorobie umarł 18 kwietnia 1824 r., zdala od kraju walcząc w obcéj sprawie.

W dniu 22 kwietnia przeniesiono zwłoki Bajrona do kościoła, i złożono obok generała Bormano. Wojsko postępowało za orszakiem, tłum ludu cisnął się dokoła. Ciało poety zamknięto w prostéj trumnie, osłonięto ją czarnym płaszczem, na nim złożono szpadę, chełm i wieniec z wawrzynu. Prostota obrzędu, wymowniejszą była nad wszelką okazałość.

Przystąpmy teraz do bliższego poznania dzieł Bajrona. Tu dopiéro poeta ukaże nam się w całym blasku, z duszą ognistą i namiętną, z umysłem dumnym i nieugiętym. W Child-Haroldzie więcéj niż w innych poematach przebija samoistność poety; to też Child-Harold jest niewątpliwie jednym z najpiękniejszych utworów Bajrona. W nim wylał całą gorycz zbolałéj duszy; w nim skreślił własne wrażenia, doznane w ciągu licznych swych podróży: czylito opiewa wspaniałą piękność staréj Kastylii, jéj przeszłość krwią zapisaną na kartach dziejów; czylito podziwia ową piękną Grecyę z jéj pysznemi kolumnami, na których wieki wyryły swe piętno; czylito podziwia uroczą piękność nadreńskich wybrzeży; czyli nakoniec duma nad gruzami starożytnego Rzymu.

Ale oko jego wyobraźni daremnie usiłuje odbudować to, co ręka czasu zniweczyła. Daremnie Harold przebiega nieskończone przestrzenie, daremnie

przepływa oceany, daremnie przeszłość przemawia do niego w każdym odłamie dawnych gruzów. „Któż zdoła uciec od siebie? woła w uniesieniu rozpaczy. W najdalszéj krainie jeszcze mnie ściga nieszczęsna plaga życia, szatan mojéj własnéj myśli; ponure ścieszki mojego żywota są jak step jałowy, na którym już żaden kwiat nigdy odkwitnąć nie zdoła."

Poeta wziął sobie za cel okazać, że przedwczesne skażenie myśli, prowadzi do przesytu i otrętwienia na wszelkie wrażenia zewnętrzne.

Child-Harold smutna i tajemnicza ofiara owego przesytu, widzi tylko chmury na drodze nienawistnego swego żywota. Na czole jego bladém, zawisło piętno przekleństwa, znamionujące nieszczęśliwe dzieci Kaina.

Ani podróże, ani widok pięknego nieba, ani urok wspomnienia, nic słowem nie działa na zbłąkaną duszę Harolda. Ze wszystkich uczuć pozostała jedna tylko duma.

Harold był więcéj niż nieszczęśliwy, bo był przesycony. Choroba, nudy, trawiła jego serce. Niekiedy łza zabłysła w męzkiém jego oku, ale duma mroziła ją niebawem. Harold krył ciężki ból w głębi łona, jakoby skarb zaklęty, nie pragnąc współczucia ani rady. I nikt go nie kochał, nawet kobiéty wspólniczki jego uciech i rozpusty.

A jednakże Harold, zrzuca niekiedy z serca uczucie dumy wstrzymujące łzę w oku; wspomina przeszłość, i pełnemi uroku słowy wylewa boleść z głębi duszy. Tu np. gdy rozważa starość, nie ową starość chylącą człowieka do grobu, znaczącą ciało jego i umysł równém piętnem zgrzybiałości, ale ową starość gnieżdżącą się jak robak w sercu niedawno pełném życia i siły. „Jakaż jest najsroższa boleść? — mówi poeta — jakież cierpienie ryje najwydatniéj ślad ponury na obliczu? Czyliż nie osamotnienie, gdy widzimy drogie nam imiona, wykreślone z księgi żywota. O i ja korzę się z pokorą przed Bogiem, którego ciężka ręka dotknęła me serce zrywając najdroższe mi węzły, niszcząc wszelkie me nadzieje. Płyńcie więc bez celu dni tęskne i ponure. Już mi czas żadnéj nie przyniesie boleści, albowiem ów czas już odarł duszę z wszelkiego uroku, i wylał na młode me lata gorzki puhar starości."

Ale poeta czuje niedostateczną potęgę ludzkiéj mowy do wyrażenia bolesnych wrażeń duszy. „Gdybym zdołał — mówi on — przyoblec w ciało najtajniejszą myśl moję; gdybym słowem jedném mógł określić mą duszę, moje serce, mój umysł, moje namiętności, moje uczucia z całą ich siłą, z całą ich słabością; gdybym mógł określić to co czuję, co cierpię, czego szukam, czego nie wiem, co doznaję! O, gdyby moje słowo miało być piorunem, rzuciłbym je światu. Ależ ja czuję, że umrę nie wypowiedziawszy mojéj tajemnicy; czuję, że myśl moja, pozbawiona słów, musi pozostać w duszy jakoby nóż zawarty na wieki w tępéj swojéj pochwie."

A jednak żaden mistrz nie umiał dzielniéj jak Bajron zawładnąć mową ludzką. Ale jako prawdziwy poeta, czuł potęgę ideału, czuł, że żadna forma nie zdoła nigdy określić tego co myśl poety stworzyć jest zdolną; i zapewne: inaczéj poeta byłby bogiem.

Małą zaledwie cząstkę poezyj Bajrona posiadamy w polskiém tłumaczeniu, ale to co mamy, dzięki mistrzowskim przekładom, stało się naszą własnością. I czyli to przypisać należy nadzwyczajnemu bogactwu naszego języka, tak snadno przyjmującemu najrozmaitsze barwy, czyli też niesłychanéj zdolności tłumaczów, którzy wniknąć zupełnie umieli w gieniusz wielkiego poety, dzięki tak jednemu jak i drugim, podziwiać możemy w całym blasku, niezrównaną piękność utworów Bajrona.

Obszerny rozbiór poematu „Mazepa" nie może być obojętnym dla czytelnika, albowiem przedmiot jakkolwiek nie ściśle historyczny, ale raczéj opromieniony fantazyą poety, a bardziéj jeszcze skrzywiony podaniem, wszelako osnuty jest na tle naszych dziejów. Poemat zaś tyle zawiera niezliczonych piękności, że niepodobna się ograniczyć na ogólném jego wspomnieniu.

Noc ciemna panuje dokoła. Świecą tylko łuny zwycięzkich pogoni. Karol XII złamany trudem i troską spoczywa pod cieniem jedliny, na łożu usłaném z liścia. Gorączka zgania sen z oczów nieszczęśliwego bohatera, ale młody monarcha po królewsku znosi upadek:

Pod moc swéj woli podbija cierpienia
Jak niegdyś wrogi, a żal i westchnienia
Tak milczą w jego łonie tajemniczém,
Jak niegdyś wrogi przed jego obliczem.

Dokoła mężni spoczywają wodzowie, każdy w płaszcz obwinięty, smutny i milczący trzyma w dłoni cugle swojego konia.

W niebezpieczeństwie jeździec i koń jego,
Są jakby bracia jeden dla drugiego,
Wśród nich Mazepa pod rozłożystemi
Gałęźmi dębu, na chropawéj ziemi
Słał sobie liście i drzewne konary,
Jak dąb ów silny i ledwie mniéj stary
Hetman kozaków, jak śród gromów wojny,
Śród burzy losu, zimny i spokojny.

Wszyscy spoczywają, Mazepa jeden czuwa pomiędzy nimi:

On zanim uległ, zwyczajem kozaka,
Opatrzył naprzód wiernego rumaka:
Otarł go burką i głaszcze po grzywie,
Cieszył się patrząc jak pasł się skwapliwie.
Lecz w tém koń-kozak był równy Mazepie:
Dziki i chyży jak wicher na stepie.
Mało dbał o to czém wzmoże swe siły,
Byleby panu w potrzebie służyły.

Gdy wszyscy spoczywają bezczynni, Mazepa suchym chlebem i wodą obdziela króla i panów. Wdzięczny król rzecze:

Nikt z nas w téj pustyni
Mniéj nie rozprawia, a więcéj nie czyni,
Jak ty Mazepo! przykład twój co chwila,
Jak i twój zapas, nas wszystkich posila.
Od Alexandra i od Bucefała
Dzielniejszéj pary ziemia nie widziała
Jak ty i koń twój, i od przodków Scytów,
Godzieneś jeźdzca najpiérwszych zaszczytów.
A hetman na to: strzeż Boże nauki,
Jaką za młodu doszedłem téj sztuki.

Za naleganiem króla, Ataman opowiada straszny wypadek swéj młodości. Będąc paziem przy królewskim dworze, poznał był piękną żonę kasztelana, podeszłego starca, mężnego i bogatego, ale duszy nikczemnéj. Młoda kobiéta ulegając przemocy rodziców, zawarła nienawistny związek, a dni jéj płynęły w smutku i tęsknocie.

I kto ją widział na ucztach i balach,
Blask jéj klejnotów, i mgłę smutku w oczach,
Radość w jéj licach, i perły w warkoczach,
Równać ją musiał do królowéj sadu,
Gdy więdnie zgięta pod ziarnkami gradu.

Mazepa z swéj strony dzielnym był i śmiałym młodzieńcem:

Syn Ukrainy nie kąpany w mléku,
Z odwagą w sercu a próżnością w głowie,
Śmiały, wesoły.....

I Mazepa pokochał piękną żonę kasztelana i tkliwéj doznał wzajemności:

Jest tysiąc tonów, tysiąc znaków myśli,
Co każdy pojmie, a nikt nie określi;
Skry mimowolne namiętnéj duszy,
Co z chmur jéj uczuć, jéj burz, jéj katuszy,
Pryskają same, a jedna po drugiéj,
Tworzą ów łańcuch tajemniczy, długi,
Co gdy raz tylko spoi duszę z duszą,
Już go na wieki razem dźwigać muszą,
A każde wzajem uczucie, myśl każda,
Przebiega po nim jak piorun i gwiazda.

Ale zawiść ludzka jak cień za niemi postępuje w ślady. Rozeszła się po Warszawie wieść o miłostkach Mazepy. Kasztelan wywiózł żonę na Podole. Mazepa pospieszył za nią i nieznany osiadł w poblizkim domku szlachcica. Niedługo wszakże trwało szczęście kochanków. Kasztelan uwiadomiony o potajemnéj schadzce, pojmał ich w gaju. Niewiadomo co się stało z piękną małżonką. Mazepę z rozkazu groźnego pana słudzy przywiązują do grzbietu dzikiego konia, a siekąc biczami i strasząc trzaskiem, puszczają jeźdźca wraz z koniem na wolą przeznaczenia.

Opis owéj zmuszonéj ucieczki niezrównanéj jest piękności. O ile tylko mowa ludzka zdoła się nagiąć do wyrażenia uczucia zrozpaczonéj duszy o tyle umiał jéj użyć Bajron.

Lecim i lecim na oślep przed siebie,
Prosto jak strzała; brzask piérwszy na niebie
Posrebrza chmury, lecz jeszcze nie świeci.
Noc, step przed nami, koń leci i leci,
Tchu brak mi w piersi, patrzę nieprzytomnie,
Wzrok mi się kręci i tylko wkoło mnie
Słyszę świst wiatru, a ostatnie głosy,
Co długo za mną przeciągłemi echy,
Ścigały w stepie i biły w niebiosy,
Byłyto wrzaski i szydercze śmiechy
Zgrai mych wrogów. Co krwi we mnie było,
Zawrzało ogniem, i z nadludzką siłą
Targnąwszy głową, zerwałem ogniwo,
Co kark mój z końską związywało grzywą.
I wtył jak mogąc zwrócony pół ciałem,
Wzajem obelgi i klątwy miotałem!
Bezsilne klątwy, ale i te może
Wiatr i pęd konia zagłuszył w ich uszach,
I to mnie boli: bo chciałem w téj porze,
Ślad wzgardy mojéj zostawić w ich uszach.
Potém, ha, potém! nie próżnemi słowy
Jam im odpłacił! Podole i stepy,
Pomną obrazę i zemstę Mazepy!
Ten gmach, te baszty, ten mur opasowy,
Co mógł urągać wojska oblężeniu,
Gdzież są? nie został kamień na kamieniu.
. . . . . .
I nikt nie myślał o tym dniu odpłaty,
Gdy na grzbiet koński jako marne drewno,
Wiążąc mnie z wzgardą i na zgubę pewną
Puściwszy, szydząc wznosili wiwaty!

Nikt z nich nie myślał, że w téj saméj błoni,
Ten sam, na czele stu tysięcy koni,
I stu tysięcy dzid, szabel, mołojców,
Przyjdzie jak piorun, i nad głową zbójców,
Sprawiedliwości i zemsty zarazem
Sąd czynić będzie ogniem i żelazem.
. . . . . .
Tymczasem daléj i daléj bez toru,
Koń mój jak wicher, jak błysk meteoru
Leci i leci: wsie, ziemia uprawna,
Wtyle za nami zostały już zdawna.
Przed nami wkoło, jak oko zasięga,
Step równy; pusty, w końcu widokręga,
Przeze mgłę tylko widać, że jak pasem,
Sinym po bokach otoczony lasem.
. . . . . .
My lecim, lecim. Już przeszedł wschód słońca,
Lecz dzień pochmurny i cisza dusząca.
Słyszę świst w uszach, lecz nigdzie powiewu,
By nim choć westchnąć; a koń chrapiąc z gniewu
Leci i leci. Mdłość głowy zawrotu,
Owładła członki, zimne krople potu
Leją się ze mnie. Chcę mówić modlitwy,
Próżno! koń leci; myślę że się znuży,
Że zwolni biegu, że takiéj gonitwy
Nad dwie, trzy godzin nie wytrzyma dłużéj.
Próżne nadzieje! ciężar ciała mego
Był niczém, owszem był bodźcem dla niego.
A ruch mój każdy, skorom się odważał
Poruszyć na nim, czułem jak pomnażał
Pęd i strach jego, i gniéw jego pychy.
Probuję głosu: słaby był i cichy.
Lecz na dźwięk piérwszy, jak rażony strzałem,
Koń drgnął, podskoczył, i z wściekłym zapałem,
Pędził tém chyżéj; i na każde słowo
Wstrząsał się, jakby na trąbę bojową.
Powrozy w ciało coraz głębiéj grzęzły,
Aż krew pryskając zbroczyła ich węzły.
A jakby ognia żywego płomienie,
Pierś mi i usta paliło pragnienie.
. . . . . .
Czułem przez chwilę dreszcz śmiertelnéj zgrozy,
Ale wnet pamięć, i myśl, i pojęcie,
W jednym się mglistym zmieszały odmęcie.

Step, ziemia, niebo i ja z niemi społem,
Zdały się szybkiém obracać się kołem,
Aż wzrok mój ciemna powlokła zasłona,
I w piersiach serca konwulsyjne drgania
Ustały nagle.....
....
Jak długo trwały te mdłości, nie zgadnę,
Myśl z ciałem były zarówno bezwładne.
Przytomność piérwsza wróciła. Gdzież jestem?
Czuję chłód jakiś: serce się porusza,
Krew uderzyła, ożywia się dusza.
Słuch jakimś dziwnym napełnion szelestem.
Otwiéram oczy, oglądam się, ciemno!
Koń parska, słyszę, lecz czy koniec jazdy?
Nie czuję biegu, patrzę, aż podemną
Woda, i w wodzie niebiosa i gwiazdy.
Zamknąłem, znowu otwieram powiekę,
To nie sen! rumak mój płynie przez rzekę.
Wzdęta i bystra, a rozlana fala
Przed i za nami połyska się zdala.
Głąb wre i szumi, a my wśród jéj prądu,
Do nieznanego sterujem się lądu.
Chłód świeżéj wody zbudził mnie z omdlenia,
Koń silną piersią porze nurt strumienia;
Parska, a piana jak płachtami śniegu
Posrebrza falę. Dopływamy brzegu,
Lecz cóż port dla mnie za różnicę czyni?
Tamby śmierć w głębi, a tu śmierć w pustyni.
Zmokły, zziajany, z dymiącemi boki,
Trzęsąc się z zimna, koń na brzeg wysoki
Wspiął się, wyskoczył: przed nami równina,
Jak w nocy zajrzéć zamglona i sina.
I w lewo, w prawo, w mdłém świetle miesiąca,
Zda się gdzieś w przestrzeń przedłużać bez końca.
.....
Koń daléj i daléj
Pędzi, lecz czuję, że chwieje się w pędzie,
Że musi upaść. Lecz cóż ze mną będzie?
A już od wschodu u brzegu przestrzeni,
Piérwszy brzask wschodu srébrzy się, rumieni
Lecz jakże wschodzi powoli!
Jak tu noc długa, jak leniwe słońce!
Wzywam go, czekam, jak mego obrońcę,
Jak kresu mojéj niedoli.

I już, już coraz jaśniéj i czerwieniéj,
Wschód się zajmuje, i smugi promieni
Buchają na niebios sklepie.
I wnet krąg tarczy na poły widomy,
Wyjrzał nad ziemię, i blask jéj poziomy
Piorunem strzelił po stepie.
. . . . . .
Wtém jedną razą rozległ się po błoni,
Głos jakiś cudzy, czy to rżenie koni?
Czy wiatr w gałęziach widoméj dąbrowy?
Nie, nie, to tętent, to tabun stepowy.
Widzę już, widzę jak całe ich stado,
Z lasu na pole wybiegło gromadą,
I w cwał na przełaj zabiega nam drogę.
Chciałbym zawołać, probuję, nie mogę.
Ziemia się wstrząsa pod pędem ich biegu,
Pędzą jak jazda w bojowym szeregu.
Lecz gdzież są jeźdzcy, wglądam się zdaleka,
Koni jest z tysiąc, żadnego człowieka!
Widok ich zda się wzmógł moc mego konia,
Pomknął się, zarżał i jak martwe brzemię,
Zachwiał się, zarył, i runął na ziemię.
Z dymiącém nozdrzem tocząc piany białe,
Leżał, i nogi wyciągnął zmartwiałe:
Skończył swój zawód piérwszy i ostatni!
Kołem go zewsząd obiegł orszak bratni:
Patrzą się na mnie, zbliżają się, stają,
Parskną, odskoczą, i znowu wracają;
Znać, że się dziwią i boją zarazem.
A wtém jak gdyby za danym rozkazem,
Wszystkie za jednym znać wodzem ich stada,
Czarnym, roślejszym niż cała gromada,
Chrapiąc, parskając, kopnęły z kopyta,
W chmurach kurzawy, co zpod stóp ich wzbita,
Z hukiem stu gromów, tłum w stepy ucieka,
Jakby z instynktu, przed twarzą człowieka.
Jam został jeden z rozpaczą w méj duszy,
Na martwym koniu, co już się nie ruszy,
I chcąc się z niego odwiązać daremnie,
Chłód jego śmierci, przenikał aż we mnie,
Razem, ze straszną pewnością, że społem,
Popiół mój z jego zmiesza się popiołem.

Mazepa skrępowany, bezsilny, sam czeka niechybnéj śmierci, a jednak ze zgrozą widzi zbliżającą się jéj godzinę. O! bo człowiek im nieszczęśliwszy, tém bardziéj przywiązuje się do nędznego swego żywota. Zna głęboko serce ludzkie poeta, gdy mówi:

A jednak dziwna, że nieraz piastuny
Szczęścia, przepychu, zbytku i fortuny,
Co z wiecznym śmiechem na czole i w ustach,
Godują w świecie i toną w rozpustach,
Konają nieraz spokojniéj i śmieléj,
Od tych, co tutaj, nic prócz łez nie mieli.
Ale nieszczęśnik, z wszystkiego obrany,
On zawsze jakiéjś spodziewa się zmiany,
Ulgi, pociechy, i choćby dlań w świecie
Śmierć była ulgą jedyną, on przecie
Widzi w niéj wroga, który mu w zawięzi,
Chce owoc szczęścia strząść z rajskiéj gałęzi.
Jutroby może był panem dostatku,
Otrząsł się z cierpień, podniósł się z upadku;
Jutroby piérwszém mogło być ogniwem,
W paśmie dni jego nowém i szczęśliwém.
Od jutra może spodziewać się tyle!
Maż mu to jutro świtać na mogile?

Kozacy nakoniec znajdują napół żywego Mazepę, niosą go do domu, spieszą z pomocą temu, który ma im kiedyś hetmanić. Na tém Mazepa kończy opowiadanie:

Skończył i dłonią ku słuchaczom skinął,
Pogłaskał konia, burką się owinął,
I na posłanie dla niego nie nowe
Legł, o pień dębu opierając głowę.
I zasnął wkrótce, jak wśród Ukrainy.

Tu wszelkie pochwały byłyby zbyteczne i niewłaściwe. Należy tylko ukorzyć się z czcią przed potęgą wieszcza, który tak głęboko umié poruszać serce czytelnika, tak zapalić jego wyobraźnię. Wielki ów malarz ludzkich namiętności, umié jak nowy Rembrandt, na ciemném tle swoich obrazów, najwydatniejsze przecież rysować kształty, a promienie światła, któremi tak cudownie rozświeca oblicza swoich bohaterów, zdają się być połyskiem meteoru przedzierającym się niekiedy zpośród grubych ciemności.

Jednym z piérwszych poematów Bajrona, jest *Giaur* (niewierny) ułomek z tureckiéj powieści, napisany pod wpływem pięknego nieba Grecyi, gdzie

wszystko tchnie tajemniczym urokiem owéj pełnéj cudów przyrody, gdzie ludzie i żywioły zdają się przeznaczonemi do nieustannego szczęścia. Poemat rozpoczyna się mistrzowskim obrazem obecnéj Grecyi:

Kto na śmiertelném oglądał posłaniu,
Piękne oblicze zaraz po skonaniu,
Nim dzień przeminął, piérwszy dzień nicestwa,
Ostatni trudów i bólów męczeństwa;
Nim śmierć ostatniém przyciśnieniem ręki,
Zgładziła rysy gdzie chronią się wdzięki;
Kto pomni twarz tę anielsku-łagodną,
Tak zimno-piękną, tak smutnie pogodną;
Zda się w letargu zasypiać głęboko,
Zda się być żywą, gdyby nie to oko,
Gdzie już nie świeci ni łza, ni namiętność,
Gdzie mieszka zimna, wieczna obojętność,
I straszy widzów, i serca im studzi,
I z oczu trupa wpada w serce ludzi;
Gdyby nie wzrok ten, nim piérwszy dzień minie,
Nim ta godzina, w téj jeszcze godzinie,
Śmierć tak łagodnie, niewidomie władnie,
Że jéj tyrańskwa nikt zrazu nie zgadnie.
Dziś do téj twarzy Grecya podobna,
Martwa oddawna, lecz dotąd nadobna,
Jéj widok ziębi, jéj wdzięk do łez wzrusza,
Bo już piękności nie ożywia dusza.
Jéj wdzięk jest tylko uśmiéch pozostały
Na chwilę w ustach, co ducha oddały.
A jéj rumieniec chorowita krasa,
Która na licach trupich nie zagasa:
Ostatni odblysk zachodnich promieni,
Co się wokoło ruiny czerwieni;
Ostatnie czucie co żegna nadzieję;
Iskra niebiańska, która dotąd tleje,
Lecz już swéj miłéj ziemi nie rozgrzeje.

Nadzwyczajny zapał znamionuje cały poemat; miłość i zemsta dwie równie straszne namiętności stanowią główną jego treść. Piękna Leila niewolnica z haremu Hassana, kocha młodego Giaura. Hassan przekonany o jéj zdradzie, topi w morzu niewierną, a gdy w nielicznym orszaku jedzie szukać nowéj małżonki, odbiera śmierć z ręki Giaura, jako zasłużoną karę za zbrodnię. Giaur odtąd trawi życie w ciężkiéj pokucie, a w lat wiele potém w chwili skonu odkrywa swą duszę obecnemu zakonnikowi i wyznaje zbrodnie obciążające jego przeszłość. Całość poematu jest zachwycająca, poeta

umié nagiąć swą mowę do wiernego skreślenia rozlicznych stanów duszy. Jakże wymownie maluje ową boleść straszną, samotną, a przecież dumną i nieugiętą:

Jeśli cierpiących samotność ogarnie,
Przerwa mąk tylko powiększa męczarnie;
Pusta myśl czując otchłanie dokoła,
Chce je zaludnić i o boleść woła.
Bo nie dzielone każde czucie nudne,
I szczęście samo do zniesienia trudne.
Serce w cierpieniach gdy samotność widzi,
Chcąc mieć pociechę, wszystkich nienawidzi.
I jestto serce, jak człowiek w mogile,
Gdyby z letargu zbudził się na chwilę,
I czuł z wzdrygnieniem, że robactwo toczy
Odżyłe jego oblicze i oczy.
I nie miał siły bronić swych wnętrzności,
Od tych szkaradnych nieproszonych gości.
To serce jest jak pelikan, gdy leci
Przez obszar pustyń do gniazda, do dzieci.
Krew swą gotowy na żywność im przelać,
Życie z głodnemi nie skąpy podzielać.
Już dziobem piersi rozranił szlachetne,
I widzi tylko swe gniazdo bezdzietne.
Najsroższe męki jakie drudzy znoszą,
Samotnéj duszy stają się rozkoszą.
Sierocéj, stepem otoczonéj dzikim,
Trawiące czucia niedzielone z nikim.
Któżby był nieba ciekawy widoku,
Bez słońca i bez żadnego obłoku?
Lepiéj jest płynąć choć się niebo chmurzy,
Niż morskiéj nigdy już nie doznać burzy.
I gdy żywioły zakończyły wojnę,
Być wyrzuconym na brzegi spokojne,
W pustą zatokę i bez towarzyszy,
Późnego zgonu w wiecznéj czekać ciszy.
Lepiéj raz przepaść w zaburzone fale,
Niźli żyć gnijąc po trochu na skale.

Daléj, jakże straszny widzimy obraz zbrodniarza dręczonego wyrzutem własnego sumienia.

Straszna ta chwila, w któréj duch rozkręci
Za jednym razem cały zwój pamięci,

I w jednę drobną kroplę czasu zleje
Życia bolesne i zbrodnicze dzieje.
Kto nienawidzi, kocha, lub się boi,
Temu za piekło jedna chwila stoi.
Chwila spoczynku śród potoku zdarzeń,
Kto zliczy ile mieści wyobrażeń?
Bo choć dla czasu staje się nicością,
Ona dla myśli jest całą wiecznością;
Bo nieskończone, niezmierne cierpienie,
Może w myśl jednę zgromadzić sumienie.
I w jednéj chwili wycierpieć odrazu
Bóle bez końca, nadziei, wyrazu.
. . . . . .
Dusza brzemienna zbrodni swych ciężarem,
Jest jak skorpion opasany żarem,
Krąg coraz mocniéj zwęża się i błyska,
I więźnia coraz gwałtowniéj dociska.
Aż gdy go zewsząd na wylot przepieka,
Skorpion cierpi, dąsa się i wścieka.
Jeden mu został sposób wyjść z pożogów:
Ma żądło, które wyostrzył na wrogów,
Które trucizną pewną rany poi.
To żądło więzień topi w głowie swojéj.
Podobnie dusza zła kona w cierpieniach,
Lub żyje jako skorpion w płomieniach.
Bo kiedy ludzi zwiąże pamięć zbrodni,
Światu niezdatni, a nieba niegodni,
Rozpacz nad nimi, pod nimi noc gruba,
Wkoło płomienie, a w pośrodku zguba!

Spowiedź ostateczna Giaura jest najszczytniejszém określeniem dumnéj boleści, nieuginającéj się nawet w obec strasznéj chwili śmierci.

Tyś dni swe przeżył ojcze zakonniku,
Licząc różaniec, prawiąc msze bez liku,
Za cudze zbrodnie błagając gniew boski,
A sam nie znając zgryzoty, ni troski.
Prócz smutków krótkich, zwyczajnych w tém życiu,
Siwy, spokojny, jak byłeś w powiciu;
Przeraża ciebie walka uczuć dzika,
Ilekroć zajrzysz w serce pokutnika;
Choć jego skargę, jego łzę żałosną
Przyjmujesz w duszę czystą i litosną.

Moje dni krótkie na płaczu padole,
Obfite w rozkosz, lecz obfitsze w bole.
Przecież pomiędzy rozkosze i trudy,
Przeszedłem życie nie doznawszy nudy,
Na ucztach, w bojach, z kielichem, kindżałem,
Zawsze spokojność gnuśną pogardzałem.
Dziś nic nie kocham ani nienawidzę;
Pychy nie czuję, nadziei nie widzę;
A dzisiaj jeszcze wolałbym być gadem,
I pod klasztorem pełzać strasząc jadem,
Niż być skazanym w cichym mniszym stanie,
Na modlenie się i na rozmyślanie.
Przecież spoczynku nadzieja mnie łechce,
Chciałbym mieć pokój, ale go czuć nie chcę.
Wkrótce się wszystko skończy, tak jak życzę,
Zasnę w mogile nie marząc o niczém.
Choć moje życie zda się tak zbrodniczém,
Gdybym mógł odżyć, żyłbym tak jak żyłem.
Dziś w méj pamięci, jak w ciemnéj mogile,
Leżą już zmarłe méj rozkoszy chwile.
Lepiéjby dawno leżéć razem z niemi,
Niż nagą włóczyć tęsknotę po ziemi.
Nigdy mój umysł nie upadł na męztwie,
W długiém i straszném żywota męczeństwie,
Sam dobrowolnie w grób się nie położę,
Jak dawni głupcy, i dzisiejsi tchórze.
Ze śmiercią nieraz spotkałem się zblizka,
Chętniebym poległ wśród pobojowiska,
Gdybym rycerskim mógł oddychać szałem,
I kochać sławę jak piękność kochałem.
Lecz jam nie walczył dla oklasków gminu,
Nie dbam o zdobycz lub stratę wawrzynu;
Ale mnie dzisiaj jeszcze niech poruszy
Przedmiot prawdziwie godny mojéj duszy,
Niech mam przed sobą kochankę lub wroga;
Choćby mi groził i miecz i pożoga,
Gdy serce mścić się lub bronić rozkaże,
Na miecz i ogień jeszcze się odważę,
Bo mężny na śmierć ze wzgardą poziera,
Nędzarz jéj pragnie, tchórz jéj się wydziera.
W krainach zimnych i serca są chłodne,
Uczuć prawdziwéj miłości niegodne.
W mojém gorącém sercu, czucia moje,
Wrzały jak w Etnie płomieniste zdroje.

Nie umiem nucić w żałosnych piosenkach,
O lubych więzach i okrutnych wdziękach.
Jeśli krwi burza, oczu błyskawica,
Ust nieme drżenie, mieniące się lica,
Serca katownia i głowy szaleństwo,
Śmiałość w zamiarach i w spełnieniu męztwo,
Pierś chciwa zemsty, dłoń zbrojna kindżałem,
Wszystko co czułem, i co dokonałem,
Jeśli to znakiem kochania, kochałem!
Nie wiem jak wzdychać i skargi wywierać,
Wiem jak wzajemność zyskać, i umiérać:
Umrę, lecz piérwéj rozkoszy użyłem,
Niech co chce będzie, szczęśliwy już byłem!
Mamże kląć losom? jam sprawca méj doli,
Ja chciałem cierpieć, nie zmieniłem woli.
Dziś wróć mi dawne trudy i rozkosze,
Jam gotów cierpieć, co zniosłem, co znoszę.
Zaiste miłość jest świętym pożarem,
Iskrą zatloną w ogniach nieśmiertelnych,
Aniołów dobrem, Wszechmocnego darem,
Balsamem rajskim dla serc skazitelnych.
Pobożność duszę w niebiosa porywa,
Ale z miłością niebo w ziemię wpływa.
Uczucie, które bóstwem zapalamy,
Które wytrawia wszystkie myśli plamy,
Jestto promyczek wszechmocnego słońca,
Korona duszę wokoło wieńcząca.
Wyznam, że moja miłość była inna,
Była zbyt ziemska, ludzka, nawet gminna,
Jam zbrodniarz ojcze, lecz ona niewinna!
Ach! ona była mą gwiazdą polarną,
Zgasła! któż teraz oświéci noc czarną?
Ach! gdyby jeszcze weszła mi pogodnie,
Wiodła mnie znowu, chociażby na zbrodnie!
Bo cóż dziwnego, że kto raz postrada,
I całe szczęście i wszystkie nadzieje,
Pokornie głowy pod wyrok nie składa,
Ale klnie losom i z bolu szaleje!
I w zbrodniach szuka męczarniom ulżenia,
A zwiększa tylko winy i cierpienia!
Ach! serce chore na wewnętrzne rany,
Nie dba na żaden cios zewnątrz zadany.
Kto raz spadł z niebios, już ten się nie lęka,
Nie dba gdzie spadnie, wié że wszędzie męka.

W Korsarzu jak utrzymują niektórzy, Bajron wziął za wzór Napoleona, tylko że ścieśnił pole działania swego bohatéra, przedstawiając go jako prostego morskiego rozbójnika. Konrad z nienawiści dla ludzi popełnia mordy i bezprawia; a jednak w skażoném jego sercu, na czarném tle zbrodni, świeci uczucie świętéj i stałéj miłości. Ów złowieszczy bohater nie jest pospolitym zbrodniarzem:

Od brzega do brzega,
Imię się jego jak piorun rozlega,
To dość: o resztę nie trwoży się rzesza,
W bitwach on tylko z jéj tłumem się miesza,
Zresztą sam zawsze; krótkie jego słowa,
Lecz wnet co wyrzekł, dłoń spełnić gotowa.

Konrad zamyśla o nowéj wyprawie, wydaje rozkazy korsarzom. Wszyscy zbierają się posłuszni jego woli.

Dziwny ten człowiek dumy i milczenia,
Którego nigdy śmiechu, ni westchnienia
Nikt z nich nie widział, którego zdaleka
Sam widok twarz ich bladością powleka,
Rządzi ich duszą z tą sztuką władania,
Co zmusza, mami, lecz sądzić zabrania.
Cóż jest ów urok, że mu nikt z korsarzy,
Choć szemrze, zajrzy, sądzić się nie waży?
Co w nich dlań wzbudza tę cześć, posłuszeństwo?
Potęga myśli, duszy czarnoksięztwo,
One go wzniosły, gdy i los mu sprzyja!

Konrad był z rzędu owych ludzi, w których zbyt wielka siła namiętności nie umié się nagiąć do ciasnych form krępujących społeczeństwo: dumny, nieugięty, niezrozumiany od tłumu:

Zamiast nawzajem gardzić zgrają podłą,
On przeklął cnotę jak swych cierpień źródło.
Zalśniony gniewem klnąć zdrajców obłudzie,
Choć znał, zapomniał, że są lepsi ludzie.
Lżony, wzgardzony, bez zgryzot nawzajem,
Serce swe z ludzkim rozbratał rodzajem,
I obrał sobie za swój cel na ziemi,
Za winy kilku, mścić się nad wszystkiemi.

Ale mimo to Konrad nie zamyka swéj duszy przed czystym i promiennym urokiem miłości.

Występca, zbrodzień, z każdéj cnoty zboczył;
Przeciw téj jednéj nigdy nie wykroczył,
Ona, gdy wszystkie nikły po kolei,
Świeci mu jeszcze jak gwiazda nadziei.

Korsarz żegna piękną i tkliwą Medorę. Daremnie kochanka usiłuje go zatrzymać; pragnienie zemsty z równą siłą przemawia w jego duszy:

Tak, rzecze Konrad, dziwne jestto serce,
Zwiedli je zdrajcy, zelżyli oszczerce,
Jak płaz zdeptali, lecz mści się jak żmija,
Ludzie w nie wleli jad co ich zabija.

Medora widząc, że wszelkie prośby daremne, tkliwie i z podaniem żegna kochanka:

Łkając, na szyi zawisła rękami,
Drżące w nim serce czuje pod ustami,
On nie śmiał podnieść, nie śmiał znieść widoku
Bladości w twarzy, i rozpaczy w oku.
W całéj dzikości bezwładnego wdzięku,
Włos jéj po jego rozesłał się ręku,
Stłumiony oddech i mdłe serca bicie,
Świadczą w niéj tylko cierpienie i życie.
Zagrzmiał huk działa, odjazdu godzina,
Słońce zachodzi, on słońce przeklina:
Strzał drugi, trzeci, ścisnął z uniesieniem
Niemą od płaczu, proszącą milczeniem;
I drżącym krokiem zaniósł ją na łoże,
Spojrzał z rozpaczą raz ostatni może,
Dreszcz przebiegł serce, uczuł że dla niego
Prócz niéj na świecie, nic niéma miłego.
Dotknął ust: zimne; spotkał wzrok wpół zgasły,
Zwrócił się nagle, drzwi z łoskotem trzasły.

Konrad z współtowarzyszami przybywa do zatoki *koron*; sam przebrany za Derwisza dostaje się do pałacu Baszy, korsarze tymczasem uprzedzając rozkaz wodza, zapalają flotę stojącą w przystani:

Porwał się Derwisz na wybuch płomieni,
Nagłą w nim zmianą zbledli przerażeni,
Porwał się Derwisz, nie już w mniszym stroju,
Lecz jak wojownik gotowy do boju.

Rozdarł swą szatę, czapkę zerwał z skroni,
Pancerz na piersiach, szabla błyszczy w dłoni,
Hełm nizki, lśniący, na nim czarne pióro,
Twarz się zczerniła, oczy ogniem gorą,
Jak na zjawisko piekielnego ducha,
Pierzchły z serc wrogów męztwo i otucha.

Zbójcy wpadają do pałacu Baszy; krzyk, wrzawa powstaje dokoła. Basza Seid ucieka rwąc brodę z rozpaczy:

Wpadli, okrzykiem witają weseli,
Śród stosu trupów zwycięzcę ujrzeli:
Miecz trzyma w górze, ogniem iskrzą oczy,
Jak syty tygrys w krwi rozlanéj broczy.

W téj chwili jęk niewiast słyszéć się daje zdala. „Harem płonie!" wołają wszyscy. Konrad spieszy na ratunek bo godłem jego jest:

Śmierć nieść mężczyznom, lecz pomoc niewieście.

Zpośród kłębów dymu unoszą zbójcy omdlałe kobiéty.

Lecz któż jest, któż jest ta piękna i blada,
Ta najpiękniejsza w objęciach Konrada?
Postać niebianki, tronu godne lica,
Anioła godne; któż jest ta dziewica?

To Gulnara, pani haremu, piérwsza niewolnica baszy. Ale Konrad nie patrzy na jéj wdzięki. Tymczasem Seid poznaje przed jaką garstką pierzchły jego zastępy; bój wzmaga się z nową zaciętością.

Alla il Alla! powstał okrzyk w gminie,
Każdy jak wściekły pomści się lub zginie.
Ogień za ogień, krew za krew niech płaci:
Lecą do boju po trupach swych braci,
Znów szczęk, wrzask, ciżba, wre bitwa straszliwa,
Szczęście jak nagle wezbrało, odpływa.

Konrad zwalczony, dostaje się w moc wroga, ale silny dumą, kryje boleść w głębi łona:

Wzrok pogardliwy i twarz obojętna,
W jeńcu, zwycięzcy noszą jeszcze piętna.

Zamknięty w ciemném i wilgotném więzieniu Konrad obejmuje okiem straszną przepaść nad jaką stoi. Zaledwie słońce wzejdzie, czeka go śmierć, śmierć na palu, straszna i ohydna.

Znikła nadzieja szczęścia, czcze zamiary,
Tryumf swych wrogów, każń grożącéj kary,
Przeszłość się czerni jak otchłań bezdenna,
Przyszłość jak chmura gromami brzemienna.
Czyny, i sława, i myśli, i chęci,
Co jak ćma nocna kryły się w pamięci.
. . . . . .
Lecz jest myśl jedna, któréj uśpić nie mógł,
Któréj pomyśléć nie śmiał: jak te wieści
Przyjmie Medora, jak zniesie boleści?
Wtenczas raz tylko, wtenczas z cichym jękiem,
Porwał się z miejsca, i z kajdanów brzękiem,
Wzniósł nagle ręce jakby zerwać żądał
Więzy na które z wściekłością poglądał.

Nakoniec znękany i strudzony zasnął wobec śmierci.

Śpi, uśmiéch w ustach, łza lśni zpod powieki,
Oddycha lekko, oby spał na wieki!

Konrad śpi, ale czuwa nad nim tkliwe oko Gulnary. Ona zdjąwszy pierścień z ręki śpiącego Baszy, za jego pomocą przeszła wśród straży, dostała się do więzienia.

W powiewnéj bieli, postać jéj w milczeniu,
Jak duch wiejący, porusza się w cieniu
Lekka, wysoka, pierś tylko i lica
Mdłe światło lampy zaledwie oświéca;
Włos rozpuszczony na białéj odzieży,
Jak smug ciemności wpół na piersi leży,
Wpół spływa z ramion; stopa jak śnieg biała,
I jak śnieg cicho na ziemię spadała.
Któż ona sama, w nocy, mimo straży,
Jak tu wejść mogła, jak się wchodzić waży?
Ach, spytaj raczéj przed jaką przeszkodą,
Zadrży kobiéta gdy jéj duszę młodą,
Czułość i litość jak Gulnarę wiodą?

Gulnara przyrzeka Konradowi pomoc, a przynajmniéj otrzymanie zwłoki w spełnieniu wyroku śmierci. Dumny Konrad, odrzuca zrazu jéj ofiarę:

Gdym nie zwyciężył, mamże z braci całéj,
Sam nie śmiąc umrzéć powracać bez chwały?

Ale w téj chwili obraz Medory staje w myśli Konrada. Wyznaje Gulnarze, że dla kochanki pragnie żyć jeszcze, Gulnara na to:

Więc ty już kochasz, ty już kochasz inną,
Cóż mi to znaczy? nie, nic nie powinno.
Jednak ty kochasz! Ach ja zajrzéć muszę
Duszy, wzajemną kochającéj duszę,
Która nie czuje i nigdy nie czuła
Téj czczości serca, co moje zatruła.

Tu Gulnara wyznaje Konradowi wstręt niepokonany do Baszy, i mówi z rozpaczą:

Pragnęłam kochać, kochać jestem zdolną,
Lecz czułam, czuję, że nie jestem wolną.
Gorzkie pieszczoty, gdy je przyjąć każą,
Podląca wierność pod dozorców strażą,
Lecz trudniéj jeszcze gdy wstręt serce mrozi,
Udawać czułość, bo pan gniewem grozi.
Rzekła, i ręce okute Konrada
Z tkliwą pokorą do serca przykłada.
Poszła jak przyszła, jako sen przelotny.
Byłażto ona, znówże on samotny?
Jakażto kropla jak brylant promienny,
Lśni na okowach od jasności dziennéj,
Łza to najświętsza, łza ludzkiéj czułości,
Najdroższa perła co z morza litości,
Nim tkliwa dusza na świat ją uroni,
Już wygładzona w cherubina dłoni.

Ale daremnie piękna Gulnara błaga srogiego Seida. Minęło jednakże trzy dni, a wyrok na więźniu jeszcze niespełniony:

Idzie dzień czwarty, przeminął, a z nocą,
Ciemność i burza przyszły z całą mocą.
O! jak mu luby szum, ryczenie morza,
Gdy zapienione wre u ścian podnoża.
Porwał się, słucha, jakby z wiatry społem,
Duch jego bujał nad dzikim żywiołem.

Północ wybiła, słychać stąpanie. To Gulnara, ale krok jéj drżący, twarz blada.

Spojrzała dziko, w tym wzroku wyczytał
To słowo: umrzesz, i o nic nie pytał.

Ale zdumiony Konrad zapytuje Gulnarę, zkąd ta jéj chęć ocalenia zbrodniarza? Gulnara na to:

Zkąd ta chęć we mnie, tak ci więc z mąk długich,
Oślepła dusza na uczucia drugich;
Że chcesz, bym sama, chociaż wstydem płonę,
Zrywała z serca skromności zasłonę?
Tak jest, pomimo twych zbrodni, ja czuję
Wielkość twéj duszy, dziwię się, lituję,
Kocham cię. Nie mów, ja wiem, że daremnie,
Że kochasz drugą, że kocha wzajemnie.

Gulnara skłania Konrada, aby zabił śpiącego Seida. Straże już przekupione, wszystko przygotowane do ucieczki. Ale Konrad odrzuca jéj radę. Dumny korsarz nie chce się pastwić nad bezbronnym. Gulnara rozwiązuje okowy Konrada, i znika. Konrad spostrzega blask jakiś mglisty i niepewny:

Czy światło dzienne? wierzy i nie wierzy,
Iść, czy nie? poszedł; chłód rzeźwiący, świeży
W twarz mu powionie; czuje chłód poranku,
Wnet na otwartym ujrzał się krużganku.
Odetchnął wolno, spojrzał wkoło siebie:
Ostatnie gwiazdy bledniały na niebie.

Wtém Konrad słyszy szelest: to Gulnara; ale dłoń jéj bezbronna, nieznać krwi na odzieniu, a więc nie popełniła zbrodni; lecz zkądże ta dzikość w oku?

Zwraca się, wzrok jéj spotkał się z Konradem;
Cofnął się przed nią: na jéj czole bladém,
Nad brwią nieznaczna, któréj pewno sama
Dojrzéć nie mogła, jedna mała plama.
Ujrzał jéj farbę, mdłość mu wzrok zaćmiła,
Pojął, zgadł wszystko — to kropla krwi była.

Gulnara klasnęła, niewolnicy zbiegli się na jéj rozkazy. W mgnieniu oka już Konrad rozkuty, otwierają się drzwi tajemne, i drogą podziemną dostają się oboje do morza:

Łódź czeka, wsiedli, rozdęły się żagle,
Pękł sznur, łódź w pianach zaryła się nagle.

I poszła z wiatrem: cieszy się gromada.
Ileż tu smutnych wspomnień dla Konrada!

Konrad milcząc stoi na łodzi z obliczém zimném i ponurém. Ale Gulnara znieść nie może groźnego jego wzroku: pada na kolana błagając przebaczenia za zbrodnię popełnioną w jego obronie. Konrad tymczasem spostrzega swą nawę, daje znak, korsarze poznają wodza:

Z okrzykiem, weseli,
Spuszczają czółno, i żagle zwinęli,
To Konrad, Konrad! ciżba na pokładzie;
Próżny głos wodzów w niesfornéj gromadzie.
Tłoczą się, patrzą, jak z dumną postacią
Wchodzi na okręt, stawa między bracią.
Ścisnął Anzelma dłoń, i znowu czuje,
Że może walczyć, i że rozkazuje.

Przybija okręt do brzegu, ale na wieży w oknie Medory ciemno. Konrad niespokojny rzuca się w łódkę:

Leniwo zbyt niosła,
Z niecierpliwością poglądał na wiosła,
Ach! onby pragnął sokolemi pióry,
Wiatrem zalecieć na wierzchołek góry.
Słabną wioślarze, znużenie ich zoczył:
Nie czeka dłużéj i w morze wyskoczył.
Łamie się z falą, dopłynął do brzegu,
I biegł, na chwilę nie zwalniając biegu;
U drzwi zamkniętych wstrzymał się, i słucha:
Wszystko uśpione, wkoło ciemność głucha.
Puka i głośno, echo się rozlega,
Nikt nie otwiera i nikt nie przybiega.
Puka i zcicha, bo dłoń jego drżąca,
Bo w duszy jego myśl przerażająca.
Drzwi się otwarły, lecz przy nich nie ona,
Na któréj uścisk gotował ramiona.
A sługa milczy, on dwakroć probował,
Dwakroć chciał spytać, i słów nie znajdował.
Porywa lampę, w pośpiechu i trwodze
Z rąk mu wypadła, i zgasła przy nodze.
Poszedł w ciemności, lampa tylko druga,
Z głębi mrocznego korytarza mruga.
Rozemknął izbę, wszystko się odkryło
Co jego serce czuło, nie wierzyło.

Tkliwa Medora nie przeżyła strasznéj wieści o niewoli Konrada, umarła, oczekując go daremnie. Konrad z rozpaczą patrzy w martwe jéj oblicze.

Nie wyszedł, nie padł, nie płakał; wzrok wlepił,
Zimny dreszcz serce ścisnął, nie pokrzepił.
On patrzył, boleść wzrastała tajemnie,
Czuł, lecz pomyśleć nie śmiał, że daremnie.
Za życia ona piękniejszą nie była,
Śmierć ją jak dziecię do snu utuliła.
Zimny kwiat tkwiący w jéj zimniejszym ręku,
Trzyma z uczuciem tak żywego wdzięku,
Iż zda się żartem utaiła we śnie,
Że jeszcze budzić i płakać zawcześnie!
Lecz biała, lekka, przejrzysta zasłona,
Żadnym na piersiach tchem nieporuszona;
Lecz włos jéj długi, utrefniony, lśniący,
Martwo na śnieżnych ramionach leżący,
Co kiedyś w pasma rozwiany promienne,
Wonią swą wiatry napawał wiosenne;
Lecz twarz jéj blada, nieruchoma postać!
Ona umarła. Maż on sam pozostać?

. . . . . .

I znów łzy otarł, znów długo poglądał,
Wyszedł, pociechy nie szukał, ni żądał.
Czy słońce wejdzie — ciemny mu blask słońca;
Czy noc zapadnie — noc jego bez końca.
Niéma ciemnoty, jak smutku pomroka,
Niéma ciemnoty, jak ponurość oka,
Co na nie patrzéć nie śmié, i unika,
I idzie w ciemność, nie chcąc przewodnika.

. . . . . .

Minęło wiele tygodni, miesięcy,
Konrad nie wrócił i nie wróci więcéj.
Śladu, ni wieści, gdzie swój żal tułaczy
Ukrył przed światem, lub zginął z rozpaczy.
Długo się wierna smuciła gromada,
Świetny grób wznieśli kochance Konrada;
Jemu nikt grobu, pomnika nie święci,
Zostało tylko w długich lat pamięci,
Imię korsarza, i powieść smucąca
Jedynéj cnoty, a zbrodni tysiąca.

Trudno po szczególe przechodzić pełne piękności poemata Bajrona. W każdym z nich równe bogactwo wyobraźni, równa siła wyrażeń, równa

potęga namiętności. Wszędzie niemal miłość i zemsta wstrząsa serca bohaterów Bajrona; wszędzie fatalność stawa im na przeszkodzie do szczęścia; wszędzie śmierć jest rozwiązaniem poematu.

W *Narzeczonéj* z Abydos, syn mści śmierć ojca na okrutnym krewnym, i kocha zarazem jego córkę. Piękna Zulejka umiéra patrząc na śmierć kochanka.

W Parizinie, Hugo dzielny młodzieniec kocha małżonkę swego ojca, i miłość swą przypłaca głową. Parizina traci rozum z rozpaczy.

W dramatach lord Bajron nie dorównał Szekspirowi. On jako głęboki badacz serc i namiętności ludzkich, zanadto był zajęty wewnętrzną stroną duszy człowieka. Gieniusz jego niepodległy, nie mógł się nagiąć do ciasnych form dramatu, przeznaczonego na scenę. Jego *Marino Faliero, Dwaj Foscari*, i *Sardanapal* lubo pełne pojedynczych piękności, nie sprawiły pożądanego wrażenia. Za to poemat Manfred, któremu Bajron nadał tylko formę dramatyczną, nie przeznaczając go bynajmniéj na deski teatralne, jest utworem prawdziwie olbrzymim. W nim poeta przedstawia człowieka w całéj potędze gieniuszu, z duszą silną i nieustraszoną, rozkazującego nadprzyrodzonym duchom, a jednak niezdołającego pokonać wyrzutów własnego sumienia. Duchy posłuszne woli Manfreda obsypują go we wszelkie dary, ale nie mogą dać zapomnienia przeszłości. W tym poemacie Bajron okazuje zupełny zwrot na drogę moralną i religijną. Zważmy tylko ową scenę, gdy duchy nieczyste wzywają Manfreda, aby się ukorzył przed Arymanem, czyli uosobioną potęgą złego.

DUCH.

Padnij na kolana prochu nikczemny, ukorz się przed tronem wielkiego Arymana, uznaj w nim pana swego. Drżyj i bądź posłusznym.

WSZYSTKIE DUCHY.

Ukórz się nędzny śmiertelniku, albo téż lękaj się naszéj zemsty.

MANFRED.

Znam waszą potęgę, a przecież nie chcę wam być posłusznym.

INNY DUCH.

Nauczemy cię pokory.

MANFRED.

Nie potrzebuję waszéj nauki. Ileżto nocy przetarzałem się w prochu, z obliczem pochyloném w ziemię! Spadłem niestety na najniższy stopień poniżenia, albowiem korzyłem się w obec własnéj nędzy, w obec nadaremnéj rozpaczy.

INNY DUCH.

Tyż to śmiész odmawiać wielkiemu Arymanowi, widząc go w chwale swego majestatu, hołdu i czci, którą mu ziemia cała oddaje, lubo zaledwie przeczuwa jego tajemniczą potęgę. Ukorz się nikczemny!

MANFRED.

Niechaj raczéj Aryman ukorzy się przed tym, który go nieskończenie przewyższa swą potęgą. Niech padnie przed obliczem potężnego Stwórcy, który mu nie nadał prawa do odbierania hołdów śmiertelnych. Niech się ukorzy, a ja wraz z nim padnę na kolana.

Trudno zaprawdę wznieść się wyżéj jak Bajron wzniósł się w Manfredzie. Wielkim jest zaiste człowiek nieskładający obłąkań swoich ani na przeznaczenie, ani na okoliczności, ale raczéj szukający ich źródła w głębi własnego serca.

Dramat liryczny czyli tajemnica (mystere) „Niebo i ziemia" liczony jest powszechnie do najpiękniejszych utworów Bajrona. W nim poeta wzbił się orlim lotem poza granice zakreślone ludzkiéj wiedzy; w nim usiłuje zbadać straszne wyroki Przedwiecznego.

Już wybiła godzina zatracenia ludzkiego rodu. Noe z poddaniem oczekuje potopu; a wielbiąc niezbadane wyroki Pana, mówi do Jafeta:

Bądź mężem synu, i znoś chociaż boli,
Co ród Adama znieść musi i może.

Ale Jafet oburza się na straszną karę ścigającą ludzkie plemię i odpowiada:

Ojcze! a kiedy zostaniem
Sami nad głębią siną,
Gdy i kraj miły co nam był mieszkaniem,
I cała ziemia z wszystkiém co ją krasi,
I milsi stokroć bliźni bracia nasi,
Wszyscy w niéj zginą,
Kto wstrzyma wtedy łzy swe i jęczenia?
Lub znajdzie pokój w ciszy spustoszenia?
Boże! bądź Bogiem, zbaw, któż ci zaprzeczy,
Zbaw póki pora. Czyż rodzaj człowieczy,
Niedość już poczuł sprawiedliwość twoję
Wygnaniem z raju? Lecz go tylko dwoje
Składało wtedy, dziś jest na przestworzu
Ziemi liczniejszy, niż fale na morzu,
Niż krople dészczu co ma zalać ziemię!

Daléj następuje pyszny obraz zniszczenia:

JAFET.

Lecz przebóg! w przepaściach góry,
Co za ponury,
Co za straszliwy szum, łoskot, hałasy!
Skały i lasy
Wstrząsły się, szumią jakby czuły przyjście
Wichrów łamiących, choć jeszcze nie wieją,
A wszystkie liście
Drżą zda się, chwieją,
Kwiaty więdnieją,
I opadają. Wschód znów się zaciemia,
A cała ziemia,
Jak pod ciężarem jęczy w swych wnętrznościach.

NOE.

Słyszysz krzyk ptastwa morskiego! jak w chmury
Ucieka i nad szczyt góry;
Kędy w najsroższych morza nawałnościach,
Uchodząc fali wzbija się nie śmiało,
Ulata krzycząc, jakby przeczuwało
Nawałność sroższą od wszystkich, śród której,
Ten szczyt im tylko może być zachroną,
Aż i ten fale pochłoną,
O biada, biada ziemi!

JAFET.

Słońce, słońce
Wschodzi, lecz jakie, jak przerażające,
Jak krwawe, jak śród płomieni
Miedź; błyszczy, lecz bez promieni,
A ciemność jak czarna tęcza,
W kształcie obręcza,
W krąg je otacza. Słońce i noc razem,
Jakby obrazem
Być chciały życia i śmierci w téj chwili
Ostatniéj świata; biada tym co byli,
Warci by jéj dożyli,
By ją przeżyli.

NOE.

I ta błyskawica, grom, hasło zniszczenia,
Stało się, Pan nie odmienia
Wyroków swoich: wielka jest moc Boża.
Słyszysz szum dészczu, ryk morza?

Przy boku ojca twojego,
Szydź z naszych łez i powodzi,
A gdy obaczysz na tle oceanu,
Trupy swych braci i wszego stworzenia,
Wznieś twemu Panu
Hymn dziękczynienia.

JEDEN Z LUDZI.

Błogosławiony, kto w *nim* ufność złożył,
I w *nim* ufając żył.
Ginąc nie będzie się trwożył,
Bo on mu doda sił,
Cierpieć i znieść.
Cześć Panu, cześć!
On mi dał życie, On bierze co dał,
Będęż się chwiał
Wrócić mu dar jego ręki?
Nie, i nim wieczna noc wzrok mój zaciemi,
I nim śmierć wiecznie me usta oniemi,
Cześć jeszcze Panu i dzięki
Za to co było,
Za to co ninie,
Bo w nim co żyło,
W nim wszystko zginie.
Bo *On* początkiem i końcem wszystkiego,
Wszystko jest jego:
Czas, przestrzeń, życie, świat, wszystko poczęte,
Pojęte i niepojęte,
Wieczność i nieskończoność, *On* uczynił,
On chce i może zniweczyć.
Ja proch, jaż będę go winił?
Ja grzesznik śmiałbym złorzeczyć
Panu i Bogu mojemu?
Nie! żyłem ufając jemu,
Umrę ufając; ani się zachwieję,
Widząc runący świat, ani się trwożę
Bo wiem kto w nim ma nadzieję,
Na wieki zginąć nie może.

CHÓR LUDZI UCIEKAJĄCYCH PRZED POWODZIĄ.

I gdzie się obrócim, gdzie znajdziem schronienie,
Na skał li tych wedrzem się strop?
Gdy wszędzie z nich lecą wezbrane strumienie,
By morze napotkać u stóp.

Czy w dzikie pod niemi rozpadlin skróś ziemi
Ukryjem się sklepy kamienne?
Taż powódź potopu, jak sięgnie do stropu,
Napełni otchłanie bezdenne.

MŁODA DZIEWICA BIEGNĄC ZA DRUGIEMI.

Nie opuszczajcie sieroty,
Mnie nieszczęśliwéj, mnie młodéj!
Ojciec i ojca namioty,
Bracia i braci mych trzody,
I pola gdzie szły na paszę,
I sady, i wszystko nasze,
Wszystko zalano!
Dziś jeszcze rano,
Ze wzgórza idąc do zdroju,
Spojrzałam, wszystko tak było
Ciche, tak spało w pokoju;
Serce me błogosławiło,
Bogu i miejscu lubemu,
A teraz! czemu, ach czemu,
Było mnie nędznéj rodzić się na świecie?

JAFET.

By umrzéć, umrzéć w lat kwiecie!
Szczęśliwsza wszakże, niż gdybyś tak jedna,
Skazana była, gdy otchłań bezdenna
Pochłonie wszystkich, płakać nad wszystkiemi,
I jak ja na pustéj ziemi,
Żyć, nie chcąc; cierpiéć nie śmiąc się użalać.
Panie! gdy wszystkich tracisz, pocóż mnie ocalać?!

Fale morza wpadają z łoskotem. Ludzie rozpierzchają się na wszystkie strony po górach. Jafet jeden zostaje na skale: ukazuje się arka zmierzająca ku niemu.

Z obrazu Pussin'a przedstawiającego potop, wziął Bajron myśl do niniejszego dramatu, i nie ustąpił sławnemu mistrzowi w pyszném i ponurém skreśleniu straszliwego zatracenia ludzkości.

Ostatnim utworem Bajrona jest: „Don Juan." Już poprzednio, w poemacie satyrycznym „Beppo" napisał Bajron dowcipną krytykę na rozprzężenie obyczajów w Wenecyi. W Don Juanie rozciąga poeta ową krytykę na obszerniejszą skalę. Wśród swawolnych żartów Bajrona przebija niekiedy gorzka łza zawodu. „Nie żałość ta wśród cierpień — mówi pani Belloc — sprawia ból niesłychany. Dowcip Don Juana porównać można do kwiatów zdobiących koronę cierniową; łatwo się domyśléć, że krew płynie z uwień-

czonego nią czoła." W piérwszych pieśniach Don Juana, Bajron okazuje się surowym sędzią skrzywionego społeczeństwa; znać że pomimo szyderstwa, boleje głęboko nad zmiennością i słabością natury ludzkiéj. W dalszych pieśniach, żarty jego są nieco swobodniejsze, przechodzi koleją wszystkie śmieszności i w tém co go niegdyś gorzko oburzało, widzi teraz jedynie przedmiot do śmiechu i zabawy.

Na tym poemacie zakończył Bajron zawód swój literacki. Śmierć wytrąciła mu pióro z ręki w chwili, gdy gieniusz jego najpotężniejszym zajaśniał blaskiem. Przebiegł jak meteor ale zjawieniem swém aczkolwiek przelotném, zmienił zupełnie oblicze literatury. Rozpacz i zwątpienie, oto ponure i tajemnicze godła jego natchnienia. Owe godła wyryte zarówno na obliczu wieku, czynią go prawdziwym wieszczem swego czasu. Współczesny Napoleona, był drugim Napoleonem w dziedzinie ducha. I jego zarówno niepohamowana duma, wyparła z rodzinnego gniazda, pchała za morza i góry, i pod nieznaném niebem wskazała miejsce wiecznego spoczynku!

Współrodacy zarzucają mu poniekąd słusznie brak narodowości, lecz może o to, zbieg smutnych wypadków obwinić należy; może też gieniusz Bajrona nazbyt potężny nie mógł się ograniczyć w ramach mniejszego rozmiaru; lecz jako świetna gwiazda czuł się powołanym, aby zajaśnieć światu całemu.

Przekładano Bajrona na wszystkie znane europejskie języki; a duch jego poezyi wpłynął stanowczo na literaturę wszystkich niemal narodów. Wielki poeta lękał się niesłychanie tłumaczów czyli jak ich nazywał morderców literackich, i z powodu tłumaczenia Child-Harolda na włoski język mówił: „Jedném z nieszczęść przywiązanych do stanu autorów mianowicie tych, którzy zjednali sobie sławę, jest niepodobieństwo uchronienia się od tłumaczeń." Gdyby wieszcz angielski mógł był przewidzieć pyszne na nasz język przekłady: Giaura, Korsarza i Mazepy, byłby niewątpliwie mniéj surowym w tym względzie.



FRANCISZEK KARPIŃSKI.

FRANCISZEK KARPIŃSKI.

Karpiński! — któż twą lutnię teraz odziedziczy?
Któryż wieszcz zrówna twojéj prostocie, słodyczy?
Każdy dźwięk twój po całym narodzie zasłynął:
Jak tkliwy żal dzieciny, w wszystkie serca płynął;
Powtarzały go nasze lasy, pola, wioski,
Koił się ciężki smutek, uciszały troski,
Biegła miłość wieśniacza zpod swéj nizkiéj strzechy,
Usłyszéć swoje trwogi, żale, i pociechy;
Rolnik nawet na wszystkie niedole skazany
Patrząc na zaniedbane ojców swoich łany,
Zniszczony krwawą wojną, i wszystko straciwszy,
Zanucił twoję piosnkę, i orał szczęśliwszy.

F. M.

Już zorza odrodzenia nauk i literatury zaświtała była u nas; już język oczyszczony z wpływu łaciny, wracał zwolna (lubo nigdy nie doszedł) do stanu w jakim go wiek XVI pozostawił; już mistycyzm i szkolarstwo pierzchły były na głos zdrowego rozsądku, jak nocne ptastwo na brzask piérwszych promieni wschodzącego słońca; — mimo to literatura polska daleką była jeszcze od naturalnéj prostoty i prawdziwéj rodowości, jaką kiedyś zajaśnieć miała w pełni. I nic dziwnego, albowiem błędne wyobrażenia w tym względzie panowały jeszcze w całéj ucywilizowanéj Europie. Zimny i nadęty klassycyzm płynął szerokiém korytem wpośród uczonego świata i pochłaniał żywotne soki samodzielnéj oświaty; a ówcześni poeci, czerpiąc u obfitego jego źródła, patrząc na wszystko przez podwójne szkła Rzymian i Francuzów, przestali własném okiem poglądać w łono czerstwéj i zdrowéj przyrody.

I nic dziwnego powtarzano. Raz zbłąkany umysł ludzki, długo musi błądzić, nim wróci na zgubioną drogę. Takim więc był stan całéj ówczesnéj

europejskiéj literatury. Brak myśli i uczucia zastąpiła doskonałość formy. Ową doskonałość, Francya za Ludwika XIV doprowadziła do najwyższego stopnia. Francya zabłysła uczonemu światu fosforycznym blaskiem, świetnym napozór, czczym i pustym wewnątrz. Światło to, jakkolwiek sztuczne, rozeszło się niebawem po całéj myślącéj europie, pokrytéj wówczas grubym pomrokiem ciemności. Poeci na wyścigi stroić poczęli zdawna zapomniane lutnie. Okoliczności dzielnie sprzyjały rozwinięciu u nas ówczesnéj szkoły. Król chciwy sławy rzymskiego Augusta, naśladowca Ludwika XIV, miłośnik nauk i sztuk pięknych, otworzył uczonym i poetom, podwoje królewskiego zamku, wyprawiał *czwartkowe* obiady, ale kształcony na obcych wzorach, nieznający nawet dokładnie własnego języka, wierny swéj epoce, dalekim był od prawdziwie dobrego i prostego smaku. Z ówczesnych więc usiłowań tyle tylko korzyści wynikło dla literatury, że język kształcił się i wyrabiał dzielnie, a umysły zbudzone z długiego uśpienia lubo uprawiały niewdzięczną i niewłaściwą niwę, nawykały, przecież do pracy i zastanowienia.

Wówczasto w licznem gronie uczonych i poetów pojawił się Karpiński. Śpiewak rzewny, tęskny, spokojny, daleki od burzliwych namiętności, umiał prostém słowem wyrazić uczucie; to téż pieśń jego, nie przebrzmiała bez śladu, jak nazbyt wiele innych, ale nakształt rosy majowéj, wsiąkła w łono ziemi, z któréj wzięła początek.

Karpiński lubo niekształcony na poezyi ludowéj, albowiem w owym czasie nikt jéj nie pojmował i nie badał, uczuciem zbliżył się jednak do ludu, opiewał miłość, cnotę, poczciwość i pracę. Ztąd wiele z jego pieśni upowszechniło się w kraju, a lud obdarzony zdrowym i nieskażonym smakiem, sądzący uczuciem, które nigdy nie myli, przyswoił sobie niejednę.

Któż z nas nie zna tkliwéj sielanki o Filonie, któż pieśni porannéj lub wieczornéj nie umié na pamięć? Śpiewa ją dotąd chłopek przy pracy, a o ściany swiętych przybytków po długie, jeszcze wieki rozlegać się będzie odgłos pobożnych pieniów Karpińskiego.

Franciszek Karpiński urodził się 4 października 1741 roku na Pokuciu, w powiecie kołomyjskim, we wsi Hołosków, niedaleko Stanisławowa. Dziwne zdarzenie towarzyszyło przyjściu na świat poety. Oleksy Doboszczuk, sławny na Pokuciu rozbójnik wraz z dwunastu mołojcami, napadł téjże saméj nocy dom jego rodziców.

Ojciec uprzedzony na kilka godzin przez przyjaciela swego Kozłowskiego o zamiarze zbójcy, zabrał kosztowniejsze sprzęty, i schronił się do poblizkiego lasu, zostawiwszy podostatkiem chleba, sera i wódki dla zaspokojenia rabusiów. Chora matka pozostała więc sama jedna w towarzystwie pilnującéj ją kobiety. Owa kobieta wziąwszy nowonarodzone dziecię na rękę, zbliżyła się śmiało do zbójcy mówiąc: „Miéj pamięć na Boga, na cierpiącą matkę i na to niemowlę nie rób tu żadnéj przykrości.”

Zmiękczyło się serce Doboszczuka, rozkazał mołojcom aby się cicho sprawiali, a posiliwszy się wraz z nimi, odszedł nie wyrządziwszy najmniejszéj

szkody. Odważnéj kobiecie dał zbójca trzy sztuki złota, a zbliżywszy się do łoża matki, prosił aby nowo narodzone dziecię miało imie Oleksy.

Nie przychylili się jednak rodzice do życzenia zbójcy, dziécię zwane Franciszkiem wzrastało wraz z siostrą i starszym bratem w surowych zasadach religii i cnoty. Rodzice gorliwi chrześcianie, wpajali od kolebki w młode umysły dziatek, zdrowe ziarno wiary, w serca ich miłość Boga, bliźniego i rodziny. Surowy zwłaszcza ojciec karcił w nich srogo wszelkie złe skłonności, nie szczędził plag za najmniejsze przewinienia, za co syn w późnéj starości błogosławił jeszcze jego pamięć.

W ósmym roku życia, oddano małego Franciszka do szkół w Stanisławowie, ale dziecku żal było rodzicielskiego domu. Przysiadł więc cicho za sankami ojca. Wpół drogi jednak odkryty, wrócić musiał do Stanisławowa i jak mówi sam, otrzymał od ojca chłostę, na zadatek przyszłego rozumu.

Późniéj nieco, gdy raz mały Franciszek nieprzyzwoicie zachował się w kościele, żartując i śmiejąc się z przyjacielem, ojciec niespodziewanie przybyły, zgorszony swawolą dziecka, wyciął go w policzek, mówiąc: „złego i w kościele biją.” Odtąd mówi, Karpiński nie zapomniałem nigdy, przestrogi ojca, i całe życie zachowywałem się skromnie w domu bożym.

Mimo to, nasz poeta kochał ojca z zapałem, a gdy skutkiem sejmikowego sporu, stary Karpiński wyzwany został na pojedynek od towarzysza przedniéj straży Janiszewskiego, mały Franciszek przez całą noc ostrzył pokryjomu szabelkę, ażeby nazajutrz uderzyć z tyłu w głowę ojcowskiego przeciwnika; tymczasem zawzięci pogodzili się bez krwi przelewu, a rozrzewniony ojciec kupił dziecku nową szabelkę, daleko piękniejszą od pierwszéj.

Franciszek uczył się z zapałem, nieraz nawet w nocy przez sen powtarzał zadanie. Nauka pisma świętego silnie działała na młodociany jego umysł. Dusza poety skłonna do uniesień, chciwie chwytała otaczające ją wpływy. „Raz, mówi Karpiński, nasłuchawszy się żywotów świętych pustelników, wziąwszy torbę jakąś i dwa chleby ukradkiem od naszéj gospodyni, uciekłem w nocy do blizkiéj Stanisławowa dąbrowy, chcąc odtąd mieszkać na pustyni i żyć żołędzią, pomału się do niéj przyzwyczajając przy chlebie. Trzy dni mnie szukano, czwartego sam przyszedłem, zreflektowany, że nie będę mógł do żołędzi przywyknąć. Rózga nauczyła pustelnika, że żyjąc między ludźmi więcéj bliźniemu przysługi zrobić można, którego kochać na puszczy, jest tylko to mówić a nie czynić. Widząc w ołtarzu obraz świętego Sebastyana strzałami pokłutego, przyszła mi znowu myśl, być męczennikiem dla wiary; wiedziałem że Chocim, miasto tureckie na Wołoszczyznie nie tak od Stanisławowa odległe; umyśliłem tam się koniecznie dostać, i w środku tego miasta Mahometa proroka Muzułmanów ostatniemi łżyć wyrazami: tak obrażeni Turcy pewnieby mnie za wiarę moję zamordowali. Myśląc o sposobach wypełnienia projektu tego, przyszło mi do głowy doświadczyć piérwéj jak też na cierpienie ran jestem wytrzymały: dużą śpilkę utkwiłem sobie w ciało, z bólu

krzyku narobiwszy i widząc się tak niecierpliwym, i śpilkę i myśl zostania męczennikiem porzuciłem. Lubiąc muzykę najbardziéj na skrzypcach, chciałem się jéj uczyć najusilniéj, ale ojciec z przesądów wieku tamtejszego, jak mówić po francuzku, tak na skrzypcach uczyć się także zakazał. Znowu źle zrozumiana religia, połączona z chęcią nauczenia się na instrumencie, wyganiała mnie do Częstochowy, ażebym uciekłszy z domu, tam służąc przy kapeli kościelnéj, Najśw. Panny Częstochowskiéj przez kilka lat służył. Ale ten układ ksiądz mi na spowiedzi odradził. Nie czynić źle, jak mówił, martwiąc rodziców, ażeby się dobrze działo."

Skończywszy kurs dwuletni filozofii, przybył Franciszek na wakacye do rodziców, zamieszkałych podówczas przy starszym bracie, który niedawno został księdzem. Młodzieniec lubo już był dorosły, największe miał jednak dla rodziców uszanowanie: nie usiadł nigdy w ich obecności, a stojąc przed niemi, nie śmiał nawet wesprzéć się plecami o ścianę. Ciekawy szczegół z owego czasu opowiada Karpiński: Pamiętam, mówi on, jak chętnie zadawałem sobie przykrość bylebym ojca nie obraził; chodził raz starzec po izbie, a ja z kimciś rozmawiając wszystkie zwykłe ostrożności zachowałem względem ojca, kiedy razem przystąpiwszy do mnie, ciężki mi on wyciął policzek, i znowu po izbie jak przedtém przechodził. Kryminałem byłoby zapytać, za co to; w milczeniu skromném, z oczyma w ziemię spuszczonemi, czekałem końca, wtém ojciec rzucił mi się na ramiona, i mówić ze łzami począł: Synu mój! ja symplak, bo czytać tylko i ledwo co napisać umiem, a ty już filozof: doświadczałem cię tylko, jak też przyjmiesz policzek od ojca twego; ale kiedyś ty skromny i pokorny, kiedy mnie w starości mojéj szanujesz (wtém ukląkł wpośrodku izby, i podniósłszy ręce do góry): Boże Abrahama, Izaaka, i Jakóba, pobłogosław to dziecię moje, niech żyje długo, zdrowo i szczęśliwie." Padłem do nóg rozrzewniony i wzruszony mową jego, zapomniawszy nawet o odebranym policzku, a on klęczący do klęczącego mówił rozrzewniony: Synu mój! szanuj ludzi, a będziesz szanowany; ten policzek, który odebrałeś od ojca, niech będzie ostatni, który ci w życiu dany; a gdyby kiedy do tego komu obcemu przyszło, żeby cię tak skrzywdzić miał, krew tylko nieprzyjaciela twego, wzgardę takową zmazać może."

W pół roku potém, umarł srogi lecz cnotliwy ojciec; Franciszek podówczas był w szkołach. Gdy przybył do domu w skutek odebranéj wiadomości, już ojciec leżał na marach. Starzec przed zgonem gorąco widzieć go pragnął, a czując blizką chwilę śmierci, rzekł do żony ostatnie słowa: „powiédz tam Franciszkowi, niech prawdą idzie po świecie." Przywiązany syn, czuł boleśnie śmierć ojca, położył się w przygotowanéj trumnie, błagając z rozpaczą, by go wraz z zmarłym pochowano. Przyjaciele musieli go przemocą oderwać od trumny, a trzymając w zamknięciu, nie pozwolili nawet być obecnym przy pogrzebie ojca.

Kilka jeszcze lat strawił młodzieniec w szkołach. „Uczyłem się cztery lata filozofii głupiéj, a natenczas powszechnéj perypatetycznéj, mówi Karpiński, trawiłem czas młodości mojéj najlepszéj. Powiedział ktoś: ucz się tego za młodu, co ci na całe życie potrzebne będzie; moja perypatetyka jak nikomu, tak i mnie pożytku w życiu nie zrobiła."

W szkołach jeszcze będąc, poznał Karpiński po raz piérwszy uczucie prawdziwéj miłości. Maryanna Brössflerówna piękna i cnotliwa, była jéj celem. Ale posłuchajmy jak tkliwie poeta w późnym wieku opowiada piérwsze swe wrażenia: „Moja do niéj miłość, mówi, była niewinna jak ona. Ona to jest moją Justyną, do któréj najpiérwszą sielankę *Tęskność na wiosnę* napisałem, którą pod tém imieniem tylokrotnie wspominałem. Długo się można kochać, ale długim głodem, nie nasyciem się: lat kilka i ja w mojéj niewinnéj i ona we mnie kochałem się; ale nakoniec, kiedy jéj zyskowne trafiło się zamęzcie, bo prędzéj przybiega szczęcie kiedy go pięknéj a cnotliwéj kobiety zawołają oczy, a ja ubogi wziąwszy tę szanowną pannę, chybabym z nią w służbę poszedł, ze łzami oświadczyłem jéj, aby za mego rywala poszła. W początkach łzami mi tylko odpowiadała; a potém rzecze: ja się dla ciebie prząść nauczę i grzędę kopać będę. Jużem się do niéj wracał, i byłbym tego nie żałował, ale jéj i moi przyjaciele przemogli, którzy mi zyskowniejsze chcieli obmyśléć małżeństwo."

Ależ mówiąc o pierwszéj miłości poety, jakże nie powtórzyć tkliwych słów, jakiemi ją wyrażał, w wspomnionéj wyżéj sielance:

Już tyle razy słońce wracało,
I blaskiem swoim dzień szczyci,
A memu światłu cóż się to stało,
Że mi dotychczas nie świéci?

Już się i zboże do góry wzbiło,
I ledwie nie kłos chce wydać,
Całe się pole zazieleniło,
Mojéj pszenicy nie widać!

Już słowik w sadzie zaczął swe pieśni,
Gaj mu się cały odzywa,
Kłócą powietrze ptaszkowie leśni,
A mój mi ptaszek nie śpiewa!

Już tyle kwiatów ziemia wydała
Po onegdajszéj powodzi,
W różne się barwy łąka przybrała
A mój mi kwiatek nie wschodzi!

O wiosno! pókiż będę cię prosił,
Gospodarz zewsząd stroskany?
Jużem dość ziemię łzami urosił,
Wróć mi urodzaj kochany!

Skończywszy kurs filozofii, Karpiński, chcąc się oddalić od kochanki, porzucił Pokucie, i udał się do Lwowa na słuchanie teologii. W następnym roku, gdy Jezuici lwowscy szkoły swoje podnieśli na akademią, przybrali młodzieńca w biret i togę, i mianowali go doktorem filozofii, i bakałarzem teologii.

W czasie pobytu we Lwowie poznał się był Karpiński z Centnerem wojewodą bełzkim, i wielkich od niego doznawał łask i względów. Po chlubnie odbytéj dyspucie doktorskiéj, Sierakowski arcy-biskup lwowski zaczął namawiać młodzieńca, aby przywdział szatę duchowną. Ale on nie czuł do tego stanu żadnego powołania. Daremnie arcy-biskup nakazywał mu posty, Karpiński odpowiadał mu: że widząc jakiéj doskonałości wymaga stan duchowny, woli być znośnym człowiekiem, aniżeli niedobrym księdzem. Mimo to odmówienie, arcy-biskup nie usunął mu dalszych względów.

Następnie Karpiński szukał szczęścia w palestrze, a znając doskonale język łaciński, ledwie że rok poświęcił się nowemu powołaniu, już ceniony był powszechnie. Ciekawa, oraz chlubna dla młodziana okoliczność zraziła go jednakże, i skłoniła do opuszczenia palestry. „Raz szlachcic potrzebujący pozwu, mowi on, kiedy mi krótko sprawę swoję opowiedział, i papiery do niéj potrzebne pokazał, postrzegłem że sprawę miał najgorszą, i chyba tylko wykrętami mógłby ją wygrać. Kiedym mu to przekładał, a on mi kilkanaście czerwonych złotych na pozew tylko oddaje, byleby podstępnym i mogącym sąd ułudzić sposobem, był napisany, uwiedziony zyskiem, wziąłem pieniądze, i zrobiłem jak szlachcic żądał. Po krótkiéj złota pociesze, przyszła zgryzota. Ojcze mój! jakżeto wiele razy w życiu mojém chociaż już cię nie miałem, ty mnie jeszcze prowadziłeś! Gorzko wspomniałem ostatnie przed zgonem słowa jego: „Franciszek niech idzie prawdą na świecie:" Takaż to prawda pomyślałem sobie, zgubić podstępem niewinnego przeciwnika tego, któremu pozew napisałem? cóż mi on będzie winien, że nietylko jego ale i dzieci jego w ubóstwie zostawię? albo jeżeli jeszcze podstępne pisanie moje, odkryje się? Jakże ja iść zacząłem przy piérwszym moim wstępie na świat? Takie myśli codziennie mnie trapiły, aż do przyjścia kadencyi sądowéj, na który czas i szlachcic któremu pozew pisałem, i pozwany stawili się. Wtenczas mojemu zwodzicielowi pieniądze powróciłem, upominając, ażeby się z przeciwnikiem bez prawowania zgodził, inaczéj sam mu szkodzić mogę, choć bym i sobie razem zaszkodził. Szlachta się, jakem żądał pogodzili, a ja bojąc się téj ślizkiéj drogi, zwłaszcza kiedy i innemi sposobami na chléb zarobić można, po roku porzuciłem palestrę."

Po kilku latach pobytu we Lwowie, nasz poeta wrócił na Pokucie, chcąc odwiedzić matkę i rodzeństwo. Niedaleko ztamtąd mieszkali pod-

ówczas państwo Ponińscy starostwo Ostrowscy, ludzie ukształceni i zamiłowani w naukach. Karpiński często przebywał w ich domu, a wdzięki starościnéj, lubo znacznie starszéj od niego, silne na nim sprawiły wrażenie. „Ona to była druga moja Justyna, mówi poeta, która jak piérwsza, do wszystkiego co dobrém jest, powodem była dla mnie. Ona sama uczyła mnie początków języka francuzkiego, a ja jéj synów łaciny. Ona przestrzegała, jeżeli w kompanii albo z czém obojętném i mogącém kogo urazić, wyrwałem się. Także nauki sam na sam, jak prawdziwa przyjaciółka dawała mi, żem poznał niezaprzeczoną rzetelność zwyczajnéj przypowieści „kochaj kobietę uczciwą, a sam staniesz się uczciwym" skromność do tego przykładna, mój zapał utrzymująca. Mimo różnicy wieku, bo czternastu latami starsza odemnie była, więcéj lat dziesięciu trzymała mnie w szczęśliwych więzach, a najżywszą młodość moję od rozpusty zachowała."

W domu Ponińskich poznał Karpiński nieco świata, oraz ćwiczył się nieustannie w dysputach religijnych i filozoficznych. W kilka lat potém zapragnął zwiedzić obce kraje, i młody umysł nowém wzbogacić światłem. Wziąwszy więc z sobą paręset dukatów, wyjechał do Wiednia wraz z młodym Puzyną, i księdzem Kobylańskim, uczonym jezuitą, przyjacielem swoim. Przybywszy do Krakowa, zaprzysiągł Bogu w kościele, że się nie da ułudzić niebezpiecznym ponętom świata.

Karpiński przybył do Wiednia 1769 roku, a nie chcąc tracić czasu daremnie, uczęszczał na tamtejszy uniwersytet. Najwięcéj miał upodobania w nauce fizyki experymentalnéj, wykładanéj przez księdza Frauza jezuitę, oraz chemii dawanéj przez sławnego w Europie professora Jaquin. Nadto uczył się języka francuzkiego, korzystał jak mógł z biblioteki cesarskiéj otwartéj dla publiczności. Kształcił smak w sztukach pięknych częstém zwiedzaniem galeryi, słowem jak mógł korzystał z czasu. Ale w przeciągu dwuletniego blizko pobytu, naszego poety w Wiedniu, zdrowie jego zachwiało się znacznie. Rady najsławniejszych lekarzy Van Swietena, Haena i innych, żadnéj nie przyniosły ulgi, a tęskność do kraju, wzmagała tém bardziéj stan jego chorobliwy. Wówczas to napisał słowa pełne rzewnéj boleści:

Kiedy mną tęskność rządziła,
Szedłem nad brzegi Dunaju;
Odludność mnie tam pędziła
I chęć wzdychania do kraju.

Cichości! siostro tęsknoty!
Ja nie wiem czém ty mnie bawisz,
To wiem, że serce mi krwawisz,
Ja przecież lubię twe groty.

W końcu września 1770 roku, wyjechał z Wiednia, a zwiedziwszy Węgry, wrócił w rodzinne progi. Po piérwszym noclegu w domu uczuł się zaraz zdrowszym, zdało mu się że słońce, piękniéj wschodzi ponad własną zagrodą i niebawem odzyskał myśl swobodniejszą, a wraz z nią wróciło i zdrowie.

Tymczasem owdowiała Ponińska starościna ostrowska, któréj wspomnienie głęboko tkwiło w sercu poety; ale małżeństwo pomiędzy niemi, nie doszło nigdy do skutku, albowiem starościna lękała się szkodliwych następstw zbyt wielkiéj różnicy wieku. Poeta tymczasem kreślił wdzięczne swoje sielanki do których była mu podnietą stała, lecz spokojna miłość. I inne cierpienia niemniéj dotkliwe, nieraz mu pióro podały do ręki, nieraz były źródłem bolesnego natchnienia. „Przy mojéj Justynie, mówi Karpiński, różnego losu doznawałem: czasem najgoręcéj ślubem małżeńskim z nią się połączyć chciałem, a czasem bojąc się jéj humoru ustawicznie prawie sprzecznego (lubiła bowiem zaufana w swoim rozumie dysputować ustawicznie), ostygłem pomału w żądaniach moich, co chociaż postrzegała ta nieoszacowana kobieta, wszelako widząc mnie ubogim, na dzień imienin moich, darowała mi 5000 zł., i ten od niéj dar, miałem w życiu jedyny. Za te pieniądze zaraz trzymać wioskę zacząłem, i przy ciężkiéj pracy przez lat trzydzieści, rękoma nawet własnemi na chléb robiąc (bo ci jedni prawdziwi przyjaciele najszczerzéj wesprą), przyszedłem na starość do chleba, którego nie do zbytku, ale do sytości używam. Gdym trzymał, mówi daléj, piérwszą wioskę od Mrozowickich, Wierzbowice zwaną, łowczy Bielski kazał uważać gospodarstwo moje swemu kommissarzowi, blizko mieszkającemu. Kiedy następnéj jesieni do niego przyjechałem, śmiał się żem z książki gospodarował, bo mnie kommissarz jego czytającego książkę przy kosarzach w polu widział. Ja się odwołałem do samego kommissarza, że siano moje sucho zebrane i popłatniejsze było niżeli Bielskiego, ale zacząwszy gospodarować, od chłopów grunt swój najbliżéj mających, naukę brałem, w czasie orania, siejby i sianokosów."

W przeciągu lat kilku pracując na różnych dzierżawach, dorobił się Karpiński do tysiąca dukatów. Trzymając wioskę Zaboruki od Koziobrodzkiego, starosty olchowskiego, pokochał się w córce jego Franciszce, zaręczonéj już z młodym Puzyną, i tkliwą otrzymał wzajemność. Panna niechętném okiem poglądająca na przyszłego małżonka, dała poznać Karpińskiemu, że pragnie aby ją wykradł. Ale szlachetna dusza poety oburzała się na czyn nieprawy: „kiedy on kochał mnie jak syna, mówi Karpiński o ojcu Franciszki, kiedy mi wioskę po przyjacielsku wypuścił, kiedy mi z córką bawić się po przyjacielsku pozwalał, jakże mógłbym go w zaufaniu zawodzić i całém życiem wstydzić się przed ludźmi za czarny mój postępek."

W owym czasie, poznał się był z Witosławskim, oboźnym koronnym, który go skłonił do zwiedzenia Warszawy. Opowiadał mu bardzo wiele szczegółów o domu księcia Adama Czartoryskiego generała ziem Podolskich, jak ten pan miłował nauki, wspierał uczonych.

Karpiński skutkiem tego zebrał swoje sielanki i inne pisma, wydał we Lwowie pod tytułem: *Zabawki wierszem i prozą*, i dedykował księciu Adamowi; książeczkę zaś wręczył mu za pośrednictwem Witosławskiego. Książę odpisał grzecznie. Naruszewicz także rad przyjął ofiarowany mu wiersz, pod tytułem Sumienie. Poeta lubo nieznany uczonemu biskupowi, poświęcił mu swą pracę dlatego jedynie, że Naruszewicz podówczas sam jeden słynął rymotworstwem, i zaszczycał się wielką łaską króla. Przez niego więc Karpiński pragnął się dostać do dworu. „Kiedy potém w Warszawie poznałem się z Naruszewiczem, mówi nasz poeta, z tak tkliwie opisanéj zgryzoty sumienia myślił o mnie, że kogoś może zabiłem, a ja pomyślałem, że u nas w Galicyi zgryzota napada i za mniejsze winy."

Niedługo po otrzymaniu dedykowanego dziełka, Czartoryski przyjechał do Galicyi na układy z Potockim starostą kaniowskim. W ciągu swego pobytu, odwiedził na parę dni podczaszego Witosławskiego, brata obożnego. „Nie wiedziałem o niczém, powiada Karpiński, siedząc w domu moim w Dobrowodach, kiedy po wieczerzy, gdym czytał książkę, wchodzi do izby nieznajomy mi piękny młodzieniec, po francuzku ubrany, (1) z księciem Czartoryskim przybyły, i wcześniéj mnie poznać żądający, który od Witosławskich, o pół mili odemnie odległych, przyjechał. On mi o bytności księcia tam powiedział, i na obiad jutrzejszy zaprosił; ciekawy nazajutrz poznania pana, o którym mi tyle dobrego powiadano, wcześnie do sąsiada przyjechałem, i znalazłem księcia jak dla wszystkich, tak i dla mnie najgrzeczniejszego."

„Gdym na wezwanie księcia przybył do Brzezan, mówi daléj Karpiński, książę jako literat, po obiedzie wziął mnie do swojego gabinetu, i czytał mi dzieło swoje, w manuskrypcie świeżo przez niego napisane, o edukacyi płci żeńskiéj. Jak było to pismo warte, tak szczerze po skończoném czytaniu, dawałem mu pochwały, ale wyraz w początku pisma tego, był taki: „daruj mi piękna płci niewieścia, jeżeli co przeciwko tobie, w piśmie tém powiem; wszakże kiedy to piszę dla prawdy, tak sama prawda, która jak i wy kobiety, równie niewieściego jest rodzaju, niech was przeprosi." Ten wyraz nie podobał mi się i powiedziałem księciu, że nie zdawałoby mi się ażeby w tak poważnéj materyi, jak było pismo to, o edukacyi kobiét, mieszać obserwacye gramatykalne, że i prawda jest rodzaju białogłowskiego. Zimno to od księcia przyjętém było, bo panowie nie przywykli ażeby im się sprzeciwiać, wszelako najgrzeczniejszym był dla mnie zawsze, przez kilka dni bawienia mego w Brzezanach, nawet dać mu słowo musiałem, że przyjadę do niego do Warszawy. Jakem powrócił do domu, moi sąsiedzi winszowali mi łaski księcia, ale mój weredyk stolnik Piasecki, nazwał to pogodą marcową, która niedługo trwać mogła. I kiedym ja się do Warszawy zwolna wybierał, on mi bardziéj radził ażebym z nim jechał w Mo-

(1) Autor Jana z Tęczyna.

zyrskie, gdzie miał swą cząstkę dziedziczną, twierdząc najpewniéj, że tam lud daleko lepszy od ludu warszawskiego."

Przyjaciele Karpińskiego za przybyciem jego do Lwowa, znów go namawiać poczęli do zawodu prawnego, wystawiając mu, że w owym czasie, patronowie Wolański i Dzieszkowski, ogromne porobili majątki, ale on przekładając spokojną pomierność nad zgryźliwe zyski, nie dał się do tego nakłonić.

Na powtórne wezwanie księcia generała, który mu listownie ofiarował urząd sekretarza przybocznego do spraw zagranicznych, Karpiński pozostawił Dobrowodę pod dozorem siostrzeńca swego, przewidując, że przyjdzie niebawem czas, gdy trzeba będzie opuścić Warszawę i powrócić znów do wiejskiego życia, sam zaś wyruszył do stolicy.

Przybył do Warszawy 1780 roku, mile został przyjętym przez księcia, a po kilku dniach, biskup smoleński Naruszewicz, przedstawił go królowi, na uczonym czwartkowym obiedzie.

„WPana sielanki we Lwowie drukowane, rzekł król do poety, dawno nam go już zaleciły. Kochanek Justyny będzie i w Warszawie kochany."

Szlachetna dusza Karpińskiego oburzała się patrząc na ówczesne zepsucie pomiędzy panami: „Ich pycha, jak mówi poeta, daleko była większą od nich samych.

Karpiński towarzyszył księciu na kadencyę trybunalską do Grodna. Książę przed wyjazdem na Litwę, oddał mu pod zarząd dwunastu pokojowców, z saméj szlacheckiéj młodzieży. W Grodnie poeta nasz napisał wiérsz, na wjazd księcia generała na trybunał, i drugi O wielkości Boga i nikczemności człowieka. Wiersze te podobały się księciu, ale przypisanie ich królowi niemiłém mu było; a gdy Karpiński wkrótce potém kazał je wydrukować wraz z owém przypisaniem, przywiązanie księcia do poety osłabło od téj chwili. W czasie trybunału grodzieńskiego napisał także wiérsz pod tytułem: „Głos zabitego do sądu" z okoliczności sprawy Kaszyca, obwinionego o zabicie synowca. Wiérsz ten wielkie sprawił wrażenie, i sędziowie, przeciągnięci na stronę Kaszyca, przeczytawszy go, nagle odmienili swe zdanie.

Zachwiana łaska księcia, wróciła na czas jakiś naszemu poecie, skutkiem wierszy napisanych na dzień imienin jego, w czasie kadencyj grodzieńskich. Książę uważać go począł jako przyjaciela, rozmawiał z nim grzecznie wśród licznych nawet zgromadzeń, ztąd wszyscy panowie okazywali mu na wyścigi najwyższe względy.

„Niedługo jednak, mówi Karpiński, trwała ta moja uroczystość; przyszła z Warszawy mowa drukowana, którą król miał na rozpoczęciu towarzystwa ksiąg elementarnych. Ja późno przyszedłem na pokoje, że ta mowa czytana już była i przytomni za zdaniem o niéj księcia, że była najgorszą, wszyscy ją najgorszą uznali. Wchodzącego mnie do pokoju książę okrzyknął: otóż sędzia przyzwoity! patrz, jakąto mowę król miał do towarzystwa." Kiedy mowę tę przeczytałem, spytany od księcia coby mi się zda-

wało? odpowiedziałem (jak mi się zdało) że była dobrą. Książę się odwrócił, a sekretarz księcia Skowroński przybiegł do mnie i rzecze: „bój się Boga, książę i my wszyscy już tę mowę ganiliśmy, a ty ją chwalisz!?" odpowiedziałem mu: że ja lubię mówić jak myślę. To zdarzenie oziębiło do mnie księcia, który kiedy już ze mną tak poufale jak dawniéj nie przestawał, i wszyscy też mnie porzucili, że ledwie słowo kto do mnie przemówić chciał. Tak w duszy mojéj żałowałem księcia, że będąc ze wszechmiar cnotliwym, lubił wszelako, ażeby mu pochlebiano; ale nie żałowałem siebie, że chociaż prawdą idąc po świecie, jak mnie konający ojciec przestrzegał, nie poprawiłem losu mojego, przynajmniéj spokojności mojéj wewnętrznéj nie zamieszałem."

Wróciwszy do Warszawy, wydał Karpiński dziełko „O wymowie." pismo to tak się podobało królowi i bratu jego księciu prymasowi, że przysłali do Karpińskiego Gwindowta, sekretarza kommissyi edukacyjnéj, z poleceniem, aby według wyrażonych prawideł, napisał książkę prelekcyj na wymowę dla szkół narodowych. Karpiński przyjął z wdzięcznością pochlebne to poselstwo, oraz przyrzeczenie 300 dukatów nagrody za poniesioną pracę. Ale w kilka dni potém ksiądz Grzegorz Piramowicz członek towarzystwa ksiąg elementarnych, prosił go aby odstąpił od owéj pracy, albowiem on zbierał już od lat kilku materyały w tym celu, a nawet zaczął już pisać dzieło o wymowie dla szkół narodowych. Karpiński rad nie rad musiał odstąpić, Piramowicz zaś w parę lat zaledwie, wydał dzieło swoje nie odpowiadające ważności przedmiotu.

Następnie poeta nasz zajął się uporządkowaniem znakomitéj biblioteki księcia generała, ale przez intrygi Skowrońskiego drugiego sekretarza pozbawiony został zupełnie łaski pańskiéj. Poznał Karpiński że go się pozbyć chciano: „Podżegania Skowrońskiego, mówi on, osłabiły przywiązanie tego pana do mnie; raz mi on oświadczył że książę wojewoda Wołyński Sanguszko, prosił o to, ażebym z synem jego chciał jechać za granicę; przykro mi było słyszéć to od księcia, bo kochając go prawdziwie, żyć już przy nim chciałem do śmierci. Wszelako, widząc że on dwór swój i mnie też między inszymi odprawić żąda, poszedłem widzieć się z Sanguszkiem, który chociaż zyskowną dla mnie roczną ofiarował pensyę, a po skończonéj czteroletniéj podróży, wieś na Wołyniu do ośmiu tysięcy dochodu czyniącą, dożywociem zapisywał, żal mnie objął że stracę ulubionego pana, księcia Czartoryjskiego, i odmówiłem Sanguszkowi."

„Książę Czartoryski zdawał się być rad kiedym mu żal mój i przywiązanie do niego opowiadał, które nad zyski największe dla mnie przekładałem; ale w kilka niedziel znowu potém, książę proponuje mi drugie miejsce, u drugiego Sanguszki, marszałka litewskiego i przynajmniéj prosi ażebym do babki dziecięcia Sanguszkowéj, marszałkowéj litewskiéj pojechał. Jużem wyraźnie zrozumiał, że Czartoryski zbyć się mnie z domu żądał; ale serce moje które się do niego przywiązało, jeszcze mocniejsze było od

rozumu. Gdym się obaczył ze starą Sanguszkową, z tą kobietą którą w Warszawie dziekanową pań nazwano, i która prawdziwie rozumem i najgrzeczniejszém każdego w domu przyjęciem przodkowała; kiedy mi jeszcze ze łzami w oczach powié: „to dziecię sierota, bez ojca jest, matka jego niewiele o niego dbająca; jeżeli go pod dozór swój nie weźmiesz, przed Bogiem na ciebie skarżyć się będę;" wzruszony łzami téj najzacniejszéj pani, przyjąłem obowiązek zatrudnienia się kształceniem serca i dozorem nad edukacyą Romana Sanguszki, siedmioletniego dziecięcia, najpiękniejszego w całéj Warszawie chłopca, przy znacznéj pensyi rocznéj, a po dziewięciu latach wsi do dziesięciu tysięcy czyniącéj dożywociem. Powróciwszy do domu księcia Czartoryskiego, nazajutrz z rana, rzeczy moje wyprowadziwszy do staréj Sanguszkowéj pałacu, poszedłem pożegnać księcia i podziękować mu za chléb, który w domu jego półtora roku jadłem; na końcu rozpłakawszy się powiedziałem: nietylko uczynkiem ale myślą nawet nie zgrzeszyłem przeciwko Waszéj Książęcéj Mości, wszelako mnie z domu swego jako winowajcę wypędzasz, a ja tu przy tobie do mojéj śmierci żyć chciałem. Rzucił się książę do mnie, i z uczuciem rzecze: toż się u mnie zostań, z całego serca proszę. Odpowiedziałem: że dałem już słowo Sanguszkowéj, i zapłakany wyszedłem."

„Po tygodniu, przyjechało z Lubartowa dziecię z matką i ojczymem księciem Kazimierzem Sapiechą. Król sam na ręku trzymając pięknego chłopca, oddawał mi go w domu Sanguszkowéj; i wkrótce potém przeprowadziliśmy się do konwiktu księży Pijarów, gdzie z inszymi kawalerami, pod rektorstwem księdza Stadnickiego brał lekcye swoje, a ja tylko obyczajów swoich i jego doglądał."

Ale Karpiński, sprzykrzywszy sobie niedługo życie zależne i niewolnicze, gorliwy w pełnieniu przyjętego obowiązku, a ztąd dręczony ustawiczną niespokojnością, po roku mozolnego zajęcia, mimo nalegań babki, matki i króla, ratując nadwerężone zdrowie, opuścił małego Sanguszkę, i wrócił do Galicyi po trzechletniém oddaleniu. Wrócił uboższym niż wyjechał z domu, bo w czasie ogólnego zepsucia, cnota i poczciwość nie dały mu chleba.

Wówczas to napisał piękny i znany powszechnie wiérsz „Powrót z Warszawy na wieś" pełen prawdy i prostoty.

„Po roku bawienia się na wsi, mówi Karpiński, zachciało mi się znowu do miasta, tak raz zakosztowawszy życia na wielkim świecie, jak ów pijak gorzałczany, chociaż ten trunek cierpki i palący, przecież mu miło zawsze powracać się do niego. Najprzód poszedłem do Czartoryskiego, który mnie dość zimno przyjął, a Skowroński mi powiedział, że książę to czuł, jakobym go w wierszach moich, Powrót z Warszawy na wieś, opisał; odpowiedziałem: Alboż to książę do siebie bierze te wiersze? Po kilku dniach król kazał mi być na obiedzie u siebie. Już on czytał dawniéj owe wiersze, i tak mnie obaczywszy ze łzami radosnemi pyta:"

„Cóż ci to Warszawa zrobiła, żeś ją tak opisał w wierszach swoich?"

„Odpowiedziałem: właśnie to samo, że nic nie zrobiła. — Król zagadł mnie czém inném, zamawiając sobie, że zaraz po obiedzie powiadać mu miałem o rządzie w Galicyi."

W roku 1791 bawił Karpiński w Warszawie, a widując często króla, ośmielił się nakoniec przypomnieć mu swój stan ubogi. Król odrzekł mu pochlebnie: „Honor WPan czynisz panowaniu memu, że wtenczas żyjesz, kiedy ja na tronie jestem." Mimo to parę lat upłynęło, a żadna łaska dworu nie spłynęła na poetę. Karpiński znów powtórnie przypomniał się monarsze. „Krzywdę mi WPan czynisz tą prośbą swoją, odpowiedział król, ja bez przypomnienia WPana myśléć o nim powinienem, i proszę nigdy, prośbą swoją mnie nie pokrzywdzać."

Widząc że nie ma się na co oglądać, wyjechał Karpiński na Litwę. Król tymczasem, ażeby się uiścić z przyrzeczenia, umówił się z księciem Maciejem Radziwiłłem, kasztelanem wileńskim, opiekunem małoletniego księcia Dominika Radziwiłła ordynata Nieświeża i Ołyki, aby Karpiński przez lat dziesięć, zarządzał wychowaniem młodzieńca, za wynagrodzeniem ze strony opieki tysiąca dukatów rocznie. Matka ze swéj strony, obiecała dokładać pięćset dukatów, oprócz tego po wyjściu z opieki księcia Dominika, miała mu być wydaną dożywociem jedna wieś z Ordynacyi.

Mimo znakomitych korzyści, ciążyło niesłychanie Karpińskiemu, zaprzedanie dziesięcioletniéj swobody, zwłaszcza, że licząc podówczas lat pięćdziesiąt, trudno mu było nagiąć się do uciążliwych warunków nowego obowiązku. Wymawiał się jak mógł, powtarzając: „kogo bogowie nie nawidzą, tego dozorcą małoletnich zrobili." Zwyciężony wszelako naleganiem króla i usilnemi prośby opiekuna, nie mógł oprzéć się ich woli.

Ale złe domowe przykłady, niewczesne pieszczoty matki, w przeciągu roku, zniechęciły zupełnie Karpińskiego. Daremnie kilkakrotnie błagał ze łzami księżnę żeby mu nie broniła postępować z dzieckiem według własnego sposobu myślenia; nareszcie, jak mówi, po roku smutnego życia, porzuciwszy uciążliwy obowiązek, wyjechał do Warszawy, gdzie król i opiekun dowiedziawszy się prawdy, uznali go zupełnie niewinnym.

Po sejmie grodzieńskim, sprowadził się Karpiński do swéj kolonii, w województwie brzeskiém położonéj, którą jeszcze w 1791 roku za staraniem Badeniego otrzymał był przywilejem królewskim, na lat pięćdziesiąt (1).

„Pobudowawszy się w téjże kolonii, chociaż ubogo ale wygodnie, mówi Karpiński, zacząłem szczerze myśléć o sobie, aby na starość, swój mając kawałek chleba, po cudzych kątach nie poniewierać się i nie mając majątku żadnego, prócz dwóch tysięcy dukatów na procencie, ciężkie mi było, bez żadnego poddanego wytrzebienie dzikiego gruntu kolonii,

(1) Rozdawano każdemu kto chciał, pustą ziemię do wyrobienia w gruntach królewskich na lat pięćdziesiąt, aby po upłynionym terminie, taż kolonia do króla wtenczas polskiego powracała, bez żadnej nagrody za wszelkie zabudowania i osadzenie wieśniaków.

wszystko robiąc najemnym cudzym wieśniakiem. Wziąłem się tedy i sam więcéj niż pięćdziesiąt lat mający do roboty, widząc że próżno pokładałem nadzieję w obietnicach królewskich, i w łaskach pańskich. Tyle wieku marnie przepędziwszy, zacząłem uprawiać rolę, i kilka morgów wycinając i wykopując korzenie krzaków sam wytrzebiłem. Najemnicy którzy przy mnie pracowali, tém z większą robili mi ochotą, im szczerzéj i mnie téż przy sobie pracującego widzieli. Skutek téj pracy mojéj był najlepszy, bo zawsze w czasie tych robót moich, jadłem i spałem smaczniéj. Niémasz wstydu za robotą około roli, co piérwszém człowieka jest powołaniem, i kiedy raz J. W. sąsiad sześcią końmi karetą przejeżdżał, a ja blizko publicznéj drogi krzaki na gruncie w moim szlafroku wycinam, ci którzy przy mnie robili przestrzegli mnie, że pan jakiś nadjeżdża, ażebym roboty mojéj poprzestał; jam odpowiedział: że tém bardziéj robić będę, bo to mi jeszcze chwałę robi. Poznał mnie przejeżdżający pyszny jaśnie wielmożny, i wysiadłszy z karety, z pół godziny zabawiwszy się ze mną, kiedy się dziwił pracowaniu mojemu razem z chłopami, ja jemu toż samo co i najemnikom moim odpowiedziałem, dodałem jeszcze: że lepiéj jest daleko pracować, niżeli szachrajstwem majątek robić."

Poczciwy Karpiński czuwał nad losem i moralnością chłopków swoich; jakoż mówi sam: „Kiedym się urządził, odczytałem nowoosiadłym wieśniakom moim ich prawa, a w nich między innemi było umieszczone, ażeby w przypadku jeżeliby jeden drugiego ważył się w złości uderzyć, pobity oddawać mu wzajemnie nie miał, ale zaraz do dworu na skargę przychodzić; wtenczas dwór zawsze jednostajnie osądzi, że bijący będzie publicznie ukarany kilkunastu rózgami, nie przez dworskiego ekonoma danemi, ale tenże sam pobity rózgi bijącemu dawać będzie. Tym sposobem nie było u mnie bójek między sobą wieśniaczych, i po takiéj karze, na jednym z bogatszych, a tém samém pyszniejszych wieśniaków, skończyło się. Że jeżeliby się z czasem między nimi pokazał złodziéj jaki, tedy za piérwszą poszlaką rózgami pośrodku wsi ćwiczony musiał być, za drugą z utratą wyrobku pola i zabudowania, ze wsi wypędzonym. Jeden z tych wieśniaków nazwiskiem Jakób Mosiej, padł mi ze łzami do nóg, dziękując mi za to prawo, czyniące mu nadzieję że sami tylko cnotliwi osiadać będą w téj kolonii. Jakoż pokazało się potém, że ten sam Jakób był człowiekiem najpoczciwszym, i od wszystkich wieśniaków szanowany i odemnie nad innych kochanym."

Odtąd cicho i spokojnie trawił Karpiński wiek sędziwy w kolonii, którą z Kraśnika przezwał Karpinem. Burze zewnętrzne nie dochodziły do cichego jego ustronia. Tam to napisał rozmowy Platona z uczniami, dzieło które sam najwyżéj ze wszystkich oceniał. Odwiedzał niekiedy króla bawiącego podówczas w Grodnie, i mile zawsze przyjmowany był u dworu.

„Uprawiłem, mówi Karpiński, rolę swoję, nie ubezpieczając się na niczyje łaski, samemu sobie w poprawieniu losu swego zostawiony. Mogłem mieszkać gdzie w mieście i żyć z procentu, ale znając cokolwiek świata

wielkiego, że ledwie na nim dziesiąta część ludzi znajduje się z któremiby niecierpliwemu żyć można było, żeby się z niemiłemi ustawicznie nie zdybywać, wolałem osiąść w lesie, gdzie porobiwszy około domu mego zagrody silne, ocalałem się od wilków i niedźwiedzi; w mieście zaś mieszkając, jakiż sposób odgrodzenia się od złego człowieka, żeby mnie nie naszedł? Mam dom dość wygodny, i nikomu pałaców nie zazdroszczę, dwie potrawy przy chlebie smacznym na obiad, i dwie na wieczerzę; oto już cała uczta moja. Ani u sąsiadów moich będąc więcéj nie żądam nad najulubieńsze mi: kaszę i pierogi."

Jeden ze znakomitych panów, powodowany przyjaźnią dla starego poety ofiarował mu tysiąc dukatów, z warunkiem żeby go nie odstępował do śmierci. Podziękowawszy za ten dar Karpiński, oceniając jednakże dobre chęci magnata, przyrzekł mu, że bez żadnego wymagania nagrody, kilka razy do roku w dom jego przyjeżdżać będzie.

„Przyjął magnat z wdzięcznością przyrzeczenie moje, mówi Karpiński. Zaledwie dni kilka w domu jego zabawiłem, o coś posprzeczaliśmy się z sobą, i widząc go bez przyczyny upartym, rzeknę: ja mam te i te przyczyny na dowód tego co mówię, a pan daruj mi, żadnéj nie masz. On wtenczas rozgniewany: — a WPan widzę lubisz się sprzeczać. — Ja mu zaś na to: — tak jest mój panie, sprzeczam się, bom pieniędzy nie wziął od jegomości, które gdybym był przyjął, jakaś wdzięczność kazałaby mi zawsze powtarzać: tak jest panie dobrodzieju."

Znał nasz poeta ludzi, to téż nie ubiegał się o ich względy, i mało cenił powierzchowne oznaki przyjaźni. Trafnie opisywał on błędy współczesnych, mówiąc: „Moi niby to przyjaciele przyszedłszy do honoru jakiego w powiecie swoim, zaraz tonem pysznym ze mną rozmawiać zaczęli, a po upłynionym urzędzie znowu grzeczni jak dawniéj, ale mnie już do siebie nigdy przyciągnąć nie mogli. Oni głupi, myśleli że urząd robi człowieka znaczniejszym, zapomniawszy, że pokorną cnotą najwyżéj się podnosimy. Inni zawierali przyjaźń ze mną, żeby co zyskać, a widząc że się im nie udaje, porzucili. Insi widząc mnie mającego szacunek jakiś między ludźmi, nazywali mnie w posiedzeniach swoich przyjacielem, co mnie jeszcze, że byli ludźmi niecnotliwymi, wstydziło. Insi nakoniec, a tych najwięcéj, którzy mnie wychwalali i grzeczności wyrządzali w jednym celu, żebym co na ich pochwałę napisał. Ale po wierszach moich pod tytułem: *Żale Sarmaty*, jak w nich dałem słowo wierszów odtąd niepisania, tak odtąd żadnych nie pisałem."

„Jedna magnatka, mówi daléj, najwięcéj mnie w oczy chwaliła, i najgrzeczniejsze do mnie pisywała listy, a pieniędzy moich od lat kilkunastu odebrać od niéj nie mogłem, i jeszcze mnie w wypłaceniu procentu krzywdziła.

„Insza pyszna nad miarę, ulegania we wszystkiém żąda, i najmniejsze jéj sprzeciwienie się, uchybieniem nazywa. Chce niby przyjaźni mojéj, ale boi się czy się tém nie poniży, że się moją nazwie przyjaciółką."

„Insza mając nadzieję za lat moich młodszych, że z nią zawrę ślub sumienny, kiedym odpowiedział, że ja nie będę mężem żony, która się imienia mego wstydzić ma, odtąd najzimniéj ze mną postępowała."

Po wyjściu Radziwiłła z opieki, udał się do niego Karpiński, z przypomnieniem o niewypłaconych dotąd tysiącu dukatów za rok pobytu przy nim. Złożył mu mały memoryalik zakończony temi słowy: „Altamor był jeszcze dziecięciem, a Polidor w leciech podeszły prowadził go za za rękę, ażeby ani po górzystych miejscach chodząc upadłszy, nie szwankował, ani po dołach w błocie się walał. Przyszedł czas, że Polidor zestarzawszy się, spokojnie już w chacie swojéj siedział, wtenczas przyszedł do niego Altamor, i rzecze: tyś mnie prowadził w dzieciństwie mojém, ja przyszedłem cię w starości twojéj ratować. Kładę przy tobie chléb, byś wygodniéj starość twoję przepędzał. Bóg wtedy spojrzał z nieba na ten piękny wdzięczności przykład, i ponieważ Altamor nie miał już ojca ani matki, do niebian swoich rzecze: ja temu cnotliwemu młodzianowi stanę odtąd za ojca i matkę. Wasza Książęca Mość jesteś tedy Altamor, a ja Polidor, który interes mój względom jego polecam!

Książę oddał natychmiast należytość i nadto nie chciał przez tydzień cały, wypuścić z Nieświeża starego swego przewodnika.

Karpiński czując coraz bardziéj wątlejące siły, sprowadził do Karpina wnuka po rodzonéj siostrze Kozierowskiego, oddał mu zarząd gospodarstwa wymawiając sobie stosowny procent i utrzymanie. Jakoż lubo bezżenny nie doznał osamotnienia w sędziwym wieku swoim. Otoczyła go wkrótce liczna rodzina, wnuk ożenił się niebawem, a grono drobnych dziatek, rozjaśniało pochmurne dni tęsknego żywota starca. Sędziwy poeta złamanym już głosem śpiewał codziennie, obrócony w stronę kościoła, pieśni i psalmy pobożne przy dźwięku ulubionéj gitary. Nieraz także i na inną odezwał się nutę, a wydobywając z głębi serca bolesną skargę za ubiegłemi latami młodości, śpiewał drżącym już głosem:

Rzeka w górę nie popłynie,
I nie wrócą młode lata.
Wiek mu cały marnie ginie,
Kto z młodu nie użył świata.
Schylam się już do wieczora,
Już ja nie ten, com był wczora.

W starości mało Karpiński oddalał się z domu, coraz nieznośniejszém było mu towarzystwo obojętnych, nienawidził zwłaszcza zepsutéj ówczesnéj młodzieży, owych jak mówił „fircyków, którzy nie lubiąc czytania książek, o wszystkiémby decydować chcieli, a nic gruntownie nie wiedzą." To téż gdy się wydarzyła sposobność, karcił niemiłosiernie zarozumiałych śmiałków. Raz będąc w towarzystwie z młodym człowiekiem przybyłym wprost z zaranicy, gdy ten nie znając literatury polskiéj, szydził sobie z rodzinnéj poe-

zyi, i rzekł do Karpińskiego z przycinkiem: „Wacpan, co to podobno byłeś poetą, powiedzże mi, jakiegoby dobrać rymu do wyrazu „cietrzew?" Starzec urażony odpowiedział: „Zupełnego trudno dobrać, ale można sens jaki ku temu wynaleźć." — „Proszę, bardzo proszę" — zawołał młodzik, a sędziwy poeta tak się odezwał po krótkim namyśle:

Zpomiędzy drzew,
Powstał cietrzew,
Minął bałwana,
Siadł na wacpana.

Przy schyłku życia mieszkał Karpiński we wsi dziedzicznéj Chorowszczyznie. Miłujący od lat młodych życie porządne i regularne, w starości zamiłowanie to posunął do przesady: żył zupełnie podług zegarka. Wszystkie jego zatrudnienia — mówi autorka Rozrywek — miały wyznaczone godziny: o dwunastéj jadał, a gdy o parę minut obiad się spóźnił, był niecierpliwym, groził że zachoruje. Po obiedzie kładł się: czy spał, czy nie spał, godzinę wyleżéć musiał. Potém jeżeli czas pozwalał, wychodził na dziedziniec, tam ośmdziesiąt kroków od domu miał słup wbity, do tego słupa szedł i wracał po dwa razy, jeżeli zaś słotna była pora, tęż samą liczbę kroków odbywał w sali na przechadzkę przeznaczonéj, którą zaraz po sprowadzeniu się swojém do Chorowszczyzny, ozdobił był obrazami po większéj części historycznemi, a przy każdym z nich był stosowny napis wierszami jego własnego układu. Wróciwszy z przechadzki zjadł jeden migdał i jeden rodzynek; potém czytał albo téż grał w arcaby lub kalabrakę: dwie gry ulubione mu przy końcu życia.

Postać jego nie była okazałą. Pełen prostoty w obejściu, nie lubił ściągać na siebie uwagi obcych, a ktokolwiek go nie znał, nie odgadłby w nim znakomitego uczonego i poety. Pismo zbiorowe Wanda z 1825 r. następujący o nim podaje szczegół: „W roku 1806 generał Lwów oswojony z literaturą naszą, stanął kwaterą w pomieszkaniu Karpińskiego. Z początku nawykli do nieuważania ceremonii goście, przerywali domową ciszę poety. W parę dni dopiéro generał zapytał się gospodarza czy nie jest czasem krewny sławnego autora sielanek? „Ja to sam nim jestem'' — odpowiedział Karpiński — a Lwów, który dotąd siedział, powstał z miejsca, powitał go z uroczystą powagą, i odtąd wszelkie uszanowanie względem osoby gospodarza zachował. Smiał się późniéj poeta widząc z jaką ostrożnością żołnierze przez sień jego przechodzący, na palcach postępowali." Raz także w zgromadzeniu w obec Karpińskiego wszczęła się między przytomnymi rozmowa, któremu zpomiędzy poetów polskich przyznać należy pierwszeństwo? Jeden z nowo przybyłych gości nie wiedząc kto przy nim siedzi, rzekł: „co do mnie, najwyżéj cenię Karpińskiego; inni mają zapewne więcéj mocy, gieniuszu, ale za to w nim zachwyca mnie dziwna jakaś rzewność, słodycz, jakaś prawdziwa nasza poczciwość. Jakżebym go rad choć raz przed śmiercią zobaczyć!" Łzy rozrzewnienia wydały skromnego poetę.

W ośmdziesiątym piérwszym roku życia, zgrzybiały starzec, przebiegłszy pamięcią długie pasmo upłynionego żywota, te słowa drżącą skreślił ręką: „Obrzydziłem już sobie świat: w starości mojéj, przychodzą mi na myśl, i powiększają moję melancholię, zdrożności moje młodszego wieku; takoż w życiu swojém byłem trochę do pychy skłonny, ogadujący drugich, w piérwszym zapędzie gniewu nieumiarkowany, aż do chorowania; dlatego unikałem okoliczności, i ku latom podeszłym, gospodarstwo moje na wnuka zupełnie zdałem. Byłem chroniący się ile możności wydatków niepotrzebnych, ale szanowałem do zadziwienia rzeczy nabyte. Tak mam dotychczas zwierciadło do golenia, które całe służy mi od 44, a zégarek od 49 lat. I taką oszczędnością przyszedłem do 130,000 i do kolonii Kraśnika erygowanéj moim kosztem."

„Do kościołów nie często kwapiłem się, ale widuję Cię o Boże mój na słońcu wschodzącém siedzącego i oglądającego światy nieprzeliczone. Gry hazardowéj i pijaństwa nie lubiłem. Byłem trochę chełpliwym, ale w posiedzeniach, w żartach, nieupokarzający nikogo: piérwsze mi miłość własna natrącała, a drugiego miłość bliźniego zakazywała. Na niesprawiedliwości ludzkie oburzałem się, chociażby nie mnie wyrządzane były. Na nędzę ludzką osobliwie biednych, tkliwy, i tę tkliwość za zasługę sobie nie poczytuję, bo serce takie wziąłem od natury, że z płaczącym nieszczęśliwym łatwo mi płakać przychodzi. Teraz zmordowany ciężkiemi pracami, fałszem ludzi odstręczony od świata, nie mogąc miéć rozrywki z czytania, dla słabości oczów, ani z pisania, dla niedostatku z wiekiem myśli i wyrazów, które kiedyś w głowie mojéj, jak w zapaśnéj komorze zaraz znajdowałem, a teraz ten mój magazyn zupełnie pusty; czekam spokojnéj śmierci, ani jéj wzywając, ani jéj się obawiając, śmierci, która mało bardzo szczęścia, a wiele bardzo nieszczęść, w życiu mojém dokończy."

Umarł nakoniec Karpiński 16 września 1825 roku, przeżywszy lat 85. Pochowanym został na cmentarzu w parafii Łyżkowskiéj, a na mogile kazał sobie położyć skromny napis:

„Otoż mój dom ubogi."

Taż sama prostota, z jaką Karpiński w podeszłym wieku opowiada przygody swego życia, przebija we wszystkich jego literackich utworach. Potomność słuszny już o poezyach jego wydała wyrok, nazywając go śpiewakiem smutku i tęsknoty. Dziś zapewne, gdy nowe poetyczne pojęcia tak olbrzymim postąpiły krokiem, gdy wieszczowie dzisiejszéj szkoły, jakby dotknięciem czarodziejskiéj laski, poruszyli najskrytsze tajniki serc naszych, gdy wyobraźnię naszą unieśli w wyższe koło filozoficznych badań; dziś mówię, gdy umysły nasze, olśnione zostały świetnemi promieńmi nowych gieniuszów, ciche i tęskne pienia Karpińskiego, mogą nam się wydawać mdłe i bezbarwne. Ależ sądząc ze stanowiska ówczesnéj epoki, trudno zaprzeczyć poecie naszemu miejsca, obok Krasickiego i Trembeckiego, lubo odmienną od nich przedsięwziął drogę. Uważając zaś dzieła jego ze stano-

wiska bezwzględnéj piękności, przyznać musimy, że niezrównana prostota naszego poety, po wszystkie czasy godną będzie uwielbienia, albowiem prawda, owa najpiérwsza zaleta każdego utworu sztuki, zawsze jest piękna, czyli to widzimy ją wyrytą ognistém piórem natchnionego wieszcza, czyli téż wypływającą nieuczoném słowem, wprost z tkliwego i poczciwego serca.

Jako dowód owéj prawdy i prostoty, przytaczam: „Powrót z Warszawy na wieś." Trudno zaprawdę odczytać bez głębokiego wzruszenia, ów wierny obraz rzewnéj i prawéj duszy poety:

Otoż mój dom ubogi, też lepione ściany,
Te okna różnoszybne, piec niepolewany,
I nizka strzecha moja; wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości więcéj pochyliło.
Szczęśliwy, kto na małym udziale przebywa,
Spokojny siadł przy stole wiejskiego warzywa;
Z swéj obory ma mięso, z ogrodu jarzynę,
Z domu napój i wierną przy poku drużynę.
Obym ja był tak dawniéj myślał, oszukany,
I w ukrytym gdzieś kącie żył raczéj nieznany;
Gbyby o mnie w powiecie nawet nie wspomniano,
I tylko mnie sąsiadem dobrym nazywano;
Bym się żywił z krwawego rąk moich wyrobku,
Żył na świecie bez wieści, umarł bez nagrobku!
Com zyskał, że rzuciwszy ubogie zagrody,
Chciałem nieopatrzony płynąć przeciw wody?
I widząc na me oczy jak drudzy tonęli,
Jam sobie myślał: „Oni płynąć nie umieli."
Com zyskał na wysokie pańskie pnąc się progi,
Gdzie po śliskich ich stopniach obrażając nogi,
Nic się z moim lepszego nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia, że gadałem z panem.
Kiedy mnie ojciec stary żegnał przy swym zgonie,
„Idź — mówił — synu na świat; w jakiéj będziesz stronie,
Pamiętaj, że na prawdzie nikt nigdy nie traci,
Zostawiam cię ubogim, prawda cię zbogaci."
Słuchałem cię mój ojcze, goszcząc między pany,
Takem pisał — tak mówił — jak był przekonany;
Nie brałem sobie za cel ludzkie głosić winy,
A jeślim kogo chwalił, nigdy bez przyczyny.
Cóżem zyskał, pochlebstwem nie służąc nikomu?
Otom wrócił uboższym, niż wyjechał z domu.
Nie przeto święta cnoto porzucić cię trzeba
Że wieku dzisiejszego nic nie dajesz chleba;
Choćby mi jeszcze wolniéj miało szczęście pociec,
Bo i z prawdą pięknie jest, i tak kazał ojciec.
Trzeba wyznać jak było, że mi coś dawano,
Ale wszystkie godziny życia kupić chciano,
Żebym wieczny niewolnik znosił jarzmo czyje,
Żył wszystkim, a sam nawet zapomniał że żyję.

A wreszcie mi nadzieją szafowano szczodrze.
Nikomum źle nie zrobił, ani mnie nikt dobrze.
Nadziejo! czyż ja ciebie w złotéj chciał miéć szacie,
Żeby oczy pospólstwo obracało na cię?
Żebym słynął majątkiem, drugiemi pomiatał,
Nie otom ja pod drzwiami fortuny kołatał.
Jedna wioska do śmierci, jeden dom wygodny,
Gdziebym jadł nie z wymysłem, ale wstał niegłodny;
Gdziebym się nie usuwał nikomu do zgonu,
Swym pługiem zoranego pilnował zagonu,
Spokojny będąc na tém, co stan mierny niesie,
Stałbym sobie na dole, niech kto inny pnie się.
W tym zamiarze, praca mnie całe życie tłoczy:
Nad książkami straciłem i zdrowie, i oczy,
Nad książkami, które ja co gębie odjąłem,
Może zbytecznym na mnie nakładem ściągnąłem.
Cóż mi książki oddały? jak niewierna niwa,
Co zgubiła nadzieję rolnikowi żniwa,
Po wieku mego wiosny niewróconéj szkodzie,
Nachylony ku ziemi, zostałem o głodzie.
Za lat Symonidesów albo Kochanowskich,
Może znalazłbym sobie Zamojskich, Myszkowskich,
Przy którychbym wygodnie wieku mego użył,
I pismem pożytecznem narodowi służył.
Dziś zabierz mi kto książki, ten sprzęt nieszczęśliwy,
Do których mnie przywiązał nałóg uporczywy,
I co mi będzie lepiéj w ubóstwie usłużne,
Zamieniaj na motyki i żelaza płużne.
Porzucę nad pismami myśli kłopotliwe,
A serce niech mi tylko zostanie dotkliwe,
Żebym się mógł nad losem biedniejszych litować,
I przy pracy miał sposób bliźniego ratować.
Maryo! siostro moja, jakżeś się kwapiła!
Prawieś wraz z mym powrotem i ty tu przybyła.
Czegoż stojąc w tym kącie, z twarzą wyniszczoną,
Otoczona dziatkami, nieszczęśliwa żono!
Poglądasz mi na ręce, rychło jakim datkiem,
Wesprę cię, już goniącą majątku ostatkiem;
Nędza was jak popadła, tak statecznie gniecie;
I tyś także jak widzę prawdą szła na świecie
Opłakana rodzino! wy myślicie ślepi,
„On był między panami i nam będzie lepiéj."
Byłem, i byłbym pewnie panom na coś zdatny,
To wiem; a tego nie wiem, za com niepopłatny.
Stało się: nie mam swojéj, kopmy cudzą grzędę,
Podeprzéć tę lepiankę, jeszcze w niéj przebędę.



TOMASZ ŚWIĘCKI.

Tomasz Święcki

TOMASZ ŚWIĘCKI.

Urodził się dnia 18 grudnia 1774 roku we wsi *Kostkach* w dawném województwie podlaskiém, a ziemi Drochickiéj. Ojciec jego Michał, syn Stanisława Święckiego podczaszego mielnickiego, zamożnego w majątek i znaczenie, który przy elekcyi Stanisława Leszczyńskiego na króla polskiego szlachcie województwa podlaskiego przewodniczył, i akt elekcyi naszego województwa podpisał.

Matka, Antonina z Budzyńskich, wzór niewiast polskich, sama nauczyła syna czytać i pisać, i wpoiła w niego zamiłowanie do rzeczy ojczystych. Późniéj do lat 10-ciu przysposabiał go ksiądz Franciszkan Patkowski do nauk szkolnych.

Michał Święcki, ojciec naszego pisarza, mierny już tylko posiadał majątek. Z młodu był na dworze Augusta III, i assystował p. *d'Aranda* posłowi hiszpańskiemu, tak głośnemu z przepychu, bogactw i osobistych talentów; powtarzał często zdanie tego posła o Stanisławie Poniatowskim, podówczas stolniku W. X. Litewskiego, że go jedynie za najzdolniejszego do korony polskiéj być mienił.

W roku 1784, Tomasz Święcki oddany został do szkół XX. Kommunistów w *Węgrowie*, gdzie pod przewodnictwem księdza Jakóba Białobrzeskiego postępował w naukach. Szanowny ten i światły prałat, poznawszy i oceniwszy zdolności młodego Święckiego, dostarczał mu z swéj zamożnéj biblioteki dzieł do historyi krajowéj, która go najwięcéj zajmowała. W roku 1789 zaszczycony został od Stanisława Augusta króla medalem srébrnym z napisem *deligentiae*. Przy końcu tegoż roku, po ukończeniu szkół, stoso-

wnie do woli swego ojca, wszedł do grona palestry Drochickiéj. Trwał podówczas *sejm czteroletni*, którego czynnościom często bywając w Warszawie bywał przytomny. W r. 1792 w kwietniu wysłany przez ojca do Krakowa, w tę właśnie porę był tam obecny, kiedy korony do uroczystości pamiętnéj z zamku brane były. Piérwszy raz wtedy zwiedził groby królów polskich, i piérwszy a ostatni oglądał w całości jeszcze pokoje i komnaty zamku krakowskiego.

Tegoż roku wybuchła wojna, którą zakończyła wprędce *konfederacya Targowicka*. W roku 1793, przygotowywano się do sejmu grodzieńskiego. Na sejmikach w Drochiczynie przy wyborze posłów obecny Święcki, gdy instrukcya dla tychże była przedmiotem sporów, pomimo widocznéj orężnéj przemocy, stanął obok *Teodora* Bielińskiego pisarza ziemskiego starca siedmdziesięcioletniego, co był na czele oppozycyi, i wymaganéj instrukcyi wraz z nim nie podpisał.

W roku 1794 w miesiącu lutym na sejmikach wyborowych pod laską Franciszka Obnińskiego, był Święcki assessorem koła rycerskiego wybrany; następnie przez *Laudum* do grona palestry przy trybunale koronnym w Lublinie. Wkrótce wybrany deputatem na trybunał, pospieszył do Lublina, gdzie odebrał wiadomość o wypadkach w Krakowie. Trybunał nie doszedł, Święcki powrócił do domu, gdzie przez Karola Urbańskiego generała ziemi Drochickiéj, mianowanym na rotmistrza został. W lipcu ruszył ze swą chorągwią pod *Niemirów* nad rzekę Bug na granicę litewską, gdzie szlachta ziem Drochickiéj i Mielnickiéj zebrana była. Po cofnięciu się nieprzyjaciela, przeznaczony wyruszył do Warszawy, gdy właśnie to miasto już się poddało.

Święcki pod domową strzechę się schronił, oddał się naukom, w których pociechę w powszechnéj boleści znajdował. Mając zamiar udania się do legionów we Francyi zawiązanych, sam za pomocą tylko grammatyki zaczął się uczyć języka francuzkiego. Na gruntach wsi *Kostki* ojca jego, istnieje pagórek lasem sosnowym i gęstą krzewiną zarosły, *mogiłkami* lub *grobami aryanów* zwany; zacisze to wśród grobowców, było jego akademią. We trzy miesiące już tyle postąpił w nauce tego języka, że piérwszą książkę *Życie Dumuoriera*, z wielką radością, w całości pojął i zrozumiał.

W roku 1798 udał się do Lwowa; tam wydoskonalił się w języku francuzkim, i uczęszczał na kursa prawne, rozczytując się z upojeniem w dziełach Jana Jakóba Rousseau. Zwiedził piękne okolice Galicyi, jak Łańcut, Przeworsk, Jarosław, aż w góry pod Duklę; zamiarowi puszczenia się do Francyi, silne zawady stanęły w przeszkodzie. Z zapasem przeto wiadomości prawnych udał się do Krakowa, miejsca wówczas najwyższéj apellacyi na Galicyę zachodnią, dla zdania examinu na urzędnika sądowego. W roku 1799 zdawszy takowy przed *Wittorfem* prezesem apellacyi, uzyskał dekret (patent) tak zwany *eligibilitatis*. Bawiąc w Krakowie zwiedził powtórnie groby królów i pomniki, oraz *Krzeszowice* i okolice tameczne.

Od roku 1800 do 1804 pełnił obowiązki sędziego, cały czas wolny oddając ulubionemu czytaniu Monteskiego i francuzkich autorów, w jakich obfitował wiek XVIII.

W r. 1804 dnia 26 kwietnia zaślubił Ewę Horaewską. Owocem tego małżeństwa była jedyna córka Hilarya. W lat dwa utracił Święcki (6 czerwca 1806 roku) żonę pełną przymiotów i cnót domowych; w niemowlęcym wieku zostawiła dziecię, a w głębokiéj boleści przywiązanego męża. Już nie powtórzył więcéj ślubów, oddając się cały wychowaniu ukochanéj jedynaczki, co mu przypominała przymiotami drogą małżonkę, a wdziękiem, krasą, i urodą, była celem powszechnego uwielbienia.

Przyjaźń sąsiedzka, wezwała Święckiego do pomocy w interesach prawnych Antoniemu i Janowi hrabiom *Bulterom*, synom niegdyś Michała starosty preńskiego, a potomkom *Gotarda Butlera*, głośnego z poświęcenia się w dzieleniu niewoli Jana Kazimierza we Francyi, i mężnemu późniéj obrońcy kraju przywalonego tylu nieszczęściami, pod berłem pomienionego króla. W podróży którą w tym celu podjąć musiał, zwiedził Wilno, Kowno, i wielce zajmujące nadbrzeża *Niemna*, część Żmudzi, Prusy wschodnie i Królewiec.

Rok 1807, przyniósł niespodziewane zmiany; utworzone powstało księztwo Warszawskie. Święcki pospieszył do Warszawy, był przytomny w miesiącu grudniu, piérwszemu wjazdowi do Warszawy Fryderyka Augusta króla saskiego.

W roku 1808, w miesiącu maju, po zaprowadzeniu kodexu Napoleona, i ustaleniu władz sądowych konstytucyjnych, wykonał przysięgę na adwokata przy sądzie apellacyjnym.

W roku 1809 wybuchnęła wojna z Austryą: 19 kwietnia w dzień bitwy pod Raszynem znajdował się na okopach od rogatek Jerozolimskich. Huk dział, i płomień palącego się Raszyna, widział dokładnie i słyszał. Świadek tylu przemian w narodzie, powziął szczęśliwą myśl, zebrania pamiątek przeszłości naszéj. Na tych okopach (jak mi sam mówił) wśród wrzawy wojennéj, piérwszy pomysł go natchnął opisać dawną Polskę. Odtąd, wykonaniu i zbieraniu potrzebnych do tego wiadomości cały czas swobodny od żatrudnień obowiązkowych poświęcił.

Na początku roku 1810, przypadkiem u Włocha, znalazł na jednym arkuszu, rysunek wszystkich narodów pawilony okrętowe, a między tymi z wielką radością spostrzegł banderę królewską i polską. Pochwyciwszy ten ślad, z całym zapałem zaczął poszukiwania w dziejach, i zaraz w miesiącu sierpniu tegoż roku odbył podróż do Gdańska.

Gdańsk zajmowało wówczas wojsko polskie. Widok morza Baltyckiego, pomniki Oliwy, pamiątki w samym Gdańsku, zachwycały naszego badacza, i wielkie mu przyniosły do pracy owoce. Z nabytkiem wielu dzieł i mappy Zanoniego, wrócił do Warszawy: i w następnym roku wydał (1811) broszurę w drukarni Wiktora Dąbrowskiego: „*O ziemi pomorskiéj, panowaniu i żegludze Polaków na morzu Baltyckiém*" załączając rysunek bandery króle-

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

wskiéj i polskiéj. W tym roku dotknął go cios bolesny, utracił bowiem matkę, którą czcił, wielbił i szanował. Nadszedł pamiętny rok 1812: szczęk oręża tylu narodów dał się uczuć na naszéj ziemi. W lipcu udał się do Krakowa i okolic, a podróż tę opisał w rękopismie. W jesieni, zwiedził Częstochowę, i po raz ostatni mury Wawelu, gdzie czuł się w każdéj uspokojonym trosce. Odtąd stale zaczął pracować nad przysparzaniem wiadomości do opisu starożytnéj Polski: wśród tego zatrudnienia zebrał w oddzielnéj rozprawie dzieje wszystkich wojen Litwy i Polski z Rosyą. W roku 1816 po odbyciu podróży do Berlina, Witemberga, Drezna, Wrocławia i górnego Szlązka, (którą szczegółowo opisał) wydał *Opis starożytnéj Polski*, nad którym lat siedm pracował. Wyszło nakładem Węckiego księgarza w 800 exemplarzach. Dzieło to z powszechnym zapałem przyjęte, w parę lat wyczerpane zostało: towarzystwo warszawskie Przyjaciół Nauk, mianowało Święckiego członkiem korrespondentem, a praca dziejowa, rozgłosiła imię jego chlubnie po kraju.

Zagrzany tak miłém sercu jego przyjęciem dzieła, zabrał się z nowym zapałem do badań, gdy ciężka choroba oczu, przerwała na długo wszystkie prace.

W roku 1823 wydawszy córkę jedyną za Franciszka Szepietowskiego, posła z powiatu tykocińskiego, w samotności domowéj, ulgę i pociechę znajdował w rozczytywaniu dziejów krajowych, i zbieraniu zapasów do nowych pism historycznych, któremi pragnął zbogacić literaturę ojczystą. W roku 1827 policzonym został w grono czynnych członków towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk.

Jako mecenas sądu najwyższego królestwa Polskiego pełniąc te obowiązki przez lat wiele zaszczytnie, po roku 1830, już mniéj się niemi zajmował, zapadając częściéj na słabość oczu. Czynny i pracowity, gdy przebywał na wsi u córki swojéj, nauczał wnuków dziejów krajowych, w wykładzie treściwym, a do pojęcia dziecinnego zastosowanym.

Czując się coraz słabszym, szukał ratunku u wód krajowych w Goździkowie i Busku.

W roku 1837, w Busku też 6 września umarł, gdzie przy kościele tamtejszym pochowany został.

Święcki wiele pisał: zaczął pamiętnik wielce ciekawy zdarzeń i wspomnień od najpiérwszéj młodości do roku 1795, ale ten w roku 1806 zaginął. Podobnież zaginął rękopism historyi wszystkich wojen Litwy i Polski z Rosyą. Opisał podróż swoję do Berlina, Wirtemberga, Drezna, górnego Szlązka i Wrocławia. Te prace poprzedziły *Opis starożytnéj Polski*.

Ocenił je z właściwą sobie trafnością, i poglądem nasz wielki historyk, a sąd uczonego męża, przywieść tu mamy za obowiązek.

„Historya rodem ludzkim zajęta, w rozmaitéj postaci wykładać się daje, a podobało się niektórym z dzisiejszych pisarzy rozróżniać ją na *opowiadającą* i *opisującą*. Piérwsza mając wzgląd na czas, opowiada kolejnie zachodzące wypadki: druga, względna tylko na miejsce, opisuje razem trwające wy-

BIBLIOTEKA

darzenia. Piérwsza liczy peryody, przedzielane epokami, inna jednochwilowy stan rzeczy wystawiając, nie zna ni peryodów, ni epok, nie zna słowem kolei, nie zna co było, co będzie, patrzy jedynie co *jest*. Piérwsza właściwie historyą jest zwana: druga choć niewłaściwie, tytuł geografii miewając, wystawuje geograficznym porządkiem, statystykę lub ethnografią państw i narodów. Zmieniają się granice, ludność, zamożność, i w każdym razie zmieniony stan rzeczy, odmiennego statystycznego (geograficznego) opisu wymaga. Naród i ziemia polska, przeszły różne losów koleje. Inna jego wielkość za Bolesławów, inna za Jagiellonów, inne skołatanie za wnuków Krzywoustego, inne za Jana Kazimierza: w każdym inny obraz statystyczny. Każda tedy chwila, innego opisu Polski wymaga, a w każdéj chwili osobno wystawiona Polska, każdego interesować musi. Przebsiębiorący dopełnić *Opis starożytnéj Polski*, drętwiejącą ręką zapisywał karty, chciał kreślić obraz, w chwili gasnącéj świetności. Prędko czytelnik uczuje w dziele jego, że czasy początków panowania Jana Kazimierza, zajmują całą pisarza uwagę: bo w jedném tylko miejscu znajduje dobitne oświadczenia: „Opisuję Polski stan, jaka była do połowy wieku XVII, tojest, do roku 1648 przed nieszczęśliwą burzą za Jana Kazimierza."

„Jasno, łatwo i czysto, w bardzo wielu razach żywo, dokonywa swego opisu autor, i roztacza go geograficznie, a zatém winien ściśle się trzymać obranego przez się roku 1648. Lecz dzieło jego wystawia, nie samo suche geograficznych nomenklatur liczenie, nie sam ówczesny statystyczny stan rzeczypospolitej, wyjaśnia razem przyczyny i początki wszystkiego, liczy zdarzenia i zmiany, które uświetniły, i niezgasłą pamięć wielu miejsc uczyniły: bitwy, zakłady, osoby, urzędy, znamiona i tytuł, miejscu należące. Tym sposobem załącza miejsc i rzeczy dawniejsze dzieje. Jak jest pełne i bogate geograficzne z roku 1648 Polski opisanie, niemniéj stanowi istotę dzieła, i niemniéj dostatnie jest przytém historyczne opowiadanie. Byłoto prawdziwym celem i obowiązkiem pisarza sprawić się w tym jak najdokładniéj, w czém téż czytelnik wkrótkości zupełnie zaspokojonym się znajduje.

„Lecz od roku 1648 upłynęło lat 168 (1), *a ułomki tylko i gruzy wielkiego gmachu*, mógł miéć przed oczyma autor. Dawna téż świetność innego jeszcze i zupełnie świéżego poloru nabywała, zpod któréj, poważną starodawną śniadość wydobywać wypadało. Płomień uniósł w dymy drewniane grody: pożoga, złośliwa ręka i z nędzy wynikłe opuszczenie gmachów, obnażały i w łomy zamieniły mury: lecz nastał inny rodzaj zniszczenia, któremu najtwardsze mury sprostać nie podołają. Wyrodzony Rzymianin, szanuje dotąd starodawnych Rzymian ruiny: stoi spokojnie Kolizeo, z któregoby u nas miasto pomurować można. Na równinach naszych, wprawna ręka synów ziemi polskiéj, dla widoków, dla materyałów, muska, lub z ziemią równa pomniki staropolskiéj chwały. Nie mógł tedy autor nie miéć względu na smutne ciosy czasów późniejszych, i na stan rzeczy dzisiejszych. Sta-

(1) Pisany ten rozbiór był w r. 1819.

rannie liczy zniszczenia i historyczne zdarzenia za Jana Kazimiérza i następców jego, za Sasów, a w części za Stanisława Augusta. Wystawia niekiedy stan dzisiejszy, mianowicie wzrost i upiększenie, w czém jednak niedostatecznym się pokazuje."

Wykazawszy daléj trudności w opisie tyle obszernéj ziemi jaką była dawna Rzeczpospolita polska, tak zakończa:

„Ogromna liczba dzieł do użycia rozłożona, potrzebowała porównania tego, co wielu powtarzało, potrzebowała, jednych przez drugie dopełniania i prostowania; w szczegółowych zaś przedmiotach, stosownie do przedsięwziętéj obszerności dzieła wymagała doboru, i skracania. Dopełniając Święcki tych zmudnych obowiązków z wielką łatwością i trafnością, dowodzącą niepospolitéj znajomości swego kraju, po części własnemi słowy, piękne obrazy maluje, po części powtarza wyrazy pisarzy, którzy mu materyałów dostarczają, powtarza je wyraźnie wymieniając imię pisarza. Tym sposobem uczony Święcki, wielkie oczytanie swoje przelewa w czytelników. Jeszcze żadne dzieło, nie udzieliło rodakom tak wielu wiadomości ojczystych, tak pięknych, i z taką łatwością."

Opis starożytnéj Polski czytająca publiczność przyjęła z wielkiém współczuciem, oceniła wartość dzieła, wykupiwszy całe wydanie w ciągu lat trzech niespełna, co było wówczas dziwowiskiem. W kilka lat exemplarz doszedł do poczwórnéj ceny nad katalogową, bo Święcki nie kwapił się z wydaniem drugiém, pracując ciągle nad uzupełnieniem i poprawą opisu. Dopiéro w r. 1828 drugie wydanie ogłosił: tak w piérwszém jak w drugiém wcielił broszurę, którą wydał 1811 roku pod napisem: *Historyczna wiadomość o ziemi Pomorskiéj, mieście Gdańsku, i panowaniu Polaków na morzu Baltyckiém.*" W rękopiśmie zostawił przygotowane zasoby, i dodatki do trzeciego wydania.

Nie możemy na dzieło to patrzéć ze stanowiska dzisiejszego historycznéj krytyki, bo ta była w pieluchach. Święcki nie należał do naszych czasów. Byłto syn początku XVIII wieku, ale nieskalany jego wadami. Dzieło téż Święckiego nie tak już wykonaniem, jak planem i myślą, ważne zajmuje zawsze stanowisko w literaturze naszéj. Ogromne przybyły zasoby, nieznane Święckiemu, które dając jaśniejszą przeszłość, w inném świetle, wiele faktów przedstawiają. Opis starożytnéj Polski, jakkolwiek porządnym układem, bogatym zasobem szczegółów odznacza się, obok tego mieści wiele w sobie błędów i uchybień. Cała wiadomość o Sarmatach i Słowianach, należy do tych rozpraw, które dziś niczyjéj zwrócić uwagi nie mogą. Opis zwyczajów, obyczajów w naszym narodzie, ubiorów, mieszkań, pokarmów i napojów, jak siły zbrojnéj niedostateczny, urywkowy, nie może dać nam zupełnego wyobrażenia, chociażby w ogólnych zarysach. Nie wina w tém *Święckiego*, ale stanu ówczesnego pojmowania dziejów, i braku dokładniejszych pomników i materyałów, które dopiéro w ciągu lat dwudziestu zdobyliśmy. Sam opis miast, i miejsc ważniejszych, główna treść dzieła, pomijając małe uchybienia w szczegółach, okazuje żelazną pracę tego pisarza, który ją z mnóstwa dzieł wydobywać musiał. Cięży tu w czytaniu styl chro-

pawy, urywkowy, niewyrobiony, a co tém więcéj robi go martwym, to wśród textu cytacye, zkąd autor czerpał swoje wiadomości. Mimo tych usterków, mimo braku życia w stylu, w téj martwocie zgromadzonych szczegółów, jest w tém dziele pewien powiew łagodny. Szlachetna to i poczciwa myśl Święckiego, co wiodła jego rękę, dodała mimowolnie tę cechę dziełu. Uczeń surowego dawniejszego wychowania, kształcony na wzorach klassycznéj literatury, nie śmiał nigdy dozwolić swobodnego pobujania myśli: a chociaż czuł żywo, choć biło jego serce uczuciem, tłumił je w sobie, aby nie uchybić jak mniemał, poważnym szrankom naukowości w jakie wstąpił. Nie śmiał sam kroku posunąć, aby się zaraz świadectwem czyjém nie poprzéć.

Cokolwiek dziś o niedostateczności *Opisu starożytnéj Polski* powiedzieć można, to wszystko znika, gdy zważymy jaką myśl znakomitą rozszerzył w kraju. Od jegoto dzieła, i nim pobudzone, zaczynają się wieloliczne prace, które mając na celu poznanie własnéj ziemi, wielkie już rzuciły światło na przedmiot zaledwie do czasów Święckiego dotkniony; prawda, że wielkości myśli nie dorównało dzieło wedle dzisiejszego pojęcia: ale w swoich czasach jako znakomita praca, pięknym dla autora została pomnikiem.

Święcki zbierając ciągle dzieła do historyi i literatury krajowéj, piękny zgromadził księgozbiór. Stanowił on, w osamotnioném jego życiu, główną rozrywkę i przyjemność. Na kilka miesięcy przed śmiercią, taką *pamięć* o nich skreślił.

„Wam moje ulubione książki, wam winien jestem w dniach mojéj samotności, i melancholicznych rozmyślań, pociechę: wzniesienie mych myśli, i orzeźwienie w troskach i kłopotach. Wy moję duszę napełniacie rozkoszą, nadzieją, i wzmacnianie do postępowania śmiałego w trudnym zawodzie życia; wy jesteście dla mnie pocieszającemi przyjacioły, bo w was znajdują się pociechy i rady, dla każdego wieku i stanu. Wy chowacie tajemnicę uleczenia wszelkiego złego i trosków: Twórcy najwyższego udział sztuką druku rozmnożony na pomoc i oświecenie człowieka, w téj krótkiéj a pełnéj skalistych przepraw, wędrówce życia. Począwszy od ksiąg świętych, potém starożytności wzorowych pisarzy: od Pliniusza i Tacyta, aż do Buffona, Bernarda S. Pierre, i Sismondego: w ojczystych rzeczach od Długosza aż do Samuela Bandtkie w dwóch tysiącach woluminów, które Opatrzność pozwoliła zebrać: napełniacie mój na wiek późny przytułek, w każdy dzień, w każdą godzinę, wy jesteście moją zabawą i poradą, z wami przestaję, żyję i usypiam; w was znajduję to najulubieńsze i rozkoszy pełne zatrudnienie, którego najprzeciwniejszy los fortuny wydrzéć mi do zgonu nie zdoła."

Data 28 kwietnia 1837 wskazuje, że pisał to wkrótce przed śmiercią zanim do wód wyjechał: a pisał to nie do druku, ale w samotnéj szczupłéj komnatce swojéj w Warszawie przy ulicy Kapitulnéj gdzie wiele lat przemieszkał. Tam go bliżéj poznałem, tam schodziły mi prędko niejedne godziny, w których mi czytał z prac swoich wyjątki ciekawsze, lub w ro-

zmowie przyjacielskiéj to o przeszłych dziejach, to o obecnym wówczas ruchu literackim.

Wysoki, topolowéj postaci, ruchem i obejściem przypominał szanowne oblicze ojców naszych: powagę téż i właściwość w każdym ruchu, do dawnego stroju zachował. Gdy czytał, w miejscach wielkim czynem lub wielką myślą wydatnych (a pisał wtedy biografię znakomitych mężów polskich) uczucie albo zapał, wybijały się zaraz na jego szlachetném obliczu. Poczciwa radość napełniała jego serce, gdy czyto wynalazł fakt nieznany dziejowy, czy w tym przedmiocie dzieło jakie otrzymał. To była uciecha cała w samotném życiu Święckiego, poświęconemu pracy i badaniom dziejów krajowych. Po ogłoszeniu drugiego wydania w 1828 roku *Opisu starożytnéj Polski* zaczął zbiérać notaty do obszernego dzieła, które wykończone zostawił w 3 tomach p. n. *„Historyczna wiadomość o znakomitych rodzinach polskich."*

K. W. Wójcicki.



rys. H.Hirszel w Warszawie.

SZEKSPIR.

William Shakspeare

WILLIAM SZEKSPIR.

Stary orle poezyi, coś głową zuchwałą
Trącił gwiazd, gdzie wieszcz żaden dzisiaj nie dolata!
Coś z dzieł swych stawił pomnik dla podziwu świata,
Boś poznał serce ludzi, jak Fidyasz ich ciało!
Tyś ni jak Dant (sięgając za olbrzymią chwałą)
Trudnym badaniom sztuki młode oddał lata,
Ni jak Bajron, żeglował po przestworzach świata,
Gdzie mu słońce Italii i Grecyi jaśniało;
Tyś sobie wszystko winien, z myśli twych chaosu,
Jako Mojżesz ze skały, tyś wylał te rzeki
Poezyi, których fale popłyną przez wieki.
Tyś z własnéj piersi dobył olbrzymiego głosu,
Którego echo brzmiące harmonijną burzą,
Najdalsze pokolenia na klęczkach powtórzą!

K. G.

Godném jest pożałowania, że nazbyt mało szczegółów, tyczących się życia Szekspira przeszło do potomności. Kiedy dawni kronikarze, przekazali nam małoznaczące wspomnienia karłów literatury Angielskiéj, potężnego olbrzyma w zupełnéj prawie zagrzebali niepamięci. Sam Szekspir najwięcéj temu winien, albowiem usunął się w czterdziestym ósmym roku życia od zgiełku świata, obsypany oklaskami, uczczony uwielbieniem swego narodu; poeta, który tak głęboko wniknął w serca drugich, powinien był przewidzieć, że potomność słusznie go cenić będzie po wszystkie wieki. Trudno zaprawdę przypuścić, aby Szekspir nie posiadał uczucia własnéj wartości. Mógłże więc tak mało liczyć na miłość potomnych, mógłże mniemać, że obojętną będzie dla nas rzeczą poznać drobniejsze szczegóły życia mistrza, którego dzieła miały rozszerzyć koło naszéj wiedzy, przeniknąć najgłębsze tajniki serc naszych, obudzić w nas najżywsze współczucie. A jednakże Szekspir, nic nam wprost, sam o sobie nie powiedział, co większa, najpiękniejsze swoje arcydzieła, zostawił zupełnie niepoprawne.

Współcześni Szekspira życiopisarze i miłośnicy literatury, albo zupełnie o nim przemilczeli, lub też wspomnieli go zaledwie, w nader ogólnych zarysach. Ben Jonson osobisty przyjaciel wielkiego tragika, tak o nim mówi: „Kochałem go i czczę jego pamięć nad wszystko: byłto człowiek z przyrodzenia uczciwy, szczery, otwarty." Ktokolwiek miał sposobność zbliżyć się do Szekspira, obok jego nazwiska, nie szczędzi przydomków dobry, słodki, ukochany. John Aubray, który pisał w sześćdziesiąt lat po śmierci Szekspira, chwali piękną jego powierzchowność, wspaniałą budowę ciała, słodycz i wdzięk umysłu; nikt jednakże z współczesnych, nie zostawił nam podobnego wizerunku, ani też nie określił dokładnego zarysu życia wielkiego poety.

W sto lat po śmierci Szekspira, poeta Bowe, piérwszy opisał jego życie i to w szczupłych nader ramach. Dopiéro pisarze ośmnastego wieku ubiegali się na wyścigi, aby z łona niepamięci odgrzebać wspomnienia tyczące się znakomitego drammatyka; z tych doktor Former, największe ma prawo do wdzięczności potomnych, za napisanie uwag o ukształceniu, a raczéj o nieukształceniu Szekspira.

Wielki angielski poeta urodził się w miesiącu kwietniu 1564 r., w mieście Stratford; ojciec jego John Szekspir, jak utrzymuje Bowe, był rękawicznikiem, osiadł w Stratford, około 1550 roku, i tam pojął w małżeństwo Maryą Arden. Spekulacye handlowe prowadził zrazu pomyślnie, wszakże później straciwszy cały majątek, zakończył życie w niedostatku.

William Szekszpir, kilka miesięcy liczył zaledwie, gdy morowa zaraza, objawiła się w Stratford. Opatrzność jednak czuwała nad nim, znać że go do wyższych przeznaczyła celów. Z lat jego dziecinnych, nie zostało żadnych prawie wspomnień, to tylko wiadomo, że piérwsze nauki odebrał w szkółce w Stratford. Ojciec jego człowiek prosty, bez wykształcenia, nie umiał nawet podpisać własnego nazwiska, jak świadczą pozostałe dowody, naznaczone krzyżykiem, w miejscu zwykłego podpisu; lecz okoliczność ta, nie powinna nas dziwić gdy się zastanowimy, że w owym czasie wyższe ukształcenie mało komu dostępne było.

Młody William uczył się wprawdzie łaciny, wszakże, czémże była niedostateczna jego nauka w obec potężnego gieniuszu, który otrzymał z przyrodzenia? kto wié czyli nawet brak klassycznych umiejętności, nie przyczynił się do samodzielnego rozwinięcia ducha wielkiego poety. Wszelako nie ulega wątpliwości, że Szekspir zapalił ognisko swojéj wyobraźni, w pochodni starożytnéj mythologii Greków; i że głęboko pojmował cudowną poezyę poganizmu, dowodzi tego obraz zamieszczony w Hamlecie.

Kędzior Apolla, czoło Jowisza,
Marsa wejrzenie, groźne, wszechwładne,
Zda się z postaci poseł Merkury,
Gdy na najwyższe spuszcza się góry.

Nie wiadomo jak długi przeciąg czasu strawił Szekspir w szkole, zdaje się jednak, że później przestał się ćwiczyć w nauce, albowiem niewiele widzimy

w dziełach jego erudycyi. Znać jednakże, iż czytaniem bogacił nieustannie umysł, że posiadał obce języki, a mianowicie francuzki, a zatém lubo skąpo czerpał u czystego źródła starożytnéj poezyi, tyle jednak podówczas krążyło tłumaczeń, że mógł się niemi zasilać. Czytanie lubo bez należytego porządku, inaczéj działało na jego umysł, aniżeli na umysły pospolitych ludzi. Myśl autora jak iskra elektryczna wnikała w natchnioną duszę Szekspira, gieniusz drugich odbijał się w jego duchu, jak światło słoneczne odbija się w spojrzeniu orła.

Bowe utrzymuje, że John Szekspir, odebrał Williama ze szkoły z powodu niedostatku. Niéma dokładnéj wiadomości co się późniéj z nim stało. Jedni dowodzą, że się poświęcił nauce prawa, inni że utrzymywał szkołę, pomiędzy czternastym a szesnatym rokiem życia, co się zdaje niepodobném do prawdy, ze względu na wiek nazbyt młody. Zdaje się, że najpewniéj, musiał dopomagać ojcu, w zawodzie handlowym. To tylko nie ulega wątpliwości, że wkrótce po opuszczeniu szkoły przed wyjazdem do Londynu, mając zaledwie lat ośmnaście, pojął w małżeństwo Annę Hathawaj, starszą od siebie o lat ośm. W roku 1836, ogłoszono świéżo odkryte akta tyczące się małżeństwa Szekspira, które się odbyło w 1582 roku.

Wkrótce potém wciągnięty złym przykładem współtowarzyszów, łowił potajemnie daniele, w zwierzyńcu jednego z bogatych właścicieli w okolicy Stratford, za co ścigany prawem, zmuszony opuścić żonę i dzieci, udał się do Londynu, gdzie wstąpił niebawem do jednego z najpiérwszych teatrów.

Zdaje się że do roku 1592 Szekspir, nie wsławił się był jeszcze jako pisarz dramatyczny, przecież jako aktor, niepoślednie zajmował już miejsce w londyńskim teatrze, gdzie najczęściéj przedstawiał rolę królów.

Opisując życie literackie Szekspira należy zwrócić uwagę, na ówczesny stan sztuki dramatycznéj w Anglii. Już od niejakiego czasu, po czterystu latach powodzenia, widowiska w których Adam, Ewa i szatan ukazywali się w właściwéj sobie postaci, wyszły były z mody, a duchowieństwo, na mocy rozkazu otrzymanego z Rzymu, wzbraniało przedstawiać w teatrze wszelkich przedmiotów religijnych. W miejscu sztuk tego rodzaju, uczniowie uniwersytetu przekładali wolno dawne arcydzieła klassyczne; Seneka zwłaszcza, był ich bożyszczem. Naśladując składne jego utwory, tłumacze nie pojęli bynajmniéj wdzięku starożytnego dramatyka, w planach ich nie było ani jedności, ani celu, słowem poprzednicy Szekspira, razili jednostajnością i nadętością w tragedyi, w komedyi zaś, złym smakiem i zupełnym brakiem przyzwoitości. Marlore jeden, wzniósł się nad tłum poprzedników swoich, utwory jego pełne są siły i oryginalności, niekiedy nawet widać w nich zbytek energii, ale za to, kreślone przez niego charaktery, odznaczają się prawdą, a Edward II i Faust, stanowią bez wątpienia epokę w dziejach angielskiéj dramatycznéj sztuki. W lat dwadzieścia po założeniu teatru w Londynie, Szekspir rozpoczął swój zawód. Przedtém jak wiadomo sale szkolne, pałac sprawiedliwości, zamki króla i szlachty, a nakoniec kościoły, służyły za zwykłe miejsca widowisk. Szekspir jednak przybywszy do Londynu, znalazł już teatra

zbudowane i urządzone w należytym porządku. Niektóre z nich, jak utrzymują badacze starożytności, pokryte były dachem, inne zaś odkryte w górze, wyjąwszy sceny i galeryi. Widzowie przed rozpoczęciem sztuki grali w karty, jedli i pili, a mianowicie palili tytuń, dopiéro za potrójnym odgłosem trąbki, rozsuwała się zasłona. Maszynerya teatralna była jeszcze w kolebce: gdy wypadała zmiana sceny, proszono widzów, aby chcieli wyobrazić sobie, że aktor przeszedł w inne miejsce, wsuwano łoże lub stolik, z potrzebami do pisania, i sala zmieniała się w sypialnią lub biuro, stosownie do okoliczności. Oddawna znany był sposób zapadania w ziemię, ale gdy z porządku rzeczy wypadło, aby jakaś ziemianka, wznieść się miała w obłoki, nie umiano sobie dać rady.

Ubiory w owym czasie nader były kosztowne, mężczyzni nosili ogromne peruki, aktor w czarnym aksamitnym płaszczu, występował zazwyczaj z prologiem. Tańce i śpiewy przeplatały naprzemian grę aktorów, podczas sztuki trefniś płatał rozmaite figle, widowisko zaś kończyło się zwykle modlitwą za królowę. Cena była nadzwyczaj nizka i dostępna, piérwsze bowiem miejsce, nie kosztowało więcéj nad szylinga.

Szekspir rozpoczął zawód autorski od przerabiania z zastosowaniem na scenę licznych dzieł poprzedników swoich. Wówczasto wydał piérwszy utwór poetyczny pod tytułem Wenus i Adonis. Poemat ten ogłoszony został drukiem w 1593 roku, a Porwanie Lukrecyi, w rok późniéj. Jak piérwszy tak drugi, lubo dalekie od następnych utworów wielkiego poety, zjednały mu wszakże niemałą sławę. W Sonetach które wydał w 1609 roku Szekspir, przejął zupełnie, pełną przesady barwę swojego wieku. Skarga kochanków inny poemat, więcéj nierównie zawiéra piękności, wszelako Szekspir zajaśniał dopiéro w zupełnym swym blasku jako autor dramatyczny.

Wkrótce po przybyciu do Londynu wyrobił sobie był, nader korzystne położenie, został bowiem współwłaścicielem teatru w którym pracował. Pozyskał obok tego, sławę najpopularniejszego pisarza dramatycznego, oraz zaszczycał się opieką najmożniejszych panów, a między innymi lordów Pembrock i Southampton. Wówczasto zawarł związki przyjaźni z Ben Jonsonem, i wraz z nim pod znakiem Syreny, jaśniał niezrównanym dowcipem w gronie najpiérwszych uczonych swego czasu. Raz w rok przynajmniéj, zwykł był odwiedzać rodzinę zamieszkałą w Stratfort, a powrót jego ostateczny do rodzinnego miasta, niezaprzeczonym jest dowodem, że w czasie pobytu w stolicy, nie zawarł był żadnych związków, ze szkodą małżeńskiego węzła. Niéma żadnego śladu, czyli królowa Elżbiéta, opiekowała się kiedykolwiek Szekspirem, ale za to wiadomo powszechnie, że Jakób I napisał do niego własnoręcznie list, jak utrzymuje Farmer, skutkiem hołdu oddanego rodzinie Stuartów w Machbecie. Jakób skoro tylko objął koronę, nadał przywiléj królewski Szekspirowi i jego współtowarzyszom udzielając im tytułu sług królewskich. W ustawie z 29 maja 1603 roku, imię Szekspira drugiém jest na liście uprzywilejowanych.

Nie wiadomo kiedy Szekspir opuścił stolicę i kiedy powrócił do rodzinnego gniazda; zdaje się jednak, że to musiało nastąpić na lat kilka przed jego śmiercią, około roku 1611 lub 12-go. Przybył do Stratfort, otoczony urokiem sławy, z zapewnionym na przyszłość bytem, ale odtąd nieznane są wszelkie szczegóły domowego jego pożycia.

Szekspir troje miał dzieci. Z tych syn jedyny umarł w młodym wieku, córki zaś wyszły za mąż za życia ojca. W dzień urodzin 23 kwietnia 1616 roku, napisał ostatnią swą wolę, jakby wiedziony tajemném przeczuciem śmierci, i tegoż samego dnia umarł skończywszy pięćdziesiąty drugi rok życia. Szczegóły jego choroby zupełnie są niewiadome.

Wielki poeta zgasł w sile wieku, gdy gieniusz jego, mógł długo jeszcze zasilać świat bujnemi płodami twórczego ducha. Wiadomo, że Sofokles napisał Edypa, w ośmdziesiątym czwartym roku życia. Ale przeznaczenie inaczéj zrządziło, przedwcześnie przecinając dni Szekspira. Zwłoki jego pochowano w kościele w Stratford; a w kilka lat późniéj wzniesiono mu pomnik w miejscu wiecznego spoczynku. Szekspir przedstawiony jest pod arkadą, w postaci siedzącego człowieka, przed nim leży poduszka, w prawéj ręce trzyma pióro, lewą wspiera na zwoju papierów. Spodem poduszki wyryty jest dwuwiérsz w łacińskim języku.

Judicio Pylium, genio Socratem, arte Maronem,
Terra tegit, populus moeret, Olimpus habet.

(Z rozumu Pyliusza, z gieniuszu Sokrata, z sztuki Marona, ziemia pokrywa, lud opłakuje, Olimp posiada).

W roku 1741, wzniesiono temu poecie pomnik w opactwie Westminsterskiém, zrobiony przez Scheemakera, wykonaniem zaś robót dyrygowali: Burlingkton, Mead, Pope i Martyn. Tak więc po upłynieniu przeszło stu lat, dopiéro pomyślano o wzniesieniu pomnika dla tego gieniuszu i ozdoby literatury angielskiéj, w miejscu na które słusznie pracami swemi zasłużył.

Powiedzieliśmy wyżéj, że Szekspir zanim się dał poznać samodzielnie, przerabiał naprzód dzieła sceniczne poprzedników swoich, ztąd więc wydawcy jego, pomiędzy oryginalnemi utworami wielkiego dramatyka zamieścili wiele dzieł obcych. Jakkolwiek w piérwszych nawet próbach Szekspira, jakoto w Peryklesie, Ryszardzie II i innych widzimy polot gieniuszu, który jak błyskawica, świeci nam niekiedy; wszelako wielki ów gieniusz w dalszych dopiéro dziełach, rozwinął się w pełni. *Kupiec wenecki*, piérwszym jest utworem Szekspira, w którym widać postęp olbrzymi.

Sen w nocy letniéj, sztuka znana w tłumaczeniu polskiém pod tytułem *Snu w wigilią Śgo Jana*, nosi na sobie piętna swobodnéj fantazyi młodego poety. Napisaną była jak się zdaje z okoliczności znakomitego jakiegoś małżeństwa. Tu Szekspir łączy po mistrzowsku, wypadki nadzmysłowego

świata czarów i uroku, z zwyczajném życiem śmiertelnych. Zmienność ludzkiego serca uniewinnia, składając wszelkie złe na wpływ żartobliwych duchów, czyniących sobie igraszkę z nędznéj ziemian doli. Wpośród pustéj wesołości, cechującéj całą sztukę, jakże smutną nieraz poeta mówi prawdę, z jakąż tęsknotą wyraża niepodobieństwa prawdziwego szczęścia, szczęścia które wiek młody buduje zwykle na miłości; widzimy to z rozmowy kochanków.

LIZANDER.

Z tego niestety co widziałem kiedy,
Albo com słyszał w dziejach lub przygodzie,
Widzę prawdziwą miłość pełną biédy,
Albo różnicę stanu na przeszkodzie.

HERMIA.

Męka być wyższéj niższych niewolnicą!

LIZANDER.

Lub źle dobrani wielką lat różnicą.

HERMIA.

Grób to jak młodość, ze starością skuta.

LIZANDER.

Albo też krewni do małżeństwa wloką.

HERMIA.

Piekło, jak obce czyni wybór oko!

LIZANDER.

Albo jeżeli miłość serca sprzęże,
Wojna, choroba, śmierć się wnet sprzysięże,
Mieniąc ją nikłą, jako głosu bezmienie,
Jak cień przechodnią, krótką jak marzenie,
Bystrą jak w nocy czarna błyskawica,
Która we mgnieniu cały świat oświéca;
Nim zaś powiedzieć jeszcze człowiek zdoła,
Patrz! już ją ciemność paszczą swą pochłonie,
Szybko, jak szczęście wśród nieszczęścia tonie (1).

„Zpomiędzy dzieł Szekspira, mówi Adisson, Sen w nocy letniéj pozostawia w umyśle moim błogie przekonanie, że na tym nędznym świecie, choć raz przynajmniéj istniał człowiek prawdziwie szczęśliwy. Sztuka ta, tak

(1) Przekład J. Hołowińskiego.

jest pełną nieskażonego uroku, słodyczy i wesela, tak zupełnie wolną od wszelkiéj bolesnéj namiętności, około któréj poeci zwykli snuć najszczytniejsze swoje marzenia; a obok tego, tak jest silna niezrównaną potęgą, że widać, iż umysł Szekspira stworzył ją w chwili najwyższego, a jednak nie chorobliwego uniesienia. Krytyka srogo zarzuca wprowadzanie duchów i czarów stworzonych nowoczesną wyobraźnią w świat starożytnéj Grecyi; dziwném jest zapewne porównaniem drobnéj *Hermyi* do ziarnka różańca, ale sąto małoznaczące usterki, które jak pyłki przed promieniami słońca, pierzchają przed połyskiem gieniuszu."

Romeo i Julia, dramat napisany w 1597 roku, osnuty na prawdziwém zdarzeniu, zadziwia niesłychaném bogactwem obrazów i języka. Obwiniano Szekspira o przesadę, zarzut ten wszelako upada, gdy powiemy, że rzecz dzieje się we Włoszech, w kraju spieku i burzy, gdzie uczucie wypływa z wezbranéj piersi, potokiem ognistych słów, jak lawa z łona Wezuwiusza. „Zdaje się, że wszelka egzaltacya, oparta tylko na prawdziwéj miłości, mówi tłumacz Romea, nie może się nazwać przesadą, a tém bardziéj, jeżeli to zastosujemy do Włochów. Wprawdzie musimy inaczéj sądzić w stanie spokojnym, bo przesadą i niedorzecznością zdają się nam często sprawy i słowa zakochanych, to też nawzajem, miłość ma za nic świat, i wszystkie jego najpożyteczniejsze zajęcia głupstwem nazywa."

Romeo i Julia są dziećmi dwóch nienawistnych sobie zdawna rodzin, zamieszkałych w Weronie. Ale miłość zwłaszcza, miłość pod włoskiém niebem nie zna zapory. Młodzi kochankowie, za pośrednictwem mamki i zakonnika Wawrzyńca, zaślubiają się potajemnie. Tymczasem Romeo zaczepiony przez stronnictwo nieprzyjaznego domu, broniąc własnego życia, zabija Teobalda, krewnego Julii, i za to wygnanym jest z kraju. Julia zmuszona do zaślubienia hrabiego Parysa za poradą zakonnika Wawrzyńca, zażywa przyrządzony przez niego napój, który ma jéj zadać śmierć pozorną. Wynoszą ciało Julii do rodzinnego grobu, zakonnik zaś uprzedza o wszystkiém Romea, ale Romeo zmija się z posłańcem, dowiedziawszy się o śmierci Julii, bieży do jéj grobu, zabija zastępującego mu drogę Parysa, a widząc martwą kochankę, trucizną odbiéra sobie życie. W téj chwili nadchodzi Wawrzyniec, Julia budzi się z uśpienia, a na widok nieżywego Romea, przebija się jego mieczem.

Przedmiot sam z siebie dramatyczny, a do tego jeszcze opromieniony gieniuszem Szekspira, jaśnieje niepojętym urokiem poezyi. Następująca scena pomiędzy kochankami poślubie, walka obawy z miłością, zadziwa prawdą i prostotą.

JULIA.

Chceszże odchodzić, jeszcze nie dzionek,
Słowik to czuły a nie skowronek
Trwoży twe ucho w tkliwym swym śpiéwie,
W noc na granatu nuci on drzewie;
Słowik, doprawdy, wierzaj kochanku.

ROMEO.

Byłto skowronek, zwiastun poranku,
Nie słowik, patrzaj aniele miły,
Promień zazdrosny wschód w pasy kraje,
Wszystkie się w nocy świece spaliły,
Na górach mglistych wesół dzień wstaje,
Pójdę, żyć będę, zostanę, zginę.

JULIA.

Blask to nie dzienny, wiem ja dowodnie;
To jakąś łunę odbiły nieba,
Aby jak sługa niosła pochodnie.
Gdy do Mantui nocą pośpieszysz,
Czekaj, odchodzić jeszcze nietrzeba.

ROMEO.

Niech mnie pochwycą, na śmierć powloką,
Spełnić co zechcesz, rzecz mi wesoła,
Ta szarość nie jest poranku oko,
Odblask to blady z Cyntyi czoła.
To nie skowronek którego głosy,
W górze nad nami biją w niebiosy.
Nie tak chcę odejść, jak zostać, droga;
Gdy żądasz Julko, śmierć dla mnie błoga.
Luba, pomówmy, jeszcze nie dzionek.

JULIA.

Już, już uciekaj; ach to skowronek,
Który wywodzi trele fałszywe,
Krzyki nieznośne i przeraźliwe!
Mówią, że śpiew swój dzieli przyjemnie,
Nie, bo cię śpiewem dzieli odemnie,
Kiedy wystrasza z objęć śpiewaniem,
I goni ciebie dnia powitaniem,
Widniéj, i widniéj biały dzień toczy,
Zaraz uciekaj.

Ależ niebawem Julia, owa dziewica, dziecinną dopiéro łudząca prostotą, mocą nieszczęścia w jednéj chwili przemieniona w silną kobiétę, jakże samodzielnie objawia zakonnikowi postanowienie swoje!

Moje z Romeem Bóg ręce zkował,
Tyś ręce związał; i nim ta ręka,
Coś dla Romea ślubem skrępował,

Innemi więzy będzie skalana;
Lub wierne serce, jak przeniewierca,
W buncie innego uzna za pana,
Rękę i serce nóż ten ukarze.
Przeto niech długie twe doświadczenie,
Zaraz użyczy prędkiéj porady,
Albo pomiędzy mną a niedolą,
Krwawy nóż będzie rozjemcą zwady.
Łacniéj rozstrzygnie zawiłość sprawy,
Któréj nie możesz wiekiem, nauką,
Rozstrzydz bez szwanku czci méj i sławy.
Prędko mów, prędko, chcę iść do grobu,
Czy mi jakiego nie dasz sposobu?

WAWRZYNIEC.

Wstrzymaj się córko! widzę nadzieję,
Któréj spełnienie pełne rozpaczy,
Jak rozpacz, którą chcemy uprzedzić;
Jeśli, jak zawrzéć śluby z Parysem,
Raczéj masz siebie zabić odwagę,
Przeto podobna, że przedsięweźmiesz
Śmierci pozorem, stłumić zniewagę,
Gdy śmiész, nie braknie jeszcze sposobu.

JULIA.

Jak ślub z Parysem, rozkaż mi raczéj
Z blanków téj wieży skoczyć w rozpaczy,
Lub iść po drodze gdzie rozbójnicy,
Albo w łożyska skryć się wężowe,
Lub zostać dzikich niedźwiedzi łupem,
Lub na noc zamknij w sklepy grobowe;
Okryj straszliwym mnie kościotrupem,
Z czaszką pożółkłą, zgniłą piszczelą,
Albo w niedawnéj połóż mnie trumnie,
Uwiń ze zmarłym w jednym całunie.
Mówiąc te rzeczy, jestem strwożoną,
Lecz się nie wacham, ani się boję,
Byle miłemu wierną być żoną.

Trudno nie zwrócić uwagi na skréśloną po mistrzowsku rozpacz rodziców, przy śmiertelném łożu jedynego dziecka. Dziwna panuje sprzeczność pomiędzy ich słowami pełnemi boleści, a zimném lubo słuszném rozumowaniem zakonnika.

PANI KAPULET.

Biada, me dziecię jedno me życie,
Ożyj lub przejrzyj, lub z tobą umrę!
Gwałtu! ach gwałtu!

KAPULET.

Co widzę, zimna, blada jak chusta,
Krew jéj zamarła, członki zdrętwiałe;
Życie rzuciło dawne jéj usta,
Śmierć leży na nich jak szron przedwczesny,
Na najpiękniejszym kwiateczku pola,
Starcze nieszczęsny! przeklęta dola!

WAWRZYNIEC *(wchodząc z Parysem i muzyką).*

Panna-ż gotowa iść do kościoła?

KAPULET.

Iść już gotowa, wrócić nie zdoła,
W nocy przed ślubem zgon synu wkradł się,
Gdzie twoja spała oblubienica,
Patrz, oto leży, kwiat jaki była,
Zgonem przekwitła, już się prześniła,
Zgon mam za zięcia, zgon za dziedzica,
Córka ze zgonem śluby zawarła,
Umrę i wszystko zgon odziedziczy,
Bo z życiem wszystko zgon ma w zdobyczy.

PARYS.

Na to żem widzieć twarz ranku żądał,
Abym takowy widok oglądał?

PANI KAPULET.

Dniu nędzy, nieszczęść, przekleństw i biédy!
Chwilo najgorsza jaką czas kiedy
Widział w odwiecznéj swojéj pielgrzymce!
Lecz jedno biédne, miłe me dziécię,
Jednę pociechę, szczęście i życie,
Śmierć mi okrutna z oczu zabrała!

KAPULET.

Zhańbion, skołatan, zwiedzion, zabity,
Poco ten zbójca, czas nienżyty,
Przyszedł te gody zabić zdradziecko,
Dziecko! ma duszo, ale nie dziecko!

Trup tylko, dziecko już nie istnieje,
Z dzieckiem pogrzebię szczęścia nadzieję.

WAWRZYNIEC.

Wstydźcie się! W trosce szukać nietrzeba
Leku na troskę. Wyście i nieba
Piękną dziewczynę w połowie mieli.
Dziś posiadają niebiosa całą,
Co dla dziewicy lepiéj się stało.
Wyście od śmierci strzedz nie umieli
Części swéj: niebo części swéj dało
Życie wieczyste. Wasze pragnienie
W świecie największe — jéj podwyższenie.
Dla was to niebo — jéj podwyższenie.
Teraz płaczecie widząc wzniesioną
W same niebiosa, na boskie łono.
Jak nie umiecie kochać swe dziécię!
Widząc ją szczęsną, rozum gubicie.
W pójściu za męża nie ta ma szczęście,
Co długie z mężem przepędza lata,
Lecz najszczęśliwsze takiéj zamęzcie,
Co młodą żoną schodzi ze świata.
Łzy swe osuszyć, kłaść rozmaryny
U jéj bladego śmiertelnie czoła;
Wedle zwyczaju naszéj krainy,
W stroju najlepszym nieść do kościoła.
Czuła natura nasza łzy leje,
Lecz z łez natury, rozum się śmieje.

KAPULET.

Przygotowania wszelkie na gody,
Na pogrzebowe pójdą obchody;
Muzyka w smutne zmienia się dzwony,
Uczta weselna w stypy biesiadę,
Pieśni weselne w pogrzebne tony,
Wieniec weselny na trupa kładę,
Wszystko na wsteczny idzie użytek!

Henryk IV, dramat w dwóch częściach napisany w 1597 roku jest bezzaprzeczenia jednym z najoryginalniejszych utworów Szekspira. Treścią jego jest związek Henryka Percy kr. Northumberland, i syna jego przezwanego Hotzpurem Mortymera Duglasa, i innych przeciw królowi Henrykowi IV, przywłaszczycielowi korony Ryszarda. Jakkolwiek interes dramatyczny, pozbawiony jest życia, albowiem obadwa stronnictwa zarówno nas zajmują: jedno w osobie mężnego Hotzpura, drugie zaś w osobie Henryka księcia

Wallii; wszelako charaktery działających osób, po mistrzowsku oddane, zastępują niedostatek dramatycznych wypadków.

Henryk książę Wallii, następca tronu, otoczony wpływem Falstafa i innych towarzyszów rozpusty, nie gasi w kale zepsucia i bezrządu, świetnych zalet otrzymanych z rąk przyrody, a słowa które mówi po rozstaniu się z przyjaciołmi, wówczas właśnie gdy król boleje nad jego zgubą, już zawczasu zapowiadają przyszłego zwycięzcę Hotzpura, i późniejszego bohatera pod Azincom.

HENRYK.

Znam ja was wszystkich, i tylko do czasu
Wchodzę w te głupie wybryki próżniacze;
Lecz skończę z wami naśladując słońce,
Co cierpi czasem, że nieczyste chmury,
Od oczu świata jego piękność kryją,
Aby gdy zapragnie
Być znowu sobą, im dłużéj się kryło,
Tém świetniéj weszło i bardziéj zdziwiło,
Strącając nagle czarny rój obłoków.
Gdyby rok cały miał być dniem odświętnym,
Rozrywki tęskną stałyby się pracą;
Lecz że są rzadkie, więc i pożądane;
Bo co niezwykłe, to tylko nas bawi.
Gdy więc porzucę to niesforne życie,
I spłacę długi nigdy nieuznane,
O tyle lepszym w ich oczach zostanę,
O ile zmylę sądy i nadzieję.
Jak na tle ciemném żywszy blask metalu,
Tak ma poprawa odbije się świetniéj
Od dawnych błędów, i pociągnie oczy
Bardziéj, niż czysta białośnieżna cnota,
Z taką rachubą popuśtujmy jeszcze:
Czas ten okupim gdy nikt nie pomyśli.

Charakter Hotzpura, poznajemy dokładnie z własnych jego słów, wyrzeczonych do wspólników związku.

HOTZPUR.

Uręczam niebem, zda mi się w téj chwili,
Że gdyby z bladéj księżycowéj tarczy,
Przyszło dosięgać promienia honoru,
Skokbym ten podjął. Gdyby z głębi morza,
Gdzie jeszcze nigdy dna nie pomącono,
Przyszło wyrywać zagrzęzły tam honor,
Bylebym tylko sam miał całą chwałę,

Z takiego czynu, bez współzawodników!
Lecz mi nie stręczcie pomocy z pół ludzi!

Henryk i Hotzpur, sąto dwa słońca, które na jedném niebie, razem świecić nie mogą; pojmuje to Henryk, i na gorzkie wyrzuty ojca odpowiada w tesłowa:

Niech Bóg przebaczy tym, co aż tak nizko,
W twém przekonaniu strącić mnie zdołali.
Hańbę tę głową okupię jak Perci,
I kiedykolwiek po dniu pełnym chwały,
Stojąc w skrwawionéj zbroi, z krwią na twarzy,
Synem twym panie nazwać się ośmielę,
Bo z krwią tą zmyta zejdzie ma niesława,
Rychło li Bóg mi udzieli téj łaski?
Wiem tyle tylko, że Hotzpur waleczny,
To dziecko sławy, rycerz uwielbiany,
I twój, o którym nikt nie myśli, Henryk,
W dniu tym się zejdą na walkę stanowczą.
Niechby zaszczytom, co hełm jego zdobią,
Nie było liczby: a na mojéj głowie,
Ciężył wstyd cięższy! bo nadejdzie chwila,
Że ten północny rycerz zmienić musi
Swe świetne czyny na moję niesławę.
Percy jest panie tylko mym powiernym,
Całą tę sławę zgromadza on dla mnie,
A ja do ścisłéj powołam go liczby,
Do najmniejszego on mi się uiści,
Lub tę rachubę wydrę mu ją z serca,
To ci przyrzekam, tu na imię Boga.
A jeśli on mi da dokonać słowa,
Dozwól mi panie, niechaj tém zasłonię
Wszystkie me smutne, zadawniałe rany,
Jeśli nie z śmiercią kres wszelkim umowom.
Lecz wolę umrzéć sto tysięcy razy,
Niż złamać choćby cząstkę méj przysięgi.

Szekspir po mistrzowsku walkę Henryka przedstawiał z dawném zepsuciem. Ten sam książę, którego przed chwilą widzieliśmy zponiewieranego w błocie uliczném, jaśnieje w końcu blaskiem najczystszéj chwały. A gdy po śmierci ojca, dwór cały drży, wspominając niecne postępki młodego Henryka, i wróżąc z nich na przyszłość powszechną niedolę, on zaspokaja wszystkich, mówiąc do lorda kanclerza, który wielokrotnie karcił zuchwałe jego sprawki:

Oto moja ręka.
Bądź mój młodości ojcem; twoje słowa,
Głos mój powtarzać będzie z zaufaniem;
A me nieśmiałe zamiary, przechodzić
Będą powinny przez sąd twéj mądrości.
Chciejcie mi wierzyć w tém kochani bracia:
Wszystkie me błędy i zdrożne skłonności,
Już zagrzebane w grobie mego ojca;
Duch jego odtąd pozostał nademną,
I sił mi doda, by oczekiwania
Świata zawstydzić, zmylić przepowiednie,
I na pozorach oparty sąd ludzki,
O fałsz przeświadczyć. Przypływ krwi, co dotąd
Po tylu dzikich miotał mną pobrzeżach,
Odpłynie teraz w spokojną toń morza,
I będzie zawsze równym i wspaniałym.
Śmiem tuszyć sobie po pomocy nieba,
Jeśli zamiarom mym pobłogosławi,
Że żaden książę ani par królestwa,
Nie znajdzie słusznéj do modłów przyczyny,
By mi Bóg skrócił życia za me winy.

Rozpustnik Falstaf, dowiedziawszy się o wstąpieniu na tron Henryka, przybiega do Londynu, ale młody król z zimną powagą przyjmuje dawnego przyjaciela i mówi:

Podobnego człeka kiedyś we śnie długim,
Pomnę widziałem, ale obudzony,
Snem mym pogardzam . . . . .
. . . . . Nie myśl, że dziś jestem,
Czém byłem niegdyś. Niebu już wiadomo,
I świat zobaczy, żem dawnego człeka
Już z siebie złożył, i wszystkich odrzucę,
W których nikczemném żyłem towarzystwie.

Komiczny charakter Falstafa, jakkolwiek skréślony po mistrzowsku, traci dla nas połowę wartości. Żarty płyną, a nieustanne ust jego zastosowanie do wielu nieznanych nam dziś okoliczności, w swoim czasie, dla współczesnych, musiały być pełne znaczenia, i budziły zapewne najżywsze zajęcie.

W królu Janie, napisanym w roku 1598, Szekspir obrał za przedmiot, spór o koronę angielską, pomiędzy Janem bratem Godfryda, a prawym dziedzicem, młodym Arturem, a raczéj matką jego Konstancyą, która dla poparcia praw swoich wezwała pomocy Francyi.

„Siła i władza za mną, za mną prawo," mówi Jan do matki swéj Eleonory, odebrawszy wypowiedzenie wojny. Matka na to:

O bardziéj władza synu niźli prawo,
Inaczéj żleby bardzo być musiało,
Ze mną i z tobą. To ci me sumienie,
Szepcze do ucha, i tego prócz nieba,
I mnie i ciebie niechaj nikt nie słyszy.

Przed murami miasta Anzer, spotyka się król Jan z Filipem królem Francyi, i każdy z nich zosobna wzywa obywateli miasta, aby im otworzyli bramy, król Jan przemawia w te słowa.

Posłuchajcie,
We własnéj sprawie my powiemy pierwsi.
Sztandary Francyi, które tu przed oczy
Waszego miasta podstąpiły, przyszły
Na szkodę waszą; brzuchy armat pełne,
Srogiéj wściekłości; paszcze ich gotowe
Na wasze mury wypluć gniew żelazny;
Przygotowano krwawe oblężenie,
Nieubłagany umysł Francyi grozi
Waszego miasta oczom przymrużonym,
Tym zwartym bramom. Gdyby nie nasz pośpiech,
Śpiące kamienie co was obwiązują
Jak pas wokoło, silném uderzeniem
Dział wyruszone z glinianego łoża,
Jużby rozpadły się w szeroką szczerbę,
By krwawa przemoc pokój wam zdławiła.
Lecz gdy ujrzeli Nas, waszego króla,
Nas którzy silnym i gwałtownym marszem,
Przed bramy wasze przywozimy odsiecz,
Aby draśnienie żadne nie postało
Na licu waszych murów, ciż Francuzi
Zdumieni, do rozmowy się skłaniają.
I teraz zamiast kul obfitych ogniem,
Któreby w dreszcz wprawiły wasze wały,
Rzucają miękkie słowa, pełne dymu,
Ażeby uszy nasze odurzyły.

Na przedstawienie obywateli Anzeru, spór załatwia się małżeństwem Delfina francuzkiego z Blanką, córką Alfonsa króla Kastylii, a siostrzenicą króla Jana; Artur zaś mianowany księciem Bretanii; na mocy układu, otwierają się mury miasta.

Konstancya uwiadomiona o układzie, wierzyć nie chce, pragnie widzieć prawdę, a obok tego lęka się stracić ostatniego wątku nadziei. Dręczona niepokojem zapytuje lorda Salisbury.

Ale, co znaczy, że tak kiwasz głową,
Czemu tak smutno patrzysz na to dziécię,
Co znaczy ręka ta na twojéj piersi,
Czemu wstrzymuje oko twe nurt tęskny,
Co się jak rzeka z brzegów swych wyrywa,
Mają te znaki, słowa twe potwierdzać?

Artur daremnie pragnie zaspokoić matkę.

„Gdybyś był szpetnym, odrażającym, odpowiada Konstancya, możebym cię tak nie kochała.

Aleś ty piękny; przy twém urodzeniu
Natura i fortuna, drogi chłopcze,
Wszystko łożyły by cię zrobić wielkim,
Z lilią wespół, współ z rozwitą różą,
Możesz się chlubić łaską przyrodzenia.
Ale fortuna! o! ją przekupili!
Zmienna, wydarta tobie, ona cudzym,
Z twym stryjem Janem wiąże się nierządem;
Swą złotą ręką pociągnęła Francyę,
Że podeptała honor samowładztwa,
I swój majestat uczyniła tylko
Rajfurem ich bezwstydów. Francya,
Rajfurka króla Jana i fortuny,
Téj wszetecznicy i przywłaszczyciela,
Powiédz człowieku! nie jestże ta Francya,
Krzywoprzysięzcą? otruj go słowami,
Lub idź, mnie zostaw z moim bólem,
Ja go mam dźwigać sama!

SALIZBURY.

Daruj pani!
Bez ciebie ja nie mogę iść do królów.

KONSTANCYA.

Możesz i pójdziesz, ja nie pójdę z tobą,
Nauczę smutek moj, aby był dumnym,
Bo boleść dumna, ona właściciela
Swojego czyni zatwardziałym. Do mnie
I przed majestat bólu mego, niechaj
Przychodzą króle, bo mój ból tak wielki,

Że go podpora żadna, prócz szerokiéj,
I silnéj ziemi, dźwignąć nie potrafi.
Tu ja z mym bólem siedzę, tu jest tron nasz,
Tu zwołaj królów niechaj ugną głowy.

Król Jan odpływa do Anglii, wydarłszy Konstancyi syna. Matka w rozpaczy wyrzuca Filipowi wiarołomstwo.

KONSTANCYA.

Patrzcież, o patrzcie co wasz pokój robi!

KROL FILIP.

Pociesz się dobra pani! bądź cierpliwa.

KONSTANCYA.

Żadnéj pociechy nie chcę, żadnéj rady,
Prócz téj, co kończy wszelką radę: jednę,
Wierną pociechę — śmierci. O miła śmierci!
O powstań z łona nieskończonéj nocy.
Ty jesteś wstrętem i postrachem szczęścia,
Ja ucałuję twe bezecne kości,
Swe oczy włożę pod twe brwi sklepione,
Twojém robactwem palce swe otoczę,
Prochem napełnię te oddechu wrota,
I jakby zgniłém stanę się straszydłem!
Przyjdź, zgrzytnij do mnie, powiem że się śmiejesz,
I pocałuję cię jak żona. Wierny,
Nędzny kochanku, przybądź, przybądź do mnie!

KROL FILIP.

O piękny żalu! uciesz się Konstancyo!

KONSTANCYA.

Nie, nie chcę, póki jeszcze tchu mi stanie,
Krzyczéć i wołać. Gdyby mógł mój język,
Być w ustach gromem, wstrząsłabym świat cały,
I wstałby ze snu ten bezecny skielet,
Którego słaby głos mój nie dochodzi.
. . . . . Kardynale!
Kiedyś mówiłeś, że się obaczymy,
I że poznamy swych przyjaciół w niebie:
Jeśli to prawda, ja obaczę znowu,
I moję dziécię, bo od urodzenia
Kaina, który piérwszym był chłopięciem,

Do tego, który ledwie wczora westchnął,
Tak miłe dziecko się nie urodziło.
Lecz teraz robak smutku zjé mój pączek,
Wzorową piękność spędzi z jego lica,
On się próchniałym stanie jak są duchy,
Sinym i chudym jak jest dreszcz gorączki,
I takim umrze, takim zmartwychwstanie,
I gdy na dworze niebios z nim się spotkam,
Ja go nie poznam. Tak, więcéj — nigdy więcéj,
Nigdy Artura mego nie zobaczę.

KARDYNAŁ.

Nadto okropnym czynisz widok smutku.

KONSTANCYA.

Ten co tak mówi, nie był nigdy ojcem.

KROL FILIP.

Równie swój smutek kochasz jak swe dziécię.

KONSTANCYA.

Smutek zajmuje miejsce mego dziecka:
W łóżeczku jego leży, chodzi ze mną,
Jego oczkami patrzy, i powtarza
Jego wyrazy; on mi przypomina
Wdzięczne przymioty jego, on wypełnia
Jego kształtami suknie co zostały.
Mamże powody kochać się w mym smutku?
Bywaj zdrów, gdybyś ty utracił tyle
Ile ja, lepiéjbym cię pocieszała.

Zrywa ubranie z głowy.

Ale do czegoż stroje te na głowie,
Gdy tam, w méj myśli wszystko rozstrojone?
O Boże! moje dziecię! mój Arturze!
Życie! radości moja! mój pokarmie!
Pociecho wdowy! smutków mych lekarstwo!

Król Jan tymczasem poleca Hertowi, jednemu z panów dworskich, aby się pozbył Artura. Wszakże rozkaz wyraźny, nie śmié się wydrzéć z ust jego. Mówi zagadkowo:

Chciałem coś mówić... ale dajmy pokój,
Słońce na niebie, dzień zbyt jasny, całym
Orszakiem uciech świata okrążony,

Nadto dziś świetny, nadto strojny, aby
Mógł mnie wysłuchać.

Gdyby dzwon północny twardym językiem i miedzianą gębą, ogłosił piérwszą śpiącym tworom ziemi; gdyby to cmentarz był, gdzie my stoimy, a ty tysiączną troską ugryziony; gdyby ponury duch melancholii krew w tobie zwarzył, zrobił gęstą, ciężką, aby nie ciekła w żyłach łechcąc, aby ten głup uśmiéch nie był w ludzkiém oku, ni pusta radość w twarzy (jéj nie lubią zamiary moje); albo gdyby mógł mię widzieć bez oka, i bez ucha słyszéć, i bez języka dać mi twą odpowiedź; gdybyś mógł użyć jednéj tylko myśli, bez oczu, uszu, i niebezpiecznego dźwięku wyrazów, mimo baczną czujność dnia, w twoje łono przelałbym swe myśli, a teraz nie chcę... Przecież ja cię kocham i prawiem pewny, że i ty mnie kochasz.

HUBERT.

Tak królu, że jeżeli co rozkażesz, choćby śmierć była w treści tego czynu, który mam spełnić, Bóg mi świadkiem, spełnię.

KRÓL JAN.

Czyż nie wiedziałem o tém, o Hubercie, dobry Hubercie! rzućno tylko okiem na tego chłopca... Chcę ci coś powiedzieć mój przyjacielu: chłopiec ten to istny wąż na méj drodze; gdziebykolwiek noga moja stąpiła, on tam wszędzie leży. Czyś mnie zrozumiał? jesteś jego stróżem.

HUBERT.

Tak go strzedz będę, że ci więcéj królu przykrym nie będzie.

KRÓL JAN.

Śmierć.

HUBERT.

Co mówisz panie!

KRÓL JAN.

Grób.

HUBERT.

Żyć nie będzie.

KRÓL JAN.

Dosyć. Teraz znowu mogę być wesół. Kocham cię Hubercie! nie chcę ci mówić, jakie względem ciebie moje zamiary... lecz pamiętaj o tém.

ELEONORA.

Błogosławieństwo moje masz na drogę.

Hubert pomny królewskiéj woli, wchodzi do komnaty Artura, z zamiarem wypalenia mu oczów. Tkliwą nadzwyczaj jest scena dziecka z Hubertem.

ARTUR.

Będzieszże miał tyle serca? Kiedy cię tylko głowa zabolała, obwiązywałem skronie twoje chustką, i to najlepszą jaką miałem (księżna dla mnie ją szyła), nigdym potém o nią ani zapytał. Rękę swą trzymałem wśród nocy na twém czole, i jak czujne minuty gonią naprzód swą godzinę, równiem zachęcał czas leniwy w biegu pytając; czego ci potrzeba? gdzie cię boli? czy mogę czém ci się przysłużyć? Niejeden syn biédaka takby cicho przy tobie leżał, anibyś usłyszał słówka miłości; a ja, syn książęcy, jam ci w chorobie wiernie usługiwał. Możesz pomyśléć, że ta miłość moja była udaną, i nazwiesz ją chytrością. Jeśli chcesz, nazwij. Jeśli taka wola nieba, że musisz krzywdę mi wyrządzić, co robić? wyrządź. Chcesz więc oczy moje zgasić, te oczy co na ciebie nigdy źle nie spojrzały i nie spojrzą nigdy.

Długo Hubert walczy z dzieckiem, a raczéj sam z sobą; nakoniec szlachetna strona przemaga w jego sercu. Ukrywa młodego księcia, króla zaś uwiadamia o jego śmierci; panowie angielscy dowiedziawszy się o tém, odgadując zbrodnią, opuszczają króla Jana. Skutkiem tego król, wyrzuca Hubertowi zbytni pośpiech, w pełnieniu jego rozkazów. Hubert tłumaczy się wyraźną wolą monarchy.

HUBERT.

Któż mi kazał? nie ty królu?

KRÓL JAN.

Toć jest przekleństwo królów, że im służą podli, i kaprys ich za rozkaz biorąc, w dom życia krwawą ręką wpaść gotowi, w każdém skinieniu władzy widzą prawo; myśl majestatu z groźnéj brwi czytają, gdy on tymczasem marszczy brew swą może z humoru tylko, i bez myśli.

HUBERT.

Na to com zrobił, mam twą rękę i twą pieczęć.

KRÓL JAN.

Gdy do rachunku przyjdzie między niebem i ziemią, wtenczas ręka ta i pieczęć staną jak świadki, które mnie potępią. Lecz jakże często, widok środków zbrodni, do zbrodni wiedzie! Gdybyś ty tam nie był, ty sam natury ręką naznaczony, jakby wybrany do haniebnéj sprawy, ten mord i w głowie mojéjby nie powstał. Ale postrzegłszy twą obrzydłą postać, widząc cię zdol-

nym do podłości, wiedząc że właśnie ciebie do krwi użyć można, zdalekam wspomniał o Artura śmierci, a ty chcąc mi się przypodobać, miałeś dosyć sumienia zamordować dziecię.

HUBERT.

Królu !.....

KRÓL JAN.

I powiédz, czyś choć potrząsł głową, czyś się zamyślił, kiedym niewyraźnie i ciemo mówił o tém co zamierzam? czyś wzrok wątpliwy w mojéj twarzy utkwił i żądał bym się jaśniéj wytłumaczył? O! wstyd głęboki zrobiłby mnie winnym, byłby mnie wstrzymał i bojaźni twéj byłby we mnie bojaźń obudził; aleś ty pojął wszystkie moje migi, i sam na migi z grzechem się rozmówił. Tak bez wzdrygnienia serce twe przystało, a za niém ręka twoja przyzwoliła wykonać sprawę, któréj ni mój język, ani twój nazwać nie chciał. Precz z mych oczu i nie pokazuj mi się nigdy!

Hubert wyznaje królowi, że młody Artur żyje, ale młodzieniec podczas niebytności Huberta czując grożące mu niebezpieczeństwo, szuka ratunku w ucieczce, a skacząc z wyniosłego wału, zabija się mimo woli. Hubert w miejscu dziecka, znajduje martwe zwłoki Artura.

Sprawa w końcu przechyla się na stronę Anglii, ale występny Jan nie doznaje pociechy, w chwili stanowczéj umiéra zatruty przez mnicha.

Doskonały przekład Józefa Korzeniowskiego czyni z téj sztuki prawdziwe arcydzieło. Szczupły zakres obecnego pisma, nie dozwala pomieścić wszystkich pięknych ustępów; cały dramat porównać można do przezroczystego potoku słów, odbijającego świetny promień najszczytniejszéj poezyi.

Hamlet napisany w 1595 roku, wielkie znalazł zrazu powodzenie i dotąd nie stracił bynajmniéj na wziętości. Ustępy z niego wielokrotnie powtarzane bywają, niektóre zwłaszcza zamieniły się w przysłowie:

„Więcéj jest rzeczy w niebie, na ziemi, jak filozofii waszéj się śniło."

Któż nie zna tych słów, a monolog następny Hamleta ileż zrodził myśli, ileż zapalił umysłów, jakże obszerne badaczom otworzył pole!

Być albo nie być, oto zagadka.
Czyli szlachetniéj znieść do ostatka,
Doli zawziętéj razy i groty,
Czyli przeciwko morzu cierpienia,
Broń pochwyciwszy, skończyć kłopoty,
Umrzéć, zasypiać, potém nic więcéj,
Snem tym zakończyć duszy tortury,
Troski tysiączne, ten dział natury;
Końca takiego jak najgoręcéj,
Pragnąć potrzeba. Umrzéć, zasypiać,
Spać, może marzyć. Tak, tu zawada,

Nad tém się bowiem wstrzymać wypada,
Co będzie marzyć w śnie zgonu dusza.
Gdy się otrząśnie ze zgiełku świata?
Taka uwaga nędzę przymusza
Wlec do ostatka nędzne swe lata;
Bo któżby znosił od czasu bicze,
Wzgardę dumnego, gwałt ciemiężnika?
W czułéj miłości wzgardy gorycze,
Bezczelność, zwłokę spraw urzędnika,
Albo niegodnych urągowisko?
Czyżby zasługa chciała przyjmować,
Jeśliby wszystko można skwitować,
Lada żelazem? Któżby niósł brzemię,
Potniał i stękał pod ciężkiém życiem?
Lecz trwoga czegoś, jak rzucim ziemię,
Kraj nieznajomy zkąd nie powraca
Żaden wędrownik, chęci nam skraca.
Wolno więc znosić znane nam burze,
Jak nieznanego szukać cierpienia.

„Pomysł Hamleta, mówi Kefaliński dziwnie przypadł do téj obszerności, rozmaitości i powszechności, które stanowią charakter Szekspira; widać, że miał upodobanie w tym przedmiocie, i w nim pozwolił swobodnego polotu swemu gieniuszowi. Ciekawa rzecz widzieć tragedyą filozoficzną, w niéj autor mógł zamknąć w obszernym obrębie postrzeżenia wszelkiego rodzaju, w niéj mógł nam wykazać punkt, z którego patrzył na świat i naturę ludzką, i najwięcéj w tym dramacie możemy zbadać Szekspira. Znajdujemy tam jeszcze wierne zwierciało swojego wieku, cała tam barwa onego czasu odbita. Tam się uczymy jaka była dążność umysłów, jaki charakter, czynność i skutek, który sprawiały wówczas w ludziach postrzeżenia i nauka. Filozofia jest treścią powszechnéj wiadomości, a więc i dzieło filozoficzne więcéj niż każde inne, powinno być tym symptomatem objawiającym, w których miało swoje początek. Jakże ten rodzaj badania staje się więcéj zajmującym, kiedy rzecz idzie o tę epokę, w któréj umysł ludzki, będąc długo uwięziony formą niedoskonałéj cywilizacyi, zaczyna swój polot pełny ruchu, ciekawości i zapału!

Jakoż w Hamlecie znajdują się wszystkie skutki podziwu i upojenia, w które nauka i filozofia, wtrąciła te pokolenia, co im się z całym urokiem nowości oddały. Zbytek wiadomości świéżo nabytych, nagromadzenie rozumowań, obfitość postrzeżeń stanowią charakter tego wieku, w którym zawisło odrodzenie nauk, i uprawa umysłu.

Ale dla lepszego ocenienia całości przyjrzyjmy się bliżéj treści Hamleta. Klaudyusz król Danii truje brata, wdowę jego pojmuje w małżeństwo, i wraz z nią tron zasiada.

Duch nieboszczyka ojca ukazuje się młodemu Hamletowi, prawemu następcy, zagrzewa do zemsty opowiadając śmierć zdradliwie przez brata zadaną. Hamlet udaje szalonego dla pewniejszego dopięcia zamiarów zemsty. Przez omyłkę w miejscu króla zabija starszego dworaka Poloniusza, ojca kochanki swéj Ofelii. Młoda dziewica, uwiadomiona niespodzianie o zamordowaniu ojca, wpada w szaleństwo i tonie mimo woli. Laertes brat jéj mszcząc się śmierci ojca i siostry wyzywa Hamleta, i rani go zatrutém żelazem. Hamlet czując śmierć blizką, dopełnia zemsty, i tąż samą bronią odbiera życie zdradliwemu stryjowi.

Hamlet główna osoba dramatu, zarażony jest poczynającém się już szerzyć niedowiarstwem. Dziwna niespokojność opanowała jego umysł przekonany o swéj wyższości nad tłumem, Hamlet gardzi niekiedy sam sobą. Oddany nauce nie umié godzić się z życiem, chciwy badania tak szalenie buja chorobliwą wyobraźnią, że gdy późniéj z umysłu udaje pomieszanie zmysłów, słowa jego bezładne, mało się różnią od tych, które poprzednio, przy zdrowym niby wymawiał rozumie.

Pełne jest ponuréj poezyi, zjawienia się ducha ojca Hamleta, za to wdzięczna myśl spoczywa na obrazie pięknéj i słodkiéj Ofelii. Głębokie współuczucia budzą jéj słowa nad obłąkanym wyrzeczone kochankiem.

Co za szlachetny umysł w ruinie!
Język mądrego, ucho dworaka,
Pałasz rycerza, w pięknéj krainie
Róża najsłodsza, nadzieja cała,
Wzór ukształcenia, życia zwierciadło.
Z niego rozwaga rozwagę brała,
Całkiem zgubiony, wszystko przepadło,
Ja najbiedniejsza z niewiast i nędzna,
Com harmonijnych przysiąg miód ssała,
Na rozkręconą patrzéć się muszę
Arfę niebieską, wzniosłą tę duszę,
Jak daje twarde i dzikie brzęki
Kwiat ten młodości; najwyższe wdzięki
Schną roztrojeniem; jakże się bidzę!
Znać co widziałam, widziéć co widzę.

Daléj tkliwie przejmuje rzeczywiste obłąkanie Ofelii; ona nie narzeka na swą dolę, ona śpiewa, ale pod pozorem udanéj obojętności, głęboka kryje się boleść. Któż nie powtórzy wraz z bratem:

Słodka Ofelio, różo-wiośniana,
Luba dziewico, siostro kochana!
Nieba! czyż rozum młodéj dziewczyny
Wątły jak starca dnie i godziny?

Tkliwéj natury, tkliwe kochanie,
Gdy się z przedmiotem lubym rozstaje,
Rozum najdroższy za nim wyprawia,
Tylko dla świata serce zostawia.

Charakter królowéj, matki Hamleta pełen jest prawdy, doskonale oddane wrażenie, jakie słowa syna stopniowo sprawiają na umyśle matki. Rozżalona królowa rzecze nakoniec do syna. „Serceś na dwoje rozdarł Hamlecie." A on na to:

„Odrzuć od siebie gorszą połowę, z drugą cnotliwiéj żyj na tym świecie, pozór miéj cnoty, gdy ci jéj zbywa; zwyczaj, ten potwór, który poniża wszelkie uznanie, z djabła zwyczaju jednak się zmienia w tém na anioła, że używaniem cnotę ułatwia, jako od ziemi raz przenoszone snadniéj przystaje: wstrzymaj się dzisiaj, łatwiéj ci będzie jutro się wstrzymać, a pozajutro łatwiéj daleko: nałóg naturę prawie odmienia, czarta krępuje lub go wypędza dziwną swą mocą.

Królowa lubo lekkomyślna, kocha jednak Hamleta sercem matki, boleje nad śmiercią jego kochanki, i tkliwie zgon jéj opowiada.

„Gdzie smętny warkocz wierzba rozpuszcza ponad zwierciadłem czystém strumyka, tam fantastyczne plotła swe wieńce z jaskru, pokrzywy, róż i storczyka; tam się na wierzbę wspina, by wieniec włożyć na zwisłe jéj gałązeczki. Pod nią się gałęź łamie zdradliwie, lecą znamiona z kwiecia i ona pada w szemrzący strumyk, płaczliwie suknią na wierzchu wody wzniesiona, jakby dziewica morska pływała, piosnek urywki ciągle śpiéwała, jak nieznająca niebezpieczeństwa, lub jak istota w swoim żywiole. Ale w tym stanie długo nie trwała. Gdy się jéj szata wody opiła, z melodyjnego tego siedliska, poszła śpiewaczka biedna i miła do mułowego śmierci łożyska."

A gdy ziemią zasypują zwłoki zmarłéj Ofelii, królowa rzuca kwiaty na jéj mogiłę, mówiąc:

Kwiecie do kwiecia, bywaj mi zdrowa
Słodka dziewico, nadzieję miałam
Że ty zostaniesz żoną Hamleta.
Łoże ci ślubne stroić myślałam,
A nie grobowe.....

Wykazanie próżności i nicości rzeczy ludzkich, oto wyraźny cel dramatu.

Król Lear, dramat napisany w 1605 r. jest rozwinięciem prostego zdania, że gdzie wiele słów, tam mało czynu. Lear starzec ośmdziesięcioletni, czując brzemię ciążącego mu wieku, dzieli państwo swe na trzy części, a oddając działy trzem córkom, przemawia do nich w te słowa:

Mówcie córki nam

(dzisiaj, kiedy z rządu już się wyzuć mam, z posiadania ziemi i kłopotów państwa),

Mówcie, która z was kocha mnie najwięcéj, by tam gdzie zasługa będzie tego godna, zlać największą dobroć.

Dwie starsze, nie szczędzą oświadczeń, najmłodsza tylko Kordelia, nie znajduje słów na wyrażenie głębokiego uczucia. Ojciec milczenie jéj biorąc za obojętność, przeklina i wydziedzicza najmłodszą córkę. Daremnie hrabia Kent czyni mu przedstawienia, daremnie mówi:

Najmłodsza córka kocha cię najwięcéj; te niepróżne serca, których mały dźwięk nie odbija czczości.

Rozgniewany król, nazywa go zdrajcą i skazuje na wygnanie. Sam zaś z orszakiem stu rycerzy, postanawia mieszkać naprzemian, u dwóch starszych córek.

Mimo wydziedziczenia Kordelii, król francuzki, pojmuje ją za żonę i uwozi do Francyi.

Wkrótce potém król Lear wygnany od córek, błąka się w nędzy i opuszczeniu. Tu następuje najokropniejszy obraz zniedołężnienia obok rozpaczy. Lear czując szaleństwo owładające stopniowo jego umysł, wzywa nieba na pomoc.

Straszna burza dmie, Lear w towarzystwie błazna, spotyka wśród czacharów żebraka, tym żebrakiem jest Edgar, przez zdradę starszego brata Edmunda wypędzony z zamku ojca swego hrabiego Glouster. Edgar udaje szalonego.

Szekspir najdokładniéj umiał zachować cieniowanie pomiędzy prawdziwém szaleństwem Leara, a udaném Edgarda obłąkaniem.

Przerażające są słowa rozpaczy Leara w czasie burzy.

Wściekły wietrze dmij!
Lejcie wodospady, i wy nawałnice,
Aż w zatopie znikną z wierzchem swym dzwonnice.
Wy siarczane ognie, szybkie jak myśl błyski,
Dębołamcy, gromu gońcy i zwiastuny,
Włos mój biały smalcie! a straszne pioruny
W środek sam krągłego świata niech ugodzą;
Niech kształt przyrodzenia zburzą, i zarody
Które w skład człowieka niewdzięcznego wchodzą.
Wyj co siła! płyńcie ognie z deszczem, zdroje,
Dészcz, wiatr, ogień i grom, nie są córki moje;
Was żywioły nie śmiem skarżyć o niewdzięczność,
Kraju wam nie dałem, dziećmi was nie zwałem,
Ni powinność macie słuchać mojéj woli,
Więc wywrzyjcie na mnie straszną rozkosz swoję,
Oto wasz niewolnik opuszczony stoję,
Starzec pogardzony chory i w niedoli.

Lecz podłemi sługi nazwać was wypadnie,
Bo z córkami dwiema złemi będąc w zmowie,
Broń zrodzoną w górze, szlecie ku méj głowie
Staréj, białéj, jak ta, o! o! to szkaradnie.

Wierny Kent przebrany, nie opuszcza królewskiego boku, wiedzie go do obozu pod Douwr dokąd Kordelia przybyła na czele wojska, dowiedziawszy się o srogich przygodach ojca. Hrabia Glouster, oskarżony przez starszego syna Edmunda, o wierność królowi Learowi, i za to wygnany z zamku z wyłupionemi oczyma, udając się do Douwr w towarzystwie własnego syna, którego nie poznaje, spotyka króla Leara. Glouster nakoniec umiéra ze zbytku radości i żalu, dowiedziawszy, że młodszemu synowi Edwardowi winien swe ocalenie. Lear odzyskuje zmysły za staraniem Kordelii i lekarza. Piękna niezrównanie scena, gdy Kordelia z okiem wlepioném w oblicze śpiącego Leara, mówi z boleścią.

Choćbyś nie był ojcem, jużby ten włos biały,
Wzywał ich litości. Jakto, czyż to lice
Wystawiać na wichry kiedy bój staczały,
Na pociski gromów, kiedy błyskawice
Niosły wśród ciemności straszne w gzykzak strzały
Jeszcześ biedny śmiałku z burzy się natrząsał!
Mego wroga pies, coby mnie pokąsał
Téjby nocy ze mną stał przy ogniu jednym.
Drogi ojcze mój, w lichym jak chlév domie
Tyś ze zwierzętami i hultajstwem biédném
Walał się po zmiętéj i przegniłéj słomie!
Ach to dziwna rzecz, że pod cierpień tłumem,
Życie twe nie pękło razem z twym rozumem.....
Ach, już się budzi, mów do niego, mów.

LEKARZ.

Pani! ty mów lepiéj.

KORDELIA.

Jakże masz się królu,
Powiédz, jak ci teraz miłościwy panie.

LEAR.

Krzywdzisz mnie, bo budzisz z grobu, niech tam zasnę,
Tyś szczęśliwa dusza, ale ja wpleciony
Wkoło rozpalone, które wciąż łzy własne
Rozogniają jakby ołów roztopiony.

KORDELIA.

Nieprzytomny wciąż.

LEAR.

Gdziem był? gdzież ja jestem? dniaż to światło jasne?
Jakże mnie krzywdzili, jak im serca brak,
Umarłbym z litości, widząc drugich tak.
Nie wiem co powiedzieć. Czy to ręce własne,
Nie przysięgnę, patrzmy; czuję koląc śpilką.
Obym własny stan mógł rozpoznać tylko.

KORDELIA.

Panie, na mnie patrz, niechaj twoja ręka
Błogosławi mnie. Niechaj król nie klęka.

LEAR.

Nie chciéj ze mnie drwić:
Biednym, zdziecinniały starzec, z duszą czułą,
Ośmdziesiąt lat już mi się przesnuło;
Lękam się czy tylko rozum zdrowy mam:
Ciebie i człowieka tego zda się znam,
Chociaż o tém bardzo wątpię; nie wiém bowiem
Co za miejsce to. Trudzę nadaremnie
Pamięć, zkąd te suknie moje, ani powiem
Gdziem nocował wczoraj, nie śmiéjże się ze mnie,
Bo jak jestem człowiek, sądzę że ta pani
Córka Kordelia.

KORDELIA.

Tak jest, córka, córka.

LEAR.

Czy ty łzy wylewasz? Ach! tak. Nie płacz proszę,
Gdy truciznę masz dla mnie, to wypiję,
Wiem, nie kochasz mnie; od siostr twoich znoszę,
Ile przypominam krzywdy wyrządzone:
Ty przyczynę masz, lecz nie miały one!

Lear i Kordelia wpadają w ręce nieprzyjaciół, tymczasem dwie starsze siostry, spierając się o kochanka Edmunda Glouster giną, jedna otruta przez siostrę, druga z własnéj ręki.

Kordelia zamordowaną jest z rozkazu Edmunda. Król Lear wlecze martwego trupa córki, ale pod wpływem ostatniego nieszczęścia, struny jego serca nazbyt wyciągnięte, pękają. Lear pada i umiéra.

Jakkolwiek Szekspir mnóstwo nagromadził wypadków, z wszystkich jednak, wywiązał się bez zawikłania. Król Lear niewątpliwie jest jednym z najpiękniejszych jego dramatów.

Tragedya Machbet uważana powszechnie jako najdoskonalszy utwór Szekspira, wiekopomnym jest śladem gieniuszu angielskiego dramatyka. Żaden pisarz, licząc w to nawet sławnych tragików greckich, jak mówi krytyk angielski, nie umiał dotąd z takim talentem, wiązać nadprzyrodzonych wypadków z światem zmysłowym; żaden nie potrafił tak zręcznie otoczyć okropnéj prawdy złowieszczym cieniem zabobonu, jak to Szekspir uczynił w Machbecie. Postęp Machbeta w zbrodni, jest niezrównaną nauką anatomii ludzkiego serca. Tu widzimy jasno, jakiemi drogami występek wygania z niego krew niewinną i ściera zwolna ślad wrodzonéj dobroci.

Machbet i Banko dwaj wodzowie zwalczywszy wroga, powracają z wyprawy do króla Dunkana. Czarownice spotykają ich na czaharach i witają Machbeta jako Tana Kawdora, a następnie króla; Banka zaś jako ojca królów. Piérwsza wróżba spełnia się zaraz na Machbecie. Obecny tam Kawdora skazany jest na śmierć za zdradę. Machbet za waleczność mianowany w jego miejsce.

Król Dunkan składa dzięki Machbetowi za odniesione zwycięztwo i przyrzeka mu bytność w jego zamku. Piérwsza myśl zbrodni, rodzi się w głowie Machbeta, ale on przerażony lęka się sam siebie i mówi:

Gwiazdy skryjcie blask,
Niech méj czarnéj żądzy nie przenika brzask.
Oko nie widz ręki, ni jéj działać broń,
Bać się będziesz widzieć, to co zrobi dłoń.

Lady Machbet dowiedziawszy się listem męża o odwiedzinach królewskich, straszny zamiar układa w głowie, wzywa duchów, ażeby wlały mord w myśl jéj niewieścią.

Precz płeć białogłowy!
Napełniacie mnie od stóp aż do głowy
Dziwném okrucieństwem! Zgęśćcie moję krew
I zgryzoty wszelkie odpędzajcie precz,
Bo natury z żalem czułe nawiedziny,
Krwawy cel zachwieją albo cofną precz.
Chodźcie w pierś kobiéty z mléka zrobić żółć,
Chodźcie duchy złe, posługacze mordu,
Kędykolwiek wy w niewidzialnéj mocy
Chcecie zrobić złe; chodźże ciemna nocy,
Całun z najczarniejszych dymów piekła włóż,
By żadnéj rany sam nie widział nóż,
By nie mogło niebo ciemnych przejrzéć chmur,
I zawołać: stój!

Król Dunkan przybywa do zamku Machbeta, Machbet walczy sam z sobą, lęka się sprawiedliwéj kary nieba, wspomina święte prawa gościnności.

Ta podwójna ufność trzyma nad nim straż:
Naprzód jestem jego krewny i poddany,
Wzgląd podwójny każe nie przelewać krwi;
Potém jak gospodarz, jam obowiązany
Przed mordercą jego zaryglować drzwi,
Nie iść z nożem sam. Zwłaszcza, że ten Dunkan
Tak ma słodki rząd, świetne tak przymioty,
Że jak aniołowie wszystkie jego cnoty
Wzniosą nakształt trąby za nim silny głos,
Aby ten przeklęty wstrzymać mordu cios.

Ale dumna małżonka popycha go do zbrodni, daremnie Machbet czyni jéj przedstawienia.

Ej nie chciéjmy iść daléj w taką sprawę;
Tylko com odebrał dowód jego łask,
I u ludu mam piękną złotą sławę,
Którą chcę dziś nosić, gdy jéj nowy blask
Ni tak prędko rzucać.

Lady Machbet odpowiada mu na to:

Byłaż twa nadzieja
Pijana, gdyś ją wdział? Spałaż do téj pory?
Czy się budzi teraz, by tak drżąca, blada
Oglądała cel pierwéj upragniony.
Odtąd wiem jak cenić miłość twą wypada:
Nie śmiész zostać tém w czynach, czém w żądaniu;
Chciałbyś mieć co sądzisz za ozdobę życia,
I żyć jako tchórz nawet w twojém zdaniu.
Chciałbym, słowo twe; a *nie śmiem*, ma przeszkodę.
Jak kot pragniesz ryb, a iść nie chcesz w wodę?

MACHBET.

Dajże pokój, śmiem co przystoi człeku,
A kto więcéj śmié, taki nie jest człekiem.

LADY MACHBET.

Dziś traf wszystko złożył, porę tobie dał,
A ty puszczasz z rąk. Jam karmiła dziatki
Znam dla niemowlątka czułą miłość matki:

Leczbym i w téj chwili gdy się do mnie śmieje,
Z jego dziąsł bezzębnych mogła wyrwać pierś,
Mózgiem spluskać głaz, gdybym to przysięgła,
Tak jak ty przysiągłeś.

Siła niepokonana, pcha Machbeta do zbrodni: zamiar zły, raz rozbudzony w myśli, dręczy nieustannie jego wyobraźnią:

Czy to sztylet? widzę tę przed sobą broń
Rękojeścią ku mnie; chodź niech porwę w dłoń;
Lecz nie mogę ująć, jednak widzę wciąż.
Czyż fatalne widmo tylko dla źrenicy
Tak przystępne jesteś, a nie dla prawicy?
Czyś sztyletem myśli? czyś utworem czczym,
Co cię spłodził mózg, w strasznym ogniu swym?
Widzę ciebie wciąż w dotykalnym kształcie,
Jak ten, co dobywam.
W drodze mi przodkujesz, gdzie mam stawić krok;
Jesteś znak narzędzia, co go użyć mam.
Czyli zmysły moje obłąkały wzrok,
Czy wzrok sam prawdziwy: widzę ciebie wciąż;
Krew na rękojeści, i na twym brzeszczocie
Czego wprzód nie było. Nie jest tak w istocie,
Mój to krwawy cel moje oczy łudzi.
Teraz świata pół zda się być umarłe,
Złe sny dręczą śpiących pod firanką, ludzi;
Już Hękacie cześć czarodziejstwo wznosi;
Teraz wyschły Mórd, krwi trawiony głodem,
W trwodze, od swéj straży — wilka, co mu głosi,
Wyciem straszne hasło, tak kradzionym chodem,
Jak lubieżny Tarkwin, spełnić zamiar zły
Dąży jakby duch. Ziemio nieruchoma,
Nie słysz moich stąpień, gdziebykolwiek szły,
Aby nie rzekł głaz, że się krok postawił,
I z okropnéj ciszy czasu nie pozbawił,
Co mu tak przystoi. Grożę, a on zdrowy
Zapał czynów studzi, chłodny, powiew nowy (*słychać dzwonek*).
Idę i skończono, dzwonek wzywa mnie.
Nie słysz o Dunkanie! dzwonią na twój zgon,
W piekło albo w niebo ten cię wzywa dzwon.

Machbet popełnia mord; noc pokryła tajemniczą zbrodnię, ale spokojność znikła dla mordercy, wyrzut sumienia spędza sen z jego oka, głos nieznany woła nań:

Więcéj nie ma snu!
Machbet zabił ten sen niewinny, sen
Ten, co rozwiązuje trosk zwikłaną przędzę,
Tę codzienną śmierć, ten na wszelką nędzę
Balsam dusz zranionych, kąpiel do omycia
Ciężkich znojów pracy, drugi świat natury,
Najgłówniejszy przysmak na biesiadzie życia.

Dwaj synowie królewscy obwinieni o zbrodnię, chronią się, jeden do Anglii drugi do Irlandyi; tylko sam Banko domyśla się prawdy. Machbet koronowany na króla, ale wyrzuty ścigają go każdéj chwili, daremnie małżonka usiłuje go zaspokoić, daremnie mówi:

Wtrąć o martwych myśl, z niemi wraz do grobu;
Kiedy co poprawić niéma już sposobu,
Miéć nie winny względu; co się stało, stało.

Machbet odpowiada jéj:

Wąż przecięty od nas ale nie zabity,
Będzie ten sam znowu, bo się może zrość,
A pod jego żądłem biédna nasza złość.
Lecz się niechaj wprzód
Rzeczy kształt rozpadnie, niech dwa światy zginą,
Niż mam obiad jeść w ustawicznéj trwodze,
Albo co noc spać w snach męczących srodze.
Lepiéj z martwym być gdzieśmy go posłali,
Na spoczynek wieczny, by tron zabrać sobie;
Niż się dręczyć wciąż na torturze duszy,
W bessennéj katuszy. Dunkan teraz w grobie,
Po gorączce życia bardzo dobrze śpi:
Sztylet, jad trucizny, złość najgorsza, zdrady,
Spiski w domu knute, obcych wojsk napady...
Już go nic nie strwoży.

Machbet przerażony wróżbą czarownic, że Banko ma być ojcem królów nastaje na jego i syna jego życie; zbrodnia już go nie trwoży, bo do niéj nawykł.

„Złém się tylko wzmocnią źle poczęte sprawy" mówi Machbet, i zbójcom powierza wykonanie zbrodni. Banko pada ofiarą, ale syn jego ratuje się ucieczką.

Coraz straszniejsza rozpacz dręczy Machbeta; oblicze jego ponure nie rozjaśnia się wśród uczty. Duch Banka zasiada w jego miejscu, nikt z obecnych nie pojmuje strasznego stanu Machbeta, i niéma dziwu, bo nikt oprócz niego nie widzi krwawego widma Banka.

Dręczony nieustannie Machbet, zamawia znów czarownice, i za ich pomocą bada przyszłość. Straszne widma zjawiają się po trzykroć, i zapowiadają mu, aby się strzegł Makdufa Tana Fifu, oraz objawiają mu, że wtedy wybije ostatnia jego godzina, gdy las Birmanu, wyjdzie na górę Dunsinan. Machbet zaprawiony na krwi, napada zamek Tana, a w niebytności jego, zabija żonę i wyrzyna drobne dziatki.

Makduf obecny podówczas w Anglii, przy boku Malkolma syna i prawego następcy Dunkana, dowiaduje się o popełnionych w domu morderstwach. Jeden z przybyłych panów, wymownie opowiada klęski i niedolę Szkocyi.

Ach, Szkocya biédna, w łez i krwi ulewie!
Swém widziadłem krwawém sama się przestrasza.
Już nasz wspólny grób, a nie matka nasza:
Gdzie się nic nie śmieje, chyba co nic nie wié;
Kędy krzyk, płacz, jęk, westchnienie, łkanie,
Choć w niebiosa biją, nikt nie zważa na nie;
Gdzie największa rozpacz, fraszka pospolita;
Dzwony głoszą zgon, a czyj, nikt nie pyta.
Wprzód poczciwi giną marnie na tym świecie,
Nim przy kapeluszu uschnie u nich kwiecie,
Nawet nim i zwiędnie.

Makduf w najsroższéj rozpaczy zaprzysięga zemstę Machbetowi, ale wszelka kara zdaje mu się zbyt małą, bo wróg nie ma dzieci, na którychby się mógł pomścić.

Malkolm wraz z Makdufem wsparci pomocą Anglii, idą na Machbeta. Malkolm woła na Makdufa.

Choć do króla, siła zbrojna już gotowa,
Tylko pozostaje pożegnanie wziąć.
Już do żniwa śpiały Machbet, już go żąć!
Niebo trzyma sierp, żal w nadzieję zmień,
Żadna noc tak długa, by nie błysnął dzień.

Na górze Dunsinan rozwiązuje się straszny dramat: Makduf, chcąc osłonić słabą siłę swych wojsk, rozkazuje żołnierzom, aby szli na królewski gród, niosąc w ręku gałęzie z lasu Birman; królowa na widok grożącego niebezpieczeństwa, odbiéra sobie życie, król walczy do ostatniéj chwili, i ginie z ręki Makdufa.

Nakoniec w roku 1613, napisał Szekspir ostatnią swą sztukę, pod tytułem *Burza*. Utwór ten fantastyczny, równie jak i *Sen nocy letniéj*, ułożony został z okoliczności wesela, jak utrzymują niektórzy Elżbiéty, córki króla Jakóba, z Fryderykiem księciem Phalzu. Jak w śnie czary, tak tutaj magia, głównym jest działaczem.

Prosper książę Medyolanu, przez zdradę brata pozbawiony korony, chroni się wraz z córką, maleńką Mirandą, na odludną wyspę. Książę w samotności, oddany wyłącznie księgom, badaniu natury i magii, włada nadprzyrodzoną siłą, i rozkazuje licznym zastępom duchów.

Rzecz dzieje się w chwili, gdy Miranda z dziecięcia, na piękną wyrosła dziewicę. Król Neapolu wraz z synem Ferdynandem, w towarzystwie księcia Antonio, brata i następcy Prospera, wraca morzem z Tunisu z zaślubin córki. Prosper nadzmysłową siłą sprowadza burzę. Okręt na którym płynie król z orszakiem, rozbija się, ale duchy z woli Prospera, chronią podróżnych od wszelkiego szkodliwego wypadku. Ocaleni szukają schronienia na wyspie. Młody Ferdynand spotyka Mirandę. Miłość i małżeństwo, stanowią rozwiązanie dramatu.

„*Sen* i *Burza* sąto rodzone siostry, jak mówi Kefaliński; cała różnica jaka w nich zachodzi, wypływa z wieku ich ojca. W Burzy, w tęż samą krainę marzeń młodości, jakby na jéj pożegnanie puszcza się Szekspir, przy zachodzie swego życia. Po dokonaniu arcydzieł, i prawie raz ostatni, bierze pióro w rękę, ubogacony zapasem tak doświadczenia, jako téż i znajomości ludzi. Sen oddycha całą świeżością młodości, całą wonią kwiecia urojeń, rozwitych w jasnym poranku życia; Burza przy wieczornym odblasku wspomnień i marzeń wiośnianych, tchnie całém doświadczeniem wieku.

Burza ostatniém jest dziełem Szekspira; tu zdaje się jakoby sławny dramatyk, wieszczém wiedziony przeczuciem, przewidywał blizki swój koniec. Dowód tego widzimy w słowach Prospera, do Ferdynanda przerażonego pojawieniem się i nagłém zniknieniem duchów. W słowach tych Szekspir wymownie wystawia znikomość wszystkiego na świecie:

Synu! na twarzy twojéj pomieszanie,
Jakby ze strachu; bądź spokojnym panie,
Widok się skończył, a ci przedstawiacze,
Jak powiedziałem, istne duchy były,
Co się w powietrzu czyste roztopiły
Jak ten gmach złudzeń; z widziadłami temi,
Tak niebotyczne wieże i świątynie,
Pyszne pałace, ba i kula ziemi,
Tak i to wszystko co jest na niéj, zginie.
A jako po tém widowisku, panie,
Nawet żadnego śladu nie zostanie.
Sen i my z jednych pierwiastków złożeni,
Snem w krótkiém życiu wkoło otoczeni.
Cierpię, mój panie, znieś tę słabość moję,
Stary mózg chory, lecz niech tém nie trwożę;
Do mojéj celi pójdziesz spocząć może.

Na burzy kończy się przekład Szekspira na język polski. W pozostałych utworach wielkiego poety, a mianowicie w Otellu, widzimy toż samo bogactwo wyobraźni, tęż samą głęboką znajomość ludzkiego serca.

Dzięki pracowitym naszym pisarzom: Kefalińskiemu, John of Dycalp, oraz znakomitemu tłumaczowi Króla Jana, gieniusz wielkiego angielskiego dramatyka stał się dla nas dostępnym, a jakkolwiek język polski częstokroć napozór chropawo brzmi w przekładzie dwóch piérwszych, wszelako wczytawszy się lepiéj, i przejąwszy się duchem utworów, pod szorstką powłoką, odkrywamy niezrównany skarb poezyi, i nieskażoną barwę oryginału.

Dosyć długo zastanawialiśmy się nad szczegółowym rozbiorem dzieł Szekspira, albowiem chcąc ocenić olbrzymi jego gieniusz, należy koniecznie, zaznajomić się bliżéj z osobami działającemi w jego dramatach. Słusznie uważa Kefaliński, „że jako człowiek nawet długo żyjący na świecie, jeśli nie umié i nie chce się zastanowić, przechodzi świat, i nie poznaje serca człowieka, tak i osoby naszego poety: jeśli nie będą pilnie zważane, przejdą i nie dadzą się zbadać, a bez tego zbadania, nigdy nie będzie w najgłówniejszéj rzeczy, zrozumiany Szekspir; tylko świetne obrazy, poetyczne wyrażenia, dziwne pomysły i postaci duchów, razem zmieszane, w szybkim gieniuszu polocie, uderzą zmąconym wirem wyobraźnią, i znikną zostawując o upiorach powieść."

Szekspir roztacza przed oczyma naszemi, takie bogactwo poezyi, tyle w każdym pojedynczym ustępie widzimy prawdziwych skarbów, że umysł nasz olśniony zbytnim blaskiem, musi niekiedy spocząć na chwilę, ażeby godnie ocenić niezrównany gieniusz natchnionego wieszcza.

Jak Eschylles i Sophokles stworzyli klassyczną tragedyą, tak Szekspir twórcą jest romantycznego dramatu. Onto orlém okiem, wniknął w najgłębsze tajniki serc ludzkich. Ideałem jego jest prawda, prawda nieraz straszna i przerażająca, ale zawsze piękna, bo wydobyta z głębi ludzkiego serca, czyto obleczona szatą cnoty i poświęcenia, czyli téż odziana krwią zbroczoną szatą zbrodni, czyli téż nakoniec przystrojona barwą śmieszności. Szekspir tak umiejętnie i zręcznie porusza tajemne sprężyny serc swych bohaterów, że w krwawych jego dramatach, zbrodnia zdaje się być koniecznem następstwem, że lubo przeraża, jednak nie razi czytelnika, tak doskonale umysł jego przygotowanym do niéj został. Jeżeli podziwiamy piękność pojedynczych ustępów, cóż dopiéro powiedzieć o doskonałéj całości utworów. Tu dopiéro w zupełnym blasku jaśnieje promień niezrównanéj poezyi, tu wszystkie pojedyncze części, zlewają się w jednę wielką harmonijną całość, a umysł czytelnika pod wpływem dziwnego uroku, nie umié sobie zdać sprawy z doznanego wrażenia, i jakby za dotknięciem czarodziejskiéj różeczki, bije czołem przed potęgą gieniuszu. Tu wszelkie pochwały byłyby zbyteczne, bo słusznie mówi francuzki krytyk, że szczerego złota pozłacać się nie godzi. Oczerniono Szekspira o grubijańskie wyrażenia, ale nie jego wina, jak słusznie uważa Kefaliński, „że słudzy i ludzie prości, nie tłumaczą się po karczmach językiem salonów; zresztą inna rzecz być czasem nieprzyzwoitym w jakiém słowie, inna godzić systematycznie na wywrócenie wszelkiéj poczciwości. Dążność jego dzieł, mówi daléj, jest moralna, jak widok saméj natury. Jakimże urokiem przyobleka cnotę, nawet i wtedy, kiedy koleją losów ludzkich, staje

się pastwą duszy, bo tę niewinną ofiarę w tak świetną i słoneczną barwę przyodziewa, tak rajskiém kwieciem potrząsa, tak czarujący na jéj skroniach składa wieniec męczeński, że w samym nawet upadku, czyni ją godną zazdrości, tryumfującéj zbrodni. Żadnéj Szekspir nie ułożył sztuki, w celu uniewinnienia lub rozmiłowania ludzi w jakim występku."

Szekspir wiernym był malarzem natury. Umiał on dobierać farby stosownie do kreślonego przedmiotu. Rzeczy okropne otaczał barwą straszną i przerażającą, wesołe zaś osłaniał niepojętym wdziękiem świeżości. Znał i badał podania, przesądy i zwyczaje swego narodu, i umiał wszystko w naturze otoczyć urokiem poezyi.

Krytyk francuzki, Teofil Gantius powiedział, że poeci są klawikordami swojego ludu, jestto tylko zmysłowe wystawienie téj wielkiéj prawdy, iż każdy naród wyrabia w swém łonie, jeden mniéj, drugi więcéj, poezyjnego żywiołu, który barwi jego wejrzenia na świat i życie, unosi się nad jego wyobrażeniami, i stanowi pewną strefę wyższą, otaczającą jak atmosfera wyższa, byt ziemski tego narodu. Jestto zbiorowa fantazya ludu, ale rzadko ona miewa organ, którymby się dostatecznie przejawić mogła. Najczęściéj pokolenia po pokoleniach unoszą ją z sobą w potoku czasu, albo pozostają po nich odgłosy częściowo drobne i rzadkie, albo pełne ceny utwory, ale młodzieńcze jeszcze, i nie sięgające daléj, jak do najprostszych obrazów, jakiemi są zwykle tak zwane poezye ludu. Niémasz nic rzadszego, jak poeta, który kształci w sztukę, tę zbiorową fantazyę ludu. Jednym z nich był Szekspir, wcielił oń w swoje dzieła indywidualizm współczesny swego narodu, i ukształcenie jego nowoczesne i chrześciańskie, tak różne od tego, jakie Homer (jedyny przed nim wieszcz tego samego powołania), widział i zachował w swoich epopeach Helleńskiego świata. Słusznie więc krytycy niemieccy ostatnich czasów, zastawszy jeszcze literatury europejskie kształcone wedle wzorów tak nazwanych klassycznych, tojest greckich, uznali w poecie angielskim najwyższy typ romantyczny, i kazali u niego uczyć się tajemnic nowéj sztuki. Chciałbym jednakże, aby w tych studyach, dopatrywano się pilnie, że ani Homer, ani Szekspir, nie byli wynalazcami swojéj poezyi, ale najdoskonalszemi narzędziami przejawy téj poezyi, którą wyrobiła zbiorowa myśl, i fantazya ich wieku i narodu. Całą jego naukę, cały zapas, stanowiła owa doskonała zgodność myśli i uczuć ze społeczeństwem, śród którego urodził się i żył. Tragiczność Szekspira nie zasadza się na jakimś wymyśle cudackim, ale na uczuciach naturalnych i głębokich, i wynika z tego uznania przyrody, wszelkiéj wielkiéj zbrodni, która jest tak wielkiém wyboczeniem spraw moralnych i fizycznych, że ustrasza i świadków i samych sprawców. Komiczność Szekspira, jestto niewyczerpany zasób wesołości, dowcipu, rubaszności, humoru, który Szekspir zawsze ma z sobą, jako prawdziwy człowiek ludu; fantastyczność, zabobon w sztukach tego poety, jestto ogół tych wierzeń, które krążą w narodzie, które słyszano w dzieciństwie, a odepchnięto w późniejszym wieku, lecz zawsze się kryją pokątnie w myśli i wyobraźni narodu, i są niebłachym odgłosem

powszechnéj jakiéjś poezyi, i mytologii plemion północnych. Dzieła Szekspira pełne są rozumu, ale nie książkowego, tylko tego, który daje doświadczenie życia i ludzi, prawéj filozofii popularnéj. Tém łatwiéj więc zajął publiczność londyńską, że nic w nim nie było więcéj, co i u jego widzów, ale to co było podzielone pomiędzy nich wszystkich, sam jeden posiadał; ale to wrażenie, uczucie, myśl, które tam komuś w rzadkich chwilach, zdarzyło się doświadczać, dla niego były zawsze dostępne, przechodził w nie kiedy tylko chciał, i dlatego biorąc, że tak powiem, tony wedle osnowy przedmiotu, brał je wszelako, zawsze doskonale pełne, i cokolwiek mówił, żywe współczucie znajdowało w słuchaczach. Był on całkowitą pojętnością swojego czasu.

PRZYPISY.

I.

Późno, bo w sto lat z górą, sami Anglicy, dopiéro uczcili pamięć tego genialnego poety. Nowy pomnik w *Westminsterskiém* opactwie, gdzie spoczywają zwłoki królów, i najsławniejszych ludzi wznieść mu postanowiono. Ogłoszona na ten cel składka, w krótkim czasie zebraną została. Jedno wystawienie tragedyi jego *Juliusz Cezar*, prawie połowę opłaciło nakładów. Stanął nareszcie w roku 1740 wspaniały marmurowy nagrobek, na którego czole ten prosty ale piękny położono napis:

„Wilhelmowi Shakespeare roku po zgonie 124 publiczny szacunek położył."

(Guilhelmo Shakespeare, anno post mortem 124 amor publicus posuit).

Poeta w naturalnéj wielkości i w tamtoczesnym ubiorze stoi oparty na trójbocznéj podstawie, na któréj leżą celniejszych dzieł jego księgi. Otaczają grobowiec popiersia różnych królów, i sławnych ludzi, których opiewał dzieje. Zpomiędzy książek wywija się spuszczony papiér, na którym czytać można z dramatu *Burza* wyjęte wiersze:

„Kiedyś te wieże, te pyszne pałace,
Święte przybytki, cała kula ziemi,
I to co na niéj żyje, tak zniszczeje,
Jak wzrok łudzące czczych świateł zjawiska;
Ni śladu po nich nie będzie!"

Część ta świątyni Westminsterskiéj, gdzie mają posągi Szekspir i Adisson, nazywa się *zakątem poetów*, i ta właśnie strona najwięcéj ściąga ciekawych. Waszyngton Irwing przy opisie Stratford'u nad Awonem, wiele szczegółów o Szekspirze nam podał. (Zobacz rysy moralności i literatury we względzie obyczajów, zwyczajów i literatury Anglików i Amerykanów. Wilno 1830 r. Tomów 2. 8vo).

II.

Wiekopomnéj pamięci Wojciech Bogusławski twórca naszego teatru, piérwszy dał nam poznać wzniosłe utwory Szekspira. Na scenie polskiéj poznano *Hamleta*, *Romeo i Julię*, *Leara*, *Machbeta*, *Otella*. Sam Bogusławski przełożył (nie z oryginału) *Hamleta*, i ten przekład w zbiorze dzieł swoich w tomie IV pomieścił.

Tragedya ta piérwszy raz wystawiona we Lwowie 1797 roku, sprawiła wielkie wrażenie, i wielokrotnie a zawsze z upodobaniem publiczności powtarzaną była. *Owsiński* rolę Klaudyusza, a *Pierożyńska* rolę Ofelii, osobliwiéj w scenach obłąkania do zachwycenia przedstawili.

Późniéj grana na warszawskiéj scenie, przez znakomitych artystów: Truskolawską w roli królowéj, Ledóchowską w roli Ofelii, Szymanowskiego w Hamleta, Pawłowicza w Laertesa rolach, nie mniejsze powodzenie znalazła. W ostatnich czasach nieodżałowanéj pamięci artysta Piasecki przedstawiał rolę Hamleta.

Ledóchowska ściągała ścisk publiczności, gdy ogłoszono przedstawienie *Machbeta*, a cała wszystkich uwaga zwróconą głównie była na ową sławną scenę, gdy we śnie, obmywa krew z ręku. Tęż samą scenę niedawno widzieliśmy oddaną z całym talentem przez znakomitą artystkę p. Halpert.

Rzecz godna uwagi, że gdy Bogusławski od tak dawna dał nam poznać Szekspira w przedstawieniach teatralnych, w literaturze naszéj wcale rzec można nie był znanym. Ludwik Osiński professor literatury polskiéj w uniwersytecie warszawskim, jak o barbarzyńcu, o Szekspirze wspomniał, choć go znał z wygładzonych tylko tłumaczeń francuzkich, zmienionego i przekształconego po francuzku.

Dopiéro obecnie w naszych czasach doczekaliśmy się przekładu wprost z oryginału wielu sztuk Szekspira. Zasłużony w literaturze naszéj X. Ignacy Hołowiński wydał dwa tomy przekładów sztuk tego wielkiego tragika, p. n.: „Dzieła Wiliama Shakespeare. Przekładał Ignacy Kefaliński. Wilno 1840 r. 8vo.

Tom piérwszy zawiéra: *Hamleta, Romeo i Julię; Sen w wigilią Śgo Jana.*

Tom drugi: *Machbeta, Króla Leara, i Burzę.*

John of Dycalp, czyli X. Placyd Jankowski, jako dopełnienie powyższego przekładu dodał tom trzeci pod tymże tytułem w Wilnie 1847 r., w którym dał nam tłumaczenie *Henryka IV* dwie części, każda część w pięciu aktach.

Oddzielnie zaś poprzednio przełożył i wydał: „Puste kobiéty z Windsoru.” Wilno 1842. 8vo.

W wydaném dziele w Wilnie, r. 1845, p. t.:

Arcydzieła Dramatyczne, w tomie II Józef Korzeniowski przełożył dramat Szekspira w pięciu aktach *Król Jan.* Jestto przekład tak wyborny, iż śmiało rzec można, że nie ustępuje oryginałowi. Żałować potrzeba, że potężny talent Korzeniowskiego nie dał nam więcéj poznać utworów gieniuszu Szekspira.



FRANCISZKA KRASIŃSKA.

Francoise

FRANCISZKA KRASIŃSKA.



Podajemy tu wizerunek polskiéj niewiasty, nie jako odznaczającéj się w naukowém polu, ale że była powodem do jednego z znakomitych utworów, historycznéj powieści, w naszéj literaturze.

Utworem tym jest dziennik Franciszki Krasińskiéj, przez autorkę *Rozrywek*, w témże piśmie zamieszczony, a tak cudownie ubarwiony kolorytem właściwego okresu, że zdaje się każdemu z czytelników, że żyje w owych czasach, widzi wszystkie w ruch wprowadzone osoby, rozmawia z niemi i bawi. Taki to urok umiała nasza autorka rozlać na każdéj karcie tego dziennika, który za jedną z najlepszych powieści uważać możemy.

Podania żyjących osób, i znających osobiście bohaterkę téj powieści, kilka listów, były całym materyałem dla autorki, resztę dopowiedziało jéj serce i talent.

Stanisław Krasiński starosta Nowomiejski, Przasnyski, Ujski, poślubiwszy Anielę Humiecką, córkę wojewody podolskiego, miał cztery córek: Barbarę, Franciszkę, Zofię i Maryannę. Najstarsza Barbara wydaną została za Świdzińskiego, młodsza Franciszka, została małżonką Karola księcia kurlandzkiego, syna króla Augusta III, poślubiona tajemnie w dniu 4 listopada 1760 roku.

Nie dotykamy w niniejszém wspomnieniu, ani lat jéj młodości, ani poznania z królewiczem, bo to znajdzie czytelnik tak uroczo opisane w pomienionym dzienniku, że żadne pióro zastąpić lepiéj nie może: ale dodamy kilka szczegółów do życiorysu Franciszki Krasińskiéj, albo opuszczonych, lub zupełnie nieznanych.

Przez zamęzcie swoje, zdawało się, że piękna Krasińska los świetny zrobiła; tymczasem życie jéj dalsze, było pełne trosk i umartwień. Kochana z początku przez męża z całym zapałem, zdawało się, że po śmierci Augusta III zasiądzie tron, podobnie jak Barbara Radziwiłłówna. Rodzice jéj dumni byli z tak świetnego zamęzcia, gdy Franciszka w ukryciu gorzkie łzy wylewała w obawie rozwodu, opłakując zmienność i niestałość męża, który po utracie księztwa kurlandzkiego, nie utrzymał się przy polskiém berle, bo mu je wydarł szczęśliwszy współzawodnik Stanisław Poniatowski.

Śmierć rodziców, którzy nawet nie pobłogosławili temu związkowi, nie uściskali zięcia, pozbawiła Franciszkę jedynego schronienia jaki miała w ich domu, gdy ukrywać musiała w tajemnicy, że zaślubiła syna królewskiego. Bawiła czas jakiś u siostry Barbary Świdzińskiéj, późniéj przebywała to w klasztorze Sakramentek w Warszawie, to w klasztorze Franciszkanek w Krakowie, w Częstochowie, to w Opolu. Wtém tułackiém życiu czasami tylko miewała pociechy, gdy królewicz w saméj nawet niestałości niestały, wracał niekiedy do niéj z czułością. Umiéra August III w Dreznie 5 października 1763 r. Stanisław Poniatowski na tron polski wstępuje. „Dotąd, mówi to autorka dziennika, składał królewicz na bojaźń skrócenia życia sędziwego ojca tajemnicę, którą swoje małżeństwo okrywał: ale już lat kilka od śmierci Augusta minęło, już cała rodzina królewska, cały dwór saski, przeniósł się był do Drezna, i królewicz tam mieszkał, a żona jego tułała się jeszcze bez nazwiska. Zadrżeli o szczęście, o los dalszy ukochanéj bratunki księztwo Lubomierscy, natenczas kasztelaństwo krakowscy, tém bardziéj, że sierotą była, i nie miał się kto bliższy za nią upomnieć. Księżna kochała ją jak córkę, książę niemniéj przywiązany, miał jeszcze powód większy do zajęcia się jéj losem, bo znał dobrze, że to małżeństwo, z którego on tyle obiecywał sobie, bez jego zachodów i pomocy nie byłoby nigdy doszło do skutku, widząc że spełzły zaszczyty, które powinowatéj swojéj, niegdyś zapewnić pragnął, chciał przynajmniéj, żeby jéj szczęście domowe zostało. Użył ku temu jak mówią wpływu cesarzowéj Maryi Teressy, użył jak się zdaje i innych sposobów. Skutkiem ich, królewicz wzruszył się, i po długim czasie oziębłości i milczenia, napisał nagle do żony list najczulszy, przepraszając ją za dawne uchybienia, błagając ażeby przyjechać do niego do Drezna raczyła. Tam mówił nazwie ją żoną swoją, tam zupełnie się poświęci, by szczęściem reszty jéj życia, wynagrodzić owe lata najpiękniejszéj młodości, we łzach i poniżeniu spędzone."

Pospieszyła przeto do Saxonii, a żegnając tkliwym listem ukochaną siostrę Barbarę Świdzińską, donosi o nowych troskach, że elektor tytułu królewiczowéj dać jéj nie chce i przyznać za żonę królewicza; pozwala tylko, aby całe życie w jego państwach *incognito* żyła. Dotknięta tém do żywego, równie jako i mąż jéj, już zamierzyła, w inném jakiém państwie osiąść. Przecież zamieszkała późniéj ciągle w Saksonii w *Elsterwerdzie* albo w *Dreznie*. W lat kilkanaście dopiéro po zamęzciu została matką i powiła mężowi gorąco tego szczęścia pragnącemu, córkę równie nadobną jak była sama. Maryi imię jéj dali. Zdaleka od kraju utrzymywała ciągłą korrespondencyą ze swoją

rodziną. Pomimo znacznego spadku po rodzicach, i daru od cesarzowéj Maryi Teressy w pięknych dobrach Landskrony, mało ją dochodziło gotowych pieniędzy: niedostatek ten ciągle czuć się jéj dawał; a dotkliwiéj dlatego, że nie mogła być podporą licznéj rodziny, ukochanéj siostry Barbary Świdzińskiéj.

Kiedy już kraj opuściła, spotkała się w Dreznie z dawno znajomym. Byłto Kazimiérz Puławski, który przebierał się do Ameryki.

Będąc szesnastoletnim chłopcem, bywał w zamku Maleszowskim, rezydencyi starosty Krasińskiego, i bardzo się w pannie Franciszce rozamorował, jak wyraża współczesny rękopism, z którego dajem tu wyciągi. Mówią, że i panna odpłacała mu afektem, ale późniéj gdy Lubomirscy wzięli ją do Warszawy, i gdy królewicz Karol z uczciwemi sentymentami się jéj oświadczył, panna Franciszka, omamiona rangą pretendenta, zapomniała o Kazimierzu starościcu wareckim. Ale pan Puławski o niéj nie zapomniał; jednak jak dobry katolik, a uczciwy kawaler, widząc że sakrament małżeństwa rozdzielił go na zawsze z kochanką, chciał przynajmniéj utrzymać wierne dla niéj serce, i bezinteresowną przyjaźń. Nie był on autorem projektu, ale popierał zdanie tych, którzy księcia Karola na króla polskiego forytowali, pocieszając się myślą, że jego Franciszka włoży koronę na czoło, i on jéj drogę do tronu utoruje.

Za pomocą pani Moszyńskiéj, przyjaciołki księżnéj, pan Kazimiérz zobaczył ubóstwianą kochankę, po trzynastu leciech niewidzenia, smutny wrócił z pałacu i wyrzekł z westchnieniem do swego przyjaciela: „Purpura i honory nie dają ukontentowania i satysfakcyi; ta biédna Franusia nie jest szczęśliwą.” Jakoż książę Karol zaniedbywał żonę dla innych, choć podówczas była jeszcze młodą, bo zaledwie lat trzydzieści liczącą, i niepospolicie urodziwą.

Odtąd częściéj księżnę kurlandzką widywał.

„Żyła w swoim pałacyku niebardzo dworno, dosyć przyzwoicie na córkę polskiego magnata, niedosyć huczno na żonę królewicza. Byłato pani rzadkiego rozumu i zacnych syntymentów, a urody niepospolitéj; kibić miała wysmukłą, twarz gładką ale bladą, snadź od świeżych smutków, oczy bardzo żywe i ujmujące, a głos dziwnie miły i chwytający za duszę.” Taki obraz daje nam współczesny świadek.

„Mówiliśmy długo o sprawach krajowych, księżna wychwalała wielce czyny pana Kazimiérza. Były i inne dyskursa o dawniejszych czasach, gdy była prostą starościanką i widywała p. Kazimiérza. Wiadomy dawnego ich afektu, patrzyłem na nią pilnie i dostrzegłem, że mówiąc o tém spaliła raka, a i pan Kazimiérz się także bardzo zarumienił. Ale oboje zachowali się w granicach przyzwoitości, jak należało na roztropną białogłowę i uczciwego kawalera, rozdzielonych sakramentem małżeństwa.”

Zostającemu w przykrém położeniu, wspaniałomyślna księżna przesłała do Frankfortu 1000 czerwonych złotych: tak zapomożony, dostał się po długich trudach i przygodach do Ameryki, gdzie w dniu 9 października 1779 roku przy szturmie miasta Savannach od kuli armatniéj mając nogę

urwaną, i ugodzony postrzałami karabinowemi w piersi, w ciągu niespełna godziny, wspominając imię Franciszki, skonał.

Przeżyła go lat 17 księżna kurlandzka. Na sejmie 1776 roku nie zapomniano o małżonce syna królewskiego: czytamy bowiem (Volumina Leg. tom VIII, str. 897).

Upewnienie prawa dożywocia dla najjaśniejszéj Franciszki z Krasińskich. najjaśniejszego Karola królewicza polskiego, księcia saskiego małżonki.

„Gdyśmy dla najjaśniejszych królewiczów polskich, książąt saskich, summę roczną ze skarbu obojga narodów, w konstytucyi wyrażoną wyznaczyli, z któréj równa część dla najjaśniejszego Karola królewicza polskiego, księcia saskiego przypada. Zaczym na połowie tegoż najjaśniejszego Karola królewicza polskiego, księcia saskiego dla najjaśniejszéj Franciszki, z domu starożytnego Krasińskich, małżonki jego dożywocie, aż do zgonu życia onéj rozciągamy, i że w przypadku zejścia z tego świata najjaśniejszego Karola królewicza polskiego, księcia saskiego, połowę summy dla małżonki jego skarby obojga narodów wypłacać będą powinny, warujemy i postanawiamy."

Tak więc uznaną została Franciszka Krasińska, jako księżna polska.

W dniu 30 kwietnia 1796 r. umarła w Dreznie. Królewicz Karol w kilka miesięcy nie przeżył straty, i osierocił jedynaczkę, która w rok po śmierci rodziców poślubioną została księciu sabaudzkiemu, Karolowi de Carignan.

K. W. Wojcicki.



DYONIZY FRANCISZEK KNIAŹNIN.

FRANCISZEK DYONIZY
KNIAŹNIN.

...łotom słotom jestem,
Taki na ścierniu kłos żyta,
Taka na słonéj przestrzeni
Łódka od brzegów odbita.

Upłynął już wiek cały od urodzenia Kniaźnina, pół wieku blizko od jego śmierci; przecież gdy tyle innych imion utonęło w zupełnéj niepamięci, imię jego żyje i długo jeszcze żyć będzie. Piérwszym do tego powodem jest talent i zasługa, drugim nieszczęście. Wielkie nieszczęście wyciska piętno nieśmiertelności, zwłaszcza na czole opromienioném urokiem sławy, a nadewszystko gdy źródłem owego nieszczęścia jest uczucie silne, głębokie, niezwalczone. Imię Laury zarówno unieśmiertelniło Petrarka, jak i wiekopomne jego sonety. Obok imienia Danta, mimowolnie nasuwa nam się pamięć Beatryxy. Owoż i Kniaźnin miał swoję Laurę (1), lecz mniéj szczęśliwy od włoskiego wieszcza, oddalony od przedmiotu swojéj miłości niezgłębioną otchłanią przesądu i wymagań światowych, musiał w milczeniu walczyć z niezwyciężoném uczuciem, i nie doznał nawet owéj błahéj pociechy, aby potomność obok jego imienia, umieściła imię ubóstwionéj kochanki.

Tliwe serce poety silnie uczuć musiało brzemię ciągłéj tęsknoty i boleści, kiedy aż pękło pod jéj nadmiarem. Struny jego wyobraźni, zerwane zbyt silném natężeniem przez lat jedenaście, żadnego nie wydały oddźwięku, i przez lat jedenaście, Kniaźnin jakoby lutnia przebrzmiała, wlókł resztę nędznego żywota, podczas gdy śmierć zagnieździła się w martwym i obłąkanym jego

(1) Przedmiotem téj miłości była Marya z książąt Czartoryskich księżna wirtembergska.

umyśle. Ależ nie sama tylko miłość zaprawiła goryczą smutne dni Kniaźnina; inne nieszczęścia zarówno dotkliwe, inne uczucie równie potężne, inna burza zarówno gwałtowna, powaliła go w sile wieku i w proch obróciła, w pełni rozwinięte zdolności poety.

Talent Kniaźnina blizko był spowinowacony z talentem Karpińskiego, to też potomność razem umieściła imiona dwóch współczesnych poetów. Nie miał Kniaźnin łatwości i tkliwéj prostoty, cechującéj utwory śpiewaka Justyny, głębiéj za to pojmował sztukę: smak jego więcéj był wykształcony, więcéj się przejął żywotném źródłem greckiéj poezyi. Ztąd, jak zwraca uwagę Brodziński, w prelekcyach swoich literackich, Kniaźnin nie jest tyle narodowym jak współzawodnik jego Karpiński, że więcéj w nim widać skłonności do greckiego smaku, którego delikatność nie każdy czuć może.

„Jeden z poetów ówczesnych, mówi w inném miejscu znakomity profesor, był Kniaźnin, który smak grecki obrał sobie za przewodnika. Czuł on w całéj mocy najdelikatniejsze odcienia greckiéj sztuki. Te piękności smaku ateńskiego, do którego potrzeba równie usposobionéj publiczności jak była grecka, sprawiły: iż nie był dość cenionym w czasie, w którym prawie wyłącznie smak francuzki popłacał: przy delikatniejszém uczuciu wszędzie widać w nim sztukę, miarę przyzwoitą, i wykończenie. Ztąd nie znajdujemy w nim miejsca, w którémby za obręb prawdy i dobrego smaku wystąpiła. Może w wielu poezyach jest mierny, lecz nigdy pospolity. Polotność imaginacyi, właściwa zwięzłość i całość znamionują równie drobne jego pisma jak obszerniejsze poemata."

Brodziński nadto przyznaje Kniaźninowi szczególną staranność o zewnętrzną budowę wiersza, oraz utrzymuje, że zarówno przed nim jak i po nim, nie mamy żadnego poety, któryby w tak wysokim stopniu jak Kniaźnin, miał owe muzykalne ucho, ową śpiewność w wierszowaniu, lecz który, jak mówi, wiérsz choćby najpiękniejszy, może być brzmiącym według zasad deklamacyi, ale nie będzie jeszcze tém, co istotę poezyi lirycznéj stanowi.

Nie ujmując ztąd słusznéj zalety Kniaźninowi przypomnieć musimy, że wówczas gdy krytyk pełen nauki i smaku ogłaszał to zdanie z katedry, nieznane jeszcze były utwory liryczne Odyńca, ani cudne harmonijną śpiewnością dumki Bohdana, które słusznie najgienialszy wieszcz dzisiejszego czasu, nazywa pieniem słowika.

Talent Kniaźnina byłby się niewątpliwie wyrobił samodzielniéj, gdyby nasz poeta nie strawił był życia pod wpływem dworskiéj zależności, otoczony duszącą pałacową atmosferą. Kto wié czyli nawet niewłaściwy żywioł, jakim oddychał ciągle poeta, czyli nieustanne paczenie i naginanie wrodzonych zdolności do wymysłów i fantazyj książęcych swych opiekunów, nie przyczyniały się zwolna do zmącenia władz jego umysłowych, do podrażnienia nazbyt bujnéj, przeto potrzebującéj swobody, wyobraźni. Trudno zapewne składać ztąd winę na tych, którzy oceniając zdolność poety podali mu opiekuńcze ramię, uchronili go od nędzy i ciężkiéj walki z losem, a jednak Kniaźnin, gdyby równie jak Karpiński, w pocie czoła kopał był grzędę

w swoim Kraśniku, możeby koniec jego nie był tak smutny i bolesny, a wrodzony talent jego, możeby świetniejszym dla potomności zajaśniał był blaskiem.

Trudno jednakże walczyć z przeznaczeniem, trudno nie uledz przesądom wiekowym. Ktokolwiek podówczas zajaśniał wyższą nauką lub talentem, trzymał się dworskich lub magnackich podwoi. Monarcha i panowie pochlebiali poetom w nadziei, że ci podadzą potomności unieśmiertelnione ich imię. Poeci zaś po większéj części tkliwi i prostoduszni marzyciele, wypłacali się jak mogli rymem częstokroć niegodnym ich talentu, albowiem nie płynącém z źródła rzetelnego natchnienia. I cel chybionym został; pochwalne hymny poetów przebrzmiały bez śladu, nie powtórzy ich echo nadwiślańskich brzegów, jeżeli w piersi narodu nie znalazły oddźwięku, a prawda naga i surowa zpośród dymów pochlebstwa, ukazała potomności rzetelne swe oblicze stosownie do słów Kniaźnina:

Nic kadzidła nie pomogą,
Od których dym ich obleci,
Prawda trącając fałsz nogą,
Ze mgły wiekowéj wyświeci.

Wzruszywszy popioły w grobie
Baczna potomność nam stawi,
Nie jak śpiewali o tobie,
Lecz jakim byłeś Oktawi.

Nie mógł cię ukryć przed nami
Pomimo względów i płacy,
Ni lud, coś sądził z bogami,
Ani z Wirgillim Horacy.

Franciszek Dyonizy Kniaźnin urodził się 1750 roku 4 Października, z Ignacego i Anastazyi Kniaźninów. Przodkowie jego mieszkali byli w województwie Smoleńskiém, ale pradziad Franciszka przeniósł się w województwo witebskie, kędy urodził sie nasz poeta, jak to sam wspomina.

Ja urodzony przy Dźwinie,
Która masztami, pieńką i żytem
Wyniosłe mijając brzegi
W hojném Baltydzie zlewa korytem
Stopione lody i śniegi.

Krótkie lata dziecinnego wieku strawił Kniaźnin w rodzicielskim domu; ale owe lata znać wdzięcznie odrysowały się w młodocianéj jego wyobraźni, kiedy po latach wielu, po ciężkich trudach i znoju żywota, tak uroczo sięga myślą w ów zaczarowany poranek, w którym serce chwyta z rozkoszą wszelkie wrażenia, gdy jeszcze:

Kryje przed nami zielona
Niewiadomości zasłona
Tę przyszłych ofiar, tę cierpień robotę
Rozum i cnotę!

To też wdzięcznie wspomina Kniaźnin owe lata swobody przeigrane pod okiem czułéj i roztropnéj matki; to też pamięta ów niepojęty urok który nęcił dziecinną jego duszę, a którego jak sam mówi wpośród ponęt i sławy, nie doznał już nawet w nadobnych Puławach. Zważmy tylko własne jego słowa:

Miałem ten życia poranek
I ja méj matki kochanek;
Na samą pamięć i obraz jéj tkliwy
Jestem szczęśliwy.
Raz mnie trzymając na ręku
Ukazała w słodkim wdzięku
Słońce, gdy między szkarłatnemi chmury
Padało z góry.
Tu barwista w moje oczy
Jasny łuk tęcza zatoczy;
Tu razem słowik na blizkiéj jabłoni
W ucho zadzwoni.
Nie znałem co mnie przenika,
Co piękność, co głos słowika,
Alem czuł żywo, alem się rozrywał,
Alem używał.

Jeżeli chcemy dokładnie badać życie poetów, zwróćmy baczną uwagę na ich pieśni. W nich to jak w czystéj krynicy, odbija ich dusza światła i promienna, rozpryśnięta na słowa, a w każdéj kropelce, powtarza się jakoby promień słońca, każde uczucie, każda boleść, każda myśl szlachetną, która niegdyś ożywiała ich serce, każda chmura, która złowieszczo przesunęła się po ich niebie.

Mało wprawdzie szczegółów zachowała potomność z życia Kniaźnina, ale pieśni jego, oto otwarta księga w którą zapisywał to łzą boleści, to najżywotniejszą krwią serca, to słowy religijnego poddania, wszystkie bóle, nędze, osamotnionego swego żywota.

Kniaźnin oddany do szkół Księży Jezuitów w Witebsku w nich odebrał piérwsze nauki, a obdarzony wyższą zdolnością, zwrócił na siebie uwagę przełożonych, którzy pokładając w nim znakomite na przyszłość nadzieje, zapragnęli policzyć w swém gronie. Czternastoletni młodzieniec z powodu szczupłego mienia rodziców, pozbawiony wszelkich na przyszłość widoków, posłuchał ich rady i przyoblekł zakonną sukienkę, a gdy w roku 1773 piorun z Watykanu wstrząsł w posadach potężny gmach Lojoli, Kniaźnin nie wykonawszy jeszcze ostatecznego zobowiązania, powrócił do świeckiego stanu. Ale

iskra poezyi zapłonęła już była w młodzieńczym jego umyśle, jeszcze OO. Jezuici powołali go wspólnie z ówczesnymi pisarzami do przekładu Od Horacyusza, które wyszły na widok publiczny w 1773 roku.

Po rozwiązaniu zakonu Kniaźnin pozostał sam, bez żadnéj znizkąd pomocy. W owym to czasie mówi o sobie:

Gdy wszyscy moi tam i tu płaczą,
Ja rozbit razem i jeniec,
Schwycę się deski pchniętéj rozpaczą,
I obcy światu młodzieniec i t. d.

Wówczasto chciwy ukształcenia zapragnął usilnie dostać się do samego źródła nauk, do biblioteki Załuskich. Tam pracował czas niejaki pod przewodnictwem uczonego Janockiego, tam głęboką nauką starożytnych zwłaszcza języków, bogacił młody umysł. Łacinę posiadał wybornie; dowodem tego tom wierszy łacińskich wydany w 1781 roku. We francuzkim języku równie prawie był biegłym.

Książę Adam Czartoryski generał Ziem Podolskich oceniając zdolności młodego Kniaźnina, zawezwał go do swego boku, ofiarując mu urząd sekretarza. Wówczasto słodycz, dowcip, a nadewszystko pełen uroku talent młodego poety, uczynił go prawdziwą ozdobą świetnego puławskiego dworu, współwalczącego naówczas z warszawskim dworem króla Stanisława.

„Poetów wieku Stanisławowskiego, mówi Brodziński na dwie części podzielićby można. Jedni przeznaczeni losem, lub powołani zdolnościami, mający wziętość u dworu lub udział do czynności obywatelskich, karcili wady i przesądy, obudzali wyższe uczucia, starali się swój naród ku oświeceniu wieku ośmnastego posuwać; inni od saméj natury do tego powołani opiewali tylko tęsknoty młodzieńcze, cnoty rodzinne, łagodne uczucia. Ci jeżeli wieku swego nie posuwają i umysłów do wyższych dążeń nie wznoszą, radzą przynajmniéj pokój z losem, sercem, wdrażają do szczęścia, jakie na ziemi osiągnąć wolno. Tacy mniéj mają sławy ale więcéj szczerych miłośników. Wady bowiem społeczności z postępem czasu na inne się zamienią uniesienia, okolicznościami wzbudzone ostygną, lub do innych celów się zwrócą; lecz uczucia cichéj cnoty, szczęścia spokojnego, wszędzie i zawsze są jedne. Tamtych poetów stolicą była Warszawa, owych Puławy. Tamci otaczali dwór i sejmujących, ci na łonie pięknéj, sztuką ozdobnéj natury, podzielali zabawy i uprzejmość najdobrańszego towarzystwa. Kiedy Krasicki dowcipnie wyszydzał, Naruszewicz wielbił lub gromił bez miary, Szymanowski spalił w Puławach satyry swoje, owoc pobytu w stolicy. Gdy tamci nasuwali różne zdania względem powszechnego dobra, Karpiński i Kniaźnin głosili tylko żałosne pienia, tchnące czystą miłością."

Przeszło lat dwadzieścia literackiego swego zawodu strawił Kniaźnin w Puławach. „Muza jego, słusznie uważa Brodziński, jest tylko mieszkanką rozkosznych ogrodów puławskich, za które rzadko kiedy przechodzi, i do

tych ogrodów przenieść się musi, kto w brzmieniu jego liry smakować pragnie. Maluje tylko piękną, przez sztukę ozdobioną przyrodę, jaka ją otaczała. Nie zapomina wprawdzie rodu swojego, wysp i gór Grecyi, całkiem jednak przywiązała się do brzegów nadwiślańskich; tchnie wszędzie wdzięcznością i przywiązaniem do tych przez których błogich używa wczasów." I nic dziwnego, zapewne że tkliwe serce Kniaźnina przywiązało się szczerze do swoich opiekunów, i nic dziwnego że poeta ukochał owe nadobne Puławy, jak drobna ptaszyna kocha zieloną dąbrowę, w któréj przelotnie ulepi sobie gniazdeczko. Nic dziwnego, że tam żyć i umierać pragnął, gdy miłość silna i namiętna, jak zwykle miłość poety, stworzyła mu w Puławach świat cudów i marzenia i utrzymywała go pod wpływem czarodziejskiéj swéj laski. To też tkliwie Kniaźnin wylewał z piersi zbytek uczucia, przepełniający tęskne jego serce. Któż z tych jego słów nie odgadnie że one nie były skutkiem chwilowego szału, ale raczéj głębokiéj i prawdziwéj miłości.

Te piękne brzegi wiślane,
Te łąki kwieciem usłane,
Ten ogród, gdzie rozkosz miła
Wszystkie ponęty skupiła,
To ptastwo co szczęście nuci,
Drażni mnie tylko i smuci.

Czy myśli puszczam obłędne
Między te lipy dwurzędne,
Żal tylko, żal idzie ze mną
Ze strzałą w sercu tajemną,
Ta gdy bodzie, jątrzy, nudzi,
Siebie odbiegam i ludzi.

Niespokojny, rozkwilony
Szukam tęsknocie uchrony,
Gdzieby się łzom pozwoliło,
Które dla miłéj lać miło.

Nie żądał Kniaźnin wzajemności, czuł że nadzieje jego szalone, a jednak nie mógł się wyrwać potężnéj władzy, która ogarnęła jego serce, uległ jéj, i tęskno opłakiwał smutną swoję dolę:

Próżno na łące kwiatów dostatek;
Nieświeżym dla niéj z rąk moich kwiatek.
Próżny usiłek i w rymie;
Odjęło słodycz me imię.
Gdzie oczy zwrócę i moje żale,
Ją wyobrażam na każdéj skale

Jak zorza ogień z jéj oka,
A serce jakby opoka.

A jednak poeta kochał, lubo niekochany; a równając swą kochankę do księżyca przyświecającego tęsknéj ziemi, jakże tkliwie do niego przemawia!

Czegóż z uśmiechem ku téj dolinie,
Wychyliwszy się z obłoku,
Nizkiéj przyzierasz roślinie
W przyległym grając potoku?

Ale gdy pyszne zdobisz niebiosa
Ziemi swe roniąc słodycze,
Jakaż to proszę łez rosa
Śnieżne spłukała oblicze?

Do czegóż moje igra wejrzenie
Nad obłokami jasnemi,
Próżno twe chwytam promienie,
Ty na niebie, ja na ziemi.

O! zaprawdę w tych krótkich przelotnych słowach, przebija świat marzenia i miłości, cała tęskna i niepojęta dusza poety.

Kniaźnin lubo otoczony skażonym powiewem magnackiego dworu, nigdy przecież pochlebstwem nie splamił swego pióra. Niekiedy wprawdzie składa hołd, ale hołd zasłudze i cnocie, i nikt nie zaprzeczy prawdzie własnych jego słów:

Tę boską lutnię ilekroć mam w ręku
Cnocie hołd składać moim zawsze celem.

Jakże on pięknie zachęca młodziana do czynnego i pożytecznego życia, jak ponętnie wskazuje ciernistą drogę żywota:

Nie wonne kwiaty, ani puch łabędzi
Mają cię zbroić do męztwa i sławy:
Jeśli myśl ciebie bohaterska pędzi,
Niewinne rzucaj zabawy.
Widzisz tę górę? ku niebu się wznosi
Temi cierniami drzéć się na nią trzeba.
Tam, na wierzchołku sława cię ogłosi,
A ztamtąd bliżéj do nieba.

Jakże on pięknie kreśli powołanie człowieka umiejącego wznieść się nad osobiste widoki:

Któremu wdzięczni rzekną bez obłudy:
Nech żyje wiecznie, bo on dla nas żyje;
Który jak drzewo, wśród burzy otuli
Skupioną trzodę, liści swych ramieniem.
Biegną śpiewając tam pasterze czuli:
Cieszmy się pod tym dobroczynnym cieniem.

Daremnie cnota tór podając chwały
Roznieci światło i ogniem zapali,
Potrzęsie głową ród zapamiętały,
Niech ginie wszystko, byleby my cali.

Za nic im przykład, i ów zapał święty
Co swoję widzi nagrodę śród nieba,
Gdzie ziarna sypią, gdzie na lepie nęty
Ślepa na zgubę, pędzi ich potrzeba.

Tak orzeł w górą bystry lot pospiesza,
Kiedy słoneczna twarz jemu zaświeci;
Zdziwi się ptastwa poziomego rzesza,
Ale nikt za nim ku słońcu nie leci!

Kniaźnin nakoniec zachęcał księcia do czuwania nad losem nieszczęśliwego ludu, którego dola spoczywała w jego ręku:

Książę! rzuć okiem: czołem tobie biją;
Rzuć okiem na tych, co dla ciebie żyją
Szukając w tobie za pracę i plony
Własnéj ochrony.
Trzoda to bliźnich co się dla nas znoją,
Przez których państwa i narody stoją.

Miłował Kniaźnin ów lud poczciwy i pracowity, i nieraz opiewał jego trudy i znoje, a mimo błędnych ówczesnych wyobrażeń o poezyi, zapomniał na chwilę o gracyach i skrzydlatym amorku, owych strupiałych bożyszczach Olimpu, przeniesionych zponad Lety na piasczyste wybrzeża Wisły, i nastroiwszy swą lutnię na ton świeży i żywotny, zanucił nadobną wieśniaczą piosnkę:

Wsi spokojna, wsi wesoła
Śpiewać ciebie kto wydoła?
Kto pożytków, kto twéj pracy
Czuje rozkosz? wy wieśniacy.

My z naszego pijąc Sanu,
Wierni tobie, wierni panu,
Znamy tylko ten brzeg mały,
Gdzie nas matki kołysały.

Dziękujemy Bogu za to:
Nasza wiosna, nasze lato,
Nasza jesień ubarwiona,
Sypie kłosy, roni grona.

Nam się księżyc w nocy śmieje,
Nam poranek rosy leje,
Nam się tylko ziemia godzi,
Słońce wschodzi, i zachodzi.

Szumią dęby, kwitnie łąka,
Pagórkami cień się błąka.
Niech się wielki świat przewraca,
Z nami pokój, miłość, praca.

To też gdy inne pieśni jego, przewiały wraz z zgonem zefira, pieśń ta została w sercu narodu, bo z niego wzięła życie. Wraz z nią zostały i inne. Niejedna dotąd matka nuci nieuczonym głosem nad kołyską syna, jak owa matka obywatelka w pieśni Kniaźnina:

Spij moje złoto, śpiewała
Kołysząc matka swe dziécię,
Spij moja nadziejo cała,
Moje ty życie!
Usnęło słabe nieboże,
Dosyć się, dosyć spłakało,
Po płaczu lepiéj też może
Będzie mi spało.
Dziécię! o wiele to biedy
Matczyna znieść musi głowa,
Nim się pociecha jéj kiedy
Z ciebie wychowa!
Wieleż ja z czasem odbiorę,
Miléj mi za to wdzięczności,
Gdy z ciebie ujrzę podporę,
Mojéj starości!
Gdy więc i sercem i głową,
Nie dasz przodkować nikomu,
Przydając coraz cześć nową
Dla twego domu;

Gdy się kraj cały zdumiewać,
Nad każdym cnoty twéj czynem,
A sława będzie mi śpiewać
Żeś moim synem;
Któż wié, co jeszcze być może,
Ach! sztylet serce przenika,
Poczwara jakaś, o Boże!
Staje mi dzika.
Może to nikczemnik jaki,
Co ma swe imię znieważyć,
Lub na postępek wszelaki
Niecnoty zażyć?
Wstydu on mego przyczyna,
A może i śmierci jeszcze,
Gdy ujrzę niewdzięcznym syna,
Którego pieszczę.
Tażby nagroda, i ta mi
Pociecha, z ciebie być miała?
Rzekła, i oczy swe łzami
Gorzko zalała.

Niejedno dziewczę wyglądając okienkiem kochanka, i piosenką skracając tęskną oczekiwania chwilę, dziś jeszcze śpiewa wraz z Kniaźninem:

Darmo mi matko stawiasz krosienka,
Inna mnie teraz myśl wiedzie.
Ach, pozwól raczéj wyjrzéć z okienka
Czyli mój luby nie jedzie.

Gdyśmy na siebie spojrzeli mile,
Powiedział tylko dwa słowa,
Bez niego teraz przykre mi chwile,
On duszy mojéj połowa.

Cóż go tak długo tam zatrzymało?
Drogać mu nie jest daleka;
Serce on moje zna jeszcze mało,
Które na niego tak czeka.

Przez ten ma gaik jechać mój miły,
Kiedyż twarz jego zaświeci?
Ptaki się ztamtąd nagle ruszyły,
Zapewne on to już leci.

I sroczka z płotu skrzeczy na niego,
Cóż to, nie widać go jeszcze?
O luby! na blask wzroku twojego,
W ręce z radości zapleszczę.

Otóż i widać, gość luby jedzie,
Sercu mojemu życzliwy,
Miłość w te strony wzrok jego wiedzie,
A pod nim igra koń siwy.
Siądę w krosienkach, a na czas miły
Abym tę radość ukryła,
By nie zrozumiał gość mój przybyły,
Żem ja tu po nim tęskniła.

A owa piękna nadwiślańska topola, czyż nie przeżyje wszystkich helikońskich gajów, dla których zbyt mroźna nasza zima? Ową topolę jakże uroczemi poeta wita słowy:

Witaj sąsiado Wisły wysoka,
Stateczna obok niestałéj rzeki,
Posada twoja w gruncie szeroka,
Trzy ojców naszych przeżyła wieki.
Ileżeś z tego brzegu widziała
Błędów i klęsk, topolo biała,
Gdy rozłożystém ważąc ramieniem,
Igra z wiatrami chlubny wierzchołek!
U stopy twojéj, i pod miłym cieniem
Oddycha wonią wdzięczny fijołek,
Drobnyć to kwiatek, w nizkich ziół gronie,
Lecz zapach jego nad niemi wionie.

Ścisła przyjaźń łączyła Kniaźnina z Karpińskim, i nic dziwnego, pojmowały się nawzajem ich dusze. To też śpiewak Justyny w podeszłym wieku mile jeszcze wspominał Kniaźnina. „W czasie bawienia mego u księcia, mówi Karpiński, poznałem się lepiéj z Kniaźninem, który dawniéj był sekretarzem; a wtenczas tylko w domu jego bawił. Pisywał on wiersze, ale często pełne przesady, nie wszystkim podobać się mogły. Poprzyjaźniwszy się z tym poczciwym człowiekiem, radziłem mu, ażeby więcéj prostéj a tkliwéj natury, w wyrazach swoich szukał, a pisma jego powszechnie i zawsze podobać się będą, bo co tylko dawniéj Grecy, a za czasów starych Rzymian tkliwy Wirgilli albo Horacy napisał, dotychczas za piękne pospolicie uznajemy. Usłuchał mojéj rady Kniaźnin i tym sposobem napisał żale Orfeusza nad Eurydyką, które wiersze między dziełami jego zapewnie na czele położyćby można.

I Kniaźnin niejeden wiérsz poświęcił Karpińskiemu, a słowa jego tchną rzetelnym wyrazem szczerego współczucia. Kniaźnin daleki od zawiści cieszy się z powodzenia współzawodnika swego gdy mówi:

Miło mi słyszéć co z każdéj strony
Mówi szacunek o tobie,
Że wawrzyn z różą masz ożeniony,
Ku twoich skroni ozdobie.
Wszakże to zimny szacunek głosi;
Przyjaźń i o to gorliwa:
Czy téż ta głowa co wieńce nosi,
Swobody wdzięcznéj używa?
Czy w dom twój toczy pociechy nowe
Fortuna, zacnych macocha?
Jaki tam umysł? serce czy zdrowe?
Justyna ciebie czy kocha?
Sława! téj pole niezbyt owocne
Nadzieja tylko zielona,
A względy? znamy łyskania nocne,
Suchéj pogody znamiona.

Tymczasem coraz bardziéj chmurzyło się niebo Kniaźnina, dusza jego coraz dotkliwiéj czuła brzemię cisnącego ją smutku i tęsknoty, a gdy nowy cios strzaskał ostatecznie wszelkie nadzieje poety, zmąciły się do reszty struny podrażnionéj i chorobliwéj jego wyobraźni.

Pomieszanie Kniaźnina w dziwny objawiło się sposób. Byłoto w listopadzie 1794 roku, w samo południe zapaliwszy latarkę, przywołał jednego z domowników puławskich Gniewkowskiego, i wraz znim udał się na poddasze wysokiego pałacu. Tam stanąwszy w dymniku, przyświecając niby latarką, wskazywał ręką pole krwawych zapasów i smutne ofiary. Odtąd nieszczęśliwy Kniaźnin, nigdy już nie odzyskał zmysłów.

Franciszek Zabłocki szczery i prawdziwy przyjaciel naszego poety, był podówczas plebanem w Końskowoli, należącéj do Puław. Przyjaciel przyjął pod dach swój obłąkanego przyjaciela, poeta podał rękę poecie, nieszczęśliwy przygarnął do serca nieszczęśliwego, ale ani dłoń życzliwa, ani wszelkie starania nie zdołały już ożywić zamarłéj wyobraźni, ani uleczyć chorego umysłu Kniaźnina: przedłużyły tylko żywot nędzny i niedołężny. W początkach przecież, gdy go Zabłocki odwiedzał, przytomnie o dawnych czasach rozmawiał.

Zawsze ponury i milczący Kniaźnin obumarł na wszelkie zewnętrzne wpływy; zdaje się, że jedynie tylko żywił w myśli pragnienie śmierci, owego niemylnego kresu wszelkich cierpień i boleści. Codziennie bowiem w pogodę czy w słotę, zimą czy latem, chodził do kompasu stojącego w blizkości mieszkania, i tam przygasłém okiem śledził postęp ubiegającego czasu, jakby chciał dośledzić, rychło ostatnia nadejdzie godzina. I przez lat jedenaście szukał jéj nadaremnie. Nadeszła nakoniec, i w sierpniu 1807 roku zakończył opłakany żywot, w ciągu którego tak mało chwil szczęścia, tak wiele przeliczył cierpień i zawodów. Skończył dni na łonie przyjaciela, dłoń życzliwa zawarła mu powieki, a książę Czartoryski w dowód żalu i przyjaźni, wzniósł

mu na cmentarzu Końskowolskim piękny pomnik z czarnego marmuru i takie sam na trzy boki ułożył napisy:

1.

Franciszek Dyonizy Kniaźnin,
Obywatel województwa Witebskiego,
Wierszopis, który górnym, tkliwym i gładkim rymem,
Miłość prawdy i cnoty,
W sercach swoich braci zapalał,
Tu spoczywa w Bogu.

2.

Zaczął żyć 4 października 1750 roku.
Umarł 25 sierpnia 1807 roku.

3.

Jeśli nadzieją śmiem pochlebiać sobie,
Rzuci potomność kwiat na moim grobie.

I potomność rzuciła ów kwiat jako należną daninę. Ale czémże wątły kwiat, w obec tylu łez i goryczy, które zatruły życie poety? Wartoż przepłakać życie dla marnéj sławy? ale nikt nie wybiera własnego przeznaczenia. Jednym los nie szczędzi świetnych swych darów, innym podaje do spełnienia czarę goryczy, ale czyliż ten nie zasługuje na cześć i wspomnienie potomnych, kto nie zmarnował swych łez, swego cierpienia, ale raczéj użył ich na udoskonalenie ducha, kto jak Kniaźnin na promieniu boleści, uniósł myśl do nieba, kto jak on wianek uwity z cierniów żywota, złożył z pokorą u stóp krzyża, kto wraz z nim powtórzyć może śmiało, stanąwszy u kresu:

Przebyłem ognie któremi zuchwale
Dom tobie (1) saméj poświęcony spłonął,
Przebyłem wichry i burzliwe fale
Wśród których, drogi mój okręt zatonął;
Idąc przez płoche igrzyska fortuny
Zniosłem i ciernie, zniosłem i pioruny.

Leciały na mnie pociski za ciebie,
Ręką zdradziecką i ręką potwarczą,
Ale twój rycerz, i pewien sam siebie,
Odparłem wszystkie cierpliwości tarczą:
War chmury czarnéj nizinę przeleci;
Na skale twojéj słońce równo świeci.

Kniaźnin był wzrostu nizkiego, twarzy bladéj, ściągléj i pełnéj wyrazu. Oko jego ciemne, wypukłe, dziwnym błyszczało ogniem. Ubrany zawsze po

(1) Kniaźnin mówi do cnoty.

polsku, mało jednak przywiązywał się do stroju. Cenił jedynie wielkie i gęste wąsy, które były rudéj barwy; napisał téż znaną *odę do wąsów*.

Z utworów poetycznych Kniaźnina piérwsze zapewne miejsce trzymają pienia jego liryczne, których zalety wyżéj już skreśliliśmy, przytaczając z nich znakomitsze wyjątki.

Poemata jego *Rozmaryn* i *Balon*, jakkolwiek zalecają się wierszem poprawnym i pięknemi ustępami, mało mają rzeczywistéj wartości. Mogły się zapewne podobać na świetnym puławskim dworze, albowiem poeta opiewa w nich wdzięki Temiry i Amarylli (1), oraz opisuje wesołe dworskie zabawy, dziś jednak dla nas, utwory te pozbawione są żywotnego znaczenia.

Opery wiejskie, czyli raczéj sielanki dramatyczne: *Troiste wesele Marynki* i *Zosinki* pisał Kniaźnin do teatru puławskiego na żądanie księżnéj stosownie do planu przez nią samą skreślonego. Trudno więc, aby tego rodzaju utwory mogły mieć istotną zaletę. A jednakże sielanki te jakkolwiek bez natchnienia, nie są pozbawione pewnego wdzięku i prostoty. Józef Lipiński, pochlebny wydał sąd o Troistém weselu. „Nie można, mówi on, skreślić w wierniejszym, a razem milszym widoku wieśniaków naszych, dobroci rodziców ku dzieciom, wychowania gospodarnego córek, ich niewinnéj tkliwości, ich małżeństw, ich domowego życia, a razem przykładów dobrych panów zachęcić do ludzkości nad niemi i do kochania tych ludzi."

Od tego czasu postąpiliśmy olbrzymim krokiem na drodze badania obyczajów ludu naszego, pogląd więc Kniaźnina może nam się wydawać niezupełnie dokładnym; wszelako należy ocenić poczciwe serce i szczere chęci poety. Tragedya *Hektor*, któréj przedmiot wziął autor z Iliady liczy się do znakomitych pomników naszéj klassycznéj literatury, równie jak i tragedya Temistokles.

Opera „Cyganie" przedstawiona późniéj na warszawskim teatrze z muzyką Mireckiego, wiernym i żywym jest obrazem owego tułaczego narodu. Jakże pełne prawdy są ich słowa poczynające operę:

A za nami zawsze nędza
Od wsi do wsi nas popędza
Ej chłodno i głodno!
Choć chłodno i głodno,
Ale żyjem swobodno;
Byle na dziś było chleba,
Czegoż więcéj nam potrzeba?

Żale Orfeusza nad Eurydyką napisał Kniaźnin z powodu śmierci małżonki Zabłockiego. Jakkolwiek nie dorównał Kochanowskiemu, boć téż i nie własną opłakiwał stratę, przecież niektóre pieśni mogą być śmiało postawione obok pięknych trenów śpiewaka z Czarnolasu. Zważmy tkliwą prostotę owych ustępów:

(1) Temira, znaczy księżnę Generałową Czartoryską, Amarylla księżnę Wirtembergską.

Żal II.

Gdzie ona, ona niestety,
Moja droga, moja miła?
Dawszy swe poznać zalety,
Serce tylko rozkrwawiła.
Tak błyska razem i gaśnie,
Zorza na niebie różana,
Róża nadobna tak właśnie
Ledwo rozkwitnie zerwana.
Sen to, sen luby na chwilę,
Marą mnie wdzięczną ułudził,
Gdy się cieszyłem nią mile,
Śmiertelny goniec przebudził.
Goniec wyroku twardego,
Co go łza żadna nie wzruszy,
Z pośrodka żalu naszego
Uchwycił duszę méj duszy.

Żal VI.

Kiedy ból srogi już ją dokonywał,
Rumieniec w bladéj twarzy dogorywał,
A ona jeszcze nad mych łez potokiem,
Litości pełném spozierała okiem.

Kiedy ów zamróz po jéj białém ciele,
Szedł wyciskając zimny zdrój na czele,
A wzrok szukając próżnéj już pomocy,
Mglał i okropnéj poddawał się nocy;

Kiedy siniejąc usta się ścinały,
Chciała coś wyrzec, słowa zapadały.
Ręką mnie tylko za rękę ścisnęła,
I z głębi serca żałośnie westchnęła;

I wtém skonała. Padłem i zemdlałem.
Czemuż o nieba razem nie skonałem!
Po co duch znowu do ciała powrócił,
Które był właśnie w swoim czasie rzucił?

Żal VIII.

Jak ów ptak wierny, ptak osierocony,
Nieszczęsny, smutny, leci w obce strony,
Tam gdzie bór dziki, i gdzie gałęź sucha
Z jednéj na drugą przepadając grucha,
I wiecznie jęczy; tak i ja za tobą,
Za mojém światłem, duszy méj ozdobą

Błędny, strapiony, sam nie wiedząc kędy,
Troskliwy jednak, postępuję wszędy.
A serce roniąc i gubiąc myśl biedną,
Za tobą tylko uganiam się jedną.
Saméj cię żądam, i szukam, i płaczę,
Lecz nie znajduję i już nie obaczę.
Niestety! tyś mnie na zawsze rzuciła
Moja pociecho, Eurydyko miła!
O! gdyby jeszcze, podług méj niedoli
Bóg mi dozwolił użyć własnéj woli,
Nie kamieniem ja, ani drzewem jakiém,
Nie marnym kwiatem, ani błędnym ptakiem,
Ale stałbym się łzami tylko, łzami,
Bym się gorzkiemi zalewał zdrojami
Nazawsze: boś mnie na zawsze rzuciła,
Moja pociecho, Eurydyko miła!

I któż tym pieśniom zaprzeczy prawdziwego uroku, któż nie przyzna, że płynęły wprost z tkliwego i zbolałego serca?

Należy jeszcze wspomnieć o przekładach Kniaźnina. Tłumaczył on koleją pienia: Dawida, Anakreona, Horacyusza, Lafontena, nakoniec Ossyana, i znakomitym talentem umiał się przejąć duchem każdego z owych wielkich mistrzów, zachowując ich barwę właściwą.

Nie było znać przeznaczeniem Kniaźnina, aby zajaśniał blaskiem nadzwyczajnego gieniuszu, aby zadziwił świat utworami potężnego ducha. Umiał przecież poruszać piękną i szlachetną stronę ludzkiego serca; umiał wycisnąć niejednę łzę z oka, umiał urokiem poezyi opromienić każde uczucie. On jako prawdziwy poeta swego czasu, przekazał potomności ową skarbonkę pełną łez i krwi, uzbieraną w ciągu skołatanego żywota, a skromny, tkliwy, pobożny, oraz głęboko czujący swoję i bliźnich niedolę, nietylko w pieśni, ale i w życiu całém, a nawet w przedwczesnym skonie ducha, okazał się prawdziwym poetą.



Przeciw prawdzie rozum nie

MARCIN BIELSKI.

MARCIN BIELSKI.



pośród dąbrowy, przystrojonéj kilkudziesiąt staremi dębami obok zielonego gaju, ponad małym strumieniem, stał w XV wieku dom, zbudowany z kamienia polnego i wapiennego. Byłto dwór wsi *Biała*, leżącéj o mil siedm od Piotrkowa, a pół mili od miasteczka *Pajęczna*, gdzie liczyła się do parafii.

„W tymto domu (mówi F. M. Sobieszczański) piérwsza historya powszechna i krajowa po polsku była napisaną. Z tego ustronia wyszły poważne karty kronikarza ojca, i dźwięczne rymy syna. Obaj pełni zasług, w zaciszu schroniwszy się tu g'woli powszechnemu dobru, i sławy swych ziomków, pracowali (1)."

Marcin Bielski urodził się w roku 1495, kształcił się w akademii krakowskiéj, i z młodu służył wojskowo. W sławnéj bitwie pod *Obertynem*, uwieńczonéj głośném zwycięztwem Jana Tarnowskiego nad Wołoszą, znajdował się, i walczył. Od roku 1535 już znajdujemy Bielskiego na dworze Piotra Kmity wojewody i starosty krakowskiego. Ten możnowładca, słynny bogactwy, wspaniałością i dumą, podał w przykréj jakiéjś przygodzie naszemu kronikarzowi rękę, i dał schronienie na swym dworze. Wdzięczny Bielski przypisując mu swe piérwsze dzieło „*Żywoty philosofów*," wyznaje jak wielce za to jest mu zobowiązany.

„Poznałem czasu przygody swojéj (mówi), wielką, a mnie nigdy niezasłużoną, krom żadnych przyczyn i zasług moich z moimi przyjacioły ja-

(1) Album literackie Tom II, 1849 r.

wną łaskę, którą W. M. raczył ku mnie okazać, którąto miałbych sprawnie z powinności na rozkazanie słusznie, a dostatecznie (gdyby jedno moja posługa k'temu godną była) zawżdy odsługiwać."

Zostawał Bielski na dworze Kmity aż do zgonu tego możnowładcy, tojest do roku 1553, w ostatniém albowiem wydaniu swéj *Kroniki świata* pod tymże samym rokiem, donosząc o śmierci jego, nazywa go jeszcze panem swoim.

Wszystkie dzieła jakie pisał, pisał po polsku, w téj zacnéj myśli, aby wprowadzić rodzinną mowę w użytek literacki; a jak sam wyraża: „Dla rozmnożenia polskiego języka, którego przedtym niewiele dla trudności jego pisano."

Wziąwszy sobie za godłą: *Przeciw prawdzie rozum nic*, a co czytamy pod jego wizerunkiem, pismami swemi stanął w rzędzie najznakomitszych historyków XVI wieku.

Na dworze Kmity napisał piérwsze swoje dzieło, i wydał: *Żywoty philosophów*: a po jego śmierci osiadłszy we wsi własnéj *Biała* dawném województwie sieradzkiém, tu opracował resztę pism swoich. Piérwszy Bielski z Polaków historyą powszechną z geografią połączył, i pomimo mody wieku, w ojczystym języku, dzieje krajowe odważył się pisać.

Dożywszy późnego wieku, starzec blizko ośmdziesięcioletni umarł, w ulubionéj ustroni, dnia 18 grudnia 1575 roku, gdzie lat kilkadziesiąt, pilnością i pracą niezmordowaną tyle pismami swemi zbogacił literaturę krajową. Pochowany w *Pajęcznie* miasteczku wówczas do twierdzy Częstochowy należącém, „w kościele (jak pisze syn jego Joachim) katolickim, bo zawżdy był katolikiem."

Z dzieł zostawił:

I. Żywoty philosophów tojest mędrców nauk przyrodzonych. I téż inszych mężów cnotami ozdobionych, ku obyczajnemu nauczaniu człowieka każdego krótko wybrane." Prasowano w Krakowie, przez Floryana 1535. (W ósemce, stronic liczbowanych 171).

Wystawia tu Bielski życiorysy i zdania krótkie 47 greckich i rzymskich mędrców, tłumaczonych z rozmaitych źródeł. Po przypisie Piotrowi Kmicie, następuje wiérsz następny, gdzie z przydomku swego Bielski podpisawszy się Marcin Wolski, dał powód do mniemania niektórym, że był inny pisarz Marcin Wolski.

„Marcin Wolski z Wielkiéj Polski do czciciela (czytelnika) rymuje:"

Rozum na tym zależy człowieczy,
Mieć w sobie takowe rzeczy,
Które ku cnocie przywodzą,
A od zbytków wszech odwodzą.
Oto się najwięcéj mamy starać,
Byśmy mogli w cnocie obcować,
Jako ci mędrcy działali,

Którzy są tu wypisani.
Tych nauk ci naśladowali,
I drugim po sobie zostawiali,
W rozkoszach się nie kochali,
Żadnych skarbów nie zbierali,
Tylko się nauką żywili,
Nic nie umiéć się mienili.
A ty, chcesz-li być od zwierząt różny,
A ich téż głupości próżny,
Chciéj się w nauce ocierać,
Mądrości, rozumu nabywać,
Miéj przed sobą co uczonego,
Czymbyś podparł rozumu swego.
Czcij mężów mądrych przykłady,
Niechcesz-li miéć w sobie wady;
Przyjdziesz ku końcu dobremu,
I ku żywotu wiecznemu.

Przywiedliśmy wiérsz ten, dla pokazania jakim był już nasz język przy piérwszym zawiązku literatury polskiéj. Wykształcenie jego znakomite, wdzięk i prostota, ukazują widomie, że mowa nasza wówczas, wystarczała już wszystkim potrzebom piśmienictwa. Zaprawdę rzecz godna uwagi, jak ten język będąc uprawianym nie piśmiennie, ale *słowem* tylko, powszechném użyciem, ukazał się wpierwiastkach literatury naszéj wysoko udoskonalonym. To może posłużyć za dowód niezbity, że kolebki narodu szukać należy w wiekach dalekich zapadłéj starożytności przed przyjęciem chrześciaństwa, bo żaden język niedoskonalony piśmiennictwem, ani w stu, ani w dwustu latach, nie może się tak jak nasz wydoskonalić.

II. „Kronika wszystkiego swyata na sześć wieków, a na czwory księgi takież monarchie rozdzielona, z rozmaitych historyj tak w świętym pismie jak prostym. I zrozmaitemi, królestwy tak pogańskiemi, żydowskiemi, iako też chrześciańskiemi, w którey też żywoty papiezkie, cesarzów i królów i innych jakież książąt od początku swiata, aż do roku który się pisze 1554, między któremi też nasza Polska iest zosobna położona i swiata nowego wypisana, dostatecznie pisana i pilniéj niż piérwsza z figurami ochędożnemi. Cum gratia et privilegio. Drukowana w Krakowie przez Jeremiasza Szarfenbergera roku od N. Chr. P. 1554 in folio."

Tytuł tego dzieła wzięty jest z drugiego wydania, bo dotąd z piérwszéj edycyi nikt nie posiada exemplarza z kartą tytułową. Piérwsze wydanie w ćwiartce 1550 roku, drukowane w Krakowie, gdzie, niewiadomo dokładnie.

Trzecie wydanie wyszło 1564 p. n. „Kronika tho iesth historya swiata, na sześć wieków, a cztery monarchie rozdzielona, z rozmaitych historyków tak w świętym pismie krześciańskim, żydowskim iako i pogańskim, wybierana i na polski język wypisana, dosthacznicy niż pierwey s przydanim wiele rze-

czy nowych od początku swiata aż do tego roku, który się pisze 1564 s figurami ochędożnymi własnymi. (Folio, kart 467 z wizerunkiem samego Bielskiego jaki jest przy drugiém wydaniu umieszczony, i jakowy tu zamieszczamy w fac similu).

Dzieło to z powodu, że Bielski podejrzany o skłonność ku nowéj wówczas religijnéj reformie, należy do osobliwości bibliograficznych, pomimo owych trzech wydań, któreśmy wymienili. Jakoż znaleźć w nim można wiele zdań katolikom przeciwnych.

Ztąd Bernard Maciejowski biskup krakowski i Jan Zamojski biskup Chełmski, w katalogu dzieł zakazanych, nietylko *Kronikę świata*, ale wszystkie pisma Bielskiego zamieścili (1). Starowolski z Okólskim zachowali nam świadectwo, że od *Kroniki świata* Bielskiego wstręt jako od zarażonéj miano.

III. „Sprawa Rycerska według postępku y zachowania starego obyczaiu rzymskiego, greckiego, macedońskiego y innych narodów pierwszego y ninieyszego wieku, tak pogańska jako y krześciiańska z rozmaitych ksiąg wypisana ku czytaniu y nauce ludziom rycerskim pożyteczna, książki na ośm części rozdzielone. Cum gratia et privilegio S. R. M. w Krakowie R. P. 1569. 4to.

IV. „Rozmowa nowych proroków, dwu baranów o jedney głowie. (W Krakowie w drukarni Jakóba Siebeneychera 1587, 4to)."

(Pod tym tytułem drzeworyt wyobrażający barana o dwóch głowach daléj słońce i las: jedyny ze znanych dotąd exemplarzy widziałem i notaty z niego wypisałem w księgo-zbiorze Mikołaja Udalryka Cieńskiego w Galicyi, w cyrkule kołomyjskim we wsi Okno).

V. „Sen majowy pod gajem zielonym jednego pustelnika, przez Marcina Bielskiego y teraz na nowo przez Joachima Bielskiego syna jego wydany. (Pod tém drzeworyt wyobrażający śpiącego w gaju starca, którego młodzieniec z kijem pastuszym na ramieniu chwyta i budzi. Na końcu: *W Krakowie w drukarni Jakóba Siebeneychera roku Pańskiego* 1590. Arkuszy 2 ½. Sign. Aij. c.).

VI. „Syem (sejm) niewieści Marcina Bielskiego. Teraz nowo przez Joachima Bielskiego syna jego wydany. (Drzeworyt wyobraża w komnacie obradujące niewiasty przy wielkim stole. Potém rok MDXCV. 4to, arkuszy 5. Signat Aij—Eij, kart liczbowanych po obu stronach 2—39. Na końcu: w Krakowie, w drukarni Jakóba Siebeneychera R. P. 1595)."

VII. Kronika polska Marcina Bielskiego, nowo przez Joachima Bielskiego syna jego wydana. W Krakowie, w drukarni Jakóba Siebeneychera r. p. 1597. Folio. (Z drzeworytami).

Do najznakomitszych pisarzy XVI wieku należy Marcin Bielski: jeżeli *Żywoty filozofów* nie zajmują treścią, to dla języka są bardzo ważnym pomnikiem. Znać w tém dziele jak Bielski język potoczny wprawia w pi-

(1) O tłumaczeniu *Kroniki świata* na język węgierski, i na ruski zobacz Album literackie Tom II str. 382, w biografii Bielskiego przez F. M. Sobieszczańskiego.

smo, jak się waha jeszcze w pisowni, w składni, w doborze nawet wyrazów i ich szyku. *Kronika świata*, „jest piérwszém w swoim rodzaju dziełem po polsku, a jakkolwiek jest ona zbieraniną i streszczeniem innych, często bez krytyki użytych, wszelako przebija się w niéj i samodzielność autora, i śmiałość, i duch czasu wieje. Uważając ją ze stanowiska historyi, jaką była sztuka pisania dziejów w owym wieku w Europie, wszelkie niedostatki mniéj będą uderzającemi, i nasz Bielski nie najpośledniejsze między wielu innemi miejsce znajdzie. Jeżeli jeszcze zważymy, iż historya wtedy dopiéro poczynała się wydobywać z ciasnych ramek średniowiecznych latopisarzy, kronikarz więc polski ma wady swego wieku, ale od postępu czasu nie uchyla się: ztąd wybór jego źródeł lubo wszystkim stronnictwom nie dogadzał, wszelako był nowym i najlepszym, za jakie wtedy w ogóle uczeni uważali. Oceniając ją na teraźniejszą wartość historyczną, nie zaleca się ta kronika ani gruntownością, ani nie jest wolna od przesądów, bajek, i dziwotworczych fałszów, chociaż zdaje się, iż autor pojmował, i czuł prawdziwego ducha historyi, jak o tém najlepiéj, we wszystkich jego przemowach przekonać się można (1)."

Sprawa rycerska, uważana jako techniczne dzieło nie ma sobie równego z tamtego wieku. Znać w nim ukształconego żołnierza, który z historycznego stanowiska na sztukę wojowania zapatrywać się umiał. Opisawszy dokładnie sprawy rycerskie, rzymskie i greckie, przystąpił do opisu sposobu wojowania Polaków, podał wiadomość o stopniu strategii najbliższych sąsiednich narodów, baczną uwagę zwracając, na ulepszenie siecznéj i palnéj broni polskiéj. Słowem co tylko godnego było w zawodzie rycerskim, czy w czasie spokoju, czy w czasie wojny, tak w użyciu szyku do boju w polu, jako obrony zamków, i użycia *fortelów*, wszystko objął i podał w tém dziele Bielski, znając się sam na sprawie rycerskiéj dokładnie, jako towarzysz broni sławnego Jana Tarnowskiego hetmana, jako żołniérz zwycięzkich chorągwi zpod *Obertyna*.

Kronika Polska (2) nietylko jako piérwsza w naszym języku, ale jako wielki materyał, zachowa imię Bielskiego zawsze w pamięci. Poemata jego *Sejm niewieści*, *Rozmowa nowych proroków* dają nam mnóstwo szczegółów do obrazów życia domowego naszych przodków. We wszystkich zaś pismach taki nam język pełen prostoty, jasności, pełen życia zostawił, że dla mowy polskiéj, niepożyte położył zasługi.

(1) F. M. Sobieszczański.

(2) Wspomniany już nieraz p. F. M. Sobieszczański w uczonéj rozprawie (Album Literackie T. 2) dowodzi, że Kronika polska Marcina Bielskiego nie jest jego, ale syna *Joachima* pracą. Wiele przekonywających dowodów w tym celu zebrał, które to mniemanie wspierają. Zanim przedmiot ten ostatecznie rozsądzonym zostanie, muszę dodać uwagę, że w takim przypadku, i *Sejm niewieści*, i *Rozmowa proroków* byłyby utworem *Joachima*, a nie *Marcina*, bo obadwa poemata ścisły mają związek z kroniką polską.

K. W. Wojcicki.



F. GUIZOT.

Guizot

FRANCISZEK PIOTR WILHELM

GUIZOT.

W roku 1794 dnia 8 kwietnia w trzy dni po krwawém zwycięztwie Robespiera nad Dantonem, Kamillem Desmoulins, i członkami komitetu łaski (Comité de clemence) wzniesiono rusztowanie w Nimes dla szanownego ze wszech miar adwokata, podejrzanego jedynie o sprzeciwianie się chęciom okrutnego tryumwiratu. Smutek zaległ domową strzechę najuczciwszéj w kraju rodziny; niewiasta ze łkaniem prosiła Boga o siłę do zniesienia téj niezmiernéj boleści, gdyż kat w jednéj chwili uczynił ją wdową, a dwóch jéj synów sierotami. Starszy zaledwie siedm lat podówczas liczący, już wtedy odznaczał się poważną i myślącą powierzchownością, tém piętnem przedwczesnego rozumu, a to dziecię nieznające bynajmniéj dzieciństwa, był właśnie Franciszek Piotr Wilhelm Guizot.

Pisarz ten i publicysta francuzki, a niedawno jeszcze prezes rady ministrów, urodził się w Nimes dnia 4 października 1787 roku w wyznaniu protestanckiém. Po śmierci ojca, matka schroniła się z nim do Genewy, gdzie się filozofii i nauce nowych języków poświęcił. Powróciwszy do kraju krótko tylko w rodzinném zabawił mieście, i już w roku 1805 udał się do Paryża. Tutaj pod kierunkiem Royer Collarda ćwiczył się daléj w naukach, i w osobie Stapfera posła szwajcarskiego, silnego zyskał opiekuna. Zwróciwszy na siebie uwagę P. de Fontanes, otrzymał w roku 1812 pozwolenie wykładania publicznie historyi nowszych czasów. Jakkolwiek podówczas jeszcze młody, puścił się w zawód literacki i wydał znaczną liczbę dzieł, z których jako

ważniejsze przywiedziemy: *Nouveau dictionnaire universelle de synonymes de la langue franc*: (2 tomy w Paryżu, 1-sze wydanie 1809, 3-cie 1829); *Vie des poètes franc*: *du Siecle de Louis XIV* (w Paryżu 1813); *Annales de l'education* (6 tomów w Paryżu 1811—1815) i tłumaczenie *Rehfuesa l'Espagne en* 1808 (2 tomy w Paryżu 1811). Po restauracyi zaczął pracować w zawodzie administracyjnym. Szybko wzniósł się on wysoko, bo niedługo zostawszy sekretarzem generalnym w ministeryum spraw wewnętrznych, przeszedł następnie do ministeryum sprawiedliwości. Po powrocie Napoleona z wyspy Elby udał się za Ludwikiem XVIII do Gent. Krok ten i podejrzenie, iż miał udział w wydaniu *Moniteur de Gand*, czemu on najsilniéj zaprzeczał, ściągnęły nań wielu nieprzyjaciół. Zaraz po drugiéj restauracyi został referendarzem stanu, i sekretarzem generalnym, a gdy z własnéj woli podał się z tego urzędu o uwolnienie, król mianował go radcą stanu. Na téj posadzie z Decazesem i innemi politycznemi przyjaciołmi, wywierał wielki wpływ w gabinecie. Po upadku ministeryum Decasesa w listopadzie 1819 roku otrzymawszy Guizot dymissyę wraz z Royer-Collardem i Kamillem Jordau, przyjął posadę nauczyciela historyi nowych czasów przy uniwersytecie, oraz w szkole normalnéj. W tymże czasie został cenzorem, lecz oba te miejsca utracił, gdy w roku 1822 tak szkoła normalna, jak i cenzura zniesione zostały. Ponieważ zaś jego wykład historyi w latach 1821 i 1822 nie podobały się ministeryum, przeto w 1824 zabroniono mu dalszego wykładu, i ten dopiéro w 1828 roku pod Martignakiem na nowo mógł rozpocząć. Wtedy w otwarty szedł spór działając przeciwko tendencyom ministeryum Villele'a, a mianowicie gdy stanął na czele stowarzyszenia *Aide-toi le ciel t'aidera.* W tym czasie jako pisarz rozwinął swą najsilniejszą czynność, bo wraz z żoną na swe utrzymanie pracować musieli (1). Lekcye jego z 1821—1822 wyszły pod tytułem: *Histoire du gouvernement représentatif*, (2 tomy, Paryż 1821—2), a zaś z 1828—1830 wydrukował pod tytułem: *Cours d'histoire moderne* (6 tomów, w Paryżu 1828—30), w których zawarta historya cywilizacyi Francyi od upadku państwa Rzymskiego aż do roku 1789, służy za wstęp do historyi powszechnéj cywilizacyi europejskiéj od owego czasu. Oba te dzieła nadzwyczaj są nauczające, jakkolwiek przedmiot powierzchownie tylko odszkicowany. W połączeniu z kilku uczonemi wydał bardzo ważny zbiór: *Collection des Memoires reatifs à l'histoire de France depuis la fondation de la monarchie franc*: *jusqu'au XIII siècle*, (31 tomów, Paryż 1823 i nstp.) oraz niemniéj godne uwagi

(1) Byłato piérwsza jego żona Elżbieta Karolina Paulina de Meulan, urodzona w Paryżu 1733, dnia 2 listopada; zaślubił ją w 1812, a umarła 1 sierpnia 1827. Znaną jest ona jako autorka kilku bardzo dobrze przyjętych dzieł, z tych ważniejsze są: *Les enfans* (2 tomy w Paryżu 1812) *L'ecolier ou Raoul et Victor* (4 tomy. Paryż 1821) uwieńczone przez akademią, *Nouveaux contes*, (2 tomy. Paryż 1823). *Une famille* (2 tomy. Paryż 1828), a najważniejsze jéj w 1817 od akademii uwieńczone dzieło nosi tytuł: *L'education domestique ou lettres sur l'education* (2 tomy. Paryż 1826, drugie wydanie 1828), część jéj artykułów umieszczano w piśmie *Publiciste*. Wyszły już po jéj śmierci wraz ze szkicem biograficznym, przez Remusata pod tytułem: *Conseils de morale au Essai sur l'homme, les moeurs, les caracteres, le monde, les femmes, l'education* i t. d. (2 tomy. Paryż 1828).

Collection des Memoirs relatifs à l'histoire de la revolution d'Angleterre (26 tomów, Paryż 1823 i nstp). Wydał także wiele dzieł innych autorów, które ustępami, uwagami lub uzupełnieniami powiększył, jak np. *Letournera* tłumaczenie Szekspira, (12 tomów w Paryżu 1823), do *Mablego Observations sur l'histoire de France*, (3 tomy, Paryż 1823), dodał tom 4ty jako uzupełnienie pod tytułem: *Essai sur l'histoire de France* (Paryż 1824). Najważniejsze z jego pism historycznych jest niewykończona historya rewolucyi angielskiéj (2 tomy, Paryż 1826), która jest najznakomitszém zjawiskiem szkoły pragmatycznéj. Oprócz tych pism historycznych, wydał wiele jeszcze rozpraw politycznych podówczas z wielkiém zajęciem czytanych, jakkolwiek tylko przelotną kwestyę miały na celu, jak np. *Quelques idées sur la liberté de la presse* (Paryż 1814). *Sur le projet de loi relatif à la presse* (Paryż 1816) czwarte wydanie pod tytułem: *Du gouvernement de la France depuis la restauration et du ministere actuel* (Paryż 1821). *Essai sur l'histoire et sur l'état actuel de l'instruction publique en France* (Paryż 1821). *De la peine de mort en matiere politique* (Paryż 1822: trzecie wydanie 1828) i, *Des conspirations et de la justice politique* (Paryż 1821 drugie wydanie 1827). W roku 1826 przyjął kierunek wydawania Encyklopedyi postępowéj *(Encyclopédie progresssive)*; przedsięwzięcie to jednak po wydaniu kilku piérwszych poszytów upadło. W roku 1828 zaczął wydawać *Revue française*, który przerwany w czasie rewolucyi lipcowéj, dopiéro w 1837, i to tylko na czas niejaki się pojawił.

Umieszczenie Guizota w r. 1829 na liście nadzwyczajnych radców stanu a następnie rewolucya lipcowa 1830, w któréj się wiele do wyniesienia domu Orleańskiego przyłożył, zwróciły go od naukowych zatrudnień. On to ułożył protest przeciwko rozporządzeniom lipcowym, i 30 lipca został mianowany ministrem oświecenia publicznego. Po zanominowaniu go ministrem spraw wewnętrznych 11 sierpnia 1830 roku w piérwszém ministeryum Ludwika Filipa, udało mu się plany liberalistów w wielu względach zniweczyć. Gdy część doktrynerska ministeryum już w listopadzie tegoż roku od obowiązków uwolnioną została, przyjął Guizot udział w interesach publicznych, jako deputowany, i podczas całego ciągu ministerstwa Lafitta, zajmował miejsce po *lewéj stronie*; a gdy w roku 1831 Kazimiérz Perrier został ministrem, przeniósł się do *środka*. Po śmierci Perriera wstąpił na nowo do ministeryum, i 11 października 1832 został znowu ministrem oświecenia publicznego. Na téj posadzie uczynił wiele dobrego dla zakładów naukowych, a mianowicie szkół elementarnych, i sprawił, iż zniesiona w roku 1803 przez Napoleona piąta klassa instytutu, akademia nauk moralnych i politycznych, przywróconą została. Z krótką przerwą trzechdniowego ministeryum z dnia 10 listopada 1834 roku, trwało ministeryum Guizota do 22 lutego 1836 roku. Lecz już 6 września tegoż roku otrzymał znowu udział w sprawach stanu, otrzymawszy w ministeryum przez niego i P. Molé uformowaném, porte-feuille ministra oświecenia publicznego. Gdy 15 kwietnia 1837 roku ministeryum to zmodyfikowaném zostało, Guizot wystąpił wraz z innemi przedstawicielami doktrynerskiego stronnictwa. Późniéj działał żwawo

w związku 221, który upadek Molego miał na względzie, i gdy w styczniu 1839 rozwiązanie izb nastąpiło, został obrany w swoim okręgu. Dnia 28 października 1840, w ministeryum którego utworzenie jemu powierzone było, przyjął kierunek spraw zagranicznych. Od tego czasu, podczas najsilniejszych nawet burzy, ster rządu utrzymać potrafił. Lecz jeżeli znawcy oddają mu sprawiedliwość, iż do utrzymania pokoju wielce się przyłożył, to jednakże zataić nie można, iż u narodu francuzkiego, by najmniejszéj nie używał popularności. Wielki wpływ na to wywarło wprawdzie połączenie się z Anglią, lecz część winy przypisać także należy jego powierzchowności, która w połączeniu z uporem i opryskliwością, bynajmniéj za nim nie przemawia. Zasługi jego literackie i naukowe zyskały wziętość powszechną, a rozszerzenie nauk historycznych przez uformowanie *komitetów historycznych*, oraz ogłoszenie drukiem tak najważniejszych źródeł oryginalnych jak i własnych prac, największą są dla niego zaletą. Wydanie obrobione przez niego *Correspondence et ecrits de Washington* (Paryż 1840 roku, tomów 4), do którego dodał napisany przez siebie wstęp biograficzny, przyniosło mu zaszczyt, iż obraz jego w Washingtonie w sali posiedzeń zawieszonym został.

Obarczony sprawami państwa, prezes rady ministrów przed rewolucyą lutową mniéj się już pracom naukowym mógł poświęcać, a wśród ostatnich wypadków, on tylko jeden przedstawia się nam jako punkt świetny i okazały. W piérwszych chwilach wzburzonych umysłów, zachował całą godność, moc charakteru i wytrwałość, mówiąc, ze dopóki dzisiejszy gabinet na urzędzie pozostaje, nie przestaje utrzymywać porządku, wypełniać swego obowiązku i zmuszać do szanowania praw. Gdy w dniu 23 lutego 1848 nieprzyjazna mu opozycya żądała oddanie jego i całego gabinetu pod sąd, gdy uformowano akt oskarżenia, gdy manifestacye coraz silniéj objawiać się poczęły, gdy gabinet w dniu 24 został rozwiązany, i Guizot napróżno z pp. Broglie i d'Houssonville, chcieli się dostać do Luwru, opuścił wtedy Paryż i udał się do Anglii, która go z równą jak i dawniéj przyjęła gościnnością. Dziwném zrządzeniem losu, teraz własną opuszczając ziemię, doznał na morzu burzy silniejszéj jeszcze aniżeli w roku 1840, gdy przybywał do Francyi, aby objąć wydział w gabinecie 19 października; szczęśliwym trafem uniknął wtedy przypadku przez spóźnienie się na statek o kilka minut, i tylko tłumoki jego zatonęły, lecz teraz, do burzy politycznéj wypędzającéj go z rodzinnego kraju, któremu tak długo służył, przyłączyło się jeszcze sprzysiężenie żywiołów!!

Dawny prezes rady ministrów znosi przykrości wygnania z spokojnością umysłu, łatwą do wytłumaczenia, bo Anglia jest dla niego ojczyzną literacką i religijną. Siła umysłu, gieniusz prawie Guizota, którym się zasłużenie przez lat siedm szczycił, dostatecznemi są do usunięcia zgryzot jakieby z jego upadku nastąpić mogły. Jemu to przyznają wyrzeczenie wyrazów: „Oddaliliśmy się, a nazajutrz wybuchła rewolucya." W téj myśli zawarty jest człowiek i jego wyznanie polityczne. Ludwik Filip za przyczynę rewolucyi podaje wystrzał pistoletu z hotelu Kapucynek, i Guizot twierdzi, że rewolucya wybuchła w chwili gdy korona kapitulowała przed rozruchami,

bo te odtąd uprawnionemi zostały. Guizot ma to przekonanie, że rewolucya nie miała żadnéj pewnéj zasady, a najlepszy dowód tego jest, iż się pokazała pozbawioną inicyatywy, i że nie miała skierowanych myśli ani ku złemu, ani téż ku dobremu. Szczególniéj w polityce zewnętrznéj uważał Guizot naśladowania nieszczęśliwe i niezręczne. Wypadki następne sprawiły te uwagi głębokiego polityka, bo każdy dzień od lutego roku 1848, świeże w zewnętrznem położeniu Francyi odkrywał rany, pomimo purpurowe łachmany w jakie je pan Lamartine przyodziewał.

Jak zewnętrzne położenie Francyi nie przypadło do smaku Guizota, to wewnętrzne za to zupełnie go zaspokaja. Dawny prezes rady ministrów oddając sprawiedliwość dążnościom rządu we względzie prawa powszechnego głosowania, nie tai jednak tego, iżby prawa tego nie przyjął, chyba przejrzane i poprawione. Dlatego téż przygotował sobie uwagi o całym składzie tymczasowego rządu, które kiedyś na trybunie rozwinąć zamyśla, bo tylko wtedy chciał do kraju powrócić, gdy na reprezentanta powołanym zostanie; mimo to jednak, nie spieszył się z powrotem, odkładając go aż do czasu drugiego zgromadzenia narodowego, i z téjto przyczyny wymówił się od kilku kandydatur w sposób, który nie przyniósł bynajmniéj zaszczytu pewnym ludziom stanu, których wyrodziła rewolucya lutowa. Przyznaje on, iż powstawać przeciwko polityce zewnętrznéj rządu nie może, bo polityka ta była jego własną, tylko skrzywioną i drobiazgową; popierać jéj zaś nie chce, bo musiałby działać razem z ludźmi, których nieudolność wzbudza jego oburzenie. Zresztą, cały sąd jego o ludziach i wypadkach lutowych, jakkolwiek odznacza się pewną ironią, to jednak niéma w nim téj systematycznéj złośliwości, i rewolucya może niéma więcéj bezstronnego i nieomylniejszego sędziego.

Ostatnie z dzieł jego już na wygnaniu napisane nosi tytuł: *O demokracyi we Francyi.* Guizot uroczystą wybrał chwilę, gdy Francya po dziesięciomiesięcznych usiłowaniach dla ocalenia prawa, sprawiedliwości, cywilizacyi, odzyskała wśród burzliwych wypadków wolną wolę i spokój. Głos jego stał się jeszcze wszechwładniejszym po wypadkach lutowéj katastrofy, a chociaż dawni przeciwnicy oczekiwali gwałtowniejszego ze strony Guizota powrotu do rozpraw politycznych, to chęć zachowania swéj godności, a więcéj jeszcze interes społeczności francuzkiéj, wskazały dawnemu ministrowi zasadę podług jakiéj działać był powinien, przemawiając raz piérwszy po rewolucyi do swego kraju. Charakter tego pisma Guizota pełnym jest wdzięku, odbija się tam smutek serca człowieka stanu, co tyle doznał niesprawiedliwości, i co nie mógł przewidzieć nieszczęść własnego kraju; ale ten smutek, co ani na chwilę nie zachwiał jego umysłu i nie zniweczył nadziei, dodaje więcéj jeszcze uroku tak wymownemu głosowi. Wszystkie dawne pisma Guizota miały tylko jeden przedmiot: naukę, rozbiór żywiołów charakteru nowego towarzystwa z rewolucyi wyrodzonego. Nikt téj nauce nie poświęcał się z większą wytrwałością i gorliwością; nikt żywiéj jéj nie zgłębiał, nikt nie wskazał jaśniéj niebezpieczeństw otaczających francuzką demokracyę, a jednakże nikt w każdym czasie nie wierzył z większém zaufaniem w przyszłość Francyi. Dlatego téż

ci co świeżo mają w pamięci przeszłość jego jako ministra, z niecierpliwą ciekawością oczekiwali sądu Guizota o teraźniejszym stanie towarzystwa we Francyi, bo ciekawą było rzeczą dowiedzieć się, czyli po wzburzeniu co Francyę naraziło na wszelkie niepewności, czyli Guizot zachował o swém kraju tę samę opinię i tę samą nadzieję. Ale Guizot nie odwołuje się do żadnych wspomnień, bo z sumiennością, którą cała Francya kiedyś podziwiać będzie, oddalił od siebie wszelką osobistość. W przeszłości swojéj czerpał tylko odwagę i nadzieję. Młody jeszcze, po klęskach cesarstwa usiłował odwrócić Francyę od próżnych żalów, wzywając ją aby pracowała nad poprawą swéj przyszłości. „Szczęście i nieszczęście, mówił on, sprzyja naprzemian ludom, tak jak i pojedynczym osobom, ale nie powinno wywiérać wpływu na duszę silną, ani naród energiczny. Siebie a nie okoliczności o nasz los badać powinniśmy..... Klęski nasze nie pognębiać, lecz nauczyć nas powinny. Rozbiérajmy przyczyny takowych, a nie ulegajmy pod ciężarem skutków; przeszłość, niech będzie naszą chwałą i nauką, pracujmy z zaufaniem dla ustalenia naszéj przyszłości." Guizot te słowa mógł był przyjąć za godło swego dziełka, lecz wolał pozostać wierny swym zasadom, i po rewolucyi, co jego zniweczyła istnienie, zachować młodzieńczą spokojność duszy, niezachwianym wzrokiem poglądać na przyszłość.

Myśl Guizota jest tak jasna i tak silnie wyrażona, iż cały plan dzieła o *demokracyi we Francyi* w niewielu wierszach może być zawarty (1).

Rewolucya francuzka wyrodzi tylko zawiedzione nadzieje i tysiączne klęski, dopóki Francya nie uczyni ostatecznego wyboru w sprzecznych wyobrażeniach ścierających się głośnemi i niepewnemi słowy, powtarzanemi od lat 60 z nierozważnym przesądem. Trzeba rozwikłać *chaos* pokrywający wyraz *demokracya*. Wyraz ten jest talizmanem wszelkich żądz, wszystkich ambicyj prawnych i nieprawnych, uczciwych lub szkodliwych dla ludzkości. Używa się go za świętą dewizę dla potwierdzenia wszelkich idei, środków, instytucyj, bez względu, iż on zarówno złego i dobrego jest obrazem, i pod nowym kształtem wyobraża walkę z chwalebnemi i szkodliwemi skłonnościami, która toczy się w głębi towarzystw, tak jak i w głębi serca ludzkiego.

Układ społeczeństwa francuzkiego czyni tę wojnę konieczną i powszechną; nie odbywa się ona pomiędzy klassami przypadkowo, na opuszczonych stanowiskach, bo społeczność francuzka nie jest już zbiorem klass rozdwojonych i skupiających się, tylko wielkiém ciałem, którego wszystkie części w jedno są zlane. Taki stan towarzyski, jest koniecznym warunkiem francuzkiego narodu. Wśród niego to walka się rozpoczęła, i w nim tylko znaleźć można siły, mogące tęż walkę uspokoić, oraz gwarancyę społecznego pokoju. W téj wiecznéj domowéj wojnie stanów pojedynczych, społeczność ma naturalnego obrońcę w rządzie. Taka rola rządu najpotrzebniejsza jest właśnie, w towarzystwach demokratycznych, dlatego, że walka jest ogólniejszą, bezpośrednią i zawziętszą. Rządy demokratyczne potrzebują większéj siły,

(1) Revue des deux mondes.

energii, szczerości, surowości, niż inne, bo więcéj od drugich narażone są na razy sprzecznych i zmiennych popędów. Te co przez uorganizowanie lub słabą wolę nie potrafią zadosyć uczynić tym obowiązkom, zginą i pociągną za sobą zgubę demokracyi.

Rząd republikański taki jaki wyszedł z konstytucyi, nie odpowiada powyższym wymaganiom. Słaba i zawisła od łaski władza republikańska potrzebuje wielkiéj siły moralnéj, a rzeczpospolita co się demokratyczną nazwała, zamiast godzić i łączyć stronnictwo rozdwojone, niebezpieczne dla kraju, od piérwszego kroku wtrąciła Francyą w chaos wojny socyalnéj. Mogła przynajmniéj szukać rękojmi dla rządu i utrzymać równowagę w państwie. Ale zamiast tak postąpić, wskazała rządowi jednę pobudkę tojest wolę większości narodu, kładącą wszędzie zasadę despotyzmu rewolucyjnego obok prawa. Osłabiwszy się w ten sposób wystawiła kraj na pociski socyalizmu, wpajającego w towarzystwo szkodliwe niedorzeczne wyobrażenia. Socyalizm jest równie obmierzły jak i niepodobny, ale jest silny, bo odpowiada na zarzuty ludu w imieniu sprawiedliwości i prawdy, ofiaruje prawa na usługi własnych korzyści, zapala fanatyzm, pochlebiając samolubstwu. Socyalizm zatém jest zatrważający, bo nic niéma niebezpieczniejszego jak to, co jest zarazem silném i niepodobném. Społeczność zmuszona walczyć z nim codziennie i pokonywać go w czém jest niedorzecznym i przewrotnym, będzie w nim zawsze miała przeciwnika, bo siła jego wypływa z źródeł których nikt zatamować nie zdoła. Narażana raczéj niżeli ochraniana przez rząd, społeczność sama ocalić się musi, poza swym obrębem, tojest demokracyi i swobód; na nikogo ani na nic rachować nie powinna.

Z stałością człowieka co nigdy nie stawiał pomiędzy sobą marzeń i rzeczywistości, mającego zwyczaj wprost przyglądać się trudnościom, Guizot oświadcza: „Nie zniosę demokracyi społecznéj tak jak swobód w rządzie. To niezmierne poruszenie fermentujące narody, które występuje wywołując wszystkie klassy, wszystkich myślących i działających ludzi, należy powściągnąć, uregulować, bo inaczéj zrujnuje cywilizacyą i będzie wstydem i nieszczęściem ludzkości.“ Ponieważ w sobie saméj ocalenie znaleźć musi społeczność francuzka, powinna zdawać sobie rachunek z żywiołów, z których się składa i złączyć w jedno usiłowanie wszelkie środki obrony. W porządku cywilnym, rodzina, własność, praca, są właśnie trzy główne zasady attakowane przez socyalizm. Rozmaitość żywiołów czyni niepodobną jedność władzy centralnéj. Jedność władzy reprezentowana raz przez króla, drugi raz przez zgromadzenie, w fałszywém świetle wyobraża społeczność; traktuje lud jak proste zgromadzenie, zamiast uważać go za wielkie uorganizowane ciało, za istotę moralną, uformowaną z żywiołów wielorakich i rozmaitych zdolności, których skombinowanie stanowi oryginalność i życie. Dla pogodzenia sprzecznych interesów, trzeba aby nieustające i ruchome żywioły towarzystwa reprezentowane były u steru rządu przez władze pokrewne sobie i w którychby obronę znaleźć mogły. Władza ta musi być silną, bo każda pozbawiona siły jest skazaną na śmierć lub uzurpacyę.

Nietylko przy sterze rządu, ale w całym kraju zasady te powinny przewodniczyć w organizacyi władz. Czas samowolnéj centralizacyi przeszedł, nie wystarcza już na potrzeby i niebezpieczeństwa francuzkiego społeczeństwa, bo walka toczy się nietylko w środkowym punkcie, ale i we wszystkich innych.

Urzędnicy, wsparci nawet siłą zbrojną, nie są we Francyi w stanie obronić zasad towarzyskich wszędzie wstrząśniętych. Wypada zatém koniecznie aby właściciele, naczelnicy rodzin, ci naturalni stróże towarzystwa, byli w możności i w obowiązku popierania téj sprawy. Jeżeli wielkiéj trwałości żywioły, siły konserwatystowskie socyalnego porządku, połączą się i wspólnie działać będą, demokracya powściągniętą i uorganizowaną zostanie; sama w górę iść będzie nie strącając przeciwnych sobie. Jeżeli przeciwnie, żywioły konserwatystowskie pozostaną w niezgodzie i dezorganizacyi, demokracya zgubi Francyę, i sama w przepaść się wtrąci. Jeżeli Francya pragnie pokoju towarzyskiego, nie może spuszczać tego ze swéj uwagi, bo inaczéj cierpiéć będzie bez miary i końca. Ależ Francya nic jeszcze takiego nie uczyniła, aby tak nizko spaść mogła. Jest jeszcze pełną siły i życia. Po tych doświadczeniach nauczona nieszczęściem, ocali się przy bozkiéj pomocy.

Wypadkiem zastanowienia się i rozpraw nad własném położeniem, powinna być szczera i z godnością zawarta zgoda między dwoma stronnictwami, przez naturalną przewagę mających najrozleglejszy i najczynniejszy udział w inicyatywie krajn, tojest stronnictwa noszącego cechę tradycyi i niezatartéj niczém przeszłości narodowéj, i stronnictwa reprezentującego od roku 1789 interes i dążenie nowego towarzystwa. Jedném słowem powiedziawszy, powinno koniecznie nastąpić pojednanie pomiędzy partyami tak dawniéj zwanemi legitymistowską i orleańską. Ale pojednanie to musi edpowiedziéć głównym potrzebom towarzystwa: administracyi i postępowi. Francya przeto powinna czynić z uwagą i zastanowieniem co od czasu lutowéj rewolucyi czyniła w uniesieniu instynktowo. Na wyborach zgromadzenia narodowego 15 maja, w dniach czerwcowych, przy wyborze prezydenta rzeczypospolitéj, Francya coraz jaśniéj widząc grożące sobie niebezpieczeństwo, w które wciągnęli ją ludzie lutowi, oznajmiła chęć usunięcia tych szkodliwych indywiduów i innych systematów.

Nieszczęścia Francyi są skutkiem walk jakie jedno przeciw drugiemu toczyło, począwszy od roku 1789 aż do rewolucyi lutowéj. Gdyby nie opór klass średnich, nie byłaby upadła restauracya, a gdyby nieustanne zaczepki stronnictwa legitymistowskiego, nie byłaby wybuchła rewolucya lutowa. Zresztą, w chwili staczania tych walk ważne i prawdziwe polityczne powody ich nieporozumień, już nie istnieją. Niezręczne pretensye arystokracyi, co tyle zatrwożyły średnią klassę w czasie restauracyi, znikły. Opozycya w jakiéj przez lat ośmnaście żyli legitymiści, pozostawiając im właściwy charakter, połączyła ich na zawsze z swobodami tegoczesnych towarzystw. Aby pojąć ile zbawiennych skutków to pojednanie przynieśćby mogło, dość się tylko zastanowić, ile cierpień sprawiła ich niezgoda. Spojone jedne-

mi zasadami, wiążącemi ich do porządku, władzy, uszanowania dla praw, same wojną samobójczą przyłożyły się do obalenia tego porządku, zachwiania praw i zdyskredytowania władzy. Tym sposobem paraliżowały się tylko, unieważniały wzajemnie, skazując się w kwestyi postępowéj na zupełną nieczynność. Okazawszy skutkiem, ile jedno drugiemu zaszkodzić może, stronnictwa te przekonały najlepiéj, ile są sobie potrzebne. Wzmocnione szczerą zgodą tych dwóch wielkich części, stronnictwo umiarkowane, w odbudowaniu politycznem Francyi, otrzyma rękojmię potrzebną dla zrównania interesów i systematu zachowawczego, a przez szczęśliwe połączenie, utrwali prawdziwe i uczciwe zasady.

Społeczność ludzka jest tak jak ziemia, ma dwa obroty: obraca się wokoło siebie, zaprowadzając zmiany w swych wewnętrznych instytucyach, a zarazem dąży do celu zewnętrznego, ulegając niewidzialnéj sile.

Demokracya mniema, iż wszycy ludzie mogą stopniowo przy postępie czasu dojść do poprawy swego materyalnego położenia, i że powinnością jéj jest pracować nad polepszeniem ich smutnego losu. Ta wiara jest prawą, świętą i chrześciańską. Moralność przyznaje to z dumą, a nauka ekonomii potwierdza. Obok téj prawéj wiary stoją: bałwochwalstwo demokratyczne i kłamstwo socyalizmu. Kłamstwo przyrzeka nieograniczone szczęście, a bałwochwalstwo je gruntuje na dogodzeniu wszelkim namiętnościom. Stronnictwo umiarkowane wtenczas dopiéro zwycięży socyalizm i demagogię, kiedy z ubiegania się ludu pragnącego materyalnego bytu, wyprowadzi systemat polityczny, finansowy, przemysłowy, handlowy, filantropijny, i to wszystko śmiało i nagle w wykonanie wprowadzi. Stronnictwo umiarkowane zdoła zadosyć uczynić wymaganiom demokracyi, jeżeli potrafi ukonstytuować się pogodziwszy wszelkie żywioły, a dojdzie do tego niezawodnie, jeżeli członkowie przewagę mający, pojmą w całéj rozciągłości obowiązki serca. Jakkolwiek mogą być zgruntowanemi krytyki, których przedmiotem były instytucye od roku 1814, trzeba przyznać, iż te instytucye były zawsze wyższe od ludzi.

Temi to radami kończy swoje uwagi o demokracyi Guizot.

Zebrawszy wszystko cokolwiek o Guizocie powiedziano, zobaczymy, iż przedstawia się nam pod czterema różnemi charakterami: jako człowiek prywatny, jako autor, jako historyk, i jako mówca i polityk. Cnota jego jako człowieka prywatnego, nie ulega najmniejszéj skazie. Posłuchajmy co mówi jeden z najzaciętszych jego nieprzyjaciół pospolitych ([1]): „Dlaczegoż nie mamy wyrzec prawdy: chciałbym być tyle bezstronnym, ile pan Guizot posiada obyczajów surowych i czystych, a który przez najszczytniejszą swą moralność godzien jest szacunku uczciwych ludzi.” Jako autor, posiada dar słowa, odróżniający go od tysiąca innych, a chociaż forma w jaką przyodziewa swe myśli, jest niekiedy ciemną, to za to myśl sama jest tak jasną, tak świetną, że łatwo ją odgadnąć. Jako historyk położył wielkie zasługi dla nauk, i całemu światu wiadomo co uczynił łącznie z pp. Thierry

([1]) *Etudes sur les orateurs parlamentaires*, par Timon, tom II str. 9.

Sismondi i Micheletem. Jako mówca odznacza się poruszeniami szlachetnemi i poważnemi, głos jego dźwięczny i donośny, a wyrazy jego czy zimne, czy gwałtowne, zawsze są czyste i skromne, słowem gdy wejdzie na trybunę, przyjaciel i nieprzyjaciel milkną, każdy natęża uwagę i niczém jéj sobie nie przerywa. Jako politykowi często zarzucano mu zmienność nagłą z opozycyi na uniżone służalstwo, lecz nie wdając się w szczegółowy rozbiór jego stanowiska przy sterze rządu, najlepiéj temi odmalujemy słowy, iż będąc śmiertelnym nieprzyjacielem wszelkiego nieporządku, gotów łatwiej bez namysłu poddać się despotyzmowi, aniżeli wspiérać anarchią.



JAN WIN. BANDTKIE STĘŻYŃSKI.

Jan Winienty Bandtkie

JAN WINCENTY

BANDTKIE STRĘŻYŃSKI.

„Prawda a praca,
Ta nie utraca,
I nie omyli
W najgorszéj chwili."
Andrzéj Maczucki: o przyjaźniach i przyjaciołach 1530 r.

Każdy współpracownik na polu umysłowém, co, czy się trudem w odgrzebywaniu pamiątek dziejowych odznaczy, i do poznania skarbów zamierzchłéj przeszłości przyłoży, czy świetnym talentem zajaśnieje, i przyda ozdoby orszakowi tych, co rej wiodąc w swoim okresie, przodkują w duchowym postępie swemu narodowi, każdy zasługuje na chlubne wspomnienie, i ma prawo, aby w księdze historyi imię jego znalazło miejsce. Jeżeli zaś ten pracownik, nieskazitelnością charakteru, szlachetnością umysłu, prawością serca, cały swój żywot odznaczy, to mu nasz hołd, naszą cześć podwoim, i z uwielbieniem wskazując jako wzór do naśladowania, na przykład dla pociechy prawych, dla zarumienienia nikczemnych postawimy.

Za taki wzór służyć może Jan Wincenty Bandtkie. Młodszy o lat 15 od brata Jerzego Samuela (1) urodził się w Lublinie roku 1783, gdzie ojciec jego znany ze swéj uczciwości powszechnego używał szacunku. Obywatel zamożny, przez podejścia złych ludzi pozbawiony majątku, ze zgryzoty umarł, widząc nagle całą rodzinę w niedoli. Zacna wdowa osieroconą dziatwę, wychowywała wedle ograniczonéj możności, zaszczepiając w ich sercach własnym przykładem cnoty chrześciańskie (2). W dwunastym roku życia, opuścił Jan Wincenty matkę, udał się do Wrocławia dla pobierania nauk, gdzie u kre-

(1) Zobacz życiorys J. S. Bandtkiego str. 347.
(2) Biblioteka Warszawska 1846 r.

wnych znalazł przytułek. Niedługo przybyły do tegoż miasta starszy brat Jerzy, nauczyciel Gimnazyalny, zajął się dalszém jego wychowaniem, a wziąwszy go do siebie, zastąpił mu zmarłego ojca.

Szlachetny młodzieniec, przypisując mu *Jus Culmense*: wdzięczność swoję publicznie objawia:

„*Agnationis jura, fraterni amoris affectus, amicitiae officium, imo pietas suadebant, ut, Tuo nomine frontem codicis in lucem prolati exornando, grati erga Te animi monumentum qualecunque ponerem; quem enim Dii propitii mihi antedecennium institutorem educatoremque patris loco dederunt, quem nunc amicorum amicissimum habeo, non sufficit fraterno tantum prosequi amore.*"

W gimnazyum Śtéj Elżbiéty, korzystał z nauk słynnych w świecie uczonym professorów Szumla, Fülleborna i Szejbla. Po ukończeniu szkół przybył Bandtkie do uniwersytetu w Hali saskiéj, pragnąc się wyłącznie poświęcić nauce prawa. Przez lat trzy odznaczając się wzorową pilnością, pomagał bratu Jerzemu Samuelowi w znacznéj części do ułożenia z dzieła *Trotza: kieszonkowego słownika francuzko-polskiego i niemieckiego,* którego wydanie brat starszy przedsięwziął, aby otrzymaném wynagrodzeniem wesprzéć biedną uczącą się młodzież.

Po wysłuchaniu w Hali kursów prawnych, gdzie przez dwa lata był nauczycielem języka polskiego przy uniwersytecie, przybył Bandtkie na początku roku 1806 do Warszawy, i rozpoczął przy sądach regencyjnych w praktyce powołanie swoje prawnicze.

„Jakkolwiek Bandtkie, (mówi Felix Bentkowski) wyższe nauki pobierał w Niemczech, serce jego pozostało wierne rodzinnéj ziemi, i tém mocniéj biło dla niéj, im liczniejsi zjawiali się jéj potwarcy (1). W tym więc duchu Bandtkie, aplikant sądowy, w ówczesnym języku referendarius zwany, napisawszy rozprawę: *De studio juris polonici* na początku 1806 roku (2) śmiało i gruntownie powstawał w przedmowie na oszczerców, lubo w społeczném towarzystwie wysoko stojących. Takowa obrona ojczystéj krainy, była w ówczesném położeniu Bandtkiego, prawdziwém bohaterstwem cywilném, które, jeśli nie wyżéj, to przynajmniéj w równi z odwagą żołnierską kłaść należy. Wiadomo, że rząd pruski zostawił w prowincyach polskich świéżo nabytych, nietylko prawo chełmińskie czyli miejskie, w całéj swéj mocy; ale nadto do spraw dawniejszych szlachty, niezbędna była znajomość dawnych praw polskich koronnych, mazowieckich i t. p. Władze więc pruskie nieznające takowych, i nieumiejące ich szukać, udawały się w przypadkach wątpliwych do protokularnego zaciągania informacyi od dawniejszych prawników polskich. Uczynił więc Bandtkie tą rozprawą, nietylko urzędnikom, ale i krajowi całemu prawdziwą przysługę, wskazując między innemi źródła, z których te wiadomości czerpać należało. Nadto wieszczym niemal duchem przeczuł Bandt-

(1) Jak np. Uklański; przy każdéj jednak okoliczności występujący ze swém polskiém szlachectwem, *Mnioch*, *Nicolai*, i inni przedajni bazgracze.

(2) Wydana w Wrocławiu. 8vo, str. 72.

kie, wydaniem téj rozprawy, natarczywszą jeszcze potrzebę znajomości dawnych praw polskich, jaka się okazała nieco późniéj po wkroczeniu wojsk Napoleońskich do Berlina (1)."

W końcu roku 1806 ważne zmiany zaszły w kraju naszym: zwycięzka armia francuzka weszła do Polski, w grudniu tegoż roku wyznaczonym był Bandtkie do deputacyi urządzającéj sądowe sprawy depozytowe, a w następnym roku w czerwcu 1807, mianowany asessorem przy sądzie apellacyjnym w Warszawie. na którym urzędzie pozostał, aż do wprowadzenia kodeksu francuzkiego, 1808 roku. W tym czasie wydał rozprawę *Vindiciae juris Romani Justinianei* 1808 roku, w któréj wyłożywszy zalety prawodawstwa rzymskiego, służącego za podstawę wszystkim prawodastwom cywilizowanych narodów Europy, a zarazem potrzebę znajomości jego dla każdego prawnika, dowodzi przeciwko Tadeuszowi Czackiemu, iż w Polsce nawet, za czasów rzeczypospolitéj, prawo to uważane było za pomocnicze. Spór ten naukowy wywołał wiele późniejszych badań.

Przy nowéj organizacyi sądownictwa w księztwie warszawskiém 1808 r. powołany był Bandtkie przez ówczesnego ministra sprawiedliwości Łubieńskiego, umiejącego dobiérać na urzędy mężów według ich zdatności, na notaryusza departamentu warszawskiego, a w parę miesięcy późniéj mianowany członkiem kommissyi do redakcyi *Kodexu postępowania*. Tutaj to zasiadając, przy roztrząsaniu ważnego pytania: czyli obecne prawo pruskie lub statut litewski i prawa koronne, mają być *prawem przechodniém*? przy licznem stronnictwie odrzucającém wszystko co tylko było cudzoziemskiém, z całym młodzieńczym zapałem obstawał Bandtkie za niecofaniem cywilizacyi narodu we względzie prawniczym (2). Jakoż rzeczywiście głównie się przyłożył, iż postępowe prawodawstwo otrzymało pierwszeństwo.

Do nowo utworzonéj szkoły prawa roku 1808 mianowany professorem wykładał w niéj prawo rzymskie. Król saski Fryderyk August, książę warszawski nagradzając zasługi Bandtkiego 1809 roku w styczniu mianował go notaryuszem na całe księztwo warszawskie. Gdy w roku 1816 zamierzono w Warszawie otworzyć uniwersytet, wcielając doń dotychczasową szkołę prawa i administracyi, tudzież szkołę lekarską, należał Bandtkie do deputacyi układającéj organizacyą tego instytutu. Zachował w nim katedrę prawa rzymskiego, w któréj miejsce objął, następnie wykład prawa polskiego i jego dziejów. Jak w szkole prawa, za księztwa warszawskiego, był Bandtkie naczelnikiem, tak i w uniwersytecie wydział prawa i administracyi aż do rozwiązania, innego prócz niego nie miał dziekana, lubo ta godność od professorów wyboru, co trzy lata ponawianego, zawisła.

Jak był za czasów księztwa warszawskiego notaryuszem, tak po ogłoszeniu królestwa polskiego, potwierdzonym został w tém urzędowaniu z nazwą *pisarza aktowego* przy sądzie apellacyjnym: sprawował ten obowiązek

(1) Wiadomość o życiu J. W. Bandtkie. Biblioteka Warszawska T. I 1846 r.
(2) F. Bentkowski.

aż do roku 1843, w którym go Najjaśniejszy Pan zaszczycił godnością *radcy stanu*, członka Kommisyi Rządowéj Sprawiedliwości, ozdabiając orderami Śtéj Anny I klassy z koroną cesarską, Śgo Stanisława II klassy z gwiazdą, Śgo Włodzimiérza III klassy, nadawszy nobilitacyą z przydomkiem *Stężyński*.

Umarł dnia 7 lutego 1846 roku po dwudniowéj słabości, bez cierpień i bólu.

Przejrzym tu wszystkie dzieła jakie zostawił Bandtkie.

I. De studio Juris polonici dissertatio, Vratislaviae 1807. Sumt. Joh. Fred. Kornii. (8vo str. 72).

II. Vindiciae Juris Romani Justinianei. Vratislav. 1808. Sumt. Auctoris, typis Barthii (8vo str. 58).

III. Obrona Jana Zamojskiego. W drukarni rządowéj 1811 roku, 8vo.

IV. Zbiór rozpraw o przedmiotach prawa polskiego. W Warszawie i Wilnie nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego 1812 roku (8vo, str. 298).

V. Jus Culmense cum appendice privilegiorum. et jurium selectorum municipalium et Dissertatione Historico juridica exhibitum cura etc. Warszawa 1814 roku, 8vo str. 360.

Powód do wydania tego dzieła sam Bandtkie w przedsłowiu wyjaśnia:

„Na początku miesiąca listopada w roku przeszłym (1812), wezwany byłem przez A. M. Mędrzeckiego mecenasa sądu kassacyjnego do wydania potrzebnych, a mało znanych praw chełmińskich. Nie chciałem się wymawiać od téj pracy, poczytując onęż, jak każdą zasługę publiczną, za obowiązek, od którego uwalniać się bez winy nie godzi. Czułem tém bardziéj ważność rzeczy, bo szło o dobro miast, o rozszerzenie wiadomości prawa, o zapobieżenie dowolności wyroków; oświadczyłem zatém natychmiast, że gotów jestem chętnie poświęcić czas na staranne wykonanie wezwania, byleby koszt druku choć w części był zapewnionym. Znalazła się natychmiast liczba wystarczającą osób, obowiązek mój, w konieczność zamieniająca (1). Nie uwodząc się żadnemi widokami zysku, które w rzeczy tak chwalebnéj byłyby naganne, przestałem na téj liczbie, we dwóch dniach zebranéj, i nie pragnąłem onéj powiększenia, które byłoby nietrudném."

Sam tekst prawa (od str. 65 do 280) w języku łacińskim, poprzedza ważna Bandtkiego rozprawa p. n. *Wywód historyczny praw pruskich, mianowicie prawa chełmińskiego, prawa prowincyonalnego Prus Wschodnich, i prawa ziemskiego Prus Zachodnich, rzecz do historyi prawa krajowego służąca.*"

VI. Uwagi o potrzebie nauki prawa w naszym kraju w szczególności a o użytku onéjże w ogólności. Warszawa nakład Zawadzkiego 1814 r.

VII. Lineamenta juris Romani ad ordinem institutionum Justiniani Imp. digesta. Varsaviae 1816. U Pijarów 8vo str. 278. (A).

VIII. Martini Galli Chronicon ad fidem Codicum, qui servantur in Pulaviensi tabulario, denuo recensuit, Vitamque S. Stanislai atque inventarium

(1) Trzydziestu dziewięciu prawników na 40 exemplarzy zapisało się wtenczas: i na téj skromnéj liczbie Bandtkie poprzestał.

Ecclesiae Metropoli: Gnesnensis adjecit. Varsaviae 1824. (8vo) str. XXXII i 407 (B).

Jestto tekst naszego kronikarza jeden z najdokładniejszych, a który wymagał wielkiéj pracy i żelaznéj wytrwałości. Podług wydania tego, śmiało można przekład polski uskutecznić.

IX. Jus polonicum, codicibus veteribus Manuscriptis et editionibus quibuscunque collatis: etc. Varsaviae 1831. 4to. XXII i 472 stron, prócz indexu alfabetycznego.

X. Pamiętnik dla naprawy Rzeczypospolitéj na sejmie za Kazimiérza Jagiellończyka zamierzonéj przez Jana Ostroroga doktora obojga prawa ułożony. Warszawa 1831 roku (8vo X, 90 str. text łaciński z przekładem obok polskim).

Pamiętnik ten, przed blizko czterema wiekami dla poprawy rzeczypospolitéj ułożony, należy niewątpliwie do najdawniejszych zabytków literatury polskiéj. Czacki, oceniając ważność jego, chciał go wydać, ale śmierć zawczesna przeszkodziła; czerpając on w nim często pomocy, w uczonych swych badaniach, głosi go dziwnie rozsądnym.

„Dzieło Ostroroga (mówi sam wydawca i tłumacz Bandtkie) jest zaiste wcale nieobojętném, pod względem dziejów, oświaty, prawa za panowania Kazimiérza Jagiellończyka, które bez wątpienia nie jest dostatecznie objaśnioném. Kreślił swe myśli Jan Ostroróg podczas długiéj i ciężkiéj wojny z Krzyżakami. Stronność i rachuby zgubne papieżów i cesarzów rzeszy niemieckiéj nie dopuściły ich przeniesienia na wyspę Tenedos, jak Polacy pragnęli. Wolano, by zakon ten z wyznania i powołania swego niby chrześciański, trapił i gnębił jeszcze nadal słowiańskie ludy wiarołomstwem, zdradami, i bezustanną napaścią; by zamiast walczyć z pogaństwem, toczył i osłabiał spokojność Europy, by Polska, nie odzyskawszy krain nadmorskich, pozostawała w dogodném dla takich widoków, osłabieniu. W téjto wojnie i właśnie przez nią upadała zarazem i powaga duchowieństwa, i władza królewska, powstawała i wzrastała swoboda i nieuległość szlachty, zawiązywało się poniżenie innych mieszkańców, szczególniéj włościan i mieszczan, a rząd możnowładztwem umiarkowany zamienił się na rzeczpospolitą imienną, na zjazdach przez szlachty posłanników wcale niepomyślnie od samego początku, sprawowaną. Znał Ostroróg źródło przygód i długiego, krwawego, a mało korzystnego boju. Przemawiał za nieuległością króla, za godnością jego, zachęcał do groźnéj, zawsze gotowéj, prawem uporządkowanéj kraju obrony, wskazywał zasoby i dochody potrzebom odpowiednie, przyganiał nadużyciom, przesądom, zbytkom, zagrzewał do zamiłowania dobra powszechnego, okazał się niemal wszędzie wyższym nad wiek swój XV, oświeceńszym od tych, którym otwierał swe rady.

„Psuł się rząd z winy i wpływu więcéj obcych już wtedy, aniżeli z nieprzezorności i woli krajowców. Potrzebna była poprawa. Czuli i chcieli jéj szczerze dobrze krajowi życzący; dogodniejszym i korzystnym był dla obcych nierząd i niemoc nasza. Uwagi przez Jana Ostroroga do poprawy rzeczy-

pospolitéj wygotowane, jakkolwiek zbyt może w wielu szczegółach cierpkie, co zwykle bywa udziałem prawdy, są niemal wszystkie trafne i sprawiedliwe, z otwartością i prostotą wyjawione, potrzebą i stanem owoczesnym usprawiedliwione, późniejszych czasów wypadkami więcéj jeszcze sprawdzone. Prawdy, dawnéj przeszłości dotyczące, dziś po tylu wiekach nie powinny razić, mogą mieć użytek i na przyszłość wielowzględny."

Nieocenioną przysługę wyświadczył Bandtkie, wydaniem *Jus Polonicum*: ażeby ją dokładnie ocenić, przywiedziem tu sumienne ocenienie wartości tego dzieła, zaraz po wyjściu, ogłoszone.

„Ktokolwiek staranniéj rozważał, czyto historyą narodu naszego dawniejszą, czy téż same tylko dzieje ustawodawstwa krajowego, czuł bez wątpienia brak krytycznego wydania pomników praw ojczystych. Praca *Konarskiego* miała na celu widoki praktyczne. Chodziło za jego czasów nie o wydobycie tekstu czystego, wolnego od wszelkich późniejszych czyto dodatków, czy opuszczeń, czy téż przekształceń, ale o tekst taki tylko ustaw krajowych, który ówczasowéj praktyce sądowéj odpowiadał. Tekst podobny dawnych statutów znalazł Konarski w wydaniu Łaskiego, dopełnioném ze zlecenia i pod powagą króla Alexandra. Badacza starożytności nie mogło wydanie to zaspokoić. Tymczasem potrzeba historycznych poszukiwań, około dawnego prawodawstwa wzrastała. Przyszedł potrzebie téj w pomoc i zaspokoił oczekiwania Jan Wincenty Bandtkie. Wydane dzieło obejmuje pomniki prawodawstwa narodowego, począwszy od wieku trzynastego, aż do końca wieku piętnastego. Pomnożone jest nadto wydanie ustaw ogólnych krajowych nową edycyą praw i zwyczajów księztwa mazowieckiego. Księztwo to oddzielone przez długi przeciąg czasu od reszty królestwa posiadało osobne ustawy, z których najdawniejsza z roku 1377 pochodzi. Prawa te i zwyczaje wydał ze zlecenia króla Zygmunta *Piotr Goriński* wojewoda w roku 1541. Rzadkość nadzwyczajna téj edycyi podała myśl Bandtkiemu, aby zbiór cały na nowo drukiem ogłosić. Kto zna ważność praw mazowieckich, często więcéj starożytnych zwyczajów obejmujących jak ustawy wiślickie, będzie umiał ocenić przysługę, jaką czcigodny wydawca przyniósł nauce prawa krajowego. Jeszcze ważniejsze jednak naukowe korzyści, i pod względem krytyki historycznéj i pod względem nowości nastręczających się wypadków, przedstawiają nam wydania reszty pomników prawnych krajowych. Znajdujemy między niemi częścią znane już nam zbiory ustaw krajowych, między któremi piérwsze zajmują miejsce ustawy *wiślickie* Kazimiérza Wgo, ustawy *wartskie* króla Władysława Jagiełły, ustawy *nieszawskie* Kazimiérza Jagiellończyka, i prawa dla żydów księcia Wielkiéj-Polski Bolesława z r. 1264: częścią téż po raz piérwszy wydane z różnych czasów, i różnéj treści ważne prawne ustanowienia krajowe, jakiemi są np. Privilegium Casimiri III z r. 1352. Privilegium Regis Ludovici z r. 1355. Privilegium Vladislai regis z r. 1386 i 1388. Lauda Cracoviensia z r. 1447. Constitutiones terrae Lanciciensis generales między r. 1418 a 1419 i wiele innych. Wydanie jednych i drugich pomników dopełnione zostało z największą sta-

rannością. Wspomnimy o ważniejszych obszerniéj. Niezawodnie piérwsze i główne miejsce między ustawami krajowemi zajmuje statut wiślicki Kazimiérza Wgo z r. 1347, owo źródło prawa publicznego i prywatnego polskiego. Odkąd w nowszych czasach krytycznie zaczęto roztrząsać źródła prawodawstwa krajowego, odkąd zaczęto poszukiwać, zamiast wydań późniejszych, starodawne onego rękopisma, przekonano się zaraz dostatecznie, iż pierwiastkowa postać statutu wiślickiego, była znacznie różną od téj, którą przedstawiają wydania drukiem ogłoszone. Zwracali na to uwagę Czacki, Jan Potocki, i nasz Bandtkie. Późniéj krytyczne ocenienie statutu wiślickiego jeszcze więcéj zyskało. Wydany został w r. 1821 dawny rękopism hrabiego Sierakowskiego. Z niego pokazało się, iż w skład statutu wiślickiego weszły ustawy dawniejsze wielkopolskie, ułożone w Piotrkowie, tegoż samego co i statut wiślicki roku. Urosło ztąd słuszne domniemanie, iż przed statutem ogólnym wiślickim, musiała mieć Wielko-polska i Małopolska osobne ustawy i prawne zwyczaje, które dopiéro w jedno ogólniejsze zrosły ciało w statucie wiślickim. Co początkowo więcéj było domniemaniem, to sprawdziło się przez wynalezienie dawnych tłumaczeń polskich ustaw wiślickich. Tłumaczenia te wydane zostały w Wilnie 1824 roku. W nich znajduje się przekład z roku 1449 dopełniony przez Świętosława. W przekładzie tym podzielono ustawy wiślickie na dwie księgi: piérwsza obejmuje ustawy *małopolskie*, druga ustawy *wielkopolskie*. Dla poparcia nastręczających się z tego powodu wniosków, potrzeba tylko jeszcze było wynaleźć rękopism dawny łaciński, obejmujący czyste prawa małopolskie, tak, jak już wcześniéj wynaleziony został rękopism ustaw piotrkowskich wielkopolskich. Znalazł się nareszcie i takowy staraniem Józefa Muczkowskiego. Mając wszystkie te materyały pod ręką Bandtkie, oraz znaczną liczbę innych dawnych kodeksów przedstawia nam w edycyi swéj dokładne ustaw wiślickich wydanie. Na czele mieści wydanie krytycznie dopełnione statutu Kazimierzowego, podług redakcyi przyjętéj w piérwszych tego statutu drukach i wydaniu Łaskiego, z porównaniem dawnych, jakie posiadał rękopismów, w których już zatarty ślad odróżnienia ustaw małopolskich od wielko-polskich. Następnie podaje ustawy małopolskie w pierwotnéj postaci tak, jak je przedstawia kodeks wynaleziony przez Józefa Muczkowskiego, daléj udziela ustawy wielko-polskie w Piotrkowie ułożone, częścią podług rękopismu hrabiego Sierakowskiego, częścią podług tłumaczenia Świętosława dopełnione. Jak ważną przysługę wydanie to krytyczne źródeł ustaw wiślickich, i samychże statutów Kazimiérza, pod historycznym względem przynosi, zdaje się być nawet rzeczą niepotrzebną wspominać. Widoki nasze rozprzestrzeniły się, badania około dziejów prawodawstwa krajowego gruntowniejsze i dokładniejsze stały się. Wszystko to będziemy mieli do podziękowania wytrwałéj, umiejętnéj pracy naszego wydawcy. Możemy nawet twierdzić, że dziś dopiéro, posiadając krytyczne wydanie źródeł dawnych praw krajowych, jesteśmy w możności z pożądanym skutkiem oddać się poszukiwaniom historycznym w rozległym prawodawstwa krajowego zakresie. Niemniéj dokładne są wydania ustaw *wartskich* i *nieszawkich*.

Wiadomo jest, iż ustawy te w drukach dawnych znacznie są przekształcone. Piérwszy Bandtkie przedstawia je w kształcie starodawnym. Toż samo ustawy dla żydów księcia Bolesława, różnie bez krytycznego ocenienia tekstów dotąd drukowane były. Między nowo wydanemi pomnikami prawodawstwa krajowego, bardzo ważne zajmują miejsce konstytucye ziemi łęczyckiéj. Wiele było takowych w dawnéj Polsce praw zwyczajowych ziemskich, znaczna ich część dotąd nieznana: wydane teraz po raz piérwszy zwyczaje łęczyckie, o wiele rozszerzają wiadomości o zwyczajach prawnych kraju naszego. Całe dzieło Bandtkiego zamyka dokładnie ułożony regestr materyi, który stać się może ułatwieniem znaczném dla tych, co będą chcieli ze zbioru tego korzystać (1)."

XI. Historya prawa polskiego napisana i wykładana przed rokiem 1830 w byłym warszawskim aleksandryjskim uniwersytecie. Dzieło pogrobowe. Warszawa 1850. 8vo. (Wydanie syna Kazimiérza Bandtkie Stężyńskiego).

Dzieło to należy do najważniejszych prac Bandtkiego, obchodzących żywotnie tak badaczy dziejów, prawodawstwa, jak i literatury ojczystéj. Sam autor we wstępie daje nam poznać treścią wartość swego dzieła:

„Jaka potrzeba, jaki użytek, poznawać prawa dawne polskie i ich dzieje, gdy stały się dawnemi, gdy należą do przeszłości? Użyteczność nauki téj jest dla obcych nawet powszechną, dla nas konieczną i szczególną. Wielkich lubo upadłych narodów przygody i życie są pełne nauki, bo, wykrywając przyczyny choroby i śmierci, stanowią przestrogę i doświadczenie. Grecya, Rzym, Polska dawna, dla historyi, polityki, prawodawstwa, zachowają na wieki powab ważnych dla całego rodu ludzkiego spostrzeżeń i uwag. Dla nas zaś są szczególne powody w ocenieniu użyteczności i potrzeby poznania dawnych praw polskich i ich dziejów. Do dziś dnia i na długie zapewne jeszcze czasy, wydarzają się rozliczne przypadki w rządzie i sądach, których właściwe osądzenie, wymaga znajomości dokładnéj praw dawnych. Dzieje, pod względem rządu i praw uważane, są najważniejszą częścią historyi każdego narodu. Z ich dokładnego poznania i bezstronnego rozważania wynika przekonanie, że nic przypadkiem się nie dzieje, że skutki i wypadki wszelkie miały swoje przyczyny, że nie wszystko dawne było dobrém, lub lepszém od tego co jest nowszém, lub nam współczesném. Znaleźć się mogą liczne pobudki do szanowania przeszłości, lecz obok tego i do zamiłowania stanu rzeczy nam współczesnego, do wewnętrznéj spokojności duszy i umysłu, i do uznania: że Opatrzność rządzi narodami i światem. Wykrywając bezstronnie dawny stan rzeczy, wykaże, co było dobrém, co złém, czém należy się szczycić, a nad czém wypada ubolewać, jeżeli nie chcemy ślepo się powodować przesądami."

XII. O Macieju Śliwickim i księdze prawa powszechnego z woli Zygmunta I przezeń ułożonéj. (Przy programacie uniwersyteckim w Warszawie 1825 r. 4to).

(1) Dziennik powszechny 1832 .r

XIII. W dziele Felixa Bentkowskiego: *Historya Literatury polskiéj* 1814, tom II, cały rozdział trzeci obejmujący bibliografią prawodawstwa i prawnictwa polskiego, jest pracą J. W. Bandtkiego.

W Pamiętnikach warszawskich redakcyi Osińskiego i Bentkowskiego są różne historyczne i prawnicze rozprawy; wyliczymy je zaraz między rękopismami jakie pozostawił, a które syn Kazimiérz Bandtkie Stężyński znany autor dzieła: *Numizmatyka krajowa*, po wydaniu *Historyi prawa Polskiego* ogłosić zamierza:

XIV. Prawo prywatne polskie.

XV. Zbiór rozpraw o przedmiotach prawa polskiego, historyi i bibliografii prawa, obejmować będzie:

1. O poważaniu dawniejszém w Polsce prawników uczonych.
2. O urzędzie woźnego w dawném sądownictwie polskiém.
3. Skład i formacya chorągwi wojsk polskich jakie w wieku XVIII istniały.
4. O Tatarach i w ogóle o mieszkańcach tutejszo krajowych wyznających religię mahometańską.
5. O uczestnictwie praw społecznych cywilnych i politycznych żydów do r. 1815.
6. Co stanowi prawnika?
7. Uwagi o potrzebie nauki prawa w naszym kraju w szczególności a o użytku onéjże w ogólności.
8. Wywód historyczny praw pruskich, mianowicie prawa chełmskiego, prawa prowincyonalnego Prus Wschodnich, i prawa ziemskiego Prus Zachodnich, rzecz do historyi prawa krajowego służąca.
9. Wywód historyczny praw miejskich w Polsce dawniéj obowiązujących.
10. Rzecz o uprawnieniu dzieci przez zaszły związek małżeński czynioném.
11. Rzecz o karze śmierci za kradzież stanowionéj.
12. O prawie i sądownictwie karzącém dawniejszém w Polsce.
13. Rzecz o czwartym groszu siostrom, z pozostałości ojczystéj przez braci udzielanym.
14. Rzecz historyczna o notaryacie, czyli pisarstwie aktowém krajowém tak dawniejszém jako i nowszém.
15. O statucie litewskim.
16. Sprawdzenie twierdzenia Tadeusza Czackiego o pisarzach.
17. O Macieju Śliwińskim. (Przedruk).
18. Obrona Jana Zamojskiego. (Przedruk).
19. Pamiętnik dla naprawy rzeczy pospolitéj Jana Ostroroga. (Przedruk).
20. Nauka prawodawstwa i prawnictwa polskiego.
21. Zbiór wszelkich urządzeń względem duchowieństwa różnych wyznań w epoce dawnych rządów kraju tutejszego wydawanych.

Oddzielne nadto rękopisma zostały:

1. Prawo kryminalne narodu polskiego porządkiem praw pruskich zebrane roku 1807.
2. Institutiones juris Romani.

3. Principia juris secundum ordinem Pandectarum.

Oprócz tylu prac naukowych, obowiązków professora i dziekana w uniwersytecie warszawskim, pełnił czasowo urzęda, członka najwyższéj Kommissyi Examinacyjnéj, radcy woje wódzkiego, radcy ewangelickiego konsystorza, a późniéj prezesa komitetu gminy ewangelickiéj, przeznaczonego do przerobienia ordynacyi kościelnéj, rewizyi głównego archiwum krajowego, którego inwentarz sporządził i t. p.

W obowiązkach notaryusza czyli pisarza aktowego, umiał sobie zjednać Bandtkie sławę, prawego i najsumienniejszego urzędnika.

Felixa Bentkowskiego przywiedziem tu słowa:

„Zwrócić muszę uwagę czytelnika na ważność téj instrukcyi francuzkiéj, która u nas z pewnemi modyfikacyami otrzymawszy wraz z kodeksem prawo obywatelstwa, lubo już spowszedniała, jednakże Niemcy i Anglia, słusznie nam jéj, jak jest u nas w użyciu, zazdrościć mogą. Ponieważ akta notaryalne takiéj są ważności, iż nietylko są świadectwami niezaprzeczalnemi dla rządu, i całéj społeczności towarzyskiéj, ale i nakształt wyroków sądowych ostatecznych, mają władzę eksekucyjną; wynika ztąd, że notaryusz (regent, pisarz aktowy) dwa główne przymioty łączyć w sobie powinien: *poczciwość* nieugiętą, i gruntowną *znajomość prawa*. Połączenie obu tych przymiotów jest nieodzownem; jeden bez drugiego jest niedostatecznym. Powołanie notaryusza nie zależy na machinalném spisaniu w akcie woli zeznawających; i owszem, on często powinien ją miarkować i kierować podług prawności i słuszności, powinien być sędzią światłym i nieskazitelnym, aby przedsięwzięcia nierozważne, lub zamachy złéj wiary, upadły przed jego światłem i sumiennością. Przy spisaniu więc aktu i na treść i na wysłowienie całą swą uwagę zwracać powinien, aby zapobiedz sporom i procesom. Objął ducha téj instytucyi Bandtkie, przejął się jéj świętością w całéj rozległości, i łącząc obie przytoczone zalety, wykonywał je z tak troskliwą sumiennością i przezornością, iż wielu aktów przyjąć wcale nie chciał: inne znowu, przez niego już spisane, z powodu obstawania o zachowanie notaryalnych formalności nie przyszły wcale do skutku. Troskliwie bowiem zważał, nietylko na treść i prawność aktu samego, ale i na ścisłe zachowanie przepisów względem rekognoscentów i ich przymiotów, obecności świadków, czytania aktu w obec wszystkich komparycyą objętych, i tym podobnych formalności, które niesłusznie lekceważone przez wielu, istotnie są stróżami i podporami prawności aktu, i bezpieczeństwa osób działających. Właśnie też z powodu téj skrupulatności, dla różnych przyczyn niektórym osobom nieprzyjemnéj, mniéj aktów przyjmował notaryusz Bandtkie, niż każdy niemal regent warszawski; ale ich ważność, co do rzeczy niemi objętych, i prawność najściślejsza, przewyższała tamte, i czyniła strony spokojnemi, co do ich niewzruszalności. Ztąd też pochodziło, iż powiedziawszy, że czynność jakowa notaryalna przyjęta była przez Bandtkiego, uznawano ją natychmiast, bez dalszych roztrząsań, za czystą, prawną i bezpieczną (C)."

* * *

Ktokolwiek rzuci okiem na ten życiorys Jana Wincentego Bandtkie, a porówna ze starszego brata Jerzego Samuela, musi uznać dziwną Opatrzność czuwającą nad kierunkiem i rozwojem ducha literatury naszéj. Obadwa z rodziny zacnéj, a podupadłéj, z wątłém zdrowiem, łamią się w najpiękniejszéj lat wiośnie, z pierwszemi potrzebami życia. Pracą, żelazną wytrwałością, zwyciężają wszelkie przeszkody, zdobywają skarb nauki, i zlani szlachetnym znojem, wracają na rodzinną ziemię, by jéj poświęcić co mieli najdroższego, talent, i pełne zdolności pióro. Obaj, godném podziwu przejęci niepokalaném sumieniem literackiém, w badaniach przeszłości, dla postępu oświaty, niepożyte położyli zasługi.

Jerzy Samuel jako historyk, to biorąc całość politycznych dziejów krajowych, to ustępy, to w szczególności dzieje oświaty narodu polskiego, dla wzrostu historyi, literatury, i bibliografii, w pracach swych skarbiec roztworzył: Jan Wincenty, dla przeszłości prawodawstwa polskiego, dla dziejów i literatury, nie daje się bratu wyprzedzić. Jeżeli Jerzego dzieła więcéj nas zajmują, więcéj się upowszechniły, to pomogła im treść popularniejsza, a głównie że w ojczystym języku w większéj części je wydał; prace jego i badania słuszne mu nadają prawo, aby stanął w rzędzie znakomitszych historyków polskich, ale z tego grona nie ustąpi i Jan Wincenty: *Historya prawa polskiego* krytycznie obrobiona, pojedyncze dziejowe rozprawy: wydanie tekstu kroniki *Marcina Galla*, *Jus polonicum*: sąto dzieła, któremi pochlubić się może literatura nasza. Gdy Jerzy wzbogaca bibliografią i literaturę polską, Jan, nie daje się ubiedz, i do dzieła F. Bentkowskiego *Historya literatury polskiéj*, cały rozdział trzeci obejmujący bibliografią prawodawstwa i prawnictwa polskiego pisze, i w szczegółowych rozprawach wzbogaca tę gałęź literatury. Jako zaś *prawnik*, i badacz krytyczny prawa, stoi sam, oddzielnie.

Obaj bracia, rzetelną zasługą zdobyli znaczenie i sławę; a gdy przyjdzie ocenić, który z nich przodkuje w wytrwałości jako pracownik na polu umysłowém, wydać sądu nie umiemy; bo za Janem przemawia większość dzieł, za Jerzym oprócz prac literackich, stoi jako pomnik wieczysty uporządkowana przez niego biblioteka uniwersytetu Jagiellońskiego. Jan jako professor uniwersytetu warszawskiego jasnym sposobem wykładu, szlachetném obejściem, zjednał sobie poszanowanie i miłość pomiędzy uczniami; Jerzy jako professor uniwersytetu Jagiellońskiego, udzielając skarby najwytrawniejszéj uczoności, umiał przeplatać wykład rzeczy nawet suchych, najbardziéj zajmującemi wiadomościami historycznemi, i zwabiał około siebie uczniów, gorliwością się odznaczających. Zostawili też w nich, to znanych już literatów, to znakomitych urzędników. Starszy brat był członkiem towarzystw uczonych w *Luzacyi*, towarzystwa kr. warszawskiego Przyjaciół Nauk, doktorem filozofii w Krakowie, i Towarzystwa naukowego krakowskiego: młodszego uczone towarzystwa i uniwersytety krakowski, królewiecki, wileński, mianowały doktorem obojga prawa i swoim członkiem. Obaj bracia prawie równego kresu życia

doszli. Jerzy żył lat 67, Jan 63, obaj oddani mozolnéj pracy umysłowéj, skromnością i wstrzemięźliwością do siwizny doszli. Co do charakteru, ta różnica między nimi, że starszy brat przy dobroci wrodzonéj, był ucinkowym, więcéj życia przedstawiał, i śmiało gromił, wyszydzał głupotę, gdzie ją tylko dojrzał; młodszy przy zimnym temperamencie, i w obejściu łagodnością się odznaczał, a jakkolwiek prawy, szlachetny wielbiciel prawdy, nie karcił, ale ją swojém życiem i postępowaniem do naśladowania wskazywał. Zarówno zwolennicy gry szachów, w któréj Jerzy celował i słynął.

Obaj bracia, namaszczeni od kolebki na pracowników duchowych, spełnili święcie swoje powołanie, i tak jednego jak drugiego życie całe, było ciągłą zasługą. Jako poświęceni kapłani przy ołtarzu oświaty krajowéj, od młodości do siwizny wierni i wytrwali, nie opuścili jego stopni pomimo różnych burz i przygody. Współcześni uczuli głęboki żal, po stracie dwóch tak znakomitych mężów, potomność, gdy już stoją przed jéj sądem, nie odmówi im i czci, i sławy w świątyni pamięci!

K. W. Wójcicki.

PRZYPISY.

(A) Recenzya tego dzieła znajduje się w dzienniku wileńskim 1815 roku; *Prawa* zaś *chełmińskiego* w tygodniku wileńskim.

(B) Rozbiór wydania Bandtkiego kroniki Marcina Galla jest w Ergänzungs Blätter zur Hallischen allgem: Litteratur Zeitung 1825. IV Band, 651—654 st.

(C) F. Bentkowski (Wiadomość o życiu J. W. Bandtkiego, Biblioteka Warszawska 1846. T. I.) dla okazania jak daleko posuwał Bandtkie przezorność o bezpieczeństwo stron, przed nim akta zeznających, i sumienność swoję, przywiódł następne przykłady.

1. Odmówił Bandtkie obywatelowi spisanie w roku 1832 aktu kupna placu w Warszawie, zabudować się mającego, upatrując wówczas straty, na jakie się kupujący, przez to kupno i następne budowanie narazi. „Lecz mój interes, rzecze obywatel, już skończony, dałem znaczny pod przepadem zadatek, tylko rzecz urzędownie spisać pozostaje." Idź pan, rzecze Bandtkie, do innego regenta, bo ja, tego aktu nie przyjmę, nie chcąc abyś po kilku lub kilkunastu leciech, narzekał na mnie iż go przyjąłem!

2. Aby nie narazić stron kiedyś na straty z powodu nielegalności (jak mniemał) aktów, dla zmienionéj w roku 1813 aryngi, zrzekł się dochodów z urzędowania swojego, poprzestawszy wypełniać czynności notaryalne, lubo wszyscy inni pisarze aktowi, takowe wykonywali.

3. Mając sobie od teścia przekazaną summę posagową na dobrach ziemskich hypotekowaną, za przybyciem dłużnika do nowego wierzyciela, w niemałe ten go wprawił zadziwienie, odsuwając z wyliczonéj kwoty część pewną i mówiąc: pan się omyliłeś w rachubie. Bynajmniéj, rzecze wierzyciel, wszak to jest 6 procentu tak jak dotąd płaciłem? Przepraszam pana, odpowié Bandtkie, ja się trzymam prawnego 5 procentu, i na przyszłość proszę składać takowy nie z góry, lecz z dołu.

Dodamy tu szczegóły nam wiadome:

Jeden z blizkich znajomych, przybył do Bandtkiego, w celu zrobienia aktu urzędowego stawiając na rekognoscentów osoby równie dobrze i osobiście mu znane. Bandtkie widząc, że akt wymagany nie dawał żadnéj rękojmi wystawującemu oblig, udał że nie zna wcale tych osób które przybyły na rekognoscentów.

Przybyły z zagranicy utytułowany baron, z listami polecającemi i gazetami, które wysławiały jego wziętość, zyskał wiarę u wielu którzy znaczne nawet summy chcieli mu powierzyć, celem różnych zyskownych zakupów za granicą. Wezwany do znakomitego domu Bandtkie, aby akt urzędowy spisał, że ów baron bierze znaczną summę, jako zadatek, a resztę po sprowadzeniu przedmiotów odbierze, wręcz odmówił, żądając aby który z obywateli krajowych odpowiedzialnych za nieznanego cudzoziemca poręczył. Uderzyła wszystkich ta trafna uwaga zażądano rękojmi, lecz w miejsce jéj otrzymano wiadomość, że cichaczem się wyniósł przemysłowiec, oszukawszy dobrodusznych ziemian naszych.

Koniec tomu pierwszego.

l. inw. 3199

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Pedag.-Wych.

DODATKI I SPROSTOWANIA.

Dante. Str. 69.

Artykuł niniejszy jest pióra Wilhelma Kaliksta Radomickiego, który zmarł w zbyt młodym wieku, bo nie przeżywszy lat 25, z powszechnym żalem tych, co umieli w nim oceniać zdolnego i poświęconego literaturze naszej pracownika.

Urodzony w Brześciu Litewskim, tam początkowo pobierał nauki; następnie ukończywszy kurs nauk gimnazyalnych w Świsłoczy, a przy wyjściu z téj szkoły obdarzony medalem srebrnym jako uczeń celujący, poświęcił się nauce prawa w uniwersytecie moskiewskim, oddając się przytém z całym zapałem lingwistyce i literaturze. Jakoż języki łaciński, francuzki, niemiecki, włoski, angielski i hiszpański nie były mu obce. W roku 1843 ukończył kurs uniwersytecki ze stopniem kandydata, poświęcił się zawodowi sądowemu, a każdą wolną chwilę oddawał pracom literackim: zostawił téż w rękopismach życiorysy niewykończone Tassa, Machiawella, Kalderona, i kilka urywków krytycznych. Wśród tak mozolnego zawodu, trawiony oddawna chorobą suchot, zgasł ten zacny młodzieniec w dniu 22 czerwca 1848 roku. Szczupłe grono przyjaciół, ceniących prawdziwą wartość zmarłego, szczerą łzą żalu, poświęcili skromną na Powązkach Radomickiego mogiłę.

Trembecki Stanisław. Str. 137.

Stracił majątek w Paryżu, przybył na dwór króla Stanisława, który mianował go szambelanem z pensyą 600 dukatów rocznie. Naoczny świadek, podaje go nam jako doskonałego Epikurejczyka: stół dobry, wino, i płeć piękna, to były bóstwa jego. Leniwy, pełen cynizmu, i niedbalstwa koło siebie, nieumyty, rozczochrany, w tołubie baranim, z lulką w gębie, całe dni pędził u siebie, czytał i umiał wiele.

Bohomolec Franciszek. Str. 179.

Mylną podaliśmy datę śmierci jego. Umarł bowiem dnia 24 marca 1784 roku, o czwartéj rano, opatrzony świętemi Sakramentami, mając lat 64, miesięcy 2 i dni 26.

Urodzony z zacnéj i możnéj rodziny w dawném województwie witebskiém dnia 29 stycznia 1720 r. W roku 18 życia, dnia 21 czerwca 1737 r. wstąpił w Wilnie do zakonu Jezuitów. Skończywszy nauki w akademii wileńskiéj, a potém w Rzymie zwykłe zakonowi swemu ćwiczenia, był nauczycielem w akademii wileńskiéj, późniéj w warszawskiém Collegium Nobilium. Używał wczasu będąc przełożonym drukarni tegoż kollegium. Po zniesieniu Jezuitów, król mianował go konsyliarzem królewskim z dostatnim dochodem. (Gazeta Warszawska 1784 r. Suplement). Oprócz jałmużn i hojnego sług swych opatrzenia, złożył na domach staréj Warszawy 3,000 dukatów, na wieczny fundusz dla ubogich i podupadłych z zastrzeżeniem, że te się wracają do zakonu Jezuitów, gdy zostanie kiedy przywróconym. (Ciekawą wiadomość o téj fundacyi kapitału Bohomolca, znajdzie czytelnik w ważném dziele F. M. Sobieszczańskiego: „Opis miasta Warszawy)."

Bohomolec żył w przyjaźni z Grzegorzem Łyszkiewiczem kupcem i kapitalistą w Warszawie, który ciągnąc znaczne procenta od pożyczonych pieniędzy, miał przytém wyborną piwnicę win węgierskich. Jestto ojciec Macieja Łyszkiewicza, który zasłynął późniéj jako bankier.

Bohomolec rad nawiedzał przyjaciela Grzegorza, gdzie przy starym węgrzynie i przy gawędce, mile naszemu literatowi czas wolny od pracy ubiegał. Tam to on napisał sławną pieśń Kurdeszową, głośną po całéj Polsce, i znajomą we wszystkich dworach szlacheckich. Przywiedziem ją tu w całości.

„Każ przynieść wina mój Grzegorzu miły!
Bodaj się troski nigdy nam nie śniły,
Niech i Anulka tu zasiędzie z nami:
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Skoro się przytknie ręka do butelki,
Znika natychmiast smutek serca wszelki,
Wołajmyż tedy dzwoniąc kieliszkami,
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Nie złe to wino, do ciebie mój Grzelu!
Cieszmy się póki możem przyjacielu,
Niech ztąd ustąpi nudna myśl z troskami,
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Patrzcie! jak dzielny skutek tego wina,
Już się me serce weselić poczyna,
Pod stół kieliszki, pijmy szklanicami!
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

I ty Anulko, połowico Grzela,
Bądź uczestniczką naszego wesela:
Nie folguj sobie, chciéj wypić z nami,
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Już po butelce, niech tu stanie flasza,
Wiwat! ta cała kompanija nasza!
Wiwat z Maciusiem (1) i przyjaciołami!
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami.

Maciuś jest partacz, pić nie lubi wina,
Myśli, że jemu złotem jest dziewczyna,
Dajmyż mu pokój, pijmy sobie sami
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Odnówmy przodków ślady wiekopomne,
Precz ztąd szklenice, naczynia ułomne,
Po staroświecku pijmy pucharami
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Już téż bo Grzelu przewyższasz nas wiekiem,
A wiész że wino dla starych jest mlekiem,
Łyknij! a będziesz śpiewał z młodzikami,
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Tomasz Moor. Str. 233.

Oprócz tłumaczeń poezyj Moora, mamy tłumaczenie i jego powieści p. n.: „Epikurejczyk, powieść T. Moore, przełożona z angielskiego przez K. Förster." Warszawa 1829 roku. 8-ka.

Lord Bajron. Str. 369.

Mamy przekłady poezyj Bajrona oddzielnie wydane:

Lara, poemat w dwóch pieśniach, przekład J. Korsaka. Wilno 1833. 8-vo.

Paryzina, *Kolmar* i *Orla*, dwa poemata, przekład Ignacego Szydłowskiego. Wilno 1834. 8vo.

Manfred poema dramatyczne, przekład E. S. Bojanowskiego. Wrocław. 1835. 12mo.

Karpiński Franciszek. Str. 411.

Jeden z współczesnych literatów, opisał nam tak postać Karpińskiego, kiedy był w sile jeszcze wieku.

„Twarz jego smugła, włosy czarne, oczy czarne i żywe, przyjemny uśmiéch, łagodna mowa."

(1) Maciéj syn, poźniéj, wspominamy wyżéj bankier.

Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej
24367/2 t.1
12-024367-001-0